STEPHEN KING

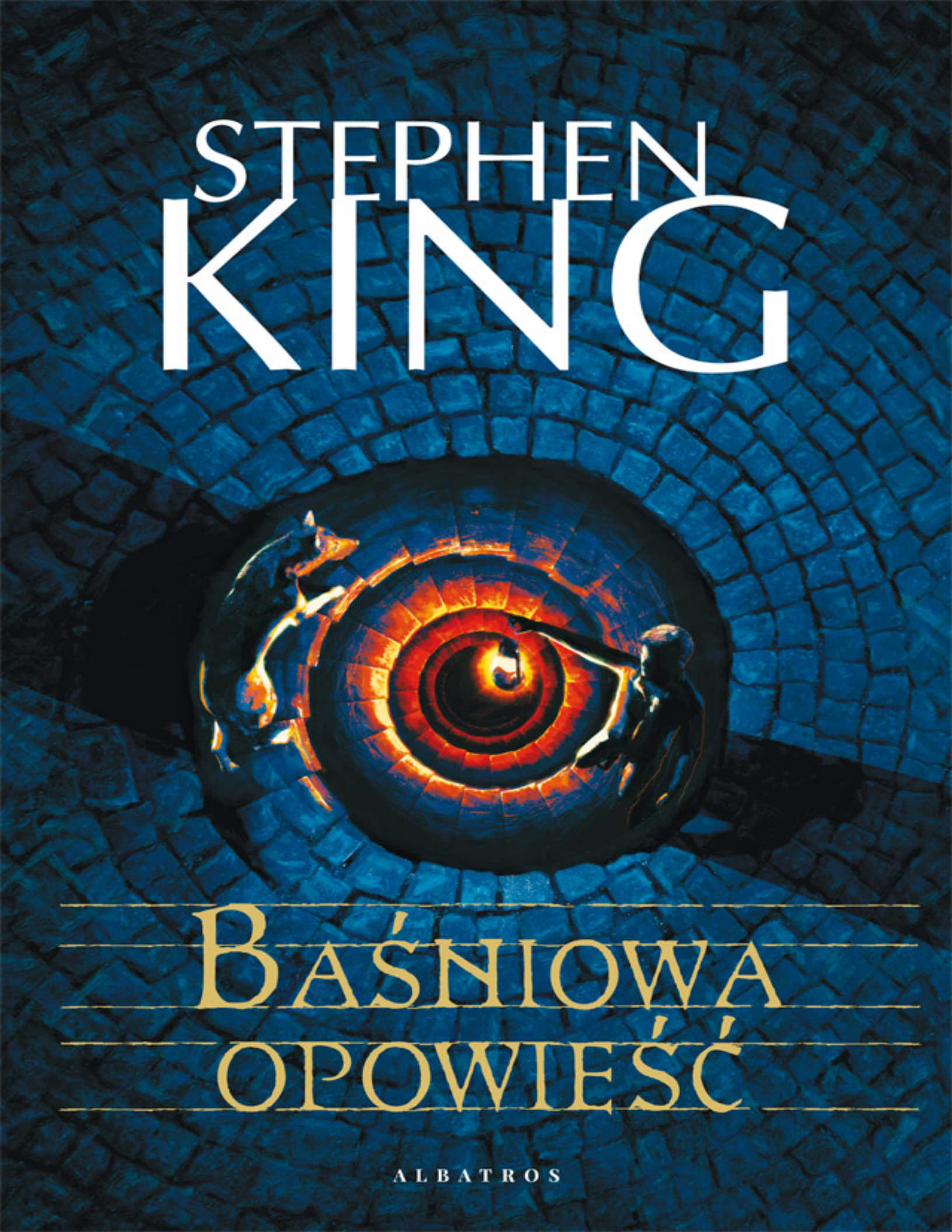

# BAŚNIOWA OPOWIEŚĆ

ALBATROS

STEPHEN KING

# BAŚNIOWA OPOWIEŚĆ

Z angielskiego przełożył
JANUSZ OCHAB

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

**NOWA POWIEŚĆ FANTASY STEPHENA KINGA!**

**NASZPIKOWANA MOTYWAMI, KTÓRE FANI MISTRZA HORRORU LUBIĄ NAJBARDZIEJ, I ODNIESIENIAMI DO KLASYCZNYCH BAŚNI.**

**PROWOKUJĄCA DO PRZEMYŚLEŃ NA TEMAT KONDYCJI WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA.**

Opowieść o zwyczajnym chłopcu, któremu pisane są bohaterskie czyny, i odwiecznej walce dobra ze złem, w której o zwycięstwie nie decyduje siła przeciwników, lecz ich wola.

Charlie Reade jest zwyczajnym nastolatkiem, choć w dzieciństwie przeżył traumę. Właśnie wtedy złożył pewną obietnicę, ale dopiero kiedy poznał Howarda Bowditcha, dostrzegł okazję do wywiązania się ze swoich zobowiązań. Stroniący od ludzi stary człowiek i jego budzący grozę dom zafascynują Charliego i na zawsze zmienią jego życie. Ale to przede wszystkim za sprawą Radar, psa pana Bowditcha, chłopiec uda się w niesamowitą podróż do świata, w którego istnienie nigdy by nie uwierzył.

Rządzeni przez tyrana mieszkańcy baśniowej krainy Empis, do której trafia, potrzebują pomocy. Charlie na początku odrzuca rolę ich zbawcy. Ale w świecie, w którym czas płynie zupełnie inaczej, gdzie świecą dwa księżyce, gigantyczne świerszcze przenoszą wiadomości, a pies może znów stać się młody, jeśli postawi się go na zegarze słonecznym, wszystko jest możliwe. Nawet to, że chłopiec stanie się mężczyzną i postanowi chronić lud Empis nie tylko przed ich okrutnym władcą, ale też przed największym zagrożeniem – płynącym ze strony naszego świata.

STEPHEN KING

Wybitny amerykański pisarz, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book, a w 2015 r. odebrał z rąk prezydenta USA National Medal of Arts. Światową sławę przyniosła mu powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, opowiadania i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki jak: **Lśnienie**, **Sklepik z marzeniami**, **Bastion**, **Zielona Mila**, **Dolores Claiborne**, **Komórka**, **Uciekinier**, **Czarna bezgwiezdna noc**, **Cujo** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**, na podstawie którego powstał film z Matthew McConaugheyem i Idrisem Elbą w rolach głównych. W 2017 r. swoją premierę miała pierwsza część ekranizacji jednej z kultowych książek Kinga, **To.** Druga część tego świetnie ocenianego filmu weszła na ekrany kin we wrześniu 2019 r.

Stephen King nieustannie szuka nowych literackich wyzwań. Do jego dorobku obejmującego powieści z gatunku horroru i fantastyki dołączyły kryminały z trylogii z detektywem Billem Hodgesem, do której należą książki: **Pan Mercedes**, **Znalezione nie kradzione** i **Koniec warty**.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

**stephenkinguniwersum.com**
**stephenking.com**
**stephenking.pl**

*Tego autora w Wydawnictwie Albatros*

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MILA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZTERY PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIER
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA
ROK WILKOŁAKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA
TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA

UNIESIENIE
INSTYTUT
PÓŹNIEJ
BAŚNIOWA OPOWIEŚĆ

Stephen King, Richard Chizmar
PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

***Trylogia PAN MERCEDES***
PAN MERCEDES
ZNALEZIONE NIE KRADZIONE
KONIEC WARTY

***MROCZNA WIEŻA***
ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROCZNA WIEŻA

***Powieści graficzne MROCZNA WIEŻA***
NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY
SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL
PRZYDROŻNY ZAJAZD

CZŁOWIEK W CZERNI

***Wyłącznie jako audiobook i e-book***

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O'Nan
TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:
FAIRY TALE

Copyright © Stephen King 2022
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022
Polish translation copyright © Janusz Ochab 2022

Redakcja: Joanna Kumaszewska
Projekt graficzny okładki oryginalnej: © Will Staehle
Opracowanie graficzne okładki polskiej: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

ISBN 978-83-6742-694-7

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,

kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI
Katarzyna Rek
woblink
woblink.com

# SPIS TREŚCI:

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Spis treści:
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Epilog
Podziękowania

*Z myślą o REH, ERB i oczywiście HPL*

*Niech sumienie zawsze będzie twoim przewodnikiem.*

Błękitna Wróżka

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Przeklęty most. Cud. Wycie.

### 1

Jestem pewien, że potrafię opowiedzieć tę historię. I jestem również pewien, że nikt w nią nie uwierzy. W porządku, nie przeszkadza mi to. Wystarczy, że ją opowiem. Mój problem – na pewno ma go też wielu innych pisarzy, nie tylko tacy nowicjusze jak ja – polega na tym, że nie wiem, od czego zacząć.

Najpierw pomyślałem o szopie, bo tam zaczęły się wszystkie moje przygody, ale potem zrozumiałem, że wcześniej musiałbym opowiedzieć o panu Bowditchu i o tym, jak się zaprzyjaźniliśmy. Tyle że nie doszłoby do tego, gdyby nie cud, który uratował mojego ojca. Można powiedzieć, że to bardzo zwyczajny cud, który od 1935 roku przydarzył się już wielu tysiącom innych mężczyzn i kobiet, ale dziecku wydawał się czymś naprawdę wyjątkowym.

Tylko że to też nie będzie dobry początek, bo mój tata chyba nie potrzebowałby cudu, gdyby nie ten przeklęty most. Więc właśnie od niego będę musiał zacząć, od tego przeklętego mostu przy ulicy Jaworowej.

Teraz, kiedy o tym myślę, widzę wyraźnie nić prowadzącą przez wszystkie te lata do pana Bowditcha i zamkniętej na kłódkę szopy za jego starym wiktoriańskim domem.

Ale nić może się łatwo zerwać. Więc nie nić, lecz łańcuch. Bardzo mocny. A ja byłem dzieciakiem przykutym do tego łańcucha.

# 2

Rzeka Little Rumple płynie przez północny kraniec miasteczka Sentry's Rest (nazywanego przez miejscowych po prostu Sentry) i aż do roku 1996, kiedy się urodziłem, jej brzegi łączył drewniany most. Właśnie wtedy inspektorzy stanowi z Wydziału Transportu Drogowego przyjrzeli mu się uważnie i stwierdzili, że jest niebezpieczny. Mój ojciec mówił, że ludzie z naszej części Sentry wiedzieli o tym od 1982 roku. Most teoretycznie miał nośność czterech i pół tony, ale miejscowi z wyładowanymi pick-upami zwykle go unikali, korzystając z płatnego objazdu, co było irytujące i czasochłonne. Tata mówił, że nawet w samochodzie osobowym czuło się, jak deski drżą, trzęsą się i dudnią pod kołami. Most był niebezpieczny, inspektorzy stanowi mieli rację, ale na tym właśnie polega ironia losu: gdyby starej drewnianej przeprawy nie wymieniono na nową, wykonaną ze stali, moja mama być może wciąż by żyła.

Little Rumple naprawdę jest mała, więc budowa nowego mostu nie trwała długo. Rozebrano drewnianą konstrukcję, a w kwietniu 1997 oddano do użytku nową.

– Burmistrz przeciął wstęgę, ojciec Coughlin pobłogosławił to cholerstwo i na tym cała uroczystość otwarcia się skończyła – powiedział ojciec pewnego wieczoru. Był wtedy mocno pijany. – Dla nas to raczej nie było błogosławieństwo, co, Charlie?

Oficjalnie nazwano most imieniem Franka Ellswortha, lokalnego bohatera, który zginął w Wietnamie, lecz miejscowi nazywali go „mostem przy Jaworowej”. Ulica Jaworowa była pokryta gładkim asfaltem i miała po obu stronach chodniki, ale nawierzchnia mostu – o długości czterdziestu pięciu metrów – była wykonana z metalowej kraty, która szumiała głośno pod kołami samochodów osobowych i huczała, gdy przejeżdżały po niej ciężarówki, a mogły to teraz robić, bo most miał nośność dwudziestu siedmiu ton. Za mało dla wielkich ciężarówek z naczepami, ale takie pojazdy i tak nigdy nie zapuszczały się na ulicę Jaworową.

Co roku rada miejska dyskutowała o tym, że most należy wyasfaltować i dodać przynajmniej jeden chodnik, ale co roku okazywało się też, że są inne, pilniejsze inwestycje. Nie wiem, czy chodnik uratowałby moją matkę, ale być może zwykła nawierzchnia zapobiegłaby tragedii. Nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

Ten przeklęty most.

## 3

Mieszkaliśmy przy ulicy Jaworowej, na zboczu Jaworowego Wzgórza, niecałe pół kilometra od mostu. Po drugiej stronie rzeki znajdowała się stacja paliw z małym sklepem o nazwie Zip Mart. Sprzedawano tam to, co

zwykle sprzedaje się przy stacjach benzynowych, czyli wszystko: od oleju silnikowego, przez pieczywo tostowe Wonder Bread, po ciasteczka Little Debbie, ale także smażone w głębokim tłuszczu kurczaki przygotowywane przez właściciela, pana Eliadesa (którego wszyscy nazywali panem Zippym). Kurczaki były dokładnie takie, jak głosił napis w oknie: NAJLEPSZE W OKOLICY. Wciąż pamiętam ich cudowny smak, ale po śmierci mamy nie zjadłem już ani kawałka. Zakrztusiłbym się, gdybym spróbował.

Pewnej soboty w listopadzie 2003 roku – rada miejska po raz kolejny obradowała nad wyasfaltowaniem mostu i po raz kolejny uznała, że można z tym poczekać – mama powiedziała, że pójdzie do Zippy'ego i kupi nam kurczaka na kolację. Ja oglądałem z tatą mecz futbolowy ligi uniwersyteckiej.

– Powinnaś pojechać samochodem – poradził jej tata. – Będzie padać.

– Muszę się trochę poruszać – odparła. – Ale włożę płaszcz przeciwdeszczowy, wiesz, ten jak z Czerwonego Kapturka.

I ten właśnie płaszcz miała na sobie, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Nie założyła na głowę kaptura, bo jeszcze nie padało, więc włosy opadały jej na ramiona. Miałem wtedy siedem lat i uważałem, że moja mama ma najpiękniejsze rude włosy na świecie. Zobaczyła, że patrzę na nią przez okno, i pomachała mi. Odmachałem i wróciłem do oglądania meczu, bo drużyna LSU właśnie wyprowadzała atak. Szkoda, że nie patrzyłem trochę dłużej, ale nie mam do siebie pretensji. Człowiek nigdy nie wie, kiedy życie szykuje mu jakąś paskudną niespodziankę, prawda?

To nie była moja wina ani wina taty, choć wiem, że się obwiniał; „Gdybym tylko ruszył wtedy swoje ciężkie dupsko i zawiózł ją do tego pieprzonego sklepu", wyrzucał sobie. Prawdopodobnie nie była to też wina tego hydraulika w furgonetce. Gliniarze powiedzieli, że był trzeźwy, a on

przysięgał, że nie jechał szybciej, niż pozwalały przepisy, czyli czterdzieści kilometrów na godzinę w obszarze zabudowanym. Tata mówił, że nawet jeśli to prawda, facet musiał oderwać wzrok od drogi, choćby na kilka sekund. Pewnie miał rację. Był rzeczoznawcą ubezpieczeniowym i kiedyś powiedział mi, że jedyny znany mu wypadek, w którym naprawdę nikt nie był winny, zdarzył się w Arizonie, gdy facet zginął od uderzenia meteorytu.

– To zawsze wynika z czyjegoś błędu – twierdził tata. – Co nie jest równoznaczne z winą.

– Obwiniasz tego faceta, który zabił mamę? – spytałem.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem podniósł do ust szklankę i upił łyk. To było jakieś sześć, może osiem miesięcy po śmierci mamy, kiedy już praktycznie zrezygnował z piwa. Wtedy pił tylko gin Gilbey’s.

– Staram się tak nie myśleć. I zwykle mi się udaje, dopóki nie obudzę się o drugiej w nocy całkiem sam, w pustym łóżku. Wtedy go obwiniam.

## 4

Mama zeszła ze wzgórza. W miejscu, gdzie kończył się chodnik, stał znak. Minęła go i przeszła przez most. Robiło się już ciemno i zaczynało mżyć. Weszła do sklepu i Irina Eliades (znana oczywiście jako pani Zippy) powiedziała jej, że następna porcja kurczaka będzie gotowa za trzy minuty, najwyżej pięć. Gdzieś przy ulicy Sosnowej, niedaleko naszego domu, hydraulik skończył ostatnią naprawę tej soboty i wkładał do furgonetki skrzynkę z narzędziami.

Po chwili kurczak był już gotowy, gorący, chrupiący i złocisty. Pani Zippy podzieliła go na osiem kawałków i zapakowała do pudełka; na drogę dała mamie gratis skrzydełko. Mama podziękowała, zapłaciła i przystanęła jeszcze na chwilę obok stojaka z czasopismami. Gdyby tego nie zrobiła, być może udałoby jej się przejść przez cały most, kto wie? Furgonetka hydraulika pewnie skręcała już wtedy w ulicę Jaworową i zaczynała zjeżdżać ze wzgórza półtora kilometra od mostu, podczas gdy mama przeglądała najnowszy numer „People”.

Odłożyła gazetę na miejsce, otworzyła drzwi i rzuciła przez ramię do pani Zippy:

– Dobrej nocy.

Być może krzyknęła, gdy zrozumiała, że furgonetka w nią uderzy – Bóg jeden wie, co wtedy myślała, ale to były ostatnie słowa, jakie wypowiedziała na tym świecie. Wyszła. Mżawka zamieniła się już w zimny rzęsisty deszcz, srebrzyste smugi kropel widoczne w świetle jedynej latarni po tej stronie rzeki.

Pogryzając skrzydełko kurczaka, mama weszła na stalową powierzchnię mostu. Blask reflektorów wydobył z mroku jej postać, za którą pojawił się wydłużony cień. Hydraulik minął ustawioną po drugiej stronie tablicę z napisem: OBLODZENIE POWIERZCHNI MOSTU! JEDŹ OSTROŻNIE! Czy patrzył wtedy w lusterko wsteczne? Może sprawdzał wiadomości w telefonie? Twierdził, że nie, ale kiedy myślę o tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru, zawsze przypominam sobie słowa taty o człowieku zabitym przez meteoryt – jedynym znanym mu wypadku, w którym nikt nie zawinił.

Miejsca nie brakowało: stalowy most był znacznie szerszy od swojego drewnianego poprzednika. Problem stanowiła metalowa kratownica. Hydraulik zobaczył moją mamę, gdy był w połowie mostu, i nacisnął

hamulec; nie dlatego, że jechał za szybko (a przynajmniej tak utrzymywał), tylko odruchowo. Stalowa powierzchnia zaczęła obmarzać i furgonetka wpadła w poślizg, obróciła się i zaczęła sunąć bokiem. Mama przywarła do poręczy mostu, wypuszczając z dłoni skrzydełko kurczaka. Samochód sunął dalej, uderzył w nią i zaczął się przesuwać wzdłuż poręczy; obracał przy tym moją mamą jak dziecięcym bączkiem. Nie chcę nawet myśleć o tym, jakie części jej ciała oderwały się podczas tego śmiertelnego tańca, ale czasem nie potrafię tego powstrzymać. Wiem tylko tyle, że w końcu przód samochodu wbił ją w słup po drugiej stronie mostu. Część mamy wpadła do rzeki. Większość została na moście.

Noszę w portfelu nasze zdjęcie. Miałem jakieś trzy lata, kiedy je zrobiono. Mama opiera mnie o biodro. Ja trzymam jedną dłoń w jej włosach. Miała piękne włosy.

## 5

Boże Narodzenie tego roku było do dupy. Sami chyba rozumiecie.

Pamiętam stypę. Odbywała się w naszym domu. Ojciec witał gości i odbierał kondolencje, a potem zniknął. Spytałem jego brata, gdzie się podział.

– Musiał się położyć – odpowiedział wuj Bob. – Był naprawdę zmęczony, Charlie. Może pójdziesz się pobawić na dworze?

Nigdy w życiu nie miałem mniejszej ochoty na zabawę, ale poszedłem. Minąłem grupkę dorosłych, którzy wyszli na zewnątrz, by zapalić,

i usłyszałem, jak jeden z nich mówił: „Biedak, pijany jak bela”. Nawet wtedy, pogrążony w rozpaczy po śmierci mamy, wiedziałem, o kim mówili.

Nim umarła, ojciec „pijał rozsądnie”, że tak to ujmę. Byłem wtedy jeszcze małym dzieckiem, więc możecie to uznać za niedomówienie, ale tego właśnie będę się trzymał. Nigdy nie słyszałem, by bełkotał, nigdy się nie zataczał, nie chodził do barów, nigdy też nie tknął mnie ani mamy. Wracał do domu ze swoją aktówką, a mama częstowała go drinkiem, zwykle martini. Ona też piła jednego. Wieczorem, gdy oglądaliśmy telewizję, wypijali czasem piwo albo dwa. I na tym koniec.

Wszystko zmieniło się po tym przeklętym moście. Ojciec był pijany po pogrzebie („jak bela”), był pijany w Boże Narodzenie, upił się też w sylwestra (nazywanego przez ludzi takich jak on „nocą amatorów”, o czym dowiedziałem się znacznie później). Przez długie tygodnie i miesiące po śmierci mamy przez większość czasu był pijany. Zwykle w domu. Wciąż nie chodził wieczorami do barów („Zbyt wielu dupków takich jak ja”, powiedział kiedyś) i nie robił mi krzywdy, jego picie wymknęło się jednak spod kontroli. Teraz to wiem; wtedy to po prostu akceptowałem. Dzieciaki tak robią. I psy.

Coraz częściej sam robiłem sobie śniadanie, najpierw raz czy dwa w tygodniu, potem cztery, wreszcie praktycznie codziennie. Jadłem w kuchni płatki Alpha-Bits albo Apple Jacks i słyszałem jego dochodzące z sypialni chrapanie – głośne i zgrzytliwe niczym warkot motorówki. Czasami zapominał się ogolić przed wyjściem do pracy. Po kolacji (coraz częściej były to dania na wynos) chowałem kluczyki do samochodu. Jeśli chciał kolejną butelkę, mógł przejść się po nią do Zippy’ego. Czasami martwiłem się, że wpadnie pod samochód na tym przeklętym moście, ale nie za bardzo. Byłem pewien (a przynajmniej dość pewien), że to niemożliwe, by oboje moi rodzice zginęli w tym samym miejscu. Tata

pracował w ubezpieczeniach, wiedziałem więc, że tabele aktuarialne bazują na rachunku prawdopodobieństwa.

Tata był dobry w swoim fachu i mimo picia jakoś sobie radził przez ponad trzy lata. Czy dostawał w pracy jakieś ostrzeżenia? Nie wiem, ale pewnie tak. Czy zatrzymano go kiedyś, bo jeździł zygzakiem, gdy zaczął pić już po południu? Jeśli tak, to być może skończyło się tylko na ostrzeżeniu. Właściwie to więcej niż „być może”, bo znał wszystkich gliniarzy w mieście. Kontakty z policją były częścią jego pracy.

Przez te trzy lata nasze życie miało określony rytm. Nie był to może dobry rytm, nie taki, do którego chciałoby się tańczyć, ale dawał jakieś oparcie. Wracałem ze szkoły mniej więcej o trzeciej. Ojciec przychodził koło piątej, już po kilku drinkach, którymi zionął na odległość (nie chodził do barów wieczorami, ale później dowiedziałem się, że był stałym bywalcem tawerny Duffy’ego, do której wstępował po drodze z biura do domu. Przynosił pizzę, tacos albo chińskie dania z Joy Fun. Czasami o tym zapominał i wtedy zamawialiśmy jedzenie do domu… a raczej ja zamawiałem. Po kolacji zaczynało się właściwe picie. Głównie gin. Inne rzeczy, jeśli gin się skończył. Czasami ojciec zasypiał przed telewizorem, czasami wtaczał się do swojej sypialni, zostawiając porzucone w nieładzie buty i zmięty garnitur, który odkładałem za niego na miejsce. Co jakiś czas nocami budził mnie jego płacz. To okropne usłyszeć coś takiego w środku nocy.

Załamanie przyszło w 2006 roku. Trwały wakacje. O dziesiątej miałem mecz dziecięcej ligi baseballowej, Shrimp League; zaliczyłem dwa home runy i świetny przechwyt. Wróciłem do domu tuż po południu i zastałem tatę siedzącego w jego fotelu i wpatrującego się w telewizor, w którym leciał jakiś stary film, a przebrzmiałe gwiazdy kina toczyły pojedynek na schodach zamku. Miał na sobie tylko slipy i popijał jakiś biały napój –

czysty gin Gilbey’s, sądząc po zapachu. Spytałem go, co robi w domu o tej porze.

Wciąż wpatrzony w ekran telewizora, wybełkotał:

– Wygląda na to, że straciłem pracę, Charlie. Albo, jeśli wolno mi zacytować Bobcata Goldthwaita, przekazałem ją komuś, kto wykonuje ją teraz za mnie. Albo wkrótce będzie wykonywał.

Wydawało mi się, że nie wiem, co odpowiedzieć, ale słowa same wypłynęły z moich ust:

– Przez twoje picie – rzuciłem.

– Skończę z tym – odparł.

Wskazałem tylko na jego szklankę. Poszedłem do swojego pokoju, zatrzasnąłem drzwi i zacząłem płakać.

Zapukał do mnie.

– Mogę wejść?

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem, żeby widział, jak się mażę.

– Daj spokój, Charlie. Wylałem to do zlewu.

Jakbym nie wiedział, że na kuchennym blacie stoi butelka z resztą ginu. A w barku jeszcze jedna. Albo dwie. A może trzy.

– No już, Charlie, czo na to powiesz?

„Czo”. Nienawidziłem tego bełkotu.

– Wal się, tata.

Nigdy wcześniej nie mówiłem do niego takich rzeczy i w pewnym sensie chciałem, żeby do mnie wszedł i mnie uderzył. Albo przytulił. Cokolwiek. Usłyszałem jednak, jak wlecze się do kuchni, gdzie czekała na niego butelka ginu.

Kiedy w końcu wyszedłem ze swojego pokoju, spał na kanapie. Telewizor wciąż był włączony, ale ojciec go wyciszył. Leciał jakiś inny

czarno-biały film, stare samochody ścigały się w scenerii, w której na pierwszy rzut oka można było rozpoznać plan filmowy. Tata zawsze oglądał TCM, gdy pił, chyba że byłem w domu i chciałem obejrzeć coś innego. Butelka stała na stoliku, prawie pusta. Wylałem resztkę ginu do zlewu. Otworzyłem barek i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie opróżnić wszystkich innych butelek, ale od samego patrzenia na gin, whiskey, wódkę i kawową brandy poczułem się okropnie zmęczony. Trudno uwierzyć, że dziesięciolatek może czuć tego rodzaju zmęczenie, ale tak właśnie było.

Włożyłem do mikrofalówki mrożonkę firmy Stouffer – Zapiekankę Drobiową Babuni, naszą ulubioną – i kiedy danie się podgrzewało, zbudziłem tatę. Usiadł prosto, rozejrzał się nieprzytomnie, jakby nie wiedział, gdzie jest, a potem zaczął wydawać z siebie okropne gardłowe dźwięki, jakich nigdy wcześniej nie słyszałem. Zakrywając usta dłonią, przeszedł chwiejnym krokiem do łazienki, a zaraz potem usłyszałem, jak wymiotuje. Wydawało się, że nigdy nie przestanie, ale w końcu ucichł. Zadźwięczał dzwonek mikrofalówki. Wyjąłem zapiekankę, używając rękawic kuchennych z napisem MIŁEGO GOTOWANIA na lewej i SMACZNEGO na prawej; jeśli choć raz zapomnisz je włożyć przed wyjęciem z mikrofalówki czegoś gorącego, potem już zawsze będziesz o tym pamiętał. Nałożyłem jedzenie na talerze i przeszedłem do salonu, gdzie tata siedział na kanapie, z opuszczoną głową i dłońmi splecionymi na karku.

– Możesz jeść? – spytałem.

Podniósł na mnie wzrok.

– Może. Jeśli przyniesiesz mi aspirynę.

Łazienka śmierdziała ginem i czymś jeszcze, może dipem fasolowym, ale przynajmniej trafił z tym wszystkim do sedesu i spuścił wodę. Rozpyliłem trochę odświeżacza powietrza, a potem przyniosłem ojcu

buteleczkę z aspiryną i szklankę wody. Zażył trzy tabletki i odstawił szklankę tam, gdzie wcześniej stała butelka Gilbey’s. Potem spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakiego nie widziałem u niego nigdy wcześniej, nawet po śmierci mamy. Przykro mi to mówić, ale powiem, bo tak właśnie wtedy pomyślałem: to był wzrok psa, który zesrał się na podłogę.

– Mógłbym coś zjeść, gdybyś mnie przytulił.

Przytuliłem go i powiedziałem, że żałuję tego, co mówiłem wcześniej.

– Nie ma sprawy. Pewnie sobie zasłużyłem.

Przeszliśmy do kuchni i zjedliśmy tyle Zapiekanki Drobiowej Babuni, ile byliśmy w stanie, czyli niezbyt wiele. Kiedy mył talerze, powiedział, że przestanie pić, i w ten weekend rzeczywiście nie pił. Mówił też, że w poniedziałek zacznie szukać pracy, ale nie zrobił tego. Został w domu, oglądał stare filmy na TCM, a kiedy wróciłem do domu po treningu baseballu i lekcji pływania, był już mocno zaprawiony.

Zauważył, że na niego patrzę, i pokręcił głową.

– Jutro. Jutro na sto procent, obiecuję.

– Gówno prawda – rzuciłem i poszedłem do swojego pokoju.

# 6

To było najgorsze lato mojego dzieciństwa. „Gorsze od tego po śmierci matki?”, moglibyście spytać, a ja odpowiedziałbym, że owszem, bo ojciec był jedynym rodzicem, jaki mi został, a w dodatku wszystko działo się wtedy jakby w zwolnionym tempie.

Rzeczywiście próbował – bez większego przekonania – znaleźć pracę w branży ubezpieczeniowej, ale nic nie wskórał, nawet jeśli przed rozmowami kwalifikacyjnymi starannie się golił, kąpał i ubierał. Cóż, plotki szybko się rozchodzą.

Dostawaliśmy kolejne rachunki, na stole w przedpokoju rosła sterta kopert, do których nikt nie zaglądał. A przynajmniej nie on. To ja w końcu je otworzyłem, gdy sterta była już zbyt wysoka. Podsunąłem mu plik rachunków, a on wypisał czeki, które miały pokryć zaległości. Nie wiedziałem, kiedy te czeki zaczną do nas wracać z adnotacją BRAK ŚRODKÓW, i nie chciałem wiedzieć. Czułem się tak, jakbym stał na moście i wyobrażał sobie, jak sunie na mnie ciężarówka, która wpadła w poślizg. Jakbym się zastanawiał, o czym człowiek myśli tuż przed tym, zanim ta ciężarówka rozgniecie go na miazgę.

Dostał pracę na pół etatu w myjni samochodowej Jiffy Car Wash przy wjeździe na drogę ekspresową. Wytrzymał tam tydzień, potem albo sam zrezygnował, albo go wylali. Nie powiedział mi, a ja nie pytałem.

Dostałem się do drużyny gwiazd dziecięcej ligi baseballu, ale przegraliśmy dwa mecze i odpadliśmy z dalszych rozgrywek. Podczas sezonu zasadniczego zaliczyłem szesnaście home runów i byłem najlepszym pałkarzem drużyny Star Market, ale w ciągu tych dwóch meczów siedmiokrotnie nie trafiłem w piłkę; raz wbiłem ją w piach, a raz dostałem ją tak wysoko, że potrzebowałbym windy, by jej dosięgnąć. Trener spytał, co się ze mną dzieje, a ja odpowiedziałem, że nic, naprawdę nic, dajcie mi spokój. Robiłem wtedy różne głupie rzeczy – niektóre z przyjaciółmi, inne całkiem sam.

I nie sypiałem dobrze. Nie miałem koszmarów jak zaraz po śmierci mamy. Po prostu nie mogłem zasnąć co najmniej do północy albo pierwszej. Zacząłem odwracać budzik, żebym nie musiał patrzeć na cyfry.

Nie powiem, żebym nienawidził ojca (choć pewnie z czasem tak by się stało), ale czułem wobec niego pogardę. Mięczak, mięczak, myślałem, leżąc w łóżku i słuchając jego chrapania. I oczywiście zastanawiałem się, co się z nami stanie. Samochód był spłacony – na szczęście – ale dom nie, a wysokość rat mnie przerażała. Ile jeszcze czasu minie, nim nie będziemy w stanie regularnie ich spłacać? Ta chwila musiała wcześniej czy później nadejść, bo kredyt był rozłożony jeszcze na dziewięć lat, a z pewnością nie mieliśmy dość oszczędności, by spłacać go tak długo.

Będziemy bezdomni, myślałem. Bank zabierze dom, jak w *Gronach gniewu*, a my staniemy się bezdomni.

Widywałem bezdomnych w centrum miasta, było ich tam mnóstwo, i kiedy nie mogłem zasnąć, przypominałem sobie o nich. Dużo myślałem o tych miejskich włóczęgach. Nosili stare ubrania, które zwisały z ich wychudzonych ciał albo opinały te korpulentne. Buty sklejone srebrną taśmą. Okulary z powyginanymi oprawkami. Długie włosy. Mieli oszalałe oczy. Śmierdzieli alkoholem. Myślałem o tym, jak będziemy spać w naszym samochodzie przy starych stacjach rozrządowych albo na parkingu Walmartu, między kamperami. Wyobrażałem sobie, jak ojciec pcha wózek sklepowy wypełniony wszystkim, co nam zostało. Zawsze widziałem w tym wózku mój budzik. Nie wiem, dlaczego mnie to przerażało, ale tak właśnie było.

Wkrótce musiałem wrócić do szkoły, bez względu na to, co stanie się z naszym domem. Przypuszczałem, że niektóre dzieciaki z naszej drużyny zaczną mnie przezywać Charlie Patałach. Co i tak byłoby lepsze niż Charlie Syn Pijusa, ale ile jeszcze minie czasu, nim pojawi się i ta druga wersja? Ludzie z naszej ulicy wiedzieli, że George Reade nie chodzi już do pracy, i niemal z pewnością wiedzieli też dlaczego. Nawet nie próbowałem się oszukiwać, że jest inaczej.

Nigdy nie chodziliśmy do kościoła, nie byliśmy pobożni w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Kiedyś spytałem mamę, dlaczego nie chodzimy na msze – czy to dlatego, że nie wierzy w Boga? Odparła, że wierzy, ale nie potrzebuje pomocy pastora (albo księdza, albo rabina), żeby jej mówił, jak ma to robić. Twierdziła, że wystarczy, jeśli otworzy oczy i rozejrzy się dokoła. Tata mówił, że wychował się w rodzinie baptystów, ale przestał praktykować, gdy jego Kościół zaczął się interesować bardziej polityką niż Kazaniem na Górze.

Ale pewnego wieczoru, jakiś tydzień przed powrotem do szkoły, przyszło mi nagle do głowy, żeby się pomodlić. Ten impuls był tak silny, że właściwie stał się przymusem. Ukląkłem obok łóżka, złożyłem dłonie, zacisnąłem mocno powieki i modliłem się, by ojciec przestał pić.

– Jeśli to dla mnie zrobisz, kimkolwiek jesteś, ja zrobię coś dla ciebie – powiedziałem. – Obiecuję i prędzej umrę, niż nie dotrzymam tej obietnicy. Pokaż mi tylko, czego chcesz, a ja to zrobię. Przysięgam.

Potem wróciłem do łóżka i przynajmniej tej nocy spałem spokojnie do samego rana.

# 7

Nim ojca zwolniono, pracował dla Overland National Insurance. To była naprawdę duża firma. Pewnie widzieliście jej reklamy, te z Billem i Jill, gadającymi wielbłądami. Naprawdę śmieszne. Tata mawiał czasami:

– Wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe używają zabawnych reklam, żeby przyciągnąć uwagę, ale kiedy ubezpieczony składa wniosek

o odszkodowanie, robi się całkiem poważnie. Właśnie wtedy ja wkraczam do akcji. Jestem rzeczoznawcą, co oznacza… choć nikt nie mówi o tym głośno… że powinienem obniżyć wysokość odszkodowania. Czasami to robię, ale cały sekret polega na tym, że na początku zawsze stoję po stronie wnioskodawcy. Chyba że znajdę powód, by tego nie robić.

Główna siedziba Overlandu na Środkowym Zachodzie znajduje się na obrzeżach Chicago, przy ulicy, którą nazywał Aleją Ubezpieczeniową. Kiedy jeszcze dojeżdżał do pracy, podróż z Sentry zajmowała mu czterdzieści minut, maksymalnie godzinę, jeśli stał w korkach. To biuro zatrudniało co najmniej stu rzeczoznawców. Pewnego wrześniowego dnia 2008 roku jeden z agentów, który kiedyś pracował z moim ojcem, wpadł do niego w odwiedziny. Nazywał się Lindsey Franklin. Tata mówił o nim po prostu Lindy. Przyjechał późnym popołudniem, kiedy siedziałem przy stole w kuchni i odrabiałem lekcje.

Tamten dzień zaczął się wyjątkowo paskudnie. W domu wciąż unosił się lekki zapach spalenizny, choć rozpyliłem wszędzie odświeżacz. Rano tata postanowił zrobić omlety na śniadanie. Bóg jeden wie, dlaczego wstał o szóstej i dlaczego uznał, że potrzebuję omleta, ale zabrał się do smażenia, a potem wyszedł z kuchni, żeby skorzystać z toalety albo włączyć telewizor, i całkiem zapomniał o tym, co zostawił na kuchence. Na pewno ciągle był jeszcze trochę wstawiony po wieczornym piciu. Obudzony piskiem czujnika dymu, pobiegłem do kuchni w samych majtkach i zobaczyłem chmurę dymu. Coś, co leżało na patelni, wyglądało jak spalone drewno.

Zeskrobałem to i wyrzuciłem do kosza, a potem zjadłem płatki Apple Jacks. Tata wciąż miał na sobie fartuch, w którym wyglądał wyjątkowo głupio. Kiedy próbował mnie przepraszać, wymamrotałem coś w odpowiedzi, byle tylko się zamknął. Z tych tygodni i miesięcy

zapamiętałem przede wszystkim to, że ciągle próbował przepraszać, co doprowadzało mnie do szaleństwa.

Ale był to również wyjątkowo dobry dzień, jeden z najlepszych, dzięki temu, co stało się po południu. Pewnie znacie to o wiele lepiej ode mnie, ale i tak wam opowiem, bo nigdy nie przestałem kochać taty, nawet gdy go nie lubiłem, a ta część opowieści jest dla mnie naprawdę wyjątkowo miła.

Lindy Franklin pracował dla Overlandu. Był również trzeźwiejącym alkoholikiem. Nie należał do grona bliskich znajomych ojca, pewnie dlatego, że po pracy nigdy nie zachodził do tawerny Duffy'ego wraz z innymi rzeczoznawcami. Wiedział jednak, że mój tata stracił pracę, i postanowił coś z tym zrobić. A przynajmniej spróbować. Złożył więc wizytę, która – jak się później dowiedziałem – stanowi treść Dwunastego Kroku. Miał kilka umówionych spotkań w naszym miasteczku, a kiedy już wszystko załatwił, postanowił pod wpływem chwili do nas wpaść. Później mówił, że omal się nie rozmyślił, bo nie miał wsparcia (trzeźwiejący alkoholicy wykonują Dwunasty Krok z partnerem, trochę jak mormoni), ale machnął na to ręką i wyszukał nasz adres w telefonie. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby tego nie zrobił. Nie znalazłbym się nigdy we wnętrzu szopy pana Bowditcha, to pewne.

Pan Franklin, starannie ostrzyżony, był w garniturze i pod krawatem. Tata – nieogolony, bosy, w koszuli wyciągniętej ze spodni – przedstawił nas sobie. Pan Franklin uścisnął moją dłoń, powiedział, że bardzo mu miło mnie poznać, a potem spytał, czy zechciałbym wyjść na zewnątrz, żeby mógł porozmawiać z moim ojcem. Oczywiście nie miałem nic przeciwko, ale okna wciąż były otwarte po śniadaniowej katastrofie, więc słyszałem całkiem sporo z tego, co mówił. Dwie rzeczy szczególnie mocno zapadły mi w pamięć. Tata skarżył się, że pije, bo wciąż okropnie mu brak Janey.

– Jasne, gdyby gorzała mogła ci ją przywrócić, wcale bym się nie dziwił – powiedział na to pan Franklin. – Ale nie przywróci, a jak by się czuła Janey, gdyby zobaczyła, jak teraz żyjecie, ty i twój syn?

Drugie zdanie, które dobrze zapamiętałem, brzmiało:

– Czy nie jesteś już zmęczony i przygnębiony tym, że jesteś zmęczony i przygnębiony?

Wtedy tata zaczął płakać. Zwykle nie cierpiałem, kiedy to robił (mięczak, mięczak), ale tym razem pomyślałem, że być może ten płacz jest inny.

## 8

Wiedzieliście, że do tego dojdzie, i prawdopodobnie równie dobrze znacie całą resztę tej historii. Na pewno ją znacie, jeśli sami trzeźwiejecie albo znacie kogoś, kto trzeźwieje. Tamtego wieczoru Lindy Franklin zabrał tatę na spotkanie AA. Kiedy wrócili, zadzwonił do żony i powiedział, że zostaje na noc u przyjaciela. Spał na rozkładanej kanapie, a następnego dnia zabrał tatę na spotkanie AA o siódmej rano, nazywane Trzeźwym Porankiem. Od tamtej pory mój ojciec regularnie uczęszczał na te spotkania i po pierwszym roku trzeźwości dostał medal AA. Nie poszedłem wtedy do szkoły, żeby mu wręczyć ten medal, i tym razem to ja trochę się pobeczałem. Nikomu to nie przeszkadzało: na tych spotkaniach ludzie często się mażą. Potem tata mocno mnie uściskał, Lindy też. W tym czasie mówiłem mu już po imieniu, bo często u nas bywał. Był sponsorem mojego ojca w programie AA.

To był właśnie cud. Teraz wiem sporo o AA i wiem też, że spotyka to mężczyzn i kobiety na całym świecie, ale wtedy wydawało mi się to cudem. Tata nie dostał medalu równo rok po pierwszej wizycie Lindy'ego, bo zdarzyło mu się parę wpadek, ale przyznał się do nich, a ludzie z AA mówili to, co zawsze mówią w takich sytuacjach – wracaj, walcz dalej; i tak też robił. A ostatnie potknięcie – jedno piwo z sześciopaku, który wylał do zlewu – przydarzyło mu się tuż przed Halloween w 2009 roku. Kiedy Lindy przemawiał na pierwszej rocznicy taty, powiedział, że wiele osób ma dostęp do programu, ale niewiele go rozumie i realizuje. I dodał, że mój ojciec jest jednym z tych szczęściarzy. Może tak rzeczywiście było, może moja modlitwa przypadkiem zbiegła się w czasie z tą przemianą, ale postanowiłem uznać, że to nie był przypadek. W AA możesz wierzyć w to, co chcesz. Tak napisano w czymś, co trzeźwiejący alkoholicy nazywają Wielką Księgą.

Musiałem więc dotrzymać obietnicy.

# 9

Jedynymi spotkaniami AA, na które sam chodziłem, były rocznice taty, ale – jak już wspomniałem – Lindy często u nas bywał, więc poznałem większość powiedzonek, jakimi przerzucają się ludzie z AA. Podobało mi się „Nie da się odkwasić kiszonego ogórka" i „Jeden kieliszek to za dużo, sto za mało", ale tym, co szczególnie mocno mnie poruszyło i co pamiętam doskonale do dziś, były słowa, które padły z ust Lindy'ego podczas pewnej wieczornej rozmowy, gdy tata mówił o nieopłaconych rachunkach i o tym,

jak bardzo boi się utraty domu. Lindy przypomniał mu wtedy, że jego wytrzeźwienie było cudem. A potem dodał: „Ale cuda to nie czary”.

Pół roku po rzuceniu picia mój ojciec zgłosił się do pracy w Overlandzie i dzięki wsparciu Lindy’ego Franklina oraz kilku innych osób – między innymi byłego szefa, tego samego, który go zwolnił – wrócił na swoje dawne stanowisko. Był jednak na okresie próbnym i dobrze o tym wiedział, dlatego pracował dwa razy ciężej niż dawniej. Potem, jesienią 2011 roku (dwa lata trzeźwości), odbył z Lindym rozmowę, która trwała tak długo, że ten znów został na noc i spał na rozkładanej kanapie. Tata powiedział, że chce się uniezależnić, ale nie zrobi tego bez jego błogosławieństwa. Lindy upewnił się, że mój ojciec nie wróci do picia, jeśli jego nowy biznes padnie – co wydawało się całkiem możliwe, bo trzeźwienie to nie fizyka kwantowa – po czym poradził mu, by wziął byka za rogi i spróbował.

Tata posadził mnie przed sobą i wyjaśnił, na czym polegałaby jego praca na własny rachunek.

– No i co o tym myślisz? – spytał w końcu.

– Myślę, że powinieneś się pożegnać z tymi gadającymi wielbłądami – odparłem, co szczerze go ubawiło. Potem dodałem to, co musiałem dodać: – Ale jeśli znów zaczniesz pić, spieprzysz to.

Dwa tygodnie później złożył wypowiedzenie w Overlandzie, a w lutym 2012 roku wywiesił swój szyld przed maleńkim biurem przy ulicy Głównej: *George Reade. Niezależny śledczy i rzeczoznawca ubezpieczeniowy*.

Nie spędzał dużo czasu w tej dziupli; zwykle pracował w terenie, przemierzając okolicę. Rozmawiał z gliniarzami, z poręczycielami kaucji („Zawsze mają cenne wskazówki”, mawiał), ale najczęściej rozmawiał z prawnikami. Wielu z nich znało go z czasów, gdy pracował w Overlandzie, i wiedziało, że jest uczciwy. Dawali mu trudne zadania –

sprawy, w których duże firmy ubezpieczeniowe drastycznie zmniejszyły wielkość odszkodowań lub w ogóle odmawiały wypłaty. Pracował bardzo dużo. Zwykle wieczorami wracałem do pustego domu i sam robiłem sobie kolację. Nie przeszkadzało mi to. Początkowo, gdy tata w końcu wracał z pracy, przytulałem się do niego, by sprawdzić ukradkiem, czy jego oddech nie kryje w sobie znajomego zapachu ginu Gilbey's. Po jakimś czasie po prostu się przytulałem. I rzadko kiedy opuszczał spotkania Trzeźwy Poranek.

Czasami Lindy wpadał w niedzielę na lunch. Zwykle przywoził jedzenie i oglądaliśmy w telewizji mecze Bearsów albo White Soxów, jeśli akurat trwał sezon baseballowy. Podczas jednego z takich popołudni tata powiedział, że biznes z miesiąca na miesiąc idzie coraz lepiej.

– Byłoby jeszcze szybciej, gdybym częściej stawał po stronie ubezpieczonego w sprawach poślizgnięć i upadków, ale wiele z tych spraw śmierdzi na odległość.

– Wiem coś o tym. – Lindy pokiwał głową. – Mógłbyś na tym szybko zarobić, ale później odbijałoby ci się to czkawką.

Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego – byłem wtedy w trzeciej klasie szkoły średniej Hillview – ojciec powiedział, że będziemy musieli odbyć poważną rozmowę. Przygotowałem się wewnętrznie na wykład o piciu małoletnich albo dyskusję o paru głupotach, które robiłem z moim przyjacielem Bertiem Birdem w czasie, gdy pił (i parę razy później), ale okazało się, że chodzi o coś całkiem innego, a mianowicie o szkołę. Powiedział mi, że muszę się dobrze uczyć, jeśli chcę się dostać na przyzwoite studia. Naprawdę dobrze.

– Moja firma będzie działać. Na początku było kiepsko, musiałem poprosić brata o pożyczkę, ale już ją prawie spłaciłem i myślę, że niedługo stanę na nogach. Zleceń mam mnóstwo. Ale jeśli chodzi o studia… –

Pokręcił głową. – Chyba nie będę ci mógł pomóc, przynajmniej na początku. Mamy ogromne szczęście, że w ogóle jakoś dajemy sobie radę. Zdaję sobie sprawę, że wpakowaliśmy się w to przeze mnie, robię jednak wszystko, co mogę, żeby naprawić sytuację…

– Wiem.

– …ale będziesz musiał pomóc sobie sam. Musisz pracować. Musisz zdobyć jak najwięcej punktów na teście SAT, jeśli zechcesz go zdawać.

Zamierzałem zdawać ten egzamin w grudniu, lecz nie wspomniałem o tym. Nie chciałem wybijać taty z rytmu.

– Są wprawdzie pożyczki, ale na twoim miejscu skorzystałbym z nich tylko w ostateczności. Pożyczki studenckie potem długo zatruwają życie. Pomyśl raczej o stypendium. I dalej trenuj, to dobra droga do uzyskania stypendium, tylko że stopnie są najważniejsze. Stopnie, stopnie, stopnie. Nie mówię, że musisz być najlepszy, ale chciałbym cię widzieć w pierwszej dziesiątce. Rozumiesz?

– Tak, tata – odparłem, a on poklepał mnie po ramieniu.

## 10

Uczyłem się pilnie i zdobywałem dobre stopnie. Grałem w futbol jesienią i w baseball wiosną. W przedostatniej klasie występowałem w pierwszych drużynach w obu tych dyscyplinach. Trener Harkness chciał, żebym grał też w koszykówkę, ale odmówiłem. Powiedziałem, że potrzebuję co najmniej trzech miesięcy w roku, żeby zająć się innymi rzeczami. Trener odszedł ode

mnie, kręcąc głową nad smutnym obrazem młodzieży w tej zdegenerowanej epoce.

Chodziłem na imprezy. Całowałem się z dziewczynami. Zyskałem paru dobrych przyjaciół, w większości sportowców, ale nie tylko. Odkryłem kilka zespołów metalowych, które mi się podobały, i puszczałem głośno ich kawałki. Tata nigdy nie protestował, ale na Gwiazdkę kupił mi słuchawki. W mojej przyszłości kryły się straszliwe rzeczy – opowiem wam o nich potem – ale nie spełniła się żadna z tych straszliwych rzeczy, które wyobrażałem sobie wcześniej, gdy nie mogłem zasnąć. Wciąż mieliśmy dom, który mogłem otwierać swoim kluczem. To było naprawdę cenne. Jeśli kiedykolwiek przypuszczaliście, że być może będziecie spędzać mroźne zimowe noce w samochodzie albo schronisku dla bezdomnych, to wiecie, o czym mówię.

I nigdy nie zapomniałem o umowie, którą zawarłem z Bogiem. „Jeśli to dla mnie zrobisz, kimkolwiek jesteś, ja zrobię coś dla ciebie – powiedziałem, i to klęcząc. – Obiecuję i prędzej umrę, niż nie dotrzymam tej obietnicy. Pokaż mi tylko, czego chcesz, a ja to zrobię. Przysięgam”. To była modlitwa dziecka, myślenie magiczne, ale jakaś część mnie (właściwie większa część) nie wierzyła, że to przypadek. I nie wierzy teraz. Uważałem, że moja modlitwa została wysłuchana, jak w jednym z tych ckliwych filmów, które pokazują na kanale Lifetime między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem. Co oznaczało, że musiałem dotrzymać mojej części umowy. Czułem, że jeśli tego nie zrobię, Bóg odbierze mi ten cud i ojciec znów zacznie pić. Musicie pamiętać, że dzieciaki ze szkoły średniej – bez względu na to, jak rośli są chłopcy i jak piękne dziewczyny – to w głębi duszy wciąż małe dzieci.

Starałem się. Choć moje dni były nie tyle wypełnione po brzegi nauką i zajęciami pozalekcyjnymi, ile wręcz pękały od ich nadmiaru, robiłem

wszystko, co mogłem, by spłacić dług.

Wstąpiłem do klubu Key, który zgłosił inicjatywę nazwaną Adoptuj Autostradę. Mieliśmy pod opieką tereny wzdłuż trzech kilometrów autostrady 226, zajmowane głównie przez bary fastfoodowe, motele i stacje benzynowe. Zebrałem tam z miliard pudełek po Big Macach, dwa miliardy puszek po piwie i co najmniej kilkanaście kompletów bielizny. Podczas Halloween włożyłem idiotyczny pomarańczowy sweter i chodziłem po ulicach, zbierając pieniądze dla UNICEF-u. Latem 2012 roku pomagałem w organizacji wyborów, choć byłem jeszcze o półtora roku za młody, żeby głosować. W piątki po treningu pomagałem tacie w biurze; segregowałem dokumenty i wprowadzałem dane do komputera, gdy za oknem robiło się ciemno i jedliśmy razem pizzę od Giovanniego prosto z pudełka.

Ojciec twierdził, że wszystkie te zajęcia będą świetnie wyglądać na moim podaniu na studia, a ja przyznawałem mu rację, nie zdradzając, dlaczego naprawdę to robię. Nie chciałem, by Bóg uznał, że nie dotrzymuję umowy, czasami jednak zdawało mi się, że słyszę niebiański, pełen dezaprobaty szept: „To za mało, Charlie. Naprawdę myślisz, że zbieranie śmieci przy drodze to odpowiednia zapłata za dobre życie, które wiedziesz teraz z tatą?”.

Co sprowadza mnie – w końcu – do kwietnia 2013 roku, gdy miałem siedemnaście lat. I do pana Bowditcha.

# 11

Stare, dobre liceum Hillview! Teraz wydaje się, że to było całe wieki temu. Zimą dojeżdżałem do szkoły autobusem, w którym siedziałem z tyłu z Andym Chenem, moim przyjacielem jeszcze z podstawówki. Andy był zapalonym sportowcem; potem grał w koszykówkę w drużynie Uniwersytetu Hofstra. Bertiego już z nami nie było, wyprowadził się. Co w pewnym sensie przyjąłem z ulgą. Istnieje coś takiego jak dobry przyjaciel, który jednocześnie jest złym przyjacielem. Prawdę mówiąc, Bertie i ja nie działaliśmy na siebie dobrze.

Jesienią i wiosną jeździłem do szkoły rowerem, bo miasto jest położone na wzgórzach i jazda na rowerze była dobrym sposobem na budowanie masy mięśniowej nóg i pośladków. Mogłem też trochę pobyć wtedy sam, co lubiłem. Droga powrotna z Hillview do domu prowadziła ulicą Prostą do alei Goff, a potem ulicą Wierzbową do Sosnowej. Sosnowa krzyżowała się z Jaworową na szczycie wzgórza, które schodziło do tego przeklętego mostu. A na rogu Sosnowej i Jaworowej stał Dom z *Psychozy*, nazwany tak przez Bertiego Birda, gdy mieliśmy dziesięć, może jedenaście lat.

W rzeczywistości był to dom Bowditcha; to nazwisko widniało na skrzynce pocztowej, wyblakłe, ale wciąż widoczne, jeśli tylko człowiek lepiej się przyjrzał. Bertie miał jednak trochę racji. Wszyscy widzieliśmy ten film (podobnie jak inne tytuły, których jedenastolatek nie może nie znać, czyli *Egzorcysta* i *Coś*), a ten budynek rzeczywiście wyglądał trochę jak dom, w którym mieszkał Norman Bates ze swoją zmumifikowaną matką. Nie przypominał żadnego ze schludnych małych bliźniaków czy willi z ulicy Jaworowej i całej naszej dzielnicy. Dom z *Psychozy* był chaotycznym wiktoriańskim budynkiem o spadzistych dachach, niegdyś

zapewne białym, choć przez lata przybrał barwę, którą nazywam „szarością kota dachowca”. Całą posiadłość otaczał stary drewniany płot, który miejscami przechylał się w stronę domu, a miejscami ku ulicy. Wejścia na popękaną betonową dróżkę strzegła zardzewiała bramka sięgająca pasa. Na trawniku królowały rozrośnięte chwasty, a weranda wyglądała tak, jakby powoli oddzielała się od domu, którego była częścią. Wszystkie rolety były opuszczone, co jak zauważył Andy Chen, nie miało sensu, bo okna były tak brudne, że niczego nie dało się przez nie zobaczyć. Pośród traw i chwastów tkwił ledwie widoczny znak z napisem: WSTĘP WZBRONIONY. Na bramce wisiała nieco większa tabliczka, która głosiła: UWAGA, PIES.

Andy opowiadał czasem historyjkę o tym psie, owczarku niemieckim, który nazywał się Radar, jak ten facet w serialu *M*A*S*H*. Wszyscy go słyszeliśmy (nie wiedząc wtedy, że Radar to suka) i czasem widywaliśmy z daleka, ale Andy jako jedyny miał okazję zobaczyć go z bliska. Mówił, że kiedyś, gdy jechał tamtędy na rowerze, przystanął obok bramki, bo skrzynka pocztowa pana Bowditcha była otwarta i wypchana spamem pocztowym do tego stopnia, że część papierów spadła na ziemię i roznosił je wiatr.

– Pozbierałem te śmieci i wepchnąłem do środka, razem z całą resztą – opowiadał Andy. – Chciałem tylko wyświadczyć mu przysługę, do cholery. Potem usłyszałem warczenie i szczekanie, takie ogłuszające JABBA-JABBA-RAU-RAU, a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem tego pieprzonego potwora. Ważył z sześćdziesiąt kilogramów, miał wielkie zaślinione zębiska i całkiem czerwone ślepia.

– Jasne – mruknął Bertie. – Pies potwór. Jak Cujo z tego filmu. Oczywiście…

– Właśnie że tak było – upierał się Andy. – Przysięgam na Boga. Gdyby właściciel go nie zawołał, wpadłby prosto na mnie i rozwalił tę bramkę, bo

jest już tak stara, że trzeba by ją oddać do programu Medicure.

– Medicare – poprawiłem go.

– Wszystko jedno. Ale ten staruch wyszedł na werandę i wrzasnął: „Radar, leżeć!”, i pies od razu położył się na brzuchu. Ale ciągle się na mnie gapił i warczał. „Co ty tu robisz, chłopcze? – spytał facet. – Kradniesz moją pocztę?” A ja na to: „Nie, proszę pana, wiatr ją roznosił, więc wszystko pozbierałem. Ma pan przepełnioną skrzynkę”. A on wtedy: „Moja skrzynka, moje zmartwienie, a ty się stąd wynoś”. No to się wyniosłem. – Andy pokręcił głową. – Ten pies przegryzłby mi gardło, wiem o tym.

Byłem pewien, że przesadza, często to robił, lecz tego samego wieczoru spytałem tatę o pana Bowditcha. Odpowiedział, że niewiele o nim wie, tylko tyle, że jest starym kawalerem i mieszka w tej ruderze dłużej niż on przy ulicy Jaworowej, czyli dwadzieścia pięć lat.

– Twój przyjaciel Andy nie jest jedynym dzieciakiem, na którego nakrzyczał – dodał ojciec. – Bowditch słynie z wybuchowego charakteru i nieobliczalnego owczarka niemieckiego. Rada miasta byłaby zachwycona, gdyby umarł, bo wtedy mogliby zburzyć ten dom, ale na razie jakoś się trzyma. Rozmawiam z nim, kiedy go spotykam… co zdarza się rzadko… i wydaje się całkiem uprzejmy, tylko że ja jestem dorosły. Niektórzy starsi ludzie mają alergię na dzieciaki. Radziłbym ci trzymać się od niego z daleka, Charlie.

Co nie było problemem aż do tamtego kwietniowego dnia w 2013 roku. O którym wam teraz opowiem.

# 12

Przystanąłem na rogu Sosnowej i Jaworowej w drodze powrotnej z treningu baseballu do domu, żeby oderwać lewą dłoń od kierownicy i potrząsnąć nią. Wciąż była czerwona i obolała po zajęciach na siłowni (na rozmokłym boisku jeszcze nie dało się grać). Trener Harkness – prowadzący zarówno zajęcia z baseballu, jak i z koszykówki – kazał mi stanąć na pierwszej bazie, podczas gdy kilku chłopaków, którzy chcieli zostać miotaczami, ćwiczyło rzuty. Niektórzy rzucali naprawdę mocno. Nie powiem, że trener odgrywał się na mnie za to, że nie chciałem grać w kosza – w poprzednim sezonie Jeże wygrały tylko pięć z dwudziestu pięciu meczów – ale nie powiem też, że tego nie robił.

Po prawej miałem krzywy stary dom pana Bowditcha, który z tej perspektywy do złudzenia przypominał ten z *Psychozy*. Obejmowałem właśnie lewą dłonią kierownicę, gotów ruszyć w dalszą drogę, gdy usłyszałem wycie psa. Dochodziło zza domu. Pomyślałem o monstrualnym psie, którego opisywał Andy, o wielkich zębiskach, czerwonych oczach i oślinionych szczękach, ale to nie było ujadanie atakującego rozwścieczonego zwierzęcia: w tym dźwięku kryły się smutek i strach. Może nawet rozpacz. Później rozmyślałem o tym trochę, zastanawiając się, czy nie dopowiadam sobie tego wszystkiego z perspektywy czasu, uznałem jednak, że nie. Bo znów usłyszałem to smutne wycie. A potem po raz trzeci, wyraźnie słabsze i zrezygnowane, jakby zwierzę myślało: co to da?

A potem, cichsze nawet od ostatniego wycia, lecz wyraźne:

– Pomocy…

Gdyby nie te żałosne dźwięki, popędziłbym w dół zbocza, zjadł w domu pół opakowania czekoladowych ciastek Milano firmy Pepperidge Farm

i popił je szklanką mleka, zmęczony i zadowolony. Co mogłoby się okazać fatalne dla pana Bowditcha. Robiło się późno, wieczorne cienie wydłużały się; był cholernie zimny kwiecień. Być może pan Bowditch przeleżałby tam całą noc.

Uznano, że to ja go uratowałem – kolejna złota gwiazdka do moich podań na studia, gdybym tylko porzucił fałszywą skromność i idąc za radą taty, dołączył artykuł z gazety opublikowany tydzień później – ale tak naprawdę to nie byłem ja, nie do końca.

Uratowała go Radar tym przejmującym, rozpaczliwym wyciem.

# ROZDZIAŁ DRUGI

## Pan Bowditch. Radar. Noc w Domu z Psychozy.

### 1

Przejechałem za róg, do bramki od strony ulicy Jaworowej, i oparłem rower o drewniany płot. Bramka – niska, sięgająca mi ledwie do pasa – nie chciała się otworzyć. Zajrzałem na drugą stronę i zobaczyłem rygiel, równie zardzewiały jak bramka, którą blokował. Próbowałem go odciągnąć, ale był przymarznięty. Pies znów zawył. Zsunąłem z ramion plecak wypchany książkami i wykorzystałem go jako schodek. Przeszedłem nad bramką, uderzając kolanem w tabliczkę UWAGA, PIES, i upadłem na drugie kolano po przeciwnej stronie ogrodzenia, gdy zaczepiłem butem o górną krawędź. Zastanawiałem się przez chwilę, czy zdołałbym przeskoczyć nad bramką, gdyby pies postanowił mnie zaatakować tak, jak kiedyś zaatakował Andy’ego. Przypomniałem sobie stary frazes o strachu dodającym skrzydeł i pomyślałem, że wolałbym nie sprawdzać na samym sobie, czy jest prawdziwy. Byłem baseballistą i futbolistą. Skok wzwyż zostawiłem lekkoatletom.

Przedzierając się przez wysoką trawę, biegłem za dom. Gdy tam dotarłem, chyba nie zauważyłem szopy, bo przede wszystkim

wypatrywałem psa. Dostrzegłem go na tylnej werandzie. Andy Chen twierdził, że zwierzak ważył jakieś sześćdziesiąt kilogramów, i może rzeczywiście tak było, gdy byliśmy jeszcze małymi dzieciakami z niższych klas podstawówki, ale ten, na którego teraz patrzyłem, nie mógł ważyć więcej niż trzydzieści kilogramów. Miał wychudzone ciało, pstrokatą sierść, ubłocony ogon i posiwiały pysk. Zobaczył mnie, ruszył w dół rozchwierutanych schodów i omal się nie przewrócił, omijając człowieka, który na nich leżał. Biegł w moją stronę, ale nie był to jakiś szalony pęd, tylko nierówny artretyczny trucht.

– Radar, leżeć – rzuciłem. Właściwie nie spodziewałem się, że mnie posłucha, lecz pies opadł między trawy i chwasty i zaczął skomleć. Mimo to ominąłem go szerokim łukiem, nim wszedłem na werandę.

Pan Bowditch leżał na lewym boku. Zielona tkanina jego spodni wybrzuszała się wyraźnie nad prawym kolanem. Nie trzeba być lekarzem, żeby rozpoznać złamanie, a sądząc po tym wybrzuszeniu, musiało być naprawdę paskudne. Nie wiedziałem, ile lat miał pan Bowditch, ale z pewnością był dość stary. Jego włosy pokryły się już niemal całkowicie siwizną, przed laty musiały być jednak rude jak marchewka, bo wciąż pozostały w nich czerwonawe pasemka. Wyglądało to tak, jakby jego fryzura rdzewiała. Zmarszczki na policzkach i wokół ust były tak głębokie, że zamieniły się w bruzdy. Mimo zimna na jego czole lśniły krople potu.

– Potrzebuję pomocy – powiedział. – Spadłem z tej pieprzonej drabiny. – Próbował na nią wskazać. Przesunął się wtedy odrobinę i jęknął głośno.

– Dzwonił pan pod dziewięćset jedenaście? – spytałem.

Spojrzał na mnie jak na idiotę.

– Telefon jest w domu, chłopcze. Ja jestem tutaj.

Dopiero później zrozumiałem, o co mu chodziło. Pan Bowditch nie miał komórki. Nigdy nie widział potrzeby, by ją sobie sprawić, może nawet nie wiedział, co to jest.

Ponownie spróbował się poruszyć i skrzywił się.

– Jezu, ale to boli…

– Więc lepiej niech się pan nie rusza – poradziłem mu.

Wybrałem 911 i zgłosiłem, że potrzebuję karetki na rogu Sosnowej i Jaworowej, bo pan Bowditch się przewrócił i złamał nogę. Dodałem, że złamanie wygląda na poważne. Kość wypychała nogawkę, kolano też jest spuchnięte. Dyspozytorka poprosiła o numer domu, więc spytałem o to pana Bowditcha.

Znów spojrzał na mnie jak na idiotę i odparł krótko:

– Numer jeden.

Przekazałem to kobiecie, a ona zapewniła, że natychmiast wyśle karetkę. Powiedziała też, że powinienem zostać i dopilnować, żeby panu Bowditchowi było ciepło.

– On i tak się już poci – zauważyłem.

– Jeśli złamanie jest tak poważne, jak mówiłeś, to pewnie wynik szoku.

– Aha, rozumiem.

Pies przywlókł się z powrotem, kładąc uszy, i zawarczał.

– Przestań, dziewczyno – powiedział jego właściciel. – Leżeć.

Radar – ona, nie on – położyła się na brzuchu przy schodach, jakby z ulgą, i zaczęła dyszeć.

Zdjąłem skórzaną kurtkę i zacząłem nią okrywać pana Bowditcha.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – obruszył się.

– Mam dopilnować, żeby było panu ciepło.

– Jest mi ciepło.

Widziałem jednak, że to nieprawda, bo zaczął drżeć. Opuścił głowę, żeby spojrzeć na kurtkę.

– Chodzisz do szkoły średniej, tak?

– Tak, proszę pana.

– Czerwień i złoto. Czyli Hillview.

– Tak.

– Trenujesz coś?

– Futbol i baseball.

– Jeże. Co… – Spróbował się poruszyć i znów krzyknął z bólu. Radar postawiła uszy i spojrzała na niego z niepokojem. – Co za bzdurna nazwa!

Nie mogłem się z nim nie zgodzić.

– Lepiej niech się pan nie rusza.

– Te schody cholernie mnie uwierają. Powinienem był zostać na dole, ale uznałem, że uda mi się wczołgać na werandę. A potem do środka. Musiałem spróbować. Za chwilę będzie tu zimno jak cholera.

Przemknęło mi przez głowę, że już jest zimno jak cholera.

– Cieszę się, że tu przyszedłeś. Pewnie usłyszałeś, jak staruszka wyje.

– Najpierw ją, a potem pana wołanie – odparłem. Spojrzałem na werandę. Widziałem drzwi, ale wydawało mi się, że aby sięgnąć gałki, pan Bowditch musiałby przyklęknąć na zdrowym kolanie. A tego chyba nie byłby w stanie zrobić.

Spojrzał w to samo miejsce.

– Klapa dla psa – wyjaśnił. – Pomyślałem, że może uda mi się tamtędy przeczołgać. – Skrzywił się. – Masz może przy sobie jakieś środki przeciwbólowe? Aspirynę albo coś mocniejszego? Skoro uprawiasz sport…

Pokręciłem głową. Słyszałem już odległe, jeszcze bardzo ciche wycie syreny.

– A pan? Ma pan jakieś tabletki?

Zawahał się i po chwili skinął głową.

– W środku. Przejdź korytarzem do końca. Przy kuchni jest mała łazienka. W szafce na leki jest chyba buteleczka aspiryny. Nie dotykaj niczego innego. Nie szperaj tam.

– Nie będę.

Wiedziałem, że facet jest stary i że cierpi, ale trochę mnie wkurzył tą uwagą.

Podniósł rękę i złapał mnie za koszulę.

– Nie szperaj.

Cofnąłem się.

– Powiedziałem, że nie będę.

Gdy ruszyłem po schodach, pan Bowditch zawołał:

– Radar! Za nim!

Suka wspięła się powoli na werandę i czekała, aż otworzę drzwi, jakby nie chciało jej się korzystać z wejścia wyciętego w ich dolnej części. Przeszła za mną korytarzem, który był ciemny i w pewnym sensie zadziwiający. Po jednej stronie pod ścianą leżały stare czasopisma powiązane w pliki sznurkiem konopnym. Znałem niektóre tytuły, jak „Life” czy „Newsweek”, ale były tam też inne – „Collier’s”, „Dig”, „Confidential” i „All Man” – o których nigdy nie słyszałem. Po drugiej stronie były książki, w większości stare; unosił się nad nimi charakterystyczny zapach starych ksiąg. Pewnie nie wszyscy go lubią, ale ja tak. To rodzaj stęchlizny, ale przyjemnej.

Kuchnia była pełna starych urządzeń: kuchenka gazowa Hotpoint, ceramiczny zlew ze staromodnymi krzyżakowymi kurkami i rdzawymi zaciekami pozostawionymi przez twardą wodę. Linoleum na podłodze było już tak stare i wytarte, że nie dało się odgadnąć, jaki pokrywał je kiedyś

wzór. Ale wszędzie było czysto i schludnie. Na ociekaczu do naczyń zobaczyłem jeden talerz, jeden kubek i jeden zestaw sztućców – nóż, widelec, łyżka. Ten widok mnie zasmucił. Na podłodze stała czysta miska z napisem RADAR na brzegu i to też mnie zasmuciło.

Przeszedłem do łazienki, która była niewiele większa od szafy na ubrania – mieściły się w niej tylko sedes z podniesioną klapą i rdzawymi kręgami, umywalka i powieszone nad nią lustro. Odchyliłem je i ujrzałem kilka zakurzonych opakowań z lekami, które wyglądały tak, jakby przewożono je jeszcze na arce Noego. Na buteleczce stojącej pośrodku półki widniał napis *Aspiryna*. Kiedy po nią sięgnąłem, dostrzegłem leżącą z tyłu małą śrucinę. Pomyślałem, że to nabój do wiatrówki.

Radar czekała w kuchni, bo nie zmieścilibyśmy się oboje w łazience. Wziąłem kubek z ociekacza, napełniłem go wodą z kranu i pilnowany przez Radar, która truchtała tuż za mną, przeszedłem z powrotem przez Korytarz Starych Tekstów. Na zewnątrz coraz wyraźniej słychać było syrenę karetki. Pan Bowditch leżał z głową opartą na ramieniu.

– Dobrze się pan czuje? – spytałem.

Podniósł głowę na tyle, że dojrzałem jego spocone czoło i zmęczone podkrążone oczy.

– A czy wyglądam tak, jakbym się dobrze czuł?

– Raczej nie, ale wydaje mi się, że nie powinien pan zażywać tych pigułek. Na butelce jest napisane, że straciły ważność w dwa tysiące czwartym roku.

– Daj mi trzy.

– Jezu, może powinien pan zaczekać na karetkę, dostanie pan coś…

– Daj mi je. Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni. Pewnie nie wiesz, kto to powiedział, prawda? Teraz niczego was w tych szkołach nie uczą…

– Nietzsche – odparłem. – *Zmierzch bożyszcz*. W tym semestrze mam egzamin z historii świata.

– Brawo. – Przez chwilę grzebał w kieszeni spodni, pojękując przy tym z bólu, nie przestał jednak, dopóki nie wyjął pęku kluczy. – Zamknij te drzwi, chłopcze. To ten srebrny klucz z kwadratową główką. Frontowe drzwi już są zamknięte. Potem oddaj mi klucze.

Zdjąłem srebrny klucz z breloczka i oddałem mu resztę. Włożył je do kieszeni, znów przy tym pojękując. Syrena była już bardzo blisko. Miałem nadzieję, że ratownikom pójdzie lepiej z zardzewiałym ryglem niż mnie. Inaczej będą musieli zdjąć bramkę z zawiasów. Zacząłem wstawać, a potem spojrzałem na Radar. Leżała na ziemi, z łbem między łapami. Nie odrywała wzroku od swojego pana.

– A co z psem?

Pan Bowditch znów obdarzył mnie pełnym politowania spojrzeniem.

– Może wchodzić do środka przez swoją klapę i wychodzić, gdy będzie potrzebowała.

Pomyślałem, że dzieciak albo drobny dorosły, który będzie chciał się dostać do środka i coś ukraść, może skorzystać z tej samej drogi.

– Tak, ale kto ją będzie karmił?

Chyba nie muszę wam mówić, że przy tym pierwszym spotkaniu pan Bowditch nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia. Uważałem, że jest starym zrzędą, i nie dziwiłem się, że mieszka sam: żona mogłaby go zabić albo zostawić. Kiedy jednak spojrzał na swoją starą sukę, dostrzegłem coś jeszcze: miłość i przerażenie. Mówi się czasami, że ktoś jest bliski obłędu ze zmartwienia, prawda? Właśnie tak wtedy wyglądał. Musiał straszliwie cierpieć, ale w tamtej chwili jedyną istotą, o której myślał – i która go obchodziła – był jego pies.

– Szlag. Szlag, szlag, szlag. Nie mogę jej zostawić. Będę musiał ją zabrać do cholernego szpitala.

Karetka dotarła przed dom i syrena ucichła. Trzasnęły drzwi.

– Nie pozwolą panu – powiedziałem. – Na pewno pan to wie.

Zacisnął mocno usta.

– Więc nigdzie nie pojadę.

Och, oczywiście, że pojedziesz, pomyślałem. A potem pomyślałem coś jeszcze, choć zdawało się, że to wcale nie była moja myśl. Z pewnością była moja, lecz odebrałem to całkiem inaczej. *Mieliśmy umowę. Możesz sobie dać spokój ze zbieraniem śmieci przy drodze, właśnie teraz masz dotrzymać obietnicy.*

– Halo?! – zawołał ktoś. – Jesteśmy z pogotowia ratunkowego, czy ktoś może nam otworzyć bramkę?

– Proszę mi pozwolić zatrzymać ten klucz – powiedziałem. – Będę ją karmił. Proszę mi tylko powiedzieć, ile i…

– Halo?! Niech ktoś się odezwie albo wchodzimy!

– …jak często.

Pan Bowditch pocił się coraz bardziej; cienie pod jego oczami zrobiły się jeszcze ciemniejsze, wyglądały jak siniaki.

– Wpuść ich, zanim rozwalą tę cholerną bramkę. – Wydał z siebie głębokie, drżące westchnienie. – Co za pieprzony bajzel…

# 2

Mężczyzna i kobieta stojący na chodniku byli w kurtkach z napisem *Ratownictwo medyczne hrabstwa Arcadia*. Mieli wózek z noszami, na których leżała sterta sprzętu medycznego. Odsunęli na bok mój plecak i facet próbował odciągnąć rygiel. Radził sobie nie lepiej ode mnie.

– Jest za domem – powiedziałem. – Usłyszałem, jak woła o pomoc.

– Świetnie, ale nie mogę tego otworzyć. Trzymaj, dzieciaku. Może razem coś wskóramy.

Przysunąłem się do bramki i pociągnęliśmy razem. Rygiel w końcu odskoczył, przygniatając mi kciuk. Byłem tak rozgorączkowany, że wtedy tego nie zauważyłem, jednak do wieczora prawie cały paznokieć sczerniał.

Ruszyli wzdłuż domu; wózek podskakiwał na nierównym gruncie, sprzęt ułożony na noszach trząsł się i brzęczał. Zza rogu wyszła Radar, warcząc i starając się brzmieć przerażająco. Robiła, co w jej mocy, lecz czułem, że po tych przeżyciach nie ma już sił.

– Leżeć, Radar – rzuciłem i suka z ulgą ułożyła się na brzuchu. Mimo to ratownicy ominęli ją szerokim łukiem.

Zobaczyli pana Bowditcha leżącego na schodach i natychmiast zabrali się do pracy. Kobieta mówiła kojącym tonem, że nie wygląda to tak strasznie źle i że zaraz dadzą mu coś, po czym poczuje się lepiej.

– On już coś zażywał – wtrąciłem i wyjąłem z kieszeni butelkę aspiryny.

Mężczyzna spojrzał na opakowanie i prychnął.

– Jezu, to jakiś antyk. Już od dawna do niczego się nie nadaje. CeeCee, podaj panu petydynę, dwadzieścia powinno wystarczyć.

Wróciła Radar. Warknęła symbolicznie na kobietę, a potem skomląc, przeszła do swojego pana. Przez chwilę głaskał ją po łbie, a gdy przestał, suka ułożyła się na schodach obok niego.

– Ten pies uratował panu życie – powiedziałem. – Ale nie może pójść do szpitala i nie może też głodować.

Trzymałem w dłoni srebrny klucz do tylnych drzwi. Pan Bowditch patrzył na niego, gdy CeeCee robiła mu zastrzyk, którego jakby nawet nie zauważył. Raz jeszcze westchnął ciężko.

– W porządku, bo jaki mam, kurwa, wybór? Jej karma jest w dużym plastikowym wiadrze w spiżarni. Za drzwiami. Daj jej jedną miarkę o osiemnastej i jedną o szóstej rano, jeśli zatrzymają mnie na noc. – Spojrzał na ratownika. – Zatrzymają mnie?

– Nie wiem, proszę pana, to wykracza poza moje kompetencje.

Ratownik rozwijał rękaw do pomiaru ciśnienia. Jego koleżanka rzuciła mi spojrzenie, które mówiło: „Jasne, zatrzymają go na noc, i to niejedną”.

– Miarkę dziś o osiemnastej i jutro o szóstej rano. Rozumiem.

– Nie wiem, ile karmy zostało w tym wiadrze. – Oczy pana Bowditcha zaczęły zachodzić mgłą. – Jeśli będziesz potrzebował więcej, idź do Pet Pantry. Radar je Orijen Regional Red. Żadnych psich przysmaków ani mięsa. Chłopiec, który zna Nietzschego, powinien to zapamiętać.

– Zapamiętam.

Ratownik napompował rękaw ciśnieniomierza. Wyraźnie nie spodobało mu się to, co pokazał licznik.

– Położymy pana na noszach. Jestem Craig, a to CeeCee.

– Charlie Reade – przedstawiłem się. – A to pan Bowditch. Nie wiem, jak ma na imię.

– Howard – powiedział starszy pan.

Ratownicy pochylili się, by go podnieść, ale kazał im poczekać. Ujął pysk Radar w dłonie i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Bądź grzeczna, mała. Wkrótce się zobaczymy.

Zaskomlała i polizała go. Po jego policzku pociekła łza. Może z bólu, ale nie sądzę.

– W pojemniku na mąkę w kuchni jest trochę pieniędzy – powiedział. Potem jego wzrok wyostrzył się na moment, a usta ponownie zacisnęły. – Pomyłka. Pojemnik na mąkę jest pusty. Zapomniałem. Jeśli…

– Proszę pana – przerwała mu CeeCee. – Naprawdę musimy pana…

Spojrzał na nią i poprosił, żeby się na moment uciszyła. Potem znów popatrzył na mnie.

– Jeśli będziesz musiał kupić następny worek karmy, sam za niego zapłać. Potem ci oddam. Rozumiesz?

– Tak. – Zrozumiałem coś jeszcze. Choć dostał porządną dawkę jakiegoś silnego środka, wiedział, że nie wróci tu ani dzisiaj, ani następnego dnia.

– No dobrze. Dbaj o nią. Prócz niej nie mam nikogo. – Pogłaskał Radar raz jeszcze, podrapał ją za uszami, a potem skinął głową na ratowników. Syknął przez zaciśnięte zęby, kiedy go podnieśli, a Radar szczeknęła. – Chłopcze?

– Tak?

– Nie szperaj.

Nie zaszczyciłem tej uwagi odpowiedzią. Craig i CeeCee właściwie przenieśli wózek z noszami wokół domu, żeby nie podrzucać za bardzo pacjentem. Przeszedłem za tylną werandę i przyjrzałem się rozsuwanej drabinie leżącej w trawie, a potem dachowi. Wyglądało na to, że gospodarz czyścił rynny. Albo próbował to zrobić.

Wróciłem do schodów i usiadłem. Przed domem znów zawyła syrena, najpierw przeraźliwie głośna, potem coraz cichsza, gdy oddalała się w dół zbocza, w stronę przeklętego mostu. Radar patrzyła w tę stronę, nadstawiając uszu. Spróbowałem ją pogłaskać. Nie ugryzła mnie ani nawet nie zawarczała, więc zrobiłem to ponownie.

– Wygląda na to, że zostaliśmy tylko we dwoje, mała – powiedziałem.

Położyła pysk na moim bucie.

– Nawet mi nie podziękował. – Westchnąłem. – Co za dupek!

Ale tak naprawdę wcale nie byłem zły, bo to nie miało znaczenia. Nikt nie musiał mi dziękować. Zwracałem tylko dług.

## 3

Przechodząc z powrotem przed dom, zadzwoniłem do taty i opowiedziałem mu o wszystkim. Miałem nadzieję, że nikt nie ukradł mojego plecaka; okazało się, że nie tylko wciąż jest przy płocie, ale też jedno z ratowników było na tyle miłe, że przerzuciło go za bramkę. Ojciec spytał, czy może mi w jakikolwiek sposób pomóc. Odparłem, że nie i że zostanę tu i trochę się pouczę, potem nakarmię o szóstej Radar i wrócę do domu. Zaproponował, że kupi po drodze chińszczyznę i zobaczymy się po moim powrocie. Powiedziałem mu, że go kocham; odpowiedział, że on mnie też.

Wyciągnąłem z plecaka zapięcie do roweru i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie przełożyć go na podwórze, w końcu jednak machnąłem na to ręką i po prostu przypiąłem go do bramki. Cofnąłem się o krok i omal nie przewróciłem się na Radar. Zaskomlała przeraźliwie i odskoczyła do tyłu.

– Przepraszam, mała, przepraszam.

Ukląkłem i wyciągnąłem do niej rękę. Po chwili podeszła bliżej, obwąchała moją dłoń i polizała ją. Taki to z niej straszliwy Cujo.

Odprowadzany przez Radar, przeszedłem na tyły domu i wtedy po raz pierwszy zauważyłem drugi budynek. Najpierw pomyślałem, że to szopa na narzędzia; był zdecydowanie za mały na garaż. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie schować tam drabiny, ale uznałem, że nie warto, bo nie zanosiło się na deszcz. Jak odkryłem nieco później, taszczyłbym tę drabinę na darmo, ponieważ drzwi szopy były zamknięte na wielką kłódkę, a pan Bowditch zabrał pozostałe klucze.

Po wejściu z Radar do domu namacałem staromodny obrotowy włącznik światła i przeszedłem Korytarzem Starych Tekstów do kuchni. Tutaj pomieszczenie oświetlała lampa sufitowa z matowego szkła; wyglądała jak element scenografii jednego z tych starych filmów wyświetlanych na TCM, które tak lubił mój tata. Stół był przykryty kraciastą ceratą, wyblakłą, ale czystą. Doszedłem do wniosku, że wszystko w tej kuchni wygląda jak scenografia ze starego filmu. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak wchodzi tu pan Chips w todze i birecie. Albo jak Barbara Stanwyck mówi Dickowi Powellowi, że przyszedł w samą porę na drinka.

Usiadłem przy stole. Radar weszła pod niego i ułożyła się tam, pomrukując dystyngowanie. Powiedziałem jej, że jest grzecznym pieskiem, a ona pomachała ogonem.

– Nie martw się, on niedługo wróci. – Może, dodałem w myślach.

Rozłożyłem książki, rozwiązałem kilka zadań z matematyki, a potem włożyłem słuchawki i odtworzyłem zadanie domowe z francuskiego, piosenkę pop zatytułowaną *Rien qu’une fois*, co oznacza „Tylko raz” czy jakoś tak. Nie do końca moje klimaty, wolę raczej klasycznego rocka, ale to

była jedna z tych piosenek, które za każdym przesłuchaniem podobają się nam coraz bardziej. No, chyba że nie możemy się od niej odczepić, to wtedy w końcu mamy jej dość. Odtworzyłem ją trzy razy, a potem odśpiewałem razem z nagraniem, bo to właśnie mieliśmy robić podczas zajęć.

*Je suis sûr que tu es celle que j'ai toujours attendue…*

Po odśpiewaniu pierwszego wersu zerknąłem przypadkiem pod stół i zobaczyłem, że Radar kładzie płasko uszy i patrzy na mnie z czymś, co podejrzanie przypominało politowanie. Roześmiałem się.

– Raczej nie zrobię kariery w tym biznesie, co?

Merdanie ogonem.

– Nie miej do mnie pretensji, to zadanie. Chcesz posłuchać jeszcze raz? Nie? Ja też nie.

Zauważyłem, że na blacie, na lewo od kuchenki, stoją cztery takie same pojemniki oznaczone napisami CUKIER, MĄKA, KAWA i CIASTKA. Zdążyłem już porządnie zgłodnieć. W domu zajrzałbym do lodówki i pożarł połowę jej zawartości, ale oczywiście nie byłem w domu i nie wybierałem się tam wcześniej – spojrzałem na zegarek – niż za godzinę. Postanowiłem zajrzeć do słoika z ciastkami, bo tego pan Bowditch z pewnością nie uznałby za szperanie. Pojemnik był wypełniony po brzegi kruchymi ciasteczkami z orzechami pekanowymi i piankami w czekoladzie. Pomyślałem, że skoro pilnuję mu psa, pan Bowditch nie będzie miał mi za złe, jeśli wezmę sobie jedno ciastko. Albo dwa. Czy nawet cztery. Na tym poprzestałem, choć nie przyszło mi to łatwo. Były naprawdę pyszne.

Spojrzałem na pojemnik z mąką i przypomniałem sobie, jak pan Bowditch mówił, że są tam pieniądze. Potem jego wzrok się zmienił – wyostrzył. „Pomyłka. Pojemnik na mąkę jest pusty. Zapomniałem". Omal

tam nie zajrzałem; jakiś czas temu, nie tak znów dawno, pewnie bym to zrobił. Ale te czasy już minęły. Usiadłem z powrotem przy stole i otworzyłem podręcznik do historii.

Przebrnąłem przez trudny rozdział o traktacie wersalskim i niemieckich reparacjach, a gdy ponownie spojrzałem na zegarek (nad zlewem wisiał zegar, ale chyba nie chodził), zobaczyłem, że jest za piętnaście szósta. Uznałem, że to wystarczająco blisko wyznaczonej pory, i postanowiłem nakarmić Radar.

Pomyślałem, że drzwi przy lodówce prowadzą do spiżarni, i nie myliłem się. Wypełniał ją ten miły spiżarniany zapach. Pociągnąłem za sznurek, którym zapalało się światło, i na moment zapomniałem całkiem o karmieniu Radar. Wszystkie ściany niewielkiego pomieszczenia były od podłogi do sufitu zastawione pojemnikami z żywnością w różnych postaciach i formach. Były tam wszelkiego rodzaju konserwy – mielonka, sardynki, fasola, zupa Campbella – krakersy, makarony i sosy do makaronów, butelki z sokiem winogronowym i żurawinowym, słoiki z dżemem i powidłami, dziesiątki, może setki puszek z warzywami. Pan Bowditch był w pełni przygotowany na apokalipsę.

Radar zaskomlała cicho, jakby chciała mi przypomnieć, po co tu właściwie jestem. Zajrzałem za drzwi, gdzie stało plastikowe wiadro z jej karmą. Miało pojemność czterdziestu, może nawet pięćdziesięciu litrów, ale resztki karmy ledwie zakrywały dno. Gdyby pan Bowditch musiał zostać w szpitalu na kilka dni – a może nawet tydzień – musiałbym kupić nowe opakowanie.

Miarka leżała w wiadrze. Napełniłem ją i wsypałem karmę do miski. Radar podeszła do niej energicznym krokiem, powoli machając ogonem na boki. Była stara, ale wciąż miała apetyt. Pomyślałem, że to dobry znak.

– Jedz sobie spokojnie – powiedziałem, wkładając kurtkę. – Bądź grzeczna, zobaczymy się rano.

Okazało się, że wcale nie musiała czekać tak długo.

# 4

Kiedy jedliśmy z tatą chińszczyznę, przedstawiłem mu rozszerzoną wersję mojej popołudniowej przygody; zacząłem od pana Bowditcha leżącego na schodach, potem przeszedłem do Korytarza Starych Tekstów i skończyłem na Apokaliptycznej Spiżarni.

– Zbieracz – stwierdził tata. – Widziałem sporo takich miejsc, zwykle po śmierci zbieracza. Ale tam jest czysto, tak?

Skinąłem głową.

– Przynajmniej w kuchni. Jest dość miejsca dla wszystkiego i wszystko ma swoje miejsce. Trochę kurzu zalegało na starych lekarstwach w łazience, ale poza tym nigdzie indziej.

– Żadnego samochodu.

– Nie. A szopa jest za mała, żeby mógł się tam zmieścić.

– Pewnie robi zakupy z dostawą. Jest też oczywiście Amazon, który do dwa tysiące czterdziestego roku przejmie rządy nad światem, czego tak bardzo obawiają się prawicowcy. Ciekaw jestem, skąd ten człowiek bierze pieniądze i ile mu jeszcze zostało.

Ja też się nad tym zastanawiałem. Myślę, że tego rodzaju ciekawość to coś normalnego u ludzi, którzy znaleźli się kiedyś na krawędzi bankructwa.

Tata wstał.

– Kupiłem i przyniosłem. Mam teraz jeszcze trochę pracy, więc ty posprzątasz.

Posprzątałem, a potem poćwiczyłem parę bluesowych melodii na gitarze (potrafiłem zagrać niemal wszystko, byle tylko w tonacji E-dur). Zwykle mogłem się tym bawić tak długo, aż bolały mnie palce, ale nie tamtego wieczoru. Odstawiłem yamahę do kąta i powiedziałem ojcu, że idę do domu pana Bowditcha, żeby sprawdzić, jak radzi sobie Radar. Wciąż myślałem o tym, że tkwi tam całkiem sama. Może dla psów takie rzeczy nie mają znaczenia, a może jednak mają.

– Dobrze, jeśli tylko nie przyjdzie ci do głowy, żeby go tu przyprowadzić.

– Ją.

– Jasne, ale nie mam ochoty słuchać wycia samotnego psa o trzeciej nad ranem, bez względu na jego płeć.

– Nie przyprowadzę jej tutaj.

Nie musiał wiedzieć, że rzeczywiście o tym myślałem.

– I uważaj na Normana Batesa.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– Co? Myślisz, że nie wiedziałem? – Uśmiechał się szeroko. – Ludzie nazywali to Domem z *Psychozy*, kiedy nie było cię jeszcze na świecie, mały bohaterze.

# 5

Uśmiechnąłem się wtedy, ale nie było mi już do śmiechu, gdy znalazłem się na rogu Sosnowej i Jaworowej. Wydawało się, że dom przyczaił się na szczycie wzgórza, przesłaniając swym wielkim cielskiem gwiazdy. Przypomniałem sobie, jak Norman Bates wołał: „Mamo! Tyle krwi!”, i pożałowałem, że w ogóle obejrzałem kiedyś ten cholerny film.

Rygiel przy bramce otworzył się tym razem znacznie łatwiej. Przyświecając sobie telefonem, przeszedłem za dom. Na moment oświetliłem boczną ścianę i natychmiast tego pożałowałem. Okna były zakurzone, rolety spuszczone. Te okna wyglądały jak ślepe oczy, które mimo to wciąż jakoś mnie widziały i nie były zachwycone moim najściem. Wyszedłem zza rogu, a gdy ruszyłem w stronę werandy, rozległ się jakiś głuchy odgłos. Przestraszyłem się i wypuściłem z dłoni telefon. Kiedy spadał, dostrzegłem jakiś ruchomy cień. Nie krzyknąłem, ale poczułem mrowienie w jądrach, obciągniętych napiętą nagle moszną. Zamarłem w bezruchu, gdy cień przysunął się do mnie, a nim mogłem się odwrócić i uciec, znalazła się przy mnie skomląca Radar, która trącała nosem nogawkę moich spodni i próbowała na mnie wskoczyć. Chory kręgosłup i tylne łapy mocno ją ograniczały, więc tylko podrywała się niezdarnie do przodu. Głuchy dźwięk, który słyszałem przed chwilą, był pewnie trzaskiem zamykającej się klapy dla psa.

Opadłem na kolana i chwyciłem ją; jedną ręką głaskałem jej łeb, a drugą drapałem pod szyją. Polizała mnie i wtuliła się tak mocno, że omal mnie nie przewróciła.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Bałaś się, jak zostałaś tu sama? Na pewno. – No bo kiedy ostatni raz była sama, skoro jej pan nie

miał samochodu, a zakupy dostarczano mu do domu? Być może bardzo dawno temu. – Już w porządku. Wszystko dobrze. Chodź.

Podniosłem telefon, dałem jądrom kilka sekund, by wróciły na swoje miejsce, a potem przeszedłem do tylnych drzwi. Radar trzymała się tak blisko, że wciąż uderzała łbem o moje kolano. Kiedyś Andy Chen spotkał przed tym samym domem psa zabójcę, a przynajmniej tak twierdził. Tylko że to było wiele lat temu. Teraz zamiast tamtego potwora miałem przy sobie wystraszoną staruszkę, która usłyszała, jak nadchodzę, i wybiegła mi na spotkanie.

Weszliśmy na werandę. Otworzyłem drzwi i przekręciłem włącznik, by oświetlić Korytarz Starych Tekstów. Przyjrzałem się klapie dla psa i zauważyłem tam trzy małe zasuwki, dwie po bokach i jedną u góry. Zanotowałem w pamięci, że muszę je zasunąć, zanim opuszczę dom, żeby Radar nie wyszła sama na zewnątrz. Podwórze z tyłu domu było prawdopodobnie ogrodzone, tak jak z przodu, nie wiedziałem tego jednak na pewno, a na razie to ja odpowiadałem za psa.

W kuchni ukląkłem przed Radar i pogłaskałem ją po pysku. Patrzyła na mnie z uwagą, nadstawiając uszu.

– Nie mogę zostać, ale włączę ci światło i wrócę jutro rano, żeby cię nakarmić, dobrze?

Zaskomlała, polizała mnie po dłoni i przeszła do swojej pustej miski. Polizała ją kilkakrotnie i spojrzała na mnie. Przekaz był jednoznaczny.

– Dopiero rano – powiedziałem.

Położyła się, oparła pysk na łapie i ani na moment nie odrywała ode mnie wzroku.

– Cóż…

Podszedłem do pojemnika z napisem CIASTKA. Pan Bowditch powiedział, że nie mogę jej dawać żadnych psich smakołyków ani mięsa,

więc uznałem, że mogło mu nie chodzić o ciastka. Semantyka jest cudowna, prawda? Przypomniałem sobie, że kiedyś gdzieś czytałem albo słyszałem, że psy są uczulone na czekoladę, więc wziąłem jedno z ciastek orzechowych, odłamałem kawałek i podałem go Radar. Powąchała i delikatnie zabrała go spomiędzy moich palców.

Usiadłem przy stole, przy którym wcześniej się uczyłem, i pomyślałem, że powinienem już iść. Na miłość boską, przecież to pies, a nie dziecko. Może nie lubi być sama, ale przecież nie wejdzie pod zlew i nie wypije wybielacza.

Zabrzęczał mój telefon. Dzwonił tata.

– Wszystko w porządku?

– Tak, ale dobrze, że przyszedłem. Zostawiłem otwartą klapę dla psa. Wyszła na zewnątrz, kiedy mnie usłyszała.

Nie muszę mu mówić, że kiedy zobaczyłem ten ruchomy cień, przed oczami stanął mi na moment widok Janet Leigh pod prysznicem, krzyczącej i uchylającej się przed nożem.

– To nie twoja wina. Nie możesz myśleć o wszystkim. Wracasz?

– Za chwilę. – Spojrzałem na Radar, która patrzyła na mnie. – Tata, może powinienem…

– Kiepski pomysł, Charlie. Idziesz jutro do szkoły. To dorosły pies. Nic mu się nie stanie.

– Jasne, wiem.

Radar wstała, choć samo oglądanie tego procesu wydawało się bolesne. Kiedy podciągnęła tylne łapy do pionu, przeszła powoli do ciemnego wnętrza czegoś, co było zapewne salonem.

– Zostanę jeszcze parę minut. To naprawdę miły pies.

– Dobrze.

Zakończyłem rozmowę i usłyszałem ciche piszczenie. Radar wróciła z zabawką w pysku. Przypuszczałem, że to małpka, choć była tak pogryziona, że nie dało się tego jednoznacznie stwierdzić. Wciąż miałem w ręce telefon, więc zrobiłem zdjęcie. Przyniosła zabawkę i upuściła ją koło mojego krzesła. Jej oczy powiedziały mi, co mam zrobić.

Przerzuciłem małpkę lekko na drugi koniec kuchni. Radar pokuśtykała za nią, podniosła, przygryzła kilka razy, by pokazać, kto tu rządzi, i przyniosła z powrotem. Upuściła ją obok mojego krzesła. Wyobraziłem sobie Radar jako młodą sukę, cięższą i znacznie sprawniejszą, uganiającą się za tą biedną starą małpką (lub jej poprzedniczką), pędzącą tak, jak opisywał ją Andy. Te czasy dawno już minęły, ale Radar wciąż starała się, jak mogła. Wyobrażałem sobie, że myśli: Widzisz, jaka jestem w tym dobra? Zostań, mogę to robić przez całą noc!

Tyle że nie mogła, a ja nie mogłem zostać. Ojciec chciał, żebym wrócił do domu, poza tym raczej bym się nie wyspał, gdybym tu nocował. Zbyt wiele tajemniczych trzasków i skrzypień, zbyt wiele pokoi, w których coś mogło się czaić… i podkradać do mnie, gdy tylko zgaśnie światło.

Radar znów przyniosła mi piszczącą małpkę.

– Wystarczy – rzuciłem. – Odpocznij, mała.

Ruszyłem do tylnego korytarza, przystanąłem jednak, tknięty pewną myślą. Przeszedłem do zaciemnionego pokoju, gdzie Radar znalazła zabawkę, i przez chwilę szukałem po omacku włącznika, modląc się w duchu, by nic (na przykład zmumifikowana matka Normana Batesa) nie złapało mnie za rękę. Włącznik szczęknął głośno, gdy w końcu go znalazłem i przekręciłem.

Podobnie jak kuchnia salon pana Bowditcha był staroświecki, lecz schludny. Stała tu kanapa obita ciemnobrązową tkaniną. Nie była chyba często używana, a przynajmniej tak wyglądała. Znacznie częściej

siadywano chyba na fotelu ustawionym pośrodku staromodnego dywanu; chude nogi pana Bowditcha zostawiły na nim wyraźne zmechacenia i przetarcia. Na oparciu wisiała porzucona niedbale niebieska batystowa koszula. Fotel stał naprzeciwko prehistorycznego telewizora, na którym ustawiono antenę. Zrobiłem im zdjęcie telefonem. Nie wiedziałem, czy tak stary telewizor może jeszcze działać, ale sądząc po stertach książek ułożonych po obu stronach odbiornika i opatrzonych karteczkami samoprzylepnymi z notatkami, nawet jeśli działał, nie używano go zbyt często. W przeciwległym rogu pokoju stał wiklinowy koszyk wypełniony psimi zabawkami, co dowodziło jednoznacznie, jak bardzo właściciel kocha swoje zwierzę. Radar podreptała do koszyka i zabrała z niego pluszowego królika. Przyniosła go do mnie i obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym nadziei.

– Nie mogę. – Pokręciłem głową. – Ale ty możesz dostać to. Pewnie pachnie twoim panem.

Zdjąłem koszulę przewieszoną przez oparcie fotela i rozłożyłem ją na podłodze, obok miski. Radar powąchała koszulę i ułożyła się na niej.

– Zuch dziewczyna – pochwaliłem ją. – Do zobaczenia rano.

Ruszyłem do wyjścia, znów zawróciłem i przyniosłem jej pluszową małpkę. Przygryzła ją parę razy, może żeby sprawić mi przyjemność. Cofnąłem się o kilka kroków i zrobiłem jej jeszcze jedno zdjęcie. Gdy wychodziłem, tym razem nie zapomniałem o zamknięciu klapy. Jeśli Radar nabrudzi w środku, będę musiał tylko posprzątać.

Wracając do domu, pomyślałem o rynnach Domu z *Psychozy*, zapchanych na pewno liśćmi. O zaniedbanym trawniku. Cały budynek wymagał malowania, co wykraczało poza moje możliwości, ale mógłbym coś zrobić z tymi brudnymi oknami, nie wspominając o walącym się płocie. To znaczy mógłbym, gdybym miał czas, a biorąc pod uwagę, że zbliżał się

sezon baseballowy, nie miałem. Do tego dochodziła Radar. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Dla niej być może tak samo jak dla mnie. Jeśli jakaś myśl wyda ci się dziwaczna albo ckliwa, albo i taka, i taka, to lepiej ją przeanalizuj. Jak powiedziałem tacie, Radar była miłym psiakiem.

Kładąc się do łóżka tego wieczoru, nastawiłem budzik na piątą rano. Potem wysłałem esemesa do pana Neville’a, mojego nauczyciela angielskiego, że nie przyjdę na pierwszą lekcję, a pani Friedlander napisałem, że być może nie zdążę też na drugą. Wyjaśniłem, że muszę odwiedzić kogoś w szpitalu.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## Wizyta w szpitalu. Mięczaki nigdy nie wygrywają. Szopa.

### 1

O świcie Dom z *Psychozy* nie wyglądał już tak strasznie, choć mgła podnosząca się z wysokich traw nadawała mu tajemniczy charakter. Radar musiała czekać pod drzwiami, bo zaczęła walić w nie radośnie ogonem, gdy tylko usłyszała moje kroki na schodach, które, nawiasem mówiąc, były chwiejne i zmurszałe – kolejny potencjalny wypadek i kolejne zadanie dla kogoś, kto zająłby się remontem domu.

– Spokojnie, mała – powiedziałem, wkładając klucz do zamka. – Jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

Rzuciła się na mnie, gdy tylko otworzyłem drzwi; obskakiwała mnie i próbowała polizać po twarzy, zapominając całkiem o chorych łapach. Przeszła za mną do kuchni i wciąż machając ogonem, obserwowała, jak wybieram z wiadra resztki karmy. Kiedy jadła, napisałem do taty esemesa z pytaniem, czy podczas przerwy na lunch albo w drodze z pracy nie wstąpiłby do sklepu Pet Pantry, żeby kupić torbę suchej karmy dla psa: Orijen Regional Red. Potem wysłałem drugą wiadomość z informacją, że

oddam mu pieniądze, a pan Bowditch z kolei odda pieniądze mnie. Po krótkim zastanowieniu dorzuciłem jeszcze trzecią: Lepiej kup duże opakowanie.

Nie trwało to długo, ale Radar już skończyła. Przyniosła mi małpkę i położyła ją obok mojego krzesła. Potem beknęła.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem i rzuciłem jej lekko zabawkę. Podreptała po nią i przyniosła z powrotem. Rzuciłem jeszcze raz, a kiedy po nią poszła, zabrzęczał mój telefon. Wiadomość od taty: Nie ma sprawy.

Rzuciłem małpką raz jeszcze, lecz zamiast za nią pobiec, suka pokuśtykała do Korytarza Starych Tekstów i na zewnątrz. Nie wiedziałem, czy ma tu gdzieś smycz, więc odłamałem kolejny kawałek ciastka orzechowego, by ją nim zwabić w razie potrzeby. Miałem pewność, że nie oprze się takiej pokusie – była prawdziwym łakomczuchem.

Okazało się, że nie musiałem jej wcale nakłaniać do powrotu. Przykucnęła w jednym miejscu i wysikała się, potem wygięła się w łuk w innym i zrobiła kupę. Wróciła, przyjrzała się schodom tak, jak wspinacz może się przyglądać stromej skale, po czym pokonała połowę dystansu. Przysiadła na moment i wspięła się na samą górę. Nie wiedziałem, jak długo jeszcze będzie w stanie to robić bez pomocy.

– Muszę iść – powiedziałem. – Nara, stara.

Nigdy nie mieliśmy psa, więc nie wiedziałem, jak ekspresyjne mogą być ich oczy, zwłaszcza gdy patrzą z bliska prosto na ciebie. Jej oczy mówiły mi, żebym nie szedł. Bardzo chętnie bym został, ale jak napisano w pewnym wierszu, miałem obietnice do spełnienia. Pogłaskałem ją kilka razy i przykazałem jej, żeby była grzeczna. Pamiętam, że czytałem kiedyś, że każdy rok życia psa to jak siedem lat dla człowieka. Pewnie było to spore uproszczenie, ale przynajmniej dawało jakąś perspektywę. Ale co to mogło oznaczać dla psa w kategoriach czasowości? Gdybym wrócił

o szóstej, by ją nakarmić, dla mnie byłoby to dwanaście godzin. Czy dla niej ten okres trwałby około osiemdziesięciu czterech godzin? Trzy i pół doby? Jeśli tak, to nic dziwnego, że tak się cieszyła na mój widok. Poza tym na pewno ogromnie tęskniła za swoim panem.

Zamknąłem drzwi na klucz, zszedłem ze schodów i spojrzałem w stronę miejsca, gdzie załatwiła swoje potrzeby. Uporządkowanie podwórka za domem było kolejnym zadaniem, które należało tu wykonać. Chyba że pan Bowditch już sam się tym zajął. W tej wysokiej trawie i tak niczego nie było widać. Jeśli tego nie zrobił, to ktoś powinien go wyręczyć.

Ty jesteś tym kimś, pomyślałem, wracając do roweru. Wiedziałem, że to prawda, ale tak się składało, że byłem kimś bardzo zajętym. Trenowałem baseball i zastanawiałem się, czy nie dołączyć do ekipy przygotowującej spektakl na koniec roku: *High School Musical*. Marzyłem o tym, by zaśpiewać *Breaking Free* z Giną Pascarelli, prześliczną dziewczyną z ostatniej klasy.

Przy moim rowerze stała kobieta otulona płaszczem w kratę. Kojarzyłem ją z widzenia, nazywała się chyba Ragland. A może Reagan.

– To ty wezwałeś pogotowie? – spytała.

– Tak, proszę pani.

– W jakim on jest stanie? Bowditch?

– Właściwie to sam nie wiem. Na pewno złamał nogę.

– A ty spełniłeś najlepszy uczynek tego dnia. A może i tego roku. Nie jest szczególnie miłym sąsiadem, trzyma się z dala od innych, ale nic do niego nie mam. Nie mogę tylko patrzeć na ten jego dom, straszne brzydactwo… Jesteś synem George’a Reade’a, prawda?

– Zgadza się.

Podała mi rękę.

– Althea Richland.

Uścisnąłem jej dłoń.

– Miło mi panią poznać.

– A co z tym jego psem? Owczarek niemiecki, zdaje się, przerażające zwierzę. Wychodził z nim na spacery wcześnie rano albo po zmroku. Kiedy dzieciaki siedziały już w domu. – Wskazała na pochylony smętnie płot. – To na pewno go nie zatrzyma.

– To suczka, opiekuję się nią teraz.

– Brawo, bardzo ładnie z twojej strony. Mam nadzieję, że cię nie pogryzie.

– Jest już bardzo stara i całkiem miła.

– Może dla ciebie – rzuciła pani Richland. – Mój ojciec mawiał: „Stary pies ugryzie dwa razy mocniej”. Był u mnie dziennikarz z tego szmatławego tygodnika, pytał, co się tu stało. Zajmuje się chyba wszystkimi wezwaniami służb w okolicy. No wiesz, interwencje policji, straży pożarnej, pogotowia i tak dalej. Wyglądał na niewiele starszego od ciebie – dodała lekceważąco.

– Będę o tym pamiętał. – Właściwie nie wiedziałem, dlaczego powinienem zaprzątać sobie tym głowę. – Muszę już iść, proszę pani. Chciałbym przed lekcjami odwiedzić pana Bowditcha w szpitalu.

Parsknęła śmiechem.

– Jeśli mówisz o Arcadii, to powiem ci od razu, że odwiedziny zaczynają się tam od dziewiątej. Na pewno nie wpuszczą cię o tej porze.

# 2

A jednak wpuścili. Tłumaczenie, że mam lekcje, a potem trening baseballu, nie zrobiło na recepcjonistce większego wrażenia, ale kiedy jej powiedziałem, że to ja wezwałem karetkę, od razu zmieniła zdanie.

– Trzecie piętro, sala trzysta dwadzieścia dwa. Windy są po prawej.

Kiedy szedłem korytarzem na trzecim piętrze, inna pielęgniarka spytała mnie, czy przyszedłem do Howarda Bowditcha. Potwierdziłem i spytałem, jak się czuje.

– Miał już jedną operację i będzie potrzebował następnej. Potem czekają go zabiegi fizjoterapeutyczne i długa rekonwalescencja. Prawdopodobnie zajmie się tym Melissa Wilcox. To było wyjątkowo paskudne złamanie, w dodatku praktycznie całkiem zniszczył sobie staw biodrowy. Trzeba będzie wstawić endoprotezę, inaczej resztę życia spędzi na wózku, fizjoterapia w niczym tu nie pomoże.

– Jezu… – jęknąłem. – Wie o tym?

– Lekarz, który nastawiał kości, powiedział mu tyle, ile na razie powinien wiedzieć. To ty wezwałeś karetkę?

– Tak, proszę pani.

– Być może uratowałeś mu życie. Gdyby po takim szoku musiał spędzić całą noc na zewnątrz… – Kobieta pokręciła wymownie głową.

– Uratował go pies. Usłyszałem jego wycie.

– I to pies zadzwonił pod dziewięćset jedenaście?

Musiałem przyznać, że ja to zrobiłem.

– Jeśli chcesz się z nim zobaczyć, to lepiej się pospiesz. Właśnie dałam mu zastrzyk przeciwbólowy, niedługo pewnie zaśnie. Nie dość, że jest cały

połamany, to jeszcze ma sporą niedowagę. Łatwy łup dla osteoporozy. Masz jakieś piętnaście minut, zanim odpłynie.

## 3

Noga pana Bowditcha wisiała na wyciągu, który wyglądał jak żywcem wyjęty z komedii z lat trzydziestych… Tyle że pacjentowi wcale nie było do śmiechu. Mnie też. Bruzdy na jego twarzy wydawały się głębsze, jakby sięgały w głąb czaszki. Ciemne półkola pod oczami były jeszcze ciemniejsze. Włosy jakby się przerzedziły, a rude pasma wyblakły. Miał chyba współlokatora, nie widziałem go jednak, bo salę przedzielała na pół gruba zielona zasłona. Na mój widok pan Bowditch próbował przesunąć się w górę łóżka, lecz skończyło się to tylko na grymasie bólu i głośnym syknięciu.

– Cześć. Przypomnisz mi, jak masz na imię? Może już mówiłeś, ale naprawdę nie pamiętam. Biorąc pod uwagę okoliczności, chyba nie będziesz miał mi tego za złe.

Ja też tego nie pamiętałem, więc przedstawiłem mu się ponownie (albo pierwszy raz) i spytałem, jak się czuje.

– Wyjątkowo gównianie. Spójrz tylko na mnie.

– Przykro mi.

– Nie tak jak mnie. – Potem, siląc się na uprzejmość, dodał: – Dziękuję ci, młody panie Reade. Mówią, że uratowałeś mi życie. Mam wrażenie, że teraz i tak jest niewiele warte, ale jak podobno powiedział Budda,

„Wszystko się zmienia”. Czasami na lepsze, choć doświadczenie mówi mi, że takie zmiany są wyjątkowo rzadkie.

Powiedziałem mu – podobnie jak tacie, ratownikom i pani Richland – że tak naprawdę uratował go pies. Gdybym nie usłyszał jego wycia, pojechałbym dalej.

– Jak ona się miewa?

– Dobrze. – Usiadłem na krześle przy łóżku i pokazałem mu zdjęcia Radar z małpką, które zrobiłem w jego domu. Przejrzał je wszystkie kilkakrotnie (musiałem mu pokazać, jak się je przesuwa). Chyba poprawiło mu to trochę humor, choć oczywiście nie mogło przywrócić zdrowia. Jak twierdziła pielęgniarka, czekała go długa rekonwalescencja.

Kiedy oddał mi telefon, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Nie powiedzieli mi, jak długo będę musiał tkwić w tym cholernym szpitalu, ale nie jestem głupi, wiem, że to trochę potrwa. Pewnie będę musiał pomyśleć o uśpieniu Radar. Miała dobre życie, ale teraz jej stawy…

– Jezu, proszę tego nie robić – przerwałem mu, zaniepokojony. – Zaopiekuję się nią. Chętnie się tym zajmę.

Spojrzał na mnie z uwagą. Po raz pierwszy nie dostrzegłem na jego twarzy wyrazu irytacji lub rezygnacji.

– Zrobiłbyś to? Mogę ci zaufać?

– Tak. Kończy jej się jedzenie, ale mój tata kupi dziś worek tej karmy Orijen. Szósta rano, szósta wieczorem. Będę tam. Może pan na mnie liczyć.

Wyciągnął do mnie rękę, może by ująć moją dłoń albo przynajmniej ją poklepać. Pozwoliłbym na to, ale staruszek cofnął rękę, jakby nagle się rozmyślił.

– To… bardzo miłe z twojej strony.

– Lubię ją. A ona lubi mnie.

– Tak? Świetnie. To nie jest zła staruszka. – Jego oczy robiły się szkliste, a głos bełkotliwy. Środki, które podała mu pielęgniarka, zaczynały działać. – Jest naprawdę miła, choć wszystkie dzieciaki z okolicy cholernie się jej bały. I dobrze. Wścibskie bachory, przynajmniej większość z nich. Wścibskie i hałaśliwe. A włamywacze? Nie ma mowy. Gdyby usłyszeli Radar, pogubiliby nogi. Ale teraz jest już stara. – Westchnął, a potem zakaszlał i skrzywił się z bólu. – I nie tylko ona.

– Będę się o nią troszczył jak należy. Może zabiorę ją na dół, do mojego domu.

Pan Bowditch oprzytomniał nieco, gdy usłyszał tę propozycję.

– Nigdzie nie wychodziła, odkąd wziąłem ją jako szczenię. Zawsze była tylko w moim domu… na podwórzu…

– Pani Richland mówiła, że chodził pan z nią na spacery.

– Ta wścibska baba z naprzeciwka? No tak, ma rację. Chodziliśmy na spacery. Kiedy jeszcze Radar nie męczyła się tak szybko. Teraz bałbym się zabrać ją gdziekolwiek dalej. Co by się stało, gdybym wyprowadził ją na Sosnową, a ona nie mogłaby wrócić? – Spojrzał na swoją nogę. – Teraz to ja nie mógłbym wrócić. Ani dokądkolwiek pójść.

– Nie będę jej męczył. No wie pan, przesilał.

Uspokoił się.

– Zapłacę ci… za jej karmę. I za twój czas.

– Proszę się tym nie przejmować.

– Może kiedy wrócę do domu, jeszcze przez jakiś czas będzie sobie radzić… Jeśli wrócę do domu.

– Wróci pan.

– Skoro masz… ją karmić… mów mi po imieniu… Howard.

Nie wiedziałem, czy się na to zdobędę, ale skinąłem głową.

– Może przyniesiesz mi jeszcze jakieś zdjęcia?

– Jasne. Lepiej już pójdę, panie… Howard. Powinien pan odpocząć.

– Nie mam wyboru. – Zamknął oczy, lecz po chwili powoli uniósł powieki. – Nie wiem, co mi dała ta pielęgniarka, ale… uuu! Mocna rzecz.

Ponownie zamknął oczy. Wstałem i ruszyłem do drzwi.

– Chłopcze… Powiedz mi jeszcze raz… jak masz na imię…

– Charlie.

– Dziękuję ci, Charlie. Pomyślałem, że może… dam jej jeszcze jedną szansę. Ja już nie chcę… raz mi wystarczy… życie staje się ciężarem… Jeśli pożyjesz wystarczająco długo, sam to zrozumiesz. Ale ona… Radar… a potem się zestarzałem i spadłem z tej cholernej drabiny…

– Przyniosę panu nowe zdjęcia.

– Zrób to.

Odwróciłem się do wyjścia i wtedy pan Bowditch znowu się odezwał, choć tym razem chyba nie mówił do mnie.

– Dzielny człowiek pomaga, a tchórz tylko przynosi prezenty.

Potem umilkł i zaczął chrapać.

Gdy szedłem do windy, zobaczyłem pielęgniarkę, z którą wcześniej rozmawiałem. Wyszła właśnie z innej sali, niosąc foliowy worek z czymś, co wyglądało jak mętne siki. Zobaczyła mnie i zakryła pojemnik ręcznikiem. Spytała, czy wizyta była udana.

– Tak, ale pod koniec mówił już trochę bez sensu.

Uśmiechnęła się.

– Tak działa petydyna. Idź już. Powinieneś być w szkole.

# 4

Nim dotarłem do Hillview, druga lekcja trwała już od dziesięciu minut, a korytarze były puste. Poszedłem do sekretariatu, żeby usprawiedliwić spóźnienie u pani Silvius, miłej starszej damy z przerażającą niebieską fryzurą. Miała już co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, dużo powyżej wieku emerytalnego, ale wciąż była bystra i zachowywała niewzruszoną pogodę ducha. Myślę, że pogoda ducha to rzecz konieczna, kiedy człowiek na co dzień zadaje się z nastolatkami.

– Słyszałam, że wczoraj uratowałeś człowiekowi życie – zagaiła, wypisując mi usprawiedliwienie.

– Kto pani to powiedział?

– Mały ptaszek. Ćwir, ćwir, ćwir. Plotki szybko się rozchodzą, Charlie.

Wziąłem od niej karteczkę.

– Właściwie to nie ja uratowałem tego faceta, tylko jego pies. Usłyszałem jego wycie. – Męczyło mnie już powtarzanie tej historii, bo i tak nikt mi nie wierzył. Co wydawało mi się dziwne. Myślałem, że wszyscy lubią opowieści o bohaterskich psach. – Ja tylko zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście.

– Skoro tak mówisz… A teraz zmykaj na lekcje.

– Mogę najpierw coś pani pokazać?

– Dobrze, ale szybko.

Wyjąłem telefon i pokazałem jej zdjęcie telewizora pana Bowditcha, które zrobiłem w jego mieszkaniu.

– To na górze to antena, prawda?

– Tak, nazywaliśmy ją króliczymi uszami – odparła pani Silvius. Na jej twarzy pojawił się uśmiech bardzo podobny do tego, który widziałem

u pana Bowditcha, gdy oglądał zdjęcia Radar z jej małpką. – Nakładaliśmy folię na końcówki, bo podobno to poprawiało odbiór. Ale spójrz tylko na ten telewizor, Charlie! Mój Boże! Czy on działa?

– Nie wiem. Nie sprawdzałem.

– Pierwszy telewizor, jaki kiedykolwiek mieliśmy, wyglądał właśnie tak. Nazywał się Zenith. Był tak ciężki, że mój ojciec nadwerężył sobie plecy, kiedy wnosił go do mieszkania. Oglądaliśmy wtedy telewizję całymi godzinami! *Annie Oakley, Dziki Bill Hickok, Captain Kangaroo, Crusader Rabbit*… Boże, aż bolała nas od tego głowa! Kiedyś się zepsuł i obraz ciągle przesuwał się w górę, więc ojciec wezwał serwisanta, który przyniósł całą torbę lamp.

– Lamp?

– Lamp elektronowych. Świeciły na pomarańczowo, jak starodawne żarówki. Wymienił tę, która się spaliła, i znów wszystko działało. – Spojrzała ponownie na zdjęcie w moim telefonie. – Lampy w tym starociu spaliłyby się już dawno temu.

– Pan Bowditch pewnie kupił nowe na eBayu albo Craigsliście – odparłem. – W internecie można teraz kupić wszystko. Jeśli tylko ma się dość pieniędzy.

Tyle że nie sądziłem, by pan Bowditch w ogóle korzystał z internetu.

Pani Silvius oddała mi telefon.

– No już, Charlie, zmykaj. Fizyka czeka.

# 5

Po południu podczas treningu trener Harkness czepiał się mnie jak rzep psiego ogona. Albo, ujmując to trafniej, jak mucha gówna. Bo i moja gra była gówniana. Kiedy ćwiczyliśmy pracę nóg między trzema punktami, ciągle myliłem kierunki, a raz próbowałem nawet pobiec w obu naraz i wylądowałem na tyłku, co wywołało ogólne rozbawienie. Później, gdy ćwiczyliśmy zmianę baz, nie zdążyłem na swoją pozycję, więc piłka od drugiego bazowego przemknęła obok miejsca, w którym powinienem był stać, i odbiła się od ściany sali. Kiedy trener rzucił piłkę po ziemi, wzdłuż linii, dobiegłem do niej, lecz nie sięgnąłem na czas ręką i piłka przetoczyła się powoli między moimi nogami. Ale kroplą, która przelała czarę goryczy, było ćwiczenie wolnych uderzeń, bo wciąż wybijałem piłkę daleko na boisko, zamiast odbić ją lekko, by poleciała wzdłuż linii trzeciej bazy.

Trener zerwał się z krzesełka i ruszył w stronę bazy. Jego wielki brzuch kołysał się miarowo na boki, podobnie jak gwizdek wiszący między całkiem sporymi piersiami.

– Jezu Chryste, Reade! Zachowujesz się jak stara baba! Przestań walić w tę piłkę, tylko opuść kij, żeby się od niego odbiła. Ile razy muszę ci to mówić? – Pochwycił kij, odepchnął mnie na bok i odwrócił się do Randy’ego Morgana, który tego dnia pełnił funkcję miotacza. – Rzucaj! I przyłóż się do tego, psiakrew!

Randy rzucił najmocniej, jak potrafił. Trener pochylił się i ułożył kij dokładnie tak, jak należało. Piłka potoczyła się wzdłuż linii trzeciej bazy. Steve Dombrowski rzucił się do niej i próbował ją złapać gołą ręką, ale nie zdążył.

Trener odwrócił się do mnie.

– Widziałeś? Tak się to robi! Nie wiem, o czym myślisz, ale na pewno nie o grze, więc weź się w końcu w garść!

Miał rację, bo cały czas myślałem o Radar, która czekała na mnie w domu pana Bowditcha. Dwanaście godzin dla mnie, może trzy i pół doby dla niej. Nie wiedziała, dlaczego została sama, a pies nie będzie się bawił piszczącą małpką, jeśli nikt mu jej nie rzuci. Czy starała się nie napaskudzić w domu, czy też – skoro jej klapa była zamknięta – już to zrobiła? Jeśli tak, może nie rozumieć, że to nie jej wina. Do tego jeszcze ten zachwaszczony trawnik i krzywy płot… Myślałem właśnie o tym wszystkim.

Trener wręczył mi kij.

– Skup się i zrób to porządnie.

Randy nie próbował się wysilać, wykonał prosty rzut, który nie powinien był sprawić mi większych problemów, ale ja wziąłem zamach… i wybiłem piłkę w górę. Randy nie musiał nawet ruszać się z miejsca, żeby ją złapać.

– Dość tego – warknął trener. – Robisz piątkę.

Piątkę, czyli pięć okrążeń wokół sali.

– Nie.

Nagle zapadła głucha cisza. Zarówno w naszej połowie, jak i w tej, w której dziewczyny trenowały siatkówkę. Wszyscy patrzyli na nas. Randy podniósł rękawicę do twarzy, może by ukryć uśmiech.

Trener oparł dłonie na swoich tłustych biodrach.

– Coś ty powiedział?

Nie rzuciłem kijem, bo nie byłem wcale rozzłoszczony. Po prostu podałem go trenerowi, a ten odruchowo go odebrał, kompletnie zaskoczony.

– Powiedziałem „nie”. To koniec.

Ruszyłem w stronę drzwi do szatni.

– Wracaj tu natychmiast, Reade!

Nawet nie pokręciłem głową, po prostu szedłem dalej.

– Masz wrócić teraz, a nie kiedy się uspokoisz! Bo potem będzie za późno!

Tylko że ja byłem spokojny. Spokojny i wyluzowany. A nawet ucieszony, jak w chwili, gdy znajdujesz rozwiązanie zadania z matematyki, które okazuje się o wiele łatwiejsze, niż myślałeś.

– Do jasnej cholery, Reade! – Miałem wrażenie, że w jego głosie pojawiły się nuty paniki. Może dlatego, że byłem jego najlepszym pałkarzem, a może dlatego, że świadkami tego buntu byli wszyscy pozostali członkowie drużyny. – Wracaj tu! Zwycięzcy nigdy nie rezygnują, a mięczaki nigdy nie wygrywają!

– Więc może mnie pan nazywać mięczakiem.

Poszedłem do szatni i przebrałem się. To był koniec mojej kariery baseballowej w liceum Hillview. Czy jej żałowałem? Nie. Czy żałowałem, że zawiodłem kolegów z drużyny? Trochę, ale jak lubił podkreślać trener, w drużynie nie ma „ja”. Musieli poradzić sobie beze mnie. Ja miałem inne sprawy na głowie.

## 6

Wyjąłem pocztę ze skrzynki pana Bowditcha – żadnych prywatnych listów, zwykły spam – i otworzyłem tylne drzwi. Radar nie była w stanie na mnie wskoczyć, miała chyba wyjątkowo kiepski dzień, więc ująłem ją delikatnie

za przednie łapy, podniosłem je i oparłem o mój brzuch, żebym mógł pogłaskać jej uniesiony łeb. Kilka razy pogłaskałem też jej siwiejący pysk. Zeszła ostrożnie na trawę i załatwiła co trzeba. Potem znów zmierzyła schody taksującym spojrzeniem i rozpoczęła mozolną wspinaczkę. Kiedy dotarła na górę, powiedziałem jej, że jest grzeczną sunią i że trener Harkness byłby z niej dumny.

Rzuciłem jej kilka razy piszczącą małpkę i zrobiłem parę zdjęć. W koszyku leżały inne piszczące zabawki, ale małpka najwyraźniej była jej ulubienicą.

Podreptała za mną, gdy wyszedłem na zewnątrz, by podnieść porzuconą w trawie drabinę. Przeniosłem ją do szopy, zobaczyłem wielką kłódkę na drzwiach i po prostu oparłem drabinę o ścianę pod okapem. Kiedy to robiłem, Radar zaczęła warczeć. Przypadła do ziemi jakieś siedem metrów przed drzwiami szopy, położyła uszy po sobie i odsłoniła zęby.

– O co chodzi, mała? Jeśli wlazł tam skunks albo świstak, i tak nie mogę z tym…

Zza drzwi doszedł odgłos drapania, a potem dziwaczny szczebiotliwy dźwięk, od którego włosy na karku stanęły mi dęba. To nie był głos zwierzęcia. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego. Radar szczeknęła, potem zaskomlała i w końcu zaczęła się wycofywać, wciąż szorując brzuchem po ziemi. Ja też miałem ochotę uciec, ale opanowałem się, uderzyłem pięścią w drzwi i trochę odczekałem. Cisza. Mógłbym uznać, że był to tylko wytwór mojej wyobraźni, gdyby nie reakcja Radar, ale tak czy inaczej nie mogłem z tym nic zrobić. Drzwi były zamknięte na kłódkę, a szopa nie miała okien.

Jeszcze raz uderzyłem pięścią w deski, niemal jakbym ponownie chciał wywołać tajemniczy dźwięk. Nie doczekałem się żadnej reakcji, więc ruszyłem z powrotem do domu. Radar podniosła się powoli i poszła za

mną. Po drodze obejrzałem się i zauważyłem, że moja towarzyszka robi to samo.

## 7

Przez chwilę rzucałem Radar małpkę. Kiedy położyła się na linoleum i obdarzyła mnie spojrzeniem, które mówiło „Na dziś wystarczy”, zadzwoniłem do taty i powiedziałem mu, że zrezygnowałem z baseballu.

– Wiem – odparł. – Trener Harkness już do mnie dzwonił. Mówił, że trochę się posprzeczaliście, jest jednak gotów przyjąć cię z powrotem, pod warunkiem że przeprosisz najpierw jego, a potem całą drużynę. Bo ich zawiodłeś, jak twierdzi.

To było irytujące, ale i zabawne.

– Tata, to nie były finały stanowe, tylko trening na sali. A on zachowywał się jak fiut.

Choć właściwie byłem do tego przyzwyczajony, wszyscy byliśmy. Zdjęcie trenera H. mogłoby się znaleźć w słowniku obok hasła „fiut”.

– Czy to oznacza, że nie zamierzasz przepraszać?

– Mógłbym przeprosić za to, że nie skupiałem się na ćwiczeniach, bo tak rzeczywiście było. Myślałem o panu Bowditchu. I o Radar. I o tym domu. Nie sypie się jeszcze, ale niedługo zacznie. Mógłbym tam sporo zrobić, gdybym miał czas, a teraz mam.

Ojciec przetwarzał to przez kilka sekund, po czym odparł:

– Chyba nie rozumiem, dlaczego uważasz, że to konieczne. Opieka nad psem to jedno, to micwa, ale sam Bowditch? Przecież nic o nim nie wiesz.

Co mogłem mu odpowiedzieć? Czy miałem tłumaczyć tacie, że mam umowę z Bogiem? Gdyby nawet był na tyle miły, by się nie roześmiać (a pewnie byłby), powiedziałby prawdopodobnie, że takie myślenie przystoi tylko dzieciom, ewangelikom i telemaniakom, którzy wierzą, że jakaś magiczna poduszka albo dieta uleczy wszystkie ich schorzenia. W najgorszym wypadku mógłby pomyśleć, że próbuję przypisać sobie zasługę za jego trzeźwość, którą tak dzielnie utrzymywał.

Do tego dochodziło coś jeszcze: to była sprawa osobista. Wyłącznie moja.

– Charlie? Jesteś tam?

– Tak. Mogę tylko powiedzieć, że chcę zrobić, co w mojej mocy, dopóki on nie stanie znów na nogach.

Tata westchnął ciężko.

– Nie jest dzieckiem, które spadło z jabłoni i złamało sobie rękę. Jest stary. Być może już nigdy nie stanie na nogach. Pomyślałeś o tym?

Nie, nie myślałem o tym w ten sposób i nie widziałem powodu, dla którego miałbym to robić.

– Sam wiesz, jak mówią w waszym programie: „Żyj dniem dzisiejszym”.

Zaśmiał się.

– Mówimy też, że przeszłość to historia, a przyszłość to tajemnica.

– Świetne, tata. Więc możemy już zamknąć temat baseballu?

– Tak, ale gdybyś na koniec sezonu wystąpił w rozgrywkach stanowych, mógłbyś to wpisać do podania na studia, miałbyś dodatkowy atut. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem.

– A co z futbolem? To też chcesz zostawić?

– Na razie nie. – Podczas treningów futbolu nie miałbym przynajmniej do czynienia z trenerem Harknessem. – Treningi zaczynają się dopiero w sierpniu, do tego czasu pan Bowditch może już wydobrzeje.

– Albo nie.

– Albo nie – przyznałem. – Przyszłość to tajemnica.

– Owszem. Kiedy pomyślę o tym wieczorze, gdy twoja mama postanowiła pójść do Zippy’ego…

Umilkł. Ja też nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Zrób dla mnie jedno, Charlie. Przyszedł do mnie dziennikarz z „The Weekly Sun” i poprosił o twoje dane kontaktowe. Nie dałem mu ich, ale mam jego telefon. Chce porozmawiać o tym, jak uratowałeś Bowditcha. Wrażliwość na drugiego człowieka i tak dalej. Myślę, że powinieneś to zrobić.

– Tak naprawdę to nie ja go uratowałem, to Radar…

– Możesz mu to powiedzieć. Ale gdyby na uczelniach, do których będziesz aplikował, chcieli wiedzieć, dlaczego zrezygnowałeś z baseballu, taki artykuł…

– Rozumiem. Daj mi jego numer.

Tata przesłał mi numer, a ja wpisałem go do kontaktów.

– Będziesz w domu na kolację?

– Gdy tylko nakarmię Radar.

– Dobrze. Kocham cię, Charlie.

Powiedziałem mu, że też go kocham. Co było prawdą. Dobry człowiek z tego mojego ojca. Miał chwile słabości, ale poradził sobie z nimi. Nie każdemu się to udaje.

# 8

Kiedy już nakarmiłem Radar i powiedziałem jej, że wrócę następnego dnia z samego rana, poszedłem do szopy. Właściwie wcale nie chciałem tego robić, bo ten mały budynek bez okien roztaczał wokół siebie jakąś wyjątkowo nieprzyjemną aurę, zwłaszcza w chłodny kwietniowy wieczór, ale przemogłem się. Stanąłem przed zamkniętymi na kłódkę drzwiami i słuchałem. Żadnego drapania. Żadnych świergotliwych dźwięków, jakie wydają obcy w filmach science fiction. Nie chciałem też walić pięścią w drzwi, ale i tym razem przełamałem się i uderzyłem. Dwa razy. Mocno.

Nic. Co za ulga!

Wsiadłem na rower, zjechałem w dół ulicy Jaworowej, wrzuciłem rękawicę na górną półkę szafy, a potem patrzyłem na nią jeszcze przez chwilę, nim zamknąłem drzwi. W sumie baseball to fajna gra. Nic nie może się równać z wygraną w dziewiątej zmianie albo z podróżą powrotną autobusem po zwycięstwie na wyjeździe, gdy wszyscy się śmieją, wygłupiają i klepią po tyłkach. Więc owszem, trochę szkoda, ale właściwie nie za bardzo. Pomyślałem o powiedzeniu Buddy – „Wszystko się zmienia” – i uznałem, że w tych trzech niepozornych słowach kryje się sporo prawdy. Cholernie dużo prawdy.

Zadzwoniłem do dziennikarza. „The Weekly Sun” był darmowym tygodnikiem, zawierającym trochę wiadomości lokalnych i sportowych oraz całą masę reklam. Przy drzwiach u Zippy’ego zawsze była sterta tych gazet, ułożona na stojaku z napisem WEŹ JEDNĄ, do którego jakiś dowcipniś dopisał WEŹ WSZYSTKIE. Dziennikarz nazywał się Bill Harriman. Odpowiedziałem na jego pytania, raz jeszcze przypisując niemal

całą zasługę Radar. Harriman spytał, czy mógłby zrobić nam obojgu zdjęcie.

– Boże, nie wiem. Musiałbym spytać o zgodę pana Bowditcha, a on leży w szpitalu.

– Proszę go spytać jutro albo pojutrze, dobrze? W piątek muszę mieć gotowy artykuł, puścimy go w przyszłym tygodniu.

– Spytam, jeśli tylko będę mógł, ale zdaje się, że miał mieć następną operację. Nie wiem, czy pozwolą mi się z nim zobaczyć, a naprawdę nie mogę tego zrobić bez jego zgody.

Nie chciałem, żeby pan Bowditch się na mnie wściekł, a był przecież facetem, któremu przychodziło to bardzo łatwo. Później znalazłem słowo opisujące takich ludzi: mizantrop.

– Jasne, jasne. Daj mi tylko znać, czy ci się udało, czy nie. A przy okazji, czy to nie ty jesteś tym dzieciakiem, który zaliczył zwycięskie przyłożenie w meczu ze Stanford Prep w ostatnie Święto Dziękczynienia?

– Tak, to ja, ale to nie był finał ligi czy coś w tym rodzaju. A poza tym zaczynaliśmy zaraz przy ich linii końcowej, więc właściwie tylko przepchnąłem piłkę.

Roześmiał się.

– Skromniś! Podoba mi się to. Zadzwoń do mnie, Charlie.

Obiecałem, że to zrobię, i wróciłem do domu, żeby przez chwilę pooglądać z tatą telewizję, a potem zabrać się do nauki. Zastanawiałem się, jak radzi sobie Radar. Miałem nadzieję, że dobrze. Przyzwyczajała się do nowego rytmu dnia. Znów pomyślałem o tym powiedzeniu Buddy. To było coś, czego warto się trzymać.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## Odwiedziny u pana Bowditcha. Andy Chen. Piwnica. W Innych wiadomościach. Spotkanie w szpitalu.

### 1

Kiedy następnego dnia pojawiłem się rano w domu przy Jaworowej 1, Radar przywitała mnie z entuzjazmem, ale bez szaleństw, pomyślałem więc, że zaczyna się już przyzwyczajać do nowego porządku. Załatwiła poranne potrzeby, pochłonęła śniadanie (tata przywiózł do domu dwunastokilogramową torbę jej karmy), a potem chciała się bawić małpką. Miałem jeszcze trochę czasu, gdy się tym zmęczyła, więc przeszedłem do salonu, żeby sprawdzić, czy stary telewizor działa. Zmarnowałem trochę czasu na poszukiwania pilota, ale oczywiście odbiornik pana Bowditcha pochodził z przedpilotowej epoki rozrywki domowej. Pod ekranem znajdowały się dwa duże pokrętła. Wokół tego prawego widniały kolejne numery – pewnie kanały – więc przekręciłem to po lewej.

Buczenie dochodzące z telewizora nie było tak przerażające jak odgłosy z szopy, mimo to trochę mnie zaniepokoiło. Cofnąłem się o krok, modląc się w duchu, by odbiornik nie eksplodował. Po chwili na ekranie pojawił się program *Today*; Matt Lauer i Savannah Guthrie rozmawiali z kilkoma

politykami. Nie był to obraz 4K – ani nawet 1K. Ale był. Próbowałem poruszyć anteną, którą pani Silvius nazwała króliczymi uszami. Obróciłem ją nieco w jedną stronę i obraz trochę się poprawił (minimalnie). Potem przesunąłem ją w drugą i wtedy *Today* zniknęło w szumiącej śnieżycy. Zajrzałem za telewizor. W obudowie z tyłu urządzenia znajdowało się mnóstwo małych otworków, przez które wypływało rozgrzane powietrze – było naprawdę gorące – dzięki czemu mogłem dojrzeć pomarańczowy blask lamp elektronowych. Byłem pewien, że to właśnie z nich wydobywał się ten buczący dźwięk.

Gdy wyłączyłem telewizor, pomyślałem o tym, jakie to musiało być irytujące wstawać z kanapy za każdym razem, kiedy chciało się zmienić kanał. Powiedziałem Radar, że muszę iść do szkoły, ale najpierw powinienem zrobić jeszcze jedno zdjęcie.

– Możesz potrzymać ją przez chwilę w pysku? – poprosiłem, podając jej piszczącą zabawkę. – To naprawdę urocze.

Radar z radością spełniła moją prośbę.

## 2

Nie musiałem już iść na trening baseballu, więc udało mi się dotrzeć do szpitala wczesnym popołudniem. W recepcji spytałem, czy Howard Bowditch może przyjmować dziś gości – ostatnio pielęgniarka powiedziała mi, że będzie potrzebował jeszcze jednej operacji. Recepcjonistka sprawdziła coś w komputerze i odparła, że mogę do niego pójść. Kiedy odwróciłem się w stronę wind, poprosiła, żebym jeszcze chwilę poczekał,

bo ma dla mnie formularz do wypełnienia. Chodziło o informacje w rubryce *W nagłym wypadku powiadomić*. Pacjentem, który o to prosił, był Howard Adrian Bowditch. Wpisał mnie do rubryki jako Charlesa Reeda.

– To ty, prawda? – spytała kobieta.

– Tak, ale nazwisko pisze się inaczej. – Przekreśliłem *Reed* i wpisałem drukowanymi literami *Reade*. – Powiedział, żeby kontaktować się ze mną? Nie ma nikogo innego? Brata albo siostry? Bo jestem chyba za młody, żeby podejmować jakieś ważne decyzje, na przykład gdyby… – Nie chciałem kończyć, a ona wcale ode mnie tego nie oczekiwała.

– Podpisał DNR, zanim zabrali go na operację. A ten formularz jest tylko po to, żebyś mu pomógł w razie potrzeby, coś przyniósł albo załatwił.

– Co to jest DNR?

Wyjaśniła mi, co to oznacza: że pacjent nie chce, by go reanimowano, choć właściwie wolałbym tego nie wiedzieć. Nie odpowiedziała na moje pytanie o krewnych, bo pewnie nie wiedziała. Niby skąd miałaby wiedzieć? Wpisałem do formularza swój adres, mail i numer komórki. Potem poszedłem na górę, myśląc po drodze o tym, że jest jeszcze cholernie dużo rzeczy, których nie wiem o Howardzie Adrianie Bowditchu.

## 3

Nie spał, a jego noga nie wisiała już na wyciągu, ale sądząc po szklistym spojrzeniu i bełkotliwej mowie, był czymś porządnie nafaszerowany.

– Znowu ty – rzucił, co nie zabrzmiało do końca jak „Ogromnie się cieszę, że cię widzę, Charlie”.

– Znowu ja.

Wtedy się uśmiechnął. Gdybym lepiej go znał, poradziłbym mu, żeby robił to częściej.

– Przysuń sobie krzesło i powiedz mi, jak ci się to podoba – powiedział.

Był przykryty do pasa kocem. Odrzucił go teraz na bok, odsłaniając skomplikowaną metalową konstrukcję, która obejmowała jego nogę od goleni po górną część uda. Kilka cienkich prętów wbijało się w jego ciało, a miejsca, w których przechodziły przez skórę, były szczelnie obłożone opatrunkami ciemnymi od zakrzepłej krwi. Kolano okryte grubą warstwą bandażu wydawało się wielkie jak bochen chleba. Z bandaży wystawało kilka kolejnych stalowych prętów.

Zobaczył moją minę i zachichotał.

– Wygląda jak jakieś narzędzie tortur z czasów inkwizycji, prawda? Nazywają to zewnętrznym stabilizatorem.

– Boli? – Pomyślałem poniewczasie, że to chyba najgłupsze pytanie roku. Te cienkie pręty ze stali nierdzewnej przechodziły na pewno przez jego kości.

– Musi boleć, ale na szczęście mam to. – Podniósł lewą rękę. Trzymał w niej gadżet przypominający trochę pilota, którego nie miał jego staromodny telewizor. – Pompa do znieczulenia. Teoretycznie pozwala podać akurat tyle środków, żebym nie czuł bólu, a jednocześnie nie był na haju. Ale ponieważ dotąd nie używałem niczego silniejszego od aspiryny, mam chyba niezły odlot.

– Chyba tak – przyznałem i tym razem pan Bowditch nie zachichotał, lecz parsknął głośno śmiechem. Śmiałem się razem z nim.

– Pewnie będzie bolało. – Dotknął stabilizatora, który składał się z serii metalowych pierścieni otaczających jego nogę, tak ciemną od siniaków, że sam jej widok był bolesny. – Wiem od lekarza, który umocował mi to dziś rano, że takie urządzenia wymyślili Rosjanie podczas bitwy stalingradzkiej. – Dotknął jednego z prętów, tuż nad okrwawionym opatrunkiem. – Ruscy robili te pręty stabilizujące ze szprych rowerowych.

– Jak długo będzie pan to miał?

– Sześć tygodni, jeśli wszystko będzie się dobrze goiło. Trzy miesiące, jeśli nie będę miał tyle szczęścia. Włożyli mi jakieś dziwne śruby, zdaje się, że niektóre tytanowe, ale zanim zdejmą ten stabilizator, noga całkiem zesztywnieje. Fizjoterapia podobno pozwoli ją rozruszać, tylko że jak mi powiedziano, ta terapia „będzie powodowała znaczący dyskomfort”. Jako ktoś, kto zna Nietzschego, chyba potrafisz to sobie przetłumaczyć.

– To znaczy, że będzie bolało jak cholera.

Miałem nadzieję, że znów usłyszę jego śmiech – albo przynajmniej chichot – ale pan Bowditch uśmiechnął się tylko słabo i dwukrotnie nacisnął kciukiem guzik urządzenia dozującego znieczulenie.

– Przypuszczam, że masz całkowitą rację – powiedział. – Gdybym miał dość szczęścia i opuścił ten padół łez podczas operacji, oszczędziłbym sobie tego „znaczącego dyskomfortu”.

– Tak naprawdę wcale pan tak nie myśli.

Zmarszczył siwe krzaczaste brwi.

– Nie mów mi, co myślę. To mi ubliża, a ty robisz z siebie głupca. Wiem, co mnie czeka. – Potem, niemal z niechęcią, dodał: – Dziękuję, że przyszedłeś się ze mną zobaczyć. Jak się miewa Radar?

– Dobrze.

Pokazałem mu nowe zdjęcia. Przyglądał się dłużej temu, na którym Radar siedziała z małpką w pysku. W końcu oddał mi telefon.

– Chciałby pan, żebym wydrukował któreś z nich? Nie ma pan telefonu, więc nie mogę ich panu przesłać.

– Jasne, że chciałbym. Dziękuję, że ją karmisz. I okazujesz jej serdeczność. Jestem pewien, że ona to docenia. Ja też.

– Lubię ją, panie Bowditch…

– Howard.

– Howard, właśnie. Chciałbym skosić trawnik przy pańskim domu, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Czy w szopie jest kosiarka?

Spojrzał na mnie z niepokojem i odłożył pompkę na łóżko.

– Nie. W szopie nic nie ma… To znaczy nic przydatnego.

„Więc dlaczego jest zamknięta na kłódkę?”, mógłbym spytać, wiedziałem jednak, że lepiej tego nie robić.

– W takim razie przyniosę naszą. Mieszkamy na drugim końcu tej samej ulicy.

Westchnął ciężko, jakby był to problem, który go przerasta. Biorąc pod uwagę jego stan, tak właśnie mogło być.

– Dlaczego miałbyś to robić? Dla pieniędzy? Szukasz pracy?

– Nie.

– Więc dlaczego?

– Prawdę mówiąc, nie chciałbym o tym mówić. Założę się, że są takie rzeczy, o których pan też nie chce rozmawiać. – Na przykład pojemnik na mąkę. Albo szopa.

Nie zachichotał, ale jego usta drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Całkiem słusznie. To taka chińska filozofia? Ratujesz człowiekowi życie, więc potem jesteś za niego odpowiedzialny?

– Nie. – Chodziło o życie mojego ojca. – Nie możemy się jakoś dogadać? Skoszę panu trawę i może naprawię płot od frontu. Jeśli pan chce.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Potem ze zdumiewającą przenikliwością spytał:

– Czy jeśli się zgodzę, wyświadczę ci przysługę?

Uśmiechnąłem się.

– Właściwie tak właśnie będzie.

– W porządku, zgoda. Ale kosiarka nadgryzłaby tylko te chaszcze i padła. W piwnicy jest trochę narzędzi. Większość z nich do niczego się już nie nadaje, ale znajdziesz chyba kosę, którą można przyciąć to zielsko na tyle, żeby potem poradziła sobie z tym kosiarka. Musisz tylko zetrzeć rdzę i naostrzyć ją. Kto wie, może na stole leży nawet osełka. Tylko nie pozwól Radar tam wchodzić. Schody są strome, mogłaby spaść i zrobić sobie krzywdę.

– Jasne. A drabina? Co mam z nią zrobić?

– Schowaj ją pod tylną werandą. Szkoda, że jej tam nie zostawiłem, wtedy nie trafiłbym tutaj. Przeklęci lekarze i ich przeklęte złe wieści. Coś jeszcze?

– Właściwie… Dziennikarz z „The Weekly Sun” chce napisać o mnie artykuł.

Pan Bowditch przewrócił oczami.

– Z tego szmatławca. Zgodzisz się?

– Mój tata chce, żebym się zgodził. Mówi, że warto mieć coś takiego w podaniu na studia.

– Może rzeczywiście warto. Choć… To nie to samo co „The New York Crimes”, prawda?

– Ten facet chciałby zrobić mi zdjęcie z Radar. Powiedziałem, że pana spytam, ale przypuszczam, że pewnie się pan nie zgodzi. Co mi wcale nie przeszkadza.

– Bohaterski pies, tak to chce pokazać? Czy to twój pomysł?

– Uważam, że to jej należą się słowa uznania, a sama raczej się nie upomni.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Zgoda – rzucił w końcu. – Ale nie chcę, żeby wchodził na mój teren. Staniesz z Radar na chodniku. Może zrobić zdjęcie przy bramce. Na zewnątrz ogrodzenia. – Podniósł pompkę do znieczulenia i znów kilkakrotnie nacisnął guzik. Potem niechętnie, a nawet ze strachem, dodał: – Na haku przy drzwiach wisi smycz. Nie używałem jej od bardzo dawna. Może Radar będzie się chciała przejść w dół wzgórza… na smyczy, oczywiście. Gdyby potrącił ją samochód, nigdy bym ci tego nie wybaczył.

Odpowiedziałem, że to rozumiem, i tak też było. Pan Bowditch nie miał rodzeństwa, dzieci czy choćby byłej żony. Radar była dla niego całą rodziną.

– I nie za daleko. Dawniej mogła chodzić całymi godzinami, ale te czasy już minęły. A teraz lepiej już idź. Prześpię się trochę, zanim przyniosą mi talerz z tymi pomyjami, które nazywają kolacją.

– Jasne. Miło było pana zobaczyć.

Naprawdę tak uważałem. Lubiłem go – i choć pewnie nie muszę wam mówić dlaczego, ale i tak powiem – bo kochał Radar, a ja też zdążyłem ją już pokochać.

Wstałem, pomyślałem, żeby poklepać go po ręce, lecz nie zrobiłem tego i ruszyłem do drzwi.

– Och, Chryste, jeszcze jedna rzecz! – zawołał. – A przynajmniej jedna, która przychodzi mi teraz do głowy. Jeśli nadal będę tu w poniedziałek, a będę, przywiozą do domu zakupy.

– Dostawa z Kroger’s?

Znów popatrzył na mnie z politowaniem, jak na idiotę.

– Z Tiller and Sons.

Znałem ten sklep, ale nie robiliśmy tam zakupów, bo był drogi. Pamiętałem jak przez mgłę, że mama kupiła mi tam tort urodzinowy, kiedy kończyłem pięć albo sześć lat. Między warstwami ciasta był cytrynowy lukier i bita śmietana. To był chyba najlepszy tort, jaki w życiu jadłem.

– Dostawca przyjeżdża zwykle rano. Możesz do nich zadzwonić i poprosić, żeby przełożyli to na popołudnie, kiedy tam będziesz? Zamówienie już mają.

– Dobrze.

Przyłożył dłoń do czoła. Nie byłem pewien, czy mi się tylko nie wydaje, bo stałem już przy drzwiach, ale chyba lekko się trzęsła.

– I będziesz musiał zapłacić. Możesz to też zrobić?

– Jasne. Poproszę tatę, żeby dał mi czek in blanco, i wpiszę odpowiednią kwotę.

– Powiedz im też, żeby wstrzymali się z kolejnymi cotygodniowymi dostawami, zanim się do nich nie odezwę. I zapisuj wszystkie wydatki. – Przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał wygładzić zmarszczki, co byłoby zadaniem z góry skazanym na niepowodzenie. – Cholera, nie cierpię być od kogoś uzależnionym. Po co ja w ogóle właziłem na tę drabinę? Chyba całkiem odjęło mi rozum.

– Wyzdrowieje pan – powiedziałem, ale idąc korytarzem do wind, myślałem o czymś, co usłyszałem od niego, gdy mówił o drabinie: „Przeklęci lekarze i ich przeklęte złe wieści”. Pewnie chodziło mu tylko o to, jak długo będzie się goiła jego przeklęta noga i jak długo będzie się musiał poddawać przeklętej terapii, prawdopodobnie we własnym domu (a więc i wpuszczać tam jakiegoś przeklętego wścibskiego terapeutę).

Nie byłem jednak do końca pewien, czy to właśnie miał na myśli.

# 4

Zadzwoniłem do Billa Harrimana i powiedziałem mu, że może zrobić mi zdjęcie z Radar, jeśli nadal chce. Przedstawiłem mu też warunki pana Bowditcha i nie miał nic przeciwko.

– Prawdziwy odludek, co? Nie ma o nim żadnych informacji w naszym archiwum ani w „The Beacon”.

– Nie znam się na tym. Czy odpowiada panu sobota rano?

Odpowiadała, więc umówiliśmy się na dziesiątą. Wsiadłem na rower i pojechałem do domu, pedałując od niechcenia i intensywnie myśląc. Najpierw o Radar. Smycz wisząca przy frontowych drzwiach, dalej, niż zapuściłem się dotąd w tym wielkim starym domu. Uświadomiłem sobie też, że na obroży Radar nie ma przywieszki z adresem jej właściciela. Co niemal na pewno oznaczało, że nie ma też żadnego zaświadczenia o szczepieniu przeciwko wściekliźnie i innym chorobom. Czy Radar kiedykolwiek była u weterynarza? Przypuszczałem, że nie.

Pan Bowditch zamawiał zakupy z dostawą, co wydawało mi się luksusową formą zaopatrywania się w piwo i cukierki, a Tiller and Sons to z pewnością był luksusowy sklep, do którego chodzili wytworni ludzie z kupą kasy. Co kazało mi się zastanowić – jak niedawno mojemu tacie – jak zarabiał na życie pan Bowditch, nim przeszedł na emeryturę. Potrafił się wysławiać w elegancki sposób, niemal jak wykładowca akademicki, lecz nie wydaje mi się, by emerytowanych wykładowców było stać na zakupy w sklepie, który chlubi się „piwniczką winną”. Stary telewizor. Żadnego komputera ani (mogłem się o to założyć) telefonu komórkowego. Ani samochodu. Znałem drugie imię pana Bowditcha, ale nie wiedziałem, ile ma lat.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do Tillera i ustaliłem, że odbiorę zakupy w poniedziałek o trzeciej. Zastanawiałem się właśnie, czy nie zabrać zeszytów i podręczników do domu Bowditcha i tam odrobić lekcje, gdy do tylnych drzwi zapukał – po raz pierwszy od bardzo dawna – Andy Chen. Jako małe dzieciaki Andy, ja i Bertie Bird byliśmy nierozłączni, nawet nazywaliśmy siebie Trzema Muszkieterami, ale rodzina Bertiego wyprowadziła się do Dearborn (prawdopodobnie z pożytkiem dla mnie), a Andy był mózgowcem, który robił masę kursów na poziomie uniwersyteckim, w tym fizykę na pobliskim oddziale Uniwersytetu Stanu Illinois. Oczywiście był też zapalonym sportowcem i świetnie sobie radził w dwóch dyscyplinach, których ja nie trenowałem. Jedną z nich był tenis, a drugą koszykówka prowadzona przez Harknessa, domyślałem się więc, dlaczego Andy się u mnie zjawił.

– Trener mówi, że powinieneś wrócić i grać w baseball – powiedział, gdy sprawdził już, czy w lodówce nie kryją się jakieś smakołyki. Wyjął resztki kurczaka kung pao. – Twierdzi, że zawodzisz drużynę.

– Aha, jasne. Włożę wór pokutny i pójdę się kajać – mruknąłem. – Nie ma mowy.

– Mówi, że nie musisz przepraszać.

– Nie zamierzałem.

– Chyba już całkiem mu wyżarło mózg – rzucił Andy. – Wiesz, jak mnie nazywa? Żółte Zagrożenie. Mówi na przykład: „Biegnij tam, Żółte Zagrożenie, pilnuj tego wielkiego gościa”.

– I ty to znosisz? – Byłem zaciekawiony i przerażony jednocześnie.

– Uważa to za komplement, mnie to jednak nie bawi. Poza tym jeszcze tylko dwa sezony i żegnaj, Hillview, będę grał w Hofstra. Pierwsza ligo, nadchodzę! Jazda na całego. Nie będę już Żółtym Zagrożeniem. Naprawdę uratowałeś życie temu facetowi? Tak mówią w szkole.

– Pies go uratował. Ja tylko wybrałem dziewięćset jedenaście.

– I nie przegryzł ci tchawicy?

– Nie. To słodka sunia. I jest już stara.

– Nie była stara, kiedy ją widziałem. Tamtego dnia była żądna krwi. A jak jest u niego w środku? Strasznie? Wypchane zwierzaki? Zegar w kształcie kota, który wodzi za tobą oczami? Piła łańcuchowa w piwnicy? Dzieciaki mówią, że może to seryjny zabójca.

– Nie jest seryjnym zabójcą, a jego dom nie jest straszny. – Mówiłem prawdę. To szopa była straszna. Ten dziwny świergotliwy dźwięk był straszny. I Radar wiedziała, że to coś przerażającego.

– No dobra. – Andy westchnął. – Przekazałem ci wiadomość. Masz coś jeszcze do jedzenia? Ciasteczka?

– Nie. – Ciasteczka były w domu pana Bowditcha. Pianki w czekoladzie i ciastka z orzechami pekanowymi, na pewno kupione w Tiller and Sons.

– Dobra. Nara, stary.

– Nara, Żółte Zagrożenie.

Spojrzeliśmy na siebie i parsknęliśmy śmiechem. Przez chwilę czuliśmy się tak, jakbyśmy znów mieli po jedenaście lat.

# 5

W sobotę zrobiłem sobie zdjęcie z Radar. Rzeczywiście, w korytarzu przy drzwiach frontowych była smycz, wisiała obok grubego zimowego płaszcza, pod którym stała para staromodnych śniegowców. Przyszło mi do głowy, że mógłbym przejrzeć jego kieszenie – po prostu byłem ciekaw, co

tam znajdę – ale przykazałem sobie, by „nie szperać”. Do smyczy była przymocowana zapasowa obroża, ale i tu nie znalazłem żadnej zawieszki, dzięki której można by zidentyfikować psa; z punktu widzenia władz miasta pies pana Bowditcha był, ha, ha, poza ich radarem. Przeszliśmy betonową ścieżką do bramki i tam czekaliśmy na Billa Harrimana. Stawił się punktualnie; przyjechał poobijanym starym mustangiem. Sam wyglądał tak, jakby niedawno skończył studia.

Radar wydała z siebie kilka symbolicznych warknięć, gdy Bill zaparkował i wysiadł. Powiedziałem jej, że wszystko jest w porządku, uspokoiła się więc i wysunęła tylko nos przez zardzewiałą bramkę, by powąchać nogawkę dziennikarza. Warknęła ponownie, gdy przełożył rękę nad bramką, żeby się ze mną przywitać.

– Pilnuje – zauważył.

– Na to wygląda.

Myślałem, że przywiezie ze sobą wielki aparat – pewnie naoglądałem się na TCM za dużo starych filmów o fotoreporterach – ale zrobił nam parę zdjęć telefonem i spytał, czy Radar mogłaby usiąść.

– Jeśli to zrobi, przyklęknij obok niej. To byłoby dobre ujęcie. Tylko chłopiec i jego pies.

– Ona nie jest moja – odparłem, choć pomyślałem, że właściwie jest. Przynajmniej na razie. Kazałem Radar usiąść, nie wiedząc, czy to zrobi. Posłuchała mnie od razu, jakby tylko czekała na to polecenie. Przykląkłem obok niej. Zauważyłem, że pani Richland wyszła na zewnątrz i patrzyła w naszą stronę, ocieniając oczy dłonią.

– Obejmij ją ręką – poprosił Harriman.

Kiedy to zrobiłem, Radar polizała mnie po policzku. Roześmiałem się rozbawiony. I właśnie to zdjęcie pojawiło się w następnym numerze „Sun”. I nie tylko tam, jak się okazało.

– Jak ten dom wygląda w środku? – spytał Harriman, wskazując na niego.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak każdy inny dom. Normalnie. – W rzeczywistości wcale tego nie wiedziałem, bo dotąd zobaczyłem tylko Korytarz Starych Tekstów, kuchnię, salon i przedsionek przy frontowych drzwiach.

– Więc nie ma tam nic dziwnego? Bo wygląda dość przerażająco.

Otworzyłem usta, by powiedzieć, że telewizor pochodzi z czasów, gdy nie było jeszcze kablówki, nie wspominając o telewizji cyfrowej, ale je zamknąłem. Pomyślałem, że Harriman przeszedł właśnie od robienia zdjęć do wywiadu. A przynajmniej próbował: jako nowicjusz nie robił tego zbyt subtelnie.

– Nie, to zwykły dom – rzuciłem. – Muszę już iść.

– Będziesz się zajmował psem, dopóki pan Bowditch nie wyjdzie ze szpitala?

Tym razem to ja wyciągnąłem do niego rękę. Radar nie warknęła, ale przyglądała się uważnie, gotowa w każdej chwili zainterweniować.

– Mam nadzieję, że zdjęcia się udały. Chodź, Radar.

Ruszyłem w stronę domu. Kiedy się obejrzałem, Harriman przechodził właśnie przez ulicę, zmierzając ku pani Richland. Nie mogłem mu w tym przeszkodzić, więc przeszedłem z Radar za dom. Zauważyłem, że po nieco dłuższej przechadzce poruszała się sprawniej niż zwykle.

Odłożyłem drabinę pod werandę, gdzie leżały też łopata do śniegu i wielki stary sekator, który wydawał się równie zardzewiały jak rygiel na bramce – i zapewne podobnie jak on praktycznie nie nadawał się do użytku. Radar spoglądała na mnie ze schodów, co było na tyle urocze, że zrobiłem jej kolejne zdjęcie. Zaczynałem świrować na jej punkcie. Wiedziałem o tym i gotów byłem to przyznać.

Pod zlewem w kuchni znalazłem środki czyszczące i starannie ułożone papierowe torby na zakupy z logo Tillera. Były tam również gumowe rękawice. Włożyłem je, zabrałem worek na śmieci i ruszyłem na poszukiwanie psich odchodów. Znalazłem ich naprawdę sporo.

W niedzielę znów wziąłem Radar na smycz i poszedłem z nią w dół zbocza, do naszego domu. Początkowo ruszała się powoli, nie tylko z powodu chorych stawów, ale też dlatego, że najwyraźniej nie przywykła opuszczać domu i podwórza. Wciąż na mnie zerkała, jakby szukała wsparcia, co chwytało mnie za serce. Po jakimś czasie zaczęła jednak poruszać się swobodniej i odważniej; przystawała, żeby powąchać słupy telefoniczne, i co jakiś czas przykucała, by inne psy wiedziały, że przechodziła tędy Radar z Bowditch.

Tata był w domu. Początkowo odsuwała się od niego, powarkując, ale gdy wyciągnął do niej rękę, przesunęła się do przodu na tyle, by ją powąchać. Kawałek kiełbasy pomógł jej przezwyciężyć ostatnie opory. Zostaliśmy w domu jakąś godzinę. Ojciec pytał mnie o sesję zdjęciową i śmiał się, gdy opowiadałem, jak Harriman próbował mnie wypytywać o wnętrze domu i jak go usadziłem.

– Wyrobi się, jeśli zostanie w tym biznesie – powiedział. – „The Weekly Sun” to tylko etap przejściowy, chłopak dopiero zdobywa doświadczenie.

Radar drzemała obok kanapy, na której zasypiał kiedyś tata, gdy był pijany. Pochylił się i zmierzwił jej sierść.

– Założę się, że kiedy miała parę lat mniej, zasuwała jak mały parowóz.

Przypomniałem sobie opowieść Andy’ego o zaślinionej bestii, którą spotkał pięć czy sześć lat temu, i przyznałem ojcu rację.

– Powinieneś sprawdzić, czy nie ma jakichś lekarstw na jej artretyzm. I pewnie powinna też dostać tabletkę na odrobaczenie.

– Sprawdzę. – Wcześniej spuściłem Radar ze smyczy, ale teraz ponownie ją przypiąłem. Podniosła łeb. – Powinniśmy wracać.

– Nie chcesz jej tu zatrzymać na cały dzień? Wygląda na to, że całkiem jej tu dobrze.

– Nie, powinienem ją odprowadzić.

Gdyby spytał dlaczego, powiedziałbym mu prawdę: bo chyba nie spodobałoby się to Howardowi Bowditchowi.

– W porządku. Podwieźć was?

– Nie trzeba. Da sobie chyba radę, jeśli będziemy iść powoli.

I tak było. Miałem wrażenie, że kiedy szliśmy pod górę, była zadowolona, że może powąchać trawę inną niż na jej podwórku.

# 6

W poniedziałek po południu przed dom zajechała mała zielona furgonetka z napisem TILLER & SONS na burcie (złotym, a jakże). Gdy kierowca spytał, gdzie jest pan Bowditch, powiedziałem mu, a on podał mi torby nad bramką, jakby zawsze tak robił, więc pewnie tak było. Trochę przerażony myślą, że płacę właśnie sto pięć dolców za trzy torby zakupów, wypisałem kwotę na czeku, który dostałem wcześniej od taty, i dałem go kierowcy. W torbach były porcje combra jagnięcego i mielona polędwica wołowa; włożyłem je do zamrażalnika. Nie zamierzałem jeść tych rzeczy (z wyjątkiem ciastek), ale i nie chciałem, by się zmarnowały.

Kiedy już się z tym uporałem, zszedłem do piwnicy; zamknąłem za sobą drzwi, żeby Radar nie próbowała za mną iść. Piwnica wcale nie

przypominała kryjówki seryjnego zabójcy, była po prostu wilgotna i zakurzona, jakby nikt od dawna tam nie zaglądał. Światło zapewniały umocowane pod sufitem neonówki; jedna z nich, do połowy wypalona, wciąż migotała. Szorstkiej betonowej podłogi nie pokrywało nic prócz warstwy kurzu. Na kołkach wisiały różne narzędzia, w tym kosa, która wyglądała dokładnie tak, jak na rysunkach przedstawiających symboliczną śmierć.

Pośrodku pomieszczenia stał stół roboczy przykryty foliową płachtą. Zajrzałem pod nią i zobaczyłem częściowo ułożony obrazek z puzzli, których było chyba miliard. Sądząc po ułożonych już częściach (nie znalazłem pudełka z oryginałem), był to widok łąki z Górami Skalistymi w tle. Przy stole, tam gdzie leżało najwięcej niedopasowanych części, stało składane krzesło. Ono również było zakurzone, co oznaczało, że pan Bowditch od dawna już nie próbował dokończyć układanki. Może całkiem się poddał. Wiem, że ja bym tak zrobił: znaczną część nieskompletowanego jeszcze obrazu stanowiło błękitne niebo bez choćby jednej chmurki. Może za bardzo się nad tym rozwodzę… a może nie. Było w tym coś smutnego. Wtedy nie potrafiłem określić przyczyny tego smutku, ale teraz jestem starszy i chyba potrafię. Chodziło o puzzle, ale także o wiekowy telewizor i Korytarz Starych Tekstów. Chodziło o pasje starzejącego się samotnika i o kurz – na składanym krześle, książkach i czasopismach – który pozwalał się domyślać, że ostatnio pan Bowditch porzucił nawet te ulubione zajęcia. Wydawało się, że jedyne regularnie używane przedmioty w piwnicy to pralka i suszarka.

Przykryłem puzzle folią i przyjrzałem się uważniej szafce stojącej między bojlerem a kotłem. Był to staromodny mebel z mnóstwem szufladek. W jednej znalazłem śruby, w następnej kombinerki i klucze do śrub, w trzeciej pliki powiązanych gumkami paragonów, a w czwartej dłuta

i coś, co wyglądało mi na osełkę. Włożyłem ją do kieszeni, zabrałem kosę i wyszedłem na górę. Radar chciała na mnie skakać, ale kazałem jej trzymać się z daleka, żeby przypadkiem nie skaleczyć jej kosą.

Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie mogłem liczyć na mocny sygnał w telefonie. Usiadłem na stopniach, a Radar przysiadła obok mnie. Otworzyłem Safari, wpisałem *ostrzenie osełką*, obejrzałem kilka krótkich filmów i zabrałem się do pracy. Wkrótce krawędź kosy była naprawdę ostra i lśniąca.

Zrobiłem jej zdjęcie i pojechałem do szpitala, żeby pokazać je panu Bowditchowi. Ten spał. W ciepłym blasku późnego popołudnia wróciłem na Jaworową i nakarmiłem Radar. Trochę brakowało mi baseballu.

Cóż… może bardziej niż trochę.

## 7

We wtorek po południu kosiłem wysoką trawę, najpierw na frontowym podwórzu, a potem za domem. Mniej więcej po godzinie pracy przyjrzałem się swoim czerwonym dłoniom. Wiedziałem, że jeśli nie będę uważał, wkrótce pojawią się na nich pęcherze. Wziąłem Radar na smycz, zszedłem z nią do naszego domu i znalazłem w garażu parę rękawic roboczych taty. Wróciliśmy na szczyt wzgórza w leniwym tempie, by nie nadwerężyć chorych stawów Radar. Siekłem wściekle trawę z boku domu, podczas gdy suka drzemała. Potem ją nakarmiłem i wróciłem do domu. Ojciec upiekł hamburgery na grillu za domem i zjadłem trzy. A potem tartę wiśniową na deser.

Tata zawiózł mnie do szpitala i czekał na dole, czytając jakieś dokumenty, podczas gdy ja poszedłem odwiedzić pana Bowditcha. Zauważyłem, że też dostał tego dnia hamburgera, a do tego makaron z serem, ale nie zjadł zbyt dużo ani jednego, ani drugiego; w końcu nie spędził dwóch godzin na wymachiwaniu kosą. Choć starał się być miły i przeglądał nowe zdjęcia Radar (oraz zdjęcia ostrza i wykoszonego w połowie podwórka od frontu), widziałem, że ból mocno mu dokucza. Wciąż wciskał guzik uwalniający kolejną porcję środka przeciwbólowego. Gdy zrobił to za trzecim razem, rozległo się niskie buczenie, jak w momencie, gdy uczestnik teleturnieju podał niewłaściwą odpowiedź.

– Niech to szlag! Zużyłem całą dawkę na następną godzinę. Lepiej już idź, Charlie, zanim zacznę na ciebie warczeć tylko dlatego, że źle się czuję. Wróć w piątek… nie, w sobotę. Może wtedy będzie już trochę lepiej.

– Wspominali, kiedy zamierzają pana wypuścić?

– Może w niedzielę. Przyszła tu jakaś pani i oznajmiła, że chce mi pomóc w realizacji… – podniósł swe wielkie dłonie, posiniaczone na wierzchu od igieł kroplówek, i poruszał palcami, biorąc następne słowa w cudzysłów – „planu rekonwalescencji”. Powiedziałem jej, żeby się odpieprzyła. Może użyłem nieco innych słów. Staram się być dobrym pacjentem, nie jest jednak łatwo. Nie chodzi tylko o ból, ale… – Zatoczył ręką łuk, wskazując salę, a potem opuścił dłonie na kołdrę.

– Za dużo ludzi. – Pokiwałem głową. – Nie przywykł pan do tego.

– Rozumiesz. Bogu dzięki, że ktoś rozumie. I za dużo hałasu. Przed wyjściem ta kobieta… nazywała się Ravenhugger czy jakoś tak… spytała, czy w domu mam łóżko na parterze. Nie mam, ale kanapa się rozkłada… choć bardzo dawno nie używałem jej jako łóżka. Właściwie… chyba nigdy. Kupiłem ją tylko dlatego, że była na wyprzedaży.

– Mogę ją przygotować, proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jest pościel.

– Wiesz, jak to zrobić?

Jako syn wdowca będącego kiedyś bardzo aktywnym alkoholikiem wiedziałem. Umiałem też prać i robić zakupy. Byłem dobrym współuzależnionym.

– Tak – odparłem.

– Bieliźniarka. Pierwsze piętro. Byłeś tam już?

Pokręciłem głową.

– Więc teraz masz okazję. Jest naprzeciwko mojej sypialni. Dziękuję.

– Nie ma sprawy. A kiedy znów przyjdzie ta pani, proszę jej powiedzieć, że to ja jestem pańskim planem rekonwalescencji. – Wstałem. – Lepiej już pójdę, a pan trochę odpocznie.

Ruszyłem do drzwi. Odwróciłem się, gdy wypowiedział moje imię.

– Jesteś czymś najlepszym, co mi się przydarzyło od bardzo długiego czasu. – Potem, jakby zwracając się zarówno do siebie, jak i do mnie, dodał: – Zaufam ci. Nie widzę innego wyjścia.

Powtórzyłem ojcu to, co pan Bowditch mówił o mnie jako o czymś najlepszym, co mu się od dawna przydarzyło, ale przemilczałem tę część o zaufaniu. Instynkt kazał mi o tym nie wspominać. Tata uściskał mnie mocno jedną ręką, pocałował w policzek i powiedział, że jest ze mnie dumny.

To był dobry dzień.

# 8

W czwartek znów się przemogłem i zapukałem ponownie do drzwi szopy. Naprawdę nie lubiłem tego budynku. Nikt nie odpowiedział pukaniem ani drapaniem. Próbowałem sobie wmówić, że ten świergotliwy dźwięk był tylko wytworem mojej wyobraźni, ale gdyby tak było, Radar też musiałaby go sobie wyobrazić, a nie wydaje mi się, żeby psy miały szczególnie bujną wyobraźnię. Oczywiście mogła też reagować na moje zachowanie. Albo, jeśli mam być szczery, mogła wyczuć mój strach i niemal instynktowne obrzydzenie.

W piątek przeciągnąłem naszą kosiarkę w górę ulicy i zabrałem się do pracy nad na wpół ujarzmionym trawnikiem. Zakładałem, że jeszcze w weekend uda mi się doprowadzić go do całkiem przyzwoitego stanu. Na następny tydzień przypadała wiosenna przerwa, którą zamierzałem spędzić w dużej mierze właśnie tutaj, pod numerem pierwszym przy ulicy Jaworowej. Umyłbym wtedy okna, a potem zająłbym się płotem – postawiłbym go znów do pionu. Pomyślałem, że te wszystkie zmiany na pewno ucieszą pana Bowditcha.

Kosiłem właśnie trawę od strony ulicy Sosnowej (Radar była w domu, bo nie chciała mieć do czynienia z warkotliwą kosiarką), gdy zawibrował telefon w mojej kieszeni. Wyłączyłem kosiarkę, wyjąłem telefon i spojrzałem na ekran, na którym pojawił się napis SZPITAL ARCADIA. Odebrałem, zdjęty nagłym strachem, pewien, że dowiem się zaraz, że stan pana Bowditcha się pogorszył. Albo że odszedł.

Rzeczywiście, chodziło o niego, ale na szczęście nie były to wcale złe wiadomości. Kobieta, która przedstawiła się jako pani Ravensburger, pytała, czy mógłbym przyjść do szpitala następnego dnia o dziewiątej rano

i porozmawiać z nią o „rekonwalescencji pana Bowditcha i opiece pooperacyjnej”. Gdy odparłem, że mogę, spytała, czy mógłbym przyprowadzić ze sobą rodzica albo opiekuna prawnego. Powiedziałem, że pewnie tak.

– Widziałam twoje zdjęcie w gazecie. Z tym jego cudownym psem. Pan Bowditch ma wobec was obojga ogromny dług wdzięczności.

Zakładałem, że mówi o „Sun”, i pewnie tak właśnie było, ale moje zdjęcie z Radar pojawiło się też gdzie indziej. A właściwie pojawiło się wszędzie.

Tata wrócił późno, jak zwykle w piątki. Przyniósł egzemplarz „Chicago Tribune” i otworzył go na drugiej stronie, gdzie znajdowała się rubryka zatytułowana *Inne wiadomości*. Umieszczano w niej krótkie informacje o bardziej optymistycznym charakterze niż te, które trafiały na pierwszą stronę. Wiadomość o mnie i o Radar opatrzono tytułem *Bohaterski pies, bohaterski nastolatek*. Nie byłem może zszokowany, widząc siebie w „Tribune”, ale z pewnością zaskoczony. Ten nasz świat jest całkiem dobry – mimo dowodów, które świadczą o czymś przeciwnym – i każdego dnia tysiące dobrych ludzi robią tysiące dobrych uczynków (może miliony). Dzieciak pomagający starszemu facetowi, który spadł z drabiny i złamał nogę, nie jest niczym szczególnym, ale ta właśnie historia świetnie się sprzedawała dzięki zdjęciu. Wykonane w idealnym momencie, pokazywało, jak Radar liże mnie po policzku, a ja obejmuję ją ręką za szyję i roześmiany odchylam głowę. Ośmielę się dodać, że wyglądałem w tym ujęciu całkiem przystojnie. Zastanawiałem się, czy Gina Pascarelli, dziewczyna moich marzeń, trafiła na tę fotografię.

– Widzisz to? – Tata postukał palcem w podpis. – AP. Associated Press. Co oznacza, że to zdjęcie ukazało się dzisiaj w pięciuset, może sześciuset gazetach w całym kraju. Nie wspominając już o internecie. Andy Warhol

powiedział, że każdy będzie miał kiedyś swoje piętnaście minut sławy, i wygląda na to, że twój kwadrans właśnie trwa. Chcesz pójść do Bingo’s, żeby to uczcić?

Jasne, że chciałem, a gdy jadłem żeberka wołowe (podwójną porcję), spytałem ojca, czy pójdzie ze mną jutro do szpitala, żeby porozmawiać z panią Ravensburger. Odpowiedział, że zrobi to z przyjemnością.

## 9

Spotkaliśmy się w biurze pani Ravensburger. Była z nią młoda kobieta, która nazywała się Melissa Wilcox – wysoka, szczupła, z blond włosami związanymi w prosty kucyk. Miała być fizjoterapeutką pana Bowditcha. To właśnie ona mówiła przez większość spotkania, zerkając co jakiś czas do małego notesu, by o niczym nie zapomnieć. Oznajmiła, że po „dłuższej rozmowie” pan Bowditch zgodził się wpuszczać ją do swojego domu dwa razy w tygodniu, by mogła pracować nad powiększaniem zakresu ruchu jego złamanej kończyny, a potem umożliwić mu samodzielne chodzenie, najpierw przy użyciu kul, a potem balkonika. Poddawałaby go również regularnym badaniom, by mieć pewność, że „robi należyte postępy”, i dbała o higienę stabilizatora.

– Właściwie to ty będziesz musiał się tym zająć, Charlie.

Spytałem, co to oznacza, wyjaśniła więc, że pręty wnikające w nogę pana Bowditcha trzeba regularnie przecierać środkiem dezynfekującym. Dodała, że to bolesny zabieg, ale nie tak bolesny jak zakażenie, które mogłoby doprowadzić do gangreny.

– Chciałam przychodzić cztery razy w tygodniu – dodała. – Ale pan Bowditch sobie tego nie życzy. Potrafi bardzo wyraźnie dawać do zrozumienia, czego sobie życzy, a czego nie.

Wiem coś o tym, pomyślałem.

– Początkowo będzie potrzebował znacznej pomocy, Charlie – ciągnęła Melissa. – Twierdzi, że ty mu ją zapewnisz.

– Uważa, że ty jesteś jego planem rekonwalescencji – wtrąciła pani Ravensburger.

Mówiła do mnie, ale patrzyła na tatę, jakby nakłaniała go w ten sposób, by zaprotestował.

Nie zrobił tego.

Melissa przewróciła kartkę w notesie w jasnofioletowej okładce ze szczerzącym kły tygrysem.

– Mówi, że na parterze jest łazienka. Zgadza się?

– Tak. – Nie dodałem, że jest bardzo mała. Pomyślałem, że sama się o tym przekona przy pierwszej wizycie.

Skinęła głową.

– To duże ułatwienie, bo jeszcze przez długi czas nie będzie w stanie wchodzić na schody.

– Ale w końcu będzie mógł to robić?

– Jasne, jeśli tylko zechce wytrwale ćwiczyć. Jest stary… twierdzi, że sam nie wie dokładnie, ile ma lat… ale dobrze się trzyma. Nie pali, podobno nie pije, nie ma nadwagi.

– To ważne, prawda? – zauważył tata.

– Zdecydowanie. Otyłość to ogromny problem, zwłaszcza wśród osób starszych. Zakładamy, że wyjdzie ze szpitala w poniedziałek. Do tego czasu po obu stronach sedesu trzeba będzie zamontować poręcze. – Spojrzała na

mnie. – Mógłbyś to zrobić w weekend? Jeśli nie, to poczekamy z wypisem do wtorku.

– Mogę. – W swojej najbliższej przyszłości widziałem kolejne filmy instruktażowe z YouTube’a.

– W nocy będzie się musiał załatwiać do nocnika, na wszelki wypadek trzeba będzie też zostawiać mu kaczkę. A potem posprzątać. Nie masz nic przeciwko?

Zapewniłem ją, że nie. Nieraz zdarzało mi się ścierać wymiociny, więc wylewanie zawartości nocnika do sedesu mogłem uznać za postęp.

Melissa zamknęła notes.

– Jest jeszcze tysiąc innych rzeczy, w większości drobiazgów. To ci pomoże. Przeczytaj w wolnej chwili. – Wyjęła kartkę z tylnej kieszeni dżinsów.

Ulotki nie opatrzono tytułem *Opieka domowa dla głupoli*, ale tak właśnie mogłaby się nazywać. Obiecałem, że ją przeczytam, i schowałem ją do tylnej kieszeni.

– Będę lepiej wiedziała, co jeszcze jest potrzebne, kiedy sama obejrzę ten dom – kontynuowała Melissa. – Chciałam się tam wybrać dziś po południu, ale pan Bowditch stanowczo obstawał przy tym, bym nie wchodziła do środka, dopóki tam nie wróci.

Tak, pan Bowditch potrafił być bardzo stanowczy. Sam szybko się o tym przekonałem.

– Jesteś pewien, że chcesz się tego podjąć, Charlie? – spytała pani Ravensburger. Tym razem nie spojrzała najpierw na mojego tatę.

– Tak.

– Nawet jeśli to oznacza, że przez pierwsze trzy lub cztery noce będziesz musiał z nim zostać? – dopytywała się Melissa. – Próbowałam namówić go do pobytu w ośrodku rehabilitacyjnym… mają wolne miejsca

w Riverview, to bardzo dobra placówka… ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że chce po prostu wrócić do domu.

– Mogę z nim zostać – odparłem, choć myśl o spaniu na parterze w sypialni, której jeszcze nawet nie widziałem, wydawała mi się dość osobliwa. – Nie ma problemu. W szkole i tak mamy wtedy wolne.

Pani Ravensburger zwróciła się do mojego taty:

– Czy pan nie ma nic przeciwko takiemu układowi, panie Reade?

Czekałem, nie do końca pewien, co odpowie, ale mnie nie zawiódł.

– Trochę się martwię, co jest pewnie zrozumiałe w tej sytuacji, ale Charlie to odpowiedzialny chłopak. Wygląda na to, że pan Bowditch nawiązał z nim szczególną więź, a ten człowiek naprawdę nie ma nikogo innego.

– Pani Wilcox – zacząłem – jeśli chodzi o dom…

Uśmiechnęła się do mnie.

– Mów mi po imieniu, proszę. W końcu będziemy ze sobą współpracowali.

Łatwiej przychodziło mi zwracać się do niej „Melisso” niż „Howardzie” do pana Bowditcha, bo dzieliła nas mniejsza różnica wieku.

– Więc jeśli chodzi o dom… Nie bierz tego do siebie, jeśli odniesiesz wrażenie, że on się boi, że coś ukradniesz albo coś w tym rodzaju. On jest po prostu… hm… – Nie potrafiłem znaleźć właściwego określenia, ale tata zrobił to za mnie.

– Jest bardzo skryty.

– Otóż to. – Skinąłem głową. – I musisz uzbroić się w cierpliwość, kiedy będzie trochę zrzędliwy, bo…

Melissa nie czekała na moje wyjaśnienia.

– Uwierz mi, gdybym miała nogę w zewnętrznym stabilizatorze, też byłabym zrzędliwa.

– Jak wygląda kwestia jego ubezpieczenia? – spytał ojciec, zwracając się do pani Ravensburger. – Może pani o tym mówić?

Ona i Melissa wymieniły spojrzenia.

– Wolałabym nie zdradzać szczegółów ustaleń finansowych naszego pacjenta, ale mogę powiedzieć, że sam zamierza zapłacić za pobyt w szpitalu.

– Ach… – odpowiedział tata, jakby to wszystko wyjaśniało. Jego mina mówiła, że nie wyjaśnia to niczego. Wstał i uścisnął dłoń pani Ravensburger. Ja zrobiłem to samo.

Melissa wyszła z nami na korytarz. Wydawało się, że unosi się nad ziemią w swoich oślepiająco białych adidasach.

– Uniwersytet Stanowy Luizjany? – spytałem.

Wydawała się zaskoczona.

– Skąd wiesz?

– Notes. Koszykówka?

Uśmiechnęła się.

– I siatkówka.

Pomyślałem, że przy takim wzroście musi naprawdę nieźle ścinać.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## Zakupy. Fajka mojego taty. Telefon od pana Bowditcha. Pojemnik na mąkę.

### 1

Pojechaliśmy do sklepu budowlanego po poręcze do toalety, a potem do Pet Pantry, gdzie był też ogólnodostępny dział z lekarstwami dla zwierząt. Kupiłem tabletki do odrobaczania i karprofen na artretyzm Radar. Teoretycznie takie środki są dostępne tylko na receptę, ale kiedy opisałem całą sytuację sprzedawczyni, wydała mi je, tłumacząc tylko, że za lekarstwa muszę zapłacić gotówką. Mówiła też, że pan Bowditch właśnie tu kupował wszystkie rzeczy dla Radar i opłacał dodatkowo dostawę do domu. Tata zapłacił za poręcze kartą kredytową, za lekarstwa ja ze swoich oszczędności. Na koniec wstąpiliśmy do apteki i drogerii, gdzie kupiłem nocnik z długim uchwytem, basen, środek dezynfekujący, którym miałem przecierać stabilizator, i dwie butelki płynu do mycia szyb. Za to też zapłaciłem ze swoich pieniędzy, ale nie gotówką; miałem kartę Visa z limitem dwustu pięćdziesięciu dolarów, nie obawiałem się jednak, że zabraknie mi środków. Nie należałem do tego rodzaju ludzi, którzy kupują dopóty, dopóki nie zostaną bez grosza przy duszy.

Przez całą drogę powrotną do domu czekałem, aż ojciec zacznie rozmowę o zobowiązaniu, którego się podjąłem… w końcu bardzo poważnym dla siedemnastoletniego dzieciaka. Ale nie zrobił tego; słuchał klasycznego rocka z radia i czasami sobie podśpiewywał. Jak się wkrótce przekonałem, zastanawiał się, co powinien powiedzieć.

Radar przywitała mnie radośnie w domu pana Bowditcha. Odłożyłem jej lekarstwa na stół i zajrzałem do łazienki. Pomyślałem, że dzięki nikłym rozmiarom tego pomieszczenia łatwiej będzie zainstalować poręcze (a panu Bowditchowi z nich korzystać), ale to było zadanie na jutro. Kiedy wcześniej szukałem w piwnicy kosy, zauważyłem stertę czystych ścierek na półce nad pralką w piwnicy. Zszedłem tam i zabrałem kilka. Był ładny wiosenny dzień, więc zamierzałem spędzić go na zewnątrz, naprawiając płot, uznałem jednak, że lepiej będzie zająć się najpierw oknami, żeby zapach płynu do mycia szyb ulotnił się przed powrotem pana Bowditcha. Dzięki temu miałem pretekst do obejrzenia reszty domu.

Na parterze oprócz kuchni, spiżarni i salonu – pomieszczeń, w których rzeczywiście mieszkał – znajdowała się jadalnia z długim stołem przykrytym pokrowcem. Nie było tu jednak ani jednego krzesła, więc pokój wydawał się niemal całkiem pusty. Obok znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie, które miało pełnić funkcję gabinetu lub biblioteki, albo jednego i drugiego. Z przerażeniem zauważyłem, że przecieka tu sufit i niektóre książki zamokły. Były to piękne, drogie oprawione w skórę tomy, a nie tanie wydania jak te, których niedbale ułożone sterty stały w korytarzu. Znalazłem komplet dzieł Dickensa, Kiplinga, Marka Twaina i kogoś o nazwisku Thackeray. Postanowiłem, że jeśli będę miał więcej czasu, zdejmę je z półek, rozłożę na podłodze i sprawdzę, czy uda się je uratować. Na YouTubie były pewnie filmiki pokazujące, jak to robić. Tamtej wiosny w dużej mierze polegałem na instrukcjach z YouTube’a.

Na piętrze znajdowały się trzy sypialnie, bieliźniarka i jeszcze jedna, większa, łazienka. Wzdłuż ścian sypialni ciągnęły się kolejne półki z książkami. Po tej stronie łóżka, po której zapewne spał pan Bowditch, stała lampka do czytania. W sypialni trzymał głównie książki w miękkich okładkach – kryminały, science fiction, fantasy i szmirowate horrory sprzed dziesięcioleci, nawet z lat czterdziestych. Niektóre wydawały się całkiem interesujące. Pomyślałem, że jeśli wszystko dobrze się ułoży, spytam, czy mógłbym coś pożyczyć. Przypuszczałem, że Thackeray może być trudny, ale *Panna młoda w żałobie* Woolricha od razu przyciągnęła moją uwagę. Strój seksownej panny młodej na okładce rzeczywiście był czarny, ale przede wszystkim bardzo skąpy. Dwie książki leżały na stoliku nocnym: broszurowe wydanie zatytułowane *Jakiś potwór tu nadchodzi* Raya Bradbury'ego i grube tomisko w twardej oprawie, o wyjątkowo długim tytule: *Pochodzenie gatunku fantasy i jego miejsce w strukturze świata. Perspektywy jungowskie*. Na okładce widniał lejek wypełniający się gwiazdami.

W jednej z pozostałych sypialni stało podwójne łóżko, zaścielone, ale przykryte foliowym pokrowcem. Trzecia była całkiem pusta; unosił się w niej zapach stęchlizny. Gdybym zamiast adidasów miał buty na twardej podeszwie, odgłos moich kroków budziłby w tej pustej przestrzeni niepokojące echa.

Wąskie schody („schody z *Psychozy*", pomyślałem) prowadziły na drugie piętro. Nie był to strych, ale tak właśnie wykorzystywano to miejsce. W trzech pokojach upchnięto mnóstwo mebli, w tym sześć eleganckich krzeseł, które prawdopodobnie tworzyły komplet ze stołem z jadalni, oraz łóżko z pustego pokoju, z wezgłowiem ułożonym w poprzek materaca. Były tu też dwa rowery (jeden bez koła), zakurzone kartonowe pudła ze starymi czasopismami, a w trzecim – najmniejszym – pokoju drewniana

skrzynia z narzędziami, które pamiętały chyba czasy kina niemego. Z boku widniały wyblakłe inicjały A.B. Wyjąłem wiertarkę, sądząc, że może przyda nam się przy instalacji poręczy, ale była zablokowana na amen. I nic dziwnego. Skrzynia stała właśnie w tym miejscu, w którym przeciekał sufit, i wszystkie narzędzia – wiertarka, dwa młotki, piła, poziomnica z ledwie widoczną żółtą bańką pośrodku – zostały pożarte przez rdzę. Pomyślałem, że trzeba coś zrobić z przeciekającym dachem, i to jeszcze przed najbliższą zimą, bo inaczej może dojść do uszkodzenia struktury budynku. Jeśli już nie doszło.

Zacząłem od okien na drugim piętrze, bo były najbrudniejsze. Wręcz obrzydliwie brudne. Zrozumiałem, że będę musiał często zmieniać wodę w wiadrze, a przecież umycie wewnętrznych powierzchni to była tylko połowa zadania. Zrobiłem sobie przerwę na lunch i podgrzałem puszkę chili con carne na staroświeckiej kuchence.

– Mam pozwolić, żebyś wylizała miskę? – spytałem Radar. Spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi brązowymi ślepiami. – Jeśli ty będziesz milczeć, ja też nikomu nie powiem.

Postawiłem miskę na podłodze i Radar natychmiast się nią zajęła. Potem wróciłem do okien. Gdy skończyłem, było już dobrze po południu. Skóra na moich palcach była pomarszczona jak suszone śliwki, a ręce bolały mnie od przecierania szyb, ale płyn Windex i ocet (rada z YouTube’a) naprawdę czyniły cuda. Dom wypełnił się światłem.

– Podoba mi się to – powiedziałem. – Chcesz się przejść do mojego domu? Zobaczyć, co robi tata?

Szczeknęła, że chce.

# 2

Ojciec czekał na mnie na frontowej werandzie. Na poręczy leżały jego fajka i woreczek z tytoniem. Co oznaczało, że jednak szykuje się rozmowa. Poważna rozmowa.

Kiedyś tata palił papierosy. Nie pamiętam, ile miałem lat, gdy mama podarowała mu na urodziny fajkę. Nie był to jakiś wyszukany model w stylu Sherlocka Holmesa, ale był chyba drogi. Pamiętam, jak wcześniej mama prosiła tatę, żeby przestał się truć tym rakotwórczym świństwem, a on wciąż obiecywał (ale bez konkretów, jak wszyscy nałogowcy), że kiedyś to zrobi. Pomysł z fajką okazał się strzałem w dziesiątkę. Ojciec najpierw mocno ograniczył papierosy, a potem całkiem je odstawił, niedługo przed tym, jak mama przeszła przez ten przeklęty most, żeby przynieść nam kurczaka.

Lubiłem zapach tytoniu Three Sails, który kupował w trafice w centrum, ale często nie było czego wąchać, bo tytoniu ciągle brakowało. Być może była to część misternego planu mamy, ale nie zdążyłem jej o to zapytać. W końcu fajka trafiła na podstawkę ustawioną nad kominkiem. Przynajmniej do śmierci mamy. Potem wróciła do łask. W czasach, gdy ojciec pił, nigdy nie widziałem go z papierosem, ale zawsze miał przy sobie fajkę nocą, gdy oglądał te stare filmy – choć bardzo rzadko ją palił czy nawet napełniał tytoniem. Pogryzł całkiem ustnik i cybuch, więc musiał wymienić obie te części. Początkowo zabierał ją na spotkania AA. Obowiązywał tam zakaz palenia, więc przygryzał ustnik, czasami (jak zdradził mi Lindy Franklin) z główką fajki obróconą w dół.

Gdzieś w okolicach jego drugiej rocznicy trzeźwości wróciła na swoją podstawkę nad kominkiem. Kiedyś go o to spytałem.

– Mam dwa lata trzeźwości – powiedział. – Chyba już czas, żebym przestał ząbkować.

Ale od czasu do czasu fajka opuszczała półkę nad kominkiem. Przed ważnymi spotkaniami agentów w chicagowskim biurze, gdy musiał przygotować prezentację. Zawsze w rocznicę śmierci mamy. No i teraz. Razem z tytoniem, co oznaczało, że będzie to bardzo poważna rozmowa.

Radar wspinała się po schodach na werandę jak prawdziwa staruszka, przystając na każdym stopniu. Gdy w końcu dotarła na górę, tata podrapał ją za uszami.

– Dobry piesek.

Wydała z siebie szczekliwy pomruk i ułożyła się obok bujanego fotela taty. Ja zająłem drugi.

– Zacząłeś już podawać jej lekarstwa? – spytał.

– Jeszcze nie. Podłożę jej środek odrobaczający i tabletkę na artretyzm do kolacji.

– Nie zabrałeś ze sobą poręczy.

– Zajmę się tym jutro. Dziś wieczorem przeczytam instrukcję. – I broszurę o opiece domowej. – Będę musiał pożyczyć twoją wiertarkę, jeśli nie masz nic przeciwko. Znalazłem skrzynkę z narzędziami… i z inicjałami A.B., może jego ojca albo dziadka… ale wszystkie przerdzewiały. Dach przecieka.

– Możesz ją wziąć, oczywiście. – Sięgnął po fajkę. Główka była już wypełniona tytoniem. W kieszonce na piersiach miał zapałki, zapalił jedną o paznokieć kciuka; w dzieciństwie byłem zafascynowany tą sztuczką. Właściwie nadal jestem. – Wiesz, że chętnie pójdę tam z tobą i pomogę ci.

– Nie, nie trzeba. To bardzo mała łazienka, tylko byśmy sobie przeszkadzali.

– Ale tak naprawdę chodzi o coś innego, prawda, Chip?

Ile czasu minęło, odkąd ostatnio mnie tak nazwał? Pięć lat? Przysunął zapałkę – wypaloną już do połowy – nad główkę fajki i zaczął mocno wciągać powietrze. Oczywiście czekał na moją odpowiedź, ale milczałem. Radar podniosła łeb, wciągnęła w nozdrza aromatyczny dym tytoniu, a potem znowu ułożyła pysk na deskach werandy. Wyglądała na bardzo zadowoloną.

Tata machnął zapałką, gasząc płomień.

– Nie ma tam nic, czego wolałbyś mi nie pokazywać, prawda? – spytał.

Przypomniało mi to słowa Andy’ego, który chciał wiedzieć, czy w domu pana Bowditcha jest mnóstwo wypchanych zwierząt i upiorny zegar w kształcie kota, który wodzi za mną oczami. Uśmiechnąłem się.

– Nie, to zwykły dom, trochę zaniedbany, z przeciekającym dachem. Wcześniej czy później trzeba będzie coś z tym zrobić.

Skinął głową i zaciągnął się dymem.

– Rozmawiałem z Lindym o tym… o tej sytuacji.

Nie byłem zaskoczony. Lindy był jego sponsorem, więc tata powinien z nim rozmawiać o wszystkich rzeczach, które go niepokoją.

– Mówi, że może masz osobowość opiekuna. Z czasów, gdy chlałem. Wiadomo przecież, że się mną opiekowałeś, choć byłeś jeszcze bardzo młody. Sprzątałeś w domu, zmywałeś, robiłeś sobie sam śniadanie i czasami kolację. – Umilkł na chwilę. – Trudno mi wspominać tamte czasy, a jeszcze trudniej o tym mówić.

– Nie chodzi o to.

– Więc o co?

Wciąż nie chciałem mu wyznać, że zawarłem układ z Bogiem i że chciałem dotrzymać swojej części umowy, ale było coś, co mogłem powiedzieć. Coś, co ojciec zrozumie i co na szczęście było prawdą.

– Wiesz, jak w AA mówią o tym, żeby stale zachowywać postawę wdzięczności?

Tata skinął głową.

– Wdzięczny alkoholik się nie upija – powiedział. – Tak mówią.

– A ja jestem wdzięczny, że już nie pijesz. Może nie gadam o tym cały czas, ale jestem. Więc może ustalimy, że staram się spłacić ten dług wdzięczności, i na tym poprzestaniemy?

Wyjął fajkę z ust i przeciągnął wierzchem dłoni po oczach.

– W porządku, możemy tak zrobić. Ale chciałbym go w końcu poznać. Uważam, że to mój obowiązek. Rozumiesz to?

Odparłem, że rozumiem.

– Może kiedy już trochę ochłonie po wypadku? – dodałem.

Skinął głową.

– Zgoda. Kocham cię, dzieciaku.

– Ja też cię kocham.

– Pamiętaj tylko, że naprawdę sporo na siebie wziąłeś. Wiesz o tym?

Wiedziałem i byłem też świadom, że sam do końca nie mam pojęcia, ile w tym przypadku oznacza „sporo”. Uważałem, że to dobrze. Gdybym naprawdę wiedział, mógłbym się zniechęcić.

– W programie AA mówią też o tym, żeby nie planować dalej niż na jeden dzień – przypomniałem ojcu.

Skinął głową.

– Owszem, ale przerwa wiosenna wkrótce się skończy. Musisz uczyć się na bieżąco, bez względu na to, ile, twoim zdaniem, powinieneś spędzać czasu w tamtym domu. Nalegam.

– W porządku.

Spojrzał na fajkę.

– Zgasła. Jak zawsze. – Odłożył ją na balustradę werandy i pochylił się, by podrapać Radar po karku okrytym grubą warstwą sierści. Podniosła łeb, a potem go opuściła. – To naprawdę dobry pies.

– O tak.

– Zakochałeś się w niej, co?

– Hm… tak. Chyba tak.

– Ma obrożę, ale bez przywieszki, co oznacza, że pan Bowditch nie płaci za nią podatku. Przypuszczam też, że nigdy nie była u weterynarza. – Ja też tak sądziłem. – Nigdy nie była szczepiona przeciwko wściekliźnie. Nie mówiąc o innych chorobach. – Przerwał na chwilę. – Mam do ciebie pytanie i chciałbym, żebyś dobrze się zastanowił nad odpowiedzią. Czy nie skończy się tak, że my zapłacimy za to wszystko? Za jedzenie, lekarstwa dla psa, poręcze?

– Nie zapominaj o nocniku – wtrąciłem.

– Więc jak? Co o tym myślisz? Szczerze.

– Kazał mi zapisywać wszystkie wydatki i obiecał, że je potem pokryje. – Była to w najlepszym przypadku tylko połowiczna odpowiedź. Wiedziałem o tym. Ojciec prawdopodobnie też. Po namyśle wykreśliłbym „prawdopodobnie”.

– Nie żebyśmy jakoś strasznie się wykosztowali – dodał. – To najwyżej jakieś dwieście dolarów. Ale szpital… Wiesz, ile kosztuje tydzień pobytu w Arcadii? Do tego oczywiście operacje i opieka pooperacyjna.

Nie wiedziałem, ale tata jako rzeczoznawca ubezpieczeniowy z pewnością wiedział.

– Osiemdziesiąt tysięcy – rzucił. – Minimum.

– Za to chyba w żaden sposób nie możemy odpowiadać, prawda?

– Nie, to wyłącznie jego problem. Nie wiem, jakie ma ubezpieczenie ani czy w ogóle jakieś ma. Spytałem Lindy’ego i wiem, że pan Bowditch na

pewno nie jest ubezpieczony w Overlandzie. Prawdopodobnie korzysta z Medicare, jak inne niepełnosprawne osoby, które ukończyły sześćdziesiąt pięć lat. Nie mam pojęcia, czy może liczyć na cokolwiek więcej. – Poprawił się w fotelu. – Sprawdziłem go trochę. Mam nadzieję, że nie będziesz o to zły.

Nie byłem i nie dziwiło mnie to wcale, bo w ten właśnie sposób zarabiał na życie: sprawdzając ludzi. Czy byłem ciekaw? Oczywiście.

– I czego się dowiedziałeś?

– Prawie niczego, co w dzisiejszych czasach wydaje się praktycznie niemożliwe.

– On nie ma komputera ani nawet komórki. Co oznacza też zero Facebooka i innych mediów społecznościowych.

Przypuszczałem, że pan Bowditch gardziłby Facebookiem, nawet gdyby miał komputer. Facebook był wścibski.

– Mówiłeś, że na skrzynce z narzędziami były inicjały. A.B., tak?

– Zgadza się.

– To by pasowało. Posiadłość na szczycie wzgórza ma powierzchnię ponad pół hektara, a to naprawdę kawał działki. Kupił ją niejaki Adrian Bowditch w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku.

– Jego dziadek?

– Może, ale biorąc pod uwagę, że ma już swoje lata, mógł być to jego ojciec. – Tata sięgnął po fajkę, przygryzł parę razy ustnik i odłożył ją na miejsce. – No właśnie, ile on właściwie ma lat? Ciekawe, czy naprawdę tego nie wie.

– Myślę, że to możliwe.

– Kiedy widywałem go dawnymi czasy, zanim całkiem odciął się od świata, wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Machałem do niego na powitanie, a on czasami odmachnął.

– Nigdy z nim nie rozmawiałeś?

– Pewnie mówiłem „Dzień dobry” albo wspomniałem coś o pogodzie, ale nigdy nie był szczególnie rozmowny. Tak czy inaczej, to by oznaczało, że mógł walczyć w Wietnamie, nie znalazłem go jednak w żadnej dokumentacji wojskowej.

– Więc nie służył w wojsku.

– Prawdopodobnie nie służył. Pewnie mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej, gdybym nadal pracował w Overlandzie, a Lindy’emu nie chciałem zawracać głowy.

– Rozumiem.

– Ustaliłem, że ma przynajmniej trochę pieniędzy, bo dokumenty związane z podatkami od nieruchomości są ogólnie dostępne, a opłata za Jaworową jeden wynosiła w dwa tysiące dwunastym dwadzieścia dwa tysiące dolarów z hakiem.

– I płaci tyle co roku? – zdziwiłem się.

– Ta kwota się zmienia. Ale płaci, a mieszkał tu już, kiedy wprowadziliśmy się z mamą… może ci o tym mówiłem. Dawniej na pewno nie było tego aż tyle, podatki rosną jak wszystko inne, ale tak czy inaczej, łącznie daje to sześciocyfrową kwotę. To naprawdę dużo. Czym się zajmował, zanim przeszedł na emeryturę?

– Nie wiem. Przecież poznałem go całkiem niedawno i był wtedy w kiepskim stanie. Nie odbyliśmy jeszcze „rozmowy od serca”, jak to się mówi.

Choć zdawałem sobie sprawę, że nas to czeka. Nie wiedziałem tylko kiedy.

– Ja też nie wiem. Szukałem i nie znalazłem żadnych informacji. Co, jak warto jeszcze raz podkreślić, wydawałoby się niemożliwe w dzisiejszych czasach. Słyszałem o ludziach, którzy znikali całkiem

z systemu, zwykle jednak zaszywali się gdzieś na Alasce, z sektą, która głosi rychły koniec świata, albo w Montanie, jak Unabomber.

– Una kto?

– Terrorysta samotnik. Naprawdę nazywał się Ted Kaczynski. Nie zauważyłeś przypadkiem w domu Bowditcha jakiegoś sprzętu do produkcji bomb? – Tata zadał to pytanie, puszczając do mnie oko, ale wcale nie byłem pewien, czy żartuje.

– Najgroźniejszą rzeczą, jaką widziałem w jego domu, była kosa. Aha, i zardzewiały młotek w tej skrzyni na drugim piętrze.

– Jakieś zdjęcia? Na przykład ojca i matki? Albo jego z młodości?

– Nie. Widziałem tylko zdjęcie Radar. Na stoliku przy jego fotelu w salonie.

– Hm… – Tata sięgnął po fajkę, lecz zmienił zdanie. – Nie wiemy, skąd pochodzą jego pieniądze… zakładając, że wciąż je ma… i nie wiemy, jak zarabiał na życie. Pewnie była to jakaś praca z domu, bo cierpi na agorafobię. To oznacza…

– Wiem, co to oznacza.

– Przypuszczam, że zawsze miał z tym problemy, a na starość mu się pogorszyło. Całkiem zamknął się przed światem.

– Sąsiadka z naprzeciwka mówiła mi, że kiedyś wyprowadzał Radar na spacery w nocy. – Suka nadstawiła uszu, słysząc swoje imię. – Wydawało mi się to trochę dziwne, bo większość ludzi spaceruje z psami w ciągu dnia, ale…

– Nocą na ulicach jest mniej ludzi – dokończył za mnie ojciec.

– Właśnie. Na pewno nie jest facetem, który lubi gawędzić z sąsiadami.

– Jeszcze jedna sprawa – dodał tata. – Trochę dziwaczna, ale… on sam jest trochę dziwaczny, nie uważasz?

Spytałem tatę o tę dziwaczną rzecz, nie odpowiadając na jego pytanie.

– Ma samochód – odparł. – Nie wiem, gdzie go trzyma, ale ma. Znalazłem rejestrację i trochę danych online. To studebaker z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Ma obniżony podatek akcyzowy, bo auto jest zarejestrowane jako zabytek. Płaci regularnie co roku, jak podatek od nieruchomości, tyle że to znacznie mniejsza kwota. Jakieś sześćdziesiąt dolarów.

– Jeśli ma samochód, to powinieneś też znaleźć jego prawo jazdy, tata. Dowiesz się wtedy, ile ma lat.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Dobry trop, ale w stanie Illinois nigdy nie wydano prawa jazdy na nazwisko Howarda Bowditcha. I nie musisz mieć prawa jazdy, żeby kupić samochód. Nie musi nawet działać.

– Tylko po co płacić podatek za samochód, który nie działa?

– Ba, mam jeszcze lepsze pytanie, Chip: po co płacić podatek za samochód, jeśli nie umiesz prowadzić?

– A co z Adrianem Bowditchem? Ojcem albo dziadkiem? Może on miał prawo jazdy?

– Nie pomyślałem o tym. Sprawdzę. – Umilkł na moment. – Jesteś pewien, że chcesz to robić?

– Tak.

– Więc spytaj go przynajmniej o niektóre z tych rzeczy. Bo gdyby wierzyć temu, co da się znaleźć w dokumentach, to ten człowiek właściwie nie istnieje.

Obiecałem, że spytam, i to zamknęło dyskusję. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć tacie o dziwnym świergotliwym dźwięku w szopie – zamkniętej na wielką kłódkę, choć podobno nic w niej nie było – ale nie

zrobiłem tego. To wspomnienie trochę się już zatarło w mojej pamięci, a miałem przecież wystarczająco dużo innych spraw na głowie.

## 3

Wciąż myślałem o wszystkich tych rzeczach, gdy zdejmowałem foliowy pokrowiec z łóżka w pokoju gościnnym, w którym miałem spać przez kilka najbliższych nocy przerwy wiosennej, a może i do jej końca. Łóżko było zaścielone, ale pościel pachniała wilgocią i stęchlizną. Zdjąłem ją i włożyłem świeżą, z bieliźniarki. Nie wiedziałem, na ile jest świeża, ale z pewnością pachniała lepiej. Znalazłem też drugi komplet, na rozkładaną kanapę.

Gdy zszedłem na parter, Radar siedziała przy schodach i czekała na mnie. Rzuciłem pościel na fotel i zauważyłem, że zanim rozłożę kanapę, będę musiał go trochę przesunąć, a także stojący obok stolik. Kiedy przesuwałem stolik, spod blatu częściowo wysunęła się szuflada. Zobaczyłem garść drobniaków, harmonijkę ustną tak starą, że zeszła z niej większość ozdobnej warstwy chromu… i buteleczkę karprofenu. Ucieszyło mnie to, bo nie chciałem zakładać, że pan Bowditch nie przejmuje się cierpieniem swojego starego psa. Tłumaczyło to też, dlaczego w Pet Pantry bez większych problemów sprzedano mi kolejną porcję. Mniej cieszyła mnie świadomość, że lekarstwo najwyraźniej nie było zbyt skuteczne.

Nakarmiłem Radar, wpychając w karmę tabletkę z nowej buteleczki; pomyślałem, że te tabletki są świeższe, a tym samym może mocniejsze.

Potem poszedłem jeszcze raz na górę po poduszkę. Radar znów czekała na mnie przy schodach.

– Jezu, jak ty to szybko wsunęłaś!

Pomachała ogonem i przesunęła się tylko na tyle, bym mógł obok niej przejść.

Poklepałem poduszkę i rzuciłem ją na kanapę, a właściwie teraz już łóżko stojące pośrodku salonu. Przypuszczałem, że pan Bowditch będzie kręcił na to nosem – właściwie byłem tego pewien – ale nie przejmowałem się tym szczególnie. Utrzymywanie higieny stabilizatora wydawało się dość łatwe, ale miałem nadzieję, że z *Opieki domowej dla głupoli* dowiem się, jak przenosić staruszka z wózka inwalidzkiego, którym zapewne przyjedzie, na łóżko i z powrotem.

Co jeszcze? Co jeszcze?

Włożyć starą pościel z pokoju gościnnego do pralki. To jednak mogło poczekać do jutra albo nawet do poniedziałku. Telefon! Muszę się zająć jeszcze tym. Pan Bowditch będzie musiał mieć go pod ręką. Miał bezprzewodowy aparat, jakby żywcem wyjęty z gangsterskich filmów z lat siedemdziesiątych, w których wszyscy faceci nosili bokobrody, a dziewczyny miały tapirowane włosy. Podniosłem słuchawkę, by sprawdzić, czy działa. Gdy usłyszałem sygnał i odkładałem słuchawkę na widełki, nagle zadzwoniła w mojej dłoni. Krzyknąłem wystraszony i upuściłem ją. Radar szczeknęła.

– Wszystko w porządku, mała – powiedziałem i podniosłem słuchawkę. Nie widziałem guzika, który umożliwiał odebranie połączenia. Wciąż go szukałem, gdy dobiegł mnie głos pana Bowditcha, cichy i odległy:

– Halo? Jesteś tam? Halo?!

A więc nie mogłem odrzucić połączenia ani sprawdzić, kto dzwoni. Takie stare aparaty człowiek musiał po prostu odbierać na ślepo.

– Halo – rzuciłem. – Tu Charlie. Pan Bowditch?

– Dlaczego Radar szczeka?

– Bo krzyknąłem i upuściłem słuchawkę. Trzymałem ją właśnie w ręce, kiedy pan zadzwonił.

– Wystraszyłeś się, tak? – Nie czekał na odpowiedź. – Liczyłem na to, że będziesz w domu, bo to pora karmienia Radar. Nakarmiłeś ją, prawda?

– Jasne. Zjadła wszystko w jakieś trzy sekundy.

Roześmiał się chrapliwie.

– Cała ona, zgadza się. Trochę się już chwieje na nogach, natomiast apetytu jej nie brakuje.

– Jak się pan czuje?

– Noga boli mnie jak cholera, nawet jeśli cały czas faszeruję się tym świństwem, ale dziś wyjęli mnie z łóżka. Kiedy tak ciągnę za sobą ten stabilizator, czuję się jak Jakub Marley z *Opowieści wigilijnej*.

– *Oto łańcuchy, które nosiłem za życia…*

Znów wydał z siebie ten chrapliwy śmiech. Przypuszczałem, że musi być na niezłym haju.

– Czytałeś książkę czy oglądałeś film?

– Film. W każdą Wigilię na TCM. Często oglądamy z tatą TCM.

– Nie wiem, co to jest.

Jasne, że nie wiedział. Na pewno nie odbierał Turner Classic Movies na telewizorze wyposażonym jedynie w… jak to nazywała pani Silvius? Królicze uszy?

– Cieszę się, że cię złapałem – powiedział. – Wypuszczą mnie do domu w poniedziałek po południu, ale najpierw muszę z tobą porozmawiać. Możesz przyjść do mnie jutro? Mój współlokator będzie wtedy oglądać w świetlicy mecz baseballu, więc będziemy mieli trochę prywatności.

– Jasne. Pościeliłem już panu rozkładaną kanapę, a sobie łóżko na piętrze. Poza tym…

– Przyhamuj na moment, Charlie. – Długa pauza, a potem: – Czy oprócz ścielenia łóżek i karmienia psa repertuar twoich umiejętności obejmuje też dochowanie tajemnicy?

Pomyślałem o latach picia ojca – jego straconych latach. W dużej mierze musiałem wtedy sam troszczyć się o siebie i często przepełniała mnie złość. Byłem zły na matkę, że umarła w taki, a nie inny sposób, co oczywiście było głupie, bo w żadnej mierze nie ponosiła za to winy, musicie jednak pamiętać, że miałem zaledwie siedem lat, gdy zginęła na tym przeklętym moście. Kochałem tatę, lecz na niego też byłem zły. Rozgniewane dzieciaki często pakują się w kłopoty, a ja w dodatku miałem pod ręką bardzo skutecznego prowodyra w osobie Bertiego Birda. Jakoś trzymaliśmy się w ryzach, gdy towarzyszył nam Andy Chen, bo był typem harcerzyka, kiedy jednak zostawaliśmy z Bertiem sami, wstępował w nas diabeł i robiliśmy naprawdę kretyńskie rzeczy. Jeśliby nas złapano, mielibyśmy poważne kłopoty, nieraz pewnie trafilibyśmy nawet na policję, ale na szczęście nigdy do tego nie doszło. A ojciec o niczym nie wiedział. I nie zamierzałem dopuścić, by kiedykolwiek się dowiedział. Czy naprawdę chciałbym mu się przyznać, że razem z Bertiem wysmarowaliśmy gównem przednią szybę samochodu nauczyciela, który nam podpadł? Wzdrygam się ze wstydu, nawet gdy o tym piszę, bo przecież obiecałem opowiedzieć o wszystkim. A nie był to najgorszy z naszych wyskoków.

– Charlie? Jesteś tam?

– Jestem. A… tak, potrafię dochować tajemnicy. Jeśli tylko nie zamierza mi pan powiedzieć, że kogoś pan zabił i ciało jest w pana szopie.

Tym razem to on milczał, nie musiałem jednak pytać, czy tam jest; słyszałem jego chrapliwy oddech.

– Nic z tych rzeczy, ale to wielka tajemnica. Porozmawiamy jutro. Wyglądasz na porządnego człowieka. Mam nadzieję, że nie mylę się w tej kwestii. Przekonamy się. No dobrze. Ile jestem winny tobie i twojemu tacie?

– Pyta pan, ile wydaliśmy? Nie tak znów dużo. Najdroższe były zakupy spożywcze. W sumie będzie chyba około dwustu dolarów. Mam wszystkie paragony…

– Do tego dochodzi twój czas. Jeśli rzeczywiście chcesz mi pomóc, musisz dostawać za to wynagrodzenie. Co powiesz na pięćset dolarów tygodniowo?

Zaniemówiłem ze zdumienia.

– Panie Bowditch… – odezwałem się w końcu. – Howard… nie musi pan mi nic płacić. Cieszę się, że mogę…

– *Zasługuje robotnik na swoją zapłatę**. Ewangelia według świętego Łukasza. Pięćset dolarów tygodniowo, a jeśli wszystko się ułoży, premia na koniec roku. Może być?

Wciąż nie wiedziałem, czym zarabiał na życie, ale z pewnością nie kopaniem rowów. Radził sobie świetnie z tym, co Donald Trump nazywa sztuką robienia interesów, czyli ignorowaniem wszelkich protestów. Tylko że protestowałem dość słabo. Złożyłem obietnicę Bogu, ale jeśli pan Bowditch chciał mi płacić za wypełnianie tej obietnicy, to nie widziałem w tym żadnej sprzeczności. Do tego, jak ciągle przypominał mi tata, musiałem myśleć o studiach.

– Charlie? Umowa stoi?

– Jeśli wszystko się ułoży, to chyba tak. – Choć gdyby się okazało, że rzeczywiście jest seryjnym zabójcą, nie dochowywałbym jego tajemnicy za pięćset dolarów tygodniowo. Wtedy musiałby mi płacić co najmniej tysiąc. (Żart). – Dziękuję. Nie oczekiwałem ni…

– Wiem – przerwał mi. Pan Howard Bowditch był mistrzem przerywania. – Pod pewnymi względami jesteś naprawdę czarującym młodzieńcem. I porządnym człowiekiem, jak powiedziałem.

Zastanawiałem się, czy nadal by tak myślał, gdyby wiedział, że pewnego dnia, kiedy poszliśmy na wagary, znaleźliśmy z Bertiem komórkę w parku Highland i zadzwoniliśmy do podstawówki Stevensa z informacją o podłożeniu bomby. To był jego pomysł, ale się przyłączyłem.

– W kuchni jest pojemnik na mąkę. Może już go widziałeś.

Nie tylko go widziałem, ale też pan Bowditch już wcześniej o nim wspominał, choć mógł o tym zapomnieć, bo ogromnie wtedy cierpiał. Powiedział najpierw, że są w nim pieniądze, a potem dodał, że jednak jest pusty. Że o tym zapomniał.

– Jasne – rzuciłem.

– Wyjmij z niego siedemset dolarów, pięćset jako zapłatę za pierwszy tydzień i dwieście za dotychczasowe wydatki.

– Jest pan pewien…

– Tak. A jeśli myślisz, że to łapówka, że próbuję cię urobić przed jakąś szokującą prośbą… to nie. To opłata za wykonane usługi, Charlie. Za wykonane usługi – powtórzył. – W tej kwestii możesz być całkowicie szczery ze swoim ojcem. W innych kwestiach, które będziemy omawiać w przyszłości, niekoniecznie. Wiem, że proszę o dużo.

– Jeśli tylko nie będzie to przestępstwo… poważne przestępstwo.

– Możesz przyjść do szpitala jutro około trzeciej?

– Tak.

– W takim razie pożegnam się. Proszę, poklep Radar od tego głupiego starca, który powinien był trzymać się z dala od drabiny.

Odłożył słuchawkę. Poklepałem Radar parę razy po łbie i pogłaskałem ją kilkakrotnie długimi ruchami, od karku do ogona. Kiedy przetoczyła się

na grzbiet, żebym podrapał ją po brzuchu, z przyjemnością spełniłem jej prośbę. Potem przeszedłem do kuchni i otworzyłem pojemnik na mąkę.

Był wypełniony pieniędzmi. Na wierzchu leżały przemieszane banknoty, głównie dziesiątki i dwudziestki, kilka piątek i jednodolarówek. Gdy je wyjąłem, utworzyły na blacie kuchennym całkiem sporą stertę. Niżej, pod warstwą luźno ułożonych pieniędzy, znajdowały się powiązane banderolami pliki pięćdziesiątek i setek. Na banderolach widniała fioletowa pieczęć z napisem PIERWSZY BANK OBYWATELSKI. Je również wyjąłem, choć musiałem się przy tym trochę natrudzić, tak ciasno zostały upchane. Sześć plików pięćdziesiątek, po dziesięć banknotów w każdym. Pięć plików setek, też po dziesięć w każdym.

Radar weszła do kuchni i siedziała przy swojej misce, wpatrując się we mnie z postawionymi uszami.

– Jasna cholera, mała. Tu jest osiem tysięcy dolarów, i to nie licząc tych na blacie.

Odliczyłem siedemset dolarów z rozrzuconych banknotów, ułożyłem je porządnie, złożyłem na pół i schowałem cały plik do kieszeni, która wydawała się teraz podejrzanie wybrzuszona. Było to co najmniej dziesięć razy więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek miałem przy sobie. Podniosłem przewiązane pliki i zacząłem je wkładać z powrotem do pojemnika, ale przerwałem na moment. Na dnie leżały trzy małe śruciny, lekko czerwonawe. Widziałem już wcześniej coś podobnego, w szafce z lekarstwami. Wysypałem je na dłoń. Pomyślałem, że są za ciężkie jak na śrut do wiatrówki, a jeśli rzeczywiście były tym, na co mi wyglądały, mogłem zakładać, że jestem już bardzo blisko rozwiązania zagadki dochodów pana Bowditcha.

Przypuszczałem, że to złoto.

# 4

Nie przyjechałem na rowerze, a spacer w dół zbocza, do naszego domu, zajmował mi dziesięć do dwunastu minut, ale tego wieczoru znacznie go wydłużyłem. Musiałem się zastanowić i podjąć ważną decyzję. Po drodze raz po raz dotykałem wybrzuszenia w kieszeni, by upewnić się, że pieniądze wciąż tam są.

Powiem tacie o telefonie pana Bowditcha i jego propozycji zatrudnienia. Pokażę mu gotówkę, dwieście dolarów za to, co już wydaliśmy, i pięćset dolarów dla mnie. Powiem mu, żeby wpłacił czterysta na moje konto studenckie (które akurat było też w Pierwszym Obywatelskim), i obiecam, że będę wpłacał kolejne czterysta po każdym tygodniu pracy… czyli być może przez całe lato, a przynajmniej do czasu, aż w sierpniu zaczną się treningi futbolowe. Pozostawało pytanie, czy powinienem mu powiedzieć, ile pieniędzy jest w pojemniku na mąkę. I oczywiście o tych złotych śrucinach. Jeśli rzeczywiście były złote.

Nim dotarłem do domu, podjąłem już decyzję. Zachowam dla siebie informację o ośmiu tysiącach dolarów w pojemniku i o śrucinach, które nie były śrucinami. Przynajmniej do czasu jutrzejszej rozmowy z panem Bowditchem.

– Hej, Charlie! – zawołał tata z salonu. – Jak pies?

– W porządku.

– To dobrze. Przynieś sobie sprite’a i krzesło. Na TCM leci *Okno na podwórze*.

Wziąłem sprite’a, wszedłem do salonu i wyciszyłem telewizor.

– Mam ci coś do powiedzenia – rzuciłem.

– Co może być ważniejsze od Jamesa Stewarta i Grace Kelly?

– A co powiesz na to?

Wyjąłem z kieszeni plik pieniędzy i rzuciłem go na stolik.

Oczekiwałem zaskoczenia, ostrożności, zaniepokojenia, a spotkałem się z zainteresowaniem i rozbawieniem. Tata uważał, że trzymanie pieniędzy w pojemniku na mąkę doskonale pasuje do mentalności zbieracza cierpiącego na agorafobię, czyli pana Bowditcha (wcześniej mówiłem mu o Korytarzu Starych Tekstów, nie wspominając o wiekowym telewizorze i staroświeckich urządzeniach kuchennych).

– Było tam tego więcej? – spytał.

– Trochę – odparłem. Co było zgodne z prawdą.

Skinął głową.

– Zajrzałeś do innych pojemników? Może znalazłbyś jeszcze parę stów w cukrze. – Uśmiechał się.

– Nie.

Wziął dwieście dolarów.

– To trochę więcej, niż wydaliśmy, ale pewnie będzie jeszcze potrzebował innych rzeczy. Chcesz, żebym wpłacił te twoje czterysta do banku?

– Jasne.

– Dobra decyzja. Z jednej strony nie płaci ci kokosów, przynajmniej za to, co zrobisz w pierwszym tygodniu. Myślę, że pełnoetatowy opiekun dostałby więcej. Z drugiej strony będziesz też zarabiał po feriach, a na noc będziesz z nim zostawał tylko, dopóki nie zacznie się szkoła. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Czy to jasne?

– Całkowicie.

– Świetnie. To chomikowanie pieniędzy w różnych kryjówkach trochę mnie martwi, bo nie wiemy, skąd Bowditch je bierze, ale gotów jestem dać

mu kredyt zaufania. Podoba mi się, że ci ufa i że jesteś gotowy mu pomagać. Myślałeś, że będziesz to robił za darmo, prawda?

– Tak.

– Dobry z ciebie dzieciak, Charlie. Sam nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem.

Zrobiło mi się trochę wstyd, bo pomyślałem o wszystkim, czego mu nie powiedziałem – nie tylko o panu Bowditchu, ale też o tych głupich numerach, które wycinaliśmy z Bertiem.

Leżąc tego wieczoru w łóżku, wyobrażałem sobie, że pan Bowditch ma w zamkniętej szopie kopalnię złota, a może i gromadkę krasnali, które w niej pracują. Krasnali o imionach takich jak Śpioszek i Gburek. Uśmiechnąłem się na tę myśl. Przypuszczałem, że ta wielka tajemnica, którą chce mi zdradzić pan Bowditch, dotyczy właśnie zawartości szopy, ale myliłem się. Prawdę o szopie poznałem dopiero później.

---

* Biblia Tysiąclecia, Łk 10,7.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## Wizyta w szpitalu. Sejf. Stantonville. Żądza złota. Pan Bowditch wraca do domu.

### 1

Ucięliśmy sobie z panem Bowditchem długą pogawędkę, gdy jego współlokator, zaopatrzony w pulsometr na piersiach, oglądał w świetlicy mecz White Soxów z Tigersami.

– Ma jakiś problem z pikawą, nie wiedzą, jak to wyleczyć – powiedział mi pan Bowditch. – Bogu dzięki, ja nie muszę się o to martwić. Mam dość innych kłopotów.

Pokazał mi, jak chodzi do łazienki, wspierając się na kulach. Wyraźnie sprawiało mu to ogromny ból, a gdy wrócił do sali, jego czoło było zroszone potem. Uznałem to jednak za dobry znak. Pewnie będzie musiał korzystać z nocnika z długim, jakby nieco złowrogim uchwytem, ale być może obejdzie się bez basenu. Jeśli tylko nie przewróci się w środku nocy i znów nie połamie sobie nogi… Widziałem, jak mięśnie na jego chudych ramionach drżały z wysiłku, gdy stawiał kolejne niepewne kroki. Usiadł na łóżku, wzdychając z ulgą.

– Możesz pomóc mi z tym… – Wskazał na metalowe ustrojstwo.

Podniosłem jego nogę wraz ze stabilizatorem, a gdy leżała już prosto na łóżku, westchnął ponownie i poprosił o dwie tabletki z plastikowego kubka stojącego na szafce nocnej. Podałem mu je, nalałem trochę wody z dzbanka i obserwowałem, jak przełyka, a jego jabłko Adama przesuwa się w dół i w górę pomarszczonej szyi niczym małpka zabawka na tyczce.

– Zamienili mi pompkę morfinową na to – powiedział. – Oksykodon. Lekarz mówi, że się uzależnię, jeśli już do tego nie doszło, a potem będę musiał z tego wyjść. Na razie wydaje mi się, że to uczciwa wymiana. Poszedłem tylko do toalety, a czuję się tak, jakbym przebiegł pieprzony maraton.

Rzeczywiście tak wyglądał, a przecież toaleta w domu ani nie była tak wygodna, ani nie znajdowała się tak blisko łóżka jak ta w szpitalu. Być może jednak będzie potrzebował basenu, przynajmniej na początku. Poszedłem do łazienki, zwilżyłem ręcznik i wykręciłem go. Gdy po powrocie stanąłem nad panem Bowditchem, cofnął głowę i tułów.

– Chwileczkę, co ty wyprawiasz?

– Ocieram panu pot z twarzy. Proszę się nie ruszać.

Nigdy nie wiemy, kiedy w relacjach z ludźmi następuje punkt zwrotny, a ja dopiero później uświadomiłem sobie, że w naszym przypadku stało się to właśnie wtedy. Jeszcze przez moment leżał odchylony do tyłu, aż w końcu się rozluźnił (trochę) i pozwolił, bym otarł mu czoło i policzki.

– Czuję się jak pieprzone dziecko.

– Płaci mi pan, więc proszę pozwolić, że zarobię na swoje pieprzone pieniądze.

Zarechotał rozbawiony. Do sali zajrzała pielęgniarka i spytała, czy czegoś potrzebujemy. Odpowiedział, że nie, a kiedy poszła, kazał mi zamknąć drzwi.

– To jest właśnie ta chwila, kiedy cię poproszę, żebyś mnie wspomógł – oświadczył. – Przynajmniej dopóki sam nie będę mógł o siebie zadbać. I o Radar. Jesteś na to gotów, Charlie?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Tak, może rzeczywiście będziesz musiał. Niestety, muszę cię o to prosić. Nie stawiałbym cię w takiej sytuacji, gdybym miał inne wyjście. Przyszła do mnie kobieta, niejaka Ravensburger. Poznałeś ją?

Odparłem, że tak.

– Ciekawe nazwisko, co? Próbuję sobie wyobrazić burgera z mięsa kruka*, ale mój umysł się przed tym wzdraga.

Nie powiem, że był już trochę naćpany oksykodonem, ale nie powiem też, że nie był. Choć miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był chudy jak szczapa i ważył z pewnością nie więcej niż siedemdziesiąt kilogramów, więc te różowe tabletki musiały go porządnie rąbnąć.

– Rozmawiała ze mną o czymś, co nazywała „opcjami płatności”. Spytałem, ile dotąd jestem winien, a ona dała mi wydruk. Jest w szufladzie… – Wskazał na szafkę nocną. – Ale na razie nie zawracaj sobie tym głowy. Powiedziałem, że to cholernie dużo, a ona na to, że dobra opieka jest cholernie droga, panie Bowditch, a pan ma najlepszą możliwą. I dodała, że jeśli będę chciał się skonsultować ze specjalistą od płatności… cokolwiek to oznacza… chętnie zaaranżuje moje spotkanie z kimś takim, albo teraz, albo gdy już wrócę do domu. Odpowiedziałem, że to raczej nie będzie potrzebne. Dodałem też, że mogę zapłacić rachunek w całości, ale tylko jeśli dostanę rabat. No i przeszliśmy do targów. W końcu stanęło na dwudziestoprocentowej zniżce, co przekłada się na jakieś dziewiętnaście tysięcy dolarów.

Gwizdnąłem przeciągle. Pan Bowditch się uśmiechnął.

– Próbowałem zejść do dwudziestu pięciu procent, ale ona zatrzymała się na dwudziestu i nie chciała ustąpić ani o krok. To pewnie standard w tym biznesie, bo szpitale to tylko jeszcze jedna forma biznesu, gdybyś chciał wiedzieć. Szpitalami i więzieniami zarządza się w podobny sposób, tyle że w przypadku więzień to podatnicy pokrywają rachunki. – Przetarł ręką oczy. – Mógłbym spokojnie zapłacić całość, ale bawiły mnie te targi. Dawno już nie miałem okazji tego robić. Ostatnio chyba na wyprzedażach garażowych… kupowałem wtedy mnóstwo starych książek i czasopism. Lubię stare rzeczy. Zbaczam z tematu? Chyba tak. Krótko mówiąc, chodzi o to, że mogę zapłacić, ale musisz mi w tym pomóc.

– Jeśli ma pan na myśli to, co jest w pojemniku na mąkę…

Machnął lekceważąco ręką, jakby osiem tysięcy dolarów nie miało dla niego większego znaczenia. W porównaniu z tym, co był winien szpitalowi.

– Oto co będziesz musiał zrobić.

Powiedział mi. Kiedy skończył, spytał, czy ma mi to zapisać.

– Nie mam nic przeciwko, jeśli tylko potem zniszczysz wszystkie te notatki – dodał.

– Może tylko szyfr do sejfu. Zapiszę go sobie na ręce, a potem zmyję.

– Zrobisz to?

– Tak.

Nie wyobrażałem sobie, bym mógł tego nie zrobić, choćby po to, by przekonać się, czy mówił mi prawdę.

– To dobrze. Powtórz, co masz po kolei zrobić.

Kiedy powtórzyłem, sięgnął po długopis i zapisał kombinację cyfr i obrotów na moim ramieniu, gdzie ciało zakrywał rękaw koszulki.

– Dziękuję ci – powiedział. – Będziesz musiał poczekać do jutra, żeby zobaczyć się z panem Heinrichem, ale możesz przygotować się już dziś wieczorem. Po tym, jak nakarmisz Radar.

Obiecałem, że tak właśnie zrobię, pożegnałem się i wyszedłem. Byłem, jak to mawia mój tata, skołowaciały. W połowie drogi do windy przypomniałem sobie o czymś i wróciłem.

– Już się rozmyśliłeś? – spytał pan Bowditch. Uśmiechał się, ale widziałem w jego oczach niepokój.

– Nie. Chciałem tylko spytać o coś, co pan kiedyś powiedział.

– Co takiego?

– Coś o prezentach. Powiedział pan, że dzielny człowiek pomaga, a tchórz przynosi prezenty.

– Nie przypominam sobie, żebym mówił coś takiego.

– Owszem, mówił pan. Co pan miał na myśli?

– Nie wiem. Pewnie bredziłem coś po środkach przeciwbólowych.

Kłamał. Przez kilka lat mieszkałem z pijakiem i umiałem odróżnić prawdę od kłamstwa.

## 2

Pojechałem rowerem na Jaworową 1. Nie przesadzę, jeśli powiem, że umierałem z ciekawości. Otworzyłem tylne drzwi i przyjąłem radosne powitanie Radar. Mogła stanąć na tylnych łapach, by dopominać się pieszczot, co być może oznaczało, że nowe tabletki działają. Wypuściłem ją na podwórko, żeby załatwiła swoje sprawy. W duchu ciągle ją poganiałem, by się pospieszyła i wybrała sobie wreszcie odpowiednie miejsce.

Gdy wróciła do środka, poszedłem na górę, do sypialni pana Bowditcha, i otworzyłem jego szafę. Miał mnóstwo ubrań, głównie do użytku w domu

czy na podwórzu – flanelowe koszule i spodnie khaki – ale były tam też dwa garnitury. Jeden czarny, a drugi szary; oba wyglądały jak te, które nosili George Raft albo Edward G. Robinson w filmie *Each Dawn I Die*, dwurzędowe i poszerzane w ramionach.

Zsunąłem ubrania pod jedną ścianę, odsłaniając sejf firmy Watchman, średniej wielkości, staroświecki, mniej więcej metrowej wysokości. Przykucnąłem i sięgnąłem do pokrętła. W tym samym momencie coś zimnego dotknęło moich pleców w miejscu, gdzie koszulka wysunęła się ze spodni. Wrzasnąłem, obróciłem się i zobaczyłem Radar, która machała leniwie ogonem. To coś zimnego było jej nosem.

– Nie rób tego więcej, mała – mruknąłem.

Usiadła i odsłoniła zęby w uśmiechu, jakby chciała powiedzieć, że będzie robić, co zechce. Odwróciłem się ponownie do sejfu. Za pierwszym razem pomyliłem się przy wprowadzaniu szyfru, ale po drugiej próbie mogłem już otworzyć drzwiczki.

Pierwszym przedmiotem, który ujrzałem, była broń leżąca na jedynej półce sejfu. Była większa niż ta, którą tata dawał mamie, gdy musiał wyjechać na kilka dni… a raz nawet na cały tydzień, na jakąś imprezę firmową. Tamten pistolet był damską trzydziestkądwójką; przypuszczałem, że tata wciąż go ma, choć nie byłem pewien. Czasami, gdy pił wyjątkowo ostro, szukałem go po całym domu, ale nigdy nie znalazłem. Ta broń wyglądała na znacznie większą: sądziłem, że to rewolwer kalibru .45. Jak większość rzeczy pana Bowditcha wydawał się staroświecki. Podniosłem go – ostrożnie – i odszukałem przycisk, który umożliwiał wysunięcie bębenka. Był naładowany, w każdej z sześciu komór znajdował się nabój. Wsunąłem bębenek na miejsce i odłożyłem rewolwer na półkę. Biorąc pod uwagę to, co powiedział mi jego właściciel, wcale się nie dziwiłem, że trzymał tu broń. Jeszcze lepszym rozwiązaniem byłby zapewne alarm

przeciwwłamaniowy, ale pan Bowditch nie chciał żadnych interwencji policji na swojej posesji. Poza tym jeszcze do niedawna Radar była doskonałym alarmem przeciwwłamaniowym – Andy Chen mógł to potwierdzić.

Na dnie sejfu znalazłem to, o czym mówił mi pan Bowditch: duże stalowe wiadro przykryte plecakiem. Podniosłem plecak i zobaczyłem, że jest niemal całkowicie wypełnione tymi śrucinami, które nie były śrutem, lecz drobinami złota.

Wiadro miało podwójny uchwyt. Ująłem go mocno i podniosłem. Wciąż kucałem, więc musiałem się naprawdę wysilić, bo pojemnik zawierał ze dwadzieścia kilogramów złota, może nawet dwadzieścia pięć. Usiadłem i spojrzałem na Radar.

– Jezu Chryste. To przecież pieprzona fortuna.

Pomachała ogonem.

## 3

Wieczorem, gdy dałem jej jeść, znów poszedłem na piętro i jeszcze raz spojrzałem na wiadro, tylko po to, by upewnić się, że go sobie nie wyobraziłem. Kiedy wróciłem do domu, tata chciał wiedzieć, czy jestem gotów na powrót pana Bowditcha. Odpowiedziałem, że tak, ale wcześniej muszę jeszcze zrobić kilka rzeczy.

– Więc jak, mogę pożyczyć twoją wiertarkę? – spytałem. – I ten elektryczny wkrętak?

– Jasne. Chętnie poszedłbym tam z tobą i pomógł ci, ale mam spotkanie o dziewiątej. Chodzi o ten pożar apartamentowca, o którym ci mówiłem. Okazuje się, że to mogło być podpalenie.

– Dam sobie radę.

– Mam nadzieję. Wszystko w porządku?

– Jasne. Dlaczego pytasz?

– Wydajesz się trochę nieswój. Martwisz się jutrem?

– Trochę – odparłem. I nie było to wcale kłamstwo.

Zastanawiacie się może, czy kusiło mnie, by powiedzieć ojcu o tym, co znalazłem. Nie kusiło. Choćby dlatego, że obiecałem dochować tajemnicy. I dlatego, że – jak twierdził pan Bowditch – złoto nie zostało skradzione w „ogólnie przyjętym rozumieniu tego słowa”. Spytałem, co to ma oznaczać, ale odpowiedział tylko, że nikt na całym świecie tego złota nie szuka. Miałem nadzieję, że później dowiem się czegoś więcej, a na razie byłem gotowy uwierzyć mu na słowo.

I jeszcze jedno. Miałem siedemnaście lat, a to była najbardziej ekscytująca przygoda, jaka mnie dotąd spotkała. I chciałem przeżywać ją dalej.

## 4

Z samego rana w poniedziałek pojechałem na rowerze do domu pana Bowditcha, by nakarmić Radar. Przyglądała mi się podejrzliwie, gdy montowałem poręcze w toalecie. Sedes był wciśnięty w maleńką przestrzeń niemal na styk, a poręcze ograniczały ją jeszcze bardziej, uznałem jednak,

że to dobrze. Przypuszczałem, że nie obejdzie się bez gderania i narzekań, gdy pan Bowditch będzie się opuszczał na sedes w tym ciasnym pomieszczeniu, lecz przynajmniej miałem pewność, że się nie przewróci. Mógł się też przytrzymywać poręczy podczas sikania, co było dodatkowym plusem. Spróbowałem poruszyć poręczami, ale nawet nie drgnęły.

– Co myślisz, Radar? Może być?

Pomachała ogonem.

– Możesz odważyć złoto na wadze łazienkowej – powiedział mi pan Bowditch podczas rozmowy w szpitalu. – Nie będzie to zbyt dokładne, ale gdybyś miał korzystać z wagi kuchennej, zajęłoby ci to całą wieczność… wiem z doświadczenia. Do ważenia i przenoszenia używaj plecaka. I lepiej nabierz trochę za dużo niż za mało. Heinrich i tak to potem zważy, na dokładniejszej wadze. No wiesz, cyf-ro-wej. – Wypowiedział to ostatnie słowo właśnie w ten sposób, dzieląc je na sylaby, przez co zabrzmiało głupawo i pretensjonalnie.

– Jak pan mu to zawozi, kiedy potrzebuje pan gotówki? – Stantonville dzieliło od naszego miasteczka jedenaście kilometrów.

– Biorę jubera. Heinrich za niego płaci.

Przez moment nie rozumiałem, ale w końcu zaskoczyłem, że chodzi mu o ubera.

– Dlaczego się uśmiechasz, Charlie?

– Nie, nic. Przeprowadza pan tę wymianę w nocy?

Skinął głową.

– Zwykle około dziesiątej, gdy większość ludzi w okolicy leży już w łóżkach. Zwłaszcza pani Richland z naprzeciwka. Wyjątkowo wścibska kobieta.

– Już pan o tym mówił.

– O takich rzeczach zawsze warto przypominać.

Też tak uważałem.

– Przypuszczam, że nie jestem jedynym klientem, z którym Heinrich spotyka się nocami, ale zgodził się zamknąć jutro sklep, żebyś mógł wpaść do niego rano, między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą. Nigdy nie przeprowadzałem z nim tak dużej transakcji. Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku, bo zawsze traktował mnie uczciwie, ale w sejfie jest rewolwer i jeśli chcesz go zabrać dla ochrony, to nie mam nic przeciwko.

Nie miałem zamiaru go brać. Wiem, że niektórym ludziom broń daje poczucie siły, ja jednak do nich nie należałem. Sam dotyk rewolweru przyprawiał mnie o gęsią skórkę. Gdyby ktoś mi powiedział, że w nieodległej przyszłości będę go nosił, popukałbym się w czoło.

Znalazłem w spiżarni chochlę i poszedłem na piętro. Zdążyłem już zmyć z ramienia szyfr, który wcześniej zapisałem w komórce, w notatce chronionej hasłem, ale nawet nie musiałem do niej zaglądać. Otworzyłem sejf już przy pierwszej próbie. Zdjąłem plecak z wiadra i przez chwilę przyglądałem się z zachwytem złotu. Nie mogąc się oprzeć pokusie, zanurzyłem w nim dłonie aż po nadgarstki, a potem podnosiłem je powoli i żółte śruciny przesypywały mi się przez palce. Zrobiłem to ponownie. I jeszcze raz. Było w tym coś hipnotyzującego. W końcu potrząsnąłem głową, jakbym chciał uwolnić się od złego czaru, i zacząłem nabierać złoto.

Kiedy po raz pierwszy zważyłem plecak, waga pokazała półtora kilograma. Dołożyłem następną porcję – tym razem miałem prawie dwa i pół. Przy ostatnim pomiarze wskazówka zatrzymała się przy trzech i pół i uznałem, że to w zupełności wystarczy. Jeśli cyf-ro-wa waga pana Heinricha pokaże, że w plecaku jest więcej niż umówione trzy kilogramy, po prostu zabiorę resztę. Miałem jeszcze co robić w domu pana Bowditcha przed jego przyjazdem. Przypomniałem sobie, że powinienem kupić dzwonek, by mógł mnie wzywać w nocy, gdyby czegoś potrzebował.

W *Opiece domowej dla głupoli* napisano, że najlepiej sprawdzi się interkom albo elektryczna niania, pomyślałem jednak, że on wolałby raczej coś bardziej oldskulowego.

Podczas rozmowy w szpitalu spytałem go, ile są warte trzy kilogramy złota, bo chciałem – i nie chciałem jednocześnie – wiedzieć, ile będę wiózł na plecach, pokonując rowerem jedenaście kilometrów, głównie w wiejskiej okolicy, które dzieliły jego dom od Stantonville. Odpowiedział mi, że kiedy sprawdzał ostatnio notowania w Gold Price Group w Teksasie, za kilogram płacono ponad trzydzieści tysięcy dolarów.

– Ale Heinrich może zaproponować dwadzieścia osiem, taką cenę uzgodniliśmy. Łącznie wychodzi osiemdziesiąt cztery tysiące dolarów, ale on da ci czek na siedemdziesiąt cztery. Opłacę z tego szpitalny rachunek i jeszcze trochę mi zostanie, a Heinrich będzie mógł liczyć na przyzwoity zarobek.

„Przyzwoity” było w tym wypadku sporym niedomówieniem. Nie wiem, kiedy pan Bowditch sprawdzał ostatnio ceny w Gold Price Group, ale jego szacunki były znacznie niższe od tych z kwietnia 2013 roku. W niedzielę, przed pójściem do łóżka, sprawdziłem ceny złota na laptopie. Okazało się, że cena przekracza tysiąc dwieście dolarów za uncję, czyli czterdzieści dwa tysiące za kilogram. Na giełdzie złota w Zurychu trzy kilogramy sprzedałyby się za sto piętnaście tysięcy dolarów, co oznaczało, że ten Heinrich zarobi ponad czterdzieści tysięcy. W dodatku złoto było towarem bezpieczniejszym niż na przykład kradzione diamenty, przy których kupcy domagają się dużej zniżki ze względu na ryzyko. Bryłki złota są nieoznaczone, anonimowe, można je więc bez trudu przetopić na sztabki. Albo zrobić z nich biżuterię.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do pana Bowditcha i nie powiedzieć mu, że sprzedaje złoto po zaniżonej cenie, ale nie zrobiłem

tego. Z bardzo prostego powodu: przypuszczałem, że wcale nie będzie go to obchodzić. W pewnym sensie to rozumiałem. Nawet lżejsze o trzy kilogramy, Wiadro Złota Kapitana Kidda wciąż było niemal po brzegi wypełnione drogocennym kruszcem. Moim zadaniem (choć pan Bowditch nie powiedział tego wprost) było tylko dokonać transakcji i nie dać się orżnąć. Wiedziałem, że to ogromna odpowiedzialność, i nie chciałem pod żadnym pozorem zawieść jego zaufania.

Zapiąłem paski plecaka i sprawdziłem, czy na trasie między sejfem a wagą łazienkową nie zapodziały się jakieś pojedyncze śruciny, ale żadnej nie znalazłem. Pogłaskałem czule Radar (na szczęście) i wyszedłem z domu, niosąc ze sobą sto piętnaście tysięcy dolarów w wytartym starym plecaku.

Mój stary przyjaciel Bertie Bird nazwałby to kupą hajsu.

## 5

Centrum Stantonville to była właściwie jedna ulica, przy której działało kilka tandetnych sklepów, dwa bary i jedna z tych knajp, w których przez cały dzień serwuje się śniadanie z wielkim kubkiem kiepskiej kawy. Sporo sklepów było zamkniętych i zabitych deskami, na których wisiały informacje, że lokale są na sprzedaż lub do wynajęcia. Tata mówił, że kiedyś Stantonville było dobrze prosperującą małą społecznością, doskonałym miejscem na zakupy dla ludzi, którzy nie chcieli jeździć do Elgin, Naperville, Joliet czy aż do Chicago. Potem, w latach siedemdziesiątych, otwarto centrum handlowe Stantonville Mall. Nie było

to byle jakie centrum, ale kolos z dwunastosalowym kinem, parkiem rozrywki dla dzieci, ścianą wspinaczkową, salą trampolin zwaną Fliers, escape roomem i facetami przebranymi za zwierzęta, którzy chodzili po całym centrum i zabawiali ludzi. Ta świątynia komercji znajdowała się na północ od Stantonville. Wchłonęła większość życia z centrum miasteczka, a pozostawione przez nią resztki padły ofiarą Walmartu i Sam’s Clubu, które wybudowano na południu, przy zjeździe z autostrady.

Jechałem rowerem, ominąłem więc zjazd i wybrałem 74-A, dwujezdniową drogę wiodącą obok farm i pól kukurydzy. Nad ziemią unosił się zapach obornika i roślin. Był przyjemny wiosenny ranek; jazda sprawiałaby mi pewnie więcej radości, gdybym nie wracał ciągle myślami do fortuny, którą wiozłem na plecach. Pamiętam, że myślałem o Jasiu, chłopcu, który wspiął się na magiczną fasolę.

Dotarłem do centrum Stantonville o dziewiątej piętnaście, czyli trochę za wcześnie, wstąpiłem więc do knajpy, kupiłem colę i popijałem ją, siedząc na ławce przy brudnym małym placu z nieczynną fontanną wypełnioną śmieciami i osranym przez ptaki pomnikiem kogoś, o kim nigdy nie słyszałem. Przypomniałem sobie ten plac i nieczynną fontannę później, w miejscu jeszcze bardziej opustoszałym niż Stantonville.

Nie mogę przysiąc, że Christopher Polley był tam tamtego ranka. Nie mogę też przysiąc, że go nie było. Polley to facet, który potrafi wtopić się w tło i pokazać dopiero wtedy, gdy chce, byś go zobaczył. Mógł być w knajpie i jeść jajka na bekonie. Mógł być na przystanku autobusowym albo udawać, że ogląda gitary i boomboxy na wystawie lombardu Stantonville Pawn & Loan. Albo mogło go tam wcale nie być. W każdym razie nie pamiętam nikogo w czapce ze starym logo White Soxów, czyli takiej z czerwonym kółkiem z przodu. Może jej wtedy nie nosił, ale bez niej nigdy tego sukinsyna nie widziałem.

Za dwadzieścia dziesiąta wyrzuciłem opróżniony do połowy kubek do najbliższego kosza i pedałując powoli, pojechałem ulicą Główną. Dzielnica biznesowa, jeśli tak to można nazwać, zajmowała zaledwie cztery przecznice. Niedaleko czwartej, rzut kamieniem od tablicy z napisem STANTONVILLE ŻEGNA. DZIĘKUJEMY ZA ODWIEDZINY, znajdował się lokal opatrzony szyldem *Excellent Jewelers. Kupno i Sprzedaż*. Wydawał się równie zaniedbany i szpetny jak cała reszta miasteczka. Zakurzona witryna była pusta. Tabliczka zawieszona na małym plastikowym haczyku przyklejonym do drzwi głosiła: ZAMKNIĘTE.

Przy drzwiach był dzwonek. Nacisnąłem go. Żadnej reakcji. Nacisnąłem ponownie, znów myśląc o plecaku wiszącym na moich ramionach. Przystawiłem nos do szyby i przyłożyłem dłonie po obu stronach głowy, by osłonić oczy i zajrzeć do środka. Zobaczyłem stary dywan i puste szklane gabloty. Zaczynałem już myśleć, że albo się pomyliłem, albo pan Bowditch coś pomieszał, ale wtedy do sali wszedł drobny mężczyzna w tweedowej czapce, zapinanym swetrze i workowatych spodniach. Wyglądał jak ogrodnik z brytyjskiego kryminału. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, a potem przekuśtykał kawałek i wcisnął guzik przy staromodnej kasie. Drzwi zabrzęczały. Pchnąłem je i wszedłem do wnętrza wypełnionego zapachem kurzu i powolnego rozkładu.

– Na zaplecze – rzucił. – Na zaplecze.

Zostałem przy drzwiach.

– Pan Heinrich, tak? – spytałem.

– A któż by inny?

– Czy mógłbym… hm… zobaczyć pańskie prawo jazdy?

Uniósł brwi, a potem się roześmiał.

– Stary przysyła mi ostrożnego chłopca, i bardzo dobrze.

Wyjął z tylnej kieszeni wytarty portfel i otworzył go tak, bym mógł zobaczyć prawo jazdy. Nim go zamknął, zdążyłem dojrzeć, że ma na imię Wilhelm.

– Zadowolony?

– Tak – odparłem. – Dziękuję.

– Chodź na zaplecze. *Schnell*.

Przeszedłem za nim do pokoju na tyłach lokalu. Otworzył go, wpisując szyfr na umieszczonej przy drzwiach klawiaturze, którą zasłonił własnym ciałem. We wnętrzu pomieszczenia znajdowało się wszystko to, czego nie było w głównej sali: półki pełne zegarków, medalionów, broszek, pierścionków, naszyjników i łańcuszków. Rubiny i szmaragdy lśniły żywym ogniem. Zobaczyłem diadem wysadzany brylantami i wskazałem go.

– Prawdziwe?

– *Ja*, *ja*, prawdziwe. Ale chyba nie przyszedłeś tu kupować. Przyszedłeś tu sprzedać. Może nie zauważyłeś, że ja nie poprosiłem cię o prawo jazdy.

– To dobrze, bo go nie mam.

– Wiem już, kim jesteś. Widziałem twoje zdjęcie w gazecie.

– W „Sun”?

– W „USA Today”. Jesteś znany w całym kraju, młody panie Charlesie Reade. Przynajmniej w tym tygodniu. Uratowałeś życie staremu Bowditchowi.

Nawet nie próbowałem mu tłumaczyć, że to pies; byłem tym już zmęczony, chciałem tylko załatwić sprawę, z którą tu przyjechałem, i wracać. Całe to złoto i klejnoty trochę mnie przerażały, zwłaszcza w porównaniu z pustymi półkami od frontu. Niemal żałowałem, że nie zabrałem ze sobą broni, bo zaczynałem się czuć nie jak Jaś z baśni o magicznej fasoli, ale jak Jim Hawkins z *Wyspy skarbów*. Heinrich był drobny, pękaty i niegroźny, ale skąd mogłem wiedzieć, czy gdzieś nie czai

się jego wspólnik, bandzior pokroju Długiego Johna Silvera? Nie była to wcale tak absurdalna myśl, jak mogłoby się wydawać. Przekonałem się już, że pan Bowditch od lat robił interesy z tym człowiekiem, ale jak sam mówił, nigdy jeszcze nie przeprowadzał u niego wymiany na taką skalę.

– Zobaczmy, co tam masz – powiedział Heinrich. W powieści przygodowej dla chłopców byłby uosobieniem chciwości, zacierałby dłonie i niemal ślinił się na widok złota, ten mężczyzna mówił jednak normalnym, rzeczowym tonem, wydawał się nawet nieco znudzony. To nie budziło mojego zaufania, podobnie jak cały on.

Położyłem plecak na kontuarze. Obok stała waga i rzeczywiście była cyf-ro-wa. Rozsunąłem zamek klapy plecaka i uniosłem ją. Kiedy Heinrich zajrzał do środka, jego twarz odmieniła się na moment: zacisnął usta i otworzył szerzej oczy.

– *Mein Gott*. Popatrz no tylko, co wiozłeś na rowerze.

Waga była wyposażona w korytko ze szkła akrylowego, zawieszone na łańcuszkach. Heinrich wkładał drobne porcje śrucin do korytka, aż waga pokazała kilogram. Odłożył złoto do plastikowego pojemnika, a potem odważył kolejny kilogram. Gdy skończył ważyć ostatnią porcję i dodał ją do reszty, w fałdzie na dnie plecaka wciąż leżały złote drobiny. Pan Bowditch kazał mi zabrać trochę więcej złota, niż wydawało się konieczne, i tak też zrobiłem.

– Zostało chyba jeszcze ze sto pięćdziesiąt gramów, *was*? – powiedział, zaglądając do środka. – Sprzedaj mi to, a ja dam ci trzy tysiące dolarów, gotówką. Bowditch nic nie musi wiedzieć. Uznajmy, że to napiwek.

Uznajmy, że to coś, czym mógłbyś mnie potem szantażować, pomyślałem. Podziękowałem jednak za propozycję i zamknąłem klapę.

– Ma pan dla mnie czek, prawda?

– Tak.

Złożony czek tkwił w kieszeni jego dziaduniowego swetra. Został wystawiony przez Bank Chicago PNC, oddział przy Belmont Avenue, na nazwisko Howarda Bowditcha, i opiewał na kwotę siedemdziesięciu czterech tysięcy dolarów. W miejscu na tytuł płatności, po drugiej stronie podpisu Wilhelma Heinricha, znajdował się krótki napis: *Usługi osobiste*. Uznałem, że wszystko jest w porządku, włożyłem czek do portfela, a portfel do lewej przedniej kieszeni.

– To uparty starzec, który nie chce iść z duchem czasu – powiedział Heinrich. – W przeszłości, gdy operowaliśmy znacznie mniejszymi kwotami, często dawałem mu gotówkę. Tylko dwa razy czek. Kiedyś spytałem go: „Nie słyszałeś o internetowych kontach bankowych?”. I wiesz, co on na to?

Pokręciłem głową, choć domyślałem się.

– Powiedział: „Nie słyszałem o tym i nie chcę słyszeć”. A teraz, po raz pierwszy, przysyła tu *einen Boten*… wysłannika… bo miał wypadek. Jeszcze niedawno powiedziałbym, że nie ma na świecie nikogo, komu mógłby powierzyć taką misję. A jednak tu jesteś. Chłopiec na rowerze.

– I już jadę – odparłem i ruszyłem do drzwi prowadzących do pustego na razie sklepu, gdzie być może właściciel zamierzał wnieść później towar. Przypuszczałem, że drzwi będą zamknięte na zamek, ale nie były. Od razu poczułem się lepiej, gdy znalazłem się w miejscu, z którego widać było światło dnia. Wciąż jednak czułem nieprzyjemny zapach starego kurzu. Jak w grobowcu.

– Czy on w ogóle wie, co to jest komputer? – spytał Heinrich, wychodząc za mną i zamykając drzwi do pokoju na zapleczu. – Na pewno nie.

Nie zamierzałem dać się wciągnąć w dyskusję o tym, co wie pan Bowditch, a czego nie, powiedziałem więc tylko, że miło było go poznać.

Co nie było prawdą. Odetchnąłem z ulgą, kiedy zobaczyłem, że nikt nie ukradł mi roweru – wyjeżdżając rano z domu, byłem zbyt przejęty innymi rzeczami, by pamiętać o zabraniu zapięcia.

Heinrich ujął mnie pod łokieć. Odwróciłem się i w końcu zobaczyłem Długiego Johna Silvera, ukrytego dotąd pod fasadą dobrodusznego starszego pana. Brakowało mu tylko papugi na ramieniu, by dopełnić ten obraz. Zdaniem Silvera jego papuga widziała tyle niegodziwości co sam diabeł. Pomyślałem że Wilhelm Heinrich też widział ich sporo… Musicie jednak pamiętać, że miałem siedemnaście lat i tkwiłem po uszy w sprawach, których nie rozumiałem. Innymi słowy, byłem śmiertelnie przerażony.

– Ile on ma tego złota? – spytał Heinrich niskim gardłowym głosem. Miałem wrażenie, że te jego niemieckie wtrącenia są tylko pozą, ale w tym momencie naprawdę brzmiał jak Niemiec. I nie jak miły Niemiec. – Powiedz mi, ile tego ma i skąd to bierze. Odwdzięczę się, nie pożałujesz.

– Pojadę już – rzuciłem i tak zrobiłem.

Czy Christopher Polley mnie obserwował, gdy wsiadałem na rower i odjeżdżałem z resztką złota w plecaku? Nie zauważyłbym go, bo patrzyłem przez ramię na bladą pucułowatą twarz Heinricha nad tabliczką ZAMKNIĘTE na drzwiach jego zakurzonego zakładu. Może tylko zadziałała moja wyobraźnia – pewnie tak właśnie było – wydawało mi się jednak, że wciąż widzę na tej twarzy chciwość. Co więcej, rozumiałem to. Pamiętałem przecież, jak wkładałem dłonie do wiadra i przesypywałem drobiny złota między palcami. To nie była zwykła chciwość, lecz żądza złota.

Jak w opowieściach o piratach.

# 6

Około czwartej po południu przed domem zatrzymała się furgonetka z napisem OPIEKA AMBULATORYJNA ARCADIA. Czekałem na chodniku, z Radar na smyczy. Bramka – oczyszczona z rdzy i naoliwiona – stała otworem. Z szoferki wysiadł sanitariusz i otworzył tylne drzwi. Zobaczyłem Melissę Wilcox stojącą za panem Bowditchem, który siedział na wózku inwalidzkim, z wyprostowaną przed sobą nogą w stabilizatorze. Melissa odblokowała wózek, pchnęła go do przodu i nasadą dłoni wcisnęła guzik przy drzwiach. Gdy winda z wózkiem zaczęła powoli opadać ku ziemi, zrobiło mi się słabo. Pamiętałem o telefonie, o nocniku, nawet o dzwonku do przywołania pomocy. Czek od Heinricha leżał bezpiecznie w moim portfelu. Wszystko pięknie, tyle że w domu nie było podjazdu dla wózków, ani od frontu, ani z tyłu. Czułem się jak idiota, ale przynajmniej nie musiałem się skupiać nad tym zbyt długo. Radar skutecznie mnie od tego odwiodła. Zobaczyła swojego pana i rzuciła się w jego stronę. W tym momencie nic nie wskazywało na to, że ma chore stawy. Zdążyłem ściągnąć smycz i nie dopuścić, by winda przygniotła jej łapy, ale gwałtowne szarpnięcie przeniknęło bólem całą moją rękę, aż po bark.

*Jark! Jark! Jark!*

To nie było groźne szczekanie wielkiego psa, które przed laty przeraziło Andy’ego, lecz wołanie tak rzewne i ludzkie, że ściskało za serce. „Wróciłeś! – szczekała Radar. – Bogu dzięki, myślałam, że zniknąłeś na zawsze”.

Gdy pan Bowditch wyciągnął do niej ręce, skoczyła i oparła przednie łapy na jego wyciągniętej nodze. Skrzywił się z bólu, a potem roześmiał i ujął jej łeb.

– Tak, maleńka. – Przemawiał do niej jak do dziecka.

Nie mogłem uwierzyć, że wydaje takie dźwięki, mimo że słyszałem je na własne uszy. Ten zrzędliwy stary człowiek się roztkliwił! Widziałem łzy w jego oczach. Radar wydawała z siebie przytłumione radosne dźwięki, a jej wielki stary ogon poruszał się nieustannie w tę i we w tę.

– Tak, malutka, tak, ja też za tobą tęskniłem. A teraz zejdź z tego, bo zamęczysz mnie na śmierć.

Opadła na cztery łapy i szła obok wózka, gdy Melissa wprowadziła go na chodnik, z trudem unosząc najpierw przednie koła.

– Nie ma podjazdu – powiedziałem. – Przepraszam… przepraszam, mogę to szybko zrobić, sprawdzę w necie, jak się do tego zabrać… teraz wszystko jest w necie. – Wiedziałem, że paplam bez sensu, nie mogłem się jednak powstrzymać. – Myślę, że wszystko inne jest z grubsza gotowe…

– Zlecimy to komuś, więc przestań się wygłupiać – przerwał mi pan Bowditch. – Nie musisz robić wszystkiego. Jedną z zalet pracy asystenta jest to, że może zlecać zadania innym. I nie ma pośpiechu. Rzadko wychodzę na zewnątrz, jak sam wiesz. Załatwiłeś tę sprawę, o której rozmawialiśmy?

– Tak. Dziś rano.

– Dobrze.

– Tacy silni faceci jak wy dwaj powinni bez problemu wnieść ten wózek na schody – powiedziała Melissa. – Co ty na to, Herbie?

– Nie ma sprawy – odparł sanitariusz. – Zgadza się, kolego?

Odparłem, że oczywiście, i zająłem miejsce z boku wózka. Radar wdrapała się do połowy wysokości schodów, przystanęła na moment, gdy zawiodły ją tylne łapy, po czym doprowadziła je do pionu i pokonała ostatnie stopnie. Patrzyła na nas z góry, wymachując ogonem.

– I ktoś musi wyrównać ten chodnik, jeśli pan Bowditch ma z niego korzystać – dodała Melissa. – Wygląda gorzej niż wiejska droga w Tennessee, przy której się wychowałam.

– Gotów? – spytał Herbie.

Wnieśliśmy wózek na werandę. Przez chwilę przerzucałem klucze pana Bowditcha, aż znalazłem ten, którym otwierało się frontowe drzwi.

– Hej – odezwał się nagle sanitariusz. – Czy nie widziałem cię na zdjęciu w gazecie?

– Pewnie tak. – Westchnąłem. – Mnie i Radar. Tutaj, przed bramką.

– Nie, nie, w zeszłym roku. To ty zaliczyłeś zwycięskie przyłożenie w turnieju na Święto Dziękczynienia. Pięć sekund przed końcem meczu.

Podniósł rękę nad głowę, trzymając niewidzialną piłkę, jak ja na zdjęciu. Trudno powiedzieć, dlaczego ucieszyło mnie to, że pamiętał właśnie tamtą fotografię, a nie tę ostatnią, ale tak właśnie było.

Kiedy przeszliśmy do salonu, czekałem w milczeniu – bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek dotąd – podczas gdy Melissa Wilcox oglądała rozkładaną kanapę.

– Dobrze – orzekła. – Jest w porządku. Może trochę za niska, ale musimy sobie radzić z tym, co mamy. Przyda się jakiś wałek albo coś w tym rodzaju, żeby dodatkowo wesprzeć tę nogę. Kto ścielił łóżko?

– Ja – odparłem i wyraz zaskoczenia na jej twarzy również mnie ucieszył.

– Przeczytałeś tę ulotkę, którą ci dałam?

– Tak, kupiłem płyn dezynfekujący do higieny stabilizatora…

Pokręciła głową.

– Wystarczy zwykła sól fizjologiczna. Ciepła słona woda. Czujesz się na siłach, żeby go przenieść?

– Halo? – wtrącił pan Bowditch. – Może ja też mógłbym uczestniczyć w tej rozmowie? Jestem tu.

– Tak, ale nie mówię do pana. – Melissa się uśmiechnęła.

– Hm… sam nie wiem – mruknąłem.

– Panie Bowditch, teraz mówię do pana – zaznaczyła Melissa. – Ma pan coś przeciwko temu, żeby Charlie spróbował pana przenieść? Herbie i ja będziemy was asekurować.

Starszy pan spojrzał na Radar, która siedziała tak blisko wózka, jak tylko mogła.

– Co myślisz, mała? Zaufać temu dzieciakowi?

Suka szczeknęła.

– Radar się zgadza i ja też się zgadzam. Nie upuść mnie, młody człowieku. Ta noga śpiewa wysokim C.

Przysunąłem wózek do łóżka, zablokowałem koła i spytałem pana Bowditcha, czy może stanąć na zdrowej nodze. Podniósł się nieco, bym mógł odblokować i opuścić podpórkę, na której trzymał chorą nogę. Stęknął ciężko, zdołał jednak podnieść się do końca. Choć nieco chwiejnie, stał w pionie.

– Proszę się odwrócić plecami do łóżka, ale nie próbować usiąść, dopóki panu nie powiem – poleciłem mu, a Melissa kiwała z aprobatą głową.

Gdy pan Bowditch zrobił to, o co go poprosiłem, odsunąłem wózek na bok.

– Nie ustoję tak długo bez kul. – Na jego czole i policzkach pojawiały się już pierwsze krople potu.

Przykucnąłem i ująłem mocno stabilizator.

– Teraz może pan usiąść.

Nie usiadł, tylko opadł – z westchnieniem ulgi – i położył się na plecach. Przeniosłem chorą nogę staruszka na łóżko i tym samym po raz pierwszy z powodzeniem zakończyłem tę procedurę. Nie kosztowało mnie to tyle wysiłku co jego, ale trochę się spociłem, głównie z nerwów. To było trudniejsze niż odbijanie piłki kijem.

– Nieźle – oceniła Melissa. – Kiedy będziesz podnosił pana Bowditcha, najpierw go obejmij. Spleć palce na środku jego pleców i podnieś. Wykorzystaj jego pachy…

– Jako punkt podparcia – dokończyłem. – Tak było w ulotce.

– Lubię chłopaków, którzy odrabiają zadania domowe. Pilnuj, żeby zawsze miał w pobliżu kule, zwłaszcza kiedy będzie wstawał z łóżka. Jak się pan czuje, panie Bowditch?

– Jak pięć kilogramów gówna w czterokilogramowym worku. Czy to już czas na moje pigułki?

– Zażywał je pan przed wyjazdem ze szpitala. Następne może pan wziąć o szóstej.

– To strasznie długo. A może choć jedna tabletka, żebym trochę ochłonął?

– A może nie mam ani jednej? – odparła Melissa, po czym zwróciła się do mnie: – Będzie ci to szło coraz lepiej, jemu zresztą też, szczególnie kiedy trochę się podleczy i zwiększy się zakres jego ruchów. Wyjdź ze mną na chwilę na zewnątrz, dobrze?

– Spiskowanie za moimi plecami! – zawołał pan Bowditch. – Nie wiem, o co chodzi, ale na pewno nie pozwolę, żeby ten młody człowiek robił mi lewatywę.

– Ożeż… – mruknął Herbie. Stał nisko pochylony, z rękami opartymi na kolanach, i przyglądał się telewizorowi. – To najstarszy telewizor, jaki w życiu widziałem. Działa?

# 7

Popołudniowe słońce świeciło wyjątkowo mocno, dawało też miłe ciepło, co smakowało wręcz cudownie po długiej zimie i zimnej wiośnie. Melissa zaprowadziła mnie do drzwi szoferki furgonetki, pochyliła się do środka i otworzyła schowek w szerokiej środkowej konsoli. Wyjęła z niego foliowy woreczek i położyła na fotelu.

– Kule są z tyłu. To jego lekarstwa i dwie tubki żelu arnikowego. W środku jest kartka z dokładnym dawkowaniem, tak? – Wyjęła fiolki z woreczka i pokazywała mi je, jedną po drugiej. – To są antybiotyki. To witaminy, cztery różne rodzaje. To recepta na olaparyb. Zamawiaj kolejne dawki w aptece CVS w Sentry Village. Tu masz środki przeczyszczające. Nie ma żadnych czopków, ale powinieneś poczytać, jak się je aplikuje, gdyby jednak potrzebował czegoś w tej postaci. Nie polubi tego.

– On w ogóle mało co i mało kogo lubi – mruknąłem. – Głównie Radar.

– I ciebie – dodała Melissa. – Lubi cię, Charlie. Mówi, że jesteś godzien zaufania. Mam nadzieję, że nie myśli tak tylko dlatego, że zjawiłeś się w odpowiedniej chwili, by uratować mu życie. Bo mamy jeszcze to.

Największa buteleczka była wypełniona dwudziestomiligramowymi tabletkami oksykodonu. Melissa spojrzała na mnie z powagą.

– To groźny narkotyk, Charlie. Bardzo uzależniający. I niezwykle skuteczny w uśmierzaniu tego rodzaju bólu, który dręczy twojego przyjaciela… i może go dręczyć jeszcze przez osiem miesięcy do roku. Być może dłużej, zależnie od jego innych problemów.

– Jakich innych problemów?

Pokręciła głową.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Trzymaj się harmonogramu dawkowania i ignoruj starszego pana, kiedy będzie chciał kolejne leki. Może dostać trochę więcej przed sesjami terapii i ta świadomość będzie go prawdopodobnie motywować do kontynuowania jej, nawet gdy będzie go to bolało. A będzie. Te tabletki mogą być jego jedyną motywacją. Musisz trzymać je w miejscu, do którego nie ma dostępu. Przychodzi ci do głowy coś takiego?

– Tak. – Myślałem o sejfie. – Nie znajdzie ich tam, przynajmniej dopóki nie będzie mógł wchodzić na górę.

– Czyli przez trzy tygodnie, jeśli będzie się trzymał programu terapii. Może przez miesiąc. A potem będziesz musiał pomyśleć o czymś innym. I musisz uważać nie tylko na niego. Dla uzależnionych te tabletki są na wagę złota.

Parsknąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać.

– Co? Co cię tak śmieszy?

– Nic. Będę je trzymał w bezpiecznym miejscu i nie dam mu się namówić na więcej, niż może brać.

Melissa przyglądała mi się z uwagą.

– A co z tobą, Charlie? Bo właściwie nie wolno mi ich dawać nieletnim. Lekarz, który je przepisał, jest przekonany, że będzie je dawał pacjentowi dorosły opiekun. Mogłabym mieć poważne kłopoty. Nie będzie cię kusiło, żeby podebrać jedną albo dwie tabletki i trochę się zabawić?

Pomyślałem o ojcu, o tym, co zrobiła mu gorzała, i o tym, jak kiedyś bałem się, że będziemy spać pod mostem, a cały nasz majątek zmieści się w skradzionym wózku sklepowym.

Wziąłem buteleczkę z tabletkami oksykodonu i wrzuciłem ją do woreczka z pozostałymi lekarstwami. Ująłem dłoń Melissy i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Nie ma, kurwa, mowy.

# 8

Wysłuchałem jeszcze kilku instrukcji i zadałem kilka pytań, starając się to przeciągać jak najdłużej, bo bałem się zostać sam z panem Bowditchem. Bo jeśli coś się stanie i ten głupi telefon z lat siedemdziesiątych nie będzie działał?

Wtedy zadzwonisz pod dziewięćset jedenaście ze swojej dwudziestopierwszowiecznej komórki, pomyślałem. Jak wtedy, gdy znalazłeś go na schodach werandy. A jeśli będzie miał atak serca? Wiedziałem o resuscytacji tyle, ile mogłem się dowiedzieć z seriali telewizyjnych, a przecież gdyby jego serce nagle się zatrzymało, nie miałbym czasu na szukanie filmów instruktażowych na YouTubie. Zrozumiałem, że w najbliższej przyszłości czeka mnie jeszcze sporo nauki.

Poczekałem, aż odjadą, i wróciłem do środka. Pan Bowditch leżał na plecach, zakrywając ramieniem oczy. Radar czuwała przy łóżku. Zostaliśmy tylko we troje.

– Dobrze się pan czuje? – spytałem.

Opuścił rękę na łóżko i odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć. Na jego twarzy malował się wyraz bezradności i smutku.

– Jestem w głębokim dole, Charlie. Nie wiem, czy zdołam się z niego wydobyć.

– Na pewno się panu uda – próbowałem go pocieszyć. Miałem nadzieję, że mówię to z większym przekonaniem, niż w rzeczywistości czułem. –

Chce pan coś zjeść?

– Chcę tabletki przeciwbólowe.

– Nie mogę…

Podniósł rękę.

– Wiem, że nie możesz, i nie będę się poniżał… ani obrażał ciebie, błagając o nie. Nigdy. Przynajmniej taką mam nadzieję. – Zaczął głaskać Radar po łbie. Siedziała bez ruchu, machając tylko powoli ogonem, i ani na moment nie odrywała od niego wzroku. – Daj mi ten czek i długopis.

Podałem mu obie te rzeczy i książkę w twardej oprawie, na której mógł położyć czek. Napisał drukowanymi literami TYLKO NA MOJE KONTO i podpisał się obok.

– Zaniesiesz go jutro do banku?

– Jasne. Pierwszy Obywatelski, tak?

– Zgadza się. Kiedy już pieniądze będą na moim koncie, będę mógł wypisać czek na opłacenie pobytu w szpitalu. – Podał mi czek, a ja włożyłem go do portfela. Pan Bowditch zamknął oczy, lecz po chwili je otworzył i wbił wzrok w sufit. Ani na moment nie zdejmował dłoni z łba Radar. – Jestem strasznie zmęczony. A ból nigdy nie robi sobie wolnego. Nie robi sobie nawet pieprzonej przerwy na kawę.

– Coś do jedzenia?

– Nie chcę, ale mówią, że muszę jeść. Może trochę sardynek z krakersami.

Brzmiało to okropnie, lecz przyniosłem mu jedno i drugie, a do tego szklankę zimnej wody. Od razu wypił łapczywie połowę. Zanim zabrał się do sardynek (pozbawionych głów i lśniących od tłuszczu… fuj!), spytał mnie, czy nadal zamierzam zostać na noc.

– Dzisiaj i przez cały tydzień – odpowiedziałem.

– To dobrze. Nigdy dotąd samotność mi nie przeszkadzała, ale teraz sporo się zmieniło. Wiesz, czego nauczył mnie ten upadek z drabiny? Albo raczej nauczył mnie na nowo?

Pokręciłem głową.

– Strachu. Jestem już stary i połamany. – Powiedział to bez żalu, stwierdzając po prostu fakt. – Myślę, że powinieneś pójść do domu i zostać tam na tyle długo, żeby twój ojciec nabrał pewności, że na razie wszystko jest w porządku, nie uważasz? Może zjedz też kolację. Potem wrócisz, nakarmisz Radar i dasz mi te cholerne tabletki. Mówili, że się od nich uzależnię, i nie trzeba było długo czekać, żeby to się potwierdziło.

– To chyba całkiem rozsądny plan. – Zamilkłem na moment. – Panie Bowditch… Howard… Chciałbym przyprowadzić tu tatę, żeby pana poznał. Wiem, że nie przepada pan za towarzystwem, nawet kiedy jest pan całkiem zdrowy, ale…

– Rozumiem. Chce być o ciebie spokojny, to całkiem zrozumiałe. Tylko że nie dziś, Charlie, i nie jutro. Może w środę. Do tego czasu pewnie poczuję się trochę lepiej.

Skinąłem głową.

– Jasne – rzuciłem. – Jeszcze jedno. – Zapisałem numer mojej komórki na karteczce samoprzylepnej i przykleiłem ją do małego stolika przy kanapie, tego, który wkrótce miał być zasłany maściami, gazikami i tabletkami (ale nie oksykodonem). – Tym dzwonkiem może mnie pan przywoływać, gdy będę na piętrze…

– Bardzo wiktoriański.

– Ale kiedy nie będzie mnie w domu, a będzie mnie pan potrzebował, proszę dzwonić na komórkę. Bez względu na to, czy będę w szkole, czy nie. Powiem pani Silvius z sekretariatu, o co chodzi.

– Dobrze. Idź już. Uspokój ojca. Ale nie wracaj za późno, bo spróbuję sam wstać i znaleźć te tabletki. – Zamknął oczy.

– Kiepski pomysł – powiedziałem.

– Wszechświat jest ich pełen – odparł, nie unosząc powiek.

## 9

W poniedziałki tata nadrabiał zaległości w pracy, często wracał dopiero o wpół do siódmej albo nawet o siódmej, więc nie spodziewałem się, że go zastanę, i rzeczywiście nie było go w domu. Zobaczyłem go przed bramką pana Bowditcha, gdzie na mnie czekał.

– Wyszedłem wcześniej z pracy – oznajmił na mój widok. – Martwiłem się o ciebie.

– Nie musiałeś…

Objął mnie ramieniem i uścisnął.

– Więc pozwij mnie. Kiedy byłem w połowie zbocza, widziałem, jak wyszedłeś na zewnątrz i rozmawiałeś z jakąś młodą kobietą. Machałem do ciebie, ale mnie nie widziałeś. Wyglądało na to, że byłeś bardzo mocno skupiony na tym, co do ciebie mówiła.

– I czekałeś tu od tamtej pory?

– Zastanawiałem się, czy nie zapukać do drzwi, tylko że w tej sytuacji jestem chyba jak wampir. Nie mogę wejść, dopóki nie zostanę zaproszony.

– Środa – rzuciłem. – Rozmawiałem z nim o tym.

– Brzmi dobrze. Wieczorem?

– Może gdzieś koło siódmej. O szóstej zażywa tabletki przeciwbólowe.

Ruszyliśmy w dół zbocza. Tata wciąż obejmował mnie ramieniem. Nie miałem nic przeciwko. Powiedziałem mu, że nie chcę zbyt długo zostawiać pana Bowditcha samego, więc nie mogę zostać na kolację. Dodałem, że zabiorę trochę swoich rzeczy – pomyślałem o szczoteczce do zębów – i znajdę coś do jedzenia w jego spiżarce (tylko nie sardynki!).

– Nie musisz niczego szukać – odparł tata. – Przyniosłem kanapki z Jersey Mike’s. Zabierz je ze sobą.

– Super!

– Jak on się czuje?

– Bardzo cierpi. Mam nadzieję, że tabletki pomogą mu zasnąć. O północy dostaje trochę więcej.

– Oksykodon?

– Tak.

– Trzymaj je w bezpiecznym miejscu. I nie mów mu, gdzie są.

Słyszałem już tę radę, lecz ojciec przynajmniej nie pytał, czy sam nie będę miał ochoty ich spróbować.

W domu upchnąłem do plecaka ubrania na kilka dni i przenośny router Nighthawk – internet z mojego telefonu był w porządku, ale Nighthawk dawał fantastyczny sygnał. Dołożyłem do tego szczoteczkę do zębów i maszynkę do golenia, której zacząłem używać dwa lata temu. Niektórzy chłopcy w szkole zapuszczali w tym roku brody – taka moda – ale ja wolałem gładką twarz. Pakowałem się szybko, bez dłuższego zastanowienia, bo wiedziałem, że jeśli czegoś zapomnę, będę mógł zabrać to jutro. Myślałem też o panu Bowditchu, leżącym samotnie w wielkim starym domu z przeciekającym dachem, gdzie towarzystwa dotrzymywał mu jedynie starzejący się pies.

Gdy byłem już gotowy do wyjścia, ojciec znów mnie uściskał, a potem wziął za ramiona.

– Bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność. Jestem z ciebie dumny, Charlie. Szkoda, że mama cię teraz nie widzi. Też byłaby z ciebie dumna.

– Trochę się boję.

Skinął głową.

– Martwiłbym się, jeśliby tak nie było. Pamiętaj tylko, że gdyby cokolwiek się działo, możesz do mnie dzwonić.

– Tak zrobię.

– Wiesz, kiedyś cieszyłem się na myśl, że pójdziesz na studia. Teraz wcale mi do tego nie spieszno. Bez ciebie ten dom będzie pusty.

– Będę tylko czterysta metrów dalej, tata, przy tej samej ulicy. – Czułem jednak, jak coś ściska mnie za gardło.

– Wiem. Wiem. No już, zmykaj, Chip. Rób, co do ciebie należy. – Przełknął z trudem ślinę. – I rób to dobrze.

---

* *Raven* (ang.) – kruk.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

**Pierwsza noc. Teraz już znasz Jasia. Zwykły drwal. Terapia. Wizyta ojca. Olaparyb. Pan Bowditch składa obietnicę.**

## 1

Gdy spytałem pana Bowditcha, czy mogę siedzieć w jego fotelu, odpowiedział, że oczywiście mogę. Zaoferowałem mu połowę swojej kanapki i prawdę mówiąc, odetchnąłem z ulgą, kiedy odmówił – kanapki z Jersey Mike’s są najlepsze.

– Może spróbuję przełknąć trochę zupy, kiedy już zażyję tabletki. Rosół z makaronem. Zobaczymy.

Spytałem, czy chce obejrzeć wiadomości. Pokręcił głową.

– Włącz sobie, jeśli chcesz, ale mnie to naprawdę nie interesuje. Zmieniają się nazwiska, ale i tak wszyscy opowiadają te same bzdury.

– Aż trudno uwierzyć, że ten telewizor działa. Lampy się nie przepalają?

– Jasne, że się przepalają. Tak jak zużywają się baterie w latarce. Albo w radiu tranzystorowym.

Nie wiedziałem, czym jest radio tranzystorowe, jednak się do tego nie przyznałem.

– A wtedy po prostu wkładasz nowe.

– Skąd pan bierze te lampy?

– Kupuję je od firmy, która nazywa się RetroFit, z New Jersey, ale części co roku są coraz droższe, bo jest ich coraz mniej.

– Hm… panu to chyba specjalnie nie przeszkadza.

– Masz na myśli złoto. – Westchnął. – Jesteś ciekaw, to oczywiste, każdy by był. Wspomniałeś o tym komuś? Ojcu? Może zaufanemu nauczycielowi w szkole?

– Potrafię dochować tajemnicy. Mówiłem panu.

– W porządku, nie musisz się zaraz obrażać. Musiałem zapytać. I jeszcze o tym porozmawiamy. Ale nie dziś. Dziś nie czuję się na siłach rozmawiać o niczym.

– Jasne, to może poczekać. Ale wracając do tych lamp telewizyjnych… Jak pan je kupuje, skoro nie ma pan internetu?

Pan Bowditch przewrócił oczami.

– Myślałeś, że skrzynka pocztowa przed domem to tylko dekoracja? Może coś, na czym wiesza się ozdoby na Boże Narodzenie?

Chodziło mu o tradycyjną pocztę. Prawdę mówiąc, byłem zdumiony odkryciem, że ludzie wciąż jej używali do załatwiania różnych spraw. Zastanawiałem się, czy nie spytać, dlaczego po prostu nie kupi sobie nowego telewizora, ale chyba znałem odpowiedź. Lubił stare rzeczy.

Gdy wskazówka minutowa zegara w salonie zbliżała się do szóstki, uświadomiłem sobie, że chcę mu dać tabletki przeciwbólowe niemal tak bardzo, jak on pragnie je zażyć. W końcu nadeszła właściwa pora. Poszedłem na górę, wyjąłem dwie tabletki i podałem mu je ze szklanką

wody. Niemal wyrwał je z mojej dłoni. W pokoju było chłodno, lecz jego czoło rosiły krople potu.

– Nakarmię Radar – powiedziałem.

– A potem zabierz ją na podwórze. Wiem, że szybko załatwia swoje sprawy, ale zostańcie na zewnątrz trochę dłużej. Podaj mi ten nocnik, Charlie. Nie chcę, żebyś widział, jak używam tego cholerstwa, a facet w moim wieku musi się przy tym trochę natrudzić.

## 2

Gdy wszedłem do salonu i opróżniłem nocnik, tabletki już działały. Pan Bowditch poprosił o rosół z kury – nazywał go żydowską penicyliną. Wypił bulion, a potem zjadł makaron, pomagając sobie łyżką. Kiedy wróciłem z kuchni po wypłukaniu kubka, mój podopieczny już spał. Nie dziwiło mnie to. Miał za sobą bardzo trudny dzień. Poszedłem na górę, do jego pokoju, znalazłem *Pannę młodą w żałobie* i zabrałem się do czytania. Wciąż byłem pogrążony w lekturze, gdy obudził się o ósmej.

– Może włączysz telewizor i spróbujesz znaleźć ten program ze śpiewakami? – poprosił. – Lubimy go czasem pooglądać z Radar.

Włączyłem telewizor, przerzuciłem kilka dostępnych kanałów i znalazłem *The Voice*, ledwie widoczny zza elektronicznej śnieżycy. Ustawiłem królicze uszy tak, by obraz wyostrzył się na tyle, na ile było to możliwe, po czym razem obejrzeliśmy kilkoro uczestników wykonujących zadane utwory. Większość z nich była naprawdę dobra. Odwróciłem się do

pana Bowditcha, by mu powiedzieć, że podoba mi się facet śpiewający country, lecz mój pracodawca spał jak suseł.

# 3

Zostawiłem dzwonek na małym stoliku przy jego kanapie i poszedłem na górę. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem Radar siedzącą u podnóża schodów. Kiedy zrozumiała, że na nią patrzę, wstała i wróciła do swojego pana, gdzie spędziła tę noc i wszystkie kolejne. Spał na rozkładanej kanapie nawet wtedy, gdy był już w stanie wchodzić na górę, bo wtedy taka wspinaczka była już wyjątkowo trudna dla Radar.

Mój pokój był w porządku, choć lampa stojąca rzucała niesamowite cienie na sufit, a dom nieustannie skrzypiał i trzeszczał, czego się zresztą spodziewałem. Przypuszczałem, że kiedy wieje wiatr, te odgłosy tworzą prawdziwą symfonię. Włączyłem router Nighthawk i wszedłem do sieci. Myślałem o złocie, które niosłem na plecach, i o tym, jak przywołało to wspomnienia z dzieciństwa, kiedy mama czytała mi bajki z serii Złota Książeczka. Wmawiałem sobie, że to tylko sposób na zabicie czasu, teraz jednak wcale nie jestem tego taki pewien. Myślę, że czasami dobrze wiemy, do czego dążymy, nawet jeśli na pozór nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Znalazłem co najmniej siedemnaście różnych wersji *Jasia i magicznej fasoli*, które czytałem z ekranu telefonu, przy świetle pojedynczej żarówki z lampy stojącej. Zanotowałem w pamięci, że jutro muszę przynieść tu laptop, ale tego wieczoru musiał mi wystarczyć telefon. Oczywiście znałem tę historię; podobnie jak *Złotowłosa i trzy misie* oraz *Czerwony Kapturek*

stanowiła część kulturowej rzeki, która niesie dzieci ku morzu poznania. Wydawało mi się, że później widziałem jeszcze jej animowaną wersję, ale nie byłem tego pewien. Oryginalna baśń, którą poznałem dzięki Wikipedii, była znacznie krwawsza od tej, którą pamiętałem. Choćby dlatego, że Jaś mieszkał tylko z matką, bo jego ojca zabił olbrzym podczas jednej ze swych licznych niszczycielskich wypraw.

Wy pewnie też dobrze znacie tę opowieść. Jaś i jego mama są bardzo biedni, głód zagląda im w oczy. Mają tylko krowę. Mama każe Jasiowi zaprowadzić krowę na targ i sprzedać ją za co najmniej pięć złotych monet (w tej historii nie ma złotych śrucin). W drodze do miasta Jaś spotyka wygadanego kupca i ten przekonuje go, by oddał mu krowę za pięć magicznych ziaren fasoli. Matka Jasia jest wściekła i wyrzuca ziarna przez okno. W ciągu nocy z ziaren wyrastają olbrzymie łodygi fasoli sięgające chmur. Tam właśnie znajduje się olbrzymi zamek (żadna z wersji nie wspomina o tym, jak zamek unosi się na chmurach), w którym mieszka olbrzym z żoną.

Ujmując rzecz w skrócie, Jaś kradnie wszystko, co złote – monety, gęś znoszącą złote jaja i złotą harfę, która ostrzega olbrzyma. Ale nie jest to kradzież w zwykłym tego słowa znaczeniu, bo olbrzym też ukradł wcześniej wszystkie te rzeczy. Dowiedziałem się, że słynna piosenka olbrzyma – *Czuję angielskiej krwi zapach jeszcze świeży* – to prawie dosłowny cytat z *Króla Leara*, w którym niejaki Edgar mówi: *Stanął mężny Roland u stóp ciemnej wieży i rzekł do rycerzy: „Bij, kto w Boga wierzy! Czuję krwi brytyjskiej zapach jeszcze świeży…”*[*]. Znalazłem coś jeszcze, czego nie pamiętałem z żadnej kreskówki ani książeczki z bajeczkami dla dzieci: sypialnia olbrzyma jest zasłana kośćmi dzieci, które zabił i zjadł. Gdy poznałem imię olbrzyma, wstrząsnął mną zimny dreszcz, przejmujący i złowieszczy.

Gogmagog.

# 4

O jedenastej wyłączyłem lampę i drzemałem, dopóki alarm ustawiony w telefonie nie obudził mnie kwadrans przed północą. Na razie nie chowałem jeszcze oksykodonu do sejfu; buteleczka z tabletkami stała na sekretarzyku, do którego włożyłem swoje ubrania. Zabrałem dwie tabletki na dół. Radar warknęła na mnie w ciemności i usiadła prosto.

– Spokojnie, mała – powiedział pan Bowditch, a ona posłusznie umilkła.

Włączyłem lampę. Mój podopieczny leżał na plecach, wpatrzony w sufit.

– Jesteś, punktualnie co do minuty. To dobrze. Wolałbym nie używać tego dzwonka.

– Spał pan?

– Trochę. Kiedy zażyję to świństwo, może znów uda mi się przez chwilę pospać. Może do świtu.

Podałem mu tabletki. Podniósł się na łokciu, by je przełknąć, po czym oddał mi szklankę i ułożył się z powrotem.

– Już mi lepiej. To pewnie tylko efekt psychologiczny.

– Podać panu coś jeszcze?

– Nie. Wracaj do łóżka. Chłopcy w twoim wieku wciąż rosną, potrzebują odpoczynku.

– Ja mam już chyba ten etap za sobą.

A przynajmniej na to liczyłem. Miałem sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważyłem sto kilogramów. Gdybym jeszcze urósł, byłbym jak…

– Gogmagog – dokończyłem, bezwiednie wypowiadając to imię na głos.

Myślałem, że pan Bowditch będzie rozbawiony, lecz on nawet się nie uśmiechnął.

– Wracasz do historii z dzieciństwa? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedy wiozłem złoto do Stantonville, przypomniałem sobie historię o magicznej fasoli.

– Więc znasz już *Jasia*?

– Chyba tak.

– W Biblii Gog i Magog to wojownicze narody, które mają spustoszyć świat. Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Apokalipsa świętego Jana. Jeśli je połączysz, powstanie prawdziwy potwór. Taki, od którego lepiej trzymać się z daleka. Zgaś światło, Charlie. Obaj powinniśmy się trochę przespać. Ty nie będziesz miał z tym problemu, mnie może się uda. Byłoby miło choć na chwilę odpocząć od bólu.

Pogłaskałem Radar i zgasiłem światło. Ruszyłem w stronę schodów, lecz przystanąłem i odwróciłem się.

– Panie Bowditch?

– Howard – poprawił mnie. – Musisz do tego przywyknąć. Nie jesteś jakimś pieprzonym lokajem.

Pomyślałem, że w pewnym sensie jestem, ale nie chciałem spierać się o to w środku nocy.

– Howard, dobrze. Czym się zajmowałeś, zanim przeszedłeś na emeryturę?

Zareagował chrapliwym, choć miłym dla ucha chichotem.

– Po części pracowałem jako geodeta, a po części jako robotnik leśny. Innymi słowy, byłem zwykłym drwalem, jakich pełno w baśniach i bajkach. Idź spać, Charlie.

Poszedłem na górę i spałem do szóstej, kiedy to musiałem podać panu Bowditchowi kolejną porcję lekarstw – tym razem nie były to tylko środki przeciwbólowe, ale cały zestaw. Gdy zszedłem na dół, leżał z otwartymi oczami, wpatrzony w sufit. Spytałem, czy w ogóle spał. Odpowiedział, że tak, ale nie byłem wcale pewien, czy mówi prawdę.

# 5

Na śniadanie zjedliśmy jajecznicę przyrządzoną przez *moi*. Pan Bowditch siedział na skraju kanapy, opierając nogę w stabilizatorze na pufie, który stał zwykle przed fotelem. Znów poprosił mnie, bym wyszedł na czas, gdy będzie korzystał z nocnika. Kiedy wróciłem, stał przy oknie, wsparty na kulach.

– Powinieneś był poczekać, aż wrócę – powiedziałem.

Prychnął lekceważąco.

– Naprawiłeś płot – zauważył.

– Radar mi pomogła.

– Na pewno. Wygląda dużo lepiej. Pomóż mi wrócić do łóżka, Charlie. Będziesz musiał podtrzymać mi nogę, jak ostatnio.

Położyłem go do łóżka i zabrałem Radar na spacer wzdłuż ulicy Sosnowej. Nowe, świeższe lekarstwa najwyraźniej przynosiły oczekiwany skutek, bo przeszła naprawdę spory odcinek, oznaczając po drodze słupy telefoniczne i co najmniej dwa hydranty: Radar z Bowditch. Potem zaniosłem czek do banku. W domu – tata wyszedł już znacznie wcześniej do pracy – spakowałem trochę dodatkowych ubrań i laptop. Na lunch pan Bowditch znów zjadł parę sardynek z krakersami, a ja hot doga. Wolałbym jakieś gotowe danie (lubię mrożonki firmy Stouffer’s), ale w domu nie było mikrofalówki. Wyjąłem porcję mięsa z Tiller & Sons do rozmrożenia. Pomyślałem, że wkrótce będę musiał obejrzeć na YouTubie jakieś filmy o gotowaniu, bo przecież nie będziemy ciągle jeść sardynek i zup z puszki. Dałem panu Bowditchowi południowe tabletki, a potem zadzwoniłem do Melissy Wilcox, by zgodnie z jej prośbą złożyć krótki raport. Miałem jej mówić, ile razy pan Bowditch wstawał, co jadł i czy się wypróżniał. Na to ostatnie pytanie musiałem odpowiedzieć przecząco, ale Melissa nie była wcale zaskoczona. Powiedziała mi, że oksykodon powoduje zaparcia. Po lunchu zaniosłem do skrzynki pocztowej kopertę i podniosłem chorągiewkę. W kopercie znajdował się czek na rzecz szpitala Arcadia. Mogłem zanieść go osobiście, ale pan Bowditch chciał mieć pewność, że najpierw zostanie zrealizowany czek Heinricha.

Opowiadam wam o tych wszystkich rzeczach nie dlatego, że są jakoś szczególnie interesujące, lecz dlatego, że stanowiły część codziennej rutyny przez całą wiosnę, jak i większość lata. W pewnym sensie były to dobre miesiące. Czułem się przydatny, potrzebny. Lubiłem siebie wtedy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Tylko koniec był okropny.

# 6

W środę po południu zjawiła się Melissa, by przeprowadzić z panem Bowditchem pierwszą sesję fizjoterapii. Właściwie tylko ona nazywała to terapią: on mówił, że to ból i tortury. Zażył dodatkową porcję oksykodonu, co mu się bardzo podobało, a potem musiał rozciągać i podnosić chorą nogę, czym wcale nie był zachwycony. Większość tego czasu przesiedziałem w kuchni. Pośród licznie powtarzanych okrzyków i przekleństw, które słyszałem, dominowały takie jak: „Kurwa!”, „Chuj!”, „Skurwysyn!” i „Przestań!”. Tę ostatnią prośbę powtarzał wyjątkowo często, dodając czasem: „Do cholery!”. Melissa była niewzruszona.

Kiedy terapia dobiegła końca – trwało to zaledwie dwadzieścia minut, choć jemu zapewne wydawało się całą wiecznością – Melissa mnie przywołała. Wcześniej zniosłem z drugiego piętra kilka krzeseł (nie tych jadalnianych, z prostymi oparciami, które, moim zdaniem, wyglądały jak narzędzia tortur). Pan Bowditch siedział na jednym z nich. Melissa przyniosła ze sobą dużą gąbkową poduchę, na której spoczywała teraz jego chora noga. Ponieważ poduszka znajdowała się niżej niż puf, kolano pana Bowditcha – wciąż obandażowane – było lekko zgięte.

– Spójrz tylko! – zawołała Melissa. – Już pięć stopni ugięcia! Jestem nie tylko zadowolona, jestem zdumiona!

– Boli jak cholera – burknął pan Bowditch. – Chcę wrócić do łóżka.

Roześmiała się perliście, jakby była to najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała.

– Jeszcze pięć minut, a potem będzie pan mógł wstać i przejść o kulach. Charlie pomoże.

Odczekał pięć minut, po czym podniósł się powoli i ujął kule. Zaczął się odwracać twarzą do kanapy, ale wypuścił jedną z kul. Gdy opadła z trzaskiem na podłogę, wystraszona Radar szczeknęła. Zdążyłem go pochwycić i pomogłem mu dokończyć obrót. Przez chwilę byliśmy złączeni w uścisku; on trzymał mnie za ramiona, a ja jego. Czułem bicie jego serca, szybkie i mocne. „Gwałtowne”, takie właśnie określenie przyszło mi wtedy do głowy.

Położyłem go na kanapie, ale podczas tej operacji jego noga zgięła się w kolanie znacznie mocniej niż o pięć stopni. Krzyknął z bólu. Radar natychmiast zerwała się na równe nogi i szczekała, kładąc uszy po sobie.

– Wszystko w porządku, mała – wydyszał z trudem pan Bowditch. – Leżeć.

Położyła się na brzuchu i ani na moment nie odrywała od niego wzroku. Melissa podała mu szklankę wody.

– W ramach nagrody za dobrą pracę może pan dziś zażyć tabletki przeciwbólowe o piątej – powiedziała. – Następna sesja w piątek. Wiem, że to boli, Howard, ścięgna nie chcą się rozciągać. Ale będą. Jeśli pan się nie podda.

– Chryste… – mruknął, a potem rzucił burkliwie: – W porządku.

– Charlie, odprowadź mnie.

Wyszedłem z Melissą na zewnątrz, wynosząc przy okazji jej torbę wypchaną sprzętem do rehabilitacji. Przed bramą stała mała honda civic. Kiedy otworzyłem bagażnik i wkładałem do niego torbę, dostrzegłem panią Richland stojącą po drugiej stronie ulicy. Podobnie jak ostatnio ocieniała dłonią oczy, by lepiej widzieć, co też dzieje się u sąsiada. Zauważyła, że na nią patrzę, i pomachała do mnie.

– On naprawdę wyzdrowieje? – zwróciłem się do Melissy.

– Tak. Widziałeś, jak ugina kolano? To niezwykłe. Widziałam już coś podobnego, ale u znacznie młodszych pacjentów. – Zamilkła na moment, po czym skinęła głową. – Będzie dobrze, przynajmniej przez jakiś czas.

– To znaczy?

Otworzyła drzwi po stronie kierowcy.

– Gderliwy stary piernik, co?

– Rzeczywiście – przyznałem, świadom, że nie odpowiedziała na moje pytanie. – Umiejętności interpersonalne nie są jego mocną stroną.

Parsknęła tym swoim perlistym śmiechem. Wyglądała naprawdę ślicznie w wiosennym słońcu.

– Dobrze powiedziane, młody. Powinnam to sobie zapisać. Do zobaczenia w piątek.

– Do czego służy olaparyb? Znam wszystkie inne lekarstwa, które zażywa, ale tego akurat nie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Nie mogę ci tego powiedzieć, Charlie. Tajemnica lekarska. – Usiadła za kierownicą. – Ale możesz sprawdzić w internecie. Teraz wszystko można tam znaleźć.

Odjechała.

## 7

O siódmej wieczorem mój ojciec otworzył bramkę – której nawet nie zamknąłem na rygiel – i przeszedł betonową ścieżką do schodów werandy,

gdzie siedziałem już od jakiegoś czasu. Po sesji fizjoterapii spytałem pana Bowditcha, czy nie chce przełożyć wizyty mojego taty. Niemal chciałem, by przytaknął, ale po chwili zastanowienia pokręcił głową.

– Zróbmy to. Niech się uspokoi. Zastanawia się pewnie, czy cię nie molestuję.

Przemilczałem tę uwagę, choć w swym obecnym stanie pan Bowditch nie zdołałby skrzywdzić kilkuletniego dzieciaka, nie wspominając już o dryblasie, który uprawiał regularnie dwie dyscypliny sportu.

– Cześć, Charlie.

– Cześć, tata. – Uściskałem go.

Miał ze sobą sześciopak coli.

– Myślisz, że mu się to przyda? Złamałem nogę, kiedy miałem dwanaście lat, i nie piłem wtedy niczego innego.

– Wejdź i spytaj go.

Pan Bowditch siedział na jednym z krzeseł, które zniosłem z góry. Wcześniej poprosił mnie, żebym przyniósł mu koszulę i grzebień. Nie licząc spodni od piżamy opiętych na stabilizatorze, wyglądał całkiem elegancko. Denerwowałem się trochę, czy nie będzie zbyt zrzędliwy wobec taty, lecz niepotrzebnie. Tabletki przeciwbólowe już działały, ale nie to było najważniejsze: pan Bowditch potrafił jednak rozmawiać z ludźmi. Nie był w tym może mistrzem, ale jakoś sobie radził. Przypuszczam, że takie rzeczy są jak umiejętność jazdy na rowerze.

– Panie Reade – odezwał się. – Widywałem pana już dawnymi czasy, ale miło mi poznać pana osobiście. – Wyciągnął do niego wielką żylastą dłoń. – Przepraszam, że nie wstaję.

Wymienili uścisk dłoni.

– To nieistotne. I proszę mówić mi George.

– Dobrze. Ja mam na imię Howard, choć cholernie długo musiałem o tym przekonywać twojego syna. Chciałbym ci powiedzieć, ile dobrego dla mnie zrobił. Zuch chłopak, bez dwóch pieprzonych zdań, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

– Jasne. – Tata skinął głową. – Jestem z niego dumny. Jak się czujesz?

– Powoli wracam do formy… Przynajmniej tak twierdzi Królowa Tortur.

– Fizjoterapia?

– Tak to nazywają.

– A tu jest ta grzeczna psica – powiedział tata, pochylając się do Radar, żeby ją pogłaskać. – Poznaliśmy się już.

– Słyszałem. O, coca-cola, jeśli wzrok mnie nie myli.

– Nie myli. Chcesz trochę z lodem? Niestety, jest chyba ciepła.

– Cola z lodem brzmi nieźle. Kiedyś dodałbym do tego odrobinę rumu, dla lepszego efektu.

Wystraszyłem się trochę, ale mój ojciec tylko parsknął śmiechem.

– Doskonale to rozumiem.

– Charlie? – zwrócił się do mnie pan Bowditch. – Zdejmiesz te trzy wysokie szklanki z górnej półki i wrzucisz do nich lodu?

– Jasne.

– Byłoby dobrze, gdybyś je najpierw wypłukał. Dawno nikt ich nie używał.

Płucząc niespiesznie szklanki i wypychając lód ze staroświeckiej tacki, przysłuchiwałem się rozmowie. Pan Bowditch złożył tacie kondolencje z powodu śmierci żony, mówił też, że kilkakrotnie z nią rozmawiał na ulicy Jaworowej („Jeszcze wtedy, kiedy częściej wychodziłem z domu”) i że wyglądała na cudowną kobietę.

– Powinni od razu wyasfaltować ten cholerny most – dodał. – Można było uniknąć tego wypadku. Dziwię się, że nie pozwał pan miasta.

Był zbyt zajęty piciem, żeby wpaść na taki pomysł, pomyślałem. Pozbyłem się już większości starych uraz, ale nie do końca. Strach i poczucie straty zostawiają głębokie ślady.

## 8

Było już ciemno, gdy odprowadzałem tatę do bramki. Pan Bowditch leżał już na kanapie, gdzie przeniósł się tylko z drobną pomocą z mojej strony, jeszcze w obecności taty.

– Nie jest taki, jak się spodziewałem – powiedział ojciec, gdy dotarliśmy do chodnika. – Ani trochę. Myślałem, że będzie gderliwy. Może nawet gburowaty.

– Potrafi taki być. Przy tobie był trochę… Sam nie wiem, jak to nazwać.

Tata wiedział.

– Mobilizował się. Chciał, żebym go polubił, bo on lubi ciebie. Widziałem, jak na ciebie patrzy, dzieciaku. Wiele dla niego znaczysz. Nie zawiedź go.

– Jasne, jeśli tylko pozwoli sobie pomóc.

Ojciec mnie uściskał, pocałował w policzek i ruszył w dół zbocza. Obserwowałem, jak pojawia się w kręgach światła pod kolejnymi latarniami, aż w końcu całkiem zniknął mi z oczu. Czasami wciąż miałem do niego żal o jego utracone lata, bo to były również moje utracone lata. Przede wszystkim jednak cieszyłem się, że wrócił.

– Poszło całkiem nieźle, prawda? – spytał pan Bowditch, gdy wszedłem do salonu.

– Poszło dobrze.

– I cóż zrobimy z resztą wieczoru, Charlie?

– Mam pewien pomysł. Chwileczkę.

Ściągnąłem z sieci dwa odcinki *The Voice*. Położyłem laptop na stoliku przy rozłożonej kanapie, tak że obaj widzieliśmy ekran.

– Boże jedyny, spójrz tylko na ten obraz! – wykrzyknął.

– Wiem. Niezły, prawda? I zero reklam.

Obejrzeliśmy pierwszy odcinek. Byłem gotów również na drugi, ale pan Bowditch zasnął po pięciu minutach. Zabrałem laptop na górę i poczytałem o olaparybie.

## 9

W piątek znów zaniosłem torbę ze sprzętem Melissy do jej auta. Zamknąłem bagażnik i odwróciłem się do niej.

– Sprawdziłem olaparyb.

– Spodziewałam się, że to zrobisz.

– Leczy cztery schorzenia. Wiem, że pan Bowditch nie choruje na raka piersi ani jajników, więc na co? Na prostatę czy to drugie?

Modliłem się, by nie chodziło o trzustkę. Mój dziadek miał raka trzustki i umarł niecałe pół roku po diagnozie.

– Tajemnica lekarska, Charlie. Nie mogę tego zdradzić.

Jej mina mówiła jednak, że chodzi o to drugie.

– Daj spokój, nie jesteś lekarzem. Tobie ktoś to powiedział.

– Bo muszę pracować z panem Bowditchem. A żeby to robić należycie, muszę też znać ogólny obraz.

– Potrafię dochować tajemnicy. Wiesz o tym, prawda?

Miałem na myśli środki przeciwbólowe, których teoretycznie, jako nieletni, nie mogłem mu podawać.

Melissa westchnęła ciężko.

– To rak prostaty. Abrams, ortopeda, który się nim zajmował, zauważył guz na zdjęciach rentgenowskich. Duży, ale bez przerzutów. Olaparyb spowalnia rozrost nowotworów. Czasami nawet prowadzi do ich zaniku.

– Nie powinien brać więcej lekarstw? Może chemioterapia? Albo naświetlania?

Pani Richland znów stała przed domem. Pomachała do nas, a my jej odmachaliśmy.

Melissa zawahała się na moment, po czym chyba doszła do wniosku, że skoro znam już część prawdy, nie ma sensu zatajać przede mną reszty.

– Spotkał się z doktorem Pattersonem, szefem oddziału onkologii w Arcadii. Patterson przedstawił mu wszystkie opcje, ale Bowditch nie chciał korzystać z żadnej z nich prócz olaparybu.

– Dlaczego?

– Sam musiałbyś go o to spytać, jeśli jednak to zrobisz, nie wspominaj o naszej rozmowie. Pewnie nie straciłabym pracy, ale teoretycznie mogłabym. Powinieneś też wiedzieć, że niektórzy lekarze… i to całkiem wielu… uznaliby, że podjął właściwą decyzję. Rak prostaty rozwija się u starszych mężczyzn bardzo powoli. Jeśli będzie zażywał olaparyb, może pożyć jeszcze długie lata.

# 10

Tego wieczoru obejrzeliśmy kolejny odcinek *The Voice*. Kiedy się skończył, pan Bowditch sięgnął po kule i wstał z kanapy.

– To może być wyjątkowy wieczór, Charlie. Wygląda na to, że w końcu się wysram.

– Fajerwerki już czekają – odpowiedziałem.

– Zachowaj te żarciki na swój debiut w stand-upie – mruknął, a gdy próbowałem przejść za nim do kuchni, odwrócił się i warknął: – Wracaj i zajmij się swoją zabawką, na miłość boską! Jeśli upadnę, będziesz mógł mnie pozbierać.

Wróciłem. Słyszałem, jak zamyka drzwi łazienki. Czekałem. Minęło pięć minut. Dziesięć. Rzucałem Radar małpkę, aż w końcu nie chciała już więcej za nią biegać i ułożyła się na swoim kocyku. W końcu podszedłem do drzwi toalety i spytałem, czy wszystko w porządku.

– Tak! – odkrzyknął. – Ale przydałaby mi się laska dynamitu. Pieprzony oksykodon.

W końcu usłyszałem szum spuszczanej wody. Gdy wyszedł, był cały spocony, ale uśmiechnięty.

– *Orzeł* wylądował. Bogu dzięki.

Pomogłem mu położyć się na kanapie i postanowiłem wykorzystać jego dobry nastrój. Pokazałem mu buteleczkę z olaparybem.

– Poczytałem o tym trochę i wydaje mi się, że mógłbyś zrobić znacznie więcej.

– Doprawdy, doktorze Reade? – odparł z przekąsem. Zauważyłem jednak, że kąciki jego ust unoszą się w lekkim uśmiechu, co dodało mi odwagi.

– Lekarze dysponują teraz całym arsenałem środków przeciwko rakowi. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz z nich skorzystać.

– To proste. Wiesz, że okropnie dokucza mi ból. Wiesz, że nie mogę spać bez tych cholernych tabletek. Słyszałeś, jak krzyczałem na Melissę, która jest przecież bardzo miłą dziewczyną. Na razie zdołałem się jakoś powstrzymać i nie nazwałem jej suką ani pizdą, ale w każdej chwili coś takiego może mi się wymknąć. Dlaczego miałbym do tego bólu dokładać jeszcze nudności, wymioty i skurcze?

Zacząłem odpowiadać, ale on podniósł się na łokciu i uciszył mnie gestem ręki.

– Jest coś jeszcze, młody człowieku. Coś, czego osoba w twoim wieku nie może zrozumieć. Mam już właściwie dość. Nie całkiem, ale prawie. Życie się starzeje. Możesz w to nie wierzyć, wiem, sam nie wierzyłem, kiedy… – Przerwał na moment. – Kiedy byłem młody. Ale to prawda. – Opadł z powrotem na kanapę, odszukał dłonią łeb Radar i pogłaskał ją. – Tylko że nie chciałem zostawiać jej samej. Jesteśmy kumplami, ona i ja. Teraz nie muszę się już tym martwić. Jeśli mnie przeżyje, zaopiekujesz się nią, prawda?

– Tak, oczywiście.

– A co do terapii… – Uśmiechnął się szeroko. – Dziś zginałem nogę o dziesięć stopni, zacząłem też używać tej gumowej taśmy, żeby rozruszać kostkę. Będę naprawdę ciężko ćwiczył, bo nie chcę umrzeć w łóżku. Zwłaszcza na tej pieprzonej rozkładanej kanapie.

# 11

Nie rozmawialiśmy o tym, skąd pochodzi złoto w sejfie – ten temat był przysłowiowym słoniem w salonie – ale w niedzielę uświadomiłem sobie, że jest coś, o czym musimy porozmawiać. Nadal mogłem mu podawać tabletki rano i wieczorem, ale co z porcją w środku dnia, kiedy będę miał lekcje?

– Myślę, że Melissa mogłaby to robić w poniedziałki, środy i piątki, kiedy będzie przychodzić na terapię – powiedziałem. – Choć nie zdążyłyby zadziałać przed ćwiczeniami. Ale co z wtorkami i czwartkami?

– Poproszę panią Richland, żeby mi je podawała – odparł. – Będzie sobie mogła obejrzeć cały dom. Może zrobi parę zdjęć i wrzuci je na Facebooka i Twittera.

– Bardzo śmieszne.

– Poza tym chodzi nie tylko o południowe tabletki – dodał pan Bowditch. – Zostają jeszcze te o północy.

– Będę tu…

– Nie, Charlie. Czas, żebyś wrócił do domu. Tata na pewno za tobą tęskni.

– Przecież mieszka przy tej samej ulicy!

– Tak, ale twój pokój jest pusty. Ojciec siada sam do kolacji. Samotnym facetom czasami przychodzą do głowy głupie i złe myśli. Wiem coś o tym, wierz mi. Będziesz mi zostawiał południowe tabletki rano, gdy przyjdziesz wyprowadzić Radar i sprawdzić, co u mnie, a wieczorem, przed pójściem do domu, zostawisz mi tabletki na północ.

– Nie powinienem tego robić!

Skinął głową.

– Żebym nie oszukiwał. Co mogłoby być kuszące, bo jestem uzależniony od tego świństwa. Ale daję ci słowo. – Podniósł się na obu łokciach i wbił we mnie spojrzenie. – Jeśli tylko to zrobię, powiem ci o tym i całkiem zrezygnuję z tych tabletek. Przerzucę się na paracetamol. Składam ci tę obietnicę i zamierzam jej dotrzymać. Możesz z tym żyć?

Po chwili zastanowienia odpowiedziałem, że mogę. Wyciągnął rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie. Wieczorem pokazałem mu, jak może się dostać do filmów i programów, które miałem w laptopie. Położyłem dwie dwudziestomiligramowe tabletki oksykodonu na małym talerzyku na stoliku przy kanapie. Zarzuciłem plecak na ramiona i podniosłem komórkę.

– Jeśli będziesz mnie potrzebował, dzwoń. O każdej porze dnia i nocy.

– O każdej porze – zgodził się.

Radar odprowadziła mnie do drzwi. Pochyliłem się, pogłaskałem ją i uściskałem. Polizała mnie po policzku i poszedłem do domu.

## 12

Nigdy nie oszukał. Ani razu.

---

* W. Szekspir, *Król Lear*, przeł. S. Barańczak.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

## Zeszłoroczny śnieg. Fascynacja złotem. Stary pies. Wiadomość z gazety. Areszt.

### 1

Początkowo myłem pana Bowditcha gąbką trzy razy tygodniowo, bo w małej łazience na dole nie było prysznica. Pozwalał na to z zastrzeżeniem, że częściami intymnymi będzie się zajmował sam (nie miałem nic przeciwko). Myłem jego kościstą klatkę piersiową i jeszcze bardziej kościste plecy, a raz, po niefortunnym wypadku, który przydarzył mu się w drodze do łazienki, myłem też jego kościsty tyłek. Przekleństwa i wyzwiska, jakimi wtedy miotał, były zarówno wynikiem złości, jak i zakłopotania (ogromnego zakłopotania).

– Nie przejmuj się – powiedziałem, gdy włożył już spodnie od piżamy. – Codziennie sprzątam z podwórza kupy Radar.

Obdarzył mnie tym swoim unikatowym spojrzeniem zarezerwowanym dla idiotów.

– To coś zupełnie innego. Radar jest psem. Wysrałaby się na trawniku przed wieżą Eiffla, gdybyś jej na to pozwolił.

– Przed wieżą Eiffla jest jakiś trawnik? – spytałem zaintrygowany.

Tym razem pozwolił sobie na unikatowe Bowditchowe przewrócenie oczami.

– Nie wiem. To był tylko przykład. Mogę dostać colę?

– Jasne.

Odkąd tata przyniósł sześciopak, dbałem o to, żeby w domu zawsze była cola.

Kiedy ją przyniosłem, pan Bowditch siedział w swoim starym fotelu, a Radar położyła się u jego boku.

– Charlie, pozwól, że cię o coś zapytam. Wszystkie te rzeczy, które dla mnie robisz…

– Co tydzień dostaję za to bardzo przyzwoite pieniądze, co niezwykle sobie cenię, nawet jeśli nie zawsze czuję, że na nie zarobiłem.

– Robiłbyś to za darmo. Mówiłeś tak, kiedy byłem w szpitalu, i myślę, że to prawda. Więc dążysz do świętości czy chcesz coś odpokutować?

To było zaskakująco ostre postawienie sprawy. Pomyślałem o mojej modlitwie – o umowie z Bogiem – ale także o tym fałszywym alarmie bombowym w podstawówce. Bertie uważał, że to było niezwykle zabawne, ale tamtego wieczoru, gdy w pokoju obok chrapał pijany ojciec, myślałem tylko o tym, że wystraszyliśmy mnóstwo ludzi, w większości małe dzieci.

Pan Bowditch przyglądał mi się uważnie.

– Pokutujesz – stwierdził. – Ciekawe za co.

– Dałeś mi dobrą pracę – odparłem. – I jestem za to wdzięczny. Lubię cię, nawet gdy zrzędzisz, choć przyznaję, że wtedy jest to trochę trudniejsze. Cała reszta to nieistotna przeszłość, jak zeszłoroczny śnieg albo woda przepływająca pod mostem.

Zastanowił się nad tym i powiedział coś, czego nie zapomnę. Może dlatego, że moja mama zginęła na moście, gdy chodziłem do podstawówki Stevensa, a może dlatego, że wydało mi się to wtedy ważne – i nadal mi się takie wydaje.

– Czas jest wodą, Charlie. Życie jest tylko mostem, pod którym przepływa.

## 2

Mijały kolejne dni i tygodnie. Pan Bowditch wciąż przeklinał, a czasem krzyczał podczas fizjoterapii, tak bardzo niepokojąc tym Radar, że Melissa musiała ją wyrzucać na zewnątrz na czas sesji. Ścięgna okropnie bolały mojego podopiecznego, ale w maju zginał nogę w kolanie pod kątem osiemnastu stopni, a w czerwcu już niemal pięćdziesięciu. Melissa zaczęła go uczyć, jak może wchodzić o kulach na schody (i – co istotniejsze – jak może z nich bezpiecznie schodzić, by uniknąć upadku, który mógłby się okazać tragiczny w skutkach), więc przeniosłem oksykodon na drugie piętro. Schowałem tabletki w zakurzonym starym domku dla ptaków, z rzeźbioną wroną na daszku, która przyprawiała mnie o gęsią skórkę. Pan Bowditch z coraz większą swobodą poruszał się o kulach i zaczął sam myć się gąbką (nazywał to „kurwią kąpielą”). Nie miałem więcej okazji wycierać mu tyłka, bo już nigdy nie zdarzyło mu się wywrócić po drodze do kibla. Oglądaliśmy stare filmy na laptopie, od *West Side Story* po *Kandydata* (którego obaj uwielbialiśmy). Mówił o kupnie nowego telewizora, co było dla mnie jasnym sygnałem, że chce odmienić swoje

życie, rozmyślił się jednak, gdy powiedziałem mu, że będzie musiał założyć kablówkę albo zainstalować antenę satelitarną (pragnienie odmiany nie było więc aż tak silne). Przychodziłem do niego codziennie o szóstej rano, a ponieważ nie brałem już udziału w treningach ani meczach baseballu (trener Harkness patrzył na mnie krzywo za każdym razem, gdy mijaliśmy się na korytarzu), zwykle wracałem na Jaworową przed trzecią. Zajmowałem się różnymi pracami domowymi, głównie sprzątaniem, ale nie miałem nic przeciwko temu. Podłogi na piętrach były brudne jak cholera, zwłaszcza na drugim. Kiedy zaproponowałem, że wyczyszczę rynny, pan Bowditch spojrzał na mnie jak na wariata i kazał mi zlecić komuś to zadanie. Wkrótce więc pod domem pojawiła się furgonetka z napisem USŁUGI REMONTOWE, a kiedy już rynny zostały oczyszczone – ku wielkiemu zadowoleniu pana Bowditcha, który obserwował ten proces z tylnej werandy, wsparty na kulach, nie zważając na wiatr szarpiący nogawkami jego piżamy – polecił mi zatrudnić tę samą firmę do naprawy dachu. Kiedy zobaczył szacunkowy koszt tej usługi, kazał mi się z nimi targować („Weź ich na litość nad biednym schorowanym starcem”, radził). Targowałem się więc i utargowałem dwadzieścia procent zniżki. Faceci z Usług Remontowych zamontowali też podjazd na frontowej werandzie (z którego pan Bowditch nigdy nie korzystał, podobnie jak Radar, bo się go bała) i zaproponowali, że ułożą poprzechylane na wszystkie strony płyty ścieżki prowadzącej od bramki do werandy. Odrzuciłem tę ofertę i zająłem się tym sam. Wymieniłem też wypaczone i nadgniłe deski schodów przy frontowej i tylnej werandzie (z pomocą kilku filmików instruktażowych z YouTube’a). To była pracowita wiosna i równie pracowite lato na szczycie wzgórza przy Jaworowej. Pani Richland miała co oglądać i robiła to. Na początku lipca pan Bowditch wrócił do szpitala, by pozbyć się zewnętrznego stabilizatora, co nastąpiło kilka tygodni wcześniej, niż

przewidywała Melissa w swoich najbardziej optymistycznych szacunkach. Kiedy mu powiedziała, jak bardzo jest z niego dumna, i uściskała go, staruszkowi choć raz zabrakło języka w gębie. W niedzielne popołudnia przychodził mój ojciec – na zaproszenie pana Bowditcha, do czego wcale go nie namawiałem – i graliśmy we trójkę w remika, którego zwykle wygrywał staruszek. W ciągu tygodnia robiłem mu coś do jedzenia i szedłem w dół do swojego domu na kolację z tatą, a potem wracałem na górę, by umyć naczynia, wyprowadzić Radar na spacer i obejrzeć jakiś film z panem Bowditchem. Czasami robiliśmy sobie popcorn. Kiedy już usunięto stabilizator, nie musiałem zajmować się higieną prętów, ale musiałem czyścić rany w miejscach, gdzie wcześniej tkwiły. Ćwiczyłem z nim ruchomość kostek, korzystając z szerokich czerwonych taśm elastycznych, i zmuszałem go, by regularnie zginał w kolanie chorą nogę.

To były dobre tygodnie, przynajmniej w większości. Bo nie wszystko było dobre. Spacery z Radar robiły się coraz krótsze, ponieważ staruszka coraz szybciej zaczynała utykać i zawracała do domu. Miała też coraz większe problemy z wejściem na schody werandy. Kiedyś pan Bowditch zobaczył, jak niosę ją na rękach, i zabronił mi tego robić.

– Dopóki może, niech radzi sobie sama – powiedział.

Czasami na krawędzi sedesu pojawiały się krople krwi po tym, jak staruszek oddawał mocz, co zajmowało mu coraz więcej czasu.

– No już, bezużyteczny flaku, wyduś z siebie trochę płynu – powiedział kiedyś za zamkniętymi drzwiami toalety, nieświadom, że go słyszę.

Wyglądało na to, że olaparyb nie działa tak skutecznie, jak powinien. Próbowałem przemawiać panu Bowditchowi do rozumu; pytałem, dlaczego tak zawzięcie walczy o to, by stanąć na nogi, skoro pozwalał temu, „co naprawdę mu dolegało” (mój eufemizm), działać bez przeszkód. Kazał mi

wtedy pilnować własnego nosa. Ostatecznie jednak to nie rak go załatwił. Zrobił to atak serca. Choć niezupełnie.

Tak naprawdę była to ta cholerna szopa.

## 3

Pewnego razu – chyba w czerwcu – powróciłem do tematu złota, choć pośrednio. Spytałem pana Bowditcha, czy nie niepokoi go ten kuśtykający drobny Niemiec, zwłaszcza po tej dużej wymianie, której dokonałem, żeby było z czego opłacić rachunek za szpital.

– Jest niegroźny – odparł mój pracodawca. – Prowadzi mnóstwo interesów w tym swoim pokoiku na zapleczu, ale o ile mi wiadomo, nigdy nie wzbudzał zainteresowania policji. Ani skarbówki, co wydawałoby się bardziej prawdopodobne.

– Nie boisz się, że komuś o tym powie? Może robi interesy z ludźmi, którzy mają kradzione diamenty, z włamywaczami i tak dalej, i pewnie nikomu się tym nie chwali, ale trzy kilogramy złota to chyba całkiem inny poziom.

Pan Bowditch prychnął lekceważąco.

– Myślisz, że zrezygnowałby z takiego zysku, jaki robi na interesach ze mną? To byłoby głupie, a co jak co, ale Heinrich głupi nie jest.

Byliśmy w kuchni i popijaliśmy colę z wysokich szklanek (z listkami mięty, która rosła przy domu od strony ulicy Sosnowej). Pan Bowditch przyjrzał mi się uważnie.

– Coś mi się wydaje, że tak naprawdę nie chcesz rozmawiać o Heinrichu. Myślisz raczej o złocie i o tym, skąd pochodzi.

Nie przyznałem mu racji, ale nie mylił się.

– Powiedz mi coś, Charlie: bywałeś tam, na górze? – Wskazał na sufit. – Patrzyłeś na nie? Sprawdzałeś je, że tak powiem? Robiłeś to, prawda?

Zaczerwieniłem się.

– Hm…

– Nie martw się, nie będę cię strofował. Dla mnie to tylko wiadro wypełnione metalem, którym równie dobrze mogłyby być stalowe śruby i nakrętki. Tylko że ja jestem już stary. Co nie znaczy, że nie rozumiem tej fascynacji. Powiedz mi, wkładałeś w to dłonie?

Zastanawiałem się przez moment, czy nie skłamać, ale nie miałoby to sensu. On i tak by wiedział.

– Tak.

Wciąż mierzył mnie tym swoim przenikliwym spojrzeniem, mrużąc lewe oko i unosząc prawą brew. Ale uśmiechał się.

– Włożyłeś dłonie do wiadra i patrzyłeś, jak złote drobiny przesypują się między palcami?

– Tak.

Teraz twarz paliła mnie żywym ogniem. Nie zrobiłem tego tylko przed wyjazdem do Stantonville: od tamtej pory robiłem to jeszcze kilka razy.

– Fascynacja złotem nie ma nic wspólnego z wartością tego metalu. Wiesz o tym, prawda?

– Tak.

– Załóżmy… na potrzeby naszej rozmowy… że pan Heinrich powiedział trochę za dużo nieodpowiedniej osobie, gdy przesadził z piciem

w tym ohydnym barze przy ulicy, przy której jest jego zakład. Gotów byłbym założyć się o mój dom i ziemię, na której stoi, że stary kulawy Willy nigdy nie pije na umór, prawdopodobnie w ogóle nie pije, ale załóżmy, że jest inaczej. I załóżmy, że osoba, z którą rozmawiał, być może sama, a być może z kimś, poczekałaby, aż wyjdziesz stąd wieczorem, wtargnęła do domu i zażądała złota. Moja broń jest na górze. Pies, kiedyś naprawdę groźny… – pogłaskał Radar, która drzemała obok niego – teraz jest starszy ode mnie. Co zrobiłbym w takiej sytuacji?

– Pewnie… dałbyś im złoto?

– Zgadza się. Nie życzyłbym im dobrze, ale dałbym im.

W końcu zadałem to pytanie:

– Skąd pochodzi to złoto, Howard?

– Może kiedyś ci powiem. Jeszcze się nie zdecydowałem. Bo złoto jest nie tylko fascynujące. Jest także niebezpieczne. I miejsce, z którego pochodzi, również jest niebezpieczne. Zdaje się, że widziałem w lodówce kawałek jagnięciny. Mamy coleslaw? Tiller robi najlepszą surówkę na świecie. Powinieneś jej spróbować.

Innymi słowy, koniec rozmowy.

## 4

Pewnego wieczoru pod koniec lipca, kiedy wróciliśmy ze spaceru po ulicy Sosnowej, Radar nie była w stanie wspiąć się na schody tylnej werandy. Spróbowała dwukrotnie, a potem siedziała na dole, dysząc i patrząc na mnie.

– No już, podnieś ją – rzucił pan Bowditch. Stał na werandzie, oparty na jednej kuli. Drugiej praktycznie już nie używał. Gdy spojrzałem na niego pytająco, skinął głową. – Już czas.

Kiedy ją podniosłem, zaskomlała i odsłoniła zęby. Przesunąłem rękę, którą podtrzymywałem jej tylne łapy, by nie dotykać bolącego miejsca, i wniosłem ją na górę. Nie było to trudne. Radar schudła, jej pysk był niemal całkiem siwy, oczy miała zaczerwienione i zaropiałe. Postawiłem ją łagodnie w kuchni, ale przez chwilę tylne łapy nie mogły utrzymać jej ciała. Zebrała wszystkie siły – widziałem, jak to robi – i powlekła się do swojego kocyka przy drzwiach spiżarni, bardzo powoli, aż w końcu opadła na niego z ciężkim, umęczonym sapnięciem.

– Trzeba z nią iść do weterynarza – powiedziałem.

Pan Bowditch pokręcił głową.

– Byłaby przerażona. Nie chcę jej tego robić bez powodu.

– Ale…

– Żaden weterynarz nie może jej pomóc – odparł tak łagodnym głosem, tak do niego niepodobnym, że się przeraziłem. – Radar zbliża się już do końca. Na razie musi odpocząć, a ja muszę pomyśleć.

– O czym, na miłość boską?!

– O tym, co dla niej najlepsze. Powinieneś iść do domu. Zjedz kolację. I nie wracaj już dziś wieczorem. Zobaczymy się rano.

– A co z twoją kolacją?

– Zjem sardynki z krakersami. No, idź już – ponaglił mnie i powtórzył: – Muszę pomyśleć.

Poszedłem do domu, ale prawie nic nie zjadłem. Nie byłem głodny.

# 5

Potem Radar nie dojadała już porannych i wieczornych porcji karmy i choć wnosiłem ją na schody – wciąż mogła z nich zejść o własnych siłach – co jakiś czas zdarzało jej się napaskudzić w domu. Wiedziałem, że pan Bowditch miał rację, twierdząc, że żaden weterynarz już jej nie pomoże… chyba że na samym końcu, bo wyraźnie cierpiała. Dużo spała, czasami skomlała i gryzła się po tylnych łapach, jakby próbowała pozbyć się tego, co ją boli. Teraz miałem pod opieką dwoje pacjentów, przy czym stan jednego się poprawiał, a drugiego pogarszał.

W poniedziałek piątego sierpnia odebrałem mail od trenera Montgomery'ego, w którym informował mnie o terminach treningów futbolowych. Nim mu odpisałem, powiedziałem ojcu, że w ostatniej klasie nie będę grał w futbol. Tata był wyraźnie rozczarowany (ja zresztą też), ale odpowiedział, że rozumie. Poprzedniego dnia był u pana Bowditcha i widział, w jakim stanie jest Radar.

– Mam tam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia – powiedziałem. – Chcę uporządkować jakoś drugie piętro, a w piwnicy jest wielka niedokończona układanka, więc kiedy Howard będzie już mógł tam schodzić, pewnie mu przy tym pomogę. Chyba całkiem o niej zapomniał. No i muszę go jeszcze nauczyć, jak obsługiwać mój laptop, żeby mógł sam przeglądać sieć i oglądać filmy, a do tego…

– Przestań, Chip. Chodzi o psa, prawda?

Pomyślałem o tym, jak wnoszę ją na schody i jaka wydawała się zawstydzona, gdy nabrudziła w domu. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

– Kiedy byłem dzieckiem, miałem cocker-spanielkę – dodał tata. – Nazywała się Penny. Trudno spokojnie patrzeć, jak pies się starzeje.

A kiedy już dochodzi do samego końca… – Pokręcił głową. – Pęka ci serce.

Tak właśnie było. Dokładnie tak.

Ojciec się nie złościł, gdy powiedziałem mu, że chcę zrezygnować z futbolu, natomiast pan Bowditch wkurzył się nie na żarty. Był wściekły jak osa.

– Zwariowałeś? – Niemal krzyczał. Na jego pobrużdżonych policzkach pojawiły się czerwone rumieńce. – Kompletnie ci odbiło czy może upadłeś na głowę? Będziesz gwiazdą tej drużyny! Możesz grać w drużynie uniwersyteckiej, może nawet dostaniesz stypendium!

– Nigdy nie widziałeś, jak gram.

– Czytam dział sportowy w „Sun”, choć jest do niczego. W zeszłym roku wygrałeś turniej na Święto Dziękczynienia, do cholery!

– Zrobiliśmy wtedy cztery przyłożenia. Ja zaliczyłem tylko ostatnie.

– Przychodziłbym oglądać twoje mecze – oznajmił pan Bowditch, zniżając głos.

Na chwilę odebrało mi mowę ze zdumienia. Te słowa w ustach człowieka, który przed wypadkiem prowadził samotnicze życie, były czymś naprawdę niezwykłym.

– Tak czy inaczej, możesz chodzić na mecze – odparłem. – Możemy chodzić razem. Ja będę kupował colę, a ty hot dogi.

– Nie. Jestem twoim pracodawcą, do cholery, wypłacam ci pensję i nie zgadzam się na to. Nie będziesz z mojego powodu tracił ostatniego sezonu w szkolnej drużynie.

Ja też potrafię się wkurzyć, choć do tej pory nie zdarzyło mi się to przy nim. A tego dnia i owszem. Można śmiało powiedzieć, że na niego warknąłem.

– Nie chodzi o ciebie, nie zawsze chodzi tylko o ciebie! Co z nią? – Wskazałem na Radar, która podniosła łeb i zaskomlała z niepokojem. – Ty

będziesz ją nosił po schodach, żeby mogła się załatwić na zewnątrz? Sam ledwie chodzisz, do cholery!

Wyglądał na zszokowanego.

– Ja… Może to robić w domu… Rozłożę gazety…

– Nie ścierpiałaby tego, dobrze o tym wiesz. Może jest tylko psem, ale ma swoją godność. A jeśli to jest jej ostatnie lato, jej ostatnia jesień… – Czułem, jak łzy napływają mi do oczu. Wyda wam się to absurdalne tylko wtedy, jeśli sami nigdy nie mieliście psa, którego kochaliście. – Nie chcę być na boisku i przepychać się z jakimś pieprzonym manekinem, kiedy ona będzie umierała! Będę chodził do szkoły, bo muszę. Ale poza tym chcę być tutaj. A jeśli to ci nie wystarczy, to mnie zwolnij.

Siedział w milczeniu, ze złożonymi dłońmi. Kiedy na mnie spojrzał, jego usta były zaciśnięte tak mocno, że stały się niewidoczne. Przez chwilę myślałem, że to właśnie zrobi: zwolni mnie. On jednak spytał:

– Myślisz, że weterynarz zechciałby tu przyjechać i zignorować to, że mój pies nie jest zarejestrowany? Gdybym mu zapłacił wystarczająco dużo?

Wypuściłem powietrze z płuc.

– Może spróbuję się dowiedzieć – odparłem.

## 6

Nie znalazłem weterynarza, tylko asystentkę weterynaryjną, samotną mamę z trójką dzieci. Skontaktował mnie z nią Andy Chen, który znał ją już wcześniej. Przyjechała, zbadała Radar i dała panu Bowditchowi jakieś

tabletki. Mówiła, że to eksperymentalny środek, ale znacznie lepszy niż karprofen. Mocniejszy.

– Chcę postawić sprawę jasno. Poprawią jakość jej życia, ale prawdopodobnie je skrócą – oznajmiła. – Na pewno skrócą – dodała po chwili. – Nie przychodźcie do mnie, kiedy umrze, i nie mówcie, że was nie ostrzegałam.

– Na jak długo jej pomogą? – chciałem wiedzieć.

– Być może nie pomogą jej wcale. Jak już mówiłam, to środek eksperymentalny. Mam te tabletki tylko dlatego, że zostały w ośrodku, gdy doktor Petrie skończył próby kliniczne. Za które swoją drogą dobrze mu zapłacono, choć ja nie zobaczyłam ani centa z tych pieniędzy. Jeśli ten lek rzeczywiście pomoże, Radar pożyje w dobrej formie co najmniej miesiąc. Może dwa. Raczej nie trzy. Nie będzie się czuła jak szczeniak, ale na pewno lepiej niż teraz. Aż pewnego dnia… – Wzruszyła ramionami, przykucnęła i pogłaskała chudy bok Radar; ta pomachała ogonem. – Aż pewnego dnia odejdzie. Będę bardzo zaskoczona, jeśli dociągnie do Halloween.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale pan Bowditch wiedział, a Radar była jego psem.

– Wystarczająco – stwierdził. Potem dodał coś, czego wtedy nie rozumiałem, ale teraz rozumiem. – Wystarczająco długo. Może.

Kiedy kobieta wyszła (z dwustoma dolarami), dokuśtykał do Radar, pochylił się i pogłaskał ją. Gdy na mnie spojrzał, na jego twarzy malował się szelmowski uśmieszek.

– Nikt chyba nie aresztuje nas za kupowanie nielegalnych leków dla psów, co?

– Wątpię. – Znacznie więcej problemów przysporzyłoby złoto, gdyby ktoś się o nim dowiedział. – Cieszę się, że podjąłeś tę decyzję. Ja nie byłbym w stanie.

– Wybór Hobsona. – Wciąż głaskał Radar, powoli przesuwając dłonią od karku do nasady ogona. – Wydaje mi się, że jeden czy dwa dobre miesiące są lepsze od sześciu kiepskich. Jeśli ten środek w ogóle podziała, oczywiście.

Podziałał. Radar znów zaczęła zjadać swoje porcje w całości, mogła też wejść na schody werandy (czasami z moją drobną pomocą). Co więcej, wieczorami miała jeszcze dość sił, żeby pobawić się trochę w łapanie i przygryzanie piszczącej małpki. Mimo to nigdy nie przypuszczałem, że przeżyje pana Bowditcha, a tak się właśnie stało.

# 7

Potem nadeszło to, co poeci i muzycy nazywają cezurą. Radar wciąż… cóż, może nie tyle wracała do formy, ile w większym stopniu przypominała psa, którego poznałem w dniu, gdy pan Bowditch spadł z drabiny (choć rankami musiała się trochę natrudzić, by wstać ze swojego kocyka i przejść do miski z jedzeniem). Za to jej pan naprawdę wracał do formy. Zmniejszył dawki oksykodonu i zamienił kulę, której używał od sierpnia, na laskę znalezioną w kącie piwnicy. I zabrał się znów do układania puzzli. Ja chodziłem do szkoły i spędzałem trochę czasu z tatą, ale częściej jednak bywałem na Jaworowej 1. Jeże zaczęły sezon od przegranej 0:3 i dawni koledzy z drużyny futbolowej przestali się do mnie odzywać. Było to przykre, ale miałem zbyt wiele innych spraw na głowie, by się tym przejmować. Aha, i kilkakrotnie – zwykle gdy pan Bowditch drzemał na rozkładanej kanapie, z której wciąż korzystał, by być blisko Radar – otworzyłem sejf i włożyłem

ręce do wiadra ze złotem. Za każdym razem syciłem się ciężarem złotych drobin, które przesypywały się powoli między moimi palcami. Można powiedzieć, że niemal nad tym medytowałem. Melissa Wilcox przychodziła teraz tylko dwa razy w tygodniu i nie mogła się nadziwić, że jej pacjent robi takie postępy. Powiedziała mu kiedyś, że doktor Patterson, onkolog, chciałby się z nim zobaczyć, ale pan Bowditch odmówił; twierdził, że czuje się dobrze. Postanowiłem zaufać mu w tej kwestii, nie dlatego, że naprawdę mu wierzyłem, lecz dlatego, że chciałem wierzyć. Teraz już wiem, że nie tylko pacjenci nie dopuszczają do siebie prawdy.

Spokojny czas. Cezura. A potem wydarzyło się wiele rzeczy naraz i żadna z nich nie była dobra.

## 8

Przed lunchem miałem dłuższą przerwę i zwykle spędzałem ją w bibliotece, gdzie mogłem odrobić lekcje albo poczytać jakąś książkę z sypialnianej kolekcji pana Bowditcha. Tego dnia, pod koniec września, byłem pochłonięty lekturą cudownie krwawego kryminału *The Name of the Game is Death* Dana J. Marlowe’a. Za piętnaście dwunasta postanowiłem zachować finał tej historii na wieczór i sięgnąłem po pierwszą z brzegu gazetę. W bibliotece są komputery, ale za dostęp do wszystkich gazet trzeba płacić. Poza tym miałem ochotę poczytać wiadomości w prawdziwej papierowej gazecie, wydawało mi się to czarująco staroświeckie.

Mogłem trafić na „New York Timesa” albo „Chicago Tribune” i przegapić tę wiadomość, ale na samej górze sterty gazet leżał „Daily

Herald” z Elgin, więc wziąłem właśnie ten dziennik. W artykułach z pierwszej strony pisano o tym, że Obama chce podjąć działania militarne w Syrii, oraz o strzelaninie w Waszyngtonie, w której zginęło trzynaście osób. Przejrzałem je, zerknąłem na zegar – dziesięć minut do lunchu – i przerzuciłem kilka stron dzielących mnie od komiksów, do których jednak nie dotarłem. Zatrzymał mnie artykuł na drugiej stronie w dziale wiadomości lokalnych. Już tytuł przyprawił mnie o gęsią skórkę.

**ZABÓJSTWO JUBILERA W STANTONVILLE**

Długoletni mieszkaniec Stantonville i znany w tym mieście biznesmen został wczoraj wieczorem znaleziony martwy w swoim zakładzie Excellent Jewelers. Policja przybyła na miejsce po otrzymaniu przez telefon zgłoszenia, że drzwi lokalu są wciąż otwarte, choć wisi na nich tabliczka ZAMKNIĘTE. Funkcjonariusz James Kotziwinkle znalazł Wilhelma Heinricha w pomieszczeniu na zapleczu, również otwartym. Pytany, czy była to zbrodnia na tle rabunkowym, komendant policji w Stantonville, William Yardley, powiedział: „Choć w tej sprawie nadal toczy się śledztwo, odpowiedź wydaje się oczywista”. Pytani, czy ktokolwiek słyszał jakieś odgłosy walki albo strzały, zarówno Yardley, jak i detektyw Israel Butcher z policji stanowej Illinois odmówili komentarza; poinformowali jedynie, że większość lokali użytkowych na zachodnim krańcu głównej ulicy Stantonville stoi pusta, odkąd otworzono centrum handlowe za miastem. Zakład Excellent Jewelers był godnym uwagi wyjątkiem od tej reguły. Yardley i Butcher obiecali, że „sprawa znajdzie szybkie rozwiązanie”.

Rozległ się dzwonek na lunch, ale zostałem w bibliotece i zadzwoniłem do pana Bowditcha. Odebrał i jak zawsze rozpoczął rozmowę od słów:

– Jeśli jesteś telemarketerem, wykreśl mnie ze swojej listy.

– Howard, to ja. Pan Heinrich został zamordowany.

Długa pauza. A potem:

– Skąd wiesz?

Rozejrzałem się. Jako że do biblioteki nie można było wnosić jedzenia, zostałem tu całkiem sam, przeczytałem więc panu Bowditchowi cały artykuł. Nie trwało to długo.

– Cholera – mruknął, gdy skończyłem. – Gdzie mam teraz sprzedawać złoto? Był moim pośrednikiem od prawie dwudziestu pięciu lat.

Ani odrobiny współczucia. I zero zaskoczenia, a przynajmniej tak mi się zdawało.

– Poszukam w internecie – odparłem.

– Ostrożnie! Dyskretnie!

– Jasne, będę cholernie dyskretny, ale chyba nie do końca rozumiesz, w czym problem. Przeprowadziłeś u niego dużą wymianę, ogromną wymianę, a on teraz nie żyje. Jeśli ktoś wydobył od niego twoje nazwisko… jeśli go torturowano albo obiecano mu, że nie zginie…

– Naczytałeś się chyba za dużo moich starych kryminałów, Charlie. Te trzy kilogramy złota sprzedałeś mu w kwietniu.

– Czyli kilka miesięcy temu, a nie w zeszłym tysiącleciu – zauważyłem.

Zignorował to.

– Nie lubię zrzucać winy na ofiarę, ale on po prostu nie chciał się wyprowadzić z tego swojego zakładu w tym zapyziałym miasteczku. Kiedy ostatni raz widziałem się z nim osobiście, czyli jakieś cztery miesiące przed upadkiem z drabiny, powiedziałem mu: „Willy, jeśli nie zamkniesz tej

dziury i nie przeniesiesz się do centrum handlowego, ktoś cię obrobi”. No i w końcu ktoś to zrobił, a przy okazji go zabił. To proste i oczywiste wyjaśnienie.

– Mimo wszystko poczułbym się lepiej, gdybyś zniósł na parter swój rewolwer.

– Skoro to ma ci poprawić samopoczucie, zgoda, zniosę. Przyjdziesz po szkole?

– Nie, myślałem, że pojadę do Stantonville i zobaczę, czy uda mi się skombinować trochę koki.

– Żarty młodych ludzi są prymitywne i rzadko kiedy zabawne – odpowiedział i odłożył słuchawkę.

Zanim ustawiłem się w kolejce po lunch, miała już chyba z kilometr długości, co oznaczało, że prawdopodobnie dostanę zimne jedzenie. Nie przejmowałem się tym. Myślałem o złocie, które jak twierdził pan Bowditch, dla człowieka w jego wieku było tylko wiadrem metalu. Być może, ale przypuszczałem, że albo kłamie, albo sam siebie oszukuje.

Bo jeśli rzeczywiście złoto było mu całkiem obojętne, to dlaczego miał go aż tyle?

## 9

To było w środę. Zapłaciłem za dostęp do gazety z Elgin, żebym mógł czytać ją na telefonie, i w piątek znalazłem kolejny artykuł, tym razem zamieszczony na pierwszej stronie wiadomości lokalnych: MĘŻCZYZNA ZE STANTONVILLE ARESZTOWANY W ZWIĄZKU Z ZABÓJSTWEM W ZAKŁADZIE

JUBILERSKIM. Aresztowanym był niejaki Benjamin Dwyer, lat czterdzieści cztery, *bez stałego adresu zamieszkania*, co oznaczało zapewne, że był bezdomny. Właściciel lombardu Pawn & Loan w Stantonville wezwał policję, gdy Dwyer próbował u niego zastawić pierścionek z brylantem o *znacznej wartości*. Kiedy przewieziono go na komendę, okazało się, że ma przy sobie również bransoletkę wysadzaną szmaragdami. Policja całkiem słusznie uznała, że posiadanie tego rodzaju przedmiotów przez człowieka *bez stałego adresu zamieszkania* jest dość podejrzane.

– Widzisz? – powiedział pan Bowditch, gdy pokazałem mu artykuł. – Głupi człowiek popełnił głupią zbrodnię i został aresztowany, gdy próbował spieniężyć swoje łupy w głupi sposób. Nie jest to materiał na dobry kryminał, co? Nawet taki najtańszy, w miękkiej oprawie.

– Pewnie nie.

– Widzę, że wciąż coś cię gryzie. – Byliśmy w kuchni, przyglądaliśmy się Radar, która jadła wieczorny posiłek. – Cola może temu zaradzić.

Wstał i przeszedł do lodówki, prawie nie utykając.

Wziąłem od niego colę, nie zaradziła jednak temu, co mnie gryzło.

– To jego pomieszczenie na zapleczu było wypełnione biżuterią – powiedziałem. – Widziałem tam nawet diadem z brylantami, taki, jakie księżniczki wkładają na bale.

Pan Bowditch wzruszył ramionami. Dla niego ta sprawa była już zamknięta, odpłynęła w przeszłość.

– Popadasz w paranoję, Charlie. Zastanów się lepiej, co mam zrobić ze złotem, które mi jeszcze zostało, bo to jest prawdziwy problem. Skup się na tym. Ale…

– …bądź dyskretny, wiem.

– Dyskrecja powinna iść w parze z rozwagą – oznajmił, kiwając z powagą głową.

– A co to ma do rzeczy?

– Absolutnie nic. – Uśmiechnął się. – Po prostu miałem ochotę to powiedzieć.

## 10

Tego wieczoru wszedłem na Twittera, żeby dowiedzieć się czegoś o Benjaminie Dwyerze. Znalazłem mnóstwo tweetów o jakimś irlandzkim kompozytorze, więc zmieniłem hasło wyszukiwania na *Dwyer podejrzany o zabójstwo*. Tym razem pojawiło się tylko sześć wpisów. Autorem jednego był komendant policji w Stantonville, William Yardley, który zasadniczo gratulował samemu sobie szybkiego aresztowania sprawcy. Pod innym podpisał się ktoś, kto identyfikował się jako Punkette 44. Treść wpisu, podobnie jak wielu innych na Twitterze, była głęboko przemyślana i pełna współczucia: Wychowałam się w tej pieprzonej dziurze Stantonville. Ten Dwyer mógłby wyrżnąć tam wszystkich, wyświadczyłby światu przysługę.

Jedyny wpis, który wzbudził moje zainteresowanie, został podpisany przez użytkownika BullGuy19 i brzmiał następująco: Benjy Dwyer podejrzany o zabójstwo? Nie rozśmieszajcie mnie. Siedzi w Shitsville od tysiąca lat. Powinni zrobić mu na czole tatuaż MIEJSCOWY GŁUPEK.

Pomyślałem, że nazajutrz pokażę ten wpis panu Bowditchowi i zasugeruję, że jeśli BullGuy19 ma rację, to Benjy Dwyer jest tylko kozłem ofiarnym. Tak się złożyło, że nie miałem już możliwości tego zrobić.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

## To coś w szopie. Niebezpieczne miejsce. 911. Portfel. Dobra rozmowa.

### 1

Nie musiałem już przychodzić na szóstą, żeby nakarmić Radar: pan Bowditch mógł zrobić to sam. Przywykłem do wczesnego wstawania i zwykle mniej więcej za kwadrans siódma wjeżdżałem na szczyt wzgórza, żeby wyprowadzić ją na zewnątrz. Ponieważ była sobota, pomyślałem, że potem możemy wybrać się na krótki spacer ulicą Sosnową, gdzie zawsze chętnie odczytywała wiadomości pozostawione na słupach telefonicznych (i zostawiała kilka swoich). Tego dnia nie było jednak spaceru.

Kiedy wszedłem do domu, pan Bowditch siedział przy kuchennym stole, jadł owsiankę i czytał grubaśną książkę Jamesa Michenera. Nalałem sobie do szklanki soku pomarańczowego i spytałem pana Bowditcha, jak mu się spało.

– Jakoś przetrwałem noc – odparł, nie odrywając wzroku od książki. Howard Bowditch rano nie był szczególnie rozmowny. Oczywiście nie był

też szczególnie rozmowny wieczorem. Ani w środku dnia, jeśli chodzi o ścisłość. – Wypłucz tę szklankę, kiedy skończysz.

– Zawsze to robię.

Burknął coś pod nosem i przewrócił stronę wielkiej książki, która nosiła tytuł *Texas*. Dopiłem sok i zawołałem Radar. Weszła do kuchni, prawie nie utykając.

– Spacerek? – zwróciłem się do niej pieszczotliwym tonem. – Radie chce się przejść na spacerek?

– Jezu… – jęknął pan Bowditch. – Nie mów do niej jak do dziecka. W ludzkich latach dobiega setki.

Stała przy drzwiach. Kiedy je otworzyłem, zeszła ze schodów. Ruszyłem za nią, ale przypomniałem sobie, że potrzebuję smyczy, jeśli mamy się wybrać na spacer po Sosnowej. Nie wypłukałem też szklanki po soku pomarańczowym. Zająłem się tym i szedłem właśnie po smycz do korytarza przy frontowym wyjściu, gdy Radar zaczęła szczekać, chrapliwie i bardzo, bardzo głośno. To nie miało nic wspólnego z radosnym szczekaniem, którym oznajmiała światu, że widzi wiewiórkę.

Pan Bowditch zamknął z trzaskiem książkę.

– Co się z nią dzieje, do cholery? Lepiej idź zobacz.

Domyślałem się, co się z nią dzieje, bo słyszałem już kiedyś ten dźwięk. To było szczekanie ostrzegające o wejściu intruza na teren posesji. Przypadła do trawy na tylnym podwórzu, teraz znacznie krótszej i oczyszczonej z kup. Wpatrywała się w szopę, kładąc po sobie uszy, podnosząc górną wargę i odsłaniając zęby. Przy każdym szczeknięciu z jej pyska leciała piana. Podbiegłem do niej, pochwyciłem za obrożę i próbowałem odciągnąć Radar do tyłu. Nie zamierzała się wycofać, ale najwyraźniej nie chciała też podejść bliżej do zamkniętej szopy. Mimo ogłuszającego ujadania słyszałem gwałtowne drapanie dochodzące

z wnętrza. Tym razem było głośniejsze, widziałem też, że drzwi poruszają się miarowo. Wyglądało to jak bicie serca. Coś próbowało wydostać się na zewnątrz.

– Radar! – zawołał pan Bowditch z werandy. – Wracaj tu, natychmiast!

Nie zwracała na niego uwagi, szczekała dalej. Coś w szopie uderzyło w drzwi na tyle mocno, że usłyszałem głuchy huk. Z wnętrza dochodziło dziwaczne kwilenie, przypominające miauczenie kota, ale wyższe. Kojarzyło mi się z piskiem kredy przesuwanej po tablicy i przyprawiało o gęsią skórkę.

Stanąłem przed Radar, by zasłonić szopę. Cofnęła się o krok czy dwa. Jej oczy, otwarte szeroko, aż po białka, wypełnione były dziką wściekłością. Przez chwilę myślałem, że mnie ugryzie.

Nie zrobiła tego. Znów rozległ się głuchy huk, a potem drapanie i to przeraźliwe kwilenie. Radar miała dość. Odwróciła się i uciekła w stronę werandy, wcale nie utykając. Wspięła się na schody i wciąż ujadając, przypadła do stóp swojego pana.

– Charlie! Odejdź stamtąd!

– Coś jest w środku i próbuje wyjść. Coś dużego.

– Wracaj tu, chłopcze! Musisz natychmiast wrócić!

Znów huk i drapanie. Trzymałem rękę przy ustach, jakbym chciał stłumić okrzyk. Nie pamiętałem, żebym ją podnosił.

– Charlie!

Podobnie jak Radar poderwałem się do biegu – bo gdy już nie widziałem szopy, wyobraźnia podpowiadała mi, że lada moment drzwi zostaną wyrwane z zawiasów i jakieś koszmarne monstrum ruszy za mną w pogoń; sadząc wielkie susy, będzie wydawało z siebie te nieludzkie dźwięki.

Pan Bowditch tego dnia miał na sobie okropne bermudy, a na stopach kapcie, które nazywał papuciami. Gojące się rany pozostałe w miejscach, gdzie tkwiły pręty stabilizatora, odcinały się jaskrawą czerwienią od jego bladej skóry.

– Do środka! Do środka!

– Ale co…

– Nie ma się czego obawiać, te drzwi wytrzymają, ale muszę się tym zająć.

Wszedłem na schody i usłyszałem to, co powiedział tuż potem, choć zniżył głos jak ludzie, którzy mówią do siebie.

– Sukinsyn przesunął deski i pustaki. Musi być duży.

– Słyszałem coś podobnego już wcześniej, kiedy był pan w szpitalu, ale to nie było aż takie głośne.

Wepchnął mnie do kuchni i wszedł tam za mną, omal nie potykając się o Radar, która wciąż kuliła się u jego stóp. W ostatniej chwili przytrzymał się futryny.

– Zostańcie tu. Zajmę się tym.

Zatrzasnął drzwi prowadzące na tylne podwórze, a potem utykając, szurając kapciami i chwiejąc się lekko, przeszedł do salonu. Radar poszła za nim z podkulonym ogonem. Słyszałem, jak pan Bowditch mamrocze coś do siebie; potem syknął z bólu, zaklął i stęknął z wysiłku. Gdy wrócił, miał ze sobą broń, którą kiedyś zniósł na moją prośbę z pierwszego piętra. Ale nie tylko broń. Rewolwer tkwił w skórzanej kaburze, a kabura była przymocowana do skórzanego pasa nabijanego zdobionymi srebrnymi ćwiekami. Wyglądało to jak rekwizyt z filmu *Pojedynek w Corralu O.K.* Obrócił pas tak, by rewolwer znalazł się tuż pod jego prawym biodrem. Rzemyki mocujące kaburę obijały się o kwieciste bermudy. Powinno to

było wyglądać absurdalnie – on powinien tak wyglądać – a jednak nie wyglądało.

– Zostań tutaj.

– Panie Bowditch… Howard… Co… Nie możesz…

– Zostań tu, do jasnej cholery! – Złapał mnie za rękę tak mocno, że sprawił mi ból. Oddychał szybko i chrapliwie. – Zostań z psem. Zrób to.

Opuścił dom, zatrzasnął za sobą drzwi i zszedł bokiem ze schodów werandy. Radar wtuliła łeb w moją nogę i cicho skomlała. Głaskałem ją w roztargnieniu, obserwując, co dzieje się na podwórzu. W połowie drogi do szopy pan Bowditch sięgnął do lewej kieszeni i wyjął z niej pęk kluczy. Wybrał jeden i podszedł do drzwi. Włożył klucz do wielkiej kłódki, a potem wyjął z kabury czterdziestkępiątkę. Przekręcił klucz i otworzył drzwi, mierząc z rewolweru przed siebie i lekko w dół. Spodziewałem się, że z szopy coś wyskoczy i rzuci się na niego, ale tak się nie stało. Owszem, dojrzałem jakiś ruch – coś czarnego i smukłego. Potem zniknęło. Pan Bowditch wszedł do szopy i zamknął za sobą drzwi. Nic się nie działo przez długi, długi czas – w rzeczywistości było to pewnie nie więcej niż pięć sekund. Potem rozległy się dwa strzały. Ściany szopy musiały być bardzo grube, bo huk wystrzałów, który w tej ciasnej przestrzeni był zapewne ogłuszający, dotarł do mnie jako przytłumiony głuchy łomot, niczym odgłos uderzenia młota owiniętego filcem.

Potem znów nic się nie działo przez znacznie dłużej niż pięć sekund, może raczej pięć minut. Jedyną rzeczą, która powstrzymywała mnie od działania, był stanowczy ton głosu pana Bowditcha i zacięty wyraz jego twarzy, gdy kazał mi zostać w domu, do jasnej cholery. W końcu jednak i to nie mogło mnie dłużej zatrzymać. Byłem pewien, że coś mu się stało. Otworzyłem drzwi kuchenne i właśnie w chwili, gdy wychodziłem na tylną werandę, otworzyły się drzwi szopy i wyszedł z niej pan Bowditch. Radar

przeleciała obok mnie jak pocisk i przemknęła w błyskawicznym tempie przez podwórze; dopadła swojego pana w momencie, gdy zamykał drzwi i zakładał kłódkę. Dobrze, że stało się to właśnie wtedy, bo miał się czego przytrzymać, gdy suka na niego wskoczyła.

– Leżeć, Radar, leżeć!

Opadła na brzuch i zaczęła w szalonym tempie wymachiwać ogonem. Pan Bowditch, wracając na werandę, szedł znacznie wolniej niż wtedy, gdy zmierzał do szopy, wyraźnie też utykał na chorą nogę. Jedna z jego blizn pękła i krew sączyła się z niej ciemnoczerwonymi kroplami. Przypominały mi rubiny, które widziałem na zapleczu zakładu pana Heinricha. Zgubił też jeden kapeć.

– Pomóż mi trochę, Charlie – poprosił. – To cholerne kolano mnie dobija.

Przełożyłem jego ramię nad swoim barkiem, złapałem go za kościsty nadgarstek i niemal przeniosłem go nad schodami werandy i do wnętrza domu.

– Łóżko. Muszę się położyć. Nie mogę złapać oddechu.

Zaprowadziłem go do salonu – po drodze zgubił drugi kapeć, bo powłóczył nogami – i ułożyłem na kanapie.

– Jezu Chryste, Howard… Co to było? Do czego strze…

– Spiżarnia – przerwał mi w pół słowa. – Górna półka. Za tymi butelkami z olejem Wesson. Whiskey. Tyle.

Przysunął palec wskazujący do kciuka tak, że niemal się dotknęły. Jego dłoń drżała. Wcześniej wydawało mi się, że jest blady, ale teraz, gdy czerwone plamy zniknęły już z jego twarzy, wyglądał jak trup o żywych oczach.

Przeszedłem do spiżarni i znalazłem butelkę Jamesona za olejem. Choć jestem wysoki, musiałem stanąć na palcach, by jej dosięgnąć. Była

zakurzona i prawie pełna. Choć wciąż nie ochłonąłem z szoku – byłem przerażony, bliski paniki – to kiedy otworzyłem butelkę, zapach whiskey przywołał paskudne wspomnienia mojego półprzytomnego ojca leżącego na kanapie albo pochylonego nad sedesem i wymiotującego. Whiskey ma inny zapach niż gin… a jednak taki sam. Wszystkie rodzaje alkoholu pachną dla mnie tak samo: smutkiem i poczuciem straty.

Nalałem odrobinę do szklanki na sok. Pan Bowditch przełknął to jednym haustem i zakaszlał, ale upiorna bladość ustąpiła z jego policzków. Rozpiął ozdobny pas z bronią.

– Zdejmij ze mnie to cholerstwo.

Pociągnąłem za kaburę i gdy pas wysunął się spod staruszka, ten zaklął pod nosem, bo klamra podrapała mu plecy.

– Co mam z tym zrobić? – spytałem.

– Schowaj pod łóżkiem.

– Skąd masz ten pas? – Nie widziałem go nigdy wcześniej.

– Nieważne. Po prostu go schowaj, ale wcześniej przeładuj.

Między ozdobnymi ćwiekami na pasie znajdowały się pętelki na naboje. Obróciłem ciężki bębenek rewolweru, włożyłem naboje do dwóch pustych komór, umieściłem broń w kaburze i schowałem pas pod łóżkiem. Czułem się tak, jakbym śnił na jawie.

– Co to było? Co było w tej szopie?

– Powiem ci – odparł. – Ale nie dziś. Nie ma się czym martwić. Weź to. – Podał mi pęk kluczy. – Odłóż na półkę. I daj mi dwa oksykodony, położę się spać.

Podałem mu dwie tabletki. Nie podobało mi się, że zażywa tak mocne środki zaraz po whiskey, ale wypił jej tylko odrobinę.

– Nie wchodź tam – przykazał. – Za jakiś czas pewnie będziesz mógł, ale na razie nawet o tym nie myśl.

– Stamtąd pochodzi złoto?

– To skomplikowane, jak mawiają w operach mydlanych. Nie mogę teraz o tym rozmawiać, Charlie, a tobie nie wolno o tym nikomu mówić. Nikomu! Konsekwencje… nie potrafię sobie nawet ich wyobrazić. Obiecaj mi.

– Obiecuję.

– Dobrze. A teraz idź już i daj staremu człowiekowi pospać.

## 2

Radar zwykle chętnie schodziła ze mną ze wzgórza, ale tego dnia nie chciała opuścić swojego pana. Poszedłem więc sam i przygotowałem sobie kanapkę z pieczywa tostowego Wonder Bread z szynką konserwową na ostro – przysmak mistrzów. Tata zostawił kartkę z wiadomością, że idzie na poranne spotkanie AA, a potem na kręgle z Lindym i kilkoma innymi spośród jego trzeźwych przyjaciół. Byłem wdzięczny losowi, że tak się właśnie złożyło. Dotrzymałbym obietnicy danej panu Bowditchowi bez względu na okoliczności – „Konsekwencje… nie potrafię sobie nawet ich wyobrazić” – ale jestem pewien, że ojciec wyczytałby coś z mojej twarzy. Odkąd wytrzeźwiał, był o wiele wrażliwszy na tego rodzaju rzeczy. Zwykle mnie to cieszyło. Lecz nie tamtego dnia.

Kiedy wróciłem na Jaworową 1, pan Bowditch jeszcze spał. Wyglądał trochę lepiej, ale jego oddech brzmiał nieco chrapliwie. Właśnie takie dźwięki wydawał z siebie, gdy znalazłem go ze złamaną nogą na schodach werandy. Nie podobało mi się to.

Wieczorem oddychał już normalnie. Zrobiłem popcorn, smażąc go starym sposobem na kuchence w garnku z olejem. Podjadaliśmy go, oglądając film *Hud, syn farmera* na laptopie. To pan Bowditch wybrał ten tytuł; ja nigdy o nim nie słyszałem, ale był całkiem niezły. Nie przeszkadzało mi nawet, że jest czarno-biały. W pewnym momencie pan Bowditch poprosił, bym zatrzymał obraz podczas zbliżenia na twarz Paula Newmana.

– Czy on był najprzystojniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, Charlie? Jak myślisz?

Odpowiedziałem, że być może ma rację.

Zostałem tego dnia na noc. W niedzielę pan Bowditch czuł się jeszcze lepiej, więc pojechałem z tatą na ryby, nad zalew przy tamie South Elgin. Nie złowiliśmy niczego, ale miło było posiedzieć z nim w łagodnym wrześniowym słońcu.

– Jesteś dziwnie milczący, Charlie – zauważył w drodze powrotnej. – Coś cię gnębi?

– Ten stary pies – odpowiedziałem, co w dużej mierze, choć nie do końca, było kłamstwem.

– Przyprowadź ją dziś po południu – zaproponował tata. Próbowałem, ale Radar wciąż nie chciała opuścić swojego pana.

– Prześpij się dzisiaj w swoim łóżku – powiedział pan Bowditch. – Staruszka i ja jakoś sobie poradzimy.

– Trochę chrypisz. Mam nadzieję, że nie dopada cię jakaś choroba.

– Nie. Po prostu gadałem prawie przez cały dzień.

– Z kim?

– Do kogo, a nie z kim. Do siebie. No już, idź, Charlie.

– Dobrze, ale dzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował.

– Tak, tak.

– Obiecaj. Ja obiecywałem wczoraj, dziś twoja kolej.

– Obiecuję, na miłość boską. A teraz bierz tyłek w troki i zmykaj.

## 3

W niedzielę rano Radar po załatwieniu swoich potrzeb nie była w stanie wejść na schody werandy i zjadła tylko połowę porcji karmy. Wieczorem w ogóle nic nie tknęła.

– Pewnie musi tylko trochę odpocząć – stwierdził pan Bowditch, ale w jego głosie słychać było powątpiewanie. – Daj jej podwójną dawkę tych nowych pigułek.

– Jesteś pewien? – spytałem.

Uśmiechnął się ponuro.

– A jakie to ma teraz znaczenie?

Tej nocy spałem we własnym łóżku, a w poniedziałek Radar była chyba w trochę lepszej formie, ale pan Bowditch również płacił zdrowiem za sobotnie wydarzenia. Znów musiał używać obu kul, by przejść do toalety i z powrotem. Chciałem opuścić tego dnia lekcje i zostać z nim, jednak stanowczo mi zabronił. Wieczorem i on czuł się lepiej. Twierdził, że wraca do formy. Wierzyłem mu.

Co ze mnie za głupiec!

# 4

We wtorek o dziesiątej rano byłem na lekcji chemii. Podzieleni na cztery grupy, wyposażeni w gumowe fartuchy i rękawiczki, mieliśmy określić temperaturę wrzenia acetonu. W sali panowała cisza przerywana jedynie szeptami uczniów, więc gdy zadzwonił telefon w mojej kieszeni, zabrzmiało to wyjątkowo głośno. Pan Ackerley spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Ile razy mam wam powtarzać, dzieciaki, żebyście wyciszali…

Wyjąłem telefon z kieszeni i zobaczyłem BOWDITCH na ekranie. Zdjąłem szybko rękawiczki i odebrałem, wychodząc z sali i ignorując rozeźlonego nauczyciela.

Pan Bowditch wydawał się osłabiony, ale spokojny.

– Chyba mam zawał, Charlie. Właściwie nie mam co do tego wątpliwości.

– Dzwoniłeś pod…

– Zadzwoniłem do ciebie, więc bądź cicho i słuchaj. W Elgin jest prawnik, Leon Braddock. Pod kanapą w salonie leży portfel. Wszystko inne, czego potrzebujesz, też jest pod kanapą. Rozumiesz? Pod kanapą – dodał, wymawiając osobno każdą sylabę. – Opiekuj się Radar, a kiedy już wszystkiego się dowiesz, zdecyduj… – Zachłysnął się gwałtownie. – Kurwa, jak to boli! Jakby ktoś wbijał ci rozżarzony pręt! Kiedy już wszystkiego się dowiesz, zdecyduj, co chcesz z nią zrobić.

Koniec. Rozłączył się.

Drzwi sali chemicznej otworzyły się w momencie, gdy dzwoniłem pod 911. Pan Ackerley wyszedł na korytarz i spytał, co, do diabła, wyprawiam. Zbyłem go machnięciem ręki. Dyspozytorka spytała, w jakiej dzwonię

sprawie. Ignorując nauczyciela, który z rozdziawionymi ustami stał obok mnie, powiedziałem jej, o co chodzi, i podałem adres. Rozwiązałem fartuch, zrzuciłem go na podłogę i pobiegłem do wyjścia.

## 5

Nigdy nie jechałem na rowerze szybciej niż wtedy; stałem cały czas na pedałach i przecinałem ulice, nie rozglądając się na boki. Ktoś zatrąbił, zapiszczały opony, ktoś wrzasnął ze złością:

– Patrz, gdzie jedziesz, debilu!

Choć dawałem z siebie wszystko, ratownicy medyczni byli szybsi. Kiedy wyjechałem zza rogu Jaworowej i Sosnowej, podpierając się na zakręcie nogą, by nie wylecieć na jezdnię, karetka właśnie odjeżdżała z wyciem syreny i migotaniem świateł. Poszedłem za dom. Nim zbliżyłem się do drzwi kuchennych, Radar wypadła przez klapę dla psa i zaczęła mnie obskakiwać. Opadłem na kolana, by nie przesilała chorych stawów. Skomlała, piszczała i lizała mnie po twarzy. Wiedziała, że stało się coś złego; nikt mnie nie przekona, że było inaczej.

Weszliśmy do środka. Na stole kuchennym przy kałuży rozlanej kawy leżała przewrócona filiżanka. Krzesło, na którym zawsze siadał (to ciekawe, jak wybieramy sobie ulubione miejsca i potem się ich trzymamy), również było przewrócone. Jeden z palników na kuchence wciąż działał, z rozgrzanego staroświeckiego perkolatora wydobywał się zapach spalenizny. Przywodził na myśl woń eksperymentu chemicznego. Zgasiłem płomień i korzystając z rękawicy kuchennej, przesunąłem perkolator na

chłodny palnik. Przez cały ten czas Radar nie opuszczała mnie ani na krok; opierała się o moją nogę i pocierała łbem o kolano.

Na podłodze przy wejściu do salonu leżał kalendarz. Łatwo można było sobie wyobrazić, co tutaj zaszło. Pan Bowditch pił kawę przy kuchennym stole, na kuchence grzał się perkolator z drugą porcją napoju. Nagle w jego pierś uderza młot. Pan Bowditch rozlewa kawę. Wstaje i idzie do telefonu w salonie, przewracając po drodze krzesło, chwiejąc się i ściągając kalendarz, gdy przytrzymuje się ściany.

Staroświecki aparat telefoniczny leżał na kanapie. Było tam też puste opakowanie z napisem *Papaweryna*, pewnie po środku, który mu wstrzyknęli, zanim zabrali go do karetki. Usiadłem na kanapie pośród rozrzuconej pościeli i podrapałem Radar za uszami, co zawsze ją uspokajało.

– Nic mu nie będzie, mała. Zobaczysz, wyjdzie z tego.

Ale na wypadek, gdyby jednak nie wyszedł, zajrzałem pod kanapę. Gdzie według pana Bowditcha miałem znaleźć „wszystko, czego potrzebuję”. Był tam rewolwer w kaburze przypiętej do nabijanego ćwiekami pasa. Był pęk kluczy i portfel, którego nie widziałem nigdy wcześniej. Był tam również staroświecki magnetofon kasetowy; kiedyś go widziałem, choć wtedy stał na jednej z plastikowych skrzynek po mleku na drugim piętrze. Zajrzałem do kieszeni magnetofonu i zobaczyłem, że w środku jest kaseta firmy RadioShack. Albo czegoś słuchał, albo coś nagrywał. Stawiałem na nagrywanie.

Schowałem klucze do jednej kieszeni, a portfel do drugiej. Włożyłbym portfel do plecaka, ale zostawiłem go w szkole. Zabrałem resztę rzeczy na górę i schowałem je do sejfu. Nim zamknąłem jego drzwiczki i wykręciłem właściwą kombinację cyfr, przykucnąłem i zanurzyłem dłonie w drobinach

złota. Gdy przesypywały się między moimi palcami, zastanawiałem się, co stanie się z tym skarbem, jeśli pan Bowditch umrze.

Radar szczekała i skomlała u podnóża schodów. Zszedłem na parter, usiadłem na kanapie i zadzwoniłem do taty. Powiedziałem mu, co się stało. Spytał, jak się czuje pan Bowditch.

– Nie wiem. Nie widziałem go. Jadę teraz do szpitala.

Gdy byłem w połowie tego przeklętego mostu, zabrzęczał telefon. Zatrzymałem się na parkingu przy Zip Mart i odebrałem. Dzwoniła Melissa Wilcox. Płakała.

– Umarł w drodze do szpitala, Charlie. Próbowali go reanimować, robili wszystko, co mogli, ale zawał był zbyt rozległy. Przykro mi, tak okropnie mi przykro.

Powiedziałem, że mnie też. Spojrzałem na okno Zip Mart. Nad talerzem z kawałkami smażonego kurczaka wisiał ten sam szyld co zawsze: NAJLEPSZE W OKOLICY. Łzy napłynęły mi do oczu, słowa się rozmyły. Zobaczyła mnie pani Zippy i wyszła na zewnątrz.

– Wszystko w porządku, Cholly?

– Nie – odparłem. – Niezupełnie.

Nie miałem już po co jechać do szpitala. Wróciłem przez most, a potem poprowadziłem rower w górę ulicy Jaworowej. Byłem zbyt wyczerpany, by jechać, zwłaszcza pod tak strome zbocze. Zatrzymałem się przed naszym domem, ale był pusty, przynajmniej do powrotu taty. Na razie musiałem się zająć psem, który mnie potrzebował. Właściwie teraz to był już tylko mój pies.

# 6

Po powrocie do domu pana Bowditcha przez jakiś czas głaskałem i drapałem Radar. Płakałem przy tym cicho, po części w wyniku szoku, a po części dlatego, że powoli docierała do mnie straszna prawda: w miejscu, gdzie miałem dotąd przyjaciela, pozostała pustka. Głaskanie uspokajało psa i mnie chyba też, bo zacząłem myśleć. Zadzwoniłem do Melissy i spytałem, czy będą robić sekcję. Odpowiedziała, że nie, bo umierał w obecności ratowników, a przyczyna śmierci była jednoznaczna.

– Koroner przygotuje akt zgonu, ale będzie potrzebował jakiegoś dokumentu. Masz może jego portfel?

Hm… miałem portfel. Tylko że to nie był ten, który pan Bowditch nosił w tylnej kieszeni. Tamten był brązowy, a ten spod kanapy czarny. Nie mówiłem o tym jednak Melissie. Powiedziałem tylko, że go mam. Odpowiedziała, że nie ma pośpiechu, wszyscy wiedzieliśmy, kim był pan Bowditch.

Zaczynałem się zastanawiać, czy rzeczywiście wiedzieliśmy.

Wygooglowałem numer Leona Braddocka i zadzwoniłem do niego. Rozmowa była krótka. Braddock powiedział, że wszystkie sprawy pan Bowditcha są uporządkowane, bo ten nie spodziewał się pożyć zbyt długo.

– Powiedział, że nie zamierza kupować zielonych bananów. Wydało mi się to czarujące.

Rak, pomyślałem. Dlatego uporządkował wszystkie swoje sprawy. Zakładał, że to właśnie rak go wykończy, a nie atak serca.

– Był u pana w biurze? – spytałem.

– Tak. W tym miesiącu.

Innymi słowy, kiedy ja byłem w szkole. I nic mi o tym nie powiedział.

– Pewnie przyjechał juberem.

– Słucham?

– Nic. Melissa, jego fizjoterapeutka, mówi, że ktoś, chyba koroner, musi zobaczyć jego dokument tożsamości, żeby przygotować akt zgonu.

– Tak, tak, to czysta formalność. Jeśli zaniesie pan ten dokument do szpitalnej recepcji, zrobią kopię. Na przykład prawo jazdy, jeśli je ma… wystarczy nawet nieaktualne. Coś ze zdjęciem. Nie ma pośpiechu, i bez tego wydadzą ciało zakładowi pogrzebowemu. Pewnie nie wie pan, który to zakład pogrzebowy…

– Crosland – odparłem. Ten sam, który zajmował się pochówkiem mojej mamy. – Tutaj, w Sentry.

– Doskonale, doskonale. Zajmę się kosztami. Zostawił specjalny depozyt z myślą o takiej smutnej ewentualności. Proszę mi powiedzieć, jakie są ustalenia. Może pańscy rodzice będą się mogli tym zająć? Potem chciałbym się z panem zobaczyć, panie Reade.

– Ze mną? Dlaczego?

– Powiem panu, gdy się spotkamy. Myślę, że to będzie dobra rozmowa.

# 7

Zabrałem jedzenie Radar, jej miskę i lekarstwa. Nie zamierzałem zostawiać jej w tym domu, gdzie czekałaby, aż jej pan wróci stamtąd, dokąd tak nagle się wybrał. Przypiąłem smycz do obroży i sprowadziłem ją na dół. Szła powoli, ale stabilnie; bez trudu wspięła się też na schody naszej frontowej

werandy. Znała już dobrze to miejsce i od razu przeszła do swojej miski z wodą. Potem ułożyła się na swoim kocyku i zasnęła.

Tata wrócił do domu zaraz po południu. Nie wiem, co zobaczył na mojej twarzy, ale spojrzał na nią tylko raz i mocno mnie przytulił. Znów się rozpłakałem i tym razem był to prawdziwy potop. Tata ujął od tyłu moją głowę i kołysał mnie, jakbym wciąż był małym chłopcem, co przyprawiło mnie o jeszcze gwałtowniejsze spazmy.

Gdy fontanna w końcu wyschła, spytał, czy jestem głodny. Gdy odpowiedziałem, że tak, zrobił jajecznicę z sześciu jajek, z cebulą i papryką. Zjedliśmy i opowiedziałem mu, co dokładnie się wydarzyło, pominąłem jednak sporo rzeczy: pistolet, odgłosy w szopie, wiadro ze złotem w sejfie. Nie pokazałem mu też kluczy. Pomyślałem, że być może wkrótce wyjawię mu całą prawdę i wtedy będzie pewnie zły, że tyle przed nim zataiłem, chciałem jednak zachować te dziwaczne sprawy dla siebie, dopóki nie przesłucham taśmy.

Pokazałem mu jednak portfel. W największej przegródce leżały pięciodolarowe banknoty, jakich nie widziałem nigdy wcześniej. Tata powiedział, że to srebrne certyfikaty, może nie tak rzadkie, ale równie staroświeckie jak kuchenka czy telewizor pana Bowditcha. Znaleźliśmy również trzy dokumenty tożsamości: kartę ubezpieczenia społecznego wystawioną na Howarda A. Bowditcha, zalaminowaną kartę poświadczającą, że Howard A. Bowditch jest członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Robotników Leśnych, i prawo jazdy.

Z fascynacją przyglądałem się zdjęciu na karcie Stowarzyszenia Robotników Leśnych. Wyglądał na nim na jakieś trzydzieści pięć lat, z pewnością nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Miał gęste jaskraworude włosy, zaczesane równo do tyłu, tak że odsłaniały jeszcze gładkie czoło. Jego twarz rozpromieniał buńczuczny uśmiech, jakiego u niego nie

widziałem. Owszem, uśmiechał się, czasami wręcz się szczerzył, ale nigdy nie tak beztrosko. Był w kraciastej flanelowej koszuli i rzeczywiście wyglądał jak człowiek z lasu.

„Byłem zwykłym drwalem, jakich pełno w baśniach i bajkach”, powiedział mi nie tak dawno temu.

– To dopiero jest dobre, naprawdę dobre – mruknął mój ojciec.

Podniosłem wzrok znad karty, którą trzymałem w dłoni.

– Co?

– To.

Podał mi prawo jazdy, na którym widniało zdjęcie pana Bowditcha w wieku około sześćdziesięciu lat. Wciąż miał jeszcze sporo rudych włosów, które jednak już wyraźnie rzedniały i przegrywały bitwę z siwizną. Zgodnie z informacją wydrukowaną pod zdjęciem prawo jazdy było ważne do 1996 roku, wiedzieliśmy jednak, że to nieprawda. Tata sprawdzał przecież w sieci. Pan Bowditch miał samochód (gdzieś), ale nigdy nie miał ważnego prawa jazdy wydanego w stanie Illinois… gdzie teoretycznie wystawiono właśnie ten dokument. Przypuszczałem, że pan Heinrich mógł znać kogoś, kto potrafił podrabiać prawa jazdy.

– Dlaczego? – spytałem. – Po co by to robił?

– Mógł mieć wiele powodów, ale wiedział pewnie, że nie można wystawić ważnego aktu zgonu bez jakiegoś dokumentu tożsamości. – Ojciec pokręcił głową, nie z irytacją, lecz z podziwem. – To, Charlie, było ubezpieczenie pogrzebowe.

– Co powinniśmy z tym zrobić?

– Zostawić w spokoju. Jestem pewien, że miał różne tajemnice, ale z pewnością nie rabował banków w Arkansas ani nie ostrzelał baru w Nashville. Był dobry dla ciebie i dla swojego psa i to mi wystarczy.

Uważam, że należy go pogrzebać razem z jego małymi tajemnicami, chyba że zna je jego prawnik. Jesteś innego zdania?

– Nie.

Myślałem o tym, że owszem, miał swoje tajemnice, tylko że nie były one małe. Chyba że fortunę w złocie można uznać za drobnostkę. I coś kryło się w jego szopie. A przynajmniej kryło się tam do czasu, aż to zastrzelił.

## 8

Howard Adrian Bowditch został pochowany dwa dni później, w czwartek dwudziestego szóstego września 2013 roku. Uroczystość odbyła się w domu pogrzebowym Crosland, a ciało złożono na cmentarzu Rest w Sentry, gdzie spoczywała również moja mama. Na prośbę taty wielebna Alice Parker, która także celebrowała ceremonię po śmierci mamy, odprawiła nabożeństwo o ogólnym charakterze. Wielebna Alice uporała się z tym dość szybko, ale ja i tak miałem mnóstwo czasu na rozmyślania. Dotyczyły po części złota, ale głównie szopy. Zastrzelił w niej coś, a towarzyszące temu emocje go zabiły. Trochę to zajęło, byłem jednak pewien, że właśnie tamto wydarzenie przyprawiło go o atak serca.

W uroczystościach pogrzebowych w zakładzie oraz na cmentarzu uczestniczyli George Reade, Charles Reade, Melissa Wilcox, pani Althea Richland, prawnik Leon Braddock oraz Radar, która przespała cały pogrzeb i odezwała się tylko raz, przy grobie: zawyła przeciągle, gdy opuszczano

trumnę do dołu. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie i sentymentalnie zarazem, ale tak właśnie było.

Melissa uściskała mnie mocno i pocałowała w policzek. Powiedziała, żebym zadzwonił później, jeśli będę chciał porozmawiać, a ja zapewniłem, że to zrobię.

Wróciłem na parking z tatą i prawnikiem. Radar szła powoli obok mnie. Lincoln Braddocka stał obok naszego skromnego chevroleta caprice. W cieni dębu o złocących się już liściach stała ławka.

– Może usiedlibyśmy tu na kilka minut? – zaproponował Braddock. – Mam wam coś ważnego do powiedzenia.

– Chwileczkę – rzuciłem. – Chodźmy dalej.

Nie spuszczałem wzroku z pani Richland, która odwróciła się w naszą stronę i patrzyła, jak zawsze ocieniając dłonią oczy. Gdy zobaczyła, że idziemy do samochodów – a przynajmniej tak jej się wydawało – wsiadła do swojego i odjechała.

– Teraz możemy usiąść – powiedziałem.

– Domyślam się, że ta pani jest wyjątkowo ciekawska – zauważył Braddock. – Znała Howarda?

– Nie, ale pan Bowditch mówił, że jest wścibska, i miał rację.

Usiedliśmy na ławce. Prawnik ułożył sobie aktówkę na kolanach i otworzył ją.

– Mówiłem, że to będzie dobra rozmowa, i przypuszczam, że zgodzicie się ze mną, kiedy usłyszycie, co mam wam do powiedzenia.

Wyjął teczkę na dokumenty, a z niej niewielki plik kartek spiętych złotym spinaczem. Na tej na wierzchu widniały słowa OSTATNIA WOLA I TESTAMENT.

Tata zaczął się śmiać.

– O mój Boże, zostawił coś Charliemu?

– Niezupełnie – odparł pan Braddock. – Zostawił Charliemu wszystko.

Wypowiedziałem wtedy pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy, choć nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie.

– Robi pan sobie ze mnie jaja!

Braddock uśmiechnął się i pokręcił głową.

– To jest *nullum cacas statum*, jak mawiamy my, prawnicy, czyli sytuacja, w której nie można sobie robić jaj. Zostawił panu dom i działkę, na której stoi. Tak się składa, że to całkiem spora działka, warta co najmniej sześciocyfrową sumę. I to wysoką sześciocyfrową sumę, biorąc pod uwagę ceny nieruchomości w Sentry. Wszystko, co znajduje się w domu, również należy do pana, a do tego samochód, który obecnie znajduje się w Carpentersville. No i pies, oczywiście.

Pochylił się i pogłaskał Radar. Podniosła na chwilę łeb, a potem ułożyła go z powrotem na łapie.

– To rzeczywiście prawda? – spytał tata.

– Prawnicy nigdy nie kłamią – odparł Braddock, potem przemyślał sobie, co właśnie powiedział, i dodał: – Przynajmniej nie w takich sprawach.

– I nie ma żadnych krewnych, którzy mogliby to zaskarżyć?

– Dowiemy się, kiedy testament przejdzie przez proces uwierzytelnienia, ale Howard twierdził, że nie ma.

– Czy ja… czy ja mogę tam wchodzić? – spytałem. – Zostawiłem u pana Bowditcha trochę rzeczy. Głównie ubrania, ale też… hm… – Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłem jeszcze mieć na Jaworowej 1. Myślałem jedynie o tym, co pan Bowditch zrobił któregoś wrześniowego dnia, gdy byłem w szkole. Być może zmienił bieg mojego życia, kiedy pisałem sprawdzian z historii albo grałem w kosza na wuefie. Nie myślałem

w tym momencie o złocie ani o szopie, ani o broni czy kasecie. Próbowałem tylko oswoić się z faktem, że jestem teraz (albo wkrótce będę) właścicielem szczytu wzgórza przy ulicy Jaworowej. I dlaczego? Tylko dlatego, że w pewne chłodne kwietniowe popołudnie usłyszałem Radar wyjącą na podwórzu posesji, którą dzieciaki nazywały Domem z *Psychozy*.

Tymczasem prawnik nadal coś do mnie mówił. Musiałem go poprosić, by powtórzył.

– Powiedziałem, że oczywiście możesz tam wchodzić. W końcu to twoja własność, wszystko, co tam znajdziesz. A przynajmniej będzie twoją własnością, kiedy testament zostanie zatwierdzony.

Schował papiery do teczki, a tę do aktówki, zamknął ją i wstał. Wyjął z kieszeni wizytówkę i podał mojemu tacie. Potem, być może przypomniawszy sobie, że to nie tata jest spadkobiercą posiadłości wartej sześciocyfrową sumę (wysoką sześciocyfrową sumę), dał drugą wizytówkę mnie.

– Proszę dzwonić, jeśli pojawią się jakieś pytania, i pozostaniemy w kontakcie. Poproszę, by przyspieszono proces zatwierdzenia, ale tak czy inaczej, może to potrwać pół roku. Gratulacje, młody człowieku.

Ojciec i ja pożegnaliśmy go uściskiem dłoni i patrzyliśmy, jak wsiada do lincolna. Tata rzadko przeklina (w odróżnieniu od pana Bowditcha, który zwykle do prośby „Podaj mi sól” dorzucał jeszcze „cholerną”), ale kiedy siedzieliśmy na ławce, wciąż zbyt oszołomieni, by wstać, zrobił wyjątek.

– Ja pierdolę.

– Właśnie – zgodziłem się.

# 9

Gdy wróciliśmy do domu, tata przyniósł z lodówki dwie cole. Stuknęliśmy się puszkami.

– Jak się czujesz, Charlie?

– Nie wiem. Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

– Myślisz, że ma coś jeszcze w banku czy wydał wszystko na szpital?

– Nie wiem.

Choć wiedziałem. W Pierwszym Obywatelskim nie zostawił dużo, może parę tysięcy dolarów, ale miał wiadro złota w domu i być może jeszcze więcej w szopie. Razem z tym, co się tam jeszcze kryło.

– To nieważne. – Ojciec machnął ręką. – Ta posiadłość to czyste złoto.

– Złoto, zgadza się.

– Jeśli wszystko się potwierdzi, nie będziesz się musiał martwić o opłaty za studia. – Wydał z siebie długie westchnienie, wydymając usta. – Czuję się tak, jakby ktoś zdjął mi właśnie z pleców pięćdziesięciokilogramowy ciężar.

– Zakładając, że sprzedamy tę posiadłość – dodałem.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Chcesz powiedzieć, że wolałbyś ją zatrzymać? Zostać Normanem Batesem i mieszać w Domu z *Psychozy*?

– Teraz to już nie wygląda jak Nawiedzony Dwór, tata.

– Wiem. Wiem. Naprawdę odpicowałeś ten dom.

– Sporo jeszcze trzeba zrobić. Myślałem, że przed zimą go pomaluję.

Wciąż patrzył na mnie tym dziwnym wzrokiem – przechylając głowę i unosząc lekko brwi.

– To działka jest warta grube pieniądze, Chip, a nie dom.

Chciałem się z nim spierać – sama myśl o wyburzeniu domu przy Jaworowej 1 budziła we mnie grozę, nie tylko ze względu na ukryte w nim tajemnice, ale też dlatego, że wciąż było tam tyle rzeczy, które przypominały mi o panu Bowditchu – lecz nie zrobiłem tego. Uznałem, że nie ma sensu, bo nie miałem pieniędzy na pomalowanie całego domu, przynajmniej dopóki testament nie zostanie zatwierdzony i dopóki nie dowiem się, jak wymienić złoto na gotówkę. Dokończyłem colę.

– Chcę tam pójść i zabrać swoje ubrania. Radar może zostać z tobą?

– Jasne. Rozumiem, że teraz będzie u nas już na stałe, prawda? Przynajmniej dopóki… – Nie dokończył, wzruszył jedynie ramionami.

– Jasne – odparłem. – Dopóki.

## 10

Od razu rzuciło mi się w oczy, że bramka jest otwarta. Wydawało mi się, że ją zamykałem, ale nie miałem pewności. Przeszedłem za dom, zacząłem wchodzić na schody i zatrzymałem się na drugim stopniu. Drzwi kuchni były otwarte, a wiedziałem, że je zamknąłem. Na klucz. Wszedłem na werandę i przekonałem się, że rzeczywiście musiałem je zamknąć na klucz, bo z zamka na wszystkie strony wystawały drzazgi; został częściowo wyrwany z futryny. Nie zastanawiałem się, czy ktoś, kto go wyłamał, nadal może być w domu; po raz drugi tego dnia byłem zbyt oszołomiony, by pozbierać myśli. Jeśli dobrze pamiętam, pomyślałem jedynie, że zrobiłem

mądrze, zostawiając Radar w domu. Była zbyt stara i krucha na kolejne emocje.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

## Pobojowisko. Pani Richland. Złodzieje pogrzebowi. Opowieść z taśmy. W szopie. Opowieści z taśmy ciąg dalszy.

### 1

Wszystkie szafki kuchenne były otwarte, naczynia walały się na pokrytej linoleum podłodze. Kuchenka została odsunięta od ściany, drzwi piekarnika stały otworem. Zawartość pojemników – CUKIER, MĄKA, KAWA, CIASTKA – wysypano na blat, ale z tego, który kiedyś zawierał pieniądze, nie wypadło nic prócz mąki. Pierwsza spójna myśl, która przyszła mi wtedy do głowy, brzmiała: Skurwiel nic nie znalazł. Przełożyłem gotówkę (i złote śruciny) do sejfu już kilka tygodni temu. Kanapę, która znów spełniała swoją pierwotną funkcję, bo pan Bowditch już nie potrzebował miejsca do spania na parterze, przewrócono, a poduchy pocięto. Podobny los spotkał fotel. Wypełnienie mebli było wszędzie.

Piętro wyglądało jeszcze gorzej. Nie musiałem otwierać komody, żeby wyjąć swoje ubrania, ponieważ wszystkie i tak leżały rozrzucone po pokoju, z którego korzystałem. Moje poduszki pocięto, podobnie jak materac. W taki sam sposób potraktowano poduszki i materac w głównej sypialni, tyle że tu również pocięto tapetę, tak że jej długie zwisające pasma

sięgały do podłogi. Drzwi szafy były otwarte na całą szerokość, a że ubrania z niej wyrzucono (kieszenie spodni wywrócono na drugą stronę), nic już nie przesłaniało sejfu. Przy klamce widniały długie rysy, jeszcze więcej zarysowań oplatało pokrętło zamka szyfrowego, sejf oparł się jednak próbom włamania. Na wszelki wypadek wykręciłem odpowiednią kombinację i otworzyłem go. Wszystko było na swoim miejscu. Zamknąłem sejf, obróciłem pokrętłem i zszedłem na parter. Tam, siedząc na kanapie, na której do niedawna spał pan Bowditch, po raz trzeci tego roku wybrałem 911. Potem zadzwoniłem do taty.

## 2

Uświadomiłem sobie, że jeśli mam nadal kłamać i nie pozwolić, by moje kłamstwa wyszły na jaw, to przed przyjazdem taty muszę zrobić jeszcze jedną rzecz, a już na pewno, nim zjawi się policja. Zająłem się tym, a potem wyszedłem na zewnątrz i czekałem. Ojciec wjechał na wzgórze i zaparkował przy krawężniku. Nie przywiózł ze sobą Radar, co mnie ucieszyło: miała za sobą bardzo trudne chwile, a widok splądrowanego domu jeszcze bardziej by ją rozstroił.

Tata przeszedł przez pomieszczenia na parterze, oglądając zniszczenia. Ja zostałem w kuchni; zbierałem z podłogi i odkładałem na miejsce naczynia. Gdy wrócił, pomógł mi wsunąć kuchenkę pod ścianę.

– Boże drogi, Charlie. Co o tym myślisz?

Odparłem, że nie mam pojęcia, choć w rzeczywistości domyślałem się prawdy. Nie wiedziałem tylko, kto był sprawcą.

– Poczekasz tu na policję? – poprosiłem go. – Pójdę na moment na drugą stronę ulicy. Pani Richland już wróciła, widziałem jej samochód. Chciałbym z nią porozmawiać.

– Z tą wścibską?

– Właśnie z nią.

– Nie powinieneś zostawić tego gliniarzom?

– Jeśli coś widziała, to powiem im, żeby z nią porozmawiali.

– Mało prawdopodobne, przecież była z nami na pogrzebie.

– Mimo to chcę z nią pogadać. Może widziała coś wcześniej.

– Kogoś, kto przeprowadzał rozpoznanie?

– Może.

Nie musiałem pukać do jej drzwi; dyżurowała na swoim ulubionym posterunku na końcu podjazdu.

– Cześć, Charlie. Wszystko w porządku? Twój ojciec wyraźnie się spieszył. A gdzie pies?

– W naszym domu. Proszę pani, ktoś się włamał, gdy byliśmy na pogrzebie. Przewrócił cały dom pana Bowditcha do góry nogami.

– O mój Boże, naprawdę? – Przyłożyła dłoń do piersi.

– Widziała pani tu kogoś ostatnimi czasy? W ciągu ostatnich kilku dni? Kogoś, kto wcześniej się tu nie pojawiał?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Boże, chyba nie – odparła w końcu. – Ci sami kurierzy co zwykle… wiesz, Federal Express, UPS, człowiek, który pielęgnuje trawniki u Houtonsów… to musi nieźle kosztować… listonosz w tej swojej małej furgonetce… Jak poważne są zniszczenia? Coś zginęło?

– Jeszcze nie wiem. Być może policja będzie chciała…

– …porozmawiać ze mną? Oczywiście! Bardzo chętnie! Ale jeśli to się stało w czasie, gdy byliśmy na pogrzebie…

– Tak, wiem. Dziękuję, tak czy inaczej – powiedziałem, odwracając się.

– Chwileczkę… Był tu taki dziwny człowieczek, który sprzedawał prenumeraty czasopism – przypomniała sobie nagle. – Ale to było przed śmiercią pan Bowditcha.

Odwróciłem się do niej ponownie.

– Naprawdę?

– Tak. Pewnie byłeś wtedy w szkole. Miał taką torbę na ramię, jaką dawniej nosili listonosze, a na niej nalepkę z napisem USŁUGI PRENUMERATORSKIE… czy jakoś tak. W torbie były egzemplarze „Timesa”, „Newsweeka”, „Vogue’a” i kilku innych. Powiedziałam mu, że nie potrzebuję żadnych czasopism, że czytam wszystko online. To znacznie wygodniejsze, prawda? I bardziej ekologiczne, nie marnuje się tyle papieru, który potem trafia na wysypiska.

Nie interesowały mnie ekologiczne zalety czytania online i wady tradycyjnej prasy.

– Zaglądał też do innych domów przy tej ulicy? – Czułem, że jeśli ktokolwiek zna odpowiedź na to pytanie, to właśnie ona.

– Tak, chyba do wielu innych. Zdaje się, że poszedł też do pana Bowditcha, ale staruszek mu nie otworzył. Pewnie źle się czuł. Albo… On nie przepadał za gośćmi, prawda? Tak się cieszę, że się z nim zaprzyjaźniłeś. I tak mi smutno, że odszedł. Kiedy umierają zwierzęta, ludzie mówią, że odeszły za Tęczowy Most. Podoba mi się to określenie, a tobie?

– Tak, jest bardzo ładne. – Nie cierpiałem go.

– Jego pies pewnie też niedługo odejdzie za Tęczowy Most, biedactwo okropnie schudło i ma całkiem siwy pysk. Zabierzesz go do siebie?

– Radar? Jasne. – Nie chciało mi się wyjaśniać, że to suczka. – Jak wyglądał ten sprzedawca czasopism?

– Och, po prostu taki zabawny mały człowieczek, który dziwnie chodził i dziwnie mówił. Kiedy szedł, jakby trochę podskakiwał, prawie jak dziecko, a kiedy mu powiedziałam, że nie chcę żadnych czasopism, odpowiedział „right-o”, jakby był z Anglii. Ale poza tym mówił jak Amerykanin, jak ty czy ja. Myślisz, że to on się włamał? Bo wcale nie wyglądał groźnie. Po prostu zabawny mały człowieczek, który dziwnie chodził i dziwnie mówił. I często powtarzał „ha-ha”.

– „Ha-ha”?

– Tak. Nie śmiał się, tylko mówił „ha-ha”… „Siedemdziesiąt procent taniej niż w kiosku, proszę pani, ha-ha”. I był mały jak na mężczyznę. Mojego wzrostu. Myślisz, że to on?

– Raczej nie – odparłem.

– Pamiętam też, że nosił sztruksy i czapkę White Soxów. Z czerwonym kółkiem z przodu.

## 3

Chciałem zabrać się do generalnych porządków, ale tata uważał, że powinniśmy poczekać na policję.

– Pewnie będą chcieli udokumentować wygląd miejsca przestępstwa.

Przyjechali jakieś dziesięć minut później, radiowozem i nieoznakowanym sedanem. Facet prowadzący sedana miał siwe włosy i spory brzuszek. Przedstawił się jako detektyw Gleason, a swoich

mundurowych towarzyszy jako funkcjonariuszy Witmarka i Coopera. Witmark miał kamerę, a Cooper małą walizeczkę, prawie jak pojemnik na lunch, w której nosił pewnie sprzęt do badania miejsca przestępstwa.

Detektyw Gleason oglądał wnętrze domu z widocznym brakiem zainteresowania, co jakiś czas wymachując połami kraciastej marynarki jak skrzydłami i podciągając spodnie. Przypuszczałem, że jeszcze rok, najwyżej dwa lata, a dostanie złoty zegarek albo wędkę na pożegnalnej imprezie przed emeryturą. Na razie jednak wciąż dzielnie pełnił służbę.

Kazał Witmarkowi sfilmować salon i wysłał Coopera na górę. Zadał nam kilka pytań (kierując je wszystkie do taty, choć to ja odkryłem, że doszło do włamania) i zapisał odpowiedzi w małym notesie. Potem zamknął go z trzaskiem, wcisnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podciągnął spodnie.

– Złodzieje pogrzebowi. Widziałem to już setki razy.

– A kto to taki? – spytałem. Zerknąłem na tatę i zrozumia- łem, że on już wie. Może od momentu, gdy wszedł do domu i rozejrzał się.

– Kiedy pojawił się w gazecie jego nekrolog? – spytał detektyw.

– Chyba wczoraj – odpowiedziałem. – Fizjoterapeutka pana Bowditcha od razu wzięła formularz z gazety, a ja pomogłem jej go wypełnić.

Gleason skinął głową.

– Tak jest, widziałem to już setki razy – powtórzył. – Te hieny przeglądają gazety i sprawdzają, kiedy odbędzie się pogrzeb, a dom będzie pusty. Włamują się i zabierają to, co wygląda na wartościowe. Powinniście przejrzeć to wszystko, przygotować listę zaginionych rzeczy i przynieść ją na komendę.

– A co z odciskami palców?

Detektyw (używam tego określenia z pewnym wahaniem) wzruszył ramionami.

– Na pewno mieli rękawiczki. Teraz wszyscy oglądają seriale o gliniarzach, zwłaszcza przestępcy. W takich sprawach zwykle nie…

– Poruczniku! – zawołał Cooper z pierwszego piętra. – Mamy sejf w głównej sypialni.

– Ha, to jest jakiś konkret – odparł Gleason.

Ruszył w górę schodów, a my za nim. Szedł powoli, po części podciągając się na poręczy, i nim dotarł na górę, dyszał i sapał. Podciągnął spodnie i przeszedł do sypialni pana Bowditcha. Pochylił się i obejrzał sejf.

– Hm… Ktoś próbował, ale mu się nie udało.

Mogłem mu to powiedzieć na dole.

Witmark – który najwyraźniej pełnił funkcję operatora filmowego dochodzeniówki – wszedł do sypialni i zaczął filmować.

– Mam to sprawdzić, poruczniku? – spytał Cooper, który już otwierał swoje „pudełko na lunch”.

– Może nam się tu poszczęści – zwrócił się do nas detektyw. – Facet mógł zdjąć rękawiczkę, żeby spróbować wykręcić szyfr, kiedy zobaczył, że siłą tego nie otworzy.

Cooper naniósł na drzwiczki sejfu warstwę czarnego proszku. Niektóre drobiny przywarły do metalu, większość opadła jednak na podłogę. Kolejna rzecz, którą będę musiał posprzątać. Spojrzał na swoje dzieło, a potem odsunął się na bok, robiąc miejsce Gleasonowi.

– Wytarte do czysta – stwierdził detektyw, wyprostował się i wyjątkowo energicznie podciągnął spodnie. Oczywiście, że sejf był wytarty: zająłem się tym osobiście, kiedy już zadzwoniłem pod 911. Być może włamywacz rzeczywiście zostawił tam odciski, ale musiałem je wytrzeć, bo były tam również te, które sam pozostawiłem. – Pewnie nie znacie szyfru, co? – Te słowa również były skierowane do mojego ojca.

– Nigdy jeszcze nie byłem w tym pokoju – odpowiedział tata. – Spytajcie Charliego. To on był opiekunem zmarłego.

Opiekun. Właściwie to określenie odpowiadało rzeczywistości, ale wydawało mi się dziwne. Pewnie dlatego, że zawsze się go używa w odniesieniu do dorosłych.

– Nie mam pojęcia – odparłem.

– Hm… – Gleason pochylił się ponownie nad sejfem, ale tylko na moment, jakby stracił zainteresowanie. – Ktoś, kto odziedziczy ten bajzel, będzie musiał sprowadzić tu ślusarza. A jeśli ślusarz nie da rady, to jakiegoś kasiarza, który umie się posługiwać nitrogliceryną. Znam paru, siedzą w więzieniu stanowym w Stateville. – Roześmiał się. – Pewnie i tak nie ma tam nic cennego, jakieś stare papiery i może spinki do mankietów. Pamiętacie, jak wszyscy się podniecali sejfem Ala Capone? Geraldo Rivera miał się z pyszna, kiedy w jego programie pokazywali na żywo, jak przez dwie godziny otwierali ten sejf. No dobra. Pojedziemy na komendę, żeby spisać zeznania, panie Reade.

Znów zwracał się do mojego ojca. Czasami doskonale rozumiem, dlaczego kobiety się wkurzają.

## 4

Spędziłem tę noc w naszym małym pokoju gościnnym na parterze. Kiedyś mama miała tu swoje biuro domowe i pracownię krawiecką, a po jej śmierci tata nie zmieniał tu niczego, dopóki pił, jakby chciał zrobić z tego muzeum. Mniej więcej po sześciu miesiącach trzeźwienia przerobił to pomieszczenie

na pokój gościnny (z moją pomocą). Czasami sypiał tu Lindy, kilka razy gościliśmy też trzeźwiejących od niedawna facetów, z którymi pracował tata, bo właśnie na tym polega działalność AA. Postanowiłem tu spać po pogrzebie pana Bowditcha i włamaniu do jego domu, żeby Radar nie musiała wspinać się na schody. Rozłożyłem jej kocyk i od razu zasnęła, zwinięta w kłębek. Ja nie spałem jeszcze przez dłuższy czas, bo łóżko było za krótkie na faceta mierzącego sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry, ale także dlatego, że miałem wiele spraw do przemyślenia.

Nim zgasiłem światło, wygooglowałem hasło *Usługi Prenumeratorskie*. Znalazłem firmę o takim profilu, ale nazywała się Obsługa Prenumeratorska. Oczywiście te nazwy były bardzo zbliżone i pani Richland mogła się pomylić, ale firma wyszukana w Google'u działała tylko online. Żadnych domokrążców. Zastanawiałem się, czy facet rzeczywiście nie był złodziejem pogrzebowym, który przeprowadzał rozpoznanie w tej okolicy… Tyle że nie miało to większego sensu, bo zjawił się na ulicy Jaworowej, z torbą wypełnioną egzemplarzami gazet, przed śmiercią pana Bowditcha.

Przypuszczałem, że sprzedawcą czasopism był człowiek, który zabił pana Heinricha. A swoją drogą, jak właściwie zginął jubiler? W gazecie tego nie napisano. Czy można wykluczyć, że drobny mężczyzna, który mówił „right-o" i „ha-ha", najpierw go torturował? By wydobyć od niego nazwisko człowieka ze złotym skarbem?

Przewróciłem się z prawego boku na lewy. Wysunąłem przy tym stopy za łóżko, więc musiałem ponownie przykryć je kocem.

A może tortury wcale nie były potrzebne. Może pan Right-O powiedział Heinrichowi, że jeśli poda mu nazwisko, przeżyje?

Obróciłem się z lewego boku na prawy. Znów poprawiłem koc. Radar podniosła łeb, sapnęła i ponownie zasnęła.

Kolejne pytanie: Czy detektyw Gleason rozmawiał z panią Richland? Jeśli tak, to czy doszedł do wniosku, że dom pana Bowditcha namierzono jeszcze przed jego śmiercią? A może pomyślał, że ten drobny facet szukał w okolicy jakiegoś łatwego celu? Mógł też uznać, że to był zwykły domokrążca. Jeśli w ogóle chciało mu się o to pytać.

Pytanie za sto punktów: Jeśli pan Right-O Ha-Ha wciąż szukał złota, to czy wróci?

Z prawego na lewy. Z lewego na prawy. Poprawić koc.

W pewnym momencie pomyślałem, że im szybciej przesłucham taśmę pana Bowditcha, tym lepiej, a potem w końcu zasnąłem. Śniło mi się, że dusi mnie drobny mężczyzna, który dziwnie chodzi, a gdy obudziłem się rano, koc i prześcieradło oplatały mi szyję.

# 5

W piątek poszedłem do szkoły, żeby pani Silvius nie zapomniała, jak wyglądam, ale w sobotę powiedziałem tacie, że pójdę na Jaworową 1 i zabiorę się do sprzątania. Zaproponował, że mi pomoże.

– Nie, dziękuję. Zostań tu z Radar. Odpręż się, korzystaj z wolnego dnia.

– Jesteś pewien? To miejsce na pewno przywoła wiele wspomnień.

– Jestem pewien.

– Dobrze, ale zadzwoń, jeśli zacznie cię to dołować. Albo przerażać.

– Tak zrobię.

– Szkoda, że nie zdradził ci szyfru do tego sejfu. Naprawdę będziemy musieli zatrudnić kogoś, żeby to otworzył, i sprawdzić, co jest w środku. Popytam w pracy w przyszłym tygodniu. Ktoś na pewno zna jakiegoś kasiarza. Takiego, który nie siedzi w więzieniu.

– Naprawdę?

– Rzeczoznawcy ubezpieczeniowi znają ludzi z wielu różnych środowisk, Charlie. Ale Gleason prawdopodobnie ma rację: znajdziemy tam pewnie tylko stare deklaracje podatkowe… jeśli Bowditch w ogóle wypełniał takie dokumenty, w co szczerze wątpię… i spinki do mankietów. Ale może będzie też coś, co nam wyjaśni, kim właściwie był.

– Cóż. – Westchnąłem, myśląc o broni i magnetofonie. – Tego się trzymajmy. Nie dawaj Radar za dużo przysmaków.

– Przynieś jej lekarstwa.

– Już to zrobiłem – odparłem. – Są na blacie w kuchni.

– Brawo, dzieciaku. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował. Przybiegnę co tchu.

Dobry facet z tego mojego taty. Zwłaszcza odkąd wytrzeźwiał. Już to mówiłem, ale takie rzeczy warto powtarzać.

# 6

Między sztachety płotu przed domem wpleciono żółtą taśmę z napisem DOCHODZENIE POLICYJNE. Dochodzenie (o ile można to tak nazwać) zakończyło się w momencie, gdy Gleason i dwaj mundurowi wyszli

z domu, ale pomyślałem, że dopóki nie wezwiemy kogoś do naprawy zamka w drzwiach, lepiej zostawić tę taśmę.

Przeszedłem za dom, nim jednak wszedłem do środka, zbliżyłem się powoli do szopy i stanąłem przed drzwiami. Z wnętrza nie dochodziły żadne dźwięki – żadne drapanie, głuche uderzenia czy świergotanie. Jasne, że nic nie słychać, pomyślałem. Przecież zabił to coś, co wydawało te odgłosy. Dwa strzały, bum, bum, i po krzyku. Wyjąłem pęk kluczy i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie odszukać tego właściwego, włożyłem je jednak z powrotem do kieszeni. Najpierw odsłucham taśmę. Jeśli okaże się, że pan Bowditch, nafaszerowany oksykodonem, nagrał tam swoje wykonania starych przebojów w rodzaju *Home on the Range* czy *A Bicycle Built for Two*, to staruszek tylko uśmieje się ze mnie zza grobu. Tyle że nie bardzo w to wierzyłem. „Wszystko inne, czego potrzebujesz, też jest pod kanapą”, powiedział, a magnetofon był pod kanapą.

Otworzyłem sejf i wyjąłem go – zwykły stary czarny magnetofon, nie tak staroświecki jak telewizor, ale na pewno nie nowy; technika poszła do przodu. Zszedłem do kuchni, położyłem urządzenie na stole i wcisnąłem odtwarzanie. Nic. Tylko syk taśmy przesuwającej się po głowicach. Zacząłem już podejrzewać, że to jednak jakaś ściema – coś jak sejf Ala Capone, o którym wspomniał Gleason – a potem zrozumiałem, że pan Bowditch po prostu nie przewinął taśmy. Najprawdopodobniej dlatego, że właśnie nagrywał, gdy dopadł go atak serca. Ta myśl trochę mnie przeraziła. „Kurwa, jak to boli – mówił. – Jakby ktoś wbijał ci rozżarzony pręt”.

Wcisnąłem przewijanie do tyłu. Taśma kręciła się przez długi czas. Gdy w końcu zatrzymała się z cichym kliknięciem, ponownie wcisnąłem odtwarzanie. Najpierw było kilka sekund ciszy, a potem rozległ się głuchy

trzask i chrapliwy oddech, który doskonale znałem. Pan Bowditch zaczął mówić.

Jak już wspomniałem, jestem pewien, że potrafię opowiedzieć tę historię, ale jestem też pewien, że nikt w nią nie uwierzy. Tu właśnie zaczyna się ta część, w którą nie uwierzycie.

# 7

*Czy twój ojciec mnie sprawdził, Charlie? Założę się, że tak, ja na jego miejscu na pewno bym to zrobił. I założę się, że ze względu na swoją pracę miał odpowiednie środki, żeby to zrobić. Więc jeśli mnie sprawdził, to dowiedział się, że niejaki Adrian Bowditch – może mój ojciec, pomyślał pewnie, choć raczej dziadek – kupił ziemię, na której stoi ten dom, w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Ale to nie był ani mój ojciec, ani dziadek. To byłem ja. Urodziłem się jako Adrian Howard Bowditch w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Co oznacza, że teraz mam około stu dwudziestu lat. Budowę domu ukończono w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku. A może w dwudziestym trzecim, nie pamiętam już dobrze. No i szopa, oczywiście, nie wolno nam zapominać o szopie. Była tu, jeszcze zanim stanął dom, i zbudowałem ją własnymi rękami.*

*Howard Bowditch, jakiego znasz, to facet, który woli się trzymać na uboczu… on i jego pies… nie wolno nam zapominać o Radar. Tymczasem Adrian Bowditch, mój rzekomy ojciec, był prawdziwym wędrowcem. Dom przy Jaworowej jeden w Sentry's Rest był jego bazą, ale Adrian zaglądał tu tylko co jakiś czas. Po każdym powrocie do Sentry widziałem zmiany, jakie*

*zaszły od mojej ostatniej wizyty, oglądałem je niczym serię zdjęć. To było fascynujące, ale i trochę przygnębiające. Wydawało mi się, że mnóstwo spraw w Ameryce zmierza w niewłaściwym kierunku, i nadal mi się tak wydaje, lecz to nie jest czas na takie rozważania.*

*Po raz ostatni wróciłem tu jako Adrian Bowditch w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, gdy miałem siedemdziesiąt osiem lat, zatrudniłem dozorcę, niejakiego Johna McKeena – wspaniały starszy człowiek, solidny, znajdziesz go w miejskich dokumentach, jeśli zechcesz – a sam wyruszyłem w moją ostatnią podróż, rzekomo do Egiptu. Ale wcale nie tam się udałem, Charlie. Trzy lata później, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, wróciłem jako swój syn, Howard Bowditch, lat czterdzieści. Howard teoretycznie spędził większość życia za granicą, z matką, która żyła w separacji z mężem. Zawsze podobał mi się ten szczegół. Separacja w jakimś sensie wydaje się realniejsza niż rozwód czy śmierć. Poza tym to cudowne, smakowite słowo. Kiedy Adrian Bowditch rzekomo zmarł w Egipcie, przejąłem rodzinną rezydencję i postanowiłem zostać tu na stałe. Kwestia własności nie budziła żadnych zastrzeżeń. Sam zapisałem sobie tę posesję. Dobre, co?*

*Zanim opowiem ci resztę, poproszę, żebyś zatrzymał taśmę i poszedł do szopy. Możesz ją otworzyć: masz moje klucze. Przynajmniej na to liczę. Nie ma tam nic, co mogłoby ci zrobić krzywdę, zsunąłem z powrotem deski i przyłożyłem je pustakami. Chryste, jakie one były ciężkie! Ale weź mój rewolwer, jeśli chcesz. Zabierz też latarkę, tę z szafki w kuchni. W szopie jest światło, mimo to latarka ci się przyda. Sam się przekonasz dlaczego. Obejrzyj, co jest tam do obejrzenia. Ten, którego słyszałeś wcześniej, w większości już zniknął, może nawet całkiem, ale szczątki tego, którego zastrzeliłem, wciąż tam będą. Przynajmniej w większości. Kiedy już*

*załatwisz shufti, jak mawiali Brytyjczycy, wróć i wysłuchaj reszty. Zrób to. Zaufaj mi, Charlie. Liczę na ciebie.*

# 8

Wcisnąłem STOP i przez chwilę siedziałem w bezruchu. Zwariował, to pewne, choć nigdy nie wyglądał na wariata. Zachował przytomność umysłu do samego końca, gdy zadzwonił do mnie, by powiedzieć, że ma zawał. W tej szopie coś było, to prawda – przynajmniej kiedyś – temu nie dało się zaprzeczyć. Słyszałem to, słyszała to Radar, a pan Bowditch wszedł do środka i zastrzelił to coś. Ale sto dwadzieścia lat? Naprawdę bardzo niewiele osób dożywa takiego wieku, może jedna na dziesięć milionów, i nikt nie wraca do domu o czterdzieści lat młodszy, udając własnego syna. Takie rzeczy zdarzają się tylko w baśniach.

– Baśnie – powtórzyłem głośno i byłem tak spięty, tak wystraszony, że podskoczyłem na dźwięk własnego głosu.

„Zaufaj mi, Charlie. Liczę na ciebie”.

Wstałem, ogarnięty przedziwnym uczuciem, niemal jakbym znalazł się poza samym sobą. Nie wiem, jak inaczej to opisać. Wszedłem na górę, otworzyłem sejf i zabrałem czterdziestkępiątkę. Wciąż tkwiła w kaburze, a kabura nadal była przymocowana do nabijanego ćwiekami pasa. Zapiąłem go na biodrach i zawiązałem rzemyki mocujące kaburę do nogi. Z jednej strony czułem się absurdalnie, jak dzieciak, który bawi się w kowboja, z drugiej jednak ciężar rewolweru i świadomość, że jest naładowany, dodawały mi otuchy.

Latarka była naprawdę przyzwoita, ciężka i długa, zasilana pięcioma bateriami R20. Włączyłem ją na moment, by sprawdzić, czy działa, a potem opuściłem dom i przeszedłem przez trawnik do szopy. Niedługo znów trzeba go będzie skosić, pomyślałem. Serce biło mi wyjątkowo mocno i szybko. To nie był szczególnie ciepły dzień, ale czułem, jak strużki potu spływają mi po policzkach i szyi.

Wyjąłem z kieszeni pęk kluczy i upuściłem go. Pochyliłem się, by go podnieść, i uderzyłem głową w drzwi. Uchwyciłem mocno breloczek i zacząłem przeglądać klucze. Jeden z nich miał okrągłą główkę, na której wygrawerowano kursywą napis *Studebaker*. Wiedziałem już, jak wyglądają klucze od tylnych i frontowych drzwi. Kolejny był wyjątkowo mały, może otwierał skrzynkę pocztową, a może nawet skrytkę w banku. W końcu natrafiłem na klucz yale pasujący do dużej srebrnej kłódki na drzwiach szopy. Wsunąłem go do dziurki, a potem uderzyłem pięścią w drzwi.

– Hej! – zawołałem… ale niezbyt głośno. Nie chciałem, by usłyszała to pani Richland. – Hej, jeśli tam jesteś, to się cofnij! Mam broń!

Nie usłyszałem niczego, ale wciąż stałem bez ruchu, z latarką w dłoni, sparaliżowany strachem. Przed czym? Przed nieznanym, które jest czymś najbardziej przerażającym na świecie.

„Wóz albo przewóz, Charlie”, powiedziałby pewnie pan Bowditch.

Zmusiłem się do przekręcenia klucza i pałąk wyskoczył z zamka. Wysunąłem go do końca, zdjąłem wrzeciądz ze skobla i powiesiłem na nim kłódkę. Wiatr zmierzwił mi włosy. Gdy otwierałem drzwi, skrzypnęły zawiasy. W środku było ciemno. Wydawało się, że światło z zewnętrznego świata nie przenika do wnętrza szopy. Pan Bowditch mówił, że są tu jakieś lampy, ale z pewnością nie dochodził tu żaden kabel. Oświetliłem latarką ścianę na prawo od drzwi i zobaczyłem przełącznik. Kiedy przesunąłem go w górę, zapłonęły dwie umieszczone wysoko po obu stronach szopy lampy

na baterie. Przypominały światła awaryjne, jakie zapalają się w szkole czy teatrze, gdy zabraknie prądu. Wydawały z siebie ciche buczenie.

Podłogę pokrywały deski. W kącie naprzeciwko drzwi, po lewej, ułożono dodatkową warstwę z trzech desek, przygniecionych na końcach pustakami. Przesunąłem promień latarki na prawo i zobaczyłem coś tak obrzydliwego i nieoczekiwanego, że przez chwilę nie mogłem tego pojąć. Chciałem się odwrócić i rzucić do ucieczki, lecz nie byłem w stanie się ruszyć. Jakaś część mojego umysłu pomyślała (na tyle, na ile jakakolwiek część mojego umysłu mogła myśleć przez tych kilka pierwszych sekund), że to makabryczny żart, rekwizyt z horroru, wykonany z lateksu i drutu. Dostrzegłem maleńki krąg światła w miejscu, gdzie jedna z kul przebiła ścianę po tym, jak trafiła w stworzenie, na które właśnie patrzyłem.

Był to jakiś robal, niemal tak duży jak dorosły kot. Martwy, a jego liczne odnóża sterczały do góry. Zginały się lekko w środku, jak kolana, i wyrastały z nich grube włosy. Czarne oko patrzyło martwym wzrokiem w przestrzeń. Jeden z pocisków pana Bowditcha trafił tę ohydę w brzuch; blade wnętrzności leżały teraz dokoła rozerwanego tułowia niczym jakiś dziwaczny budyń. Z rozrzuconych trzewi wypływała delikatna mgiełka, a gdy kolejny podmuch wiatru przemknął obok mnie i wpadł do wnętrza (wciąż stałem nieruchomo w drzwiach, z dłonią jakby przyspawaną do włącznika światła), podobna mgiełka zaczęła się wydobywać z głowy stworzenia i z tych miejsc na grzbiecie, których nie okrywał pancerz. Wytrzeszczone ślepie wpadło do wnętrza ciała, pozostawiając po sobie pusty oczodół, który jakby wpatrywał się we mnie. Wydałem z siebie słaby krzyk, przekonany, że potwór ożywa. Myliłem się. Był martwy jak kamień. Rozkładał się, a świeże powietrze przyspieszało ten proces.

Przemogłem się wreszcie i wszedłem do środka, trzymając latarkę w lewej ręce i oświetlając nią martwego stwora. W prawej trzymałem

rewolwer. Nawet nie pamiętam, kiedy wyciągnąłem go z kabury.

„Kiedy już załatwisz shufti, jak mawiali Brytyjczycy”.

Domyślałem się, że znaczy to mniej więcej tyle, co „kiedy już rzucisz okiem”. Wcale nie chciałem odsuwać się od drzwi, lecz zmusiłem się do tego. Zrobiła to ta odważniejsza – zewnętrzna – część mnie, która zamierzała „załatwić shufti”. Ta druga, wewnętrzna, właściwie tylko bełkotała coś z przerażenia, zdumienia i niedowierzania. Ruszyłem w stronę desek przyłożonych pustakami. Po drodze trąciłem coś stopą, a gdy to oświetliłem, z moich ust wyrwał się okrzyk obrzydzenia. Była to noga robala, czy raczej jej resztki; rozpoznałem ją po włosach i „zgiętym kolanie”. Nie kopnąłem jej mocno, ale złamała się na pół, choć miałem na nogach buty sportowe. Pomyślałem, że to część robala, którego słyszałem znacznie wcześniej. Zdechł tutaj i tyle z niego zostało.

Wyobraźnia podsunęła mi nieoczekiwanie obraz taty, który podaje mi kawałek pieczonego kurczaka, mówiąc: „Hej, Charlie, zjedz nóżkę! Najlepsza w okolicy!”.

Zacząłem się dławić; zakryłem usta nasadą dłoni i fala nudności ustąpiła. Gdyby martwy robal cuchnął, na pewno bym nie wytrzymał, lecz właściwie nie wydzielał żadnego zapachu; być może dlatego, że minął już ten etap procesu rozkładu.

Deski i pustaki zakrywały otwór w podłodze, szeroki na jakieś półtora metra. Najpierw pomyślałem, że to studnia pozostała z czasów, gdy w mieście nie było wodociągów, ale gdy skierowałem światło latarki w szparę między dwiema deskami, zobaczyłem kamienne schody wiodące spiralnie w głąb szybu. Z ciemności dobiegały szelesty i świergotanie. Dostrzegłem też jakiś ruch i zamarłem. Kolejne robale… wcale nie martwe. Uciekały przed światłem, a ja nagle zrozumiałem, czym są: karaluchami.

Były niewyobrażalnie wielkie, ale zachowywały się tak jak wszystkie karaluchy, gdy się je oświetli: uciekały co sił w nogach.

Pan Bowditch zakrył kiedyś tę dziurę prowadzącą Bóg jeden wie dokąd (albo do czego), lecz albo zrobił to kiepsko – co było do niego niepodobne – albo robale zdołały przesunąć co najmniej jedną z desek na przestrzeni bardzo długiego czasu. Na przykład od roku 1920? Mój ojciec skwitowałby to śmiechem, ale on nigdy nie widział martwego karalucha wielkości kota.

Przykląkłem na jednym kolanie i poświeciłem między deski. Jeśli rzeczywiście było tam więcej karaluchów, to wszystkie zdążyły już uciec. Teraz widziałem tylko stopnie opadające spiralnie coraz niżej i niżej. Tknęła mnie pewna myśl, która najpierw wydała mi się dziwaczna, a potem całkiem prawdopodobna. Patrzyłem właśnie na bajkową łodygę fasoli w wersji pana Bowditcha. Prowadziła w dół, a nie w górę, ale na jej drugim końcu kryło się złoto.

Byłem tego pewien.

## 9

Wycofałem się powoli, zgasiłem lampy i po raz ostatni oświetliłem latarką to odrażające truchło leżące pod ścianą. Teraz z robala wypływały znacznie gęstsze opary, poczułem też zapach, jakby woń mięty. Świeże powietrze naprawdę mu nie służyło.

Zatrzasnąłem drzwi, zamknąłem kłódkę i wróciłem do domu. Odłożyłem latarkę do szafki, a rewolwer do sejfu. Spojrzałem na wiadro ze

złotem, lecz wcale nie miałem ochoty wkładać w nie dłoni, nie dziś. A jeśli sięgnę do samego dna i wyczuję tam kawałek włochatego owadziego odnóża?

Dotarłem do schodów, nim nogi odmówiły mi posłuszeństwa, i musiałem się przytrzymać balustrady, by nie zaliczyć paskudnego upadku. Usiadłem na najwyższym stopniu, cały roztrzęsiony. Po paru minutach zdołałem się opanować i zejść na dół, trzymając się poręczy równie kurczowo jak kiedyś pan Bowditch. W końcu usiadłem ciężko przy stole kuchennym i spojrzałem na magnetofon. Jakaś część mnie chciała wyjąć kasetę, wyciągnąć z niej długą brązową wstęgę taśmy i wyrzucić ją do śmieci. Ale nie zrobiłem tego. Nie mogłem.

„Zaufaj mi, Charlie. Liczę na ciebie”.

Wcisnąłem odtwarzanie i przez chwilę czułem się tak, jakby pan Bowditch był ze mną w pokoju, widział, jaki jestem przerażony – i oszołomiony – i próbował mnie uspokoić. Oderwać mnie od myślenia o tym, jak wielkie oko robala wpadło do jego ciała, pozostawiając wpatrzony we mnie pusty oczodół. I udało mu się, przynajmniej trochę.

## 10

*To tylko karaluchy, niegroźne. Jasne światło je odstrasza. Jeśli nie uciekłeś z krzykiem na widok tego, którego zastrzeliłem – a nie pasuje mi to do chłopca, którego znam – to zajrzałeś między deski i zobaczyłeś studnię i schody prowadzące w dół. Czasami podchodzi tam parę karaluchów, ale tylko wtedy, kiedy robi się ciepło. Nie wiem dlaczego, bo nasze powietrze*

*jest dla nich zabójcze. Zaczynają się rozkładać, gdy są jeszcze pod deskami, mimo to w nie walą. Jakieś instynktowne pragnienie śmierci? Kto wie? W ostatnich latach zaniedbałem blokadę nad studnią… w ostatnich latach zaniedbałem wiele innych rzeczy… więc kilka karaluchów przedostało się do szopy. Dawno już nie zdarzyło się coś podobnego. Ten, którego słyszałeś na wiosnę, zdechł sam, nie zostało z niego nic prócz nogi i jednego czułka. Drugi… cóż, już wiesz. Ale nie są niebezpieczne. Nie gryzą.*

*Nazywam to studnią światów, znalazłem takie określenie w starym opowiadaniu grozy niejakiego Henry'ego Kuttnera. Właściwie to wcale nie znalazłem tej studni. Wpadłem do niej.*

*Opowiem ci tyle, ile zdołam, Charlie.*

*Jako Adrian Bowditch urodziłem się w Rhode Island i choć byłem dobry z matematyki i uwielbiałem czytać… o czym dobrze wiesz… nie przepadałem za szkołą ani za ojczymem, który bił mnie zawsze, gdy nie układało mu się w życiu. A nie układało mu się często, bo pił bez umiaru i nie mógł się utrzymać w żadnej pracy dłużej niż kilka miesięcy. Kiedy miałem siedemnaście lat, uciekłem na północ, do Maine. Byłem postawnym chłopakiem, więc załapałem się do ekipy drwali i pojechałem z nimi do hrabstwa Aroostook. To było w tysiąc dziewięćset jedenastym roku, kiedy Amundsen dotarł na biegun południowy. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że jestem zwykłym drwalem? To była prawda.*

*Zajmowałem się tym przez sześć lat. Potem, w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, do naszego obozu przyszedł żołnierz, który powiedział, że sprawni fizycznie mężczyźni muszą się zarejestrować do poboru w urzędzie pocztowym w Island Falls. Paru młodszych chłopaków wsiadło do ciężarówki, ja też, ale nie miałem zamiaru karmić sobą machiny wojennej gdzieś we Francji. Uznałem, że ta machina wypiła już wystarczająco dużo krwi i nie potrzebuje jeszcze mojej, więc pożegnałem*

*się z chłopakami, kiedy ustawili się w kolejce do rejestracji, i wskoczyłem do pociągu jadącego na zachód. Trafiłem do Janesville, niedaleko stąd, i zgłosiłem się do pracy jako drwal. Znalazłem ekipę, która pracowała w hrabstwie Sentry, czyli obecnym hrabstwie Arcadia. Naszym hrabstwie.*

*Nie miałem zbyt wiele pracy i myślałem o przenosinach, może do Wyoming albo Montany. Moje życie wyglądałoby całkiem inaczej, gdybym to zrobił, Charlie. Trwałoby tyle co życie innych ludzi i nigdy byśmy się nie spotkali. Ale w Buffington – gdzie teraz jest rezerwat leśny – zobaczyłem tabliczkę z napisem ZATRUDNIMY MIERNICZEGO. Poniżej była jeszcze uwaga, jakby napisana z myślą o mnie: MUSI ZNAĆ SIĘ NA MAPACH I LESIE.*

*Poszedłem do urzędu hrabstwa, pokazałem, że umiem czytać mapy – szerokość geograficzna, długość, poziomice i tak dalej – i dostałem tę pracę. Synu, czułem się jak ktoś, kto wpadł w kupę gówna i wyszedł z niej z różą w zębach. Całymi dniami chodziłem po lesie, nacinałem drzewa, sporządzałem mapy i nanosiłem na nie stare leśne drogi, a było ich tu cholernie dużo. Czasami nocowałem u rodzin, które chciały mnie przyjąć, a czasami obozowałem pod gwiazdami. To było fantastyczne. Zdarzało się, że przez kilka dni z rzędu nie spotkałem żywej duszy. Nie każdemu by to odpowiadało, ale ja byłem zachwycony.*

*Pewnego dnia jesienią tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku byłem na Jaworowym Wzgórzu, w miejscu nazywanym wtedy Lasem Sentry. Miasteczko Sentry's Rest już wtedy istniało, ale właściwie była to jeszcze wioska, a ulica Jaworowa kończyła się na Małej Fałdce. Most… pierwszy most zbudowano dopiero piętnaście lat później. Domy i osiedla, wśród których dorastałeś, pojawiły się dopiero po drugiej wojnie światowej, gdy do kraju wrócili żołnierze.*

*Chodziłem po lesie w miejscu, gdzie teraz jest moje podwórze, przedzierałem się przez krzaki i zarośla, szukając gruntowej drogi, która miała być gdzieś niedaleko. Nie myślałem wtedy o niczym innym, tylko o tym, gdzie w tej cholernej wiosce człowiek mógłby się napić, gdy nagle poleciałem w dół. W jednej chwili spacerowałem w słońcu, a w następnej byłem w studni światów.*

*Jeśli poświeciłeś latarką między deskami, to wiesz, jakie miałem szczęście, że nie zginąłem. Nie ma tam żadnej poręczy, a przepaść pośrodku tych spiralnych schodów ma dobrze ponad pięćdziesiąt metrów głębokości. Ściany są ułożone z ciosanego kamienia, zauważyłeś? Bardzo stare. Bóg jeden wie, jak stare. Niektóre kamienne bloki oderwały się i spadły na dno, leży tam ich już cała sterta. Kiedy spadłem, wyciągnąłem odruchowo rękę i przytrzymałem się szczeliny w zagłębieniu ściany. Miała nie więcej niż osiem centymetrów, ale to wystarczyło, żeby wcisnąć w nią palce. Przywarłem do ściany i spojrzałem w górę, na blask słońca i błękitne niebo. Serce waliło mi jak szalone, chyba z dwieście uderzeń na minutę, a ja myślałem tylko o tym, w co, do cholery, właśnie wdepnąłem. Na pewno* nie *była to zwyczajna studnia, bo nikt nie buduje w zwyczajnych studniach schodów ani ścian z ciosanego kamienia.*

*Kiedy w końcu nabrałem powietrza… nic tak skutecznie nie pozbawia cię oddechu jak niemal śmiertelny upadek w czarną przepaść… więc gdy w końcu nabrałem w płuca powietrza, wyjąłem zza pasa latarkę i poświeciłem w dół. Nic za cholerę nie widziałem, ale słyszałem jakieś szelesty i pomyślałem, że jest tam coś żywego. Nie bałem się. Prócz latarki nosiłem też wtedy pistolet w kaburze, bo las nie zawsze był bezpieczny. I to nie zwierząt trzeba się było specjalnie obawiać… choć wtedy żyły tu jeszcze niedźwiedzie, mnóstwo niedźwiedzi… tylko ludzi, zwłaszcza bimbrowników. Nie sądziłem jednak, żeby któryś schował się w tej dziurze. Nie miałem*

*pojęcia, co to może być, ale byłem ciekawskim facetem i chciałem się koniecznie przekonać.*

*Poprawiłem plecak, który całkiem się przekrzywił, gdy wpadałem do studni, i zacząłem schodzić. Schodziłem i schodziłem, coraz niżej i niżej, wciąż w kółko. Studnia światów ma ponad pięćdziesiąt metrów głębokości, a na jej dno prowadzi sto osiemdziesiąt pięć stopni o różnej wysokości. Na końcu znajduje się tunel o kamiennych ścianach… choć może lepiej nazwać go korytarzem. Jest na tyle wysoki, że nawet ty, Charlie, mógłbyś tam wejść, nie schylając głowy, a mnie trochę brakuje do twojego wzrostu.*

*Dno studni i korytarza pokrywała ziemia, ale kiedy przeszedłem trochę dalej… Teraz wiem, że było to jakieś czterysta metrów… zamiast ziemi pojawiły się kamienie. Szemranie było coraz głośniejsze. Jak szelest kartek albo liści niesionych wiatrem. Po chwili zaczęło dochodzić z góry. Podniosłem latarkę i zobaczyłem, że pod sufitem wiszą największe pieprzone nietoperze, jakie kiedykolwiek widziałem. Skrzydła ogromne jak u kondorów. W świetle zaczęły szeleścić jeszcze głośniej, więc natychmiast opuściłem latarkę i przyspieszyłem kroku, żeby ich nie wystraszyć i nie sprowokować do lotu. Na samą myśl, że trącałyby mnie tymi wielkimi skrzydłami, robiłem ze strachu w portki, jak powiedziałaby moja mama. Nie ruszają mnie węże i większość owadów, ale nietoperze zawsze mnie przerażały. Każdy ma swoje fobie, prawda?*

*Szedłem i szedłem przez jakieś dwa kilometry, a latarka świeciła coraz słabiej. W tamtych czasach nie było baterii alkalicznych, chłopcze! Miejscami pod sufitem wisiały kolejne kolonie nietoperzy, miejscami było pusto. Postanowiłem zawrócić, zanim bateria całkiem się wyczerpie, i właśnie wtedy wydało mi się, że dostrzegam z przodu światło dnia. Wyłączyłem latarkę i rzeczywiście, to było światło dziennie.*

*Ruszyłem w jego stronę, ciekaw, gdzie wyjdę. Przypuszczałem, że na północnym brzegu Little Rumple, bo zdawało mi się, że zmierzam na południe, choć nie miałem pewności. Przyspieszyłem kroku i kiedy już zbliżałem się do światła, coś się ze mną stało. Nie potrafię tego precyzyjnie opisać, ale powinienem, na wypadek gdybyś postanowił pójść w moje ślady, że tak powiem. Czułem się jakby oszołomiony, ale to było coś więcej. Zdawało mi się, że zamieniłem się w ducha, Charlie, jakbym patrząc na swoje ciało, widział, co jest za nim. Stało się niematerialne, a ja pomyślałem, że właściwie wszyscy tak naprawdę jesteśmy tylko duchami, które próbują uwierzyć, że mają jakieś znaczenie i miejsce na tym świecie.*

*Trwało to może pięć sekund. Szedłem dalej, choć tak naprawdę wydawało mi się, że mnie tam nie ma. Potem to uczucie minęło i dotarłem do otworu na końcu tunelu… może jeszcze jakieś dwieście metrów… i wyszedłem nie na brzegu Little Rumple, lecz na zboczu wzgórza. Poniżej rozciągało się pole zachwycających czerwonych kwiatów. Chyba maków, ale pachnących cynamonem. Ktoś rozwinął przede mną czerwony dywan, przemknęło mi przez głowę. Ścieżka między kwiatami prowadziła do drogi, przy której stał mały domek… właściwie chatka… z dymiącym kominem. W oddali, na horyzoncie, widać było wieże wielkiego miasta.*

*Ścieżka była niemal całkiem zarośnięta, jakby od bardzo dawna nikt po niej nie chodził. Kiedy ruszyłem w dół zbocza, przeskoczył przez nią królik, dwa razy większy od ziemskiego królika. Zniknął pośród traw i kwiatów. A potem…*

Tu nastąpiła pauza, słyszałem jednak oddech pana Bowditcha. Wydawał się jeszcze bardziej chrapliwy niż wcześniej. Ciężki. W końcu pan Bowditch odezwał się ponownie:

*To półtoragodzinna taśma, Charlie. Znalazłem całe pudełko takich w tym bajzlu na drugim piętrze, z czasów, gdy kasety stały się równie*

*przestarzałe jak trzycentowe znaczki. Mógłbym wypełnić tą opowieścią co najmniej cztery albo pięć takich kaset, może nawet całe pudełko. Przeżyłem wiele przygód w tym innym świecie i opowiedziałbym ci je, gdybym miał czas. A chyba jednak nie mam. Od czasu tej małej strzelaniny w szopie nie czuję się dobrze. Boli mnie lewa strona szyi i lewe ramię aż do łokcia. Czasami ból trochę słabnie, ale ucisk w piersiach nie. Wiem, co oznaczają takie objawy. Wzbiera we mnie burza i myślę, że wkrótce się rozpęta. Żałuję niektórych rzeczy, właściwie wielu. Powiedziałem ci kiedyś, że dzielny człowiek pomaga, a tchórz tylko przynosi prezenty. Pamiętasz to? Przyniosłem prezenty, ale dopiero wtedy, gdy wiedziałem, że nie jestem dość dzielny, by pomóc, kiedy nadeszła straszliwa zmiana. Wmówiłem sobie, że jestem za stary, więc zabrałem złoto i uciekłem. Jak Jaś schodzący po fasoli. Tyle że on był tylko chłopcem. Ja powinienem był się bardziej postarać.*

*Jeśli wybierzesz się do tego świata, gdzie nocą na niebie wschodzą dwa księżyce i są konstelacje, których ziemscy astronomowie nigdy nie widzieli, powinieneś wiedzieć o pewnych rzeczach, więc słuchaj mnie uważnie.*

*Powietrze naszego świata jest zabójcze dla stworzeń z tamtego, chyba tylko z wyjątkiem nietoperzy. Kiedyś w ramach eksperymentu przyniosłem ze sobą królika. Umarł bardzo szybko. Ale ich powietrze nie jest szkodliwe dla nas. Właściwie jest nawet ożywcze.*

*Tamto miasto było niegdyś wspaniałym miejscem, ale teraz jest niebezpieczne, zwłaszcza nocą. Jeśli będziesz do niego wchodził, to tylko za dnia, a kiedy już przejdziesz przez bramę, zachowuj się bardzo cicho. Może się wydawać opuszczone, ale nie jest. To, co nim włada, jest groźne i straszliwe, a to, co kryje się pod nim, jest jeszcze gorsze. Oznaczyłem drogę do placu za pałacem tak, jak kiedyś oznaczałem drzewa w lesie, moimi prawdziwymi inicjałami: AB. Jeśli będziesz się ich trzymał… i jeśli będziesz cicho… nic ci się nie stanie. W przeciwnym razie być może*

*będziesz błądził po tym straszliwym mieście, dopóki nie umrzesz. Wiem, co mówię. Gdyby nie te oznaczenia, wciąż bym tam tkwił, martwy albo obłąkany. To, co kiedyś było wspaniałe i piękne, teraz jest szare, przeklęte i chore.*

Kolejna pauza. Oddychał coraz ciężej, niemal rzęził, a gdy znowu się odezwał, jego głos wydawał się zniekształcony, niemal całkiem obcy. Przypuszczałem… byłem prawie pewny… że kiedy nagrywał te słowa, ja byłem w szkole – albo właśnie szedłem na lekcję chemii, albo byłem już w pracowni i określałem temperaturę wrzenia acetonu.

*Radar poszła tam ze mną, gdy była młoda, niewiele starsza od szczeniaka. Zbiegała po stopniach studni bez strachu, najmniejszego. Wiesz, że kładzie się na brzuchu, gdy usłyszy komendę „Leżeć”; potrafi też być cicho, kiedy wyda się jej komendę „Cisza” albo „Spokój”. Tamtego dnia kazałem jej być cicho, więc bez problemów przeszliśmy pod koloniami nietoperzy. Nie okazywała też strachu czy niepewności, gdy przekraczała to, co nazywam w myślach „granicą”. Była zachwycona polem czerwonych kwiatów, skakała przez nie i tarzała się w nich. I uwielbiała staruszkę, która miesza w chacie. Większość ludzi z naszego świata odwróciłaby się z obrzydzeniem, widząc ją taką, jaka jest teraz, ale – moim zdaniem – psy wyczuwają prawdziwą wewnętrzną naturę i odwracają się od tego, co zewnętrzne. Czy to brzmi zbyt romantycznie? Być może, ale wydaje się, że…*

*Stop. Nie mogę zbaczać z tematu. Nie ma na to czasu.*

*Może zechcesz zabrać Radar ze sobą, albo kiedy sam najpierw rzucisz na to okiem, albo od razu. Bo jej czas już się kończy. Dzięki temu nowemu lekarstwu może uda jej się znów zejść po tych schodach. Jestem pewny, że jeśli to zrobi, tamto powietrze ją ożywi. Przynajmniej na tyle pewny, na ile mogę być.*

*Kiedyś w mieście odbywały się igrzyska i tysiące ludzi przychodziło je oglądać. Zbierali się na placu, o którym wspomniałem, i czekali, by wejść na stadion będący częścią pałacu… albo do niego przylegający, jak pewnie ty byś powiedział. W pobliżu placu znajduje się ogromny zegar słoneczny, który ma ze trzydzieści metrów. Obraca się jak karuzela w tej powieści… Mówię o powieści Bradbury'ego. Jestem pewien, że on… zresztą nieważne. Ważne jest to, że ten zegar słoneczny to sekret mojej długowieczności, za którą słono zapłaciłem. Tobie nie wolno na niego wchodzić, ale gdybyś miał położyć tam Radar…*

*O Chryste. To się już chyba dzieje. Mój Boże!*

Siedziałem z zaciśniętymi dłońmi, z łokciami opartymi o kuchenny stół, wpatrzony w obracające się szpulki kasety. Widziałem przez szybkę, że zbliża się do miejsca, od którego ją przewinąłem.

*Charlie, mierzi mnie sama myśl, że miałbym cię wysłać do źródła tak wielu spośród naszych ziemskich strachów, i nie każę ci tego zrobić, ale jest tam zegar słoneczny i jest tam też złoto. Zaprowadzą cię tam inicjały AB, pamiętaj o tym.*

*Zapisuję ci ten dom i ziemię, ale to nie jest dar. To brzemię. Co roku ta posiadłość jest coraz więcej warta i co roku rosną podatki. Ale są rzeczy gorsze od podatków, znacznie gorsze. Żyję w strachu przed… przed tym prawniczym horrorem znanym jako wywłaszczenie i… ty… my…*

Dyszał chrapliwie, jakby nie mógł złapać powietrza, przełykał raz po raz ślinę, głośno i z trudem, wszystko wyraźnie się nagrało. Czułem, jak moje paznokcie wbijają się w dłonie. Kiedy się odezwał, z największym wysiłkiem wydobywał z siebie głos.

*Słuchaj, Charlie! Potrafisz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby ludzie się dowiedzieli, że tam, na dole, jest inny świat? Taki, do którego można dotrzeć, pokonując sto osiemdziesiąt pięć stopni i przechodząc*

*korytarzem, który ma jakieś dwa kilometry długości? Gdyby władze zdały sobie sprawę, że znalazły nowy świat, pełen niewykorzystanych jeszcze zasobów, podczas gdy ten jest już niemal całkiem wyeksploatowany? Czy obawialiby się Kata Skrzydlatych, czy baliby się wybudzić straszliwego boga tego miejsca z jego długiej drzemki? Czy zrozumieliby straszliwe konsekwencje? Ale ty… gdybyś miał środki… ty…*

Przez chwilę w ciszy słychać było jedynie jakieś brzęki i stukoty. Rzężenie. Kiedy znów się odezwał, jego głos wciąż był słyszalny, ale znacznie cichszy. Odłożył magnetofon z wbudowanym mikrofonem.

*Mam atak serca, Charlie… wiesz… dzwoniłem do ciebie… jest taki prawnik… Leon Braddock, w Elgin. I portfel. Pod kanapą. Wszystko inne, czego potrzebujesz, też jest pod…*

W tym momencie rozległ się głośny trzask, a potem zapadła cisza. Albo celowo wyłączył magnetofon, albo przypadkiem uderzył małą dźwignię nagrywania, gdy mdlejąc, opuścił rękę. I dobrze. Nie chciałem słuchać, jak cierpi i umiera.

Zamknąłem oczy i siedziałem… Nie wiem, jak długo. Może minutę, może trzy. Pamiętam, że sięgnąłem ręką w dół, by dotknąć Radar i nabrać trochę otuchy, którą zawsze przynosiło mi głaskanie jej łba. Ale Radar tu nie było. Była u podnóża wzgórza, w normalnym domu z normalnym podwórzem bez wielkiej dziury w ziemi, bez szalonej studni światów.

Co miałem zrobić? Co, na miłość boską?

Na początek wyjąłem kasetę z magnetofonu i schowałem ją do kieszeni. Była niebezpieczna, być może była najniebezpieczniejszą rzeczą na ziemi… ale tylko wtedy, gdyby ludzie uwierzyli, że zawiera coś więcej niż bredzenie starca umierającego na zawał. Nie uwierzyliby, to oczywiste. Chyba że…

Wstałem na równe nogi, choć wcale nie byłem pewien, czy mnie utrzymają, i przeszedłem do tylnych drzwi. Spojrzałem na szopę, którą pan Bowditch – znacznie młodszy pan Bowditch – wybudował nad studnią światów. Patrzyłem na nią przez długi czas. Gdyby ktoś tam wszedł…

Dobry Boże.

Poszedłem do domu.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

**Trudna noc. Szkolne zamyślenia. Studnia światów. Ten Inny. Stara kobieta. Paskudna niespodzianka.**

## 1

– Dobrze się czujesz, Charlie?

Podniosłem wzrok, z trudem odrywając się od lektury. Wcześniej byłem pewien, że nic nie odwiedzie moich myśli od kasety, której wysłuchałem w kuchni pana Bowditcha – kasety ukrytej teraz na najwyższej półce mojej szafy, pod stertą starych koszulek – ale ta książka całkowicie mnie pochłonęła. Książka, którą zabrałem z sypialni pana Bowditcha, wyczarowała własny świat. Radar spała obok mnie, pochrapując od czasu do czasu.

– Co?

– Pytałem, czy dobrze się czujesz. Prawie nie tknąłeś kolacji, przez cały wieczór byłeś jakiś nieswój. Myślałeś o panu Bowditchu?

– Tak. – Mówiłem prawdę, choć tacie chodziło zapewne o trochę inne rozmyślania.

– Tęsknisz za nim?

– Tak. Bardzo. – Sięgnąłem w dół i pogłaskałem Radar po karku. Teraz to był mój pies. Mój pies, moja odpowiedzialność.

– To zrozumiałe. Tak powinno być. Dasz sobie radę w przyszłym tygodniu?

– Jasne. A dlaczego pytasz?

Wydał z siebie głębokie, pełne politowania westchnienie, jakie potrafią wydawać chyba tylko ojcowie.

– Zjazd. Mówiłem ci o tym. Miałeś głowę zajętą innymi sprawami, rozumiem. Wyjeżdżam we wtorek rano na cztery cudowne dni w lasach na północy. To impreza Overlandu, ale Lindy załatwił mi zaproszenie. Mnóstwo seminariów o odpowiedzialności cywilnej, co akurat nie jest może szczególną atrakcją, ale będą też szkolenia dotyczące weryfikowania nieuczciwych roszczeń, a to już naprawdę ważna sprawa, zwłaszcza dla firm, które dopiero się rozkręcają.

– Czyli takich jak twoja.

– Zgadza się. Będą też zabawy integracyjne – dodał, przewracając oczami.

– Picie?

– I to dużo, ale beze mnie. Poradzisz sobie sam?

– Jasne. – Zakładając, że nie zgubię się w miejscu, które według pana Bowditcha było bardzo niebezpiecznym miastem rządzonym przez śpiącego boga.

Zakładając, że w ogóle tam pójdę.

– Poradzę sobie, a w razie czego zawsze mogę do ciebie zadzwonić.

– Uśmiechasz się. Coś cię rozbawiło?

– Tylko to, że nie mam już dziesięciu lat. – W rzeczywistości zastanawiałem się, czy w studni światów działa jakaś sieć komórkowa.

Przypuszczałem, że Verizon nie ma tam jeszcze swoich przekaźników.

– Na pewno nie trzeba ci w czymś pomóc?

Powiedz mu, pomyślałem.

– Nie. Wszystko w porządku. Jak wyglądają takie zabawy integracyjne?

– Pokażę ci. Wstań. – Tata również wstał. – A teraz stań za mną.

Odłożyłem książkę na krzesło i stanąłem za ojcem.

– Powinniśmy ufać zespołowi – tłumaczył. – Ja akurat nie mam zespołu, bo prowadzę jednoosobową działalność, ale potrafię być dobrym kolegą. Wspinamy się na drzewa…

– Drzewa? Wspinacie się na drzewa?

– Robiliśmy to wiele razy w czasie takich wyjazdów, nie zawsze na trzeźwo. Wszyscy będziemy to robili, z wyjątkiem Willy’ego Deegana, który ma rozrusznik serca.

– Jezu, tato.

– Robimy też to.

Bez ostrzeżenia przewrócił się do tyłu, trzymając ręce luźno złożone w pasie. Nie uprawiałem już sportu, ale mój refleks na tym nie ucierpiał. Złapałem tatę bez trudu, a gdy spojrzałem na jego twarz, zobaczyłem, że ma zamknięte oczy i uśmiecha się. Uwielbiałem go za ten uśmiech. Podciągnąłem go w górę, aż stanął na prostych nogach. Radar, która przyglądała się naszym wygłupom, szczeknęła z lekką przyganą i z powrotem ułożyła łeb na podłodze.

– Będę musiał zaufać temu, kto stanie za mną… pewnie będzie to Norm Richards… ale bardziej ufam tobie, Charlie. My już jesteśmy zintegrowani.

– Świetnie, ale nie spadnij, proszę, z żadnego drzewa. Opiekowałem się już jednym połamanym facetem i wolałbym tego nie powtarzać. Mogę już wrócić do czytania?

– Śmiało. – Podniósł z krzesła książkę i spojrzał na okładkę. – Z biblioteczki pana Bowditcha?

– Tak.

– Czytałem ją, gdy byłem w twoim wieku, może nawet młodszy. Szalony lunapark przyjeżdża do małego miasteczka właśnie tutaj, w Illinois, o ile dobrze pamiętam.

– Cooger i Dark i ich mroczny lunapark.

– Pamiętam tylko, że była tam niewidoma jasnowidzka.

– Tak, Pyłowa Wiedźma jest naprawdę upiorna, zgadza się.

– Ty czytaj, a ja pooglądam telewizję i trochę się odmóżdżę. Tylko żeby potem nie dręczyły cię jakieś koszmary.

Jeśli w ogóle zasnę, pomyślałem.

## 2

Choć dzięki nowemu lekarstwu Radar prawdopodobnie zdołałaby wspiąć się na schody, poszedłem do małego pokoju gościnnego na parterze, a ona potruchtała za mną, całkiem już oswojona z naszym domem. Rozebrałem się do bokserek, podłożyłem sobie pod głowę dodatkową poduszkę i czytałem dalej. W nagraniu pan Bowditch mówił, że na placu za pałacem jest wielki zegar słoneczny, który obraca się jak karuzela w powieści Bradbury’ego, i że jest to sekret jego długowieczności. Zegar słoneczny pozwolił mu wrócić do Sentry’s Rest w odmłodzonej postaci, dzięki czemu mógł udawać własnego syna. W *Jakiś potwór tu nadchodzi* karuzela mogła dodać ci lat, kiedy obracała się we właściwym kierunku, ale i odmłodzić,

gdy kręciła się do tyłu. Pan Bowditch zaczął mówić coś jeszcze: „Jestem pewien, że on… zresztą nieważne”.

Czy chciał powiedzieć, że Ray Bradbury wpadł na pomysł z karuzelą dzięki zegarowi słonecznemu z innego świata? Taki pomysł – zabawki dodającej lub odejmującej lat – był szalony, ale jeszcze bardziej szalona wydawała się myśl, że szanowany amerykański pisarz odwiedził ten inny świat. Nie uważacie? Owszem, Bradbury spędził wczesne dzieciństwo w Waukegan, mieście odległym o sto kilometrów od Sentry’s Rest. Po przeczytaniu informacji w Wikipedii poświęconych Bradbury’emu wiedziałem, że był to tylko zbieg okoliczności, chyba że odwiedził ten inny świat jako małe dziecko… jeśli w ogóle istniał jakiś inny świat. Tak czy inaczej, gdy był w moim wieku, mieszkał już w Los Angeles.

„Jestem pewien, że on… zresztą nieważne”.

Zaznaczyłem miejsce, w którym przerwałem czytanie, i odłożyłem książkę na podłogę. Byłem pewien, że Will i Jim wyjdą obronną ręką ze swoich przygód, ale domyślałem się też, że nigdy już nie będą tak niewinni jak dotąd. Dzieci nie powinny stawiać czoła strasznym rzeczom. Wiedziałem o tym z doświadczenia.

Wstałem i włożyłem spodnie.

– Chodź, Rades. Musisz wyjść na zewnątrz i podlać trawę.

Poszła całkiem chętnie, wcale nie utykając. Wiedziałem, że rano znów będzie miała problemy ze stawami, ale dojdzie do siebie, kiedy trochę się rozrusza. Przynajmniej tak to wyglądało do tej pory. Wkrótce jednak będzie gorzej, jeśli asystentka weterynarza się nie myliła. Mówiła, że będzie zaskoczona, jeśli Radar dociągnie do Halloween, a do tego czasu zostało już tylko pięć tygodni. A nawet nieco mniej.

Radar obwąchiwała trawę. Spojrzałem w górę, na gwiazdy; wyszukałem wzrokiem Pas Oriona i Wielką Niedźwiedzicę, starych,

dobrych znajomych. Według pana Bowditcha w innym świecie były dwa księżyce i konstelacje, których ziemscy astronomowie nigdy nie widzieli.

Niemożliwe, pomyślałem.

A jednak studnia tam była. I schody. I ten okropny pieprzony robal. Widziałem to wszystko.

Radar przykucnęła, opuszczając zad w ten typowy dla niej delikatny sposób, a potem podeszła do mnie, czekając na psi przysmak. Dałem jej połowę bonzo i zaprowadziłem do środka. Było późno, tata położył się już spać. Czas, żebym poszedł w jego ślady. Pies pana Bowditcha – mój pies – opadł na podłogę, wydając z siebie westchnienie i pierdnięcie; właściwie był to tylko mały bączek. Zgasiłem światło, ułożyłem się na łóżku i wpatrzyłem się w ciemność.

Powiedz o wszystkim tacie, pomyślałem. Zabierz go do szopy. Robal, którego zastrzelił pan Bowditch, jeszcze tam będzie… a przynajmniej jego część. A jeśli nawet już zniknął, to przecież wciąż jest studnia. To ogromny ciężar, podziel się nim.

Czy ojciec dochowałby tajemnicy? Choć bardzo go kochałem, wcale nie byłem pewien, czyby to zrobił. Albo czy mógłby to zrobić. W AA funkcjonują setki haseł i dewiz, a jedna z nich brzmi: *Jesteś tak chory jak twoje tajemnice*. Czy zwierzyłby się Lindy’emu? Albo jakiemuś zaufanemu przyjacielowi z pracy? Bratu, czyli wujkowi Bobowi?

Potem przypomniałem sobie coś ze szkoły, jeszcze z szóstej albo siódmej klasy. Historia Ameryki, panna Greenfield. I cytat z Benjamina Franklina: „Troje dochowa tajemnicy, jeśli dwoje z nich nie żyje”.

„Potrafisz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby ludzie się dowiedzieli, że tam, na dole, jest inny świat?”

Tak brzmiało pytanie pana Bowditcha, a ja chyba znałem odpowiedź. Zostałby przejęty, „wchłonięty”, jak powiedziałaby moja szalona

nauczycielka historii. Dom przy Jaworowej 1 zamieniłby się w supertajną placówkę rządową. Całkiem możliwe, że ewakuowano by mieszkańców z całej okolicy. A potem zaczęłoby się eksploatowanie innego świata i jeśli pan Bowditch miał rację, konsekwencje mogłyby być straszliwe.

W końcu zasnąłem; śniło mi się jednak, że wcale nie śpię i że coś porusza się pod łóżkiem. Wiedziałem – tak jak wie się takie rzeczy w snach – że to olbrzymi karaluch. Taki, który gryzie. Obudziłem się nad ranem, przekonany, że to prawda. Ale Radar ujadałaby wtedy wściekle, a tymczasem leżała pogrążona w głębokim śnie, posapując i przemierzając senne krainy swojego psiego świata.

Zasnąłem z powrotem.

## 3

W niedzielę poszedłem do domu pana Bowditcha, by robić to, do czego zamierzałem się zabrać poprzedniego dnia: sprzątać. Oczywiście nie wszystkim mogłem się zająć; rozdarte poduszki i pocięte tapety musiały poczekać. I bez tego miałem mnóstwo pracy, ale musiałem ją podzielić na dwie części, bo za pierwszym razem przyprowadziłem ze sobą Radar, co okazało się błędem.

Przechodziła z pokoju do pokoju na parterze, szukając swojego pana. Zniszczenia nie zrobiły na niej większego wrażenia, ale szczekała wściekle na kanapę, przerywając tylko od czasu do czasu i spoglądając na mnie, jakby chciała spytać, czy jestem idiotą. Czyżbym nie widział, co się stało? Posłanie jej pana zniknęło.

Namówiłem ją, żeby przeszła za mną do kuchni, i kazałem jej leżeć, ale nie chciała posłuchać, wciąż tylko spoglądała w stronę salonu. Dałem jej kawałek kurczaka, jej ulubiony przysmak, ale upuściła go na linoleum. Pomyślałem, że będę musiał odprowadzić ją do domu i zostawić z tatą, lecz na widok smyczy pobiegła (bardzo sprawnie) przez salon do schodów i wspięła się na piętro. Znalazłem ją w sypialni pana Bowditcha, zwiniętą w kłębek przed komodą, na prowizorycznym posłaniu z ubrań, które włamywacze zerwali z wieszaków. Wyglądało na to, że jest jej tam dobrze, więc wróciłem na dół i posprzątałem wszystko na tyle, na ile mogłem.

Około jedenastej usłyszałem stukot jej pazurów na schodach, a gdy ją zobaczyłem, zabolało mnie serce. Nie utykała, ale poruszała się powoli, z opuszczonym łbem i ogonem. Kiedy na mnie popatrzyła, widziałem w jej spojrzeniu wyraźne pytanie: „Gdzie on jest?”.

– Chodź, mała – powiedziałem. – Zabieramy się stąd.

Tym razem nie uciekała przed smyczą.

# 4

Po południu zrobiłem, co mogłem, na piętrze. Drobny mężczyzna w czapce White Soxów i sztruksowych spodniach (jeśli on to zrobił, czego byłem pewien) nie wyrządził żadnych szkód na drugim piętrze, a przynajmniej żadnych nie zauważyłem. Pewnie skupił się na pierwszym… i na sejfie, kiedy już go znalazł. Musiał też pilnować czasu, wiedząc, że pogrzeb nie będzie trwał zbyt długo.

Pozbierałem swoje ubrania i ułożyłem je przy schodach, by później zabrać je do domu. Potem zająłem się sypialnią pana Bowditcha; postawiłem łóżko (które przewrócono), uporządkowałem jego ubrania (wkładając przy tym kieszenie do spodni) i zebrałem wypełnienie z poduszek. Byłem zły na pana Right-O Ha-Ha za to, co odbierałem niemal jako profanację zwłok, ale mimowolnie wracałem myślami do żałosnych wygłupów, których dopuszczaliśmy się z Bertiem Birdem – psia kupa na szybie samochodu, petardy w skrzynkach pocztowych, wywrócone pojemniki na śmieci, napis JEZUS WALI KONIA wymalowany sprejem na tablicy przed kościołem metodystów. Nigdy nas nie złapano, a jednak czułem się schwytany. Patrząc z wściekłością na kipisz, który zostawił po sobie pan Ha-Ha, zrozumiałem, że złapałem sam siebie. W tamtych czasach byłem równie podły jak ten drobny mężczyzna, który dziwnie chodził i dziwnie mówił. W pewnym sensie byłem nawet gorszy. On miał przynajmniej jakiś motyw: szukał złota. Bertie i ja byliśmy po prostu parą popieprzonych dzieciaków, które zatruwały ludziom życie.

Tyle że oczywiście Bertie i ja nigdy nikogo nie zabiliśmy, a jeśli miałem rację, pan Ha-Ha to zrobił.

Jeden z regałów w sypialni był przewrócony. Postawiłem go prosto i zacząłem wkładać książki na miejsce. Na dole sterty znalazłem ten gruby tom, który widziałem wcześniej na szafce nocnej, razem z książką Bradbury’ego, którą właśnie czytałem. Podniosłem tomiszcze i spojrzałem na okładkę: lejek wypełniający się gwiazdami. *Pochodzenie gatunku fantasy i jego miejsce w strukturze świata* – okropnie mądry tytuł. I do tego jeszcze podtytuł *Perspektywy jungowskie.* Zajrzałem do indeksu, by sprawdzić, czy znajdę coś o historii Jasia i fasoli. Okazało się, że coś jest. Próbowałem to przeczytać, ale w końcu tylko przejrzałem. To był typowy przykład czegoś, co uważałem za napuszony akademicki styl, pełen

trudnych słów, wydumanych określeń i skomplikowanych, niezrozumiałych zdań. Może to tylko intelektualne lenistwo z mojej strony, ale może nie.

Na tyle, na ile udało mi się to zrozumieć, autor tego rozdziału twierdził, że istnieją właściwie dwie opowieści o łodydze fasoli: krwawy oryginał i ułagodzona wersja, którą umieszcza się w książeczkach dla dzieci i na której oparto pełnometrażowy film animowany. Krwawy oryginał uległ podziałowi (jedno z tych wydumanych określeń) na dwa mityczne strumienie, ciemny i jasny. Ciemny dotyczył uciech związanych z rabowaniem i zabijaniem (na przykład Jaś przecinający łodygę czy zmiażdżenie olbrzyma). Jasny odnosił się do tego, co autor nazwał *epistemologią wittgensteinowskiej filozofii religii*, i jeśli wiecie, co to oznacza, choćby w przybliżeniu, to na pewno jesteście mądrzejsi ode mnie.

Odłożyłem książkę na półkę i wyszedłem z pokoju, wróciłem jednak, by przyjrzeć się okładce. Wnętrze książki wypełniały trudne pojęcia i złożone zdania, które ani na moment nie pozwalały odpocząć oczom i umysłowi, lecz okładka była małym poematem, na swój sposób równie doskonałym jak wiersz Williama Carlosa Williamsa o czerwonej taczce: lejek wypełniający się gwiazdami.

## 5

W poniedziałek poszedłem się zobaczyć z moją starą znajomą, panią Silvius z sekretariatu, i spytałem, czy mógłbym wykonać pracę społeczną, na którą miałem poświęcać jeden dzień w semestrze, już następnego dnia,

we wtorek. Pochyliła się do mnie nad biurkiem i spytała konfidencjonalnym tonem:

– Czyżby ktoś tu chciał się wybrać jutro na wagary? Pytam tylko dlatego, że zwykle uczniowie muszą informować z tygodniowym wyprzedzeniem o tym, kiedy biorą wolny dzień na prace społeczne. Nie jest to wymóg, Charlie, ale jednoznaczne zalecenie.

– Nie, naprawdę chcę się tym jutro zająć – odpowiedziałem, patrząc jej prosto w oczy. Była to technika przydatna podczas mówienia kłamstw, której nauczyłem się kiedyś od Bertiego Birda. – Chcę odwiedzać kupców w centrum i namawiać ich do adopcji.

– Do adopcji? – Pani Silvius, jakby wbrew sobie, wydawała się zainteresowana.

– Tak, zwykle chodzi o adopcję drogi, zajmowałem się tym w klubie Key, ale chcę pójść o krok dalej. Zamierzam zainteresować właścicieli sklepów adopcją parków… mamy ich sześć, jak pani wie… i przejść podziemnych… wiele z nich wygląda naprawdę fatalnie, aż wstyd. A może nawet uda mi się kogoś zainteresować adopcją niezabudowanych działek.

– Rozumiem. – Sięgnęła po formularz i wypełniła jego część. – Zanieś to do swoich nauczycieli, pozbieraj od nich podpisy i przynieś mi z powrotem. – Kiedy już wychodziłem, dodała: – Charlie? Wciąż pachnie mi tu wagarami. I to naprawdę mocno.

Właściwie nie kłamałem, mówiąc o swoim pomyśle na pracę społeczną, ale przesadziłem trochę, twierdząc, że potrzebuję na nią wolnego dnia. Na przerwie między zajęciami poszedłem do biblioteki, znalazłem ulotkę Izby Handlowej z listą wszystkich sklepikarzy z centrum miasta i rozesłałem do nich mail przygotowany według szablonu; zmieniałem jedynie imiona i nazwiska oraz nazwy różnych projektów adopcyjnych, które wcześniej wymyśliłem. Zajęło mi to pół godziny, więc do dzwonka na następną lekcję

zostało jeszcze dwadzieścia minut. Podszedłem do bibliotekarki, pani Norman, i spytałem, czy ma *Baśnie braci Grimm*. Okazało się, że nie mamy wersji papierowej, więc pani Norman wręczyła mi czytnik Kindle z przyklejoną od tyłu plakietką WŁASNOŚĆ LICEUM HILLVIEW i podała jednorazowy kod umożliwiający pobranie książki.

Nie czytałem żadnej z baśni, przejrzałem tylko spis treści i wstęp. Zaciekawiło mnie (choć nie do końca zaskoczyło) to, że większość historii, które znałem z dzieciństwa, ma swoje mroczniejsze wersje. Oryginał *Złotowłosej i trzech misiów* pierwotnie istniał tylko w wersji ustnej, którą znano już od szesnastego wieku, i nie było w niej dziewczynki o imieniu Złotowłosa. Główną bohaterką była podła starucha, która włamała się do domu misiów, zniszczyła wszystko, co miały, a potem wyskoczyła przez okno i pobiegła w las, rechocząc. *Rumpelsztyk* był jeszcze gorszy. W wersji, którą dość mgliście pamiętałem, stary Rumpel zmył się jak niepyszny, gdy dziewczyna przędąca złoto ze słomy odgadła jego imię. W wersji braci Grimm z 1857 roku karzeł wbił jedną stopę w ziemię, złapał drugą i rozdarł się na dwoje. Pomyślałem, że to horror o takim samym potencjale jak *Piła*.

Na szóstej lekcji był łatwy przedmiot o nazwie Współczesna Ameryka, na który chodziłem tylko przez jeden semestr. Nie miałem pojęcia, co mówi pan Masensik, bo myślałem o fantastycznych opowieściach. Na przykład o tym, jak karuzela z *Jakiś potwór tu nadchodzi* jest zegarem słonecznym w innym świecie. „Sekret mojej długowieczności”, powiedział pan Bowditch. Jaś ukradł złoto olbrzymowi; pan Bowditch również ukradł złoto… Komu? Albo czemu? Olbrzymowi? Jakiemuś demonowi o dziwacznym imieniu Gogmagog rodem z tanich czytadeł?

Kiedy mój umysł wpadł w te koleiny, nie mógł się z nich wyrwać. Wszędzie widziałem podobieństwa. Moja matka zginęła na moście łączącym brzegi rzeki Little Rumple. A ten dziwny człowieczek z dziwnym

głosem? Czy nie tak opisywano w baśni Rumpelsztyka? No i ja. W iluż to baśniach pojawiał się młody bohater (jak Jaś), który poszukiwał fantastycznej krainy? Albo *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*, gdzie tornado porwało małą dziewczynkę z Kansas i zaniosło ją do krainy czarownic i Manczkinów. Ja nie byłem Dorotką, a Radar nie była Toto, ale…

– Charles, zasnąłeś tam z tyłu? A może mój miodopłynny głos cię zahipnotyzował? Wprowadził w trans?

Rozległ się śmiech kolegów i koleżanek, z których większość skojarzyłaby określenie „miodopłynny” co najwyżej z alkoholem.

– Nie, jestem tu.

– Więc może podzielisz się z nami swoją wyważoną opinią o śmierci Philanda Castile’a i Altona Sterlinga, Afroamerykanów zastrzelonych przez policję?

– Przesrane – odpowiedziałem. Wciąż byłem myślami całkiem gdzie indziej i po prostu samo mi się wyrwało.

Klasa eksplodowała śmiechem. Pan Masensik czekał ze swym typowym uśmieszkiem, aż wszyscy się uspokoją, po czym powiedział:

– Przesrane, w rzeczy samej. Proszę, może pan z powrotem zapaść w trans, panie Reade.

Kontynuował wykład. Próbowałem się na nim skupić, ale potem pomyślałem o czymś, co powiedziała pani Silvius, nie „Czuję angielskiej krwi zapach”, ale „Wciąż pachnie mi tu wagarami”.

Oczywiście był to tylko zbieg okoliczności – mój ojciec mawiał, że jeśli kupujesz niebieski samochód, wszędzie widzisz niebieskie samochody – ale po tym, co zobaczyłem w szopie, nie dawało mi to spokoju. I coś jeszcze. W opowieściach fantastycznych autor zawsze wymyśla jakiś sposób, by młody bohater lub młoda bohaterka mogli zbadać świat, który zaczynałem nazywać w myślach Tym Innym. Wymyśla na przykład kilkudniowy

wyjazd rodziców, dzięki czemu młody bohater może odwiedzić ten inny świat, nie prowokując przy tym całej serii pytań, na które nie byłby w stanie odpowiedzieć.

Zbieg okoliczności, pomyślałem, gdy zabrzęczał dzwonek i dzieciaki rzuciły się do wyjścia. Syndrom niebieskiego samochodu.

Tyle że olbrzymi karaluch nie był niebieskim samochodem, nie były nimi też kamienne schody zstępujące w ciemność.

Poprosiłem pana Masensika, żeby podpisał formularz prac społecznych. Gdy to robił, uśmiechnął się do mnie lekko.

– Przesrane, co?

– Przepraszam, przepraszam.

– Właściwie miałeś rację.

Na wszelki wypadek oddaliłem się szybko i przeszedłem do mojej szafki.

– Charlie?

To była Arnetta Freeman. Moim zdaniem wyglądała po prostu zachwycająco w obcisłych dżinsach i bluzeczce bez rękawów. Obdarzona niebieskimi oczami i blond włosami sięgającymi ramion, Arnetta była żywym dowodem, że biała Ameryka nie jest taka całkiem zła. W zeszłym roku – gdy bardziej angażowałem się w sport i byłem trochę bardziej popularny w szkole dzięki wyczynowi w meczu w Święto Dziękczynienia – kilkakrotnie uczyliśmy się z Arnettą w pokoju w piwnicy jej domu. Owszem, poświęcaliśmy wtedy trochę czasu nauce, ale znacznie więcej na nie całkiem niewinne zabawy.

– Cześć, Arnie, co tam?

– Miałbyś ochotę wpaść do mnie wieczorem? Moglibyśmy się pouczyć do testu z *Hamleta*.

Te błękitne oczy wpatrzone w moje brązowe.

– Bardzo chętnie, ale mój ojciec wyjeżdża jutro na parę dni, jakieś biznesowe sprawy. Lepiej, żebym dzisiaj został z nim.

– Ojej. Szkoda.

Czule przytuliła dwie książki do piersi.

– Ale mógłbym w środę wieczorem. Jeśli nie jesteś wtedy zajęta.

Rozpromieniła się.

– Byłoby fantastycznie.

Ujęła moją dłoń i położyła ją sobie na biodrze.

– Zastanowilibyśmy się razem, czego to Ofelia nie chciała dać Hamletowi.

Pocałowała mnie w policzek i odeszła, kołysząc biodrami w sposób, którego nie mogłem nazwać inaczej niż… hm… czarującym. Po raz pierwszy od wizyty w bibliotece nie myślałem o paralelach między światem rzeczywistym i baśniowym. Właściwie myślałem wyłącznie o Arnetcie Freeman.

## 6

Tata wyjechał we wtorek bladym świtem, zabierając torbę podróżną, w której miał ubrania zarezerwowane na wyprawy do lasu: sztruksowe spodnie, flanelową koszulę, czapkę Bearsów. Miał też przerzucone przez ramię poncho.

– W prognozach zapowiadają deszcz – powiedział. – Czyli nici z wchodzenia na drzewa, co jakoś wcale mnie nie martwi.

– W porze koktajlu woda mineralna, tak?

Uśmiechnął się szeroko.

– Może z plasterkiem limonki. Bez obaw, dzieciaku. Lindy też jedzie, będziemy się trzymać razem. Opiekuj się swoim psem. Znów kuleje.

– Wiem.

Uścisnął mnie jedną ręką i pocałował w szczękę. Kiedy wycofywał samochód w dół podjazdu, podniosłem rękę, żeby się zatrzymał, a potem podbiegłem do okna po stronie kierowcy. Opuścił szybę.

– Zapomniałem czegoś?

– Nie, ja zapomniałem. – Pochyliłem się do środka, objąłem go za szyję i pocałowałem w policzek.

Uśmiechnął się do mnie, skonsternowany.

– A to z jakiej okazji?

– Po prostu cię kocham. To wszystko.

– Ja ciebie też, Charlie.

Poklepał mnie po policzku, wyjechał na ulicę i ruszył w stronę tego przeklętego mostu. Odprowadziłem go spojrzeniem, a gdy zniknął mi z oczu, wróciłem do domu.

Przypuszczam, że gdzieś w głębi duszy coś wiedziałem.

# 7

Wyprowadziłem Radar za dom. Nasze podwórko nie mogło się równać z wielkim, półhektarowym podwórzem pana Bowditcha, ale było

wystarczająco duże, by Radar mogła się trochę rozruszać. Co też w końcu zrobiła, zdawałem sobie jednak sprawę, że zostało jej już mało czasu. Jeśli mogłem coś dla niej zrobić, to musiałem się tym zająć jak najszybciej. Wróciliśmy do środka i dałem jej trochę resztek pieczeni rzymskiej z poprzedniego wieczoru, w którą wetknąłem dodatkową tabletkę. Pożarła wszystko w mgnieniu oka, a potem zwinęła się w kłębek na dywaniku w salonie, miejscu, które uznała już za swoją własność. Gdy podrapałem ją za uszami, jak zawsze pod wpływem tej pieszczoty zamknęła oczy i odsłoniła zęby w psim uśmiechu.

– Muszę coś sprawdzić – powiedziałem. – Bądź grzeczna. Wrócę najszybciej, jak będę mógł, dobrze? Postaraj się nie zrobić kupy w domu, ale jeśli będziesz musiała, to zrób ją gdzieś, gdzie łatwo sprzątać.

Pomachała kilkakrotnie ogonem. Uznałem to za wystarczającą odpowiedź. Pojechałem rowerem na Jaworową 1; po drodze wypatrywałem drobnego mężczyzny, który dziwnie się zachowywał i mówił. Nie zauważyłem nikogo, nawet pani Richland.

Wszedłem do środka, wspiąłem się na pierwsze piętro, otworzyłem sejf i założyłem pas z bronią. Mimo ćwieków i rzemyków przy kaburze nie czułem się wcale jak rewolwerowiec, tylko jak wystraszony dzieciak. Jeśli poślizgnę się na krętych schodach i spadnę w przepaść, to kiedy mnie znajdą? Może nigdy. A jeśli tak, to co jeszcze tam odkryją? Pan Bowditch powiedział, że to, co mi zostawia, jest brzemieniem, a nie darem. Wtedy nie do końca to rozumiałem, ale gdy wyjąłem z kuchennej szafki latarkę i wsunąłem ją do tylnej kieszeni dżinsów, wydawało mi się to już oczywiste. Idąc do szopy, łudziłem się nadzieją, że kiedy dotrę na dno studni, nie znajdę tam korytarza do innego świata, lecz tylko stertę kamiennych bloków i kałużę brudnej wody.

I żadnych karaluchów. Nieważne, czy są groźne, czy nie, żadnych karaluchów.

Wszedłem do szopy, omiotłem jej wnętrze światłem latarki i zobaczyłem, że karaluch zastrzelony przez pana Bowditcha zamienia się w kałużę ciemnoszarej brei. Kiedy skierowałem na nią snop światła, jedna z płytek pancerza, który okrywał grzbiet robala, przesunęła się lekko, a ja podskoczyłem przestraszony.

Włączyłem lampy na baterie, podszedłem do desek i pustaków zakrywających studnię i poświeciłem w jedną z piętnastocentymetrowych szpar. Nie dojrzałem niczego prócz schodów znikających w ciemności. Nic się nie poruszało. Nic nie szeleściło. Nie uspokoiło mnie to. Przypomniałem sobie kwestię wypowiadaną w dziesiątkach, może setkach tanich horrorów: „Nie podoba mi się to. Jest zbyt cicho”.

Uspokój się, cisza jest dobra, upominałem się, ale w zetknięciu z czarną otchłanią, na którą właśnie patrzyłem, ta myśl nie miała większej siły przekonywania.

Zrozumiałem, że jeśli będę wahał się zbyt długo, w końcu się wycofam, a potem będzie mi znacznie trudniej dotrzeć choćby do tego miejsca. Wsunąłem więc latarkę do tylnej kieszeni spodni i przeniosłem pustaki. Przesunąłem na bok deski. Potem usiadłem na krawędzi studni, opierając stopy na trzecim schodku. Poczekałem, aż serce się uspokoi (trochę), i stanąłem na tym stopniu, wmawiając sobie, że jest tam mnóstwo miejsca na stopy. Nie było to do końca prawdą. Otarłem ramieniem spocone czoło i powiedziałem sobie, że wszystko będzie dobrze. Nie do końca w to wierzyłem.

Ale ruszyłem w dół.

# 8

„Sto osiemdziesiąt pięć stopni o różnej wysokości”, powiedział pan Bowditch. Liczyłem je, idąc w dół. Poruszałem się bardzo powoli, przyciskając plecy do łukowatej kamiennej ściany, zwrócony twarzą do przepaści. Kamienie były szorstkie i wilgotne. Przez cały czas oświetlałem latarką stopy. „Różnej wysokości”. Nie chciałem się potknąć, bo mogłoby to oznaczać dla mnie koniec.

Na dziewięćdziesiątym stopniu, niemal w połowie drogi, usłyszałem szelesty dobiegające z dołu. Zastanawiałem się, czy poświecić tam latarką, i właściwie byłem gotowy tego nie robić. Gdybym wystraszył kolonię olbrzymich nietoperzy i poleciałyby w moją stronę, najpewniej bym spadł.

Ta myśl wydawała się rozsądna, ale strach okazał się silniejszy. Odchyliłem się odrobinę od ściany, przesunąłem promień latarki wzdłuż opadającej krzywizny schodów i zobaczyłem coś czarnego przycupniętego jakieś dwadzieścia stopni niżej. Nim czarny kształt pomknął w dół, w mrok studni, zdążyłem dojrzeć, że to wielgachny karaluch.

Wziąłem kilka głębokich oddechów, powiedziałem sobie, że wszystko będzie dobrze, nie uwierzyłem w to i ruszyłem dalej. Wędrówka na dno studni zajęła mi dziewięć, może dziesięć minut, bo poruszałem się bardzo powoli. Miałem jednak wrażenie, że trwało to znacznie dłużej. Od czasu do czasu patrzyłem w górę i widok zmniejszającego się z każdą chwilą kręgu światła wcale nie dodawał mi otuchy. Byłem już głęboko pod ziemią, a schodziłem jeszcze głębiej.

Zszedłem ze sto osiemdziesiątego piątego stopnia i stanąłem na dnie. Pokrywała je zbita ziemia, jak opisał to pan Bowditch. Leżało tu też kilka kamiennych bloków, które odpadły od ściany, prawdopodobnie na samej

górze, gdzie mróz i odwilże najpierw je poluzowały, a potem wypchnęły na zewnątrz. Pan Bowditch przytrzymał się szczeliny w jednym z takich otworów i to uratowało mu życie. Pasma czarnej mazi pokrywające stertę kamieni były, jak się domyślałem, odchodami karaluchów.

No i był tam korytarz. Przestąpiłem nad kamieniami i wszedłem do niego. Pan Bowditch miał rację: tunel był na tyle wysoki, że nie musiałem wcale pochylać głowy. Przed sobą znów usłyszałem szelesty; domyślałem się, że tam właśnie wiszą kolonie nietoperzy, przed którymi zostałem ostrzeżony. Nie przepadam za nietoperzami – roznoszą zarazki, czasem wściekliznę – ale nie przerażały mnie tak jak pana Bowditcha. Zbliżając się do nich, czułem przede wszystkim zaciekawienie. Idąc w dół wąskimi spiralnymi schodami (ze stopniami „o różnej wysokości”), omal nie narobiłem w portki ze strachu, ale teraz stałem na płaskiej ziemi, co było naprawdę dużą zmianą na lepsze. Oczywiście nad moją głową zalegały tysiące ton skał i ziemi, ale ten korytarz istniał tu od bardzo dawna i nie sądziłem, by zechciał wybrać właśnie ten moment, by zawalić mi się na głowę. Nie musiałem się też obawiać, że zostanę pogrzebany żywcem: gdyby sufit się zapadł, umarłbym natychmiast.

Wesoło, nie ma co, pomyślałem.

Może nie było mi wesoło, ale moje przerażenie ustąpiło miejsca ekscytacji – a przynajmniej zostało przez nią przytłumione. Jeśli pan Bowditch mówił prawdę, to niedaleko stąd czekał na mnie inny świat. Skoro dotarłem tak daleko, chciałem go zobaczyć. Złoto było w tym najmniej ważne.

Ziemia na dnie zamieniła się w kamienie. A właściwie w bruk, jak w starych filmach o dziewiętnastowiecznym Londynie. Teraz szelesty dochodziły wprost znad mojej głowy, więc wyłączyłem latarkę. Nieprzenikniona ciemność znów wzbudziła we mnie strach, lecz nie

chciałem się znaleźć w obłoku nietoperzy. Kto wie, może to były nietoperze żywiące się krwią, wampiry. Mało prawdopodobne w Illinois… Tyle że właściwie nie byłem wcale w Illinois, prawda?

„Szedłem i szedłem przez jakieś dwa kilometry”, powiedział pan Bowditch, więc liczyłem kroki, aż straciłem rachubę. Nie musiałem się przynajmniej obawiać, że latarka nie zadziała, gdy będę jej potrzebował, bo baterie w długiej rączce były nowe. Wsłuchany stale w szelesty nad moją głową, czekałem niecierpliwie, aż zobaczę światło dnia. Czy te nietoperze naprawdę były wielkie jak kondory? Nie chciałem się o tym przekonywać.

W końcu zobaczyłem światło – odległą jasną plamkę. Gdy szedłem dalej, zamieniła się w krąg, na tyle jasny, że zostawiał powidok za każdym razem, gdy zamykałem oczy. Zapomniałem całkiem o oszołomieniu opisywanym przez pana Bowditcha, ale gdy mnie ogarnęło, zrozumiałem od razu, o czym mówił.

Pewnego razu, kiedy miałem jakieś dziesięć lat, Bertie Bird i ja najpierw przez chwilę oddychaliśmy wyjątkowo szybko i głęboko, a potem uściskaliśmy się nawzajem z całych sił, żeby sprawdzić, czy uda nam się zemdleć, bo taki właśnie sposób na omdlenie podsunął Bertiemu jeden z jego kolegów. Żaden z nas nie stracił przytomności, ale mnie zakręciło się mocno w głowie i opadłem na tyłek, dziwnie otępiały, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Właśnie tak wyglądało to w tunelu. Szedłem dalej, ale czułem się jak balonik z helem przywiązany do mojego ciała i podrygujący w rytm kroków. Byłem pewien, że gdyby łączący nas sznurek pękł, odleciałbym w dal.

Potem to uczucie, zgodnie z tym, co opowiadał pan Bowditch, minęło. Mówił, że to była swego rodzaju granica i ja też tak to odebrałem. Zostawiłem za sobą Sentry’s Rest. I stan Illinois. I Amerykę. Byłem w Tym Innym.

Dotarłem do otworu i zobaczyłem, że sufit pokryty jest ziemią, z której zwisały długie, cienkie korzenie. Pochyliłem się, przeszedłem pod nimi i stanąłem na zboczu wzgórza. Niebo było szare, ale zbocze jaskrawoczerwone. Jak okiem sięgnąć na lewo i na prawo ciągnęły się cudownym kobiercem maki. Ścieżka między kwiatami prowadziła do drogi. Po drugiej stronie drogi rozciągało się kolejne pole maków, sięgające do oddalonego o jakieś półtora kilometra gęstego lasu, który przywiódł mi na myśl knieje znajdujące się niegdyś w miejscu mojego miasteczka. Ścieżka była wąska i nieco już zarośnięta, droga natomiast wyglądała całkiem inaczej. Była równa i szeroka, prawdziwa arteria, choć jej nawierzchnię stanowiła tylko ubita ziemia. W miejscu, w którym dochodziła do niej ścieżka, stała mała schludna chata z dymiącym kamiennym kominem. Dostrzegłem tam sznury na bieliznę obwieszone jakimiś przedmiotami, które nie były bielizną ani ubraniami. Z tej odległości nie byłem w stanie ich rozpoznać.

Spojrzałem na odległy horyzont i zobaczyłem panoramę wielkiego miasta. Blask dnia odbijał się mgliście od najwyższych wież, jakby zbudowano je ze szkła. Z zielonego szkła. Czytałem *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, widziałem też film, nie mogłem więc nie rozpoznać Szmaragdowego Miasta.

## 9

Ścieżka prowadząca do drogi i chaty miała jakieś osiemset metrów długości. Przystanąłem na niej dwukrotnie: raz, by spojrzeć na otwór

w zboczu wzgórza – zasłonięty po części wiszącymi korzeniami, wyglądał jak wejście do jaskini – a drugi raz, żeby rzucić okiem na telefon. Zakładałem, że zobaczę na ekranie komunikat BRAK USŁUGI, ale nie doczekałem się nawet tego. Mój iPhone w ogóle nie chciał się włączyć. Tutaj był tylko kawałkiem czarnego szkła, równie użytecznym jak przycisk do papieru.

Nie przypominam sobie, żebym był zdumiony lub oszołomiony, nawet widokiem tych szklanych wież. Wciąż ufałem swoim zmysłom. Widziałem w górze szare niebo, niskie chmury, które zapowiadały zbliżający się deszcz. Idąc wąską ścieżką między makami, czułem drżenie rosnących organizmów napierających na moje spodnie. Gdy zszedłem ze zbocza, większość budynków miasta zniknęła mi z oczu: widziałem tylko najwyższe wieże. Próbowałem odgadnąć, jaka dzieli mnie od nich odległość, lecz nie byłem w stanie. Pięćdziesiąt kilometrów? Sześćdziesiąt?

Najlepszy był zapach maków – jakby połączona woń kakao, wanilii i wiśni. Nie licząc zapachu włosów mamy, w które wtulałem się jako dziecko, był to najcudowniejszy aromat, jaki miałem szczęście poczuć w życiu. Bez dwóch zdań. Liczyłem na to, że chmury odczekają jeszcze trochę z deszczem, lecz nie dlatego, że bałem się zmoknąć. Wiedziałem, że wilgoć zintensyfikuje zapach, a jego piękno może mnie zabić. (Przesadzam, ale nie aż tak bardzo, jak sądzicie). Nie widziałem żadnych królików, małych ani dużych, słyszałem jednak, jak skaczą w trawie i pośród kwiatów, a raz na kilka sekund dojrzałem wysokie uszy. Słyszałem też cykanie świerszczy i zastanawiałem się, czy też są nienaturalnie duże, jak karaluchy i nietoperze.

Gdy byłem już niedaleko chaty – drewniane ściany, dach kryty strzechą – zatrzymałem się raptownie, zdumiony tym, co teraz widziałem już całkiem wyraźnie. Na sznurkach rozciągniętych za chatą i po obu jej

bokach wisiały buty. Drewniane, materiałowe, sandały, kapcie. Jeden ze sznurów uginał się pod ciężarem zamszowego buciora ze srebrnymi klamrami. Czy był to siedmiomilowy but, ten ze starej bajki? Z pewnością tak właśnie wyglądał. Podszedłem bliżej i dotknąłem go. Był miękki jak masło i gładki jak atłas. Stworzony do wędrówek, pomyślałem. Stworzony dla kota w butach. Tylko gdzie jest drugi?

Jakby na zawołanie otworzyły się tylne drzwi chaty i wyszła zza nich kobieta z drugim buciorem w dłoni; jego sprzączki lśniły w łagodnym blasku dnia. Wiedziałem, że to kobieta, bo nosiła różową suknię i czerwone buty, a także dlatego, że zza dekoltu wylewały się obfite piersi, jednak jej skóra była ciemnoszara, a twarz okropnie zdeformowana. Wyglądało to niemal tak, jakby ktoś nakreślił jej rysy węglem, a jakieś okrutne bóstwo potarło ten rysunek dłonią, niemal całkowicie je zamazując i zniekształcając. Jej oczy były wąskimi szparami, podobnie jak nozdrza. Usta przyjęły kształt pozbawionego warg półksiężyca. Powiedziała coś do mnie, ale nie mogłem jej zrozumieć. Myślę, że jej struny głosowe zostały potraktowane w taki sam sposób jak twarz. Lecz bezwargie usta bez wątpienia układały się w uśmiech, miałem też poczucie – czułem takie wibracje, jeśli wolicie to określenie – że nie mam się czego z jej strony obawiać.

– Hizz, hazz! Azzie? Ern?

Dotknęła buciora wiszącego na sznurze.

– Tak, bardzo ładny – powiedziałem. – Rozumiesz mnie?

Skinęła głową, a potem wykonała dobrze mi znany gest: kciuk i palec wskazujący tworzące kółko, które oznacza niemal na całym świecie „w porządku” (z wyjątkiem tych rzadkich przypadków, gdy imbecyle chcą w ten sposób pokazać, że „biali rządzą”). Wydała z siebie jeszcze kilka hizzów i hazzów, a potem wskazała na moje tenisówki.

– Co?

Zerwała but ze sznura, na którym utrzymywały go dwie drewniane klamerki starego typu, takie bez sprężyny. Trzymając oba buciory w jednej ręce, drugą wskazała na moje tenisówki. A potem znów na buciory.

Pytała pewnie, czy chcę się zamienić.

– Nie powiem, kusi mnie, ale to chyba nie mój rozmiar.

Wzruszyła ramionami i odwiesiła oba buciory. Inne buty – w tym pantofel z zielonego atłasu, z zawiniętym czubkiem, rodem z baśni Bliskiego Wschodu – zakołysały się i obróciły na wietrze. Gdy wpatrywałem się dłużej w roztartą twarz kobiety, kręciło mi się w głowie. Próbowałem widzieć ją taką, jaka była kiedyś. I prawie mi się udawało.

Podeszła bliżej i obwąchała moją koszulę wąskimi nozdrzami. Potem podniosła ręce na wysokość ramion i poruszyła dłońmi tak, jakby próbowała coś podrapać.

– Nie rozumiem.

Podskoczyła i wydała z siebie dźwięk, który w połączeniu z gestem obwąchiwania nabrał wyraźniejszego znaczenia.

– Masz na myśli Radar?

Pokiwała głową na tyle energicznie, że jej rzednące brązowe włosy uniosły się i opadły. Znów wydała z siebie jakiś dźwięk, tym razem coś w rodzaju „Hła, hła, hła”, co miało zapewne oznaczać „Hau, hau, hau”.

– Jest w moim domu.

Skinęła głową i przyłożyła dłoń do piersi, nad sercem.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że ją kochasz, to ja też ją kocham – odparłem. – Kiedy ostatnio ją widziałaś?

Kobieta od butów podniosła wzrok na niebo, jakby liczyła w myślach, po czym wzruszyła ramionami.

– Dano.

– Jeśli masz na myśli „dawno”, to masz rację, bo teraz jest już stara. Już tak nie skacze. Ale pan Bowditch… Znałaś go? Jeśli znasz Radar, to musiałaś znać jej pana.

Znów pokiwała energicznie głową i kąciki jej szczątkowych ust uniosły się w uśmiechu. Miała tylko kilka zębów, ale te, które dojrzałem, wydawały się zadziwiająco białe na tle szarej skóry.

– Arian.

– Adrian? Adrian Bowditch?

Kiwała głową z taką siłą, jakby chciała sobie zwichnąć szyję.

– Ale nie wiesz, jak dawno temu tu był?

Spojrzała ponownie na niebo, a potem pokręciła głową.

– Radar była wtedy młoda?

– Eh-he.

– Była szczeniakiem?

Znów kiwanie głową.

Wzięła mnie za rękę i zaciągnęła za róg. (Musiałem się pochylić pod następnym sznurem z butami, żeby nie stracić głowy). Był tam skrawek przekopanej i zagrabionej ziemi, jakby gotowej do sadzenia jakichś roślin. Dostrzegłem też rozklekotany wózek, oparty na dwóch długich uchwytach. Leżały w nim dwa jutowe worki, z których wystawało coś zielonego. Uklękła i pokazała mi, bym zrobił to samo.

W ten sposób znaleźliśmy się naprzeciwko siebie. Pochyliła się i bardzo powoli, z wyraźnym wahaniem, poruszając ręką, pisała palcem w ziemi. Przerwała raz czy dwa, przypominając sobie chyba kształt liter, po czym dokończyła.

Po krótkiej pauzie dodała:

?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, po czym pokręciłem głową. Kobieta podniosła się na czworaki i ponownie wydała dźwięk, który – jej zdaniem – przypominał szczekanie. Wtedy zrozumiałem.

– Tak – powiedziałem. – Miała bardzo dobre życie. Ale teraz jest już stara, jak mówiłem. I nie… nie radzi sobie najlepiej.

Wtedy to do mnie dotarło. Nie tylko Radar i pan Bowditch, ale wszystko. Dar będący brzemieniem, które miałem nieść. Rozkładające się karaluchy i dom przy Jaworowej 1, splądrowany prawdopodobnie przez człowieka, który zamordował pana Heinricha. Czyste szaleństwo, jakim był pobyt w tym miejscu, klęczenie na ziemi z kobietą bez twarzy, zbierającą buty i wieszającą je na krzyżujących się sznurach. Ale przede wszystkim Radar. Myśl o tym, jak czasami nie mogła wstać rano albo po drzemce. Albo jak nie dojadała swojej porcji, a potem obdarzała mnie spojrzeniem mówiącym: „Wiem, że powinnam tego chcieć, ale nie chcę”. Rozpłakałem się.

Kobieta od butów objęła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie.

– Usz obsze.

Potem, gdy mocno się skupiła, zdołała powiedzieć całkiem wyraźnie:

– Już dobrze.

Odpowiedziałem jej uściskiem. Roztaczała wokół siebie jakiś zapach, delikatny i miły. Uświadomiłem sobie, że to zapach maków. Szlochałem głośno i gwałtownie, a ona mnie trzymała i klepała po plecach. Gdy się odsunąłem, nie płakała – może nie mogła – lecz kąciki jej ust opadały, a nie unosiły się. Otarłem twarz rękawem i spytałem, czy to pan Bowditch nauczył ją pisać, czy już wcześniej umiała.

Przysunęła szary kciuk do palca wskazującego i środkowego, które jakby nie mogły się rozdzielić.

– Nauczył cię trochę?

Pokiwała głową, a potem znów napisała coś na ziemi.

przyjale

– Był też moim przyjacielem. Odszedł.

Przechyliła głowę na bok i pasma brązowych włosów opadły na jej ramię.

– Umarł – dodałem.

Zakryła wąskie szpary oczu dłońmi w najbardziej wyrazistym geście smutku, jaki kiedykolwiek widziałem. Potem znów mnie uściskała. Puściła mnie, wskazała na buty na najbliższym sznurku i pokręciła głową.

– Nie – powiedziałem. – Nie będzie potrzebował butów. Już nie.

Wskazała dłonią na swoje usta i poruszyła nimi, jakby coś przeżuwała, co wyglądało dość okropnie. Potem pokazała na chatę.

– Jeśli pytasz, czy chcę coś zjeść, to dziękuję, ale nie mogę. Muszę wracać. Może innym razem. Wkrótce. Przyprowadzę Radar, jeśli mi się uda. Przed śmiercią pan Bowditch powiedział, że można jej przywrócić młodość. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale twierdził, że na niego to podziałało. Mówił o wielkim zegarze słonecznym. Tam. – Wyciągnąłem rękę w stronę miasta.

Szpary jej oczu rozszerzyły się odrobinę, a usta otworzyły, układając się w niemal pełne O. Przyłożyła dłonie do szarych policzków, upodabniając się do tego słynnego obrazu z krzyczącą kobietą. Potem pochyliła się nad ziemią i starła to, co napisała wcześniej. Tym razem pisała szybciej i być może było to słowo, którego często używała, bo nie zrobiła żadnego błędu.

zagrożenie

– Wiem. Będę uważał.

Przyłożyła stopione razem palce do na wpół startych ust, jakby nakazywała mi milczenie.

– Wiem. Tam trzeba być cicho. O tym też mi mówił. Jak się właściwie nazywasz? Możesz mi zdradzić swoje imię?

Pokręciła ze zniecierpliwieniem głową i wskazała na usta.

– Trudno ci mówić wyraźnie.

Skinęła głową i napisała w ziemi:

Deerie

Spojrzała na swoje dzieło, pokręciła głową, zmazała je i spróbowała ponownie.

DORA

Spytałem, czy Deerie było jej ksywką. Przynajmniej próbowałem, ale słowo „ksywka” nie mogło mi przejść przez usta. Nie zapomniałem go, po prostu nie mogłem wypowiedzieć. Poddałem się i spytałem:

– Czy pan Bowditch mówił do ciebie po przyjacielsku Deerie, Doro?

Skinęła głową i otrzepała dłonie.

– Bardzo miło było cię poznać, Doro – powiedziałem, wstając.

Nie znałem jej dość dobrze, by nazywać ją Deerie, ale rozumiałem, dlaczego robił to pan Bowditch. Miała dobre serce.

Skinęła głową, poklepała po piersi najpierw mnie, a potem siebie. Chyba żeby pokazać, że jesteśmy kumplami. „Przyjelami”. Półksiężyc jej ust znów skierował się ku górze i podskoczyła w swoich czerwonych

butach tak, jak zapewne skakała niegdyś Radar, nim zaczęły jej dokuczać obolałe stawy.

– Tak, przyprowadzę ją, jeśli będę mógł… jeśli ona będzie mogła. I zabiorę ją do zegara słonecznego, jeżeli tylko będzie to możliwe.

Choć nie miałem pojęcia, jak to zrobię.

Wskazała na mnie, a potem łagodnie opuściła otwarte dłonie, jakby coś klepała. Nie jestem pewien, ale chyba miało to oznaczać „Bądź ostrożny”.

– Będę. Dziękuję ci za życzliwość, Doro.

Odwróciłem się w stronę ścieżki, kobieta złapała mnie jednak za koszulę i pociągnęła do tylnych drzwi jej chaty.

– Naprawdę nie mogę…

Skinęła głową, by pokazać, że rozumie, że nie mogę zostać na posiłek, lecz ciągnęła mnie nadal. Gdy znaleźliśmy się przy drzwiach, wskazała w górę. Na nadprożu, wyżej, niż mogła sięgnąć, coś wyryto. Były to jego inicjały: AB. Jego prawdziwe inicjały.

Wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl, która była konsekwencją tego, że nie mogłem wypowiedzieć słowa „ksywka”. Wskazałem na inicjały i powiedziałem:

– To jest…

Przyszedł mi do głowy wyraz „obłędne”, może nie najmądrzejsze slangowe określenie, ale dobrze nadające się do testu, który chciałem właśnie przeprowadzić.

Nie mogłem wydobyć tego słowa z gardła. Po prostu nie byłem w stanie.

Dora patrzyła na mnie wyczekująco.

– Zdumiewające – powiedziałem. – To jest zdumiewające.

# 10

Wspiąłem się na zbocze, zanurkowałem pod zwisającymi korzeniami i ruszyłem w drogę powrotną w głąb tunelu. Poczucie oszołomienia, nieziemskości, pojawiło się i zniknęło. Nietoperze szeleściły mi nad głową, ale byłem zbyt pochłonięty rozmyślaniami o tym, co się przed chwilą wydarzyło, by zwracać większą uwagę na te dźwięki. W pewnym momencie bezmyślnie włączyłem latarkę, by zobaczyć, ile jeszcze drogi zostało mi do końca. Nie wszystkie poderwały się do lotu, ale kilka to zrobiło; widziałem je w świetle latarki. Były duże, owszem. Olbrzymie. Szedłem dalej w ciemności, wyciągając przed siebie rękę, by je zatrzymać, gdyby poleciały w moją stronę, ale na szczęście nie zrobiły tego. Jeśli w pobliżu były wielkie karaluchy, to ich nie słyszałem.

Nie byłem w stanie wymówić słowa „ksywka”. Nie mogłem wydusić z siebie słowa „obłędne”. Czy mógłbym powiedzieć „palant”, „wpierdol” albo „mendzisz, stary”? Raczej nie. Nie mogłem stwierdzić, że wiem na sto procent, co to oznacza, byłem jednak niemal pewien, że się nie mylę. Myślałem, że Dora mnie rozumie, bo zna angielski… ale jeśli rozumiała mnie dlatego, że mówiłem jej językiem? Takim, w którym nie istniały słowa w rodzaju „ksywka” czy „obłędny”?

Gdy bruk na dnie korytarza ustąpił miejsca ziemi, uznałem, że mogę już włączyć latarkę, choć kierowałem światło tylko w dół. Pan Bowditch twierdził, że miejsce, gdzie zaczyna się bruk, jest oddalone od schodów o jakieś czterysta metrów; mówił nawet, że to zmierzył. Tym razem nie straciłem rachuby kroków i naliczyłem ich dokładnie pięćset pięćdziesiąt, nim dotarłem do schodów. Wysoko w górze, przy wylocie studni, widać było światło bateryjnych lamp zainstalowanych przez pana Bowditcha.

Wchodziłem na stopnie pewniej, niż z nich schodziłem, ale tak czy inaczej, przez całą drogę starałem się nie odrywać prawego ramienia od ściany. Dotarłem na górę bez przeszkód i pochylałem się właśnie, by nasunąć drugą deskę na wejście do studni, gdy poczułem, jak coś okrągłego i twardego wbija się w tył mojej głowy. Znieruchomiałem.

– Bardzo dobrze, nie próbuj żadnych sztuczek, a wszystko będzie dobrze. Powiem ci, kiedy masz się ruszyć.

Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak ten ktoś mówi tym samym dziarskim, melodyjnym głosem: „Co mi dasz, jeśli uprzędę z tej słomy złoto?”.

– Nie chcę cię zabić, dzieciaku. I nie zabiję, jeśli dostanę to, po co przyszedłem. – Potem dodał, nie parskając śmiechem, lecz jakby czytając pojedyncze słowa z książki: – Ha-ha.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

## Christopher Polley. Rozsypane złoto. Nie taki znów miły. Przygotowania.

### 1

Nie pamiętam, jak się czułem w tamtej chwili. Pamiętam jednak, co myślałem: Rumpelsztyk mierzy z pistoletu w moją głowę.

– Co tam jest?

– Co?

– Słyszałeś. Siedziałeś w tej dziurze bardzo długo, myślałem już, że może umarłeś. Więc co tam jest?

Wtedy przemknęła mi przez głowę inna myśl: Nie może się dowiedzieć. Nikt nie może się dowiedzieć.

– Pompy – powiedziałem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Pompy? Pompy?! To właśnie tam jest, ha-ha?

– Tak. Inaczej w czasie deszczu woda zalewa tylne podwórko i spływa ulicą. – Powoli odzyskiwałem rezon. – Są stare. Sprawdzałem, czy muszę sprowadzić kogoś z miasta, żeby je obejrzał. Wiesz, kogoś z wodociągów i kana…

– Bzdura. Ha-ha. Co tam jest naprawdę? Złoto?

– Nie. Tylko pompy.

– Nie odwracaj się, dzieciaku, to nie byłoby rozsądne. Absolutnie nie. Zszedłeś tam z tą wielką pukawką, żeby obejrzeć pompy?

– Szczury – odpowiedziałem. Strasznie zaschło mi w ustach. – Pomyślałem, że tam mogą być szczury.

– Bzdura, kompletna bzdura. A co tam leży? Kawałek pompy? Nie ruszaj się, popatrz tylko w prawo.

Popatrzyłem i zobaczyłem rozpadające się truchło wielkiego karalucha, którego zabił pan Bowditch. Niewiele z niego zostało.

Zawiodła mnie nawet ta kiepska wymówka, którą wymyśliłem na poczekaniu, odpowiedziałem więc, że nie wiem. Człowieka, którego nazywałem w myślach Rumpelsztykiem, i tak to nie obchodziło. Skupiał się tylko na upragnionym skarbie.

– Nieważne. Na razie zajrzymy do sejfu tego starucha. Może później zajmiemy się też „pompami”. Do domu, dzieciaku. A jeśli po drodze zaczniesz coś kombinować, odstrzelę ci łeb. Ale najpierw odepnij to żelazo, wspólniku, ha-ha, i rzuć je na ziemię.

Gdy zacząłem się pochylać, żeby rozwiązać rzemyki kabury, lufa pistoletu znów wbiła się w tył mojej głowy.

– Kazałem ci się schylać? Rozepnij tylko pas.

Rozpiąłem. Kabura uderzyła mnie w kolano i obróciła się, tak że rewolwer spadł na podłogę szopy.

– Teraz możesz zapiąć z powrotem. Ładny pas, ha-ha.

(Od tego miejsca będę już pomijał większość tych pieprzonych „ha-ha”, bo powtarzał to przez cały czas jak przerywnik interpunkcyjny. Pozwolę sobie tylko dodać, że brzmiało to bardzo, bardzo Rumpelsztykowo. Czyli przerażająco).

– Odwróć się.

Odwróciłem się, a on razem ze mną. Byliśmy niczym figurki w pozytywce.

– Powoli, chłopie, powoli.

Wyszedłem z szopy. On kroczył tuż za mną. W tamtym świecie niebo było zachmurzone, ale tutaj świeciło słońce. Widziałem nasze cienie, jego z wyciągniętą do przodu ręką z cienistym pistoletem w cienistej dłoni. Mój umysł pracował już nieco szybciej i zdołał wrzucić drugi bieg, ale potrzebował jeszcze sporo czasu, żeby włączyć trzeci. Byłem kompletnie skołowany i wciąż nie mogłem się z tego otrząsnąć.

Wspięliśmy się na schody tylnej werandy. Otworzyłem drzwi i przeszliśmy do kuchni. Pamiętam, że myślałem wtedy, ileż to już razy byłem w tym miejscu, nie podejrzewając nawet, że wkrótce znajdę się tu po raz ostatni. Bo on zamierzał mnie zabić.

Tyle że postanowiłem do tego nie dopuścić. Pomyślałem o tym, co się stanie, jeśli ludzie znajdą studnię światów, i wiedziałem już, że nie mogę mu na to pozwolić. Pomyślałem o policjantach albo antyterrorystach, albo żołnierzach wbiegających na małe podwórko kobiety od butów, zrywających jej sznury i zrzucających buty na ziemię, o jej pełnej przerażenia twarzy, i wiedziałem, że nie mogę do tego dopuścić. Pomyślałem o facetach z bronią wchodzących z hukiem do miasta i budzących to, co trwało tam dotąd w uśpieniu, i wiedziałem, że nie mogę do tego dopuścić. Tyle że nie mogłem powstrzymać tego człowieka. I wszystko wskazywało na to, że to on będzie śmiał się ostatni.

Ha-ha.

# 2

Weszliśmy schodami na piętro, ja pierwszy, a Rumpel-skurwiel-sztyk za mną. Zastanawiałem się, czy w połowie drogi nie rzucić się nagle do tyłu i nie strącić go na dół, ale nie spróbowałem. Mogło się udać, ale gdyby się nie udało, pewnie pożegnałbym się z życiem. Gdyby była tu Radar, na pewno zaatakowałaby Rumpla, nie zważając na swój wiek i chore stawy, i pewnie też by zginęła.

– Sypialnia, chłopie. Ta z sejfem.

Wszedłem do sypialni pana Bowditcha.

– To ty zabiłeś pana Heinricha, prawda? – spytałem.

– Co? To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. Złapali faceta, który to zrobił.

Nie drążyłem tematu. Ja wiedziałem, on wiedział, wiedział też, że ja wiem. Wiedziałem też kilka innych rzeczy. Przede wszystkim, że jeśli będę uparcie twierdził, że nie znam szyfru do sejfu, zabije mnie. Pozostałe scenariusze były różnymi wariacjami na temat tego pierwszego.

– Otwórz szafę, dzieciaku.

Zrobiłem to. Pusta kabura obijała się o moje udo. Taki to był ze mnie rewolwerowiec.

– A teraz sejf.

– Jeśli to zrobię, zabijesz mnie.

Przez moment milczał, przyswajając tę oczywistą prawdę.

– Nie, nie zabiję cię – powiedział w końcu. – Tylko cię związę, ha-ha.

„Ha-ha” było najlepszym podsumowaniem tego kłamstwa, bo jak niby zamierzał to zrobić? Pani Richland mówiła, że jest drobny, jej wzrostu, co oznaczało mniej więcej sto sześćdziesiąt dwa centymetry. Ja miałem ponad

trzydzieści centymetrów więcej i byłem wysportowany, ostatnio głównie dzięki pracom w tym domu i jeździe na rowerze. Żeby mnie związać, musiałby mieć wspólnika, który przez cały czas mierzyłby do mnie z broni.

– Nie zabijesz? Naprawdę? – Starałem się mówić drżącym głosem, co… wierzcie mi… wcale nie było trudne.

– Tak! A teraz otwórz sejf!

– Obiecujesz?

– Right-o, chłopie. Otwieraj albo wpakuję ci kulkę w kolano i nigdy już nie zatańczysz tanga, ha-ha.

– Dobrze. Jeśli tylko obiecasz, że na sto procent mnie nie zabijesz.

– Już to ustaliliśmy, jak mawiają w sądzie. No, otwieraj!

Pomijając wszystkie inne powody, dla których musiałem żyć, nie mogłem pozwolić, żeby ten cienki śpiewny głos był ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszę w życiu. Po prostu nie mogłem.

– Dobra.

Ukląkłem przed sejfem. On mnie zabije, myślałem. I: Nie mogę pozwolić, żeby mnie zabił. Nie pozwolę, żeby mnie zabił.

Ze względu na Radar.

Ze względu na kobietę od butów.

I ze względu na pana Bowditcha, który powierzył mi to brzemię, bo nie znał nikogo innego, komu mógłby to zaproponować.

Uspokoiłem się.

– Tam jest strasznie dużo złota – powiedziałem. – Nie wiem, skąd je wziął, ale naprawdę robi wrażenie. Przez lata płacił nim za wszystko.

– Przestań gadać i otwieraj sejf! – Potem, jakby nie mógł się powstrzymać, spytał: – Ile?

– Człowieku, sam nie wiem. Może z milion dolarów albo i więcej. Jest w wiadrze, tak ciężkim, że nie mogę go unieść.

Nie miałem pojęcia, jak przechytrzyć tego małego skurwiela. Byłoby pewnie łatwiej, gdybym stał z nim twarzą w twarz, a nie klęczał z lufą jego pistoletu oddaloną o dwa centymetry od mojej głowy. Ale gdy trenując baseball i futbol, doszedłem do poziomu reprezentacji szkoły, nauczyłem się, jak na czas meczu wyłączać umysł i pozwolić, by to ciało instynktownie podejmowało decyzje. Teraz musiałem zrobić to samo. Nie miałem innego wyjścia. Czasami, gdy przegrywaliśmy mecz futbolowy, zwłaszcza na wyjeździe, gdzie wygwizdywały nas setki ludzi, skupiałem się na obrońcy z przeciwnej drużyny i mówiłem sobie, że to wredny sukinsyn i że nie tylko rzucę go na ziemię, ale też rozgniotę jak pieprzoną pluskwę. Zwykle nie działało to zbyt skutecznie, chyba że facet był bufonem, który po ważnym meczu pokazywał mi swoją triumfującą gębę, ale w tym przypadku zadziałało. Rumpel mówił triumfującym głosem, a to wystarczyło, żebym go znienawidził.

– Pospiesz się, stary chłopie dzieciaku. Otwórz ten sejf albo nigdy już nie będziesz biegał.

Raczej nigdy się już nie podniosę.

Obróciłem gałkę w jedną stronę… potem w drugą… i z powrotem. Trzy numery zrobione, został jeszcze jeden. Zaryzykowałem i zerknąłem przez ramię. Zobaczyłem wąską twarz – wąską i chytrą, niemal jak pysk lisa – pod starą czapką White Soxów z wysoką koroną i czerwonym kółkiem w miejscu „o”, między „S” a „x”.

– Mogę sobie wziąć choć trochę? – spytałem.

Roześmiał się drwiąco. Paskudnie.

– Otwieraj! Przestań się na mnie gapić i otwieraj!

Ustawiłem gałkę na ostatnim numerze i pociągnąłem za uchwyt. Nie widziałem, jak Rumpel zagląda mi przez ramię, ale czułem go: cuchnął kwaśnym potem, takim, który niemal wżera się w skórę człowieka, jeśli ten długo się nie myje.

Drzwiczki sejfu otworzyły się na całą szerokość. Nie wahałem się, bo ten, kto się waha, przegrywa. Pochwyciłem krawędź wiadra i przewróciłem je tak, by zawartość wysypała się między moimi nogami. Złote drobiny wypłynęły szerokim strumieniem i potoczyły się po podłodze na wszystkie strony. W tym samym momencie rzuciłem się do wnętrza szafy. Wystrzelił. Huk był niewiele głośniejszy od wybuchu petardy. Czułem, jak pocisk przelatuje między moim ramieniem a uchem. Rąbek jednego z wiszących w szafie staromodnych garniturów zadrżał, gdy przeszyła go kula.

Pan Bowditch miał mnóstwo butów; Dora by mu ich pozazdrościła. Pochwyciłem ciężki trzewik z cholewą powyżej kostki, przetoczyłem się na bok i rzuciłem. Rumpel się uchylił. Rzuciłem drugim butem. Mężczyzna znów próbował się uchylić, ale gdy trzewik trafił go w pierś, cofnął się o krok i postawił stopę na wciąż toczących się drobinach złota. Stracił równowagę i poleciał do tyłu. Wylądował ciężko na plecach, z szeroko rozłożonymi nogami, ale wciąż trzymał broń. Była znacznie mniejsza od rewolweru pana Bowditcha, co tłumaczyło, dlaczego strzał nie wydawał się zbyt głośny.

Nie próbowałem wstawać, przykucnąłem tylko i odepchnąłem się mocno od podłogi. Przeleciałem nad rozsypanym złotem jak supermen i wylądowałem na przeciwniku. Ja byłem duży, on mały. Powietrze uszło z niego z głośnym „Puff”. Oczy wyszły mu z orbit. Jego usta były soczyście czerwone i lśniły od śliny.

– Zejdź… ze… mnie! – wysapał z najwyższym trudem.

Jasne. Sięgnąłem do dłoni trzymającej broń, lecz nie złapałem jej dobrze; poprawiłem uchwyt, nim Rumpel mógł skierować lufę na moją twarz. Pistolet wystrzelił po raz drugi. Nie wiem, gdzie poleciał ten pocisk, i nie obchodziło mnie to, bo nie poleciał we mnie. Nadgarstek mężczyzny był śliski od potu, zacisnąłem więc dłoń najmocniej, jak potrafiłem, i wygiąłem go. Rozległ się cichy trzask. Rumpelsztyk zawył cienko. Broń wysunęła się z jego dłoni i spadła na podłogę. Podniosłem ją i wymierzyłem w niego.

Znów wydał z siebie ten cienki wrzask i zakrył twarz ręką, jakby to mogło powstrzymać pocisk. Druga wisiała bezwładnie na złamanym nadgarstku, który już zaczynał puchnąć.

– Nie, proszę! Proszę, nie zabijaj mnie! Błagam!

Ani jednego pieprzonego „ha-ha”.

# 3

Przypuszczam, że być może zdążyliście już polubić młodego Charliego Reade’a – jak bohatera którejś z książek przygodowych dla młodzieży. Jestem tym dzieciakiem, który został przy swoim ojcu, gdy ten pił, ścierał jego wymiociny, modlił się za niego (na kolanach!) i jego modlitwy zostały wysłuchane. Jestem tym dzieciakiem, który uratował starca, kiedy ten spadł z drabiny, próbując wyczyścić rynny. Dzieciakiem, który odwiedzał go w szpitalu, a potem opiekował się nim, gdy starszy pan wrócił do domu. Który zakochał się w wiernym psie staruszka, a wierny pies zakochał się w nim. Założyłem pas z czterdziestkąpiątką i przeszedłem przez ciemny

korytarz (nie wspominając już nawet o olbrzymich nietoperzach i karaluchach), by wkroczyć do innego świata, gdzie zaprzyjaźniłem się ze starszą panią o zniszczonej twarzy, zbierającą buty. Jestem dzieciakiem, który pokonał zabójcę pana Heinricha, sprytnie rozrzucając na podłodze złote drobiny, by bandzior stracił równowagę i upadł. Boże, grałem nawet w dwóch reprezentacjach szkoły! Silny i wysoki, bez trądziku! Ideał, prawda?

Tyle że byłem też dzieciakiem wkładającym petardy do skrzynek pocztowych i niszczącym listy, które dla kogoś mogły być bardzo ważne. Byłem dzieciakiem, który rozsmarował psie gówno na przedniej szybie samochodu pana Dowdy'ego i zalał klejem dziurkę na klucz w stacyjce starego forda kombi pani Kendrick, gdy przypadkiem odkryliśmy z Bertiem, że samochód jest otwarty. Przesuwałem płyty nagrobne. Kradłem w sklepach. Bertie Bird towarzyszył mi podczas wszystkich tych ekspedycji i to wprawdzie on zadzwonił z ostrzeżeniem o podłożonej bombie, ale go nie powstrzymałem. Były jeszcze inne rzeczy, o których wam nie powiem, bo za bardzo się wstydzę. Wspomnę tylko, że wystraszyliśmy jakieś małe dzieciaki tak bardzo, że popłakały się i posikały z przerażenia.

Jednak nie taki znów miły, co?

I byłem wściekły na tego drobnego faceta w brudnych sztruksowych spodniach i bluzie dresowej Nike, faceta z pozlepianymi tłustymi włosami, które opadały na jego wąską lisią twarz. Byłem wściekły (oczywiście), bo zabiłby mnie, gdy tylko dostałby złoto – raz już zabił, więc dlaczego nie miałby tego zrobić znowu? Byłem wściekły, bo gdyby mnie zabił, gliniarze – prawdopodobnie dowodzeni przez detektywa Gleasona i jego nieustraszonych pomagierów, funkcjonariuszy Witmarka i Coopera – weszliby do szopy i znaleźli coś, przy czym zabójstwo Charlesa McGee

Reade’a byłoby mało znaczącym incydentem. Przede wszystkim jednak byłem wściekły – może nie będzie wam się chciało w to wierzyć, ale taka jest prawda – bo najście tego człowieka wszystko utrudniło. Czy miałem zgłosić tę sprawę na policję? To wiązałoby się z odkryciem złota, co z kolei pociągnęłoby za sobą miliard pytań. Gdybym nawet pozbierał drobiny i odłożył do sejfu, pan Ha-Ha wszystko by wypaplał. Może w nadziei na łagodniejsze traktowanie ze strony prokuratora, a może z czystej złośliwości.

Rozwiązanie mojego problemu było oczywiste. Jeśli umrze, nikomu nic nie powie. A jeśli słuch pani Richland nie był równie wyostrzony jak jej wzrok (te dwa strzały nie były wcale zbyt głośne), to nie wezwała policji, więc nie musiałem się obawiać interwencji z ich strony. Miałem nawet gdzie ukryć zwłoki.

Czyż nie?

## 4

Choć wciąż trzymał dłoń przed twarzą, widziałem jego oczy wyzierające spomiędzy rozczapierzonych palców. Niebieskie, przetykane czerwienią, i pełne łez. Wiedział, o czym myślę, widział to na mojej twarzy.

– Nie. Proszę. Puść mnie. Albo wezwij policję, jeśli musisz. Tylko mnie nie z-z-zabijaj!

– Choć ty chciałeś zabić mnie?

– Nie chciałem! Przysięgam na Boga, przysięgam na grób mojej matki, nie zrobiłbym tego!

– Jak się nazywasz?

– Derek! Derek Shepherd!

Uderzyłem go w twarz jego bronią. Mógłbym wam powiedzieć, że właściwie nie chciałem tego zrobić albo że nie wiedziałem, że to zrobię, i sam siebie zaskoczyłem, ale to byłyby kłamstwa. Wiedziałem doskonale i sprawiło mi to przyjemność. Krew trysnęła z jego nosa, pojawiła się też w kąciku ust.

– Myślisz, że nigdy nie oglądałem *Chirurgów*, dupku? Jak się nazywasz?

– Justin Townes.

Uderzyłem go ponownie. Próbował się uchylić, lecz niewiele mu to pomogło. Nie jestem może wyjątkowo szybki, ale nie narzekam też na spóźniony refleks. Jestem pewien, że tym razem nie tylko rozkrwawiłem, ale też złamałem mu nos. Krzyknął, a właściwie zapiszczał żałośnie.

– Myślisz, że nie słyszałem też o Justinie Townesie Earle'u? Mam nawet jedną z jego płyt. A ty masz ostatnią szansę, popaprańcu. Potem wsadzę ci kulkę w łeb.

– Polley – powiedział. Nos już mu puchł, puchła cała lewa strona jego twarzy i mówił tak, jakby miał katar. – Chris Polley.

– Rzuć mi swój portfel.

– Nie mam…

Widział, jak zamierzam się do ciosu, i znów wyciągnął przed siebie zdrową rękę. Miałem pewne plany związane z tą ręką, które pewnie jeszcze bardziej pogrążą mnie w waszych oczach, ale musicie pamiętać, w jakiej znalazłem się sytuacji. Myślałem znów o Rumpelsztyku. Pewnie nie zmuszę tego skurwiela, żeby wbił nogę w ziemię i rozerwał się na pół, ale może tak mu dopiekę, że sam będzie przede mną uciekał.

Jak Piernikowy Ludzik, ha-ha.

– Dobrze już, dobrze!

Podniósł się i sięgnął do tylnej kieszeni sztruksów, które były nie tyle brudne, ile obrzydliwie brudne. Jeden rękaw bluzy dresowej miał rozdarty, mankiety obu poszarpane. Wyglądało na to, że nie mieszka raczej w Hiltonie. Portfel był porysowany i popękany. Zajrzałem do środka i zobaczyłem jeden banknot dziesięciodolarowy i prawo jazdy wystawione na Christophera Polleya. Zdjęcie przedstawiało nieco młodszą wersję pana Ha-Ha z nienaruszoną twarzą. Zamknąłem portfel i włożyłem go do tylnej kieszeni spodni, razem z moim.

– Wygląda na to, że twoje prawo jazdy straciło ważność w dwa tysiące ósmym. Może powinieneś je przedłużyć. Jeśli wystarczająco długo pożyjesz, oczywiście.

– Nie mogę… – zaczął, po czym nagle zamknął usta.

– Nie możesz go odnowić? Cofnęli ci uprawienia? Jeździłeś po pijaku? Czy byłeś w więzieniu? Byłeś w więzieniu, tak? To dlatego dopiero teraz obrabowałeś i zabiłeś pana Heinricha? Bo byłeś w Stateville?

– Nie tam.

– To gdzie?

Milczał, a ja uznałem, że właściwie wcale mnie to nie obchodzi. Jak powiedziałby zapewne pan Bowditch, było to nieistotne.

– Skąd wiedziałeś o złocie?

– Widziałem je w zakładzie tego szkopa. Przed odsiadką w okręgowym.

Mógłbym spytać, jak się dowiedział, skąd pochodzi złoto, i jak wrobił tamtego kloszarda, Dwyera, ale byłem pewien, że znam już obie odpowiedzi.

– Puść mnie. Nigdy więcej nie wejdę ci w drogę – powiedział.

– Jasne, że nie. Bo będziesz siedział w więzieniu. I to nie okręgowym. Wzywam policję, Polley. Będziesz siedział za zabójstwo i ciekawe, czy

wtedy będzie ci do śmiechu, ha-ha.

– Powiem im! Powiem im o złocie! Nic nie dostaniesz!

Cóż, dostałbym je tak czy inaczej, bo zgodnie z testamentem pana Bowditcha było moje, ale on o tym nie wiedział.

Skinąłem głową.

– To prawda – przyznałem. – Dzięki za wskazówkę. Czyli będę musiał jednak wybrać się z tobą do pomp. Dobrze, że jesteś takim kurduplem, nie nadwerężę się.

Podniosłem pistolet. Mógłbym wam powiedzieć, że to był blef, ale nie jestem całkiem pewien. Nienawidziłem tego człowieka również za to, że zniszczył wnętrze domu pana Bowditcha, sprofanował je. I jak już wspomniałem, jego śmierć wszystko by uprościła.

Nie krzyknął – chyba zabrakło mu na to oddechu – tylko jęknął. Jego spodnie pociemniały w kroczu. Opuściłem broń… trochę.

– Załóżmy, że jednak bym cię nie zabił, panie Polley. Co więcej, pozwoliłbym ci pójść własną drogą, jak mówią słowa piosenki. Interesowałoby cię to?

– Tak! T-a-k! Puść mnie, a nigdy więcej nie wejdę ci w drogę!

Słowa godne prawdziwego Rumpelsztyka, pomyślałem.

– Jak się tu dostałeś? Przyszedłeś na piechotę? Przyjechałeś autobusem z Dearborn?

Biorąc pod uwagę, że miał w portfelu całe dziesięć dolarów, raczej nie zamawiał jubera. Prawdopodobnie zabrał wszystko, co kryło się na zapleczu zakładu pana Heinricha – między innymi rzeczy, które podrzucił potem Dwyerowi – ale najwyraźniej jeszcze niczego nie upłynnił. Może nie wiedział jak. Owszem, był przebiegły, lecz to niekoniecznie oznaczało, że jest też bystry. Albo że ma odpowiednie kontakty.

– Przyszedłem przez las.

Zdrową ręką wskazał na pas drzew rosnących za posesją pana Bowditcha, jedyną pozostałość lasów Sentry, które porastały to wzgórze sto lat temu.

Ponownie przyjrzałem się jego brudnym spodniom i rozdartej bluzie. Pani Richland nie wspominała, że sztruksy drobnego mężczyzny były brudne, a na pewno nie omieszkałaby tego zrobić – i na pewno nie umknąłby jej tak istotny szczegół – widziała go jednak kilka dni temu. Przypuszczałem, że nie tylko przeszedł przez las, ale też w nim mieszkał. Gdzieś niedaleko płotu okalającego tylne podwórze pana Bowditcha leżał zapewne kawałek brezentu, który służył temu człowiekowi za schronienie i pod którym trzymał cały swój skromny dobytek. Gdzieś niedaleko spoczywały też zapewne łupy z zakładu pana Heinricha, zakopane pod drzewem jak w pirackich opowieściach. Tyle że w takich opowieściach piraci ukrywali swoje dublony i hiszpańskie escudo w kufrach. Skarb Polleya spoczął zapewne w torbie opatrzonej naklejką z napisem USŁUGI PRENUMERATORSKIE.

Jeśli miałem rację, to jego obozowisko znajdowało się na tyle blisko płotu, by mógł śledzić stamtąd poczynania Charlesa Reade’a. Dowiedział się, kim jestem, od Heinricha. Mógł mnie widzieć podczas mojej podróży do Stantonville. A kiedy splądrował już cały dom pana Bowditcha i nie znalazł niczego prócz sejfu, czekał tu na mnie, zakładając, że przyjdę po złoto. Bo to właśnie zrobiłby on.

– Wstawaj. Idziemy na dół. I uważaj na te bryłki złota, bo znów się wywalisz.

– Mogę zabrać kilka? Tylko kilka! Jestem spłukany, człowieku!

– I co zrobisz? Zapłacisz nimi za lunch w McDonaldzie?

– Znam jednego faceta w Chi. Nie da mi tyle, ile są warte, ale…

– Możesz wziąć trzy.

– Pięć? – Próbował się uśmiechać tak, jakby nie zamierzał mnie zabić po otwarciu sejfu.

– Cztery.

Pochylił się, podniósł je szybko zdrową ręką i chciał schować do kieszeni.

– Wziąłeś pięć – rzuciłem. – Zostaw jedną.

Obdarzył mnie wściekłym spojrzeniem – spojrzeniem Rumpelsztyka – i śrucina, którą upuścił, potoczyła się po podłodze.

– Jesteś podłym dzieciakiem.

– Rzecze święty Krzysztof z Lasu. O jak mi wstyd…

Uniósł górną wargę, odsłaniając pożółkłe zęby.

– Wal się.

Podniosłem pistolet, dwudziestkędwójkę, jak uznałem po bliższych oględzinach.

– Nie powinieneś nigdy mówić „Wal się” do kogoś, kto ma broń palną. To nierozsądne, ha-ha. A teraz idź na dół.

Idąc po schodach, tulił złamaną rękę do piersi i zaciskał złote drobiny w zdrowej dłoni. Byłem tuż za nim. Przecięliśmy salon i weszliśmy do kuchni. Zatrzymał się przy drzwiach.

– Idź dalej. Przez podwórko.

Odwrócił się i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. Jego usta drżały lekko.

– Zabijesz mnie i wrzucisz do tej dziury!

– Nie dawałbym ci złota, gdybym chciał to zrobić – odparłem.

– Zabierzesz je! – Znów zaczynał płakać. – Zabierzesz je i wsadzisz mnie do tej dziu-dziury!

Pokręciłem głową.

– Tam jest płot, a ty masz złamaną rękę. Nie przejdziesz na drugą stronę bez pomocy.

– Poradzę sobie! Nie chcę twojej pomocy!

– Idź.

Płacząc, wyszedł na zewnątrz, przekonany, że zaraz go zabiję strzałem w tył głowy, bo – powtórzę to – właśnie tak zrobiłby on. Przestał się mazać dopiero wtedy, gdy minęliśmy otwarte drzwi szopy. Dotarliśmy do płotu, który miał jakieś metr pięćdziesiąt wysokości – wystarczająco, by zatrzymać Radar, gdy była młodsza.

– Nie chcę cię więcej widzieć – powiedziałem.

– Nie zobaczysz.

– Nigdy.

– Nie zobaczysz, obiecuję.

– A więc żegnaj. – Wyciągnąłem do niego dłoń.

Ujął ją. Przebiegły, ale niekoniecznie bystry, jak mówiłem. Obróciłem gwałtownie jego rękę i usłyszałem trzask pękających kości. Krzyknął przeraźliwie i opadł na kolana, przykładając obie dłonie do piersi. Wsunąłem dwudziestkędwójkę za pasek z tyłu spodni, niczym bandzior z filmu gangsterskiego, pochyliłem się, pochwyciłem Rumpela i podniosłem. Nie było to trudne. Nie mógł ważyć więcej niż sześćdziesiąt parę kilogramów, a w tym momencie byłem już tak nafaszerowany adrenaliną, że tryskała mi z uszu. Przerzuciłem go za płot. Wylądował na plecach, w stercie suchych liści i połamanych gałęzi, wydając z siebie stłumione krzyki bólu. Jego dłonie kołysały się bezwładnie. Wychyliłem się za płot niczym praczka spragniona najnowszych plotek z miasteczka.

– Idź, Polley. Uciekaj i nigdy nie wracaj.

– Połamałeś mi ręce! Kurwa, połamałeś mi…

– Masz szczęście, że cię nie zabiłem! – wrzasnąłem. – Chciałem, niewiele brakowało. A jeśli znów cię zobaczę, zrobię to! Teraz uciekaj! Dopóki możesz!

Spojrzał na mnie raz jeszcze; jego szeroko otwarte niebieskie oczy lśniły nienawiścią na tle osmarkanej i zakrwawionej spuchniętej twarzy. Potem się odwrócił i trzymając połamane ręce przy piersiach, wszedł między rosnące rzadko drzewa, jedyną pozostałość lasu Sentry. Odprowadzałem go wzrokiem, ani przez moment nie żałując tego, co zrobiłem.

Nie taki znów miły.

Wróci? Nie, nie z połamanymi rękami. Czy powie o tym komuś? Przyjacielowi albo wspólnikowi? Jakoś nie chciało mi się wierzyć, by Polley miał jakichkolwiek przyjaciół czy wspólników. Czy pójdzie na policję? Biorąc pod uwagę to, co wiedziałem o Heinrichu, taki pomysł wydawał się absurdalny. A pomijając to wszystko, po prostu nie mogłem się zdobyć na to, żeby zabić go z zimną krwią.

Wróciłem do domu i pozbierałem złote śruciny. Były wszędzie, więc sprzątanie zajęło mi więcej czasu niż cała awantura z Polleyem. Zamknąłem złoto w sejfie, razem z pasem i pustą kaburą, i wyszedłem z domu. Wcześniej wyjąłem koszulę ze spodni, by zasłaniała pistolet wciśnięty za pasek na plecach, ale i tak ucieszyłem się, widząc, że tym razem pani Richland nie stała na swoim podjeździe i nie lustrowała okolicy spod dłoni ocieniającej oczy.

# 5

Schodziłem ze wzgórza wyjątkowo powoli, bo trzęsły mi się nogi. Do diabła, trząsł się cały mój umysł. Dopiero gdy znalazłem się na schodach naszej werandy, zdałem sobie sprawę, że jestem głodny. Że właściwie umieram z głodu.

Radar czekała, by się ze mną przywitać, choć nie zrobiła tego z takim entuzjazmem, jakiego oczekiwałem: ot, radosne machanie ogonem, kilka podskoków i potarcie łbem o moje udo, a potem powrót na ulubiony dywanik. Uświadomiłem sobie, że spodziewałem się czegoś więcej, bo miałem wrażenie, że nie było mnie przez długi czas. W rzeczywistości upłynęły niecałe trzy godziny. Wiele się wydarzyło w ciągu tego czasu: rzeczy, które odmieniają całe życie. Pomyślałem o *Opowieści wigilijnej* i słowach Scrooge'a: *Duchy zrobiły to wszystko w ciągu jednej nocy*.

W lodówce były jeszcze resztki pieczeni rzymskiej, zrobiłem więc sobie kilka grubaśnych kanapek i obficie polałem je keczupem. Musiałem się naładować, bo mój dzień dopiero się zaczynał. Miałem mnóstwo rzeczy do przygotowania na jutro. Nie wybierałem się do szkoły i mogło się zdarzyć tak – było to całkiem prawdopodobne – że tata wróci do pustego domu. Zamierzałem odszukać zegar słoneczny, o którym mówił pan Bowditch. Nie wątpiłem już wcale, że tam jest, nie wątpiłem również, że może odmłodzić psią staruszkę, która drzemała teraz na dywaniku w salonie. Nie byłem jednak wcale pewien, czy uda mi się ją sprowadzić po spiralnych schodach, i nie miałem pojęcia, jak zdołam doprowadzić ją do odległego o pięćdziesiąt (a może osiemdziesiąt albo więcej) kilometrów miasta. Byłem pewien tylko jednego: nie mogłem z tym zwlekać.

# 6

Jedząc, obmyślałem plan działania. Jeśli zamierzałem zniknąć, i to z Radar, to musiałem zostawić fałszywy trop, prowadzący w jakimś innym kierunku niż do domu pana Bowditcha. Kiedy wybierałem się do garażu, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Uznałem, że się sprawdzi. Musiał się sprawdzić.

Wziąłem taczki taty i mały dodatek. Na jednej z półek leżał worek z tlenkiem wapnia, znanym powszechnie jako wapno palone. A dlaczego tata to trzymał? Zgadliście: na karaluchy. Pojawiały się czasem w piwnicy i garażu. Położyłem worek na taczce, a potem poszedłem do domu i pokazałem Radar jej smycz.

– Jeśli zabiorę cię na szczyt wzgórza, będziesz grzeczna?

Zapewniła mnie spojrzeniem, że będzie, więc przypiąłem smycz do obroży i ruszyliśmy na Jaworową 1; ja pchałem przed sobą taczki, a ona dreptała obok. Pani Richland stała na swoim posterunku, więc czekałem z obawą, czy nie zapyta mnie, cóż to się działo kilka godzin temu w domu pana Bowditcha. Na szczęście spytała mnie tylko, czy zamierzam jeszcze coś tu robić. Odpowiedziałem, że owszem.

– To bardzo miłe z twojej strony. Przypuszczam, że posesja pana Bowditcha zostanie wystawiona na sprzedaż, prawda? Może biuro nieruchomości nawet ci coś zapłaci, ale nie liczyłabym na to. Prawnicy są skąpi. Mam nadzieję, że nowi właściciele nie zburzą tego domu, teraz wygląda o wiele ładniej. Wiesz, kto go odziedziczył?

Odparłem, że nie wiem.

– Gdybyś się przypadkiem dowiedział, jaka będzie cena wywoławcza, daj nam znać. My też zastanawiamy się nad sprzedażą.

Liczba mnoga wskazywała na to, że istnieje jakiś pan Richland. Kto by pomyślał?

Obiecałem jej, że na pewno to zrobię (akurat!), i zajechałem z taczkami za dom, wciąż prowadząc obok siebie Radar. Staruszka ruszała się całkiem żwawo, ale spacer w górę zbocza nie był szczególnie długi. A kilkadziesiąt kilometrów do opuszczonego miasta? To nie mogło się udać.

Tym razem była spokojniejsza, ale gdy tylko wypiąłem ją ze smyczy, przeszła prosto do kanapy w salonie, obwąchała ją od jednego końca do drugiego i ułożyła się obok. Przyniosłem jej miskę z wodą, a potem poszedłem do szopy, zabierając ze sobą worek z wapnem. Wysypałem odrobinę na szczątki karalucha i przyglądałem się ze zdumieniem, jak proces rozkładu osiąga tempo sprintu. Najpierw rozległ się głośny bulgoczący dźwięk, potem z truchła wypłynęły żrące opary. Wkrótce nie miało tu zostać nic prócz odrobiny gęstej mazi.

Podniosłem rewolwer, zaniosłem go do domu i schowałem w sejfie. Zauważyłem kilka śrucin, które utknęły w kącie, i wrzuciłem je do wiadra, do reszty złota. Kiedy zszedłem na parter, Radar smacznie spała.

Bardzo dobrze, pomyślałem. Śpij, ile tylko możesz, mała, bo jutro czeka cię naprawdę dużo pracy.

Dla mnie tamten dzień również był pracowity, co właściwie mnie cieszyło. Co prawda wciąż myślałem o innym świecie – o czerwonych makach przy ścieżce, o kobiecie od butów pozbawionej twarzy, o szklanych wieżach miasta – ale wiele zajęć prawdopodobnie uchroniło mnie przed opóźnioną reakcją na spotkanie z Christopherem Polleyem i starcie, z którego tylko cudem wyszedłem cało. Naprawdę niewiele brakowało. Bardzo niewiele.

Szukając złota, ten mały gnojek nawet nie tknął stert starych tekstów ułożonych w korytarzu między kuchnią a tylnymi drzwiami. Ja też

zostawiłem książki w spokoju, ale przez godzinę woziłem taczkami sterty czasopism – powiązanych na szczęście sznurkiem – do szopy. Część z nich ułożyłem na szczątkach karalucha, a większość w pobliżu wejścia do studni światów. Zakładałem, że kiedy wejdę tam następnym razem – kiedy tam wejdziemy – położę czasopisma na deskach i całkowicie przykryję otwór.

Gdy już uporałem się z tym zadaniem, wróciłem do domu i obudziłem Radar. Dałem jej psi przysmak ze spiżarni i zaprowadziłem ją z powrotem do naszego domu. Zanotowałem w myślach, że jutro muszę zabrać jej ulubioną piszczącą małpkę. Być może będzie chciała się nią bawić, gdy dotrzemy tam, dokąd się wybieraliśmy. Oczywiście jeśli wcześniej nie spadnie ze schodów i nie pociągnie mnie za sobą.

I jeśli w ogóle na nie wejdzie.

Po powrocie do domu włożyłem do plecaka dwudziestkędwójkę Polleya, jego portfel i parę innych rzeczy – nie za dużo, następnego dnia zamierzałem dołożyć trochę więcej ze spiżarni pana Bowditcha – a potem usiadłem, by napisać do ojca. Najchętniej odłożyłbym to na później, wiedziałem jednak, że nie mogę sobie na to pozwolić. Napisanie tego listu kosztowało mnie naprawdę dużo trudu.

*Kochany Tato,*
*wrócisz do pustego domu, bo ja pojechałem z Radar do Chicago. Znalazłem w internecie kogoś, kto ma niesamowite wyniki w przywracaniu zdrowia i witalności starszym psom. Słyszałem o tym facecie już wcześniej, ale nie chciałem Ci mówić, bo wiem, co myślisz o „cudownych lekach”. Może rzeczywiście to tylko ściema, ale dzięki spadkowi mogę bez wyrzutów sumienia wydać na to 750 dolarów. Nie napiszę, żebyś się nie martwił, bo wiem, że będziesz, nawet jeśli nie ma czym. Ale napiszę Ci, żebyś NIE PRÓBOWAŁ*

*koić nerwów piciem. Gdybym po powrocie zobaczył, że znów chlasz, pękłoby mi serce. Nie próbuj do mnie dzwonić, bo wyłączę telefon. (Tam gdzie się wybierałem, i tak nie mógłbym go włączyć). Wrócę wkrótce, a jeśli to wypali, z całkiem nowym psem!*

*Zaufaj mi, Tato. Wiem, co robię.*

*Buziaki,*

*Charlie*

Cóż, miałem nadzieję, że wiem.

Włożyłem list do koperty, napisałem na niej TATA i położyłem ją na stole w kuchni. Potem otworzyłem laptop i napisałem maila do dsilvius@hillviewhigh.edu. Jego treść była podobna. Pomyślałem, że gdyby pani S. była teraz ze mną w pokoju, bezbłędnie wyczułaby oszustwo. Ustawiłem datę wysłania tak, by mail dotarł do niej w czwartek po południu. Dwa dni niewyjaśnionej nieobecności mogły przejść bez echa, ale trzy już nie. Chodziło mi o to, by tata spędził na wyjeździe jak najwięcej czasu w błogiej nieświadomości tego, co czeka go po powrocie do domu. Mogłem liczyć na to, że pani S. do niego nie zadzwoni, gdy przeczyta mojego maila, ale wiedziałem, że prawdopodobnie to zrobi, choć wtedy tata pewnie i tak będzie już wracał. Chodziło również o to, by wmówić jak największej liczbie osób, że wyjeżdżam do Chicago.

W tym samym celu zadzwoniłem na komendę i spytałem, czy jest tam może detektyw Gleason. Był, spytałem go więc, czy mają jakieś tropy w sprawie włamania do domu przy Jaworowej 1.

– Chciałem się dowiedzieć tego dzisiaj, bo jutro zabieram psa pana Bowditcha do Chicago. Znalazłem tam człowieka, który robi cuda ze starszymi psami.

Gleason powiedział, że w sprawie nic nie drgnęło. Nie spodziewałem się innej odpowiedzi, sam przecież zająłem się włamywaczem… a przynajmniej taką miałem nadzieję. Detektyw życzył mi powodzenia w leczeniu psa. Wziąłem sobie te słowa do serca.

## 7

Tego wieczoru włożyłem do karmy Radar trzy nowe tabletki. Trzy następne zamierzałem dać jej rano. W buteleczce zostało już tylko kilka, uznałem jednak, że to może lepiej. Nie wiedziałem, czym właściwie są, ale przypuszczałem, że to coś w rodzaju psiej amfy. Dodawały jej sił, a jednocześnie skracały życie. Powtarzałem sobie, że muszę tylko sprowadzić ją z tych schodów, a potem… Nie wiedziałem, co potem.

Mój telefon znów działał (choć musiałem zrobić twardy reset, żeby pokazywał właściwą godzinę) i około siódmej zadzwonił. Na wyświetlaczu pojawił się napis TATA. Zanim odebrałem, włączyłem telewizor i trochę go pogłośniłem.

– Cześć, Charlie, wszystko w porządku?

– Spoko. Wlazłeś na jakieś drzewo?

Roześmiał się.

– Nie, tutaj ciągle leje. Ale atmosfera jest wybitnie zabawowa. Chłopcy z ubezpieczeń szaleją. Co oglądasz?

– *SportsCenter*.

– A jak pies?

– Radar? – Podniosła na mnie wzrok znad dywanika. – W porządku.

– Je normalnie?

– Do ostatniego kęsa, a potem jeszcze wylizała miskę.

– Miło mi to słyszeć.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Wydawał się spokojny, więc chyba dobrze odgrywałem swoją rolę. Cieszyło mnie to i zawstydzało jednocześnie.

– Zadzwonię jutro wieczorem, jeśli chcesz.

– Nie, może wybiorę się na burgery i minigolfa z paroma chłopakami.

– I dziewczynami?

– Hm… może będą tam też jakieś dziewczyny. Zadzwonię, jeśli coś się stanie. Na przykład pożar w domu.

– I tego się trzymajmy. Śpij dobrze, Chip.

– Ty też.

Z miejsca, w którym siedziałem, widać było list leżący na kuchennym stole. Nie lubiłem okłamywać taty, ale nie miałem wyboru. Sytuacja była wyjątkowa.

Wyłączyłem telewizor i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przygotowałem się do pójścia spać o ósmej wieczorem. Bo też zamierzałem wstać bardzo wcześnie. „Kto wcześniej zaczyna, wcześniej kończy”, mawiała moja mama. Czasami musiałem najpierw zerknąć na jej zdjęcie, by przypomnieć sobie, jak dokładnie wyglądała, ale pamiętałem doskonale wszystkie jej powiedzonka. Umysł jest naprawdę dziwną maszyną.

Zamknąłem drzwi wyjściowe na klucz; nie dlatego, że bałem się Polleya. Pewnie wiedział, gdzie mieszkam, lecz połamałem mu ręce i miałem jego pistolet. Przypuszczałem, że jedzie już do Chi, jak nazywał Chicago, gdzie spróbuje wymienić cztery bryłki złota na gotówkę. Byłem pewien, że jeśli w ogóle uda mu się je sprzedać, dostanie nie więcej niż dwadzieścia procent normalnej ceny, co wcale mnie nie martwiło. Obłędnie.

Za każdym razem, gdy zaczynałem go żałować albo dopadały mnie wyrzuty sumienia, przypominałem sobie, jak wbijał lufę pistoletu w tył mojej głowy i mówił, żebym się nie odwracał, bo to nie byłoby rozsądne. Mimo wszystko cieszyłem się, że go nie zabiłem.

Myjąc zęby, przyjrzałem się uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądałem chyba tak samo jak zawsze, co w obliczu ostatnich wydarzeń wydało mi się trochę zaskakujące. Wypłukałem usta, odwróciłem się i zobaczyłem Radar siedzącą w drzwiach łazienki. Pochyliłem się i zmierzwiłem sierść po obu stronach jej pyska.

– Chcesz wybrać się jutro na wyprawę pełną przygód, mała?

Pomachała ogonem, a potem przeszła do pokoju gościnnego i ułożyła się przy moim łóżku. Sprawdziłem dwukrotnie, czy budzik jest ustawiony na piątą rano, i zgasiłem światło. Myślałem, że po tej huśtawce emocji, jaką przeżyłem w ciągu dnia, długo nie będę mógł zasnąć, ale niemal od razu zacząłem odpływać w sen.

Zadawałem sobie pytanie, czy rzeczywiście jestem gotowy ryzykować życie i narobić sobie sporych problemów, zarówno z tatą, jak i w szkole, dla starego psa, który – w psich latach – i tak dożył już sędziwego wieku. Wydawało mi się, że tak, ale chodziło też o coś więcej. Chodziło o zaspokojenie ciekawości, o zachwyt nieznanym, o tajemnicę. Znalazłem inny świat, na miłość boską! Chciałem zobaczyć miasto z zielonymi wieżami i dowiedzieć się, czy to naprawdę Oz, tyle że ze straszliwym potworem – Gogmagogiem – ukrytym w jego sercu zamiast oszusta, który przemawia zza zasłony. Chciałem znaleźć zegar słoneczny i przekonać się, czy rzeczywiście działa tak, jak mówił pan Bowditch. Musicie też pamiętać, że miałem siedemnaście lat, a to najlepszy wiek na szukanie przygód i podejmowanie głupich decyzji.

Ale głównie chodziło o psa. Kochałem ją i nie chciałem, żeby odeszła.

Obróciłem się na bok i zasnąłem.

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

## Telefon do Andy’ego. Radar decyduje. Gulasz. Garka.

### 1

Radar wydawała się zaskoczona, że wstajemy w ciemnościach, ale z ochotą zjadła śniadanie (w którym ukryłem kolejne trzy tabletki) i poszła ze mną na Jaworową 1. W domu pani Richland było ciemno. Poszedłem na piętro do sejfu, włożyłem pas z czterdziestkąpiątką i przywiązałem kaburę do nogi. W plecaku miałem jeszcze dwudziestkędwójkę Polleya, czułem się więc jak Yosemite Sam, bohater kreskówki uzbrojony zawsze w dwa rewolwery. W spiżarni znalazłem kilka pustych słoików po sosach do spaghetti. Napełniłem dwa psią karmą Orijen, zakręciłem oba, owinąłem w ścierkę do naczyń i włożyłem do plecaka, pod koszulkę i slipy („Nigdy nie wybieraj się w podróż bez czystej bielizny”, brzmiało inne powiedzenie mamy). Do tego dodałem dwanaście puszek sardynek King Oscar (polubiłem je, gdy pracowałem dla pana Bowditcha), paczkę krakersów, kilka ciastek z orzechami pekanowymi (tylko kilka, bo resztę wyjadłem wcześniej) i parę opakowań suszonej wołowiny Perky Jerky. I dwie ostatnie puszki coli z lodówki. Wyjąłem z tylnej kieszeni spodni portfel i wrzuciłem go do plecaka, żebym mógł do niej wsuwać latarkę jak poprzednio.

Moglibyście uznać, że to wyjątkowo skromne zapasy jak na wyprawę, podczas której miałem do pokonania pewnie sto kilkadziesiąt kilometrów, i oczywiście nie mylilibyście się, ale tylko tyle mogłem zmieścić w plecaku, a poza tym kobieta od butów proponowała mi poczęstunek. Być może zechce nawet dołożyć coś do mojego prowiantu. Inaczej musiałbym sam szukać żywności, a ta myśl napełniała mnie zarówno niepokojem, jak i ekscytacją.

Kwestią, która martwiła mnie najbardziej, była kłódka na drzwiach szopy. Pomyślałem, że jeśli szopa będzie zamknięta, nikt nie zechce do niej zaglądać. Inaczej ktoś może sprawdzić, co jest w środku, a stare czasopisma skrywające wejście do studni były jednak dość mizernym kamuflażem. Kiedy kładłem się spać, wciąż nie miałem rozwiązania dla tego problemu rodem z książek Agathy Christie, ale obudziłem się z pomysłem, który wydał mi się niezły. Nie dość, że szopa będzie zamknięta z zewnątrz, to jeszcze jedna osoba potwierdzi, że zabrałem Radar do Chicago w poszukiwaniu cudownego leku.

Rozwiązaniem był Andy Chen.

Zadzwoniłem do niego dopiero o siódmej, przekonany, że do tego czasu już wstanie i będzie się przygotowywał do szkoły, ale po czterech sygnałach byłem niemal pewien, że włączy się poczta głosowa. Obmyślałem właśnie treść wiadomości, którą mu zostawię, gdy odebrał, zirytowany i lekko zdyszany.

– Czego chcesz, Reade? Właśnie wylazłem spod prysznica i leje się ze mnie na podłogę.

– Uuu… – przemówiłem modulowanym falsetem. – Czy Żółte Zagrożenie jest nagie?

– Bardzo śmieszne, ty rasistowska świnio. Czego chcesz?

– Czegoś ważnego.

– Co się dzieje? – spytał, poważniejąc.

– Posłuchaj, jestem w Highball, za miastem. Kojarzysz Highball, prawda?

Oczywiście, że kojarzył. Był to zajazd dla ciężarówek z najlepszym salonem gier komputerowych w Sentry. Pakowaliśmy się do samochodu kogoś, kto miał prawo jazdy – albo do autobusu, jeśli akurat nikt nie mógł z nami jechać – i graliśmy, dopóki nie skończyły nam się pieniądze. Albo dopóki nas nie wyrzucili.

– Co ty tam robisz? Przecież dzisiaj jest normalny dzień nauki.

– Mam psa. Tego, który tak cię nastraszył, kiedy byliśmy dzieciakami, pamiętasz? Nie czuje się najlepiej, a w Chicago jest ktoś, kto podobno potrafi pomóc starym psom. Odmłodzić je… w pewnym sensie.

– To ściema – stwierdził krótko Andy. – Na pewno. Nie bądź głupi, Charles. Kiedy psy się starzeją, to się starzeją, koniec baj…

– Zamkniesz się i wysłuchasz mnie do końca? Facet gotów jest za trzydzieści dolców podwieźć mnie i Radar swoją furgonetką…

– Za trzydzieści dolców?

– Muszę zdecydować się od razu albo pojedzie bez mnie. Chciałbym, żebyś zamknął dom na klucz.

– Zapomniałeś zamknąć wasz…

– Nie, nie nasz. Pana Bowditcha! Zapomniałem!

– Jak się dostałeś do High…

– Zaraz przepadnie mi podwózka, jak się nie zamkniesz! Bardzo cię proszę, pozamykaj wszystkie drzwi, dobrze? Zostawiłem klucze na stole w kuchni. – Potem, jakby po krótkim namyśle, dodałem: – Zamknij też szopę za domem. Kłódka wisi na drzwiach.

– Będę musiał pojechać do szkoły rowerem zamiast autobusem. Ile mi zapłacisz?

– Andy, daj spokój!

– Żartuję, Reade. Nie poproszę cię nawet, żebyś mi obciągnął. Ale jeśli ktokolwiek spyta…

– Nie spyta. A nawet jeśli, to powiedz prawdę. Pojechałem do Chicago. Nie chcę ci robić problemów, zamknij tylko ten dom. I szopę. Odbiorę od ciebie klucze, kiedy wrócimy.

– Dobra, mogę to zrobić. Zostaniesz na noc czy…

– Pewnie tak. Nie wiem, czy nie na dwie noce. Muszę spadać. Dzięki, Andy. Odwdzięczę się.

Zakończyłem rozmowę, zarzuciłem paski plecaka na ramiona i sięgnąłem po smycz. Odłożyłem klucze pana Bowditcha na stół i przypiąłem Radar. U podnóża schodów werandy przystanąłem i spojrzałem na szopę. Czy naprawdę zamierzałem prowadzić na smyczy Radar tymi wąskimi krętymi schodami („o różnej wysokości”)? Kiepski pomysł. Dla nas obojga.

Nie było jeszcze za późno na odwrót. Mogłem ponownie zadzwonić do Andy’ego i powiedzieć mu, że w ostatniej chwili się rozmyśliłem albo że fikcyjny kierowca furgonetki odjechał beze mnie. Mogłem zaprowadzić Radar do domu, podrzeć list leżący na stole w kuchni i skasować wiadomości, które czekały na wysłanie do pani Silvius. Andy miał rację: kiedy psy się starzeją, to się starzeją, koniec bajki. To nie oznaczało, że nie mógłbym zbadać tego innego świata: musiałbym tylko poczekać.

Aż ona umrze.

Odpiąłem smycz od obroży i ruszyłem w stronę szopy. W połowie drogi obejrzałem się. Radar siedziała tam, gdzie ją zostawiłem. Przez chwilę chciałem ją zawołać, pokusa była silna, ale nie zrobiłem tego. Szedłem

dalej. Przy drzwiach szopy ponownie się obejrzałem. Wciąż siedziała przy schodach werandy. Poczułem gorycz rozczarowania, jaką niosła ze sobą świadomość, że wszystkie moje przygotowania – zwłaszcza pomysł z kłódką – poszły na marne, ale przecież nie mogłem zostawić Radar.

Miałem już zawrócić, gdy podniosła się i przeszła z wahaniem do otwartych drzwi szopy, przy których się zatrzymałem. Wahała się, węszyła. Nie zapaliłem lamp na baterie, bo węch skutecznie zastępował jej światło. Spojrzała na stertę czasopism, którymi przykryłem szczątki wielkiego karalucha; widziałem, jak ten jej sprytny nos gwałtownie wibruje. Potem popatrzyła na deski przykrywające studnię… i wtedy wydarzyło się coś zdumiewającego. Podbiegła do studni i zaczęła drapać w deski, popiskując cicho z podniecenia.

Pamięta, pomyślałem. I muszą to być dobre wspomnienia, bo znów chce tam iść.

Zawiesiłem kłódkę na skoblu i przymknąłem drzwi, tak by wpadało tylko tyle światła, żebym widział drogę w dół.

– Radar, teraz musimy być cicho. Cisza.

Przestała piszczeć, ale nadal drapała pazurami w deski. Widząc, jak bardzo chce zejść do studni, z większą otuchą pomyślałem o tym, co czeka nas na końcu tunelu. I właściwie dlaczego miałbym się tym denerwować? Maki były piękne i cudownie pachniały. Kobieta od butów była przemiła – powitała mnie, pocieszyła, gdy przeżywałem chwilowe załamanie – i chciałem znów się z nią zobaczyć.

Ona chciała też znów zobaczyć się z Radar… a Radar chyba chce zobaczyć się z nią.

– Leżeć.

Spojrzała na mnie, lecz wypełniła polecenie. Zerknęła w ciemność między deskami, potem znów na mnie i znów między deski. Psy mają

swoje sposoby na przekazanie konkretnych komunikatów, a ten wydał się całkowicie jednoznaczny: „Pospiesz się, Charlie”.

– Radar, leżeć.

Bardzo niechętnie ułożyła się na brzuchu, ale gdy tylko rozsunąłem deski na jednym końcu, zerwała się i pobiegła w dół schodów, lekko i radośnie niczym szczeniak. Z tyłu łba i na grzbiecie, przy nasadzie ogona, miała białe plamki. Widziałem je przez moment, a potem i one zniknęły mi z oczu.

Wcześniej martwiłem się, jak nakłonić ją do wędrówki w dół schodów. Zabawne, prawda? Jak chętnie powtarzał pan Neville, mój nauczyciel angielskiego: „Ironia dobrze działa na zdrowie psychiczne”.

# 2

Omal jej nie zawołałem, uświadomiłem sobie jednak, że to fatalny pomysł. Pewnie i tak nie zwróciłaby na to uwagi. Ale gdyby posłuchała i próbowała zawrócić na tych wąskich schodach, niemal na pewno spadłaby w przepaść. Mogłem tylko liczyć na to, że nie potknie się w ciemnościach, bo skończyłoby się to równie źle. I że nie zacznie szczekać. Wtedy z pewnością skutecznie wystraszyłaby karaluchy przyczajone w ciemnościach, ale i poderwała do lotu – równie gigantyczne – nietoperze.

Tak czy inaczej, na razie nic nie mogłem z tym zrobić. Jedyne, co mi pozostało, to trzymać się planu. Zszedłem na tyle nisko, by ponad deski wystawały tylko moje ramiona i głowa, a potem przysunąłem deski do obu boków najbliżej, jak się dało. Zacząłem układać na nich czasopisma,

otaczając się nimi ze wszystkich stron. Przez cały czas nasłuchiwałem głuchego odgłosu upadku lub bolesnego przedśmiertnego skomlenia. Albo, gdyby upadek nie zabił Radar od razu, wielu bolesnych jęków, towarzyszących powolnemu umieraniu na twardym dnie studni, męczarni, która byłaby skutkiem moich fantastycznych pomysłów.

Pociłem się jak mysz, gdy przyciągałem do siebie deski. Przesunąłem wyprostowane ramiona między opadającymi na siebie stertami czasopism i złapałem jeszcze jeden, ostatni plik. Ułożyłem go na głowie niczym afrykańska kobieta niosąca pranie do najbliższej rzeki, a potem pochyliłem się powoli. Ostatni plik spoczął na otworze. Ułożył się trochę krzywo, ale to musiało wystarczyć. Jeśli przed zamknięciem szopy Andy tylko pobieżnie obejrzy jej wnętrze, nie zauważy raczej nic podejrzanego. Oczywiście pozostawało jeszcze pytanie, jak ja wyjdę ze studni, ale na razie nie zaprzątałem sobie tym głowy.

Ruszyłem w dół schodów; znów przywierałem ramieniem do ściany i oświetlałem latarką tylko swoje stopy. Z powodu plecaka posuwałem się chyba jeszcze wolniej niż poprzednio. Znów liczyłem stopnie, a gdy dotarłem do stu, poświeciłem w dół studni. W ciemności zapłonęły dwie niesamowite plamki światła, gdy promień latarki trafił na odblaskową powierzchnię, która znajduje się w tylnej części psich oczu. Radar była na dole, cała i zdrowa, i czekała na mnie, zamiast biec w głąb tunelu. Ulga, którą poczułem w tym momencie, była ogromna. Zszedłem na dno najszybciej, jak potrafiłem, czyli niezbyt szybko, bo nie chciałem znaleźć się tam błyskawicznie, ale za to ze złamaną nogą. Albo z dwiema złamanymi nogami. Przyklęknąłem na jedno kolano i uściskałem Radar. W normalnych okolicznościach nie miała nic przeciwko takim pieszczotom, ale tym razem niemal natychmiast się odsunęła i odwróciła w stronę tunelu.

– Dobrze, ale nie strasz zwierząt. Cisza.

Ruszyła pierwsza, nie biegła jednak, tylko szybko szła, ani trochę nie kulejąc. Przynajmniej na razie. Znów zastanawiałem się przez chwilę, czym właściwie są te cudowne tabletki i ile zabierają, jednocześnie dając. Jedno z ulubionych powiedzeń taty brzmiało: „Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch”.

Kiedy zbliżaliśmy się do miejsca, które nazywałem w myślach granicą, zaryzykowałem i podniosłem snop światła latarki znad podłogi, by zobaczyć jej reakcję. Niczego nie zauważyłem i gdy myślałem nad tym, czy po pierwszym przejściu ten efekt mija, znów ogarnęło mnie to samo oszołomienie – poczucie oderwania od własnego ciała. Minęło równie szybko, jak się pojawiło, i wkrótce potem zobaczyłem plamkę światła w miejscu, gdzie korytarz otwierał się na zboczu góry.

Dogoniłem Radar, odsunąłem na bok zwisające korzenie i pnącza i spojrzałem w dół, na maki. Czerwony dywan, pomyślałem. Czerwony dywan.

Byliśmy w innym świecie.

## 3

Przez chwilę Radar stała w całkowitym bezruchu, z wysuniętym do przodu pyskiem, postawionymi uszami i drgającym nerwowo nosem. Potem ruszyła w dół ścieżki truchtem, czyli najszybciej, jak potrafiła. A przynajmniej tak mi się wydawało. Byłem w połowie drogi w dół zbocza, gdy z chatki wyszła Dora z parą kapci w ręce. Radar wyprzedzała mnie o jakieś cztery metry. Dora dojrzała nas z daleka – a raczej dojrzała, kto

porusza się na czterech nogach, a nie na dwóch – i wypuściła kapcie z ręki. Opadła na kolana i wyciągnęła przed siebie ręce. Radar poderwała się do szaleńczego biegu, szczekając przy tym radośnie. Zwolniła nieco pod koniec (może zmusiły ją do tego tylne łapy), ale nie na tyle, by nie wpaść z rozpędu na Dorę. Kobieta przewróciła się na plecy i jej suknia pofrunęła w górę, odsłaniając jasnozielone pończochy. Radar stała nad nią okrakiem; szczekała, lizała ją po twarzy i merdała ogonem na wszystkie strony.

Ja też poderwałem się do biegu; ciężki plecak podskakiwał przy każdym kroku i obijał mi się o plecy. Zanurkowałem pod sznurem z butami i pochwyciłem Radar za obrożę.

– Przestań, przestań, Radar! Zostaw ją!

Nie było to jednak takie proste, bo Dora obejmowała ją za szyję i tuliła do piersi… Jak całkiem niedawno mnie. Jej stopy, w tych samych czerwonych butach (w zestawieniu z zielonymi pończochami ten strój przywodził na myśl bożonarodzeniową dekorację), poruszały się w górę i w dół, wykonując radosny taniec. Gdy usiadła prosto, na jej policzkach pojawiły się ledwie widoczne rumieńce, a z pozbawionych oczu wąskich szparek wypływała gęsta, kleista ciecz, która zapewne zastępowała jej łzy.

– Raaaj! – krzyknęła i ponownie uściskała mojego psa. Radar lizała jej szyję, wciąż radośnie wymachując ogonem. – Raaaj, Raaaj, RAAAJ!

– Wygląda na to, że się znacie – powiedziałem.

# 4

Nie musiałem sięgać do swoich zapasów: Dora nakarmiła nas, i to dobrze. Jej gulasz był przepyszny, najlepszy, jaki w życiu jadłem, pełen ziemniaków i mięsa pływających w smakowitym sosie. Przeszła mi przez głowę myśl – zainspirowana zapewne jakimś horrorem – że być może jemy ludzkie mięso, ale uznałem ją za absurdalną. Ta kobieta była dobra. Nie musiałem widzieć radosnej miny ani życzliwych oczu, by to wiedzieć: emanowała dobrocią. A gdybym temu nie ufał, wystarczyło sobie przypomnieć, jak przywitała Radar. I oczywiście jak Radar przywitała ją. Kiedy już pomogłem Dorze wstać z ziemi, mnie również uściskała, ale nie tak jak psa.

Pocałowałem ją w policzek, co wydawało mi się całkowicie naturalne. Dora poklepała mnie po policzku i wciągnęła do wnętrza domu. Chata składała się z jednego dużego pomieszczenia, przyjemnie ciepłego. W kominku nie płonął ogień, ale piec działał pełną parą i gulasz w garnku bulgotał wesoło na płaskiej metalowej płycie (chyba mówi się na to blacha, ale nie jestem pewien). W centralnym miejscu izby stał drewniany stół, a na jego środku wazon z makami. Dora wyjęła dwie białe misy, które wyglądały na rękodzieło, i dwie drewniane łyżki. Gestem poprosiła, bym usiadł.

Radar ułożyła się tak blisko pieca, jak tylko mogła, by jednocześnie nie spalić sierści. Dora wyjęła z szafki kolejną miskę i korzystając z pompy wiszącej nad kuchennym zlewem, napełniła ją wodą. Postawiła miskę przed Radar i ta zaczęła łapczywie chłeptać. Zauważyłem, że nie podnosi przy tym tylnych łap z podłogi. Co nie było dobrym znakiem. Dotąd starałem się jej nie przemęczać, ale gdy zobaczyła dom swojej starej przyjaciółki, nic

nie mogło jej powstrzymać. Gdyby była na smyczy (która leżała teraz w moim plecaku), wyrwałaby mi ją z ręki.

Dora nastawiła wodę na herbatę, nałożyła nam gulaszu i wyjęła z szafki kubki – podobnie jak miski, trochę nierówne – oraz słój, z którego nabrała liści herbaty. Miałem nadzieję, że to zwykła herbata, a nie coś, co zwali mnie z nóg. I bez tego byłem wystarczająco skołowany. Wciąż myślałem, że ten świat leży pod moim światem. Trudno się było pozbyć tego wrażenia, bo przecież zszedłem pod ziemię, by się tu dostać. A jednak w górze rozciągało się niebo. Czułem się jak Charlie w Krainie Czarów i gdybym dojrzał za oknem chaty Szalonego Kapelusznika wędrującego drogą (być może z uśmiechniętym Kotem z Cheshire na ramieniu), pewnie nie byłbym zdziwiony. A raczej nie byłbym zdziwiony bardziej.

Te niesamowite okoliczności nie zmieniły jednak faktu, że byłem okropnie głodny: rano za bardzo się denerwowałem, żeby zjeść porządne śniadanie. Poczekałem jednak, aż Dora przyniesie kubki i usiądzie. Była to oczywiście zwykła uprzejmość, pomyślałem jednak, że być może zechce odmówić jakąś modlitwę, jakąś lokalną wersję *Panie, pobłogosław ten pokarm, który zamierzamy spożyć*. Nie zrobiła tego, sięgnęła tylko po łyżkę i pokazała, żebym brał się do jedzenia. Jak już mówiłem, gulasz był wyśmienity. Wyłowiłem łyżką kawałek mięsa i pokazałem go jej, unosząc brwi.

Kąciki jej ust podskoczyły lekko w górę w jej wersji uśmiechu. Wystawiła dwa palce nad głowę i podskoczyła na krześle.

– Królik?

Pokiwała głową i wydała z siebie chrapliwy, bulgoczący dźwięk. Uświadomiłem sobie, że się śmieje albo przynajmniej próbuje, i ta myśl nagle mnie zasmuciła. Czułem się podobnie, widząc kogoś niewidomego albo osobę na wózku, która już nigdy nie miała chodzić o własnych siłach.

Większość takich ludzi nie chce litości. Radzą sobie z niepełnosprawnością, pomagają innym, prowadzą dobre życie. Są dzielni. Rozumiem to wszystko. Wydawało mi się jednak – może dlatego, że mój organizm funkcjonował perfekcyjnie – że konieczność znoszenia takich rzeczy jest czymś podłym, niesprawiedliwym i chorym. Pomyślałem o dziewczynie, z którą chodziłem do podstawówki, Georginie Womack. Miała wielkie czerwone znamię na policzku. Była pogodnym dzieckiem, nadzwyczaj bystrym, i większość koleżanek i kolegów traktowała ją przyzwoicie. Bertie Bird zamieniał się z nią lunchem. Przypuszczałem, że Georgina poradzi sobie w życiu, ale było mi przykro, że codziennie musi patrzeć w lustrze na to znamię. Nie była temu winna, tak jak Dora nie była winna temu, że jej śmiech, który powinien być piękny i radosny, brzmi jak wściekłe warczenie.

Podskoczyła raz jeszcze, a potem wskazała palcem na gulasz i pokiwała głową: jedz, jedz.

Radar zaczęła podnosić się powoli z podłogi, a gdy udało jej się stanąć na tylnych łapach, podeszła do Dory. Kobieta uderzyła się nasadą dłoni w swoje szare czoło, w geście „Jak mogłam nie pomyśleć?”. Znalazła jeszcze jedną miskę i nałożyła do niej trochę mięsa i sosu. Spojrzała na mnie, unosząc ledwie widoczne brwi.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się.

– Wszyscy jedzą w Domu Butów – powiedziałem.

Obdarzyła mnie swoim osobliwym uśmiechem i usiadła przy stole. Radar zabrała się do jedzenia, wymachując ogonem.

Pochłaniając kolejne łyżki gulaszu, oglądałem drugą część izby. Było tam starannie zaścielone niezbyt duże łóżko, w sam raz dla drobnej kobiety od butów, ale większość tej przestrzeni zajmował warsztat. A może klinika dla rannych butów. Wiele z nich miało zgniecione napiętki albo podeszwy

zwisające pod przyszwą niczym połamane szczęki, albo dziury w podeszwach lub na palcach. Zauważyłem parę skórzanych butów roboczych rozciętych z tyłu, jakby zostały odziedziczone przez kogoś, kto miał stopę większą niż ich pierwotny właściciel. Krzywe rozdarcie w pantofelku z fioletowego jedwabiu zostało zaszyte ciemnoniebieską nicią, prawdopodobnie najbardziej zbliżoną do fioletu, jaką miała Dora. Niektóre buty były brudne, a inne – ustawione na stole roboczym – właśnie przechodziły proces czyszczenia i polerowania jakąś substancją przechowywaną w małych metalowych pojemnikach. Byłem ciekaw, skąd się tu wszystkie wzięły, ale jeszcze bardziej ciekawił mnie przedmiot, który zajmował honorowe miejsce w tej warsztatowej części chaty.

W końcu opróżniłem swoją miskę, a Radar swoją. Dora zabrała obie i uniosła brwi w kolejnym pytaniu.

– Tak, proszę – odpowiedziałem. – Ale dla Radar nie za dużo, bo prześpi cały dzień.

Dora oparła głowę na złożonych dłoniach i zamknęła oczy. Potem wskazała na psa.

– Trzuje.

– Czuje?

Kobieta od butów pokręciła głową i znów odegrała tę scenkę.

– Trzuje!

– Potrzebuje snu?

Pokiwała głową i wskazała na miejsce przy piecu, gdzie przed chwilą leżała Radar.

– Tutaj spała wcześniej? Kiedy przyprowadził ją pan Bowditch?

Dora ponownie skinęła głową i uklękła na jednym kolanie, by pogłaskać Radar. Ta spojrzała na nią z – mogę się mylić, ale nie sądzę – uwielbieniem.

Gdy skończyliśmy drugą porcję gulaszu, podziękowałem głośno. Radar zrobiła to spojrzeniem. Dora zabrała się do mycia misek, a ja wstałem, by przyjrzeć się z bliska temu przedmiotowi w klinice dla butów, który przykuł moją uwagę. Była to stara maszyna do szycia, napędzana jeszcze dużym metalowym pedałem. Na czarnej obudowie w wytartym złotym liściu widniał napis SINGER.

– Pan Bowditch ci to przyniósł?

Przytaknęła, poklepała się dłonią po piersiach i opuściła głowę. Kiedy ją podniosła, jej oczy były wilgotne.

– Był dla ciebie dobry.

Ponownie skinęła głową.

– A ty byłaś dobra dla niego. I dla Radar.

Choć wyraźnie sprawiało jej to dużą trudność, podjęła wysiłek i wydała z siebie jedno zrozumiałe słowo.

– Tttak.

– Masz mnóstwo butów. Skąd je bierzesz? I co z nimi robisz?

Wydawało się, że nie wie, jak na to odpowiedzieć, a gesty, które wykonywała, były dla mnie niezrozumiałe. Potem rozpromieniła się nagle i przeszła do warsztatu. Była tam szafa, w której trzymała zapewne ubrania, oraz więcej małych szafek niż w kuchennej części chaty. Przypuszczałem, że trzyma w nich sprzęty potrzebne do reperacji butów. Pochyliła się nad jedną z nich, sięgnęła do niej i wyjęła małą tablicę, jakich zapewne dzieci używały w czasach jednosalowych szkół i biurek z kałamarzami. Grzebała jeszcze przez chwilę w tej samej szafce i wyjęła kawałek kredy. Przesunęła na bok kilka butów ustawionych na stole roboczym, napisała coś powoli, a potem podniosła tablicę, by mi ją pokazać: *ić garka.*

– Nie rozumiem.

Westchnęła, starła napis i przywołała mnie gestem do stołu. Patrzyłem jej przez ramię, gdy rysowała małe pudełko i dwie równoległe linie przed nim. Postukała w pudełko, zatoczyła ręką szeroki łuk, wskazując na chatę, i znów postukała w pudełko.

– Ten dom?

Pokiwała głową, dotknęła palcem równoległych linii, a potem wyciągnęła rękę w stronę okrągłego okna na lewo od drzwi wejściowych.

– Droga.

– Tttak.

Podniosła palec – skup się, młody człowieku – i przedłużyła nieco równoległe linie. Potem narysowała drugie pudełko. Nad nim znów napisała: *ić garka*.

– Garka.

– Tttak.

Poklepała się dłonią po ustach, po czym złożyła razem palce i zaczęła nimi szybko poruszać, jakby naśladowała kłapiącą paszczę krokodyla. Ten gest zrozumiałem od razu.

– Porozmawiać!

– Tttak.

Postukała palcem w wyraz *garka*. Potem ujęła mnie za ramiona. Jej dłonie były silne od pracy; szare czubki palców pokrywała gruba twarda skóra. Odwróciła mnie i poprowadziła do drzwi. Kiedy tam dotarliśmy, wskazała na mnie i zaczęła poruszać dwoma palcami – naśladując chodzenie – a następnie wskazała na prawo.

– Chcesz, żebym poszedł się spotkać z garką?

Skinęła głową.

– Mój pies musi odpocząć. Nie jest w najlepszej formie.

Dora wskazała na Radar i wykonała gest naśladujący spanie.

Pomyślałem, żeby spytać, jak daleko będę musiał iść, wątpiłem jednak, by umiała odpowiedzieć na tego rodzaju pytanie. Musieliśmy się ograniczać do odpowiedzi „tak” lub „nie”.

– Czy to daleko?

Pokręciła głową.

– Garka umie mówić?

Wydawała się rozbawiona tym pytaniem, ale pokiwała głową.

– Garka? Czy to jakaś dziewczyna?

Uśmiech. Wzruszenie ramionami. Skinienie, a potem kręcenie głową.

– Chyba nie rozumiem. Wrócę przed wieczorem?

Zdecydowane kiwanie głową.

– A ty zaopiekujesz się Radar?

– Tttak.

Zastanawiałem się przez chwilę i uznałem, że warto spróbować. Jeśli ta garka umiała mówić, to mogłem się od niej sporo dowiedzieć. O Dorze i o mieście. Garka może nawet coś wiedzieć o zegarze słonecznym, który miał odmłodzić Radar. Postanowiłem iść przez jakąś godzinę i jeśli do tego czasu nie znajdę domu garki, zawrócę.

Zacząłem otwierać drzwi (zamiast gałki czy klamki zamykało się je na haczyk i skobel), gdy Dora przytrzymała mnie za łokieć i podniosła palec: chwileczkę. Pospieszyła z powrotem do Centrum Reperacji Butów, wysunęła szufladę ze stołu roboczego, coś z niej wyjęła i wróciła do mnie. Trzymała trzy małe kawałki skóry, mniejsze od dłoni. Wyglądały jak podeszwy butów pofarbowane na zielono. Pokazała, bym włożył je do kieszeni.

– Do czego to służy?

Zmarszczyła brwi, potem się uśmiechnęła i rozłożyła ręce. Najwyraźniej było to zbyt skomplikowane. Dotknęła pasków mojego plecaka i spojrzała na mnie pytająco. Pomyślałem, że właściwie wszystko jedno, i zsunąłem go z ramion. Postawiłem plecak obok drzwi, przykucnąłem, otworzyłem go, wyjąłem portfel i wcisnąłem go do tylnej kieszeni spodni – jakby ktoś mógł mnie tu prosić o dokumenty, co było absurdalne. Spojrzałem na Radar, zastanawiając się, jak zareaguje, kiedy zostawię ją z Dorą. Podniosła łeb, gdy wstałem i otworzyłem drzwi, a potem położyła go z powrotem, najwyraźniej zadowolona, że może nie ruszać się ze swojego ulubionego miejsca i drzemać. Czemu nie? Miała żołądek pełen smacznego jedzenia i była u przyjaciółki.

Do szerokiej gruntowej drogi – gościńca, jak nazwałem go w myślach – prowadziła ścieżka, wzdłuż której rosły maki. Były tu również inne kwiaty, ale więdnące albo całkiem uschnięte. Obejrzałem się. Nad drzwiami wisiał duży drewniany but, jaskrawoczerwony, jak buty Dory. Pomyślałem, że to z pewnością szyld jej zakładu. Dora stała tuż pod nim, uśmiechając się i wskazując na prawo, na wypadek gdybym w ciągu ostatniej minuty zapomniał, w którym kierunku mam iść. Był to tak typowo matczyny gest, że nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Nazywam się Charlie Reade, proszę pani – powiedziałem. – A jeśli jeszcze tego nie zrobiłem, to pięknie dziękuję za posiłek dla mnie i Radar. Naprawdę bardzo się cieszę, że się poznaliśmy.

Skinęła głową, wskazała na mnie i poklepała się dłonią po piersi, nad sercem. Ten gest nie wymagał żadnego tłumaczenia.

– Mogę spytać o coś jeszcze?

Skinęła głową.

– Czy ja mówię w twoim języku? Mówię, prawda?

Roześmiała się i wzruszyła ramionami – albo nie rozumiała, albo nie wiedziała, a może uważała, że nie ma to znaczenia.

– No dobrze, nieważne.

– Dorze.

Weszła do środka i zamknęła drzwi.

Na początku ścieżki stała tablica, podobna do tych z menu, jakie niektóre restauracje wystawiają na chodniku. Powierzchnia po prawej, w kierunku, w którym miałem się udać, była pusta. Po lewej wymalowano czterowiersz ułożony w może nie całkiem współczesnym, ale w pełni zrozumiałym angielskim:

*Oddaj mi swe buty stare,*
*Znajdziesz dalej nową parę,*
*Jeśli mi zaufasz ninie,*
*Podróż ci szczęśliwie minie.*

Wpatrywałem się w ten wierszyk znacznie dłużej, niż zajęło mi jego przeczytanie. Domyślałem się już, skąd pochodzą buty, które reperuje Dora, ale nie to mnie tak zafrapowało. Znałem ten charakter pisma. Widziałem go na listach zakupów i kopertach, które wkładałem do skrzynki pocztowej przy Jaworowej 1. To pan Bowditch zrobił tę tablicę, Bóg jeden wie, ile lat temu.

# 5

Bez plecaka szło mi się znacznie łatwiej, co było miłe. Ciągłe odruchowe rozglądanie się za Radar, której nie mogłem przecież wypatrzyć, nie było już takie miłe, wiedziałem jednak, że jest bezpieczna z Dorą. Mój telefon nie działał, nie byłem więc w stanie precyzyjnie odmierzyć zaplanowanej godziny marszu, nie mogłem nawet określić tego czasu w przybliżeniu, śledząc położenie słońca na niebie, bo widziałem je tylko jako niewyraźną plamę ukrytą za grubą warstwą chmur. Postanowiłem skorzystać ze starego pionierskiego sposobu odmierzania czasu i odległości: odczekam trzy lub cztery zmiany krajobrazu, a jeśli nadal nie zobaczę żadnego śladu garki, zawrócę.

Po drodze myślałem o tablicy z wierszykiem. Menu restauracji wypisano by po obu jej stronach, by mogli je zobaczyć ludzie nadchodzący z obu kierunków. Na tej napis znajdował się tylko po jednej stronie, co świadczyło o tym, że ludzie wędrujący gościńcem zmierzali tylko w jednym kierunku: do domu, który miałem znaleźć. Nie rozumiałem, co mogłoby być tego przyczyną, ale liczyłem, że wytłumaczy mi to garka. Jeśli taka istota rzeczywiście istniała.

Dotarłem do końca trzeciego krajobrazu, gdzie droga wznosiła się nieco i wiodła przez łukowaty drewniany most (koryto strumienia w dole było suche), gdy usłyszałem gęgotliwe dźwięki przypominające nieco samochodowe klaksony, choć ich źródłem z pewnością były żywe stworzenia. Gdy znalazłem się w najwyższym punkcie mostu, zobaczyłem po prawej stronie dom. Po lewej nie było już maków; las schodził do samego gościńca. Dom był znacznie większy niż chatka kobiety od butów; wyglądał niemal jak ranczerski dom ze starych westernów wyświetlanych

na TCM, a obok stały inne budynki, dwa duże i jeden mały. Przypuszczałem, że ten największy to stodoła lub obora. Tak, miałem przed sobą zagrodę. Za zabudowaniami znajdował się duży ogród z równymi grządkami pełnymi różnych roślin. Nie znałem ich wszystkich – żaden ze mnie ogrodnik – ale potrafię rozpoznać kukurydzę. Wszystkie budynki były równie stare i szare jak skóra kobiety od butów, ale wyglądały solidnie.

Źródłem gęgotliwych dźwięków były oczywiście gęsi, co najmniej kilkanaście. Otaczały kobietę w niebieskiej sukni i białym fartuchu, którego jeden brzeg trzymała uniesiony w dłoni. Drugą rozrzucała garściami karmę. Gęsi rzucały się na nią łapczywie, trzepocząc przy tym skrzydłami. Niedaleko stał przy cynowym korycie biały koń, na pierwszy rzut oka stary i chudy. Przyszło mi do głowy słowo „szpatowy”, ale ponieważ nie wiedziałem do końca, co właściwie oznacza, nie miałem pojęcia, czy jest trafne. Na głowie konia siedział motyl – normalnych rozmiarów, co przyjąłem z pewną ulgą. Kiedy podszedłem bliżej, odleciał.

Kobieta musiała mnie dostrzec kątem oka, bo podniosła wzrok i znieruchomiała, trzymając jedną dłoń w kieszeni fartucha, podczas gdy gęsi tłoczyły się wokół jej nóg, trzepotały skrzydłami i głośno domagały się kolejnej porcji.

Ja również znieruchomiałem, ponieważ zrozumiałem w końcu, co chciała mi powiedzieć Dora: „Gęsiarka”. Ale zatrzymałem się nie tylko dlatego. Dziewczyna miała opadające na ramiona gęste ciemnoblond włosy z jaśniejszymi pasmami. Jej oczy były szerokie i błękitne, zupełnie niepodobne do wąskich szparek, które służyły do patrzenia Dorze. Na gładkich policzkach malowały się urocze rumieńce. Była młoda i nie tylko ładna, lecz wręcz piękna. Jedna rzecz szpeciła jej bajkową urodę. Między nosem dziewczyny i brodą nie było nic prócz pomarszczonej białej linii, jakby blizny pozostałej po ranie, która zagoiła się dawno temu. Po prawej

stronie blizny widniała czerwona plamka wielkości dziesięciocentówki; wyglądała jak maleńki pączek róży.

Gęsiarka nie miała ust.

## 6

Gdy ruszyłem w jej stronę, zrobiła krok w kierunku jednego z budynków gospodarczych, który wyglądał na barak lub szopę. Wyszło z niego dwóch mężczyzn o szarej skórze, jeden trzymał w rękach widły. Zatrzymałem się, przypominając sobie, że jestem nie tylko obcy, ale też uzbrojony. Podniosłem ręce.

– Spokojnie. Jestem niegroźny. Przysłała mnie Dora.

Gęsiarka jeszcze przez chwilę stała w całkowitym bezruchu, zastanawiając się. Potem wyjęła rękę z kieszeni fartucha i rozrzuciła kolejną garść kukurydzy i ziaren zboża. Drugą ręką najpierw pokazała parobkom, by wrócili do środka, a następnie przywołała mnie. Szedłem do niej powoli, wciąż trzymając ręce w górze. Trzy gęsi podbiegły do mnie z rozłożonymi skrzydłami, zobaczyły, że moje dłonie są puste, i pospieszyły ponownie ku dziewczynie. Koń rozejrzał się, po czym zajął się lunchem, który miał w korycie. A może była to kolacja, bo rozmazana plama słońca zmierzała teraz w stronę lasu po drugiej stronie drogi.

Gęsiarka ponownie zajęła się karmieniem swojego stada, jakby całkiem zapomniała o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Stałem na skraju jej podwórka, nie wiedząc, co powiedzieć. Pomyślałem, że Dora mnie nabrała. Spytałem ją, czy gęsiarka umie mówić, a ona skinęła głową, ale uśmiechała

się jednocześnie. Świetny żart: wysłać dzieciaka po wyjaśnienia do młodej kobiety bez ust.

– Jestem tu obcy – oznajmiłem, co zabrzmiało dość głupio; sama przecież to widziała. Chodziło po prostu o to, że była taka piękna… W pewnym sensie blizna, która zajmowała miejsce jej ust, i czerwona plamka obok jeszcze dodawały jej urody. Wiem, że to brzmi dziwnie, może nawet perwersyjnie, lecz tak właśnie było. – Jestem… au… – Jedna z gęsi uszczypnęła mnie w kostkę.

To ją chyba rozbawiło. Sięgnęła do fartucha, zebrała ostatnią garść karmy i wyciągnęła do mnie rękę. Otworzyłem dłoń, a ona wysypała na nią coś, co wyglądało jak ziarna pszenicy zmieszane z kukurydzą. Drugą ręką przytrzymywała moją dłoń; dotyk jej palców przyprawił mnie o drżenie, jakby nagle przeniknął mnie prąd. Byłem urzeczony. Myślę, że każdy młody facet czułby na moim miejscu to samo.

– Jestem tu, bo mój pies jest stary, a przyjaciel powiedział mi, że w tym mieście… – wskazałem na horyzont – można mu przywrócić młodość. Postanowiłem spróbować. Mam z tysiąc pytań, ale widzę, że ty nie… no wiesz… nie do końca możesz…

Umilkłem, nie chcąc się pogrążać jeszcze bardziej, i rozrzuciłem ziarno przeznaczone dla gęsi. Czułem, jak palą mnie policzki.

To również ją rozbawiło. Rozprostowała fartuch i otrzepała go. Gęsi zgromadziły się wokół niej, by zebrać ostatnie ziarna, a potem gęgając i klekocząc, poszły w stronę obory. Dziewczyna podniosła ręce nad głowę, naciągając tkaninę sukienki, która ciasno opięła jej zachwycające piersi. (Tak, zwróciłem na to uwagę – pozwijcie mnie do sądu). Dwukrotnie klasnęła w dłonie.

Stary biały koń podniósł łeb i powoli poczłapał w jej stronę. Zauważyłem, że jego grzywa jest spleciona w warkoczyki, przystrojone

kawałkami kolorowego szkła i wstążkami. Te ozdoby kazały mi się domyślić, że to jej dzieło. W następnym momencie byłem już tego pewny, bo koń przemówił do mnie kobiecym głosem.

– Odpowiem na niektóre z twoich pytań, bo przysłała cię tu Dora, a także dlatego, że moja pani zna ten pas z pięknymi błękitnymi kamieniami, który nosisz.

Wydawało się, że klaczy w najmniejszym stopniu nie interesuje pas ani kabura z czterdziestkąpiątką; patrzyła na drogę i drzewa po drugiej stronie. To gęsiarka wpatrywała się w pas z ćwiekami. Potem podniosła wzrok i spojrzała na mnie olśniewającymi błękitnymi oczami.

– Przychodzisz od Adriana?

Głos dobiegał od strony białego konia – albo przynajmniej z tamtej okolicy – ale zauważyłem mięśnie poruszające się na szyi dziewczyny oraz wokół tego, co niegdyś było jej ustami.

– Jesteś brzuchomówczynią! – wypaliłem.

Uśmiechnęła się oczami i wzięła mnie za rękę. Znów przebiegł mnie dreszcz.

– Chodź.

Dziewczyna poprowadziła mnie za dom.

# ROZDZIAŁ CZTERNASTY

## Lea i Falada. Pomóż jej. Spotkanie na drodze. Wilki. Dwa księżyce.

### 1

Rozmawialiśmy tylko przez godzinę, i to ja mówiłem najwięcej, ale to w zupełności wystarczyło, bym zrozumiał, że nie mam do czynienia ze zwykłą wiejską dziewczyną. Pewnie brzmi to trochę snobistycznie, jakbym nie uważał, że dziewczyny ze wsi mogą być bystre albo ładne – czy nawet piękne. Nie chodzi mi o to. Jestem nawet pewien, że gdzieś na tym naszym wspaniałym okrągłym świecie są wieśniaczki, które potrafią mówić bez otwierania ust. Tutaj jednak chodziło o coś innego, o coś więcej. Biła od niej jakaś niezwykła pewność siebie, roztaczała wokół siebie aurę, jakby przywykła do tego, że ludzie – nie tylko parobkowie – bez szemrania wykonują jej polecenia. I po tej pierwszej chwili wahania, wywołanego zapewne moim nagłym najściem, nie okazywała wcale strachu.

Chyba nie muszę wam mówić, że ta godzina wystarczyła, bym zakochał się w niej po uszy, bo pewnie już to wiedzieliście. Tak to się układa w tych opowieściach, co? Tyle że dla mnie to nie była opowieść – to było moje życie. Było to też zezowate szczęście Charliego Reade’a: zakochać się

w dziewczynie, która nie tylko jest od niego starsza, ale też nie ma ust, w które mógłby ją całować. Byłbym jednak szczęśliwy, gdybym mógł całować bliznę pozostałą w miejscu tych ust, co powinno dać wam pojęcie o tym, jak bardzo się w niej zadurzyłem. Wiedziałem jednak, że bez względu na to, co się stało z jej ustami, pozostaje poza zasięgiem takich jak ja. Była kimś więcej niż dziewczyną pasącą gęsi. Kimś znacznie więcej.

Poza tym jak można liczyć na romans w sytuacji, gdy piękna dziewczyna musi rozmawiać z rozkochanym w niej Romeem za pośrednictwem konia?

A to właśnie robiliśmy.

## 2

Niedaleko ogrodu stała altana. Usiedliśmy w środku, przy małym okrągłym stole. Kilku robotników, którzy wyszli z pola kukurydzy, niosąc pełne kosze, zmierzało do stodoły, domyśliłem się więc, że tutaj trwa lato, a nie jesień. Nieopodal koń skubał trawę. Szara dziewczyna z paskudnie zdeformowaną twarzą przyniosła tacę i postawiła ją na stole. Na tacy znajdowały się dwie serwetki, szklanka i dwa dzbanki, jeden duży, a drugi podobny do dzbanuszków, w jakich podaje się mleko do kawy. W większym było coś, co wyglądało na lemoniadę. Mały zawierał jakąś gęstą żółtą papkę, przypominającą przetartą dynię. Gęsiarka pokazała, bym nalał sobie trochę z dużego dzbanka i napił się. Zrobiłem to, choć czułem się nieco skrępowany. Bo miałem czym pić.

– Dobre – powiedziałem. Napój rzeczywiście był należycie słodki i cierpki zarazem.

Szara dziewczyna wciąż stała przy prawym ramieniu gęsiarki. Wskazała na żółtą papkę w małym dzbanku.

Gęsiarka skinęła głową, ale jej nozdrza rozdęły się w westchnieniu, a blizna, która powinna być ustami, ściągnęła się lekko w dół. Służąca wyjęła z kieszeni sukni równie szarej jak jej skóra szklaną rurkę. Pochyliła się, by wsunąć ją do dzbanka, ale gęsiarka wzięła od niej rurkę i położyła na stole. Podniosła wzrok na służącą, skinęła głową i złożyła razem dłonie, jakby mówiła: *Namaste*. Dziewczyna odpowiedziała skinieniem głowy i odeszła.

Kiedy już zostaliśmy sami, gęsiarka klasnęła dwukrotnie w dłonie, przyzywając klacz. Zwierzę podeszło bliżej i wciąż przeżuwając trawę, przełożyło łeb nad poręczą altany.

– Jestem Falada – powiedziało, nie poruszało jednak przy tym ustami, jak robi to lalka siedząca na kolanie brzuchomówcy: po prostu nadal żuło. Nie miałem pojęcia, dlaczego gęsiarka nadal bawi się w tę komedię z gadającym koniem. – Moja pani ma na imię Lea.

Później, dzięki Dorze, dowiedziałem się, jak należy zapisywać to imię, ale wtedy usłyszałem „Leia”, jak w *Gwiezdnych wojnach*. Po wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, wydawało mi się to całkiem zrozumiałe. Spotkałem już kogoś, kto mógł być wersją Rumpelsztyka, i staruszkę, która mieszkała nie w bucie, ale pod szyldem wyobrażającym but; ja sam byłem kolejną wersją Jasia z baśni o magicznej fasoli, a czy *Gwiezdne wojny* nie są jeszcze jedną baśnią, tyle że ze świetnymi efektami specjalnymi?

– Miło mi poznać was obie – oznajmiłem. Spośród wszystkich dziwnych rzeczy, które przydarzyły mi się tego dnia (choć czekały mnie jeszcze dziwniejsze), ta pod wieloma względami była najdziwniejsza, czy

może najbardziej surrealistyczna. Nie wiedziałem, w którą stronę patrzeć, i skończyło się na tym, że obracałem głowę to w jedną, to w drugą stronę, niczym widz na meczu tenisowym.

– Przysłał cię Adrian?

– Tak. Choć ja znałem go jako Howarda. Adrianem był… wcześniej. Kiedy widziałaś go ostatnio?

Lea zastanawiała się nad tym przez chwilę, ściągając brwi. Nawet ten grymas był w jej wykonaniu śliczny (od teraz postaram się powstrzymywać od takich uwag, ale nie będzie to łatwe). Potem podniosła wzrok.

– Byłam wtedy znacznie młodsza – powiedziała Falada. – Adrian też był młodszy. Miał ze sobą psa, właściwie jeszcze szczeniaka. Ten pies tańczył wszędzie. Miał dziwne imię.

– Radar.

– Tak.

Lea skinęła głową. Koń nadal przeżuwał resztki trawy. Nie wydawał się choćby w najmniejszym stopniu zainteresowany naszą rozmową.

– Czy Adrian odszedł? Skoro ty tu jesteś i nosisz jego pas i broń, pewnie tak się stało.

– Tak.

– Więc zrezygnował z kolejnego obrotu na zegarze słonecznym? Jeśli tak, to był mądry.

– Owszem, zrezygnował. – Upiłem jeszcze trochę lemoniady, odstawiłem szklankę i pochyliłem się. – Jestem tutaj ze względu na Radar. Jest już stara, chciałbym zabrać ją do zegara słonecznego i przekonać się, czy mogę… – Zastanowiłem się nad tym przez chwilę i pomyślałem o innej baśni science fiction, zatytułowanej *Ucieczka Logana*. – Czy mogę ją reinkarnować. Mam wiele pytań…

– Opowiedz mi swoją historię – przerwała mi Falada. – Może odpowiem potem na twoje pytania, jeśli uznam to za słuszne.

Pozwólcie, że zatrzymam się tutaj i powiem, że otrzymałem od Lei pewne informacje za pośrednictwem Falady, ale ona usłyszała o mnie o wiele więcej. Było w jej zachowaniu coś takiego, jakby po prostu uważała za naturalne, że ludzie są jej posłuszni… i to nie dlatego, że była niemiła czy surowa. Są tacy ludzie – dobrze wychowani ludzie – którzy mają świadomość, że ich obowiązkiem jest być miłymi i uprzejmymi, a starają się tym bardziej, im jest to mniej konieczne. Lecz bez względu na to, czy rzeczywiście tacy są, zawsze potrafią dopiąć swego.

Ponieważ chciałem wrócić do domu Dory przed zmierzchem (nie miałem pojęcia, co może wyjść po zmroku z lasu), ograniczałem się głównie do mojej misji. Opowiedziałem jej, jak poznałem pana Bowditcha, jak się nim zaopiekowałem i jak się zaprzyjaźniliśmy. Powiedziałem też o złocie i wyjaśniłem, że na razie mam go dość, ale za jakiś czas może będę potrzebował więcej, żeby nadal ukrywać prowadzącą do tego świata studnię przed ludźmi z mojego świata, którzy mogliby ją wykorzystać w niewłaściwy sposób. Pominąłem to, że po śmierci pana Heinricha będę musiał znaleźć jakiś sposób wymieniania złota na gotówkę.

– Bo później, za wiele lat, wciąż będę musiał płacić podatki, a są dość wysokie. Wiesz, co to są podatki?

– O tak – odpowiedziała Falada.

– Ale teraz martwię się przede wszystkim o Radar. Zegar słoneczny jest w mieście, prawda?

– Tak. Jeśli tam pójdziesz, musisz być bardzo cicho i kierować się znakami pozostawionymi przez Adriana. I nigdy, przenigdy nie wolno ci tam wchodzić nocą. Jesteś jednym z kompletnych ludzi.

– Kompletnych ludzi? – zdziwiłem się.

Sięgnęła ręką nad stołem, by dotknąć mojego czoła, policzka, nosa i ust. Jej palce były delikatne, a dotyk przelotny, ale znów poczułem się tak, jakby przeszył mnie prąd.

– Kompletny – powiedziała Falada. – Nie szary. Nie zepsuty.

– Co się stało? – spytałem. – Czy to był G…

Tym razem Lea nie była delikatna; przyłożyła dłoń do moich ust z taką siłą, że boleśnie przycisnęła mi wargi do zębów. Pokręciła głową.

– Nigdy nie wymawiaj jego imienia, jeśli nie chcesz, żeby się obudził.

Przyłożyła dłoń do swojej szyi, dotykając palcami żuchwy po prawej stronie.

– Jesteś zmęczona – domyśliłem się. – Mówienie kosztuje cię dużo wysiłku.

Skinęła głową.

– Pójdę już – rzuciłem. – Może uda nam się porozmawiać dłużej jutro.

Zacząłem wstawać, lecz nakazała mi gestem, bym został. Była to nie tyle prośba, ile jednoznaczna komenda. Podniosła palec w geście, który zrozumiałaby nawet Radar: „Siad”.

Włożyła szklaną rurkę do żółtej papki, a potem podniosła palec wskazujący prawej dłoni do czerwonej plamki – jedynej skazy na jej pięknej skórze. Zauważyłem, że wszystkie paznokcie – prócz tego właśnie na palcu wskazującym – ma krótko przycięte. Wcisnęła w ciało czubek tego długiego ostrego paznokcia, aż zniknął. Gdy go wyciągnęła, z otwartej rany wypłynęła strużka krwi. Lea włożyła do maleńkiego otworu rurkę i wciągnęła policzki, wsysając substancję, która służyła jej za pożywienie. To również kosztowało ją sporo wysiłku, a wciągnęła tylko tyle, ile ja pochłonąłbym jednym małym łykiem. Powtórzyła to kilkakrotnie. Papka musiała smakować równie paskudnie, jak wyglądała, bo Lea przełykała ją z najwyższym trudem. W końcu wyjęła rurkę z otworu, który można by

nazwać tracheostomią, gdyby znajdował się na jej szyi. Rana natychmiast zniknęła, ale plama jeszcze wyraźniej odcinała się od skóry. Urągała jej urodzie.

– To naprawdę wystarczy? – spytałem. Nie byłem w stanie ukryć zdumienia i przerażenia. – Przecież to była ledwie odrobina!

Skinęła głową ze znużeniem.

– Otwieranie jest bolesne, a smak nieprzyjemny po tylu latach jedzenia kilku tych samych rzeczy. Czasami myślę, że wolałabym umrzeć z głodu, ale niektórym sprawiłoby to zbyt wielką radość. – Ruchem głowy wskazała kierunek, z którego przyszedłem i w którym leżało miasto.

– Przykro mi – powiedziałem. – Jeśli mógłbym cokolwiek zrobić…

Skinieniem głowy pokazała, że rozumie (oczywiście, że ludzie chcieli robić dla niej różne rzeczy, walczyliby między sobą o taką możliwość), i znów wykonała ten gest: *Namaste*. Potem sięgnęła po serwetkę i starła strużkę krwi. Słyszałem o klątwach – książki są ich pełne – ale po raz pierwszy widziałem rzeczywiste działanie jednej z nich.

– Idź za jego znakami – powiedziała Falada. – Nie zgub się albo dopadną cię nocni żołnierze. Ciebie i Radar. – To ostatnie słowo musiało jej sprawić wyjątkową trudność, bo zabrzmiało jak „Rajar”, co przypomniało mi radosne okrzyki Dory. – Zegar słoneczny jest na placu przy stadionie, za pałacem. Możesz osiągnąć swój cel, jeśli będziesz działał szybko i cicho. Złoto, o którym mówisz, jest w środku. Zdobycie tego skarbu będzie znacznie niebezpieczniejsze.

– Leo, czy ty mieszkałaś kiedyś w tym pałacu?

– Dawno temu – odpowiedziała Falada.

– Czy jesteś… – Musiałem się zmusić do zadania tego pytania, choć odpowiedź wydawała mi się oczywista. – Czy jesteś księżniczką?

Skłoniła głowę.

– Była. – Lea mówiła teraz za pośrednictwem Falady o sobie, używając trzeciej osoby. – Była najmniejszą księżniczką ze wszystkich, bo były też cztery starsze od niej siostry i dwaj bracia, książęta, jeśli wolisz. Jej siostry nie żyją, Drusilla, Elena, Joylene i Falada, moja imienniczka. Robert nie żyje, widziała jego biedne zmasakrowane ciało. Elden, który zawsze był dla niej bardzo dobry, też nie żyje. Jej matka i ojciec również nie żyją. Ocaleli tylko nieliczni z jej rodziny.

Milczałem, próbując objąć rozumem taki ogrom tragedii. Ja straciłem tylko matkę, a przecież i tak był to dla mnie trudny do zniesienia cios.

– Musisz spotkać się ze stryjem mojej pani. Mieszka w ceglanym domu niedaleko Drogi Nadmorskiej. On powie ci więcej. Teraz moja pani jest bardzo zmęczona. Żegna cię i życzy ci bezpiecznej podróży. Musisz spędzić tę noc u Dory.

Wstałem. Przyćmiona słoneczna plama sięgnęła już niemal drzew.

– Moja pani życzy ci powodzenia. Mówi, że jeśli uda ci się reinkarnować psa Adriana, musisz go tutaj przyprowadzić, żeby moja pani mogła popatrzeć, jak tańczy i biega jak kiedyś.

– Zrobię to. Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

Lea skinęła ze znużeniem głową i podniosła rękę – mów, ale krótko i zwięźle.

Wyjąłem z kieszeni trzy małe kawałki skóry w kształcie podeszew i pokazałem je Lei, a potem (trochę zażenowany) Faladzie, która nie okazała najmniejszego zainteresowania.

– Dora mi to dała, ale nie wiem, co z tym zrobić.

Lea uśmiechnęła się oczami i pogłaskała nozdrza Falady.

– W drodze powrotnej do domu Dory możesz spotkać wędrowców. Jeśli będą bosi, to znaczy, że oddali jej do naprawy swoje uszkodzone albo znoszone buty. Zobaczysz ich bose stopy i dasz im to. Nieco dalej przy

drodze w tę stronę… – wskazała kierunek przeciwny do tego, gdzie leżało miasto – jest mały sklep należący do młodszego brata Dory. Jeśli podróżnicy będą mieli te kawałki skóry, on da im nowe buty.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Dora naprawia stare i zepsute – powiedziałem w końcu.

Lea skinęła głową.

– A potem ludzie bez butów idą do jej brata sklepikarza.

Ponownie skinęła głową.

– Kiedy te stare buty zostaną odnowione… prawie reinkarnowane, jak być może zdarzy się z Radar… Dora zabiera je do brata?

Skinienie głową.

– Czy brat je sprzedaje?

Tym razem Lea pokręciła głową.

– Czemu nie? Sklepy zwykle działają dla zysku.

– W życiu są rzeczy ważniejsze od zysku – odparła Falada. – Moja pani jest bardzo zmęczona i musi teraz odpocząć.

Lea ujęła moją dłoń i uścisnęła ją. Nie muszę wam mówić, jak się w tym momencie poczułem.

Wypuściła ją i klasnęła kilkakrotnie. Falada odeszła leniwym krokiem. Jeden z szarych parobków wyszedł z obory i lekko poklepał klacz po boku. Bez ociągania ruszyła w stronę budynku, odprowadzana przez chłopca.

Kiedy się rozejrzałem, zobaczyłem stojącą obok kobietę, która przyniosła wcześniej lemoniadę i żółte purée. Skinęła na mnie głową i wskazała na dom oraz biegnącą za nim drogę. Audiencja – bo tym właśnie bez wątpienia było to spotkanie – dobiegła końca.

– Do widzenia i dziękuję – powiedziałem.

Lea wykonała gest *Namaste*, a potem pochyliła głowę i uderzyła dłońmi w fartuch. Służąca (a może dama dworu) odprowadziła mnie do drogi. Brzeg jej długiej szarej sukni zamiatał ziemię.

– Możesz mówić? – spytałem ją.

– Trochę – odparła skrzekliwie. – Boli.

Dotarliśmy do gościńca. Wyciągnąłem rękę w kierunku, z którego przyszedłem.

– Jak daleko jest stąd do ceglanego domu jej stryja? Wiesz?

Podniosła jeden zniekształcony szary palec.

– Dzień drogi? – domyśliłem się.

Skinęła głową, co jak już zdążyłem się przekonać, było tu najpowszechniejszą formą komunikacji. Dla tych, którzy nie byli brzuchomówcami, oczywiście.

Dzień drogi do stryja. Jeśli to oznaczało trzydzieści parę kilometrów, to potem zostawał jeszcze dzień drogi do miasta, choć pewniej dwa. Albo nawet trzy. Łącznie tam i z powrotem do podziemnego tunelu prowadzącego do studni dawało to jakieś sześć dni, i to przy założeniu, że wszystko pójdzie po mojej myśli. Do tego czasu mój ojciec wróci już do domu i zgłosi moje zaginięcie.

Będzie przerażony, może zacząć pić. Ryzykowałem trzeźwość taty za życie psa. Jeśli nawet ten magiczny zegar słoneczny istnieje, to kto wie, czy podziała na starego owczarka niemieckiego? Uświadomiłem sobie – powiecie, że trochę późno – że mój plan był nie tylko szalony, ale też egoistyczny. Gdybym wrócił już teraz, nikt nie dowiedziałby się o niczym. Oczywiście musiałbym jakoś wyłamać drzwi szopy, jeśli Andy zamknął je na kłódkę, uważałem jednak, że jestem wystarczająco silny, by to zrobić. Byłem jednym z nielicznych członków drużyny futbolowej Hillview, którzy potrafili nie tylko uderzyć w manekina do ćwiczeń i przepchnąć go

o kilkadziesiąt centymetrów, ale też obalić na ziemię. Do tego dochodziło coś jeszcze: tęskniłem za domem. Byłem tu dopiero od kilku godzin, lecz kiedy dzień chylił się ku końcowi w tej smutnej pochmurnej krainie, gdzie jedynym kolorowym akcentem były wielkie pola maków… tak, tęskniłem za domem.

Postanowiłem zabrać Radar i wrócić. Przemyślę wszystkie dostępne opcje. Spróbuję obmyślić jakiś nowy plan, który pozwoli mi zniknąć bez konsekwencji na tydzień, może nawet dwa. Nie miałem pojęcia, jak będzie wyglądał taki plan, i wiedziałem chyba w głębi duszy (czy też w tym małym mrocznym zakątku umysłu, w którym próbujemy skrywać tajemnice przed samymi sobą), że będę to odkładał dopóty, dopóki Radar nie umrze, ale to właśnie zamierzałam zrobić.

To znaczy do chwili, gdy szara służąca złapała mnie za łokieć. Na tyle, na ile mogłem to wyczytać z jej zniekształconej twarzy, była przerażona własną śmiałością, mimo to trzymała mnie mocno. Przyciągnęła mnie do siebie, stanęła na palcach i wyszeptała mi do ucha, skrzecząc z bólem:

– Pomóż jej.

## 3

Wracałem powoli do Domu Butów Dory, niemal nieświadom tego, że światło dnia z każdą chwilą słabnie. Myślałem o tym, jak Lea (wtedy wciąż nazywałem ją Leią) przebiła plamkę w kąciku tego, co niegdyś było jej ustami. Choć rana krwawiła, choć musiała ją okropnie boleć, księżniczka

wciąż to robiła, bo tylko w ten sposób mogła spożyć żółtą papkę, która utrzymywała ją przy życiu.

Kiedy po raz ostatni jadła kukurydzę, selera czy pyszną potrawkę z królika przyrządzoną przez Dorę? Czy nie miała ust już wtedy, gdy Radar była szczeniakiem i brykała wokół znacznie młodszej Falady? Czy jej uroda, niesłabnąca mimo skrajnego niedożywienia, była jakimś okrutnym żartem? Czy to za sprawą klątwy wygląda pięknie i zdrowo, chociaż nieustannie dręczy ją głód?

„Pomóż jej”.

Czy istniał jakiś sposób, by tego dokonać? W baśni na pewno. Pamiętam, jak mama czytała mi historię Roszpunki, gdy miałem nie więcej niż pięć lat. Wspomnienie to było wyjątkowo żywe ze względu na zakończenie historii: triumfu miłości nad straszliwym okrucieństwem. Nikczemna czarownica oślepiła księcia, karząc go w ten sposób za to, że chciał uratować Roszpunkę. Doskonale pamiętam obrazek przedstawiający biednego księcia błąkającego się po lesie, wyciągającego przed siebie ręce, by wymacać przeszkody. W końcu odnalazł Roszpunkę i jej łzy przywróciły mu wzrok. Czy ja mogłem jakimś sposobem przywrócić usta Lei? Pewnie nie zwilżając je swoimi łzami, ale być może było coś, co mogłem dla niej zrobić. W świecie, w którym wielki zegar słoneczny może odjąć ci lat, wszystko wydaje się możliwe.

Poza tym pokażcie mi normalnego nastolatka, który nie chce być bohaterem wspaniałej opowieści, takim, który pomaga pięknej dziewczynie – raczej wam się to nie uda. Kiedy rozmyślałem o tym, czy ojciec nie zacznie znowu pić, przypomniałem sobie coś, co powiedział mi kiedyś Lindy: „Nie możesz przypisywać sobie zasługi za jego wytrzeźwienie, bo to on to zrobił. A jeśli znów zacznie pić, nie możesz się obwiniać, bo też zrobi to on”.

Wpatrywałem się w swoje buty, głęboko pogrążony w tych rozmyślaniach, gdy usłyszałem skrzypienie kół. Podniosłem wzrok i zobaczyłem rozklekotaną małą furmankę ciągniętą przez konia tak starego, że Falada wyglądała przy nim jak obraz zdrowia i młodości. Na wozie leżało kilka tobołków, a na największym siedziała kura. Obok pojazdu szli – raczej się wlekli – młody mężczyzna i młoda kobieta. Byli szarzy, ale nie tak szarzy jak parobkowie i służąca Lei. Jeśli ten kolor był oznaką choroby, to ci ludzie przechodzili dopiero jej wczesne stadium… i oczywiście Lea wcale nie była szara, nie miała tylko ust. Kolejna tajemnica.

Młody mężczyzna ściągnął lejce i zatrzymał konia. Para spojrzała na mnie z obawą i nadzieją jednocześnie. Bez trudu mogłem odczytać ich emocje, bo zachowali niemal niezmienione twarze. Oczy kobiety zaczęły się rozciągać, ale nie przypominały jeszcze wcale szczelin, przez które Dora patrzyła na świat. Mężczyzna był w nieco gorszym stanie, jego nos jakby się topił i zapadał, choć gdyby nie ten feler, mógłby uchodzić za przystojnego.

– Hej – powiedział. – Czy to szczęśliwe spotkanie? Jeśli nie, bierz, co chcesz. Ty masz broń, a ja nie i jestem zbyt zmęczony i zbyt zgnębiony, żeby z tobą walczyć.

– Nie jestem rabusiem – odparłem. – Tylko podróżnikiem, tak jak wy.

Kobieta miała niskie sznurowane trzewiki, zakurzone, ale całe. Stopy mężczyzny były bose. I brudne.

– Kobieta z psem mówiła o kimś, kogo możemy spotkać po drodze. Czy to ty?

– Tak, to chyba ja.

– Masz kupon? Powiedziała, że będziesz miał, bo oddałem jej swoje buty. Należały do mojego ojca i całkiem się już rozpadały.

– Nie zrobisz nam krzywdy, prawda? – Kobieta była młoda, ale mówiła głosem staruszki. Nie skrzeczała jeszcze jak Dora, lecz ta przemiana była jedynie kwestią czasu.

Ci ludzie są przeklęci, pomyślałem. Wszyscy. I jest to wolno działająca klątwa. Być może najgorsza.

– Nie. – Wyjąłem z kieszeni kawałek barwionej na zielono skóry i podałem młodemu człowiekowi. Schował go do kieszeni spodni.

– Da mojemu mężczyźnie buty? – spytała kobieta chrapliwym głosem.

Odpowiedziałem na to pytanie ostrożnie, jak przystało na chłopaka, którego ojciec pracował w ubezpieczeniach.

– O ile dobrze zrozumiałem, taka jest właśnie umowa.

– Musimy iść dalej – powiedział jej mąż… jeśli nim właśnie był. Jego głos brzmiał nieco lepiej, ale w miejscu, z którego pochodzę, nikt nie zatrudniłby go jako spikera albo lektora. – Dziękujemy.

Daleko w lesie po drugiej stronie drogi rozległo się wycie. Przybierało na sile i wysokości, aż zamieniło się niemal w krzyk. Był to przerażający dźwięk i kobieta wtuliła się w swojego towarzysza.

– Musimy iść dalej – powtórzył. – Wilki.

– Gdzie się zatrzymacie?

– Kobieta z psem pokazała nam tablicę i narysowała coś, co wyglądało na dom i stodołę. Widziałeś to?

– Tak. I jestem pewien, że was tam przyjmą, ale pospieszcie się. Ja zrobię to samo. Wędrówka po zmroku to chyba… – To do dupy pomysł, przemknęło mi przez głowę, lecz nie mogłem tego wypowiedzieć. – To niezbyt mądry pomysł.

Niezbyt mądry, bo gdyby pojawiły się tu wilki, ta dwójka nie mogłaby się ukryć w domu ze słomy czy desek, nie wspominając już o domu z cegieł. Byli obcy w tej krainie. Ja przynajmniej miałem przyjaciółkę.

– Idźcie już. Myślę, że jutro dostaniecie nowe buty. Niedaleko stąd jest sklep, a przynajmniej tak mi powiedziano. Właściciel da wam buty, jeśli pokażecie mu ten… no wiecie… ten kupon. Ale chcę wam zadać jedno pytanie, jeśli można.

Czekali.

– Co to za kraina? Jak ją nazywacie?

Popatrzyli na mnie tak, jakby brakowało mi piątej klepki – choć zapewne nie mógłbym tu wypowiedzieć takich słów – a potem mężczyzna odpowiedział:

– To jest Empis.

– Dziękuję.

Poszli swoją drogą, a ja swoją. Przyspieszyłem kroku, aż niemal biegłem. Nie słyszałem już więcej wycia, ale robiło się już całkiem ciemno, gdy wreszcie dojrzałem wypełnione światłem okno domu Dory. Postawiła też lampkę przed schodami.

Z ciemności w moją stronę ruszył jakiś czarny kształt. Sięgnąłem do czterdziestkipiątki pana Bowditcha. Kształt się zbliżył i w końcu przybrał postać Radar. Opadłem na jedno kolano, by nie nadwerężała chorych tylnych łap, próbując na mnie skakać. Co najwyraźniej zamierzała zrobić. Objąłem ją za szyję i przyciągnąłem mocno do piersi.

– Cześć, mała. Jak się masz?

Machała ogonem tak energicznie, że jej zadek wychylał się na boki niczym wahadło. Miałem pozwolić jej umrzeć, jeśli mogłem temu w jakikolwiek sposób zapobiec? Nie ma mowy!

„Pomóż jej”, powiedziała służąca Lei i tam właśnie, na okrytej mrokiem drodze, postanowiłem, że pomogę im obu – staremu psu i księżniczce gęsiarce.

Jeśli tylko zdołam.

Radar wysunęła się z moich objęć, przeszła do pola maków przy drodze i przykucnęła.

– Dobry pomysł – powiedziałem i rozpiąłem rozporek. Załatwiając się, przez cały czas trzymałem dłoń na rękojeści rewolweru.

# 4

Dora pościeliła mi łóżko przy kominku. Była tam nawet poduszka w poszewce z kolorowymi motylami. Podziękowałem jej, a ona grzecznie dygnęła. Zauważyłem ze zdumieniem, że miejsce jej czerwonych butów (takich, jakie nosiła Dorotka w Oz) zajęły żółte sportowe buty Converse.

– Dał ci je pan Bowditch?

Skinęła głową i spojrzała na nie, wykrzywiając usta w swojej wersji uśmiechu.

– To buty na specjalne okazje?

Wydawało mi się, że tak właśnie jest, bo były idealnie czyste, jakby wyjęła je przed chwilą z pudełka.

Skinęła głową, wskazała na mnie, a potem na buty. „Założyłam je dla ciebie”.

– Dziękuję, Doro.

Jej brwi niemal już całkowicie stopiły się z czołem, podniosła jednak to, co jeszcze z nich zostało, i wskazała w kierunku, z którego przyszedłem.

– Soka?

– Nie rozumiem.

Przeszła do swojego warsztatu i przyniosła tablicę. Zmazała kwadraty przedstawiające dom i stodołę, które pokazywała zapewne młodemu mężczyźnie i kobiecie, a potem napisała wielkimi literami: LEA. Przyglądała się temu przez moment, po czym dodała znak zapytania.

– Tak – odparłem. – Gęsiarka. Spotkaliśmy się. Dziękuję, że pozwoliłaś nam tu zostać na noc. Jutro ruszymy dalej.

Poklepała się po piersi nad sercem, wskazała na Radar, potem na mnie i w końcu uniosła dłonie w geście obejmującym całe pomieszczenie. „Mój dom jest waszym domem”.

# 5

Zjedliśmy jeszcze trochę gulaszu, tym razem z kawałkami nieco już czerstwego pieczywa. Czerstwego, ale pysznego. Jedliśmy przy blasku świecy. Radar też dostała porcję. Nim pozwoliłem jej zjeść, wyjąłem z plecaka buteleczkę z tabletkami i włożyłem dwie do gulaszu. Potem, gdy pomyślałem o tym, ile mamy do przejścia, dołożyłem trzecią. Robiąc to, nie mogłem się uwolnić od myśli, że zamieniam siekierkę na kijek.

Dora wskazała na tabletki i przechyliła głowę.

– Mają jej pomóc. Czeka nas długa droga, a ona już nie jest taka silna jak kiedyś. Myśli, że jest, ale nie jest. Kiedy się skończą, pewnie…

Przerwałem, gdy z drugiej strony drogi znów dobiegło przeciągłe wycie. Po chwili dołączyło do niego drugie, a potem trzecie. Były niewiarygodnie głośne, sięgały rejestrów, które sprawiały, że miałem ochotę

zgrzytać zębami. Radar podniosła łeb, ale nie zaszczekała, wydała tylko głuche warknięcie, które dochodziło gdzieś z głębi jej trzewi.

– Wilki – powiedziałem.

Dora skinęła głową, skrzyżowała ręce na piersiach i złapała się za ramiona. Potem wzdrygnęła się teatralnie.

Do wycia dołączały kolejne wilki. Pomyślałem, że jeśli będą to robić przez całą noc, raczej nie odpocznę przed następnym etapem podróży. Nie wiem, czy Dora odczytała moje myśli, czy tylko mi się tak wydawało. Tak czy inaczej, wstała i pokazała mi, bym podszedł do okrągłego okna. Wskazała w górę. Była niska i nie musiała się pochylać, by spojrzeć przez okno na niebo, ale ja musiałem. To, co zobaczyłem, było kolejnym szokiem w dniu wypełnionym całą serią podobnych doznań.

Chmury rozstąpiły się częściowo, odsłaniając długą smugę nieba, w której dojrzałem dwa księżyce, jeden większy od drugiego. Zdawało się, że pędzą przez kosmiczną otchłań, jakby się ścigały. Ten większy był ogromny. Nie potrzebowałem teleskopu, by dojrzeć kratery, doliny i kaniony na jego przedwiecznej powierzchni. Wydawało się, że lada moment na nas spadnie. Potem chmury się zamknęły. Wycie ustało, i to natychmiast. Można było pomyśleć, że te dźwięki były nadawane przez ogromny wzmacniacz i ktoś nagle odłączył go od prądu.

– Czy to się dzieje każdej nocy? – spytałem.

Dora pokręciła głową, rozłożyła ręce, a potem wskazała na chmury. Całkiem sprawnie komunikowała się za pomocą gestów i tych kilku słów, które potrafiła napisać, ale tego nie zrozumiałem.

# 6

Jedyne drzwi w chacie, które nie prowadziły na zewnątrz – od frontu czy z tyłu – były niskie i dostosowane do rozmiarów Dory. Kiedy już posprzątała i pozmywała po kolacji (odganiając mnie, gdy próbowałem jej pomóc), weszła za nie i wróciła po pięciu minutach w koszuli nocnej sięgającej jej bosych stóp oraz chustce okrywającej to, co zostało z jej włosów. W ręce trzymała buty Converse. Odłożyła je ostrożnie – nabożnie – na półkę u wezgłowia jej łóżka. Było tam coś jeszcze, a gdy spytałem, czy mogę przyjrzeć się temu z bliska, podsunęła mi ten przedmiot, choć wyraźnie nie miała ochoty oddawać go w moje ręce. Była to oprawiona mała fotografia pana Bowditcha trzymającego na rękach szczeniaka, z pewnością Radar. Dora przyłożyła zdjęcie do piersi, poklepała je i z powrotem postawiła przy butach.

Wskazała na małe drzwi, a następnie na mnie. Zabrałem szczoteczkę do zębów i wszedłem tam. Do tej pory widziałem tylko kilka wychodków, na zdjęciach w książkach i w starych filmach, lecz nawet gdybym widział ich całe mnóstwo, ten byłby pewnie najschludniejszy. Był tu mały cynowy kubeł ze świeżą wodą i sedes z zamykaną drewnianą klapą. W wazonie umocowanym na ścianie tkwiły maki, które rozsiewały dokoła słodką wiśniową woń. Ani przez moment nie czułem zapachu ludzkich odchodów. Zero.

Umyłem dłonie i twarz i wytarłem je małym ręcznikiem z haftowanymi motylami. Wyszorowałem na sucho zęby. Byłem w wychodku najwyżej pięć minut, może nawet krócej, ale gdy wróciłem do izby, Dora spała już głęboko na swoim małym łóżku. Radar spała obok niej.

Położyłem się na prowizorycznym posłaniu z kilku koców ułożonych na podłodze oraz jednego, którym miałem się przykryć. Nie potrzebowałem go na razie, bo żar z kominka wciąż skutecznie ogrzewał wnętrze chaty. Widok migoczących dogasających węgli był hipnotyzujący. Wilki, nieprowokowane blaskiem księżyców, milczały, ale pod okap wpadał lekki wietrzyk, który przy silniejszych podmuchach pojękiwał i świszczał, a ja nie byłem w stanie nie myśleć o tym, jak daleko jestem od swojego świata. Och, mogłem do niego wrócić choćby i teraz, przechodząc ścieżką do otworu w górze zbocza, pokonując korytarz długości dwóch kilometrów i wspinając się na sto osiemdziesiąt pięć schodów studni światów, ale to nie była prawdziwa miara. To był inny świat. To było Empis, gdzie na niebie lśniły dwa księżyce, a nie jeden. Pomyślałem o książce z okładką, na której widniał lejek napełniający się gwiazdami.

Nie gwiazdami, pomyślałem. Opowieściami. Nieskończoną liczbą opowieści, które wpływają do tego lejka i wypływają w naszym świecie, prawie niezmienione.

Potem pomyślałem o nauczycielce z trzeciej klasy, pani Wilcoxen, która kończyła każdy dzień pytaniem: „Czego się dziś dowiedzieliśmy, chłopcy i dziewczynki?”.

Czego się dziś dowiedziałem? Że jest to magiczne miejsce, nad którym ciąży klątwa. Że ludzie, którzy tu mieszkają, cierpią na jakąś postępującą chorobę. Chyba rozumiałem już, dlaczego na tablicy przy domu Dory – którą zrobił dla niej pan Bowditch – wierszyk o butach znajdował się tylko po stronie zwróconej ku miastu. Było tak dlatego, że ludzie nadchodzili właśnie z tamtego kierunku. Brak napisu po drugiej stronie świadczył o tym, że mało kto – jeśli ktokolwiek – wracał do miasta. Jeśli słusznie zakładałem, że zakryte chmurami słońce chowa się wieczorami za zachodnim horyzontem, to młodzi ludzie, których spotkałem po drodze

(oraz wszyscy pozostali beneficjenci programu wymiany butów prowadzonego przez Dorę i jej brata), nadchodzili od północy. Ewakuowali się z północy? Czy była to krocząca klątwa, a może nawet jakiś rodzaj promieniowania wypływający z miasta? Miałem zdecydowanie za mało informacji, by być tego pewnym – albo choć w połowie pewnym – mimo to ta myśl nie nastrajała mnie optymistycznie, bo właśnie w tym kierunku miałem udać się z Radar. Czy moja skóra zacznie szarzeć? Czy mój głos będzie się stopniowo zamieniał w skrzeczenie i powarkiwanie, jakie wydawały z siebie Dora i dama dworu Lei? Skóra i głos pana Bowditcha były całkiem normalne, lecz może w tej części Empis nie działo się nic złego, gdy był tu ostatnio.

Może tak, może nie. Pomyślałem, że jeśli zauważę u siebie jakieś zmiany, w każdej chwili mogę zawrócić i wziąć nogi za pas.

„Pomóż jej”.

To właśnie powiedziała mi szara służąca. Wydawało mi się, że wiem, jak pomóc Radar, ale jak niby miałbym pomóc księżniczce bez ust? W baśni książę znalazłby na to jakiś sposób. Byłoby to pewnie coś zaskakującego i nieprawdopodobnego, jak magiczne właściwości łez Roszpunki, które przywróciły księciu wzrok, ale akceptowalnego dla czytelników pragnących happy endu, nawet gdyby autor musiał takie rozwiązanie wymyślić naprędce. Tyle że ja nie byłem księciem, tylko nastoletnim dzieciakiem, który trafił przez przypadek do innej rzeczywistości i nie miał na razie żadnych błyskotliwych pomysłów.

Węgle w kominku były magiczne same w sobie: rozpalały się, gdy wiatr wpadał do chaty przez komin, i przygasały, kiedy nie wiał. Nie odrywałem od nich wzroku, ale powieki coraz mocniej mi ciążyły. Zasnąłem, a gdzieś w środku nocy Radar przeszła przez izbę i ułożyła się

obok mnie. Rankiem w kominku został już tylko zimny popiół, lecz ta strona mojego posłania, po której leżała Radar, była ciepła.

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

## Pożegnanie z Dorą. Uchodźcy. Peterkin. Woody.

### 1

Na śniadanie zjedliśmy jajecznicę – z gęsich jaj, sądząc po wielkości – i kawałki chleba przypieczone nad ogniem. Co prawda Dora nie miała do nich masła, ale podała pyszny dżem truskawkowy. Po posiłku zapiąłem plecak i zarzuciłem jego paski na ramiona. Przypiąłem smycz do obroży Radar. Nie chciałem, żeby w pogoni za olbrzymim królikiem zapędziła się do lasu i spotkała tutejszą wersję wilkora z *Gry o tron*.

– Wrócę – powiedziałem Dorze ze znacznie większym przekonaniem, niż czułem. Niemal dodałem: „A Radar znów będzie wtedy młoda”, pomyślałem jednak, że lepiej nie zapeszać. Poza tym, choć miałem ogromną nadzieję, że magiczne odmładzanie nie jest tylko bajką, wciąż trudno było mi w nie uwierzyć, nawet tutaj, w Empis. – Sądzę, że będę mógł spędzić następną noc w domu stryja Lei – zakładając, że nie jest uczulony na psy albo coś w tym rodzaju, pomyślałem – ale wolałbym dotrzeć tam przed zmierzchem. – Chodziło mi oczywiście o wilki (raczej nie dało się o nich zapomnieć).

Skinęła głową, ujęła mnie pod łokieć i wyprowadziła na zewnątrz tylnymi drzwiami. Na podwórku nadal wisiały krzyżujące się sznury, lecz buty, kapcie i pantofle zostały przeniesione do środka, prawdopodobnie by nie zmoczyła ich poranna rosa (miałem nadzieję, że nie jest radioaktywna). Przeszliśmy za chatę, gdzie stał mały wózek, który widziałem wcześniej. Zamiast worków, z których wystawała jakaś zielenina, leżał tam tobołek owinięty jutą i przewiązany sznurkiem. Dora wskazała na niego, a potem na moje usta. Podniosła dłoń do własnych i kilkakrotnie otworzyła i zamknęła swoje częściowo stopione palce, naśladując przeżuwanie. Przekaz był jasny.

– Jezu, nie! Nie mogę zabierać twojego jedzenia i nie mogę zabierać twojego wózka! Przecież to na nim wieziesz naprawione buty do sklepu brata, prawda?

Wskazała na Radar i przeszła kilka kroków, wyraźnie utykając, najpierw w stronę wózka, a potem do mnie. W końcu wskazała na południe (jeśli moje domysły były słuszne i rzeczywiście tam znajdowało się południe) i poruszyła palcami w powietrzu, imitując ludzki chód. Pierwsza część była prosta. Mówiła mi, że wózek jest dla Radar, kiedy już zacznie utykać. Przypuszczałem, że chce mi też powiedzieć, że ktoś – zapewne jej brat – przyjdzie po buty.

Wskazała na wózek, zwinęła dłoń w szarą piąstkę i trzykrotnie lekko uderzyła nią w moją pierś: „Musisz”.

Dobrze ją rozumiałem. Miałem pod opieką starszego psa i długą drogę do przebycia. Jednak bardzo nie chciałem brać od niej więcej, niż już wziąłem.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową i wyciągnęła ręce, bym ją uściskał, co z ochotą zrobiłem. Potem opadła na kolana i uściskała Radar. Gdy wstała, wskazała na drogę, potem na sznury i na siebie samą.

„Ruszaj. Ja mam pracę”.

Uniosłem oba kciuki, po czym przeszedłem do wózka i położyłem plecak obok zapasów, które nam przygotowała – sądząc po tym, co jedliśmy dotąd w jej chacie, były zapewne o wiele smaczniejsze od sardynek pana Bowditcha. Podniosłem długie rączki i stwierdziłem z zadowoleniem, że wózek prawie nic nie waży, jakby wykonano go z tutejszego odpowiednika ziemskiej balsy. Kto wie, może właśnie tak było. Koła wózka dobrze naoliwiono i nie skrzypiały jak koła wozu młodych ludzi, których spotkałem po drodze. Pomyślałem, że będzie mi się go ciągnęło niemal równie łatwo jak zabawkowy czerwony wózeczek, którym bawiłem się jako siedmiolatek.

Obróciłem wózek w miejscu i przeszedłem do drogi, pochylając się pod sznurkami na buty. Radar truchtała obok mnie. Kiedy dotarłem do gościńca, o którym myślałem teraz jako o Drodze do Szmaragdowego Miasta (nie widziałem na niej ani jednej żółtej kostki, więc ta nazwa odpadała), odwróciłem się raz jeszcze. Dora stała przy chacie, z dłońmi złożonymi między piersiami. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, podniosła je do ust, a potem skierowała w moją stronę.

Opuściłem uchwyty wózka, by powtórzyć ten gest, po czym ruszyłem w drogę. Oto coś, czego nauczyłem się w Empis: dobrzy ludzie lśnią jaśniej w mrocznych czasach.

Pomóż także jej, pomyślałem. Pomóż także Dorze.

# 2

Wspięliśmy się na wzgórze i zeszliśmy do doliny, jak mógłby napisać autor którejś ze starych baśni. Cykały świerszcze, śpiewały ptaki. Maki po lewej ustępowały czasem miejsca polom uprawnym, na których pracowali nieliczni szarzy mężczyźni i szare kobiety. Na mój widok przerywali pracę, dopóki nie przeszedłem dalej. Machałem do nich, ale odmachała mi tylko jedna osoba, kobieta w dużym słomkowym kapeluszu. Były też inne pola, zapomniane i leżące odłogiem. Spośród warzyw wyrastały chwasty i jaskrawe plamy maków, które – jak przypuszczałem – w końcu miały całkiem przejąć ten teren.

Po prawej wciąż ciągnął się las. Zauważyłem kilka domów i zagród, lecz większość z nich była opuszczona. Dwukrotnie przez drogę przekicały króliki wielkości małych psów. Radar przyglądała im się z zainteresowaniem, nie kwapiła się jednak do pogoni, więc odpiąłem jej smycz i wrzuciłem na wózek.

– Nie rozczaruj mnie, mała.

Mniej więcej po godzinie przystanąłem, by rozwiązać spory tobołek, który przygotowała dla nas Dora. Pośród innych smakowitości znalazłem ciasteczka z melasą. Nie było w nich czekolady, więc dałem jedno Radar i błyskawicznie je pochłonęła. Były tam również trzy długie szklane słoje owinięte w czyste szmatki. Dwa zawierały wodę, a trzeci coś, co wyglądało na herbatę. Wypiłem trochę wody i podałem też odrobinę Radar w glinianym kubku, który również zapakowała nasza przyjaciółka. Radar wychłeptała ją łapczywie.

Kiedy ponownie pakowałem tobołek od Dory, zobaczyłem troje ludzi wlekących się drogą w naszą stronę. Dwaj mężczyźni dopiero zaczynali

szarzeć, ale idąca między nimi kobieta była ciemna jak letnia chmura burzowa. Jedno z jej oczu niknęło za szparą ciągnącą się aż do skroni, co wyglądało okropnie. Drugie zakrywała fałda szarej skóry, spod której wyzierał jedynie mały fragment niebieskiej tęczówki, przywodzący na myśl odłamek szafiru. Kobieta była w brudnej sukni, która opinała wielki ciążowy brzuch, i trzymała tłumok owinięty brudnym kocem. Jeden z mężczyzn miał buty ze sprzączkami po obu stronach; przypominały te, które widziałem na sznurze u Dory podczas mojej pierwszej wizyty. Drugi nosił sandały. Kobieta była bosa i wyglądała na wyczerpaną.

Zobaczyli Radar siedzącą na drodze i przystanęli.

– Nie bójcie się! – zawołałem. – Nie ugryzie was!

Ruszyli powoli naprzód, lecz po chwili znów się zatrzymali. Tym razem patrzyli na broń w kaburze, podniosłem więc ręce, zwrócone do nich wnętrzami dłoni. Ponownie podjęli mozolną wędrówkę, ale przeszli na lewą stronę drogi, zerkając lękliwie na Radar, potem na mnie i znów na Radar.

– Nie zrobimy wam krzywdy – powiedziałem.

Mężczyźni byli wychudzeni i zmęczeni. Kobieta powłóczyła nogami resztkami sił.

– Poczekajcie chwilkę – rzuciłem. Na wypadek gdyby mnie nie rozumieli, podniosłem rękę w policyjnym geście zatrzymania. – Proszę.

Stanęli. Przedstawiali sobą okropnie smutny widok. Teraz widziałem, że kąciki ust mężczyzn zaczynają się podnosić. Wkrótce miały się zamienić w półksiężyce, którymi prawie nie da się poruszyć, jak w przypadku Dory. Przysunęli się do kobiety, gdy sięgnąłem do kieszeni, a ona przytuliła mocniej zawiniątko do piersi. Wyjąłem jeden z zielonych kawałków skóry i podałem jej.

– Weź to. Proszę.

Wyciągnęła z wahaniem rękę i wyrwała kupon z mojej dłoni, jakby się bała, że ją złapię. Gdy to robiła, zsunął się koc okrywający jej zawiniątko i zobaczyłem martwe dziecko, roczne, może półtoraroczne. Było szare jak wieko trumny mojej matki. Wkrótce ta biedna kobieta będzie miała następne na jego miejsce, ale to też umrze. Jeśli ona nie umrze wcześniej podczas porodu.

– Rozumiecie mnie?

– Rozumiemy – odpowiedział mężczyzna w butach z klamrami. Jego głos brzmiał chrapliwie, ale poza tym całkiem normalnie. – Czego możesz od nas chcieć, cudzoziemcze, jeśli nie naszego życia? Bo nie mamy nic innego.

Owszem, nie mieli. Jeśli zrobił im to jakiś człowiek – albo nakazał im to zrobić – jego miejsce było w piekle. W najgłębszych czeluściach piekła.

– Nie mogę wam dać mojego wózka ani jedzenia, bo czeka mnie daleka droga, a mój pies jest stary. Ale jeśli przejdziecie jeszcze pięć… – Próbowałem powiedzieć „kilometrów”, ale nie byłem w stanie. Zacząłem więc od nowa: – Jeśli będziecie iść do południa, zobaczycie znak czerwonego buta. Kobieta, która mieszka w tym miejscu, pozwoli wam odpocząć, może też da wam coś do jedzenia i picia.

Nie była to konkretna obietnica (mój ojciec lubił wynajdywać „pokrętności”, jak to nazywał, w telewizyjnych reklamach cudownych leków), wiedziałem też, że Dora nie może karmić i poić wszystkich uchodźców przechodzących obok jej chaty. Pomyślałem jednak, że gdy zobaczy, w jak straszliwym stanie jest ta kobieta i jak makabryczny niesie ze sobą ciężar, będzie na tyle poruszona, że pomoże tej trójce.

Mężczyzna w sandałach przyglądał się zielonemu kawałkowi skóry. W końcu spytał, co to jest.

– Jeszcze dalej, za domem kobiety, o której wam mówiłem, jest sklep, gdzie możecie wymienić ten kupon na parę butów.

– Jest tam cmentarz? – spytał mężczyzna w butach z klamrami. – Bo mojego syna trzeba pochować.

– Nie wiem. Jestem tu obcy. Spytajcie przy znaku czerwonego buta albo na farmie gęsiarki trochę dalej. Szlachetna pani, przykro mi z powodu pani straty.

– Był dobrym chłopcem – powiedziała, patrząc na zmarłe dziecko. – Mój Tam był dobrym chłopcem. Kiedy się urodził, był zdrowy, różowy jak jutrzenka, ale potem dopadła go szarość. Idź w swoją stronę, panie, a my pójdziemy w swoją.

– Jeszcze chwileczkę. Proszę. – Otworzyłem plecak, pogrzebałem w nim i wyjąłem dwie puszki sardynek King Oscar. Wyciągnąłem je w ich stronę. Odsunęli się wystraszeni. – Spokojnie, to jedzenie. Sardynki. Małe rybki. Pociągacie za tę zawleczkę na górze, żeby się do nich dostać, widzicie? – Postukałem palcem w konserwę.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie i pokręcili głowami. Wyglądało na to, że nie chcą mieć do czynienia z puszkami. Kobieta jakby całkowicie wyłączyła się z rozmowy.

– Musimy iść dalej – odezwał się ten w sandałach. – A ty, młody człowieku, zmierzasz w złym kierunku.

– Właśnie w tym kierunku muszę iść – odparłem.

Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

– Ten kierunek oznacza śmierć.

Ruszyli dalej, wzbijając kurz z Drogi do Szmaragdowego Miasta; przygarbiona kobieta wciąż tuliła straszliwe brzemię do piersi. Dlaczego żaden z mężczyzn nie wziął go od niej? Byłem tylko dzieciakiem, ale

wydawało mi się, że znam odpowiedź. Należał do niej, był jej Tamem, i to ona musiała nieść jego ciało tak długo, jak mogła.

# 3

Było mi głupio, że nie dałem im reszty ciasteczek, zastanawiałem się też, czy nie powinienem był im oddać wózka. To znaczy dopóki Radar nie zaczęła zostawać z tyłu.

Byłem zbyt pochłonięty rozmyślaniami, by od razu to zauważyć. Być może was to zaskoczy (a może nie), ale te rozmyślania nie miały nic wspólnego ze złowieszczymi słowami mężczyzny w sandałach. Świadomość, że mogę zginąć, idąc w kierunku miasta, towarzyszyła mi już od jakiegoś czasu. Pan Bowditch, Dora i Lea, choć na różne sposoby, wyraźnie dawali mi to do zrozumienia. Ale kiedy jest się dzieciakiem, łatwo się wierzy, że będzie się wyjątkiem, właśnie tym, który pokona wszystkie przeszkody i zbierze laury. Bo w końcu kto zaliczył zwycięskie przyłożenie w meczu na Święto Dziękczynienia? Kto rozbroił Christophera Polleya? Byłem w wieku, w którym można uwierzyć, że szybki refleks i odpowiednia doza ostrożności pomogą pokonać wszelkie przeszkody.

Rozmyślałem o języku, którym się posługiwaliśmy. To, co tu słyszałem, nie było może kolokwialnym amerykańskim angielskim, ale nie była to też archaiczna angielszczyzna – nie słyszałem tu żadnych „acanów” ani „waszeci”, ani „mości panien”. Nie był to też brytyjski angielski z wyświetlanych w IMAX-ach filmów fantasy, w których hobbici, elfy

i czarownicy mówią jak brytyjscy parlamentarzyści. Była to raczej angielszczyzna, jaką można znaleźć w nieco uwspółcześnionych baśniach.

A w tym wszystkim byłem jeszcze ja.

Powiedziałem, że nie mogę im dać wózka, bo czeka mnie daleka droga, a mój pies jest stary. Gdybym rozmawiał z kimś w Sentry, powiedziałbym raczej, że czeka mnie jeszcze długa podróż. Mówiłem o „znaku czerwonego buta", zamiast powiedzieć, że „To mały dom z szyldem w kształcie buta nad drzwiami". I nie zwróciłem się do kobiety w ciąży „Proszę pani", jak zrobiłbym to w moim rodzinnym miasteczku, lecz nazwałem ją „szlachetną panią" i wydawało mi się, że brzmi to całkiem normalnie. Znów przypomniałem sobie lejek napełniający się gwiazdami. I pomyślałem, że teraz to ja jestem jedną z tych gwiazd.

Że staję się częścią opowieści.

Rozejrzałem się, szukając Radar, ale nie było jej obok mnie. Wystraszony, położyłem rączki wózka na ziemi i obejrzałem się. Była dwadzieścia metrów z tyłu, kuśtykała najszybciej, jak potrafiła, z językiem zwieszonym z boku pyska.

– Jezu, dziewczyno, przepraszam!

Zaniosłem ją do wózka, uważając, by trzymać ręce tylko pod brzuchem, z dala od obolałych tylnych łap. Znów dałem się jej napić z kubka, przechylając go tak, by mogła wychłeptać, ile tylko chce, a potem podrapałem ją za uszami.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Tak, jasne. To nie była tego rodzaju baśń.

# 4

Szliśmy dalej, na wzgórze i w dolinę, w dolinę i na wzgórze. Mijaliśmy kolejnych uchodźców. Niektórzy odsuwali się od nas przestraszeni, ale dwaj mężczyźni idący razem zatrzymali się i stanęli na palcach, by zajrzeć do wózka i zobaczyć, co tam wiozę. Radar warknęła ostrzegawczo, ale widząc jej wyleniałą sierść i siwy pysk, nie poczuli się pewnie szczególnie zagrożeni. Broń na moim biodrze zrobiła na nich większe wrażenie. Mieli buty, więc nie dałem im ostatniego kuponu. Chyba nie zaproponowałbym im, żeby zatrzymali się u Dory, nawet gdyby byli bosi. Nie dałem im też jedzenia. Niedaleko były pola, z których mogli pozbierać warzywa czy zboże, gdy wystarczająco zgłodnieją.

– Jeśli idziesz do Drogi Nadmorskiej, lepiej zawróć, chłopcze. Szarość dotarła i tam.

– Dzięki za… – „Info” nie chciało mi przejść przez gardło. – Dzięki, że mi o tym powiedzieliście.

Podniosłem rączki wózka, ale nie spuszczałem z oka mężczyzn, dopóki nie upewniłem się, że idą dalej.

Koło południa dotarliśmy do mokradła, które sięgało drogi i zamieniło twardą dotąd powierzchnię w błoto. Pochyliłem się do przodu i ciągnąłem wózek szybciej, dopóki nie pokonaliśmy tego odcinka, bo bałem się, że tam utkniemy. Wózek z Radar na pokładzie nie był o wiele cięższy, co mówiło mi więcej, niż chciałem wiedzieć.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się na suchym gruncie, zatrzymałem się w cieniu drzewa, które wyglądało jak dąb z parku Cavanaugh. W jednym z małych zawiniątek, które zapakowała nam Dora, było pieczone mięso królika. Podzieliłem się nim po równo z Radar… a przynajmniej

próbowałem. Zjadła dwa kawałki, ale trzeci opuściła między przednie łapy i spojrzała na mnie przepraszająco. Choć staliśmy w cieniu, widziałem, że jej oczy znów zachodzą mgłą. Przemknęło mi przez głowę, że dopadła ją ta choroba czy klątwa – szarość – natychmiast jednak odsunąłem od siebie tę myśl. To była kwestia wieku, po prostu. Nie mogłem określić dokładnie, ile jeszcze zostało jej czasu, lecz przypuszczałem, że niewiele.

Kiedy jedliśmy, przez drogę przekicało kilka kolejnych olbrzymich królików. Potem pojawiły się dwa świerszcze, mniej więcej dwukrotnie większe od tych, jakie dotąd widziałem. Sadziły wielkie susy, wybijając się z tylnych odnóży – byłem zdumiony tym, jak wielką odległość mogły pokonać jednym skokiem. Spod chmur zleciał jastrząb – normalnych rozmiarów – i próbował złapać świerszcza, tylko że ten zrobił unik i po chwili zniknął wśród traw i chaszczy ciągnących się wzdłuż lasu. Radar przyglądała się tej paradzie miejscowej fauny z zainteresowaniem, ale nawet nie podniosła się na tylne łapy, nie wspominając już o pościgu.

Napiłem się trochę herbaty, słodkiej i pysznej. Musiałem się powstrzymać po kilku łykach. Bóg jeden wiedział, kiedy znów trafię na coś równie dobrego.

– Chodźmy, mała. Musimy dojechać do tego stryja. Jakoś nie mam ochoty biwakować w pobliżu tych lasów.

Podniosłem ją i znieruchomiałem. Na pniu dębu widniały dwie wyblakłe litery wypisane czerwoną farbą: AB. Świadomość, że pan Bowditch był tutaj przede mną, podniosła mnie nieco na duchu. Dzięki temu miałem wrażenie, że nie do końca odszedł.

# 5

Nadeszło popołudnie. Było na tyle ciepło, że porządnie się spociłem. Przez jakiś czas nie widzieliśmy żadnych uchodźców, kiedy jednak dotarliśmy do podnóża wzniesienia – długim, ale tak łagodnym zboczem, że nie zasługiwało nawet na miano wzgórza – z tyłu dobiegło jakieś szuranie i stukanie. Radar przeszła do przedniej części wózka. Siedziała teraz z łapami na krawędzi przedniej ścianki i postawionymi uszami. Przystanąłem i usłyszałem coś, co mogło być przytłumionym drwiącym śmiechem. Ruszyłem ponownie do przodu, lecz przystanąłem przed grzbietem i zacząłem nasłuchiwać.

– Jak ci się to podoba, kochanie? Łaskocze?

Ktoś wypowiadał te słowa wysokim śpiewnym głosem, który załamywał się nieco przy „kochanie” i „łaskocze”. Wydawał mi się też dziwnie znajomy, a po chwili zrozumiałem dlaczego. Brzmiał jak głos Christophera Polleya. Wiedziałem, że to nie może być on, ale podobieństwo było uderzające.

Ponownie ruszyłem, zatrzymałem się jednak, gdy tylko zobaczyłem zagłębienie po drugiej stronie pagórka. Widziałem w tym innym świecie wiele dziwnych rzeczy, żadna jednak nie była tak dziwna jak dziecko siedzące na ziemi i przytrzymujące ręką tylne odnóża świerszcza. Był to największy okaz tego owada, jaki w życiu widziałem, w dodatku czerwony, a nie czarny. W drugiej ręce dziecko trzymało coś, co wyglądało jak sztylet z krótkim ostrzem i pękniętą rękojeścią obwiązaną sznurkiem.

Było zbyt pochłonięte tym, co robiło, żeby nas zauważyć. Dźgnęło świerszcza w brzuch i trysnęła maleńka fontanna krwi. Do tej pory nie wiedziałem, że świerszcze mogą krwawić. Na ziemi widniało kilka innych

plam krwi, co oznaczało, że dzieciak zabawiał się w ten sposób już od jakiegoś czasu.

– Podoba ci się to, maleńki? – Świerszcz próbował się wyrwać i skoczyć do przodu, lecz dziecko bez trudu przytrzymało go w miejscu. – A może jeszcze w…

Radar szczeknęła. Dzieciak obejrzał się, nie wypuszczając tylnych odnóży owada, a ja zrozumiałem, że to nie dziecko, lecz karzeł. Stary. Strąki siwych włosów zwisały wzdłuż policzków. Miał pomarszczoną twarz, a bruzdy wokół jego ust były tak głębokie, że wyglądał jak lalka brzuchomówcy, której mogłaby używać Lea (gdyby nie udawała, że jej koń potrafi mówić). Rysy jego twarzy zachowały normalne kształty, lecz skóra miała barwę gliny. I nadal przypominał mi Polleya, po części dlatego, że był mały, ale głównie ze względu na złośliwy, przebiegły błysk w oku. Podobieństwo wydawało się jeszcze większe z powodu tego, czym właśnie się zajmował. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że byłby w stanie zamordować starego jubilera.

– Kim jesteś? – spytał bez cienia strachu, bo stałem w pewnej odległości od niego, na tle nieba. Nie dostrzegł jeszcze mojego rewolweru.

– Co robisz?

– Złapałem tego koleżkę. Był szybki, ale stary Peterkin jest szybszy. Próbuję sprawdzić, czy czuje ból. Bo ja czuję, o tak.

Znów dźgnął świerszcza nożem, tym razem między dwie części pancerza. Czerwony świerszcz szarpał się i krwawił. Ruszyłem w dół wzniesienia, ciągnąc za sobą wózek. Radar znów szczeknęła. Nadal siedziała z łapami opartymi o przednią ściankę.

– Ucisz swojego psa, synu. Na twoim miejscu bym to zrobił. Jeśli podejdzie bliżej, poderżnę mu gardło.

Położyłem rączki wózka na ziemi i po raz pierwszy wyjąłem z kabury czterdziestkępiątkę pana Bowditcha.

– Nie zrobisz krzywdy ani jej, ani mnie. I przestań już znęcać się nad tym stworzeniem. Puść je.

Karzeł – Peterkin – spojrzał na broń raczej z zaskoczeniem niż strachem.

– Dlaczego mam przestać? Chciałem się tylko trochę pobawić w świecie, w którym prawie już nie ma miejsca na zabawę.

– Torturujesz je.

Peterkin wydawał się zdumiony.

– Torturuję, powiadasz? Torturuję? Och, ty idioto, to tylko przeklęty insek. Nie można torturować inseka! I dlaczego cię to obchodzi?

Obchodziło mnie, bo to, co robił – więził nogi stworzenia, pozbawiając je jedynej szansy ucieczki, i raz po raz boleśnie je ranił – było wstrętne i okrutne.

– Nie będę powtarzał – ostrzegłem.

Roześmiał się i nawet ten dźwięk przypominał nieco Polleya i jego „ha-ha”.

– Zastrzelisz mnie z powodu inseka? Nie wydaje mi…

Wymierzyłem wysoko, na lewo od karła, i pociągnąłem za spust. Huk wystrzału był znacznie głośniejszy niż wtedy, gdy dobiegał z szopy pana Bowditcha. Radar zaszczekała. Zaskoczony karzeł drgnął i wypuścił świerszcza. Owad odskoczył w trawę, ale koślawo. Ten cholerny krasnal go okulawił. Tylko „insek”, ale to nie usprawiedliwiało okrucieństwa Peterkina. I ile czerwonych świerszczy widziałem do tej pory? Jedynie tego. Prawdopodobnie były równie rzadkie jak białe jelenie.

Karzeł wstał i otrzepał siedzenie jasnozielonych bryczesów. Rozczapierzonymi palcami zagarnął zmierzwione siwe włosy do tyłu,

niczym pianista podczas koncertu, szykujący się do odegrania swojego popisowego numeru. Mimo niezdrowego koloru skóry wydawał się całkiem żwawy. Żwawy jak świerszcz, że tak to ujmę. I choć nigdy nie zaśpiewałby w *Idolu*, miał znacznie dźwięczniejszy głos niż większość ludzi, których spotkałem w ciągu ostatniej doby, a jego twarz, choć niezbyt urodziwa, wyglądała całkiem normalnie. Poza tym, że był karłem („Nigdy nie nazywaj ich liliputami, nie cierpią tego”, powiedział mi kiedyś tata) i miał paskudną cerę, której przydałaby się jakaś dłuższa kuracja przeciwłuszczycowa, wyglądał na całkiem zdrowego.

– Widzę, że jesteś nerwowym chłopcem – powiedział, patrząc na mnie z niesmakiem i może (miałem taką nadzieję) odrobiną strachu. – Więc może każdy z nas pójdzie teraz swoją drogą.

– Dobry pomysł, ale zanim się rozstaniemy, chciałbym cię o coś spytać. Jak to się dzieje, że twoja twarz wygląda w miarę normalnie, a tylu innych ludzi cały czas brzydnie?

Nie żeby on powalał urodą, a moje pytanie z pewnością było trochę nieuprzejme, tylko jeśli nie można być nieuprzejmym wobec faceta, którego przyłapało się na torturowaniu olbrzymiego świerszcza, to wobec kogo?

– Może dlatego, że bogowie, jeśli w nich wierzysz, już wcześniej spłatali mi psikusa? Skąd taki duży facet jak ty mógłby wiedzieć, jak to jest być takim małym facetem jak ja, który nie odrósł nawet paru łokci od ziemi? – W jego głosie pojawiły się płaczliwe nuty, typowe dla ludzi, którzy lubią się nad sobą użalać, czyli jak mówią na mityngach AA, tych, którym na tyłkach odcisnął się krąg z nocnika.

Złączyłem kciuk z palcem wskazującym i potarłem nimi lekko.

– Wiesz, co to jest? Najmniejsze skrzypce świata, które grają *Różowe szczyny żalu roni me serce nad tobą*.

Z satysfakcją zauważyłem, że „szczyny” zabrzmiały wyjątkowo dźwięcznie.

Peterkin uniósł brwi.

– Co?

– Nieważne. To taki mój mały żarcik. Próbuję cię trochę połaskotać.

– Pójdę już sobie, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Zrób to, ale mój pies i ja czulibyśmy się lepiej, gdybyś najpierw schował ten swój nóż.

– Myślisz, że jesteś ode mnie lepszy tylko dlatego, że jesteś kompletny, co? – powiedział karzeł. – Zobaczysz, co robią takim jak ty, jeśli cię złapią.

– Kto mnie złapie?

– Nocni żołnierze.

– Kim oni są i co robią takim jak ja?

Uśmiechnął się drwiąco.

– Nieważne. Mam tylko nadzieję, że potrafisz się bić, choć wątpię. Na zewnątrz wydajesz się twardy, ale w środku pewnie jesteś miękki. Tacy są ludzie, którym niczego nie brakuje. Nie zdarzało ci się głodować, prawda, młodzieńcze?

– Wciąż trzymasz nóż w dłoni, panie Peterkin. Schowaj go albo zmuszę cię, żebyś go wyrzucił.

Karzeł wcisnął nóż za pas, a ja, prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że się przy tym skaleczy – im paskudniej, tym lepiej. Co było dość podłe z mojej strony. Potem przyszła mi do głowy jeszcze podlejsza myśl: Załóżmy, że podszedłbym do niego i złapał za tę rękę, która trzymała odnóża świerszcza, i złamał ją tak, jak złamałem ręce Polleya? Mała lekcja poglądowa: to jest takie właśnie uczucie. Mógłbym wam powiedzieć, że nie myślałem tak naprawdę, lecz chyba jednak myślałem. Zbyt łatwo

przychodziło mi wyobrazić sobie, jak jedną ręką dusi Radar, a drugą wbija w nią sztylet. Gdyby była nieco młodsza, nawet nie mógłby o tym pomarzyć. Ale była już bardzo stara.

Pozwoliłem mu jednak odejść. Obejrzał się raz, nim zniknął za szczytem wzniesienia, i jego spojrzenie nie mówiło wcale: „Miło było cię spotkać na Drodze do Szmaragdowego Miasta, młody cudzoziemcze". Oznaczało raczej tyle, co „Uważaj, żebym nie zaskoczył cię we śnie".

Chyba nie musiałem się tego obawiać, bo Peterkin zmierzał w tym samym kierunku co pozostali uchodźcy, ale dopiero gdy zniknął mi z oczu, pomyślałem, że naprawdę powinienem był go zmusić, by wyrzucił nóż.

## 6

Nim nastało późne popołudnie, nie widziałem już zaoranych pól ani zamieszkanych gospodarstw. Nie spotykałem również uchodźców, choć na jednej z porzuconych farm zauważyłem wózki z bagażami ustawione na zarośniętym dziedzińcu i cienką smużkę dymu wypływającą z komina. Pomyślałem, że to zapewne grupa uciekinierów, która postanowiła znaleźć sobie schronienie, nim zaczną wyć wilki. Rozsądek podpowiadał mi, że jeśli nie dotrę wkrótce do domu stryja Lei, powinienem zrobić to samo. Miałem co prawda rewolwer pana Bowditcha i dwudziestkędwójkę Polleya, ale wilki polują zwykle w stadach, a na dodatek w tym świecie mogły przypominać rozmiarami ziemskie łosie. Poza tym zaczynały mnie już boleć ręce, ramiona i plecy. Wózek był lekki, nie napotkaliśmy też więcej

błotnistych odcinków, które utrudniałyby jazdę, lecz przeszedłem już naprawdę kawał drogi, odkąd pożegnaliśmy Dorę.

Jeszcze trzy razy widziałem inicjały pana Bowditcha – jego oryginalne inicjały, AB – dwukrotnie na drzewach przy drodze, a potem na wielkim skalnym występie. Kiedy go mijałem, rozmyta kula słońca opadała już za drzewa, a świat przejmowały cienie. Już od jakiegoś czasu nie widziałem żadnych domostw i zaczynałem się martwić, że noc zastanie nas na drodze. Naprawdę bardzo tego nie chciałem. W drugiej klasie kazano nam nauczyć się na pamięć co najmniej szesnastu wersów jakiegoś wiersza. Pani Debbins dała nam do wyboru dwadzieścia cztery utwory. Zdecydowałem się wtedy na fragment *Pieśni o starym żeglarzu*, teraz jednak żałowałem tego wyboru, bo treść tych wersów za bardzo pasowała do mojej obecnej sytuacji: *Byłem jak człek, co biegnie gdzieś, odludziem, zdjęty trwogą; Spojrzał raz wstecz i oczy już odwrócić się nie mogą…*

– *Spostrzegłszy – ach! – że straszny wróg podąża za nim drogą!** – dokończyłem głośno. Położyłem uchwyty wózka na ziemi i odwróciłem się, nie odrywając wzroku od liter AB na skale. Pan Bowditch musiał się tu naprawdę napracować: litery miały z metr wysokości.

– Radar, ostrzegłabyś mnie, gdybyś zobaczyła za nami jakiegoś strasznego wroga, prawda?

Spała w wózku, zwinięta w kłębek. Czyli z jej strony raczej nie należało oczekiwać pomocy w starciu ze strasznym wrogiem.

Pomyślałem, że dobrze byłoby napić się wody – byłem już mocno spragniony – uznałem jednak, że mogę z tym poczekać. Chciałem iść dalej, dopóki nie było jeszcze całkiem ciemno. Podniosłem drążki i ruszyłem w dalszą drogę, myśląc, że w tej sytuacji nie pogardziłbym nawet zwykłym szałasem.

Droga okrążała szczyt wzniesienia, a potem biegła prosto w gęstniejący mrok. Z przodu, z pewnością w odległości nie większej niż półtora kilometra, widać było oświetlone okna domu. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem lampkę zawieszoną na słupie przed budynkiem. W resztkach dziennego światła dojrzałem, że jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów za domem droga się rozwidla i że dom rzeczywiście zbudowany jest z cegły… jak domek pracowitej świnki z bajki.

Wyłożona kamieniami ścieżka prowadziła do frontowych drzwi, nim jednak z nich skorzystałem, przystanąłem na moment, by przyjrzeć się lampie, która świeciła ostrym białym światłem. Widziałem już podobną, w piwnicy pana Bowditcha, i nie musiałem przyglądać się jej podstawie, by wiedzieć, że to coleman, dostępny w każdym amerykańskim sklepie z narzędziami. Domyśliłem się, że lampka, podobnie jak maszyna do szycia Dory, była prezentem od pana Bowditcha. „Tchórz przynosi prezenty”, powiedział.

Pośrodku drzwi znajdowała się pozłacana kołatka w kształcie pięści. Opuściłem rączki wózka i usłyszałem głośne szuranie, gdy Radar schodziła z pochyłych desek, by do mnie dołączyć. Sięgałem już do kołatki, gdy drzwi otworzyły się same. Stał w nich mężczyzna mniej więcej mojego wzrostu, ale znacznie szczuplejszy, niemal wychudzony. Od tyłu podświetlał go ogień płonący w kominku, nie widziałem więc dobrze jego twarzy, zauważyłem tylko kota siedzącego na jego ramieniu oraz delikatny meszek siwych włosów okalających łysą głowę. Kiedy się odezwał, znów trudno mi było uwierzyć, że nie znalazłem się w jakiejś baśni i nie zostałem jedną z jej postaci.

– Witaj, młody książę. Oczekiwałem cię. Jesteś tu mile widziany. Wejdź.

# 7

Uświadomiłem sobie, że zostawiłem w wózku smycz Radar.

– Muszę chyba najpierw wziąć smycz mojego psa. Nie wiem, jak reaguje na koty.

– Będzie spokojna – odpowiedział starszy mężczyzna. – Ale jeśli masz tam jedzenie, lepiej zabierz je do środka. To znaczy jeśli nie chcesz się rano przekonać, że zniknęło.

Wróciłem do wózka i zabrałem tobołek Dory i mój plecak. I smycz, na wszelki wypadek. Gospodarz wszedł do środka i skłonił się lekko.

– Chodź, Radar – rzuciłem. – Ale bądź grzeczna. Liczę na ciebie.

Weszła za mną do schludnego salonu z plecionym chodnikiem na drewnianej podłodze. Przy kominku stały dwa fotele. Na oparciu jednego leżała otwarta książka. Kilka innych leżało na półce nieopodal. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowała się wąska kuchnia przypominająca kambuz. Na stole leżał chleb, ser, kurczak na zimno oraz miska z czymś, co wyglądało na sos żurawinowy. I gliniany dzbanek. Z mojego brzucha wydobyło się głośne burczenie.

Mężczyzna się roześmiał.

– Słyszałem to. Jest takie stare powiedzenie: „O młodych trzeba dbać”. Można by do tego dodać: „I to często”.

Na stole czekały dwa nakrycia, a na podłodze przy jednym z krzeseł stała miska, z której Radar już głośno chłeptała wodę.

– Wiedział pan, że przyjdę, prawda? Skąd?

– Znasz to imię, którego wolimy nie wymawiać?

Skinąłem głową. W opowieściach takich jak ta, w której się znalazłem, często jest jakieś imię, którego nie należy wymawiać, by nie obudzić złego.

– Nie odebrał nam wszystkiego. Widziałeś, że moja bratanica mogła z tobą rozmawiać, prawda?

– Przez swojego konia.

– Przez Faladę, tak. Lea rozmawia również ze mną, młody książę, choć rzadko. Kiedy to robi, jej komunikaty nie zawsze są jasne, a przekazywanie myśli męczy ją jeszcze bardziej niż przekazywanie głosu. Mamy wiele spraw do omówienia, ale najpierw coś zjemy. Chodź.

Mówi o telepatii, pomyślałem. Bez wątpienia, bo przecież nie dzwoniła do niego ani nie wysłała mu esemesa.

– Dlaczego nazywa mnie pan młodym księciem?

Wzruszył ramionami. Kot zakołysał się lekko.

– To tylko zwrot grzecznościowy, do którego przywykłem. Bardzo stary. Pewnego dnia pewnie zjawi się tu prawdziwy książę, sądząc jednak po twoim głosie, ty nim nie jesteś. Brzmisz bardzo młodo.

Uśmiechnął się i odwrócił w stronę kuchni. Blask ognia po raz pierwszy w pełni oświetlił jego twarz, ale chyba wiedziałem to już wcześniej, choćby po tym, jak wyciągał przed siebie rękę, sprawdzając, czy nic nie stoi mu na drodze. Był ślepy.

## 8

Kiedy usiadł, kot zeskoczył na podłogę. Miał gęstą jasnobrązową sierść. Podszedł do Radar, a ja sięgnąłem ręką w dół, gotów złapać ją za obrożę, gdyby rzuciła się do ataku. Nie zrobiła tego jednak, opuściła łeb i powąchała nos kota. Potem się położyła. Kot przemaszerował przed nią

niczym oficer lustrujący żołnierza na paradzie (i stwierdzający z niesmakiem, że żołnierz wygląda niechlujnie), po czym udał się do salonu. Wskoczył na fotel z rozłożoną książką i zwinął się w kłębek.

– Nazywam się Charles Reade. Charlie. Lea mówiła panu o tym?

– Nie, to nie działa w ten sposób. To raczej coś w rodzaju intuicji. Miło mi cię poznać, książę Charlie. – Teraz, gdy twarz miał dobrze oświetloną, widziałem, że jego oczy zniknęły podobnie jak usta Lei, pozostawiając po sobie tylko długie szramy. – Ja nazywam się Stephen Woodleigh. Kiedyś też nosiłem tytuł… księcia regenta, dokładnie rzecz biorąc… ale te czasy minęły. Mów mi Woody, dobrze? Mieszkamy tu tylko we dwoje, ja i Catriona.

– To pański kot?

– Tak. A twój pies nazywa się… Raymar? Coś w tym rodzaju. Nie pamiętam.

– Radar. Należała do pana Bowditcha. Zmarł.

– Ach, przykro mi to słyszeć. – Rzeczywiście wyglądał na zmartwionego, lecz nieszczególnie zaskoczonego.

– Dobrze pan go znał?

– Woody. Proszę. Spędziliśmy razem trochę czasu. Mam nadzieję, że to samo będę mógł powiedzieć o nas, Charlie. Ale zjedzmy, bo przebyłeś chyba dziś szmat drogi, prawda?

– Mogę najpierw zadać jedno pytanie?

Uśmiechnął się szeroko, tak że jego twarz zamieniła się w rzekę zmarszczek.

– Jeśli chcesz wiedzieć, ile mam lat, to od razu ci powiem, że sam nie wiem. Czasami myślę, że byłem już stary, kiedy świat był jeszcze młody.

– Nie o to chodzi. Widziałem książkę na fotelu i zastanawiałem się… No bo skoro…

– Jak czytam, skoro jestem niewidomy? Obejrzyj ją sobie. Udko czy pierś?

– Pierś, poproszę.

Zaczął nakładać jedzenie i musiał to robić na wyczucie od bardzo dawna, bo w jego ruchach nie było wahania. Wstałem i podszedłem do fotela. Catriona spojrzała na mnie swoimi mądrymi zielonymi ślepiami. Książka leżąca na oparciu była stara, na okładce widniały nietoperze lecące na tle księżyca: *Anioł w czerni* Cornella Woolricha. Być może pochodziła z biblioteczki pana Bowditcha. Tyle tylko, że kiedy ją podniosłem i spojrzałem na stronę, na której przerwał czytanie Woody, nie zobaczyłem słów, lecz małe kropki. Odłożyłem ją na miejsce i wróciłem do stołu.

– Znasz alfabet Braille’a – powiedziałem, myśląc jednocześnie: język w książkach też musiał się zmienić, jakby został przetłumaczony. Czy to nie dziwne?

– Znam. Adrian przyniósł mi książkę do nauki i pokazał litery. Kiedy już to miałem, mogłem nauczyć się sam. Potem od czasu do czasu przynosił mi inne książki w tym języku. Szczególnie lubił fantastyczne historie, takie jak ta, którą czytałem, czekając na ciebie. Niebezpieczni mężczyźni i damy w opałach żyjące w świecie bardzo różniącym się od tego.

Pokręcił głową i roześmiał się, jakby czytanie fikcji było zdrożną, może nawet szaloną rozrywką. Jego policzki zaróżowiły się, gdy siadł obok gorącego kominka, nie dojrzałem na nich choćby śladu szarości. Był kompletny, a zarazem nie był. Podobnie jak jego bratanica. Nie miał oczu, którymi mógłby patrzeć, a ona nie miała ust, którymi mogłaby mówić, tylko ranę i regularnie otwierała ją, by wchłonąć jakąś paskudną substancję utrzymującą ją przy życiu. Oto prawdziwa dama w opałach.

– Chodź. Usiądź.

Podszedłem do stołu. Na zewnątrz zawył wilk, co oznaczało, że na niebie pojawił się księżyc… czy raczej dwa księżyce. My jednak byliśmy bezpieczni w domu z cegieł. Gdyby wilk próbował się dostać przez komin, opaliłby sobie nad ogniem kosmaty tyłek.

– Mnie cały ten świat wydaje się fantastyczny – powiedziałem.

– Jeśli pobędziesz tu wystarczająco długo, to twój świat wyda ci się zmyśleniem. Jedz już, Charlie.

## 9

Jedzenie było pyszne. Poprosiłem o dokładkę, potem o drugą. Było mi trochę głupio, ale przecież miałem za sobą długi dzień i ciągnąłem wózek przez trzydzieści, może nawet trzydzieści pięć kilometrów. Woody zjadł niewiele, tylko kawałek udka kurczaka i trochę sosu żurawinowego. Zrobiło mi się jeszcze bardziej wstyd, gdy to zobaczyłem. Przypomniałem sobie, jak mama zaprowadziła mnie do domu Andy’ego Chena, u którego miałem spać, i powiedziała jego mamie, że mam wilczy apetyt i że objem ich ze wszystkiego, jeśli mi pozwolą. Spytałem Woody’ego, skąd bierze prowiant.

– Z Nadmorza. Wciąż mieszkają tam ludzie, którzy pamiętają, kim jesteśmy… byliśmy… i płacą daninę. Szarość dotarła i tutaj. Ludzie uciekają. Pewnie spotkałeś jakichś na drodze.

– Tak. – Opowiedziałem mu o Peterkinie.

– Czerwony świerszcz, powiadasz? Istnieją legendy… Nieważne. Cieszę się, że położyłeś temu kres. Może jednak jesteś księciem. Blond włosy, niebieskie oczy? – droczył się ze mną.

– Nie. Brązowe, i włosy, i oczy.

– Więc jednak nie książę. A już na pewno nie ten książę.

– A kim jest „ten” książę?

– Kolejną legendą. To świat opowieści i legend, jak twój. A jeśli chodzi o jedzenie… Kiedyś dostawałem od ludzi z Nadmorza więcej wiktuałów, niż mogłem zjeść, częściej ryby niż mięso, jak sugeruje sama nazwa. To było dawno przed tym, jak szarość dotarła do tej części świata. Nie potrafię powiedzieć, jak dawno, bo dni zlewają się ze sobą, gdy człowiek żyje w ciemności. – Powiedział to bez użalania się nad sobą, po prostu stwierdził fakt. – Przypuszczam, że Nadmorze uchowało się dłużej, bo leży na wąskim półwyspie, gdzie zawsze wieje wiatr, ale nikt nie wie tego na pewno. W zeszłym roku spotkałbyś mnóstwo ludzi na Drodze Króla. Teraz zostały tylko niedobitki.

– Droga Króla? Tak ją nazywacie?

– Tak, ale za rozwidleniem jest to już Droga Królestwa. Gdybyś skręcił na tym rozwidleniu w lewo, znalazłbyś się na Drodze Nadmorskiej.

– Dokąd idą ci ludzie? To znaczy kiedy już miną dom Dory, farmę Lei i sklep prowadzony przez brata Dory.

Woody wydawał się zaskoczony.

– Nadal prowadzi ten sklep? Zdumiewające! Ciekawe, co takiego ma tam jeszcze do sprzedania…

– Nie wiem. Wiem tylko, że daje ludziom nowe buty w zamian za ich stare.

Woody parsknął śmiechem, szczerze rozbawiony.

– Dora i James! I te ich stare sztuczki! A w odpowiedzi na twoje pytanie mogę tylko powiedzieć, że nie wiem i jestem pewien, że ci ludzie też nie wiedzą. Po prostu uciekają jak najdalej, jak najdalej, jak najdalej.

Do tej pory wilki milczały, lecz znów zaczęły wyć. Wydawało się, że jest ich co najmniej kilkanaście, tym bardziej byłem więc zadowolony, że udało mi się dotrzeć do domu Woody’ego przed nocą. Kiedy Radar zaskowyczała, pogłaskałem ją po łbie.

– Pewnie znów ukazały się księżyce – powiedziałem.

– Adrian mówił, że w waszym fantastycznym królestwie jest tylko jeden. Jak mawia jedna z postaci w książce pana Cornella Woolricha: *Obrobili was*. Masz ochotę na kawałek ciasta, Charlie? Obawiam się, że jest trochę czerstwe.

– Bardzo chętnie. Chcesz, żebym je wyjął?

– Spędziłem tu już tyle lat… całkiem przytulne gniazdko jak na wygnańca, nie uważasz?… że znam każdy zakątek na pamięć. Ciasto jest na półce w spiżarni. Siedź. Wracam za moment.

Kiedy Woody poszedł do spiżarni, poczęstowałem się jeszcze odrobiną lemoniady z dzbanka. Wyglądało na to, że to ulubiony napój w Empis. Woody przyniósł wielki kawałek ciasta czekoladowego dla mnie i wąziutki plasterek dla siebie. Nasze ciasta ze szkolnej kafeterii nawet się do tego nie umywały. I wcale nie było czerstwe, może tylko troszeczkę twardsze na krawędziach.

Wilki nagle umilkły, co znów przywołało w mojej wyobraźni obraz podkręconego na maksa wzmacniacza, który odłączono niespodziewanie od prądu. Pomyślałem, że nikt w tym świecie nie dostrzegłby w tym odniesienia do *Oto Spinal Tap*. Ani do żadnych innych filmów.

– Znów się zachmurzyło – stwierdziłem. – Ale czasem się przejaśnia, prawda?

Pokręcił powoli głową.

– Nie. Odkąd on się pojawił, nie. Owszem, pada tu deszcz, książę Charlie, ale prawie nigdy nie świeci słońce.

– Jezu… – mruknąłem.

– Kolejny książę – rzucił Woody, znów uśmiechając się szeroko. – Pokoju, jak wynika z Biblii, którą przyniósł mi Adrian. Jesteś syty? To znaczy…

– Wiem, co to znaczy, i zdecydowanie jestem.

Wstał.

– W takim razie usiądźmy przy kominku. Musimy porozmawiać.

Przeszedłem za nim do dwóch foteli w salonie. Radar podreptała za nami. Woody namacał Catrionę i wziął ją na ręce. Leżała na nich jak etola, dopóki nie odłożył jej na podłogę. Spojrzała stamtąd z wyższością na mojego psa, trzepnęła pogardliwie ogonem i oddaliła się powoli. Radar ułożyła się między fotelami. Dałem jej wcześniej trochę mojego kurczaka, ale zjadła tylko kawałek. Teraz wpatrywała się w ogień, jakby próbowała odszyfrować jego tajemnice. Zastanawiałem się, czy spytać Woody'ego, skąd będzie brał teraz żywność, skoro Nadmorze również się ewakuowało, uznałem jednak, że lepiej to przemilczeć. Bałem się, że w odpowiedzi usłyszę „Nie mam pojęcia".

– Chciałbym podziękować ci za posiłek.

Zbył to machnięciem ręki.

– Zastanawiasz się pewnie, co tutaj robię – powiedziałem.

– Wcale nie. – Sięgnął ręką w dół i pogłaskał Radar po grzbiecie. Potem zwrócił ku mnie blizny, które kiedyś były jego oczami. – Twój pies umiera i nie ma czasu do stracenia, jeśli chcesz osiągnąć to, po co tu przybyłeś.

# 10

Najedzony i bezpieczny w domu z cegieł, rozleniwiony ciszą, której nie mąciło wycie wilków, i wygodnym fotelem ustawionym obok kominka, zacząłem się rozluźniać. Popadałem w stan przyjemnego zadowolenia. Kiedy jednak Woody powiedział, że Radar umiera, natychmiast usiadłem prosto.

– Niekoniecznie. Jest stara i ma artretyzm, ale jeszcze nie…

Przypomniałem sobie, jak asystentka weterynarza powiedziała, że będzie zaskoczona, jeśli pies dożyje do Halloween, i zamilkłem.

– Jestem ślepy, ale pozostałe zmysły działają całkiem przyzwoicie jak na mój wiek. – Mówił łagodnym, kojącym tonem, co jeszcze bardziej mnie przeraziło. – Właściwie mój słuch wyostrzył się, jest lepszy niż kiedykolwiek dotąd. Miałem w pałacu konie i psy, jako dziecko i młodzieniec często z nimi przebywałem i kochałem je wszystkie. Wiem, jak się zachowują, gdy wychodzą na ostatnią prostą prowadzącą do domu. Posłuchaj! Zamknij oczy i posłuchaj!

Zrobiłem to. Słyszałem trzaskanie bierwion w kominku. Gdzieś tykał zegar. Na zewnątrz podniósł się wiatr. I słyszałem też Radar: świszczenie przy każdym wdechu, rzężenie przy każdym wydechu.

– Przybyłeś, by położyć ją na zegarze słonecznym.

– Tak. Chodzi też o złoto. Małe złote grudki, jak śrut na ptaki. Nie potrzebuję go teraz, ale pan Bowditch powiedział, że kiedyś…

– Zapomnij na razie o złocie. Samo dotarcie do zegara słonecznego… i skorzystanie z niego… to wystarczająco niebezpieczna misja dla takiego młodego księcia jak ty. Możesz wpaść na Hanę. Nie było jej tutaj w czasach Bowditcha. Być może uda ci się jakoś przejść obok niej, jeśli będziesz

wystarczająco ostrożny… i jeśli będziesz miał dość szczęścia. W takich sprawach odrobina szczęścia jest niezbędna. A jeśli chodzi o złoto… – Pokręcił głową. – To jeszcze niebezpieczniejsze. Dobrze, że go na razie nie potrzebujesz.

Hana. Zanotowałem to imię w myślach, by spytać o nie później. Na razie chciałem się dowiedzieć czegoś innego.

– Dlaczego ty jesteś zdrowy? Oczywiście oprócz tego, że nie widzisz. – Pożałowałem tych słów, gdy tylko wypłynęły z moich ust. – Przepraszam. Nie zabrzmiało to najlepiej.

Uśmiechnął się.

– Nie ma za co przepraszać. Gdybym miał wybierać między ślepotą a szarością, zawsze wybrałbym ślepotę. Zdążyłem się już całkiem nieźle przystosować. Dzięki Adrianowi mam nawet fantastyczne historie do czytania. Szarość to powolna śmierć. Coraz trudniej się oddycha. Twarz znika pod niepotrzebnymi fałdami ciała. Ciało przestaje działać, zamyka się. – Podniósł rękę i zamknął dłoń w pięść. – O tak.

– Czy to spotka też Dorę?

Skinął głową, choć nie musiał. Moje pytanie było dziecinne.

– Ile jej jeszcze zostało?

Woody pokręcił głową.

– Nie da się tego określić. To działa powoli i u każdego inaczej, lecz nieubłaganie. To jest właśnie najbardziej przerażające.

– A gdyby wyjechała? Tam, dokąd wędrują wszyscy inni?

– Nie wydaje mi się, żeby zechciała wyjechać, i nie wydaje mi się też, żeby to miało jakieś znaczenie. Kiedy szarość już cię dopadnie, nie ma przed tym ucieczki. Jak przed wyniszczającą chorobą. Czy to właśnie zabiło Adriana?

Przypuszczałem, że mówi o raku.

– Nie, miał atak serca.

– Ach. Trochę bólu i po wszystkim. Lepsze niż szarość. A jeśli chodzi o twoje pytanie, to pewnego razu… Adrian mówił, że tak się zaczyna wiele opowieści w świecie, z którego pochodził.

– Zgadza się. A rzeczy, które tu widziałem, są właśnie jak te historie.

– Zapewne podobnie jak tam, skąd pochodzisz. To wszystko opowieści, książę Charlie.

Wilki znów zaczęły wyć. Woody przesunął palcami po książce, a potem ją zamknął i odłożył na stolik obok fotela. Zastanawiałem się, jak odnajdzie teraz miejsce, w którym przerwał czytanie. Catriona wróciła, wskoczyła mu na kolana i zaczęła mruczeć.

– Pewnego razu w krainie Empis i mieście Lilimar, do którego zmierzasz, żyła sobie królewska rodzina o historii liczącej tysiące lat. Większość władców z tej rodziny… nie wszyscy, ale większość… rządziła mądrze i sprawnie. Lecz gdy nadszedł ten straszliwy czas, niemal wszyscy członkowie rodziny zostali zabici. Wymordowani.

– Lea wspomniała mi o tym. Wiesz, przez Faladę. Mówiła, że jej ojciec i matka nie żyją. To byli król i królowa, prawda? Bo mówiła też, że jest księżniczką. Najmniejszą z nich wszystkich.

Uśmiechnął się.

– Owszem, najmniejszą z nich wszystkich. Powiedziała ci, że jej siostry zostały zamordowane?

– Tak.

– A co z braćmi?

– Ich też zabito.

Westchnął, pogłaskał kota i spojrzał na ogień. Jestem pewien, że czuł jego ciepło; zastanawiałem się, czy mógł go też do pewnego stopnia widzieć – tak jak wtedy, gdy patrzy się na słońce z zamkniętymi oczami

i widzi się czerwień rozświetlonej krwi. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz po chwili zamknął je i pokręcił głową. Wycie wilków wydawało się bardzo bliskie… potem raptownie umilkło. Wszystkie robiły to zawsze w tej samej sekundzie, co było naprawdę niesamowite.

– To była czystka – powiedział Woody. – Wiesz, co to znaczy?

– Tak.

– Ale kilkoro z nas przeżyło. Uciekliśmy z miasta, a Hana go nie opuści, bo jest wygnańcem z własnego kraju, położonego daleko na północy. Ośmiorgu z nas udało się przejechać przez główną bramę. Byłoby nas dziewięcioro, tylko że mój bratanek Aloysius… – Znów pokręcił głową. – Ośmioro z nas uciekło przed śmiercią w mieście i nasza krew chroni nas przed szarością, nie uciekliśmy jednak przed innym przekleństwem. Domyślasz się jakim?

Domyślałem się.

– Każde z was straciło jakiś zmysł?

– Tak. Lea może jeść, ale jak być może sam się przekonałeś, sprawia jej to ból.

Skinąłem głową, choć on i tak tego nie widział.

– Nie czuje smaku tego, co je, i jak widziałeś, może mówić tylko przez Faladę. Jest przekonana, że w ten sposób go oszukuje, jeśli jej słucha. Nie wiem. Może ma rację. Może on słyszy i bawi go to.

– Kiedy mówisz „on”… – zacząłem i umilkłem.

Woody złapał mnie za poły koszuli i przyciągnął. Pochyliłem się ku niemu. Przysunął usta do mojego ucha i wyszeptał. Spodziewałem się usłyszeć słowo „Gogmagog”, ale on powiedział coś innego. Powiedział „Kat Skrzydlatych”.

# 11

– Mógłby wysłać po nas zabójców, ale nie robi tego. Pozwala nam żyć, tym, którzy przetrwali, bo życie jest dla nas wystarczającą karą. Aloysius, jak mówiłem, nie zdołał uciec z miasta. Ellen, Warner i Greta odebrali sobie życie. Yolande chyba wciąż żyje, ale obłąkana tuła się po świecie. Jest niewidoma, podobnie jak ja, i żyje głównie dzięki dobroci obcych ludzi. Karmię ją zawsze, gdy tu przychodzi, i nie zaprzeczam bredniom, które opowiada. Oni wszyscy są siostrzeńcami i siostrzenicami, bratankami i bratanicami, kuzynami, rozumiesz? To bliscy krewni. Nadążasz za mną?

– Tak. – Nadążałem, jako tako.

– Burton został pustelnikiem, mieszka w głębi lasu i nieustannie modli się o wyzwolenie Empis, składając razem dłonie, których nie czuje. Nie czuje ran, dopóki nie zobaczy krwi. Je, ale nie ma pojęcia, czy jego żołądek jest pusty, czy pełny.

– Mój Boże… – wyszeptałem. Wcześniej wydawało mi się, że ślepota to najgorsze z tych przekleństw, ale myliłem się.

– Wilki zostawiają Burtona w spokoju. Przynajmniej tak było dawniej. Minęły już ponad dwa lata, odkąd ostatnio tu zaglądał. Może on też już nie żyje. Moja mała grupka uciekła wozem kowala, wtedy nie byłem jeszcze ślepy, więc stałem na koźle i strzelałem z bata nad łbami sześciu koni oszalałych ze strachu. Byli ze mną moja kuzynka Claudia, bratanek Alyosius i bratanica Lea. Pędziliśmy jak wiatr, Charlie, okute żelazem koła wozu krzesały iskry z bruku i wylatywały w górę na wysokość trzech metrów albo i wyżej nad mostem Rumpa. Kiedy zjeżdżaliśmy z mostu, bałem się, że wóz przewróci się albo rozpadnie, ale był wyjątkowo solidny i wytrzymał. Słyszeliśmy, jak Hana ryczy za nami, huczy jak burza, była

coraz bliżej. Wciąż słyszę ten ryk. Smagałem konie batem i pędziły, jakby goniło je całe piekło… bo tak zresztą było. Aloysius obejrzał się tuż przed tym, jak dotarliśmy do bramy, i Hana strąciła mu głowę z ramion. Nie widziałem tego, byłem skupiony wyłącznie na tym, co działo się z przodu, ale Claudia widziała. Lea nie, Bogu dzięki. Była owinięta kocem. Następne uderzenie ręki Hany oderwało tylną część wozu. Czułem jej oddech, wciąż go czuję. Zgniłe ryby, mięso i smród jej potu. Przejechaliśmy przez bramę w ostatniej chwili. Ryknęła wściekle, gdy zobaczyła, że jej uciekliśmy. Ileż nienawiści i frustracji kryło się w tym dźwięku! Tak, wciąż to słyszę.

Umilkł i otarł usta drżącą dłonią. Do tej pory widywałem zespół stresu pourazowego tylko w filmach takich jak *The Hurt Locker*, ale teraz miałem okazję zobaczyć to na żywo. Nie wiem, ile czasu minęło od tamtych wydarzeń, ale Woody wciąż czuł ich grozę, nadal przeżywał je na nowo. Nie chciałem czuć się odpowiedzialny za to, że przywoływał z pamięci tę tragedię i mówił o niej, musiałem jednak wiedzieć, w co się pakuję.

– Charlie, jeśli wejdziesz do mojej spiżarni, w chłodnej szafce znajdziesz butelkę wina jeżynowego – powiedział. – Chętnie wychyliłbym szklaneczkę, jeśli nie masz nic przeciwko. Ty też możesz się napić, jeśli chcesz.

Przyniosłem butelkę i nalałem mu wina do szklanki. Zapach sfermentowanych jeżyn był na tyle mocny, że skutecznie pozbawiłby mnie ochoty na małą porcję, nawet gdybym nie czuł zdrowej nieufności do alkoholu z powodu ojca, więc napiłem się jeszcze lemoniady.

Woody upił dwa duże łyki, większość tego, co było w szklance, i westchnął głęboko.

– Tak lepiej. Te wspomnienia są smutne i bolesne. Robi się późno, a ty na pewno jesteś zmęczony, więc czas porozmawiać o tym, co musisz

zrobić, żeby uratować swoją przyjaciółkę. Jeśli nadal zamierzasz tam iść, oczywiście.

– Zamierzam.

– Zaryzykujesz życie i zdrowie dla psa?

– Jest wszystkim, co mi zostało po panu Bowditchu. – Zawahałem się, a potem wyjawiłem resztę: – I kocham ją.

– Doskonale. Rozumiem miłość. Oto co musisz zrobić. Słuchaj uważnie. Kolejny dzień wędrówki zawiedzie cię do domu mojej kuzynki, Claudii… jeśli będziesz szedł wystarczająco szybko. Kiedy tam dotrzesz…

Słuchałem uważnie. Jakby zależało od tego moje życie. Dobiegające z zewnątrz wycie wilków sugerowało wyraźnie, że tak właśnie jest.

## 12

Łazienka Woody’ego mieściła się w małym budynku na zewnątrz domu, połączonym z jego sypialnią krótkim korytarzem z desek. Kiedy tam szedłem, trzymając lampkę (staroświecką, nie colemana), coś uderzyło w ścianę z głuchym odgłosem. Coś głodnego, jak podejrzewałem. Wyszorowałem bez pasty zęby i skorzystałem z toalety. Miałem nadzieję, że Radar wytrzyma z sikaniem do rana, bo wcześniej na pewno nie wypuściłbym jej na zewnątrz.

Tutaj nie musiałem spać przy kominku, bo w domu była druga sypialnia. Na małym łóżku leżała narzuta z falbankami i haftowanymi motylami – zapewne dzieło Dory – a ściany pokoju były pomalowane na

różowo. Woody powiedział mi, że czasami spały w nim Claudia albo Lea, choć tej drugiej nie było tu od wielu lat.

– Oto jak kiedyś wyglądały. – Sięgnął ostrożnie przed siebie i zdjął mały owalny obrazek w złoconej ramie, stojący na półce. Zobaczyłem nastolatkę i dorosłą kobietę. Obie były zachwycające. Stały, obejmując się, przed fontanną, w ładnych sukienkach i z koronkowymi ozdobami we włosach. Lea miała usta, którymi mogła się uśmiechać, i rzeczywiście wyglądała jak członek rodziny królewskiej.

Wskazałem na nią.

– To była Lea? Zanim…?

– Tak. – Woody równie ostrożnie odstawił obrazek na miejsce. – Zanim. To, co nas spotkało, stało się niedługo po naszej ucieczce z miasta. Akt czystej złośliwej zemsty. Były piękne, nie uważasz?

– Tak. – Wciąż wpatrywałem się w uśmiechniętą młodą dziewczynę i myślałem o tym, że jej klątwa jest dwa razy gorsza od ślepoty Woody’ego. – Czyja zemsta?

Pokręcił głową.

– Nie chcę o tym mówić. Marzę tylko o tym, żeby kiedyś jeszcze raz zobaczyć ten obrazek. Ale marzenia są jak piękno: próżne. Śpij dobrze, Charlie. Musisz wcześnie wyruszyć w drogę, jeśli przed zachodem słońca masz dotrzeć do Claudii. Ona może ci powiedzieć więcej. A jeśli obudzisz się w nocy… albo jeśli obudzi cię twój pies… nie wychodź na zewnątrz. Pod żadnym pozorem.

– Całkowicie to rozumiem.

– To dobrze. Bardzo się cieszę, że miałem okazję cię poznać, młody książę. Jak to mówią, przyjaciel Adriana jest moim przyjacielem.

Wyszedł pewnym krokiem, ale trzymał przed sobą wyciągniętą rękę, co po tylu latach spędzonych w ciemności zapewne stało się dla niego drugą

naturą. Zastanawiałem się, ile było tych lat. Ile czasu minęło od nadejścia Gogmagoga i czystki, która zdziesiątkowała rodzinę królewską? Kim lub czym był Kat Skrzydlatych? Kiedy ostatnio Lea uśmiechała się ustami, a jedzenie było jedną z jej codziennych czynności? Czy w ogóle lata były tu takie same jak w moim świecie?

Stephen Woodleigh był Woodym… jak kowboj w *Toy Story*. To prawdopodobnie było tylko zbiegiem okoliczności, nie sądziłem jednak, by podobnym zbiegiem okoliczności były wilki i ceglany dom. Do tego dochodziła jeszcze opowieść o moście Rumpa. Moja matka zginęła na moście nad rzeką Little Rumple, a facet pokroju Rumpelsztyka omal mnie nie zabił. Czy miałem wierzyć, że i te rzeczy były dziełem przypadku?

Radar spała przy łóżku, a odkąd Woody zwrócił moją uwagę na jej świszczący i rzeżący oddech, słyszałem go już przez cały czas. Pomyślałem, że albo te dźwięki, albo wycie wilków nie dadzą mi zasnąć. Ale przebyłem długą drogę, ciągnąc za sobą wózek. Nie wytrzymałem długo. Nie miałem żadnych snów i obudziłem się dopiero następnego ranka, gdy Woody potrząsnął moim ramieniem.

– Pobudka, Charlie. Zrobiłem nam śniadanie. Musisz ruszać w drogę, gdy tylko zjemy.

## 13

Na stole stała misa wypełniona jajecznicą i druga z parującymi kiełbaskami. Woody zjadł trochę, Radar zjadła trochę, a resztą zająłem się ja.

– Włożyłem twoje rzeczy do wózka Dory, dodałem też coś, co pokażesz mojej kuzynce, kiedy dotrzesz do jej domu. Żeby wiedziała, że przychodzisz ode mnie.

– Nie jest wyczulona na głos intuicji? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Właściwie jest i zrobiłem w tej kwestii wszystko, co mogłem, ale nierozsądnie byłoby polegać tylko na takiej komunikacji. To coś, co może ci się przydać później, jeśli twoja misja zakończy się sukcesem i będziesz mógł wrócić do własnego baśniowego świata.

– Co to takiego?

– Zajrzyj do swojego plecaka, a przekonasz się. – Znowu się uśmiechnął, wyciągnął do mnie ręce i ujął mnie za ramiona. – Może nie jesteś tym księciem, Charlie, ale jesteś dzielnym chłopcem.

– *Kiedy mój książę przyjdzie* – zanuciłem.

Po raz kolejny się uśmiechnął i zmarszczki na jego twarzy zafalowały.

– Adrian znał tę samą piosenkę. Mówił, że pochodzi z ruchomego obrazu, który opowiada pewną historię.

– *Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*.

Woody skinął głową.

– Twierdził, że prawdziwa historia była znacznie mroczniejsza.

Czy wszystkie takie nie są? – pomyślałem.

– Dziękuję za wszystko – powiedziałem. – Uważaj na siebie. I na Catrionę.

– Troszczymy się o siebie nawzajem. Pamiętasz wszystko, co ci mówiłem?

– Tak, chyba tak.

– Najważniejsze?

– Idź za znakami pana Bowditcha, zachowuj się cicho i wyjdź z miasta przed zmrokiem. Ze względu na nocnych żołnierzy.

– Wierzysz w to, co ci o nich powiedziałem, Charlie? Musisz, bo inaczej możesz ulec pokusie i zostać tam zbyt długo, jeśli nie dotrzesz do zegara słonecznego.

– Powiedziałeś mi, że Hana jest olbrzymem, a nocni żołnierze to nieumarli.

– Tak. Tylko czy w to wierzysz?

Pomyślałem o wielkich karaluchach i królikach. Pomyślałem o czerwonym świerszczu, który niemal dorównywał wielkością Catrionie. Pomyślałem o Dorze i jej znikającej twarzy oraz o Lei i bliźnie zastępującej jej usta.

– Tak – odparłem. – Wierzę w to wszystko.

– To dobrze. Pamiętaj, żeby pokazać Claudii to, co włożyłem do twojego plecaka.

Podniosłem Radar, ułożyłem ją na wózku i otworzyłem plecak. Na samej górze, oblana miękkim blaskiem kolejnego pochmurnego dnia, leżała pozłacana pięść. Spojrzałem na drzwi ceglanego domu i zobaczyłem, że zniknęła kołatka. Podniosłem ją. Była zaskakująco ciężka.

– Mój Boże, Woody! Czy to szczere złoto?

– Owszem. Gdyby cię kusiło, żeby przejść za zegar słoneczny, do skarbca, pamiętaj, że możesz dorzucić jeszcze to do łupu, który Adrian zabrał z pałacu podczas swojej ostatniej wizyty. Bywaj zdrów, książę Charlie. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał użyć broni Adriana, ale gdyby było to konieczne, nie wahaj się.

* S.T. Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu*, przeł. J. Kasprowicz.

# ROZDZIAŁ SZESNASTY

## Droga Królestwa. Claudia. Wskazówki. Wyjec. Motyle.

### 1

Zbliżyliśmy się z Radar do rozwidlenia dróg, gdzie stały dwa drogowskazy. Jeden wskazywał Drogę Królestwa po prawej. Strzałka z napisem *Droga Nadmorska* obruszyła się i zawisła w pionie, wskazując prosto w dół, jakby Nadmorze znajdowało się pod ziemią. Kiedy Radar szczeknęła chrapliwie, podniosłem wzrok i zobaczyłem mężczyznę i chłopca nadchodzących od strony Nadmorza. Mężczyzna poruszał się o kuli; jego lewa stopa była owinięta brudnym bandażem i dotykała ziemi tylko co kilka kroków. Zastanawiałem się, jak daleko zdoła zajść tylko na jednej nodze. Chłopiec raczej nie mógł mu pomóc: był mały i niósł ich rzeczy w jutowym worku, który przekładał z ręki do ręki i czasami ciągnął po ziemi. Zatrzymali się przy rozwidleniu i patrzyli na mnie, gdy skręcałem w prawo, obok drogowskazu.

– Nie tędy, proszę pana! – zawołał chłopiec. – To droga do nawiedzonego miasta!

Był szary, ale nie tak szary jak towarzyszący mu mężczyzna. Być może byli to ojciec i syn, ale nie dało się dostrzec podobieństwa między nimi, bo twarz mężczyzny zaczęła się już rozmywać, a oczy zapadały się w głąb głowy.

Klepnął chłopca w ramię i przewróciłby się, gdyby dzieciak go nie podtrzymał.

– Zostaw go, zostaw – powiedział mężczyzna. Jego głos był jeszcze w miarę wyraźny, lecz brzmiał tak, jakby struny głosowe owinięto mu chusteczkami higienicznymi. Pomyślałem, że wkrótce będzie tylko charczał i buczał jak Dora.

Zaczął krzyczeć do mnie, gdy oddalał się, idąc drugą drogą, co wyraźnie sprawiało mu ból. Grymas cierpienia nadawał jego twarzy jeszcze bardziej przerażający wygląd, ale koniecznie chciał mi coś przekazać.

– Hej, kompletny człowieku! Przed którym z nich twoja matka zadzierała spódnicę, że teraz masz taką gładką buźkę?

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, więc milczałem. Radar ponownie wydała z siebie anemiczne szczeknięcie.

– Czy to pies, tato? Czy oswojony wilk?

Mężczyzna znów walnął chłopca w ramię. Potem uśmiechnął się do mnie szyderczo i wykonał ręką gest, który zrozumiałem doskonale. Najwyraźniej niektóre rzeczy się nie zmieniają, bez względu na to, w jakim jesteś świecie. Miałem ochotę odpowiedzieć mu amerykańską wersją tego gestu, ale się powstrzymałem. Obrażanie niepełnosprawnych ludzi to raczej głupie zachowanie, nawet jeśli ten niepełnosprawny jest dupkiem, który bije syna i rzuca kalumnie na twoją matkę.

– Udanej podróży, kompletny! – wrzasnął swoim przytłumionym głosem. – Oby ten dzień był twoim ostatnim!

Zawsze to miło spotkać przyjaznych ludzi po drodze, pomyślałem, idąc dalej. Wkrótce zniknęli mi z oczu.

## 2

Miałem Drogę Królestwa tylko dla siebie, mogłem więc spokojnie oddać się przemyśleniom… i dociekaniom.

Na przykład kompletni ludzie. Czym byli? Kim byli? Oczywiście ja też byłem kompletny, ale gdyby istniała jakaś książka o takich ludziach, moje nazwisko opatrzono by gwiazdką, bo nie pochodziłem z Empis (tak przynajmniej nazywano tę część innego świata; Woody powiedział mi, że olbrzymka Hana pochodzi z miejsca o nazwie Cratchy). Przyznam, że odetchnąłem z ulgą, gdy zapewnił mnie, że nie zacznę szarzeć i tracić twarzy, bo kompletni ludzie są odporni na szarość. Powiedział mi to rano przy śniadaniu, ale nie chciał dłużej o tym dyskutować, bo – jak powtarzał – czekała mnie długa wędrówka i musiałem jak najszybciej ruszyć w drogę. Kiedy spytałem o Kata Skrzydlatych, zmarszczył czoło i pokręcił głową. Powtórzył też, że jego kuzynka Claudia może powiedzieć mi więcej i że na razie musi mi to wystarczyć. To, co powiedział mężczyzna z kulą, podsuwało mi jednak pewne odpowiedzi: „Przed którym z nich twoja matka zadzierała spódnicę, że teraz masz taką gładką buźkę?”.

Rozmyślałem też o stale zachmurzonym niebie. Przynajmniej za dnia było wciąż zachmurzone, bo nocą chmury rozstępowały się czasem, by przepuścić trochę księżycowego blasku. Co z kolei pobudzało wilki. W dodatku na niebie lśniły dwa księżyce, a nie jeden, co skłaniało mnie do

dociekań, gdzie właściwie jestem. Czytałem wystarczająco dużo science fiction, by znać teorie równoległych światów i wielu Ziem, ale miałem wrażenie, że gdy przechodzę przez to miejsce w podziemnym korytarzu, gdzie mój umysł i ciało ulegają na chwilę rozdzieleniu, przenoszę się na całkiem inną płaszczyznę egzystencji. Z powodu dwóch księżyców nie odrzucałem całkowicie tezy, że znajduję się na planecie w jakiejś odległej galaktyce, ale problem polegał na tym, że tego świata nie zamieszkiwały obce formy życia: to byli ludzie.

Myślałem o książce leżącej na stoliku nocnym pana Bowditcha, tej z okładką, na której widniał lejek wypełniający się gwiazdami. A jeśli znalazłem drogę do struktury wszechświata, o której mówiono w tej książce? (Strasznie żałowałem, że nie włożyłem jej do plecaka razem z jedzeniem, tabletkami Radar i pistoletem Polleya). Ta myśl przypomniała mi o pewnym filmie, który oglądałem z mamą i tatą jako dzieciak – *Niekończąca się opowieść*, tak chyba brzmiał jego tytuł. Załóżmy, że Empis było jak Fantazja z tamtego filmu, światem powstałym ze zbiorowej wyobraźni. Czy to również była koncepcja jungowska? Skąd mogłem to wiedzieć, skoro nie wiedziałem nawet, jak wymawia się nazwisko tego faceta?

Rozmyślałem o tych wszystkich rzeczach, ale ciągle wracałem do bardziej praktycznej kwestii: mojego ojca. Czy wiedział już, że wyjechałem? Być może nadal był tego nieświadomy (a jak twierdzą niektórzy, nieświadomość jest błogosławieństwem), ale mógł – jak Woody – słyszeć głos intuicji; podobno rodzice często mają trafne przeczucia dotyczące ich dzieci. Pewnie próbował do mnie dzwonić, a kiedy nie odbierałem, napisał esemesa. Mógł założyć, że jestem zbyt zajęty szkołą, żeby reagować, ale raczej nie trwałoby to długo, bo wiedział, że odpowiedzialny ze mnie chłopak i zawsze oddzwaniam, gdy tylko mogę.

Było mi cholernie przykro, że będzie się o mnie martwił, nic jednak nie mogłem z tym zrobić. Podjąłem już decyzję. Poza tym – muszę to przyznać, jeśli mam być szczery – cieszyłem się, że tu jestem. Nie powiedziałbym może, że świetnie się bawię, ale tak, cieszyłem się. Chciałem poznać odpowiedzi na tysiące pytań. Chciałem zobaczyć, co kryje się za następnym wzniesieniem i zakrętem. Chciałem obejrzeć to, co chłopiec nazwał nawiedzonym miastem. Jasne, że się bałem – Hany, nocnych żołnierzy, czegoś lub kogoś nazywanego Katem Skrzydlatych, a przede wszystkim Gogmagoga – lecz czułem też ekscytację. No i była jeszcze Radar. Jeśli rzeczywiście mogłem jej dać drugą szansę, chciałem to zrobić.

W miejscu, gdzie zatrzymałem się na lunch i krótki odpoczynek, las ciągnął się już po obu stronach drogi, nie widziałem tu jednak żadnych zwierząt.

– Chcesz coś przekąsić, Radar?

Miałem nadzieję, że chce, bo rano nie udało mi się jej nakłonić do zjedzenia choćby jednej tabletki. Wyjąłem z plecaka puszkę sardynek, otworzyłem ją i przechyliłem tak, żeby dobrze je poczuła. Podniosła łeb, ale nie wstała. Zauważyłem, że z jej oczu sączy się jeszcze więcej tego żółtego paskudztwa.

– No już, mała, przecież to uwielbiasz.

Zdołała zrobić trzy lub cztery kroki w dół wózka, ale wtedy ugięły się pod nią tylne łapy. Zjechała na sam dół, obracając się na bok i skowycząc piskliwie z bólu. Uderzyła w twardą ziemię i zdyszana, podniosła łeb, by na mnie spojrzeć. Bok jej pyska był wysmarowany ziemią. Bolało mnie serce, gdy na to patrzyłem. Próbowała się podnieść, lecz nie mogła.

Natychmiast zapomniałem o kompletnych ludziach, o szarych ludziach, nawet o tacie. Wszystko to stało się nagle nieistotne. Otarłem Radar z brudu, wziąłem na ręce i przeniosłem na wąski pas trawy oddzielający

drogę od ściany lasu. Położyłem ją tam, pogłaskałem po łbie i przyjrzałem się tylnym łapom. Wyglądało na to, że żadna nie jest złamana, ale Radar skomlała i odsłaniała zęby – nie ze złości, lecz z bólu – gdy dotykałem ich nieco wyżej. Wydawało mi się, że są całe, byłem też jednak pewien, że zdjęcie rentgenowskie pokazałoby mocno opuchnięte stawy.

Wypiła trochę wody i zjadła dwie sardynki… chyba tylko po to, żeby zrobić mi przyjemność. Ja też straciłem apetyt, ale zmusiłem się do zjedzenia kawałka pieczonego królika, którego dała mi Dora, i kilku ciastek. Musiałem dostarczyć trochę paliwa silnikowi. Kiedy podniosłem Radar – ostrożnie – i ułożyłem ją na wózku, słyszałem jej rzężący oddech i wyczuwałem pod palcami wszystkie żebra. Woody powiedział, że mój pies umiera, i miał rację, ale nie po to przeszedłem taki kawał drogi, żeby umarł na wózku Dory. Pochwyciłem oba drążki i ruszyłem dalej; nie biegłem – wiedziałem, że wtedy szybko opadłbym z sił – ale szybko maszerowałem.

– Trzymaj się. Jutro może będzie lepiej, więc trzymaj się, mała.

Słyszałem uderzenia ogona o wózek, gdy pomachała nim w odpowiedzi.

## 3

Chmury pociemniały, gdy ciągnąłem wózek Drogą Królestwa, ale nie padało. Cieszyło mnie to. Mnie deszcz nie przeszkadzał, ale gdyby Radar przemokła, na pewno by jej to nie pomogło, a nie miałem jej czym

przykryć. Poza tym ciągnięcie wózka mogłoby stać się trudne albo nawet niemożliwe, gdyby twarda nawierzchnia drogi zamieniła się w błoto.

Cztery, może pięć godzin po tym, jak Radar spadła z wózka, wspiąłem się na wysokie wzniesienie i przystanąłem, po części po to, by złapać oddech, ale przede wszystkim po to, żeby się rozejrzeć. Teren przede mną opadał i stawał się płaski, dzięki czemu po raz pierwszy mogłem wyraźnie zobaczyć panoramę miasta. W przytłumionym szarym świetle wieże przybierały matową oliwkową barwę, upodabniając się do steatytu. W oddali jak okiem sięgnąć ciągnął się po obu stronach drogi wysoki szary mur okalający miasto. Wciąż dzieliło mnie od niego wiele kilometrów i nie byłem w stanie określić jego wysokości, wydawało mi się jednak, że dostrzegam pośrodku monstrualną bramę. Jeśli jest zamknięta, to mam naprawdę przejebane, pomyślałem.

Droga od domu Woody'ego do miejsca, w którym przystanąłem, była pełna zakrętów, lecz od tego punktu aż do bramy miasta biegła prosto jak strzała. Parę kilometrów przede mną las zaczynał odsuwać się od gościńca; widziałem porzucone wozy i coś, co wyglądało na pługi ręczne pozostawione na zarośniętych polach. Dojrzałem też coś jeszcze: pojazd zmierzający w moją stronę. Mam dobry wzrok, ale wciąż dzieliło mnie od niego kilka kilometrów i nie byłem w stanie dojrzeć szczegółów. Dotknąłem rękojeści czterdziestkipiątki pana Bowditcha, nie żeby się upewnić, że tam jest, lecz by dodać sobie otuchy.

– Radar? Wszystko w porządku?

Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że patrzy na mnie, opierając łapy na przedniej ściance wózka. To był dobry znak. Pochwyciłem drążki i ruszyłem naprzód. Na moich dłoniach pojawiło się już całkiem sporo pęcherzy i dałbym teraz naprawdę dużo za parę porządnych rękawic

roboczych. Ba, nawet za parę zwykłych mitenek. Teraz przynajmniej przez chwilę miałem z górki.

Jakieś dwa, może trzy kilometry dalej (wieże niknęły za murami miasta, w miarę jak teren się obniżał) przystanąłem. Teraz widziałem już, że człowiek zmierzający w moją stronę jechał na czymś, co wyglądało jak wielki trójkołowy rower. Kiedy jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do siebie, zauważyłem, że trójkołowcem kieruje kobieta i utrzymuje całkiem przyzwoitą prędkość. Była w czarnej sukni, która wydymała się wokół niej na wietrze, co znów skojarzyło mi się jednoznacznie z *Czarnoksiężnikiem z Krainy Oz*. Zwłaszcza z tą czarno-białą częścią na początku, gdy Almira Gulch jedzie rowerem pod zachmurzonym niebem Kansas, by zabrać psa Dorotki i oddać go do uśpienia za to, że ją ugryzł. Zauważyłem nawet drewniany koszyk umieszczony z tyłu trójkołowca, choć ten był znacznie większy od koszyka na Toto, który panna Gulch miała na bagażniku swojego roweru.

– Nie martw się, Radar – rzuciłem. – Ona nigdzie cię nie zabierze.

Kiedy była już naprawdę blisko, przystanąłem i rozprostowałem obolałe dłonie. Byłem gotowy zachowywać się przyjaźnie, jeśli ta kobieta okaże się osobą, za którą ją brałem, ale byłem również gotów bronić siebie i swojego psa, gdyby się okazało, że to empisańska wersja podłej czarownicy.

Kobieta zatrzymała trójkołowiec, obracając pedały w drugą stronę i wzbijając wielki tuman kurzu. Suknia przestała się wydymać i opadła bezwładnie na jej ciało. Na nogach nieznajoma miała grube czarne getry i wielkie czarne buty. Pomoc Dory z pewnością nie byłaby jej potrzebna. Jej twarz była zaróżowiona z wysiłku i pozbawiona jakichkolwiek oznak szarości. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że ma jakieś czterdzieści, może pięćdziesiąt kilka lat, lecz byłyby to tylko domysły. Czas w Empis jest dziwny, podobnie jak proces starzenia.

– Jesteś Claudia, prawda? – powiedziałem. – Poczekaj, mam ci coś do pokazania.

Otworzyłem plecak i wyjąłem z niego złotą kołatkę. Tylko rzuciła na nią okiem, skinęła głową i pochyliła się nad kierownicą. Jej dłonie były okryte skórzanymi rękawicami, których okropnie jej zazdrościłem.

– JESTEM CLAUDIA! NIE MUSISZ MI TEGO POKAZYWAĆ. ŚNIŁAM ŻE NADCHODZISZ! – Stuknęła palcem w skroń i zaśmiała się. – SNOM NIE MOŻNA UFAĆ! ALE DZIŚ RANO ZOBACZYŁAM SKOCZKA! ZAWSZE ZAPOWIADA DESZCZ ALBO GOŚCIA!

Jej głos był nie tylko donośny, ale też monotonny, niczym głos złego komputera ze starego filmu science fiction. Dodała coś, czego i tak się domyślałem:

– JESTEM GŁUCHA!

Obróciła głowę. Włosy miała spięte w wysoki kok, widziałbym więc ucho, gdyby je miała. Ale nie miała. Podobnie jak w miejscu ust Lei i oczu Woody’ego była tam tylko blizna.

# 4

Podciągnęła spódnicę, zeszła z trójkołowca i przeszła do wózka, by przyjrzeć się Radar. Po drodze stuknęła palcem w rękojeść rewolweru.

– BOWDITCHA! PAMIĘTAM GO! I PAMIĘTAM JĄ!

Radar podniosła łeb, gdy Claudia ją pogłaskała, a potem podrapała za uszami w sposób, który suka naprawdę lubiła. Kobieta pochyliła się nad

nią, najwyraźniej nie obawiając się, że zostanie ugryziona, i wciągnęła powietrze w nozdrza. Radar polizała ją po policzku.

Claudia odwróciła się do mnie.

– CHORA JAK CHOLERA!

Skinąłem głową. Zaprzeczanie nie miało sensu.

– ALE DAMY RADĘ! ZJE COŚ?!

Pokręciłem dłonią, pokazując, że tak sobie.

– Umiesz czytać z ruchu ust? – spytałem, dotykając najpierw swoich warg, a potem wskazując na nią.

– NIE ZA BARDZO! – ryknęła w odpowiedzi. – NIE MIAŁAM NA KIM ĆWICZYĆ! DAMY JEJ ROSOŁU WOŁOWEGO! MUSI TO ZJEŚĆ NA MIŁOŚĆ BOSKĄ! DOBRZE ŻE JĄ TU PRZYWIOZŁEŚ! CHCESZ JĄ PRZEŁOŻYĆ DO MOJEGO KOSZA? POJECHALIBYŚMY SZYBCIEJ!

Nie mogłem powiedzieć, że nie chcę, by coś stało się z chorymi tylnymi łapami Radar, więc tylko pokręciłem głową.

– DOBRZE ALE CHODŹ SZYBKO! NIEDŁUGO WYBIJĄ TRZY DZWONY! KONIEC DNIA! TU SĄ TE CHOLERNE WILKI WIESZ!

Nawróciła wielkim trójkołowcem – siodełko znajdowało się co najmniej półtora metra nad ziemią – a potem wspięła się na niego. Pedałowała powoli, a droga była na tyle szeroka, że mogłem iść obok niej, więc ani ja, ani Radar nie musieliśmy wdychać wzbijanego przez nią pyłu.

– OSIEM KILOMETRÓW! – krzyknęła Claudia swoim jednostajnym głosem. – CIĄGNIJ ŻWAWO MŁODY CZŁOWIEKU! DAŁABYM CI SWOJE RĘKAWICE ALE MASZ ZA DUŻE DŁONIE! DOSTANIESZ ODE MNIE DOBRĄ MAŚĆ KIEDY JUŻ BĘDZIESZ U MNIE! WEDŁUG MOJEJ RECEPTURY! CHOLERNIE DOBRA! MASZ OKROPNE PĘCHERZE!

Ciągnąłem żwawo. A w każdym razie najżwawiej, jak potrafiłem.

# 5

Nim dotarliśmy do domu Claudii, już robiło się ciemno, a ja padałem ze zmęczenia. W porównaniu z dwoma dniami ciągnięcia wózka z Radar trening futbolowy był fraszką. Z przodu, dwa, może trzy kilometry dalej, widać było początek czegoś, co mogło być przedmieściami, choć nie jest to zbyt trafne określenie. Stały tam chaty podobne do domku Dory, ale z zawalonymi dachami, w sporej odległości od siebie, rozdzielone małymi podwórzami lub ogródkami. Ale im było bliżej murów miasta, tym gęściej stały i w końcu niemal się ze sobą stykały. Miały kominy, z żadnego jednak nie wypływał dym. Tu i ówdzie pojawiały się drogi i ulice. Jakiś pojazd – nie umiałem go nazwać – stał porzucony na środku jednej z głównych dróg. Najpierw pomyślałem, że to długi wóz przeznaczony do przewozu towarów, lecz kiedy podeszliśmy bliżej, wydał mi się podobny do autobusu. Wskazałem na niego.

– TROLEJBUS! – huknęła Claudia. – STOI TU OD BARDZO DAWNA! CIĄGNIJ MŁODY CZŁOWIEKU! SPINAJ POŚLADY! – Tego jeszcze nie słyszałem. Pomyślałem, że muszę zapamiętać to określenie i podzielić się nim z Andym Chenem, jeśli oczywiście jeszcze go zobaczę. – JESTEŚMY JUŻ PRAWIE NA MIEJSCU!

Z oddali, z miejsca położonego między miastem a punktem, w którym właśnie byliśmy, dobiegło trzykrotne uderzenie dzwonu, rozdzielone

dłuższymi przerwami i uroczyste. BIM i BAM, i BOM. Claudia zauważyła, że Radar nadstawia uszu i odwraca się w stronę tego dźwięku.

– TRZY DZWONY?! – spytała Claudia.

Skinąłem głową.

– DAWNIEJ OZNACZAŁO TO KOŃCZCIE PRACĘ I IDŹCIE DO DOMU NA KOLACJĘ! TERAZ NIE MA PRACY ANI NIKOGO DO PRACY ALE DZWONY I TAK DZWONIĄ! NIE SŁYSZĘ ICH CZUJĘ JE JEDNAK W ZĘBACH ZWŁASZCZA PODCZAS BURZY!

Dom Claudii stał na zarośniętym chwastami skrawku ziemi, przed małym stawkiem otoczonym krzakami. Był okrągły, zbudowany ze znalezionych w okolicy desek i kawałków blachy. Moim zdaniem wyglądał bardzo mizernie i przywiódł mi na myśl bajkę o trzech świnkach i wilku. Woody miał dom z cegieł, Claudia z desek. Jeśli któryś z pozostałych członków rodziny królewskiej zbudował sobie dom ze słomy, to pewnie już dawno został pożarty.

Kiedy dotarliśmy do drewnianego budynku, zobaczyłem kilka wilków ułożonych jeden przed drugim, z łapami wystającymi z chaszczy, skierowanymi w jedną stronę. Nie widziałem dobrze ostatniego, ale te z przodu były już w stanie zaawansowanego rozkładu, z żebrami wystającymi spod resztek sierści. Nie miały oczu – zapewne wydłubały je ptaki. Gdy weszliśmy na ubitą ścieżkę prowadzącą do drzwi, zdawało mi się, że ich puste oczodoły patrzą prosto na mnie. Odetchnąłem z ulgą, widząc, że nie są gigantyczne jak miejscowe owady… ale i tak były naprawdę spore. A właściwie były spore niegdyś, za życia. Śmierć zmusiła je do przejścia na rygorystyczną dietę, podobnie jak dzieje się to ze wszystkimi żywymi stworzeniami.

– ZABIJAM JE KIEDY MOGĘ! – oznajmiła Claudia, schodząc z trójkołowca. – ZWYKLE TO SKUTECZNIE ODSTRASZA INNE!

KIEDY JUŻ ZAPACH JEST ZA SŁABY ZABIJAM PARĘ NASTĘPNYCH SKURWIELI!

Jak na członka rodziny królewskiej ma naprawdę niewyparzoną gębę, pomyślałem.

Położyłem drążki wózka na ziemi, poklepałem Claudię po ramieniu i wyjąłem z kabury rewolwer pana Bowditcha. Uniosłem brwi w niemym pytaniu. Nie byłem pewien, czy zrozumie, ale zrozumiała. Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając kilka ubytków w uzębieniu.

– NIE NIE! NIE MAM CZEGOŚ TAKIEGO! – Pokazała, jak podnosi wyimaginowaną broń. – SAMA JĄ ZROBIŁAM! JEST COŚ JESZCZE NAWET LEPSZE! ADRIAN TO PRZYNIÓSŁ KIEDY ONA BYŁA JESZCZE SZCZENIAKIEM!

Podeszła do drzwi i naparła na nie muskularnym ramieniem. Podniosłem Radar z wózka i próbowałem postawić ją na nogach. Była w stanie ustać i iść, lecz gdy dotarła do kamiennego stopnia, przystanęła i spojrzała na mnie prosząco. Wniosłem ją do środka. Dom składał się z jednego dużego i okrągłego pomieszczenia oraz drugiego – mniejszego, jak przypuszczałem – ukrytego za zasłoną z niebieskiego aksamitu, przetykanego fioletowymi i złotymi nićmi. Był tu też piecyk, maleńka kuchnia i stół roboczy zasłany narzędziami. Leżało na nim kilka strzał, nad którymi pracowała Claudia, a w ustawionym obok wiklinowym koszyku zobaczyłem sześć gotowych już pocisków. Ich groty zalśniły w półmroku, gdy długą zapałką zapaliła kilka lamp olejowych. Podniosłem jedną strzałę, by przyjrzeć się z bliska grotowi. Był złoty. I ostry. Kiedy dotknąłem czubka opuszką palca wskazującego, natychmiast pojawiła się na nim kropla krwi.

– HEJ HEJ! CHCESZ SIĘ POCHOROWAĆ?!

Claudia złapała mnie za koszulę i zaciągnęła do obłożonego blachą zlewu, nad którym wisiała ręczna pompa. Kobieta kilkakrotnie mocno nacisnęła na jej uchwyt, a potem włożyła mój zraniony palec w strumień lodowatej wody.

– To tylko małe… – zacząłem, poddałem się jednak i pozwoliłem, by robiła swoje. Wreszcie skończyła i kompletnie mnie zaskoczyła, składając pocałunek na ranie.

– SIADAJ! ODPOCZYWAJ! MUSIMY SIĘ ZAJĄĆ TWOIM PSEM A POTEM TWOIMI RĘKAMI!

Postawiła czajnik na piecyku, a gdy woda była już ciepła, lecz nie gorąca, wyjęła spod zlewu miednicę i napełniła ją. Dodała do tego jakąś cuchnącą maź z garnka stojącego na jednej z półek zastawionych różnymi dobrami; niektóre przechowywała w puszkach, inne w paczkach owiniętych czymś, co wyglądało jak gaza przewiązana sznurkiem, ale większość w szklanych słojach. Na ścianie, na prawo od aksamitnej zasłony, wisiała kusza, która – muszę przyznać – naprawdę budziła respekt. Ogólnie rzecz biorąc, przypominało mi to dom na pograniczu obszaru ogarniętego wojną, a Claudia przywodziła mi na myśl nie tyle kogoś z królewskiego rodu, ile kobietę z pogranicza, twardą i wojowniczą.

Namoczyła szmatkę w wodzie z cuchnącą mazią, wykręciła ją, a potem przykucnęła obok Radar, która przyglądała się jej podejrzliwie. Claudia zaczęła delikatnie przykładać szmatkę do obolałej tylnej łapy suki. Jednocześnie wydawała z siebie jakieś dziwne melodyjne dźwięki, które zapewne miały być śpiewem. Nucąc, zmieniała wysokość tych dźwięków, choć kiedy mówiła, jej głos był całkowicie jednostajny, niemal jak komunikaty z radiowęzła w mojej szkole. Myślałem, że Radar spróbuje uciec, a może nawet ją ugryźć, tymczasem ułożyła pysk na deskach i westchnęła z zadowoleniem.

Po chwili Claudia wsunęła pod nią ręce.

– OBRÓĆ SIĘ KOCHANIE! MUSZĘ NATRZEĆ DRUGĄ STRONĘ!

Radar nie tyle się przetoczyła, co przewaliła na drugi bok. Kobieta ponownie namoczyła szmatkę i zajęła się drugą tylną łapą. Kiedy skończyła, wrzuciła ściereczkę do blaszanego zlewu i wyjęła dwie kolejne. Namoczyła je, wykręciła i odwróciła się do mnie.

– WYCIĄGNIJ RĘCE PRZED SIEBIE MŁODY KSIĄŻĘ! TAK NAZYWAŁ CIĘ WOODY W MOIM ŚNIE!

Wiedziałem, że i tak nie zdołam jej wytłumaczyć, że jestem zwykłym Charliem, więc tylko w milczeniu wyciągnąłem ręce przed siebie. Owinęła je wilgotnymi ciepłymi szmatkami. Zapach maści był paskudny, lecz poczułem natychmiastową ulgę. Nie mogłem powiedzieć tego Claudii, ale sama zobaczyła to na mojej twarzy.

– CHOLERNIE DOBRE CO? MOJA BABCIA POKAZAŁA MI JAK TO ROBIĆ DAWNO TEMU KIEDY TEN TROLEJBUS JEŹDZIŁ JESZCZE REGULARNIE DO ULLUM I LUDZIE SŁUCHALI SIĘ DZWONÓW! JEST W TYM KORA WIERZBOWA ALE TO ZALEDWIE JEDEN ZE SKŁADNIKÓW! TYLKO ODROBINA MÓJ CHŁOPCZE! TRZYMAJ TE SZMATY NA RĘKACH A JA ZROBIĘ NAM COŚ DO ŻARCIA! NA PEWNO JESTEŚ GŁODNY!

# 6

Zjedliśmy stek z zieloną fasolką, a na deser coś, co wyglądało jak ciasto z nadzieniem z jabłek i brzoskwiń. Dostałem już naprawdę sporo

darmowego jedzenia – żarcia – odkąd pojawiłem się w Empis, a Claudia dokładała do tego kolejną porcję. Radar zjadła chochlę rosołu wołowego z małymi kółkami tłuszczu pływającymi po powierzchni. Wylizała do czysta miskę, oblizała się kilkakrotnie i spojrzała na Claudię, prosząc o więcej.

– NIE NIE NIE! – ryknęła kobieta, pochylając się, by podrapać ją za uszami. – WYRZYGAŁABYŚ WSZYSTKO TY SMUTNA STARA SUCZKO! I CO BY CI Z TEGO PRZYSZŁO?! ALE TO CI NIE ZASZKODZI!

Na stole leżał bochenek ciemnego chleba. Oderwała kawałek silnymi palcami o stwardniałej od ciężkiej pracy skórze (jestem pewien, że mogłaby ciągnąć wózek przez cały dzień i nie dorobić się ani jednego pęcherza), po czym wyjęła z koszyka strzałę. Nabiła chleb na grot, otworzyła drzwiczki pieca i wsunęła go do środka. Gdy wyjęła grot, chleb był jeszcze ciemniejszy i palił się. Zdmuchnęła płomień niczym urodzinową świeczkę, posmarowała chleb masłem z glinianego garnka stojącego na stole i wyciągnęła w stronę Radar. Psica podniosła się, zdjęła zębami chleb ze strzały i odeszła nieco dalej. Poruszała się znacznie sprawniej. Pomyślałem, że gdyby pan Bowditch miał trochę tej maści, mógłby zrezygnować z oksykodonu.

Claudia odgarnęła aksamitną zasłonę, która skrywała jej buduar, weszła tam i po chwili wróciła z blokiem papieru i ołówkiem. Wręczyła je mnie. Spojrzałem na litery wybite na boku ołówka i na moment ogarnęło mnie poczucie odrealnienia. Zobaczyłem fragment napisu, który został na ołówku: SZENIE DRWALI W SENTRY.

W bloku zostało już tylko kilka kartek. Spojrzałem na tył ostatniej i zobaczyłem wyblakłą naklejkę z ceną: *$ 1.99*.

– PISZ JEŚLI MUSISZ ALE JEŚLI NIE TO TYLKO KIWAJ ALBO KRĘĆ GŁOWĄ! MUSZĘ OSZCZĘDZAĆ PIEPRZONY PAPIER! ADRIAN PRZYNIÓSŁ TEN BLOK I WYJCA PODCZAS SWOJEJ OSTATNIEJ PODRÓŻY! I TO WSZYSTKO CO MI ZOSTAŁO! ROZUMIESZ?!

Skinąłem głową.

– PRZYSZEDŁEŚ ŻEBY ODNOWIĆ PSA ADE’a TAK?!

Ponownie skinąłem głową.

– WIESZ JAK TRAFIĆ DO ZEGARA SŁONECZNEGO MŁODY CZŁOWIEKU?!

Napisałem odpowiedź i podsunąłem ją Claudii: *Pan Bowditch oznaczył drogę swoimi inicjałami*. Co, jak później pomyślałem, było lepszym rozwiązaniem niż okruchy chleba. Zakładając, że deszcz nie zmył jego znaków.

Pokiwała głową, a potem się zamyśliła. W blasku lamp widziałem wyraźne podobieństwo Claudii do jej kuzyna Woody’ego, choć on był znacznie starszy. Dostrzegłem też surowe piękno ukryte pod latami ciężkiej pracy i polowań na wilki. Rodzina królewska na wygnaniu, pomyślałem. Ona, Woody i Lea. Nie trzy małe świnki, ale troje małych arystokratów.

W końcu podniosła wzrok i powiedziała:

– RYZYKOWNE!

Skinąłem głową.

– CZY WOODY MÓWIŁ CI JAK MUSISZ IŚĆ I CO MUSISZ ROBIĆ?

Wzruszyłem ramionami i napisałem: *Muszę być cicho*.

Sapnęła z irytacją, jakby jej zdaniem taka rada do niczego się nie nadawała.

– NIE MOGĘ CIĘ CIĄGLE NAZYWAĆ MŁODYM CZŁOWIEKIEM ALBO MŁODYM KSIĘCIEM CHOĆ RZECZYWIŚCIE MASZ W SOBIE COŚ KSIĄŻĘCEGO! JAK SIĘ NAZYWASZ?!

Napisałem CHARLIE READE drukowanymi literami.

– SHARLIE?

Nie do końca, ale wystarczająco podobnie, więc skinąłem głową.

Wyjęła kawałek drewna ze skrzynki przy piecu, otworzyła drzwiczki paleniska, wcisnęła drewno do środka i zamknęła piec. Wróciła na swoje miejsce, położyła złożone dłonie na kolanach i pochyliła się nad nimi. Miała bardzo poważną minę.

– JUTRO BĘDZIESZ NA MIEJSCU ZA PÓŹNO ŻEBY WYKONAĆ SWOJE ZADANIE SHARLIE WIĘC BĘDZIESZ MUSIAŁ SPĘDZIĆ NOC W BARAKU NIEDALEKO GŁÓWNEJ BRAMY! PRZED BARAKIEM STOI CZERWONY WÓZ BEZ KÓŁ! ZAPISZ TO!

Napisałem: *barak, czerwony wóz bez kół.*

– DOBRZE! BARAK BĘDZIE OTWARTY ALE W ŚRODKU JEST RYGIEL! ZASUŃ GO JEŚLI NIE CHCESZ SPĘDZIĆ NOCY W TOWARZYSTWIE WILKA ALBO TRZECH WILKÓW! ZAPISZ TO!

*Zaryglować drzwi*.

– NIE WYCHODŹ STAMTĄD DOPÓKI NIE USŁYSZYSZ PORANNEGO DZWONU! JEDEN DZWON! BRAMA MIASTA BĘDZIE ZAMKNIĘTA ALE OTWORZY JE IMIĘ LEI! TYLKO JEJ! LEA Z GALLIENU! ZAPISZ TO!

Napisałem: *Lea z galionu*.

Wskazała na kartkę, dając mi do zrozumienia, że chce zobaczyć, co napisałem, zmarszczyła brwi i wskazała na ołówek. Wykreśliła *galionu* i napisała *Gallienu*.

– NIKT CIĘ W TEJ TWOJEJ KRAINIE NIE UCZYŁ ORTOGRAFII?

Wzruszyłem ramionami. Galion czy Gallien, prawie to samo. Ale skoro miasto było opuszczone, to kto miał mnie usłyszeć i wpuścić do środka?

– BĘDZIESZ TAM I PRZEJDZIESZ PRZEZ BRAMĘ ZARAZ PO CHOLERNYM DZWONIE PORANNYM BO MASZ PRZED SOBĄ CHOLERNIE DŁUGĄ DROGĘ!

Potarła czoło i spojrzała na mnie zatroskana.

– JEŚLI ZOBACZYSZ ZNAKI ADE'A WSZYSTKO POWINNO BYĆ DOBRZE! JEŚLI NIE WYJDŹ STAMTĄD ZANIM SIĘ ZGUBISZ! ULICE MIASTA TO LABIRYNT! PO ZMROKU CIĄGLE BYŚ BŁĄDZIŁ PO TYM PIEKLE!

Napisałem: *Ona umrze, jeśli nie będę jej mógł odnowić!*

Przeczytała i oddała mi bloczek gniewnym gestem.

– KOCHASZ JĄ NA TYLE ŻEBY Z NIĄ UMRZEĆ?

Pokręciłem głową. Claudia zaskoczyła mnie śmiechem, który brzmiał niemal melodyjnie. Pomyślałem, że to niewielka pozostałość jej głosu z czasów, gdy klątwa nie skazała jej jeszcze na życie w ciszy.

– NIEZBYT SZLACHETNA ODPOWIEDŹ ALE CI KTÓRZY ODPOWIADAJĄ SZLACHETNIE ZWYKLE UMIERAJĄ MŁODO Z PORTKAMI PEŁNYMI GÓWNA! MASZ OCHOTĘ NA PIWO?

Pokręciłem głową. Wstała, pogrzebała w spiżarni i wróciła z białą butelką. Kciukiem wyciągnęła z szyjki korek z otworem – zrobiła go pewnie po to, by napój mógł oddychać – i pociągnęła długi łyk. Potem beknęła donośnie. Usiadła i trzymała butelkę na kolanach.

– JEŚLI BĘDĄ TAM ZNAKI SHARLIE… ZNAKI ADRIANA… IDŹ ZA NIMI CICHO NAJSZYBCIEJ JAK MOŻESZ! ZAWSZE CICHO! NIE ZWRACAJ UWAGI NA DZIWNE GŁOSY BO TO GŁOSY UMARŁYCH… I GORZEJ NIŻ UMARŁYCH!

Gorzej niż umarłych? Nie podobało mi się to. A skoro rozmawialiśmy o ciszy, to pomyślałem o odgłosach, jakie wydają koła wózka Dory na brukowanych ulicach. Może Radar mogłaby przejść część drogi, a potem przeniósłbym ją na rękach?

– MOŻESZ WIDZIEĆ DZIWNE RZECZY… ZMIANY W KSZTAŁTACH PRZEDMIOTÓW… ALE NIE ZWRACAJ NA TO UWAGI! W KOŃCU DOTRZESZ DO PLACU Z NIECZYNNĄ FONTANNĄ!

Pomyślałem, że może już widziałem tę fontannę u Woody'ego, na obrazku, na którym były Lea i Claudia.

– NIEDALEKO JEST WIELKI ŻÓŁTY DOM Z BRĄZOWYMI OKIENNICAMI! PRZEZ ŚRODEK PROWADZI KORYTARZ! TO DOM HANY! HANA MIESZKA W JEDNEJ POŁOWIE! W DRUGIEJ JEST KUCHNIA W KTÓREJ JADA POSIŁKI! ZAPISZ TO!

Zapisałem i Claudia znowu wzięła ode mnie blok. Narysowała korytarz z łukowatym sufitem, a powyżej motyla z rozłożonymi skrzydłami. Jak na szybki szkic wyglądało to bardzo udanie.

– MUSISZ SIĘ UKRYWAĆ SHARLIE! TY I TWÓJ PIES! BĘDZIE CICHO?!

Skinąłem głową.

– CICHO CHOĆBY NIE WIEM CO?!

Tego nie mogłem być pewien, ale na wszelki wypadek znowu skinąłem głową.

– CZEKAJ NA DWA DZWONY! ZAPISZ TO!

*2 dzwony*, napisałem.

– BYĆ MOŻE ZOBACZYSZ HANĘ NA ZEWNĄTRZ PRZED DWOMA DZWONAMI! A MOŻE NIE! ALE ZOBACZYSZ JĄ GDY BĘDZIE SZŁA DO KUCHNI NA POŁUDNIOWY POSIŁEK! WŁAŚNIE

WTEDY MUSISZ PRZEJŚĆ PRZEZ KORYTARZ NAJSZYBCIEJ JAK SIĘ DA! ZAPISZ TO!

Pomyślałem, że nie muszę tego zapisywać – nie chciałem spędzać zbyt wiele czasu w pobliżu Hany, jeśli była tak przerażająca, jak słyszałem – ale Claudia najwyraźniej bardzo się o mnie martwiła.

– ZEGAR SŁONECZNY JEST NIEDALEKO STAMTĄD! ZORIENTUJESZ SIĘ JAK ZOBACZYSZ SZEROKIE CHODNIKI! POŁÓŻ PSA NA ZEGARZE SŁONECZNYM I OBRÓĆ ZEGAR WSTECZ! UŻYWAJ DO TEGO RĄK! PAMIĘTAJ JEŚLI OBRÓCISZ GO DO PRZODU ZABIJESZ JĄ! I SAM TRZYMAJ SIĘ OD NIEGO Z DALA! ZAPISZ TO!

Napisałem, lecz tylko po to, by ją zadowolić. Czytałem *Jakiś potwór tu nadchodzi* i wiedziałem, co się może stać, jeśli obrócę zegar w niewłaściwą stronę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała teraz Radar, to jeszcze się postarzeć…

– WRACAJ TAK SAMO JAK WSZEDŁEŚ! ALE UWAŻAJ NA HANĘ! NASŁUCHUJ JEJ W KORYTARZU!

Podniosłem ręce i pokręciłem głową na znak, że nie rozumiem.

Claudia uśmiechnęła się posępnie.

– PO JEDZENIU TA SUKA ZAWSZE UCINA SOBIE DRZEMKĘ! I CHRAPIE! USŁYSZYSZ TO SHARLIE! JAKBY GRZMIAŁO!

Podniosłem oba kciuki.

– WRACAJ SZYBKO! TO DALEKO I BĘDZIESZ MIAŁ MAŁO CZASU! NIE MUSISZ PRZEJŚĆ PRZEZ BRAMĘ ZANIM USŁYSZYSZ DŹWIĘKI TRZECH DZWONÓW ALE MUSISZ OPUŚCIĆ LILIMAR ZARAZ POTEM! ZANIM ZROBI SIĘ CIEMNO!

*Nocni żołnierze?* – napisałem na bloku i pokazałem jej. Pociągnęła następny łyk piwa. Miała ponurą minę.

– TAK! ONI! A TERAZ TO WYKREŚL!

Wykreśliłem i pokazałem jej.

– IM MNIEJ SIĘ MÓWI ALBO PISZE O TYCH GNOJKACH TYM LEPIEJ! NOC SPĘDZISZ W BARAKU Z CZERWONYM WOZEM Z PRZODU! WYJDŹ KIEDY USŁYSZYSZ PORANNY DZWON! WRACAJ TUTAJ! ZAPISZ TO!

Zapisałem.

– SKOŃCZYLIŚMY! – oznajmiła Claudia. – POWINIENEŚ POŁOŻYĆ SIĘ TERAZ SPAĆ BO JESTEŚ ZMĘCZONY A JUTRO CZEKA CIĘ DALEKA DROGA!

Skinąłem głową i napisałem coś na bloczku. Podniosłem go jedną ręką, a drugą ująłem jej dłoń. Na kartce widniał wielki napis DZIĘKUJĘ.

– NIE NIE NIE! – Uścisnęła moją dłoń, a potem podniosła do ust i pocałowała. – KOCHAŁAM ADE'A! NIE TAK JAK KOBIETA KOCHA MĘŻCZYZNĘ LECZ JAK SIOSTRA KOCHA BRATA! MAM TYLKO NADZIEJĘ ŻE NIE WYSYŁAM CIĘ NA ŚMIERĆ… ALBO COŚ GORSZEGO!

Uśmiechnąłem się i pokazałem jej dwa podniesione kciuki, zapewniając ją w ten sposób, że wszystko będzie w porządku. Choć nie było, oczywiście.

# 7

Nim mogłem zadać jej kolejne pytania – a miałem ich wiele – odezwały się wilki. Było ich mnóstwo i wyły jak oszalałe. Zobaczyłem blask księżyca

w szparze między dwiema rozeschłymi deskami, a potem coś uderzyło w bok domu z taką siłą, że cały się zatrząsł. Radar szczeknęła i podniosła się, stawiając uszy. Następnie rozległ się trzask towarzyszący kolejnemu uderzeniu, trzeci i jeszcze dwa jednocześnie. Z półki spadła butelka i poczułem zapach solanki.

Wyciągnąłem rewolwer pana Bowditcha, myśląc: Będą chuchać i dmuchać, aż zdmuchną ten dom.

– NIE NIE! – huknęła Claudia. Wydawała się niemal rozbawiona. – CHODŹ ZA MNĄ SHARLIE I ZOBACZ CO PRZYNIÓSŁ MI ADRIAN!

Odgarnęła na bok aksamitną zasłonę i pokazała, bym przeszedł dalej. Główne pomieszczenie było czyste i schludne, lecz sypialnia nie. Może nie posunąłbym się aż tak daleko, by powiedzieć, że Claudia zachowywała się w niej jak fleja, ale… Wiecie co? Właściwie posunąłbym się tak daleko. Dwie kołdry leżały w bezładzie, odrzucone na bok. Spodnie, szorty, halki i majtki, które wyglądały jak szerokie krótkie spodenki, walały się po podłodze. Claudia odtrąciła je na bok kopniakiem, prowadząc mnie na drugą stronę pomieszczenia. Prawdę mówiąc, bardziej niż to, co chciała mi pokazać, interesował mnie szturm wilków. Bo to był prawdziwy atak; kolejne uderzenia w ściany jej kruchego domku niemal się zlewały. Bałem się, że nawet jeśli chmury zakryją księżyce, atak nie ustanie. Wilki były teraz nakręcone i żądne krwi.

Claudia otworzyła drzwi, odsłaniając klitkę z toaletą kompostującą, która z pewnością pochodziła z mojego świata.

– SRACZ! – oznajmiła. – NA WYPADEK GDYBYŚ POTRZEBOWAŁ W NOCY! NIE BÓJ SIĘ ŻE MNIE OBUDZISZ! ŚPIĘ JAK CHOLERNY KAMIEŃ!

To akurat wydawało się oczywiste, skoro była też głucha jak pień, ale przypuszczałem, że nie będę już potrzebował toalety, jeśli wilki wpadną do

środka. Ani dziś, ani kiedykolwiek. Miałem wrażenie, że na zewnątrz zebrało się już kilkadziesiąt bestii i bombardują ściany domu swoimi ciałami, podczas gdy Claudia postanowiła pochwalić się swoim domostwem.

– UWAŻAJ TERAZ NA TO! – powiedziała. Nasadą dłoni odsunęła panel obok muszli. W skrytce za panelem stał akumulator samochodowy z napisem ACDelco z boku. Na elektrodach tkwiły klamry kabli rozruchowych podłączonych z drugiej strony do jakiegoś przetwornika. Natomiast kabel wychodzący z przetwornika podłączony był do czegoś, co wyglądało jak zwykły przełącznik światła. Claudia uśmiechała się szeroko.

– ADRIAN TO PRZYNIÓSŁ A PIEPRZONE WILKI TEGO NIENAWIDZĄ!

Tchórz przynosi prezenty, pomyślałem.

Nacisnęła przełącznik. Wycie wilków zostało zagłuszone przez potężną falę dźwięku, jakby włączyło się kilka alarmów samochodowych i ich wycie pięćdziesięciokrotnie lub stukrotnie wzmocniono. Zakryłem uszy dłońmi, przerażony, że jeśli tego nie zrobię, będę równie głuchy jak Claudia. Po dziesięciu, może piętnastu bardzo długich sekundach ponownie sięgnęła do przełącznika. Ostrożnie odsunąłem dłonie od uszu. W dużym pokoju Radar ujadała jak szalona, ale wilki ucichły.

– SZEŚĆ GŁOŚNIKÓW! TE SKURWIELE UCIEKAJĄ TERAZ DO LASU JAKBY IM SIĘ PALIŁO POD TYŁKAMI! JAK CI SIĘ TO PODOBA SHARLIE?! WYSTARCZAJĄCO GŁOŚNO DLA CIEBIE?!

Skinąłem głową i poklepałem się po uszach. Nikt nie mógłby dłużej znieść tej dźwiękowej nawałnicy.

– SZKODA ŻE NIE MOGĘ TEGO USŁYSZEĆ! – powiedziała Claudia. – ALE CZUJĘ TO W ZĘBACH! HA!

Nadal trzymałem w rękach bloczek i ołówek. Napisałem coś i pokazałem Claudii: *A co się stanie, kiedy akumulator się zużyje?*

Zastanawiała się nad tym przez chwilę i w końcu poklepała mnie po policzku.

– JA DAJĘ CI NOCLEG I WYŻYWIENIE A TY PRZYNOSISZ MI NOWY! UCZCIWA WYMIANA MŁODY KSIĄŻĘ?! MOIM ZDANIEM TAK!

# 8

Spałem przy piecu, jak u Dory. Tym razem nie wpatrywałem się w ciemność i nie rozmyślałem nad swoim położeniem; Claudia dała mi kilka ręczników zamiast poduszki i zasnąłem, gdy tylko położyłem na nich głowę. Dwie sekundy później – bo takie właśnie miałem wrażenie – budziła mnie, potrząsając moim ramieniem. Była w długim płaszczu z wyszywanymi motylami, zapewne kolejnym dziełem Dory.

– Co? – burknąłem. – Daj mi spać.

– NIE NIE NIE! – Była głucha, ale doskonale wiedziała, co powiedziałem. – WSTAWAJ SHARLIE! WCIĄŻ DALEKA DROGA PRZED TOBĄ! CZAS BRAĆ SIĘ DO PRACY! POZA TYM JEST COŚ CO CHCIAŁAM CI POKAZAĆ!

Próbowałem ponownie ułożyć się do snu, lecz podciągnęła mnie do pozycji siedzącej.

– TWÓJ PIES CZEKA! JA WSTAŁAM JUŻ GODZINĘ TEMU ALBO I WCZEŚNIEJ! PIES TEŻ! DOSTAŁA NASTĘPNĄ PORCJĘ MAŚCI

I CZUJE SIĘ DOSKONALE! SAM ZOBACZ!

Radar stała obok niej i machała ogonem. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, trąciła mnie nosem w szyję, a potem polizała po policzku. Wstałem. Bolały mnie nogi i ręce, a ramiona jeszcze bardziej. Pokręciłem nimi i przesunąłem kilkakrotnie do przodu i w górę, jak podczas rozgrzewki na treningach przed sezonem.

– IDŹ TERAZ I ZAŁATW CO TRZEBA! POTEM PRZYGOTUJĘ CI COŚ CIEPŁEGO!

Przeszedłem do małej łazienki, gdzie zostawiła mi miskę z ciepłą wodą i kawałek twardego żółtego mydła. Wysikałem się, umyłem twarz i ręce. Na ścianie wisiało małe kwadratowe lusterko, nie większe od samochodowego wstecznego. Było podrapane i zaśniedziałe, ale kiedy się do niego pochyliłem, mogłem dojrzeć swoją twarz. Wyprostowałem się i odwróciłem do wyjścia, a potem przyjrzałem się sobie ponownie, uważniej. Wydawało mi się, że moje brązowe włosy nieco pojaśniały. Zawsze przybierały jaśniejszy odcień latem, po wielu dniach na słońcu, tylko że tu słońce przesłaniały gęste chmury. Jedynie w nocy rozstępowały się na jakiś czas, by przepuścić trochę księżycowego blasku.

Uznałem, że to jedynie kwestia słabego światła lampy olejowej i starego lustra. Kiedy wróciłem do głównego pomieszczenia, Claudia wręczyła mi grubą pajdę chleba owiniętą wokół podwójnej porcji jajecznicy. Pożarłem ją z wilczym apetytem (nie jestem pewien, czy to gra słów, czy nie).

Claudia podała mi plecak.

– WŁOŻYŁAM DO ŚRODKA WODĘ I ZIMNĄ HERBATĘ! PAPIER I OŁÓWEK TEŻ! NA WSZELKI WYPADEK! TEN WÓZEK KTÓRY PRZYCIĄGNĄŁEŚ ZOSTAJE TUTAJ!

Pokręciłem głową i pokazałem, jak podnoszę uchwyty wózka.

– NIE NIE NIE! Z TYM KONIEC DOPÓKI NIE WRÓCISZ Z MOIM TRÓJKOŁOWCEM!

– Nie mogę zabrać twojego roweru!

Odwróciła się i nie widziała moich protestów.

– CHODŹ SHARLIE! WKRÓTCE NADEJDZIE ŚWIT! NIE CHCĘ ŻEBYŚ TO PRZEGAPIŁ!

Przeszedłem za nią do drzwi. Miałem nadzieję, że gdy je otworzy, nie rzuci się na nas wataha wygłodniałych wilków. Nie było żadnego, a nad miejscem, które chłopiec nazwał nawiedzonym miastem, chmury rozstąpiły się nieco, odsłaniając fragment rozgwieżdżonego nieba. Przy Drodze Królestwa stał trójkołowiec Claudii. Duży kosz z tyłu został wyłożony czymś miękkim i białym, co przypominało runo, zrozumiałem więc, że właśnie tam ma jechać Radar. Ale rower krył w sobie jeszcze jedną – nawet lepszą – niespodziankę.

Claudia pochyliła się i przysunęła lampę do wielkiego przedniego koła.

– ADE PRZYWIÓZŁ TEŻ TE OPONY! GUMA! WCZEŚNIEJ O TYM SŁYSZAŁAM ALE NIGDY NIE WIDZIAŁAM! MAGIA Z WASZEGO ŚWIATA SHARLIE I TO CICHA MAGIA!

To mnie przekonało. Nie musiałem się już martwić stukotem twardych kół o bruk.

Wskazałem na trójkołowiec, a potem wskazałem na siebie. Poklepałem się po piersi nad sercem.

– Przywiozę go z powrotem, Claudio. Obiecuję.

– ODDASZ MI GO MŁODY KSIĄŻĘ SHARLIE! NIE WĄTPIĘ W TO!

Poklepała mnie po plecach, po czym bez skrępowania klepnęła mnie w tyłek, co przypomniało mi sytuacje, gdy trener Harkness wysyłał mnie, żebym zagrał w obronie albo zastąpił pałkarza.

– A TERAZ PATRZ NA JASNE NIEBO!

Zrobiłem to. Gdy gwiazdy zaczęły już przygasać, niebo nad Lilimar przybrało piękny brzoskwiniowy odcień. Być może ziemskie niebo ma taką barwę o świcie w tropikach, ja jednak nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Radar siedziała między nami z podniesionym łbem i węszyła. Nie licząc mazi, która wypływała jej z oczu, i ogólnego wychudzenia, wyglądała na całkiem zdrową.

– Czego szukamy? – spytałem.

Claudia nie odpowiedziała, bo nie widziała, że coś mówię. Patrzyła prosto w stronę miasta, gdzie wznosiły się wieże i trzy wysokie iglice, czarne na tle jaśniejącego nieba. Nie podobały mi się te szklane iglice, nawet z tej odległości. Ze względu na swój kształt i ustawienie wyglądały niemal jak trzy twarze, które na nas patrzyły. Tłumaczyłem sobie, że to złudzenie, ten sam mechanizm, który w moim umyśle upodabnia dziuplę starego drzewa do otwartych ust czy pierzastą chmurę do smoka. Tłumaczenia niewiele jednak pomagały. A właściwie wcale. Przyszła mi do głowy myśl – oczywiście absurdalna – że to samo miasto jest Gogmagogiem: czujące, obserwujące, złe. Ze strachem myślałem o tym, że mam podejść pod same jego mury; przerażeniem napełniała mnie myśl, że mam użyć imienia Lei, by przejść przez jego bramę.

Pan Bowditch to zrobił i wrócił, upomniałem się. Ty też możesz.

Wcale nie byłem tego taki pewien.

Potem dzwon wybił jedną donośną żelazną nutę: BIM.

Radar stanęła na czterech łapach i zrobiła krok w stronę tego dźwięku.

– PIERWSZY DZWON SHARLIE?!

Podniosłem jeden palec i skinąłem głową.

Gdy bicie dzwonu jeszcze wybrzmiewało w powietrzu, zaczęło się dziać coś zdecydowanie bardziej zdumiewającego niż olbrzymie karaluchy

czy wielki czerwony świerszcz; niebo nad stłoczonymi ciasno przed miastem chatami i szopami zaczęło ciemnieć, jakby ktoś zaciągał nad nim roletę, tyle że nie od góry, lecz od dołu. Chwyciłem Claudię za rękę; przez chwilę obawiałem się, że oglądam właśnie jakieś dziwne zaćmienie nie Słońca czy Księżyca, tylko samej Ziemi. Potem, gdy dźwięk dzwonu całkiem ucichł, ciemność rozpękła się na dziesięć tysięcy szczelin światła, które pulsowały i zmieniały kształty. Dojrzałem barwy: czerń i złoto, biel i pomarańcz, i głęboki fiolet.

Były to wielkie motyle zwane monarchami, każdy wielkości wróbla, ale tak delikatne i efemeryczne, że blask poranka nie tylko świecił wokół nich, lecz także przez nie przeświecał.

– CHWAŁA EMPIS! – krzyknęła Claudia i podniosła obie ręce ku fali życia, która wzbierała na niebie. Fala zakryła panoramę miasta, zakryła twarze, które tam widziałem. – CHWAŁA GALLIENOM! OBY RZĄDZILI ZNÓW I NA ZAWSZE!

Choć wrzeszczała naprawdę głośno, ledwie ją słyszałem. Byłem jak sparaliżowany. Nigdy dotąd nie widziałem czegoś tak niesamowicie surrealnego i równie pięknego. Motyle zakryły niebo, gdy przelatywały nad nami, podróżując Bóg wie dokąd, a gdy poczułem na twarzy podmuch powietrza wzniecany ich skrzydłami, zaakceptowałem w końcu – całkowicie i bez zastrzeżeń – realność tego innego świata. Empis. To ja przyszedłem ze zmyślonego świata.

To była rzeczywistość.

# ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

## Pożegnanie z Claudią. Wspomnienie Jenny. Noc w baraku. Brama. Nawiedzone miasto.

### 1

Radar z ochotą usadowiła się w wyłożonym wełną koszu, choć dopadł ją atak kaszlu, który bardzo mi się nie podobał. Czekaliśmy, aż ustanie. Claudia rąbkiem spódnicy otarła Radar oczy i pysk, a potem spojrzała na mnie z powagą.

– NIE TRAĆ ANI CHWILI JEŚLI CHCESZ JĄ URATOWAĆ SHARLIE!

Skinąłem głową. Przyciągnęła mnie do siebie, uściskała, a potem przytrzymała moje ramiona.

– UWAŻAJ NA SIEBIE! BYŁOBY MI SMUTNO GDYBYŚ WRÓCIŁ BEZ NIEJ ALE JESZCZE SMUTNIEJ GDYBYŚ NIE WRÓCIŁ W OGÓLE! MASZ INSTRUKCJE KTÓRE CI DAŁAM?!

Pokazałem jej dwa podniesione kciuki i poklepałem się po tylnej kieszeni.

– NIE UŻYWAJ BRONI W MIEŚCIE ANI NAWET W POBLIŻU MURÓW!

Skinąłem głową i przyłożyłem palec do ust: Pssst…

Sięgnęła w górę, zmierzwiła mi włosy i uśmiechnęła się.

– BYWAJ ZDRÓW MŁODY KSIĄŻĘ SHARLIE!

Wspiąłem się na trójkołowiec i zająłem miejsce na siodełku. W porównaniu z moim rowerem czułem się na tym jak na szczycie wieży. Musiałem się trochę wysilić i nacisnąć mocniej pedały, by ruszyć z miejsca, ale kiedy już trójkołowiec się rozpędził, szło mi znacznie łatwiej. Obejrzałem się raz i pomachałem. Claudia odmachała. I przesłała mi całusa.

Zatrzymałem się na moment, gdy dotarłem do porzuconego trolejbusu. Jedno koło oderwało się od osi i przechyliło na bok. Na drewnianej burcie widniały stare ślady pazurów i równie stara plama zakrzepłej krwi. Wilki, pomyślałem.

Nie zaglądałem do środka.

## 2

Teren był równy, więc przemieszczałem się w całkiem niezłym tempie. Uznałem, że dojadę do baraku, o którym mówiła Claudia, na długo przed zmierzchem. Chmury znów zakrywały całe niebo, dokoła rozciągało się ponure szare pustkowie. Motyle odleciały tam, dokąd wybierały się codziennie rano. Zastanawiałem się, czy zobaczę, jak wracają do swoich siedlisk przy mieście. Być może wilki nawet po zmroku trzymały się z dala

od domów i budynków przy murach miasta, ale wolałem nie ryzykować życia swojego i Radar, by się o tym przekonać.

Jeszcze przed południem minąłem pierwsze domy i chaty. Nieco dalej, gdzie z Drogą Królestwa krzyżował się pierwszy boczny trakt, bita nawierzchnia ustępowała brukowi z tłuczonego kamienia. W sumie wolałbym ubitą ziemię, bo była w większości gładka. W bruku ziały dziury, które musiałem omijać. Wysoki trójkołowiec był stabilny dopóty, dopóki jechał prosto, ale jazda slalomem wymagała już większej uwagi i umiejętności. Przy kilku manewrach czułem, jak jedno z tylnych kół odrywa się od ziemi. Mogłem to zniwelować, balansując ciałem, jak robiłem to na swoim rowerze, byłem jednak pewien, że nawet umiarkowanie ostry zakręt przewróci pojazd na bok, bez względu na to, jak mocno będę się wychylał. Ja mógłbym to znieść bez problemu, lecz nie wiedziałem, co stałoby się z Radar.

Domy były puste. Okna wpatrywały się ślepo w drogę. Wrony – nie gigantyczne, ale naprawdę spore – przechadzały się po zarośniętych przydomowych ogródkach, wydziobując ziarna czy odpadki pozostałe po właścicielach. Rosły tu też kwiaty, ale wydawały się blade i w jakimś sensie niewłaściwe. Pnącza niczym wielkie upiorne palce obejmowały ściany niszczejących chat. Minąłem dziwnie przekrzywiony budynek o murach z kruszejących kamiennych bloków, które wyzierały spod resztek tynku. Drzwi wahadłowe stały otworem, upodabniając wejście do martwych ust. Nad drzwiami widniał rysunek kufla, tak wyblakły, że wymalowane w nim piwo wyglądało jak siki. Nad kuflem ciągnął się napis sporządzony wielkimi bordowymi literami: UWAGA. Tuż obok znajdowało się coś, co niegdyś było zapewne sklepem. Przed budynkiem leżało potłuczone szkło. Pamiętając o gumowych oponach trójkołowca, objechałem drobiny szkła szerokim łukiem.

Nieco dalej – budynki ciągnęły się tu po obu stronach drogi, jeden przy drugim, rozdzielone jedynie ciemnymi wąskimi przejściami – przejechaliśmy przez pas smrodu tak odrażającego i intensywnego, że musiałem wstrzymać oddech, by nie zwymiotować. Radar też się to nie podobało. Skomlała cicho i wierciła się, kołysząc trójkołowcem. Wcześniej planowałem krótki postój na drugie śniadanie, ale ten fetor skutecznie odebrał mi apetyt. To nie było rozkładające się truchło, lecz coś, co zepsuło się całkiem w pewnie jeszcze gorszy sposób.

*Zielsko cuchnące i dzikie*, pomyślałem i ten wers przywołał wspomnienia o Jenny Schuster. Siedzieliśmy razem pod drzewem, oparci o pień w cętkowanym cieniu, ona w starej wystrzępionej kamizelce, która była jej znakiem rozpoznawczym, z otwartą książką na kolanach. Były to *Dzieła wybrane* H.P. Lovecrafta i Jenny czytała mi wiersz *Grzyby z Yuggoth*. Pamiętałem dobrze jego początek: *Pomieszczenie było ciemne, zakurzone, zapomniane… W plątaninie starych alejek i w pobliżu nabrzeży**. Nagle powód, dla którego to miejsce tak mnie przerażało, stał się oczywisty. Od Lilimar – miejsca nazwanego przez chłopca nawiedzonym miastem – dzieliło mnie jeszcze wiele kilometrów, lecz już tutaj działo się zło, którego prawdopodobnie nie umiałbym świadomie zrozumieć, gdyby Jenny nie zapoznała mnie z Lovecraftem, kiedy oboje chodziliśmy jeszcze do szóstej klasy i byliśmy zbyt młodzi i wrażliwi na takie koszmary.

Jenny i ja przyjaźniliśmy się w ostatnim roku picia i pierwszym roku trzeźwości mojego ojca; zbliżyły nas książki. Była moją przyjaciółką, a nie dziewczyną, bo to dwie całkiem różne rzeczy.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego chcesz się z nią zadawać – powiedział kiedyś Bertie. Był chyba zazdrosny, ale i szczerze zadziwiony. – Czy wy się… no wiesz… przytulacie? Całujecie? Liżecie?

Nie robiliśmy tego i mu to powiedziałem. Wyznałem też, że Jenny nie interesuje mnie w tym sensie. Bertie uśmiechnął się drwiąco.

– A jest jakiś inny sens?

Mógłbym mu powiedzieć, ale wtedy jeszcze bardziej namieszałbym mu w głowie.

Owszem, Jenny nie miała tego, co Bertie Bird nazwałby „ciałem, które chce się poznawać”. W wieku jedenastu czy dwunastu lat większość dziewczyn zaczyna się zaokrąglać, a ona była płaska jak deska zarówno z przodu, jak i z tyłu. Miała kościstą twarz i wiecznie splątane jasnobrązowe włosy, do tego chodziła jak bocian. Inne dziewczyny oczywiście się z niej naśmiewały. Wiedziała, że nigdy nie będzie cheerleaderką, królową balu czy gwiazdą w szkolnym przedstawieniu, a jeśli pragnęła takich rzeczy – albo aprobaty ze strony dziewczyn, które uwielbiały się stroić i malowały oczy – to nigdy tego nie okazywała. Nie wiem, czy kiedykolwiek i w jakimkolwiek stopniu odczuwała presję rówieśniczek. Nie nosiła czarnych gotyckich ubrań – zwykle miała na sobie prosty sweter i kamizelkę, a lunch trzymała w pudełku z Hanem Solo – ale miała gotycką mentalność. Uwielbiała punkowy zespół Dead Kennedys, cytowała z pamięci teksty z *Taksówkarza* i uwielbiała opowiadania i wiersze H.P. Lovecrafta.

Nasza trójka – Jenny, ja i HPL – zbliżyła się do siebie pod koniec mojego ciemnego okresu, gdy ciągle robiłem różne głupoty z Bertiem Birdem. Pewnego razu na angielskim w szóstej klasie rozmawialiśmy o książkach R.L. Stine’a. Przeczytałem jedną z jego powieści, *Czy umiesz dochować tajemnicy?* – taki był jej tytuł – i uważałem, że jest megagłupia. Powiedziałem to i dodałem, że chciałbym przeczytać coś, co naprawdę jest straszne, a nie tylko straszne udaje.

Jenny podeszła do mnie po lekcji.

– Hej, Reade. Boisz się trudnych słów?

Odpowiedziałem, że nie. Wyjaśniłem, że jeśli nie rozumiem jakiegoś nowego słowa z kontekstu, sprawdzam je w telefonie. To jej się chyba spodobało.

– Przeczytaj to – powiedziała i wręczyła mi sfatygowaną książkę w miękkiej oprawie, sklejoną bezbarwną taśmą. – Zobacz, czy to jest twoim zdaniem straszne. Bo ja się cholernie bałam.

Książka nosiła tytuł *Zew Cthulhu*, a opisane w niej historie napędziły mi niezłego stracha, zwłaszcza jedna, *Szczury w murach*. Było w nich mnóstwo trudnych słów, które musiałem sprawdzać, takich jak *minorowy* czy *złowonny* (to drugie doskonale opisywało zapach tego, co poczułem w pobliżu tamtego baru). Mnie i Jenny połączyła literatura grozy, pewnie dlatego, że byliśmy jeszcze dzieciakami gotowymi przedzierać się – i to z ochotą – przez gąszcz prozy Lovecrafta. Przez ponad rok, do czasu aż rodzice Jenny się rozwiedli i wyjechała z matką do Des Moines, czytaliśmy sobie na głos wiersze i opowiadania. Obejrzeliśmy też parę filmów na podstawie opowiadań, ale były do niczego. Żaden nie pokazywał, jak wielką wyobraźnię miał ten facet. I jak cholernie mroczną.

Jadąc w stronę murów Lilimar, uświadomiłem sobie, że ten opustoszały zewnętrzny krąg wokół miasta aż za bardzo przypomina mroczne opowieści Lovecrafta o Arkham i Dunwich. Dopiero wracając myślami do tych historii oraz innych fantastycznych opowieści grozy (potem przeszliśmy do Clarka Ashtona Smitha, Henry’ego Kuttnera i Augusta Derletha), byłem w stanie zrozumieć, co jest takie przerażające i dziwnie zniechęcające w tych pustych ulicach i domach. Sięgając po jedno z ulubionych określeń Lovecrafta, można by to wszystko opisać jako *przedwieczną grozę*.

Przejechaliśmy po kamiennym moście nad wyschniętym kanałem. Wielkie szczury grasowały w śmieciach tak starych, że nie dało się nawet

określić, czym były, zanim stały się śmieciami. Wyłożone kamieniem ukośne ściany kanału upstrzone były czarnobrązowymi smugami odchodów – Lovecraft zapewne nazwałby je *pomiotem*. A smród unoszący się nad spękanym czarnym błotem? Pewnie określiłby go jako *jadowity*.

Wszystkie te słowa wracały do mnie po latach. To miejsce je do mnie sprowadziło.

Po drugiej stronie kanału budynki stały jeszcze bliżej siebie, rozdzielone już nawet nie przejściami czy alejkami, lecz szparami, przez które człowiek musiałby przeciskać się bokiem. I kto wie, co mogło się tam czaić i czyhać na nierozważnego wędrowca? Puste gmachy jakby zwieszały się nad ulicą; wyciągały się w stronę trójkołowca, pozostawiając nad moją głową tylko zygzakowatą wąską wstęgę białego nieba. Czułem się nie tylko tak, jakby obserwowano mnie z tych pozbawionych szyb czarnych okien, ale też tak, jakby to właśnie one na mnie patrzyły, co było jeszcze gorsze. Stało się tutaj coś strasznego, byłem tego pewien. Coś potwornego i tak, *przedwiecznego*. Być może źródło szarości znajdowało się dalej, w samym mieście, ale było bardzo silne i tutaj, pośród tych opustoszałych budynków.

Poza tym, że czułem się obserwowany, miałem też nieodparte wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Kilka razy odwróciłem się, próbując dojrzeć coś lub kogoś (jakiegoś strasznego wroga) podążającego ukradkiem naszym śladem. Nie widziałem niczego prócz wron i pojedynczych szczurów, zmierzających pewnie do swojego gniazda czy kolonii w tym błotnistym kanale.

Radar też to czuła. Parę razy warknęła, a raz, gdy się obejrzałem, stała z łapami wspartymi na tylnej ściance kosza i patrzyła w stronę, z której przyjechaliśmy.

Nie ma się czego obawiać, powtarzałem sobie w myślach. Te wąskie ulice i walące się domy są puste. Masz tylko jakieś zwidy. Radar też.

Dotarliśmy do kolejnego mostu nad kolejnym pustym kanałem i na jednym z przęseł dostrzegłem coś, co podniosło mnie na duchu – inicjały AB, nie do końca jeszcze zarośnięte żółtawozielonym mchem. Przez ostatnie parę godzin ciasna zabudowa przedmieść przesłaniała mury miasta, ale teraz widziałem je całkiem wyraźnie, gładkie i szare, mające co najmniej dwanaście metrów wysokości. Pośrodku znajdowała się gigantyczna brama, wzmocniona krzyżującymi się belkami z czegoś, co wyglądało jak matowe zielone szkło. Brama i mury były teraz doskonale widoczne, bo większość budynków pomiędzy nimi a mostem została obrócona w gruz, co przypominało do złudzenia skutki zmasowanego bombardowania. Albo jakiegoś kataklizmu. Kilka osmolonych kominów sterczało nad rumowiskiem niczym wyprostowane palce, ocalało też parę budynków. Jeden wyglądał jak kościół. Innym był długi drewniany barak o ścianach z desek i blaszanym dachu. Przed barakiem stał czerwony wóz bez kół, obrośnięty bladym zielskiem.

Niecałe dwie godziny wcześniej słyszałem dwa dzwony wybijające południe (pora żarcia dla Hany, pomyślałem), co oznaczało, że pokonałem zaplanowaną na dziś trasę znacznie szybciej, niż zakładała Claudia. Do zmierzchu zostało jeszcze sporo czasu, nie miałem jednak zamiaru zbliżać się dziś do bramy. Musiałem odpocząć i poukładać sobie wszystko w głowie… Jeśli to w ogóle było możliwe.

– Chyba jesteśmy na miejscu – zwróciłem się do Radar. – Nie jest to Holiday Inn, ale wystarczy.

Przejechałem obok porzuconego wozu prosto do baraku. Wejścia strzegły duże przesuwane w górę wrota, niegdyś pokryte jaskrawoczerwoną farbą, która na przestrzeni lat wyblakła i przybrała bladoróżowy odcień. Znajdowały się w nich mniejsze, zwykłe drzwi, na których wyryto w drewnie inicjały AB. Sam ich widok podniósł mnie na duchu, podobnie

jak chwilę wcześniej widok inicjałów na moście, ale było też coś innego, co jeszcze bardziej poprawiło mi nastrój: nie dręczyło mnie już przygnębiające wrażenie, że zewsząd skrada się ku mnie zło. Może dlatego, że znalazłem się w końcu na otwartej przestrzeni i znów widziałem niebo. Przypuszczałem jednak, że chodzi o coś jeszcze. Poczucie bliskości tego, co Lovecraft nazywał *przedwiecznym złem*, zniknęło. Później, wkrótce po trzech dzwonach, zrozumiałem dlaczego.

## 3

Drzwi nie chciały się otworzyć, dopóki nie naparłem na nie z całych sił, a wtedy otworzyły się tak gwałtownie, że omal nie wpadłem do środka. Barak wypełniony był półmrokiem i wonią stęchlizny, lecz nie był to zapach *jadowity* ani *złowonny*. W półmroku kryły się dwa trolejbusy pomalowane na czerwono i niebiesko. Bez wątpienia stały tu od wielu lat, ale nie były wystawione na deszcz czy słońce, więc wciąż lśniły świeżą farbą i wyglądały niemal radośnie. Z dachów wystawały pręty, zakładałem więc, że kiedyś nad ulicami musiały wisieć kable dostarczające prąd, tylko pewnie dawno już zniknęły. W każdym razie żadnych nie widziałem. Na przodzie jednego z trolejbusów zobaczyłem wypisane staromodną czcionką NADMORZE, na drugim LILIMAR. Obok leżały sterty kół z żelaznymi obręczami i grubymi drewnianymi szprychami, a także kilka skrzynek z zardzewiałymi narzędziami. Dojrzałem również kilka podłużnych lamp, przypominających kształtem torpedy; leżały na stole pod przeciwległą ścianą.

Radar zaszczekała. Wróciłem i wyjąłem ją z kosza. Zachwiała się, a potem pokuśtykała do drzwi. Obwąchała je i bez wahania weszła do środka.

Próbowałem przesunąć w górę duże wrota, które podnosiły się pewnie po to, żeby trolejbusy mogły wjechać i wyjechać, ale nawet nie drgnęły. Zostawiłem otwarte drzwi, by do środka wpadało trochę światła, i przyjrzałem się lampom. Wyglądało na to, że będzie to ciemna noc dla księcia Sharliego i jego wiernej towarzyszki Radar, bo olej w zbiornikach lamp już dawno się skończył. Trójkołowiec Claudii musiał spędzić noc na zewnątrz, ponieważ nie mieścił się w drzwiach.

Drewniane szprychy zapasowych kół były wyschnięte i kruche. Wiedziałem, że jeśli je połamię, będę miał wystarczająco dużo drewna na ognisko. Miałem ze sobą zapalniczkę Zippo, którą tata odpalał fajkę, lecz nie zamierzałem rozpalać ognia wewnątrz baraku. Zbyt łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak iskry lądują na starych trolejbusach i zamieniają je w ogromne pochodnie. Wtedy musielibyśmy szukać schronienia w budynku podobnym do kościoła, a ten nie wyglądał zbyt solidnie.

Wyjąłem dwie puszki sardynek i trochę mięsa, które dała mi Dora. Zjadłem i napiłem się coli. Radar nie chciała mięsa, wzięła do pyska sardynkę, lecz upuściła ją na brudną podłogę. Wcześniej smakowały jej ciastka z melasą od Dory, więc spróbowałem i tego. Powąchała i odwróciła łeb. Nie skusiła się też na suszoną wołowinę Perky Jerky.

Pogłaskałem ją po pysku.

– Co ja mam z tobą zrobić, dziewczyno?

Naprawić ją, pomyślałem. Jeśli zdołam.

Ruszyłem do drzwi, żeby popatrzeć jeszcze na mury otaczające miasto, i wpadłem na pewien pomysł. Wróciłem do plecaka, pogrzebałem w nim i znalazłem kilka ostatnich ciasteczek z orzechami, w woreczku pod moim

bezużytecznym iPhone’em. Podałem jej jedno. Powąchała je ostrożnie, ale w końcu wzięła do pyska i zjadła. A potem jeszcze trzy, nim znowu odwróciła łeb.

Lepsze to niż nic.

# 4

Przez otwarte drzwi obserwowałem, jak zmienia się światło, i co jakiś czas wychodziłem na zewnątrz, by się rozejrzeć. Wszędzie panowały cisza i spokój. Nawet wrony i szczury unikały tej części miasta. Rzuciłem Radar jej małpkę. Złapała ją i kilkakrotnie symbolicznie przygryzła, ale nie próbowała jej do mnie przynosić. Ułożyła zabawkę między łapami i zasnęła, dotykając jej nosem. Maść Claudii niewątpliwie jej pomogła, lecz przestała już działać, a Radar nie chciała przełknąć ostatnich trzech tabletek, które dała mi asystentka weterynarza. Pomyślałem, że zużyła naprawdę ostatnie zapasy radosnej energii, gdy zbiegała po schodach studni i pędziła na powitanie Dory. Pomyślałem też, że jeśli wkrótce nie położę jej na zegarze słonecznym, lada dzień zaśnie na zawsze.

Dla zabicia czasu chętnie pograłbym na telefonie, ale nie działał; był tylko kawałkiem czarnego szkła. Próbowałem go włączyć, lecz bezskutecznie. W świecie, z którego pochodziłem, nie było bajkowej magii, a techniczna magia mojego świata tutaj nie działała. Odłożyłem telefon do plecaka i obserwowałem przez otwarte drzwi, jak przefiltrowane przez chmury białe światło zaczyna słabnąć. Rozbrzmiały trzy dzwony i omal nie zamknąłem wtedy drzwi; dopóki jednak naprawdę nie musiałem, nie

chciałem zostać w ciemnościach, które mogłem rozpraszać tylko zapalniczką taty. Spoglądałem na kościół (jeśli rzeczywiście była to jakaś świątynia) po drugiej stronie drogi i myślałem, że kiedy już nie będę go mógł dojrzeć, zamknę drzwi. Brak ptaków i szczurów niekoniecznie oznaczał, że nie pojawią się tu wilki czy inne drapieżniki. Claudia kazała mi się zaryglować i zamierzałem jej posłuchać.

Kiedy kościół był już tylko niewyraźnym kształtem w ciemniejącym świecie, uznałem, że czas zamknąć drzwi. Radar podniosła łeb, nadstawiła uszu i wydała z siebie niskie szczeknięcie. Myślałem, że zareagowała tak, bo wstałem, ale się myliłem. Choć bardzo stara, wciąż słyszała lepiej ode mnie. Ja usłyszałem to kilka sekund później: niski trzepotliwy dźwięk, jak papier uwięziony w wentylatorze. Zbliżał się szybko, przybierał na sile, aż zaczął przypominać szum potężnego wiatru. Wiedziałem, co to jest, i przystanąłem w drzwiach, opierając jedną rękę na siedzeniu trójkołowca. Radar dołączyła do mnie i oboje patrzyliśmy na niebo.

Motyle nadleciały z kierunku, który arbitralnie uznałem za południe – stamtąd, skąd tu przybyłem. Zasłoniły ciemniejące niebo, tworząc chmurę pod chmurami. Usiadły na kościele po drugiej stronie drogi, na kilku ocalałych kominach, stertach gruzu i dachu baraku, w którym Radar i ja znaleźliśmy schronienie. Dźwięk towarzyszący przysiadaniu motyli na dachu – musiały ich być tysiące – przypominał nie tyle trzepot, ile przeciągłe westchnienie.

Teraz już rozumiałem, dlaczego ta część zbombardowanego pustkowia wydała mi się raczej bezpieczna niż spustoszona. Była bezpieczna. Motyle wciąż utrzymywały tę jedną placówkę w świecie, który kiedyś był lepszy, w świecie, który istniał, zanim wszyscy członkowie rodziny królewskiej zostali zamordowani lub zmuszeni do ucieczki.

W moim świecie, jak uważałem – i nie byłem w tym poglądzie odosobniony – cała ta królewska zabawa była w dużej mierze jedną wielką bzdurą, pożywką dla supermarketowych tabloidów pokroju „The National Enquirer” czy „Inside View”. Królowie i królowe, książęta i księżniczki byli tylko jedną z wielu rodzin, ale taką, której udało się skreślić właściwe numery w genetycznej wersji loterii Mega Millions. Zdejmowali portki, kiedy musieli się wysrać, tak samo jak prości wyrobnicy.

Ale to nie był ten świat. To było Empis, gdzie panowały inne reguły.

To naprawdę był Ten Inny świat.

Chmura monarchów opadła już na ziemię, zostawiając tylko gęstniejącą ciemność. Ucichło westchnienie ich skrzydeł. Zamierzałem zaryglować drzwi, bo Claudia kazała mi to zrobić, ale czułem się bezpieczny. Chroniony.

– Chwała Empis – powiedziałem cicho. – Chwała Gallienom. Oby rządzili znów i na zawsze.

Bo i czemu nie? Czemu, kurwa, nie? Wszystko byłoby lepsze od tej martwoty.

Zamknąłem drzwi i zasunąłem rygiel.

## 5

Jedyne, co mogłem robić w ciemnościach, to spać. Ułożyłem plecak między dwoma trolejbusami, obok zwiniętej w kłębek Radar, przyłożyłem do niego głowę i niemal natychmiast zasnąłem. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślałem, że bez budzika mogę zaspać i wyruszyć w drogę za późno, co

mogłoby się okazać tragiczne w skutkach. Niepotrzebnie się martwiłem: budziła mnie Radar, raz po raz kaszląc. Podałem jej wodę i kaszel trochę złagodniał.

Nie miałem budzika, ale miałem pęcherz, który był już prawie pełny, choć jeszcze nie pękał. Pomyślałem, że mógłbym się wysikać w rogu baraku, potem jednak uznałem, że nie wypada tak traktować bezpiecznego schronienia. Odsunąłem rygiel, uchyliłem lekko drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Zza grubej warstwy chmur nie wyzierał ani skrawek księżyca czy rozgwieżdżonego nieba. Kościół po drugiej stronie drogi wydawał się dziwnie rozmazany. Przetarłem oczy, lecz to niczego nie zmieniło. Uświadomiłem sobie, że przyczyną nie jest mój wzrok, tylko motyle pogrążone wciąż w głębokim śnie. Wydawało mi się, że w naszym świecie te owady nie żyją długo, zaledwie kilka tygodni lub miesięcy. Kto wie, jak długo żyły tutaj?

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Spojrzałem w tamtą stronę, ale albo był to tylko wytwór mojej wyobraźni, albo nocny gość zniknął. Wysikałem się (przez cały czas oglądając się przez ramię) i wróciłem do środka. Zamknąłem drzwi na rygiel i przeszedłem do Radar. Nie musiałem używać zapalniczki taty, by ją odnaleźć; oddychała głośno i chrapliwie. Znów zasnąłem, na godzinę, może dwie. Śniło mi się, że leżę w swoim łóżku przy Jaworowej. Usiadłem prosto, spróbowałem ziewnąć i nie mogłem. Nie miałem ust.

To skutecznie wyrwało mnie ze snu i pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszałem, był kaszel psa. Radar miała jedno oko otwarte, ale drugie było całkiem zaklejone żółtą mazią, co nadawało jej smutny wygląd pirata. Przetarłem jej sklejone powieki i przeszedłem do drzwi. Motyle ciągle spały, ale na zachmurzonym niebie pojawiła się odrobina światła. Uznałem, że czas coś zjeść i ruszać w drogę.

Podsunąłem Radar pod nos otwartą puszkę sardynek, lecz od razu odwróciła łeb, jakby ten zapach przyprawiał ją o mdłości. Zostały jeszcze dwa ciasteczka orzechowe. Zjadła jedno, spróbowała pogryźć drugie i wykaszlała je. Spojrzała na mnie.

Ująłem jej pysk w dłonie i poruszałem nim powoli z boku na bok, w jednej z jej ulubionych pieszczot. Chciało mi się płakać.

– Wytrzymaj, dziewczyno, dobrze? Proszę.

Wyniosłem ją na zewnątrz i postawiłem na ziemi. Przeszła na lewo od drzwi z czujną ostrożnością typową dla starych ludzi, znalazła miejsce, w którym wcześniej sikałem, i dołożyła swoją porcję. Pochyliłem się, by ją podnieść, ale okrążyła mnie i podeszła do prawego tylnego koła roweru Claudii – tego, które znajdowało się najbliżej drogi. Obwąchała je, a potem przykucnęła i znów się wysikała, wydając przy tym niskie przeciągłe warczenie.

Podszedłem do tylnego koła i pochyliłem się. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, byłem jednak pewien, że coś, co dojrzałem w nocy, zbliżyło się tutaj, gdy zniknąłem już za drzwiami. Nie tylko tu podeszło, ale też obsikało mój rower, jakby chciało powiedzieć: „To jest moje terytorium”. Miałem już ze sobą plecak, lecz uznałem, że przyda mi się coś jeszcze. Wróciłem do środka. Radar siedziała i obserwowała moje poczynania. Kręciłem się przez chwilę po baraku, aż znalazłem w rogu stertę rozpadających się koców, którymi zapewne dawno temu pasażerowie trolejbusów mogli się okrywać w chłodne dni. Gdybym nie zdecydował się w nocy wyjść na zewnątrz, mógłbym je przypadkiem obsikać w ciemności. Podniosłem jeden z nich i wytrzepałem. Na podłogę baraku powoli opadło kilka martwych moli, niczym wielkie płatki śniegu. Złożyłem koc w kostkę i zaniosłem go do trójkołowca.

– Dobra, Radar, bierzmy się do roboty. Co ty na to?

Przeniosłem ją do kosza i ułożyłem obok niej złożony koc. Claudia mówiła, bym ruszał w drogę dopiero po pierwszym biciu dzwonów, ale otoczony przez olbrzymie stado monarchów czułem się całkiem bezpiecznie. Wsiadłem na trójkołowiec i nacisnąłem na pedały, zmierzając powoli ku bramie. Jakieś pół godziny później rozległo się pierwsze bicie dzwonu. Tutaj, przy samych murach miasta, było bardzo głośne. Motyle wzbiły się w powietrze wielką chmurą czerni i złota, by pofrunąć na południe. Odprowadzałem je wzrokiem, żałując, że sam nie mogę udać się w tę stronę – najpierw do Dory, potem do tunelu i wreszcie do mojego świata komputerów i magicznych stalowych ptaków unoszących się w powietrzu. Ale jak mówi wiersz, miałem jeszcze wiele mil do pokonania i obietnice, których musiałem dotrzymać.

Przynajmniej nie muszę się obawiać nocnych żołnierzy, pomyślałem. Wrócili do swoich krypt i mauzoleów, bo tam właśnie śpią istoty takie jak oni. Oczywiście nie mogłem tego wiedzieć, byłem jednak pewny, że tak właśnie jest.

# 6

Dotarliśmy do bramy w niecałą godzinę. Zsiadłem z trójkołowca. Chmury tego dnia były wyjątkowo ciemne i niskie; przypuszczałem, że lada moment zacznie padać. Okazało się, że moje pierwotne szacunki, według których mury miały dwanaście metrów, były błędne. Mury miały co najmniej dwadzieścia metrów wysokości, a brama była gigantyczna. Pokryta złotem – byłem pewien, że to prawdziwe złoto, a nie farba – niemal

dorównywała długością boisku futbolowemu. Belki na jej powierzchni układały się w nieregularny wzór, ale nie dlatego, że obluzowały się ze starości czy zostały uszkodzone. Byłem pewien, że celowo przymocowano je w taki właśnie sposób, pod dziwnymi kątami. Znów przywiodły mi na myśl Lovecrafta i szalony nieeuklidesowy świat potworów, które próbowały zawładnąć naszym.

Nie tylko wzór wydawał mi się niepokojący. Belki były wykonane z jakiejś mętnej zielonej substancji, która wyglądała jak odmiana metalicznego szkła. Zdawało się, że w ich wnętrzu coś się porusza, jakby czarne opary. Robiło mi się od tego niedobrze. Odwróciłem wzrok, a kiedy ponownie spojrzałem na bramę, czarne opary zniknęły. Gdy zerknąłem na belki kątem oka, znów je tam dostrzegłem. Ogarnęła mnie fala zawrotów głowy.

Nie chcąc się pozbyć skromnego śniadania, które zjadłem o świcie, skierowałem wzrok w dół, na stopy. I wtedy zobaczyłem na jednym z kamieni – wymalowane farbą, która być może kiedyś była niebieska, ale wyblakła i zszarzała – inicjały AB. Zawroty głowy ustały i gdy spojrzałem przed siebie, zobaczyłem tylko bramę poprzecinaną zielonymi belkami. Ale co to była za brama! Jak wygenerowany komputerowo obraz z jakiegoś epickiego filmu. Tyle że to nie był filmowy efekt specjalny. Postukałem pięścią w jedną z mętnych zielonych belek, by się co do tego upewnić.

Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym spróbował otworzyć bramę, używając imienia Claudii albo Stephena Woodleigh. W ich żyłach płynęła przecież królewska krew, prawda? Owszem, ale jeśli dobrze to zrozumiałem (choć wcale nie byłem tego pewien, bo nigdy nie potrafiłem ogarnąć wszelkiego rodzaju zależności i koligacji rodzinnych), to tylko księżniczka Lea była prawowitą następczynią tronu Empis. A może to był tron Gallienów. Właściwie nie miało to większego znaczenia, liczyło się

tylko to, czy zdołam wejść do miasta. Gdyby imię Lei nie podziałało, zostałbym tutaj, za murami, i Radar by umarła.

Głupi Charlie przez chwilę naprawdę szukał domofonu lub innego podobnego urządzenia, które można znaleźć przy wejściu do większości budynków. Oczywiście nie było tu niczego podobnego, tylko te dziwaczne belki.

– Lea z Gallienu – mruknąłem.

Nic się nie stało.

Może za cicho, pomyślałem, lecz krzyczenie w ciszy zalegającej pod murami wydawało mi się czymś nieprzyzwoitym, niemal jak spluwanie na ołtarz. Zrób to jednak, nakazałem sobie. Za murami pewnie jest to bezpieczne. Zrób to dla Radar.

Nie mogłem się jednak zmusić do krzyku, odchrząknąłem więc i przemówiłem znacznie głośniej i dobitniej:

– Otwierać w imię Lei z Gallienu!

Odpowiedział mi nieludzki pisk. Przerażony, cofnąłem się o krok i omal nie wywróciłem na trójkołowcu. Znacie to określenie, że serce podchodzi komuś do gardła? Miałem wrażenie, że moje jest już w ustach, chce wyskoczyć, uciec i zostawić mnie martwego na ziemi. Pisk nie ustawał, a ja uświadomiłem sobie, że to dźwięk wydawany przez jakąś gigantyczną maszynę, której nikt nie używał od lat albo nawet dziesięcioleci. Być może od czasu, gdy pan Bowditch wypowiedział tutejszą wersję „Sezamie, otwórz się”.

Brama drżała. Widziałem czarne opary, które kłębiły się i skręcały w zielonkawych belkach. Tym razem nie miałem wątpliwości: wyglądało to jak osad w butelce, którą ktoś nagle wstrząsnął. Pisk maszynerii zamienił się w głuchy grzmot i brama zaczęła się przesuwać w lewo, prawdopodobnie po ukrytej olbrzymiej prowadnicy. Przez chwilę

patrzyłem, jak się przemieszcza, i wtedy wróciły zawroty głowy, gorsze niż wcześniej. Odwróciłem się, przeszedłem chwiejnym krokiem do trójkołowca i przyłożyłem głowę do siedzenia. Czułem bicie serca w piersiach, w szyi, nawet w skroniach i policzkach. Nie mogłem patrzeć na te nieregularne wzory, gdy brama się otwierała. Podejrzewałem, że gdybym to zrobił, straciłbym przytomność. Albo zobaczył coś tak przerażającego, że natychmiast rzuciłbym się do ucieczki, zostawiając tu mojego umierającego psa. Zamknąłem oczy, sięgnąłem do Radar i zacisnąłem dłoń na jej sierści.

Wytrzymaj, pomyślałem. Wytrzymaj, wytrzymaj, wytrzymaj…

# 7

W końcu głuche dudnienie ustało. Potem raz jeszcze rozległ się przeszywający pisk i pod mury powróciła cisza. Powróciła? Opadła jak kowadło. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Radar na mnie patrzy. Rozluźniłem pięść i zrozumiałem, że wyrwałem jej sporą kępkę sierści – ale nie protestowała. Być może dlatego, że musiała się zmagać z większym bólem, choć nie wydaje mi się. Chyba rozumiała, że jej potrzebuję.

– No dobra – rzuciłem. – Zobaczmy, co tu mamy.

Przede mną, za bramą, rozciągał się wykładany płytami ogromny dziedziniec. Po obu jego stronach ciągnął się szereg pozostałości po wielkich kamiennych motylach ustawionych na piedestałach mierzących jakieś siedem metrów wysokości. Ich odłamane skrzydła leżały teraz na ziemi, rozbite na kawałki. Tworzyły coś w rodzaju szerokiego przejścia.

Zastanawiałem się, czy kiedyś, w lepszych czasach, każdy z tych monarchów (bo oczywiście był to ten gatunek motyli) reprezentował króla lub królową z dynastii Gallienów.

Znów rozległ się przeszywający pisk i zrozumiałem, że za moment brama zacznie się zamykać. Być może imię Lei otworzyłoby ją ponownie, a być może nie. Nie miałem zamiaru tego sprawdzać. Wsiadłem na trójkołowiec i wjechałem do miasta, gdy brama zaczęła się przesuwać.

Opony kół toczyły się z sykiem po płytach, które niegdyś były kolorowe, ale dawno już wyblakły. Wszystko tu szarzeje, pomyślałem. Szarzeje albo przybiera tę mętną zielonkawą barwę. Motyle, niegdyś być może też kolorowe, a teraz szare jak wszystko inne, patrzyły na nas z góry, gdy jechaliśmy między nimi. Ich odwłoki były nietknięte, ale skrzydła i głowy zostały odrąbane. Przywodziło mi to na myśl filmy pokazujące, jak ISIS niszczy starożytne posągi, świątynie i dzieła sztuki, które uważa za bluźniercze.

Dotarliśmy do podwójnego łuku w kształcie motylich skrzydeł. Kiedyś widniał nad nimi jakiś napis, lecz i on został rozbity. Ocalały jedynie litery LI. W pierwszej chwili pomyślałem, że to LILIMAR, nazwa miasta, ale być może chodziło o GALLIEN.

Nim przejechałem pod łukiem, zerknąłem na Radar. Musieliśmy być cicho; wszyscy, którzy służyli mi pomocą, podkreślali to w taki czy inny sposób. Wyglądało na to, że Radar nie będzie sprawiała problemów w tej kwestii. Znów spała. Co z jednej strony mnie cieszyło, a z drugiej martwiło.

Łuk był wilgotny, roztaczał wokół siebie woń starości i rozkładu. Po drugiej stronie znajdowała się okrągła sadzawka, otoczona kamiennym murkiem, który przez lata obrósł mchem. Być może kiedyś jej woda była zachwycająco błękitna. Być może kiedyś ludzie przychodzili tu, by usiąść na murku i zjeść popołudniowy posiłek, obserwując przy tym, jak

empisańskie wersje kaczek czy łabędzi suną po wodzie. Być może matki wystawiały dzieci za murek, by mogły zanurzyć stopy w wodzie i trochę się pochlapać. Teraz nie było tu ani ptaków, ani ludzi. Gdyby byli, z pewnością omijaliby sadzawkę szerokim łukiem, jakby zawierała truciznę, bo tak właśnie wyglądała. Woda była mętna i nieprzyjemnie zielona; zdawało się niemal, że przeszła w stan stały. Unoszące się nad nią opary były rzeczywiście jadowite, wyobrażałem sobie, że tak właśnie cuchnie grób wypełniony rozkładającymi się ciałami. Wokół sadzawki ciągnęła się półkolista ścieżka, niewiele szersza od trójkołowca. Na jednej z płytek po prawej dostrzegłem inicjały pana Bowditcha. Ruszyłem w tę stronę, lecz po chwili przystanąłem i odwróciłem się. Byłem pewien, że coś słyszałem, może kroki, a może jakiś szept.

„Nie zwracaj uwagi na dziwne głosy”, powiedziała mi Claudia. Teraz niczego nie słyszałem i nic nie poruszało się w cieniu łuku, pod którym przed chwilą przejechałem.

Pedałowałem powoli, przemieszczając się wokół cuchnącej sadzawki, po jej prawej stronie. Nieco dalej, za nią, znajdował się kolejny motyli łuk. Kiedy się do niego zbliżałem, na szyję spadła mi kropla deszczu, potem kolejna. Zaczęły kropkować powierzchnię sadzawki, żłobiły w niej maleńkie, krótkotrwałe kratery. Kiedy się temu przyglądałem, z wody wynurzyło się coś czarnego, zaledwie na sekundę, może dwie. Potem zniknęło. Nie zdążyłem się temu dobrze przyjrzeć, ale byłem pewien, że dostrzegłem lśniące kły. Deszcz przybierał na sile i wkrótce miał się zamienić w ulewę. Gdy schroniliśmy się pod drugim łukiem, zsiadłem z trójkołowca i przykryłem kocem śpiącą Radar. Może był zatęchły i pogryziony przez mole, bardzo się jednak cieszyłem, że go zabrałem.

# 8

Wjechałem do miasta trochę przed czasem, czułem więc (miałem nadzieję), że mogę poczekać teraz chwilę pod łukiem, licząc na to, że ulewa wkrótce ustanie. Nie chciałem jechać z Radar w deszczu, nawet jeśli była przykryta kocem. Tylko ile mogła trwać ta chwila? Piętnaście minut? Dwadzieścia? I jak mogłem to odmierzyć? Przywykłem do sprawdzania godziny w telefonie, a teraz gorzko żałowałem, że nie mam ze sobą zegarka pana Bowditcha. Kiedy patrzyłem na strugi deszczu opadające na coś, co wyglądało jak opuszczona ulica handlowa, wzdłuż której ciągnęły się sklepy z zielonymi witrynami, uświadomiłem sobie, że po prostu za bardzo przyzwyczaiłem się do swojego telefonu. Tata miał swoje powiedzonko dotyczące sprzętu elektronicznego: „Kiedy człowiek przyzwyczai się do chodzenia o kuli, potem nie umie chodzić bez niej”.

Sklepy znajdowały się po drugiej stronie wyschniętego kanału. Wyglądało to na miejsce, gdzie robili zakupy zamożni ludzie, jakby zabytkowa wersja Rodeo Drive w Los Angeles czy Oak Street District w Chicago. Z suchego schronienia pod łukiem mogłem odczytać pozłacany (w tym wypadku z pewnością nie było to szczere złoto) szyld z napisem MAGAZYN OBUWNICZY JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI. Niektóre witryny zostały rozbite i zniszczone wiele lat temu. Deszcze zaniosły odłamki szkła do rynsztoków. Na środku ulicy, zwinięte niczym ciało niekończącego się węża, leżały kable, z których niegdyś zapewne korzystały trolejbusy.

Na kamiennych płytach tuż za łukiem, pod którym ukryliśmy się przed deszczem, wyryto jakieś litery. Ukląkłem, by przypatrzeć im się z bliska. Większość została skuta i zniszczona, jak skrzydła i twarze motyli, ale gdy

przesunąłem palcami od początku do końca, wyczułem litery DR i GA. Oczywiście mogły to być fragmenty wielu różnych słów, przypuszczałem jednak, że gościniec, który za murami nazywał się Drogą Królestwa, tutaj zamieniał się w Drogę Gallienów. Tak czy inaczej, ta główna arteria prowadziła prosto do wysokich budynków i zielonych wież w centrum miasta. Trzy iglice górowały nad resztą zabudowań, a ich szklane wierzchołki niknęły w chmurach. Nie wiedziałem oczywiście, czy to pałac królewski, tak samo jak nie wiedziałem, czy pozostałe litery oznaczają Drogę Gallienów, uważałem jednak, że to bardzo prawdopodobne.

Kiedy zaczynałem się już godzić z myślą, że będziemy jednak musieli ruszyć i zmoknąć, ulewa nieco zelżała. Sprawdziłem, czy Radar jest dobrze przykryta – spod koca nie wystawało nic prócz jej pyska i tylnych łap – po czym wsiadłem na trójkołowiec i powoli przejechałem na drugą stronę wyschniętego kanału. Po drodze zastanawiałem się, czy jadę właśnie po moście Rumpa, o którym opowiadał mi Woody.

## 9

Sklepy rzeczywiście wyglądały na luksusowe, ale coś było z nimi nie tak. Nie chodziło o to, że były opuszczone, ani o to, że – co oczywiste – dawno temu zostały splądrowane, być może przez mieszkańców Lilimar uciekających z miasta przed szarością. To było coś subtelniejszego… i okropniejszego, bo nadal tu tkwiło. Nadal się działo. Budynki wyglądały solidnie, bez względu na to, czy były zdewastowane, czy nie, ale wydawały się powykręcane, jakby zostały rozciągnięte przez jakąś gigantyczną siłę,

a potem nie zdołały wrócić do swojego pierwotnego kształtu. Kiedy patrzyłem prosto na nie – MAGAZYN OBUWNICZY JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI, ROZKOSZE PODNIEBIENIA, OSOBLIWE SKARBY, PRACOWNIA KRAWIECKA DOMU (reszta tego napisu została zniszczona, jakby kryło się tu jakieś bluźnierstwo), KOŁA I SZPRYCHY – wyglądały całkiem normalnie. Na tyle normalnie, na ile coś może być normalne w niesamowitości Tego Innego. Kiedy jednak spoglądałem z powrotem na drogę, widziałem kątem oka, jak dzieje się z nimi coś osobliwego. Kąty proste zamieniały się w łuki. Okna bez szyb poruszały się niczym oczy, które chcą mi się lepiej przyjrzeć. Litery przekształcały się w runy. Tłumaczyłem sobie, że to tylko moja wybujała wyobraźnia, lecz nie byłem o tym przekonany. Jedno wiedziałem z całą pewnością: nie chciałem znaleźć się tutaj po zmroku.

Przy którejś z przecznic leżał na ulicy przewrócony do góry nogami gargulec i wpatrywał się we mnie od dołu, rozciągając pozbawione warg usta i odsłaniając gadzie kły oraz porowaty szary jęzor. Ominąłem go szerokim łukiem i odetchnąłem z ulgą, gdy nie musiałem już znosić jego lodowatego odwróconego spojrzenia. Zaledwie kilka sekund później usłyszałem głuchy huk. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że gargulec się obrócił. Może musnęło go jedno z tylnych kół roweru, naruszając delikatną równowagę, którą utrzymywał przez lata. A może nie.

Tak czy inaczej, znów się na mnie gapił.

# 10

Powoli zbliżałem się do pałacu – zakładając, że tym właśnie była ta budowla. Budynki po obu stronach wyglądały na kamienice, niegdyś luksusowe, teraz popadające w ruinę. Balkony oderwały się od ścian. Latarnie ustawione wzdłuż eleganckich kamiennych chodników przewróciły się same lub zostały przewrócone. Chodniki były porośnięte paskudnymi brązowawoszarymi chwastami. W przejściach między kamienicami pleniły się wysokie pokrzywy. Gdyby ktoś próbował tamtędy przejść, poparzyłby się od stóp do głów.

Deszcz znów się wzmógł, gdy dotarliśmy do jeszcze bogatszych budowli, wzniesionych z marmuru i szkła, z szerokimi schodami (nietkniętymi) i strojnymi portykami (w większości rozbitymi). Powiedziałem Radar, że musi jeszcze trochę wytrzymać i że jesteśmy już blisko celu, ale zrobiłem to półszeptem. Choć wokół lało jak z cebra, zaschło mi w ustach. Ani przez moment nie myślałem o tym, by odchylić głowę do tyłu i nałapać trochę deszczówki, bo nie wiedziałem, co w niej jest i co może mi zrobić. To było okropne miejsce, przeżarte zarazą, z którą chciałem mieć jak najmniej do czynienia.

Coś jednak napawało mnie optymizmem. Claudia mówiła, że mogę łatwo zabłądzić, a na razie droga wiodła mnie prosto do celu. Jeśli żółty dom Hany i zegar słoneczny znajdowały się w pobliżu majestatycznego skupiska budynków, nad którymi górowały trzy iglice, mogłem tam trafić bez trudu, trzymając się nadal Drogi Gallienów. Widziałem już olbrzymie okna tych potężnych gmachów. Nie były to witraże jak w średniowiecznych katedrach, lecz szkło lśniące głęboką zielenią, która przypominała mi belki na bramie miasta. I tę obrzydliwą sadzawkę.

Wpatrzony w imponujące budowle, omal nie przegapiłem inicjałów pana Bowditcha namalowanych w połowie wysokości kamiennego słupka z żelaznym pierścieniem na czubku, do którego prawdopodobnie przywiązywano konie. Cały szereg podobnych pachołków, przypominających stępione zęby, ciągnął się przed gigantycznym szarym budynkiem z niemal kilkanaściorgiem drzwi, do których prowadziły strome schody, ale nie było w nim ani jednego okna. Słupek z inicjałami AB znajdował się na samym końcu tego szeregu, przed węższą uliczką odchodzącą w lewo. Pozioma kreseczka litery A miała postać strzałki wskazującej na tę właśnie uliczkę, wzdłuż której ciągnęło się jeszcze więcej potężnych kamiennych gmachów, liczących osiem lub dziewięć pięter. Pomyślałem, że niegdyś wypełniały je tłumy empisańskich urzędników pracujących dla królestwa. Oczami wyobraźni widziałem, jak spiesznym krokiem przemierzają długie korytarze, wchodzą do budynków i z nich wychodzą, ubrani w długie czarne surduty i koszule z wysokimi kołnierzami, niczym mężczyźni (bo przypuszczałem, że byli to wyłącznie mężczyźni) na ilustracjach z powieści Dickensa. Nie wiedziałem, czy w którymkolwiek z tych gmaszysk mieściło się Więzienie Jego Królewskiej Mości, ale – moim zdaniem – wszystkie wyglądały jak więzienia.

Zatrzymałem się, wpatrzony w poziomą kreseczkę A zamienioną w strzałkę. Pałac wznosił się dokładnie na wprost przede mną, a jednak strzałka wskazywała całkiem inną drogę. Musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie: Jadę dalej prosto przed siebie czy kieruję się strzałką? Z tyłu, spod koca, który był już wilgotny i za chwilę miał całkiem przemoknąć, doszedł mnie kaszel Radar. Omal nie zignorowałem strzałki i nie pojechałem prosto, przekonany, że zawsze mogę przecież zawrócić, jeśli zabrnę w ślepą uliczkę, przypomniałem sobie jednak o dwóch rzeczach, o których mówiła mi Claudia. Po pierwsze, że jeśli będę się kierował znakami pana

Bowditcha, wszystko będzie dobrze (właściwie powiedziała, że „wszystko powinno być dobrze”, ale nie spierajmy się o szczegóły). Po drugie, jej zdaniem czekała mnie cholernie długa wędrówka przez miasto. A gdybym nadal jechał drogą, której się dotąd trzymałem, byłaby to cholernie krótka wędrówka.

Ostatecznie postanowiłem zaufać Claudii i panu Bowditchowi. Skręciłem w uliczkę, którą wskazywała strzałka, i nacisnąłem mocniej na pedały.

„Ulice miasta to labirynt”, powiedziała mi Claudia. Miała rację, a inicjały pana Bowditcha – jego znaki – wprowadziły mnie jeszcze głębiej w ten gąszcz. Układ ulic i budynków w Nowym Jorku był całkiem sensowny; w Chicago był sensowny do pewnego stopnia; w Lilimar był całkowicie pozbawiony sensu. Przypuszczałem, że tak właśnie wyglądał Londyn w czasach Sherlocka Holmesa i Kuby Rozpruwacza (i prawdopodobnie nadal tak wygląda). Niektóre ulice były szerokie i rosły wzdłuż nich ogołocone z liści drzewa, które nie dawały żadnej osłony przed deszczem. Inne były wąskie, jedna do tego stopnia, że trójkołowiec ledwie się w niej zmieścił. W tej właśnie uliczce mogliśmy na chwilę odpocząć od siekącego deszczu, bo dachy stojących po obu jej stronach wysokich budynków niemal się stykały. Co jakiś czas natrafiałem na kable trolejbusowe: niektóre wciąż zwisały bezwładnie nad ulicą, ale większość leżała na ziemi.

W oknie jednego z budynków zobaczyłem manekin krawiecki z czapką błazna na głowie, dzwoneczkami na szyi i nożem wbitym między piersi. Jeśli miał to być żart, wcale mnie nie rozbawił. Po pierwszej godzinie nie miałem pojęcia, ile razy skręcałem w prawo i lewo. W pewnym momencie przejeżdżałem przez ociekające wodą przejście podziemne, gdzie chlupot

kół trójkołowca przecinających wielkie kałuże odbijał się od ścian echem, które brzmiało jak przytłumiony śmiech: ha… haa… haaa.

Niektóre znaki pana Bowditcha, te narażone na działanie deszczu i słońca, były tak wyblakłe, że z trudem je dostrzegałem. Gdybym je przegapił, musiałbym wrócić tą samą trasą lub kierować się na trzy iglice, wyznaczające, moim zdaniem, położenie pałacu, a nie wiem, czy byłbym w stanie to zrobić. Na wielu długich odcinkach budynki ciągnące się wzdłuż ulic całkiem przesłaniały pałac. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak błądzę po tej plątaninie do dwóch dzwonów… potem do trzech wieczornych… i w końcu myślę wyłącznie o tym, jak nie wpaść w łapy nocnych żołnierzy. Tyle że w tym deszczu kaszląca już nieustannie Radar pewnie nie doczekałaby wieczoru.

Dwukrotnie mijałem wypełnione ciemnością przepastne doły o ukośnych ścianach. Wydobywały się z nich cuchnące opary i coś, co brzmiało jak szepty, przed którymi ostrzegała mnie Claudia. Smród bijący z drugiego dołu był silniejszy, a szepty głośniejsze. Nie chciałem sobie wyobrażać przerażonych mieszkańców miasta, którzy schronili się w podziemnych bunkrach i tam umarli, ale trudno było się przed tym powstrzymać. Właściwie nie dało się. Było to równie niemożliwe jak uwierzenie, że te szepty są jedynie głosami duchów tych ludzi.

Nie chciałem tu być. Chciałem być w domu, w moim uporządkowanym świecie, gdzie jedyne bezcielesne głosy dochodziły z moich słuchawek.

Dotarłem do zakrętu z latarnią, na której widniało coś, co równie dobrze mogło być znakiem pana Bowditcha, jak i plamą zakrzepłej krwi. Zsiadłem z trójkołowca, by przyjrzeć się temu uważniej. Tak, to był jego znak, ale niemal całkiem starty. Nie ważyłem się oczyścić go z warstwy wilgotnego brudu, w obawie, że wtedy całkiem by zniknął, pochyliłem się więc tak nisko, że niemal dotykałem znaku nosem. Pozioma kreseczka

A wskazywała na prawo, byłem tego pewien (prawie pewien). Gdy wróciłem do trójkołowca, Radar wysunęła łeb spod koca i zaskomlała. Jedno z jej oczu było całkiem zaklejone żółtą mazią. Drugim, uchylonym tylko do połowy, patrzyła na coś za mną. Spojrzałem w tamtą stronę i usłyszałem kroki – tym razem na pewno. Dojrzałem też jakiś ruch, jakby fragmentu ubrania – może płaszcza – gdy jego właściciel schował się za rogiem kilka ulic od nas.

– Kto tam jest?! – zawołałem, a potem zakryłem usta dłonią. „Cicho, bądź cicho”, powtarzali mi wszyscy, których spotkałem po drodze do miasta. Znacznie ciszej, niemal szeptem, dodałem: – Pokaż się. Jeśli jesteś przyjacielem, ja też mogę nim być.

Nikt się nie pokazał. Właściwie nie spodziewałem się niczego innego. Położyłem dłoń na rękojeści rewolweru pana Bowditcha.

– Jeśli nie jesteś przyjacielem, mam broń i użyję jej, jeśli będę musiał. – Czysty blef. Przed tym też mnie ostrzegano. I to wielokrotnie. – Słyszysz mnie? Mam nadzieję, że tak, nieznajomy, dla twojego dobra.

Mówiłem tak, jakbym nie do końca był sobą, nie po raz pierwszy zresztą. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybym za chwilę dodał: „Nazywam się Inigo Montoya. Zabiłeś mojego ojca. Przygotuj się na śmierć”.

Radar znów zakaszlała i zaczęła się trząść. Wsiadłem na trójkołowiec i popedałowałem w kierunku wskazanym przez ostatnią strzałkę. Doprowadziła mnie do krętej uliczki z kocimi łbami, wzdłuż której z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu ustawiono szereg beczek, niektóre obrócone do góry dnem.

# 11

Nadal kierowałem się inicjałami. Kilka było niemal równie wyraźnych jak w dniu, w którym pan Bowditch wymalował je czerwoną farbą, większość jednak prawie zupełnie wyblakła, zamieniając się w duchy samych siebie sprzed lat. W lewo i w prawo, w prawo i w lewo. Nie widziałem żadnych ciał ani szkieletów dawno zmarłych mieszkańców, ale niemal wszędzie czułem smród rozkładu; chwilami znowu odnosiłem wrażenie, że pobliskie budynki ukradkiem zmieniają kształty.

Miejscami przejeżdżałem przez kałuże. Gdzie indziej ulice były zalane i woda sięgała prawie do osi trójkołowca. Deszcz zamienił się w mżawkę, a później całkiem ustał. Nie miałem pojęcia, jak długą mamy jeszcze drogę do żółtego domu Hany; bez telefonu i słońca na niebie moje poczucie czasu zupełnie się spieprzyło. Wciąż nasłuchiwałem podwójnego bicia dzwonu oznaczającego południe.

Zgubiłem się, pomyślałem. Zabłądziłem, nie mam GPS-u i na pewno nie dotrę tam na czas. Będę miał szczęście, jeśli uda mi się wydostać z tego chorego miejsca przed zmrokiem.

Potem przejechałem przez mały plac z rzeźbą pośrodku – posągiem kobiety pozbawionym głowy – i uświadomiłem sobie, że znów widzę trzy iglice. Tyle że teraz patrzyłem na nie z boku. Wtedy tknęła mnie pewna myśl, która pojawiła się w postaci – absurdalne, ale tak naprawdę było – głosu Harknessa, prowadzącego treningi zarówno baseballu, jak i koszykówki. Trener Harkness przechadzający się wzdłuż linii bocznej, czerwony na twarzy, z plamami potu pod pachami białej koszuli, którą zawsze wkładał na oficjalne mecze, obserwujący drużynę i wrzeszczący: „Zajdźcie ich od tyłu, od tyłu, do cholery!”.

Od tyłu.

Tu właśnie prowadziły mnie znaki pana Bowditcha. Nie przed ten olbrzymi centralny budynek, dokąd z pewnością wiodła Droga Gallienów, ale na jego tyły. Pojechałem w lewo, przekonany, że znajdę inicjały przy jednej z trzech ulic odchodzących od placu. I rzeczywiście, znalazłem je z boku rozbitego szklanego budynku, który być może kiedyś był czymś w rodzaju cieplarni. Teraz bok pałacu był po mojej prawej i tak – znaki prowadziły mnie dalej szerokim łukiem dookoła budynku. Widziałem już wysoki kamienny wał ciągnący się półkoliście za skupiskiem potężnych gmachów.

Nacisnąłem mocniej na pedały. Następny znak kierował mnie na prawo, na coś, co w lepszych czasach musiało być szerokim bulwarem. Wtedy uchodziło zapewne za bardzo eleganckie miejsce, ale teraz chodnik był popękany, a w kilku miejscach kamienne płyty zamieniły się w drobne kamienie i piach. Środkiem biegł zarośnięty pas zieleni. Spomiędzy trawy i chaszczy wyrastały olbrzymie kwiaty, z żółtymi płatkami i ciemnozielonymi środkami. Zwolniłem, by przyjrzeć się uważniej jednemu z nich; zwieszał się nad ulicą na długiej łodydze, ale gdy wyciągnąłem do niego rękę, płatki zamknęły się z trzaskiem kilkanaście centymetrów od mojej dłoni. Ze środka wyciekła biała gęsta ciecz, od której poczułem bijący żar. Pospiesznie cofnąłem rękę.

Nieco dalej, może jakieś czterysta metrów, zobaczyłem trzy górujące nad okolicą wierzchołki dachów, dwa po obu stronach bulwaru, którym właśnie jechałem, i trzeci dokładnie nad nim. Miały taką samą żółtą barwę jak głodne kwiaty. Dokładnie na wprost przede mną bulwar dochodził do kolejnego placu, z nieczynną fontanną pośrodku. Była wielka i zielona, jej ogromną obsydianową misę przecinały nieregularne pęknięcia. „Zapisz to!”, powtarzała bezustannie Claudia. Sprawdziłem notatki, by mieć

całkowitą pewność. Nieczynna fontanna, zgadza się. Wielki żółty dom stojący okrakiem na drodze, zgadza się. Ukryć się. Już się robi. Schowałem kartkę do bocznej kieszeni plecaka, żeby nie zmokła. Wtedy nawet o tym nie myślałem, później jednak miałem powody, by dziękować losowi, że nie trafiła do kieszeni spodni. To samo dotyczyło mojego telefonu.

Podjechałem powoli do placu, a potem szybciej do fontanny. Jej cokół miał co najmniej trzy metry wysokości i był gruby jak pień drzewa. Dobra kryjówka. Zsiadłem z trójkołowca i wyjrzałem zza cokołu. Przede mną, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od fontanny, był dom Hany… a raczej domy. Łączyły je pomalowane na żółto korytarze umieszczone nad głównym przejściem, podobnie jak zabudowane kładki dla pieszych w Minneapolis. W sumie całkiem niezłe lokum.

A Hana była na zewnątrz.

---

* H.P. Lovecraft, *Grzyby z Yuggoth i inne poematy niesamowite*, przeł. K. Azarewicz.

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

## Hana. Kolorowe bulwary. Zgroza w sadzawce. Wreszcie przy zegarze słonecznym. Niemiłe spotkanie.

### 1

Hana zapewne wyszła na zewnątrz, gdy ustał deszcz, być może by nacieszyć oczy światłem dnia. Siedziała na olbrzymim złocistym tronie, pod płóciennym dachem w czerwone i niebieskie pasy. Przypuszczałem, że tron jest z litego złota, i byłem niemal pewien, że klejnoty osadzone w poręczach i oparciu nie są jedynie kawałkami barwionego szkła. Pomyślałem też, że król czy królowa Empis – albo oboje – wydawaliby się śmiesznie mali, gdyby posadzono ich na tym potężnym meblu, lecz Hana całkowicie go sobą wypełniła, a jej ogromny tyłek wręcz wylewał się na zewnątrz między złotymi poręczami i fioletowymi poduchami.

Kobieta zasiadająca na tym skradzionym (nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości) tronie była koszmarnie brzydka. Z kryjówki za fontanną nie byłem w stanie dokładnie określić jej rozmiarów, ale ja mam sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, a wydawało mi się, że ona nawet w pozycji siedzącej przewyższała mnie o jakieś półtora metra. Co oznaczało, że w sumie mierzyła ze trzy i pół metra.

Autentyczna olbrzymka, innymi słowy.

Jej sięgająca do połowy łydek suknia była wielkości namiotu cyrkowego i miała tę samą fioletową barwę co poduszki, na których Hana siedziała. Na jej palcach (były niemal wielkości mojej dłoni) tkwiły liczne pierścienie, które skrzyły się w przyćmionym blasku dnia; w pełnym słońcu lśniły zapewne jak żywy ogień. Ciemnobrązowe włosy opadały na ramiona i potężny biust splątanymi tłustymi strąkami.

Suknia świadczyła o tym, że Hana jest kobietą, inaczej jednak trudno byłoby określić jej płeć. Jej twarz składała się głównie z guzów i wielkich nabiegłych ropą krost. Środek czoła przecinała zaczerwieniona głęboka bruzda. Jedno oko zezowało, drugie było wyłupiaste. Uniesiona górna warga niemal dotykała zdeformowanego nosa, odsłaniając zęby, które spiłowano na kształt kłów. Co najgorsze, tron otaczały sterty kości, niemal z pewnością ludzkich.

Radar zaczęła kaszleć. Odwróciłem się do niej, przytuliłem głowę do jej łba i spojrzałem jej w oczy.

– Cicho, mała – wyszeptałem. – Proszę, bądź cicho.

Zakaszlała jeszcze raz i ucichła. Wciąż drżała. Zacząłem się od niej odwracać, gdy znów dopadł ją atak kaszlu, głośniejszego niż kiedykolwiek dotąd. Myślę, że Hana by nas odkryła, gdyby akurat w tym momencie nie zachciało jej się śpiewać.

*Wbijaj bolec, Joe kochany,*
*Wbijaj tam, gdzie trzeba,*
*Wbijaj bolec przez noc całą,*
*Dźgaj mnie, dźgaj mnie swoją pałą,*
*Dźgaj mnie pałą, pałą dźgaj,*
*Pałą przez noc całą dźgaj.*

Coś mi mówiło, że tej akurat piosenki nie znajdę w baśniach braci Grimm.

Śpiewała dalej – wyglądało na to, że to jedna z piosenek w rodzaju *Starego McDonalda*, do której można bez końca dokładać kolejne słowa – co bardzo mi odpowiadało, bo Radar wciąż kaszlała. Głaskałem ją po brzuchu, próbując w ten sposób złagodzić kolejne ataki, podczas gdy Hana ryczała: *Joe, mój chłopcze drogi, tyś jest wojak srogi* (spodziewałem się raczej *wsadź mi między nogi*). Wciąż głaskałem Radar, a Hana wciąż się wydzierała, gdy rozległo się podwójne bicie dzwonu. W tej odległości od pałacu było wręcz ogłuszające.

Głos dzwonu rozszedł się po całym mieście i przycichł. Miałem nadzieję, że Hana wstanie i pójdzie do kuchni. Nie zrobiła tego jednak. Poprawiła się na tronie, przyłożyła dwa palce do pryszcza na wielkiej jak łopata brodzie i ścisnęła go. Z krosty wystrzelił strumień żółtej ropy. Hana starła obrzydliwą maź nasadą dłoni, przyjrzała się jej z uwagą, a potem strzepnęła na ulicę. I znów poprawiła się na siedzeniu. Czekałem, aż Radar znów zacznie kaszleć. Na razie była cicho, lecz wiedziałem, że to tylko kwestia czasu.

Śpiewaj, pomyślałem. Śpiewaj, ty wielka szpetna suko, zanim mój pies znów zacznie kaszleć, a nasze kości wylądują obok tych, których nawet nie chce ci się pozbierać, ty leniwa…

Zamiast śpiewać, Hana wstała. Wyglądało to tak, jakby góra odrywała się od ziemi. Obliczając jej wzrost, korzystałem z prostego wzoru, którego nauczyłem się na matematyce, nie doszacowałem jednak długości jej nóg. Korytarz między dwiema częściami jej domu miał co najmniej siedem metrów wysokości, ale Hana musiałaby się pochylić, by nim przejść.

Kiedy już stała prosto, wyciągnęła fałdę spódnicy spomiędzy pośladków i pierdnęła tak głośno, że wibrujący niski dźwięk jeszcze długo

odbijał się echem od okolicznych budynków. Przypominał mi głos puzonu z ulubionego utworu instrumentalnego mojego taty, *Midnight in Moscow*. Musiałem zakryć usta obiema dłońmi, by nie ryknąć śmiechem. Nie przejmując się już tym, czy Radar zacznie kaszleć, czy nie, wtuliłem twarz w mokrą sierść na jej boku i wydałem z siebie zdławione „Ha, ha, ha". Zamknąłem oczy, czekając, aż Radar znów podda się atakowi kaszlu albo aż jedna z olbrzymich dłoni Hany zaciśnie się na moim gardle i skręci mi kark.

Nic takiego się nie stało, więc wyjrzałem zza krawędzi cokołu fontanny i zobaczyłem, jak Hana zmierza ciężkim krokiem do prawej części swojego domu. Była naprawdę niewiarygodnie wielka. Mogłaby bez problemu zaglądać do okien na wyższych piętrach. Otworzyła ogromne drzwi i wydobył się zza nich zapach pieczonego mięsa. Przypominał woń wieprzowiny, miałem jednak okropne przeczucie, że bynajmniej nie jest to wieprzowina. Hana pochyliła głowę i weszła do środka.

– Daj mi jeść, ty gnoju bez jaj! – huknęła. – Głodnam!

„Właśnie wtedy musisz przejść przez korytarz najszybciej, jak się da", powiedziała Claudia. Albo jakoś tak.

Wsiadłem na trójkołowiec i nacisnąłem mocno na pedały, pochylony nisko nad kierownicą, niczym kolarz na ostatnim kilometrze Tour de France. Nim wjechałem do korytarza, zerknąłem na lewo, w stronę tronu. Porozrzucane dokoła małe kości niemal z pewnością były kośćmi dzieci. Na niektórych zostały jeszcze chrząstki, na innych włosy. Popełniłem błąd, patrząc w tamtą stronę, błąd, który chętnie wymazałbym z pamięci, gdybym mógł, ale czasami – zbyt często – nie potrafimy się powstrzymać. Prawda?

# 2

Korytarz miał jakieś dwadzieścia pięć metrów długości; był zimny i wilgotny, wyłożony omszałymi blokami kamienia. Światło po drugiej stronie wydawało się wyjątkowo jasne; pomyślałem, że kiedy tam wyjadę, być może zobaczę nawet słońce.

Lecz nie. W momencie gdy znalazłem się po drugiej stronie kamiennego tunelu, wciąż pochylony nad kierownicą, chmury zakryły dzielny skrawek błękitu i światem znów zawładnęła pozbawiona cieni szarość. To, co zobaczyłem w następnej sekundzie, zaparło mi dech w piersiach. Moje stopy zsunęły się z pedałów i trójkołowiec znieruchomiał. Znalazłem się na skraju wielkiego placu. Z ośmiu różnych kierunków schodziło się tu osiem łukowatych dróg. Niegdyś płyty, którymi wyłożono ich powierzchnię, nadawały każdej z nich inną jaskrawą barwę: zieloną, niebieską, fioletową, granatową, czerwoną, różową, żółtą i pomarańczową. Teraz kolory mocno już wyblakły. Przypuszczałem, że w końcu staną się równie szare jak wszystko inne w Lilimar i w znacznej części Empis. Wpatrując się w te szerokie łukowate bulwary, miałem wrażenie, że patrzę na niegdyś radosny olbrzymi wiatraczek. Wzdłuż kolorowych traktów ciągnęły się szeregi słupków zdobionych proporczykami. Wiele lat temu – ile? – proporczyki zapewne trzepotały wesoło na wietrze, nieskażone zgnilizną i rozkładem. Teraz zwisały smętnie i ociekały wodą.

Pośrodku tego ogromnego wiatraczka stał kolejny posąg motyla, bez skrzydeł i głowy. Rozbite szczątki leżały obok piedestału, na którym wznosiła się rzeźba. Za fontanną znajdowała się szersza droga prowadząca na tyły pałacu z trzema ciemnozielonymi iglicami. Bez trudu mogłem sobie

wyobrazić ludzi – Empisanian – którzy niegdyś wypełniali te kolorowe bulwary, tworząc jeden wielki tłum. Śmiali się i przepychali żartobliwie w oczekiwaniu na ekscytujące widowisko; niektórzy przynieśli ze sobą lunch w koszyku, inni kupowali jedzenie od ulicznych sprzedawców zachwalających swój towar. Pamiątki dla dzieciaków? Proporczyki? Oczywiście! Mówię wam, widziałem to wszystko tak wyraźnie, jakbym sam tam był. Bo i czemu nie? Bywałem przecież częścią takiego tłumu przed meczami White Soxów i w pewną niezapomnianą niedzielę przed meczem drużyny Chicago Bears.

Wysoko ponad tylną częścią pałacu (tą, o którą mi chodziło, bo kompleks pałacowy rozciągał się wszędzie) widać było zaokrąglone kamienne obwałowanie. Osadzono na nim szereg wysokich słupków, zwieńczonych czymś, co przypominało tace. Tutaj rozgrywano mecze i odbywały się igrzyska, obserwowane w napięciu przez ogromne masy ludzi. Byłem tego pewien. Tłumy ryczały z radości i jęczały z zawodu. Teraz łukowate chodniki i główne wejście były puste i równie niepokojące jak cała reszta tego nawiedzonego miasta.

Na lekcji historii w piątej klasie moja grupa zbudowała zamek z klocków Lego. Wtedy wydawało nam się, że to raczej zabawa niż nauka, ale z perspektywy czasu widzę, że jednak się uczyłem. Wciąż pamiętałem większość elementów architektonicznych i wiele z nich widziałem teraz, zbliżając się do budynków: łęki oporowe, wieżyczki, blanki, gzymsy, a nawet coś, co mogło być bramą do poterny. Ale jak wszystko inne w Lilimar, nie wyglądało to normalnie ani sensownie. Przedziwnie (i bezcelowo, jak mi się wydawało) poskręcane schody prowadziły do dziwnych grzybowatych występów z wąskimi oknami bez szyb i je okrążały. Być może były to stanowiska wartowników, być może Bóg wie co. Niektóre ciągi schodów krzyżowały się ze sobą, co przywodziło mi na

myśl te rysunki Eschera, które zwodzą wzrok i umysł. Mrugnąłem i schody obróciły się do góry nogami. Mrugnąłem ponownie i wróciły do właściwej pozycji.

Co gorsza, wydawało się, że cały pałac – w którym trudno było się dopatrzyć jakiejkolwiek symetrii – nieustannie się porusza, niczym ruchomy zamek Hauru. Nie widziałem, jak się to dokładnie dzieje, bo nie byłem w stanie ogarnąć całości pałacu spojrzeniem… ani umysłem. Schody miały różne kolory, podobnie jak chodniki tworzące wiatraczek, mogłoby się więc wydawać, że stanowiły radosny akcent, lecz w rzeczywistości tylko pogłębiały we mnie wrażenie, że mam do czynienia z jakąś nieodgadnioną świadomością, jakby nie był to pałac, lecz myśląca istota z pozaziemskim umysłem. Wiedziałem, że ponosi mnie wyobraźnia (nie, nie wiedziałem tego), ale cieszyłem się, że znaki pozostawione przez pana Bowditcha przywiodły mnie na tyły kompleksu pałacowego od strony stadionu, dzięki czemu te wielkie katedralne okna nie mogły patrzeć prosto na mnie. Nie wiem, czy zniósłbym ich zielone spojrzenie.

Jechałem powoli szerokim chodnikiem prowadzącym do wejścia na stadion. Co jakiś czas trójkołowiec przechylał się lekko na jedną lub drugą stronę, gdy któreś z kół najechało na wykrzywioną płytę. Tył pałacu stanowiły w większości gładkie ściany bez okien. Dostrzegłem szereg dużych czerwonych drzwi i kilkanaście stłoczonych w jednym miejscu wozów, w tym kilka przewróconych do góry kołami i dwa rozbite na kawałki. Mogłem sobie wyobrazić, że zrobiła to Hana, może ze złości, a może dla zabawy. Pomyślałem, że to swego rodzaju zaplecze i punkt dostaw do kompleksu pałacowego, do którego możni zaglądali bardzo rzadko albo wcale. To miejsce należało do zwykłych ludzi.

Dostrzegłem wyblakłe inicjały pana Bowditcha na jednym z kamiennych bloków w pobliżu tego obszaru załadunku i rozładunku

dostaw. Nie czułem się dobrze, przebywając tak blisko pałacu, nawet po jego „ślepej” stronie, bo niemal widziałem, jak się porusza. Pulsuje. Pozioma kreseczka A wskazywała na lewo, więc zjechałem z głównego traktu i ruszyłem w tamtym kierunku. Radar znów kaszlała, i to gwałtownie. Kiedy wcześniej wtuliłem w nią twarz, by stłumić napad śmiechu, jej sierść była mokra i zlepiona. Czy psy mogą dostać zapalenia płuc? Pomyślałem, że to głupie pytanie. Prawdopodobnie może na to zachorować każde stworzenie z płucami.

Kolejne inicjały doprowadziły mnie do szeregu ośmiu łęków oporowych. Mogłem przejechać pod nimi, ale wolałem tego uniknąć. Miały tę samą ciemnozieloną barwę co okna wieży; może wcale nie były wykonane z kamienia, lecz z jakiegoś rodzaju szkła. Wydawało się niemożliwe, by szkło mogło zapewnić tak ogromną nośność, jakiej wymagał ten olbrzymi kamienny gmach, ale wyglądało to na szkło. Po raz kolejny dojrzałem we wnętrzu tej substancji czarne smugi, które wiły się leniwie wokół siebie, na przemian wznosząc się i opadając, co sprawiało, że łęki wyglądały jak szereg dziwnych czarno-zielonych lamp lava. Te czarne wijące się macki przypomniały mi kilka filmowych horrorów – między innymi *Obcego* i *Piranię* – i w tym momencie pożałowałem, że kiedykolwiek je widziałem.

Kiedy zaczynałem się już obawiać, że zatoczę pełne koło wokół pałacu, co oznaczałoby, że będę musiał znosić potrójne spojrzenie zielonych iglic, dotarłem do czegoś w rodzaju małego parku. Był to teren położony między dwiema ścianami bez okien, rozchodzącymi się na kształt litery V. Stały tu ławki otaczające sadzawkę, ocienianą przez palmy – niewiarygodne, ale prawdziwe. Palmy przesłaniały to, co kryło się dalej, ponad nimi górował jednak wysoki co najmniej na trzydzieści metrów maszt, zwieńczony stylizowanym słońcem. Miało twarz, a jego oczy poruszały się z boku na

bok, niczym oczy Kit-Cat Clock, zegara w kształcie kota. Na prawo od sadzawki pan Bowditch namalował swoje inicjały na kamiennym bloku. Pozioma kreseczka tego A nie miała strzałki. Tym razem strzałka wystawała z wierzchołka litery. Niemal słyszałem, jak pan Bowditch mówi do mnie: „Prosto przed siebie, Charlie, nie trać ani chwili”.

– Trzymaj się, Radar, jesteśmy prawie na miejscu.

Ruszyłem w kierunku wskazanym przez strzałkę. Zaprowadziła mnie na prawo od ładnej małej sadzawki. Nie musiałem się wcale zatrzymywać i spoglądać na nią spomiędzy palm, zwłaszcza w chwili, gdy byłem już tak blisko celu, ale zrobiłem to i spojrzałem. I choć to, co zobaczyłem, było naprawdę straszne, cieszę się, że się zatrzymałem. To zmieniło wszystko, choć miało upłynąć jeszcze sporo czasu, nim w pełni zrozumiałem kluczowe znaczenie tej chwili. Czasami patrzymy, bo musimy pamiętać. Czasami właśnie najokropniejsze rzeczy dają nam siłę. Wiem o tym teraz, ale wtedy myślałem tylko o jednym: O mój Boże, to Ariel.

W sadzawce, niegdyś zapewne kojąco błękitnej, a teraz mulistej i mętnej od zgnilizny, leżały szczątki syreny. Nie była to jednak Ariel, disnejowska syrenia księżniczka, córka króla Trytona i królowej Ateny. Nie, nie ona. Z pewnością nie. Nie miała skrzącego się zielenią ogona, niebieskich oczu i burzy rudych włosów. Nie miała też uroczego fioletowego staniczka. Przypuszczałem, że ta syrena była niegdyś blondynką, lecz większość jej włosów wypadła i unosiła się teraz na powierzchni sadzawki. Jej ogon być może był kiedyś zielony, teraz jednak pokrył się martwą szarością, podobnie jak jej skóra. Wargi syreny zniknęły, odsłaniając szereg małych zębów. Puste oczodoły ziały trupią czernią.

Kiedyś jednak była piękna. Byłem tego pewien tak samo, jak byłem pewien, że niegdyś gromadziły się tu spragnione rozrywki radosne tłumy. Piękna, żywa i pełna radosnej, nieszkodliwej magii. Kiedyś tutaj pływała.

To był jej dom, a ludzie, którym chciało się wybrać do tej małej oazy, patrzyli na nią, ona patrzyła na nich i wszyscy czuli się orzeźwieni. Teraz leżała martwa, z żelaznym trzonem wbitym w miejsce, gdzie rybi ogon zamieniał się w ludzki tułów. Z rozpłatanego brzucha wypływał zwój szarych wnętrzności. Pozostało tylko wspomnienie jej urody i wdzięku. Była równie głupio martwa jak każda rybka, która umarła w akwarium i pływała brzuchem do góry, zszarzała, pozbawiona olśniewających barw. Była brzydkim trupem zakonserwowanym częściowo przez zimną wodę. Podczas gdy naprawdę brzydka istota – Hana – wciąż żyła, śpiewała, pierdziała i obżerała się niezdrowym jedzeniem.

Przeklęte, pomyślałem. Wszystko przeklęte. Zło okryło tę nieszczęsną krainę niczym całun. To nie była myśl Charliego Reade’a, ale była prawdziwa.

Czułem, jak wzbiera we mnie nienawiść do Hany, nie dlatego, że zabiła małą syrenkę (przypuszczałem, że olbrzymka po prostu rozerwałaby ją na strzępy), lecz dlatego, że ona, Hana, żyła. I mogła stanąć na mojej drodze, gdy będę wracał do bramy.

Radar znów zaczęła kaszleć, tak gwałtownie, że słyszałem skrzypienie kosza za plecami. Otrząsnąłem się z ponurego uroku, jaki rzucił na mnie widok martwej syreny, objechałem do końca sadzawkę i ruszyłem w stronę masztu ze słońcem na wierzchołku.

# 3

Zegar słoneczny wypełniał tę część parku, gdzie ściany tworzące literę V zbliżały się do siebie. Przed zegarem, na żelaznym słupku, umieszczono tablicę z napisem ZAKAZ WSTĘPU, wyblakłym, lecz wciąż czytelnym. Średnica tarczy miała – moim zdaniem – jakieś siedem metrów, co oznaczało – jeśli dobrze pamiętałem wzór – że obwód wynosi około dwudziestu dwóch metrów. Dojrzałem inicjały pana Bowditcha po przeciwnej stronie zegara. Chciałem im się dobrze przyjrzeć. Doprowadziły mnie tutaj, a te ostatnie być może wskazywały, w jakim kierunku powinienem obracać tarczę. Nie mogłem tam pojechać trójkołowcem na wprost, przez zegar, bo na jego obwodzie umieszczono czarno-białe metrowe paliki.

Radar zakaszlała, zakrztusiła się i znów zaczęła kaszleć. Dyszała i trzęsła się; jedno oko było całkiem zalepione żółtawą mazią, drugie patrzyło na mnie. Wilgotna sierść kleiła się do jej ciała, mogłem się więc przekonać – choć niekoniecznie tego chciałem – jak przeraźliwie schudła, niemal zamieniając się w szkielet. Zsiadłem z trójkołowca i wziąłem ją na ręce. Czułem teraz wyraźnie, jak konwulsyjnie drży: dreszcz i rozluźnienie, dreszcz i rozluźnienie.

– Już niedługo, mała, już niedługo.

Miałem nadzieję, że się nie mylę, bo to była jej jedyna szansa… I na pana Bowditcha podziałało, prawda? Lecz choć po drodze do tego miejsca przeżyłem tyle niezwykłych rzeczy, choć widziałem olbrzymkę i syrenę, wciąż trudno mi było w to uwierzyć.

Przestąpiłem nad palikami i przeszedłem przez tarczę zegara. Była wykonana z kamienia i podzielona na czternaście równych trójkątnych

części. Teraz już chyba wiem, ile trwa tutaj dzień, pomyślałem. Na środku każdego z wycinków wyryto prosty symbol; były już trochę starte, ale wyraźne: dwa księżyce, słońce, ryba, ptak, świnia, wół, motyl, pszczoła, snop pszenicy, garść jagód, kropla wody, drzewo, nagi mężczyzna i naga kobieta w ciąży. Symbole życia. Gdy przechodziłem obok wysokiego masztu pośrodku zegara, słyszałem klik-klik-klik-klik-klik oczu na tarczy słońca, przesuwających się z boku na bok i odmierzających czas.

Przeszedłem nad niskimi palikami po drugiej stronie, wciąż tuląc do siebie Radar. Jej język zwieszał się bezwładnie z boku pyska, nieustannie kaszlała. Rzeczywiście zostało jej już mało czasu.

Odwróciłem się do tarczy zegara i inicjałów pana Bowditcha. Pozioma kreseczka A miała postać lekko zaokrąglonej strzałki wskazującej na prawo, co oznaczało, że kiedy wprawię tarczę w ruch – jeśli zdołam – będzie się obracać przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. To wydawało się logiczne, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Gdyby było inaczej, przebyłbym całą tę drogę tylko po to, by zabić swojego psa, jeszcze go postarzając.

Słyszałem jakieś ulotne szepty, ale nie zwracałem na nie uwagi. Myślałem jedynie o Radar, tylko o niej, i wiedziałem, co muszę zrobić. Pochyliłem się i ułożyłem ją łagodnie na trójkącie z symbolem snopa pszenicy. Próbowała podnieść łeb, lecz nie była w stanie. Ułożyła go bokiem na kamieniu, między łapami, i patrzyła na mnie zdrowym okiem. Była już zbyt słaba, by kaszleć, mogła tylko rzęzić.

Boże, niech to zadziała.

Ukląkłem i złapałem za jeden z krótkich prętów na obwodzie tarczy zegara. Pociągnąłem jedną ręką, potem dwiema. Nic się nie poruszyło. Radar coraz ciężej łapała powietrze, dławiła się między kolejnymi oddechami. Jej bok podnosił się i opadał jak miechy. Pociągnąłem mocniej. Nic. Pomyślałem o treningach futbolowych i o tym, że byłem właściwie

jedynym zawodnikiem, który potrafił nie tylko przesunąć manekina do ćwiczeń, ale też obalić go na ziemię.

Ciągnij, sukinsynu! Ciągnij dla niej!

Dałem z siebie wszystko, naprężyłem mięśnie nóg, pleców, ramion i barków. Czułem, jak krew płynie szerokim strumieniem w górę napiętej szyi i do głowy. Miałem zachowywać w Lilimar ciszę, ale nie mogłem powstrzymać głębokiego, warkliwego stęknięcia, które towarzyszyło temu ogromnemu wysiłkowi. Czy pan Bowditch był w stanie to zrobić? Nie rozumiałem jak.

Kiedy już byłem gotów się poddać i zebrać siły do kolejnej próby, poczułem, jak tarcza przesuwa się minimalnie w prawo. Byłem pewien, że nie zdołam już pociągnąć mocniej, a jednak jakoś tego dokonałem, napinając wszystkie mięśnie ramion, pleców i karku do granic wytrzymałości. Tarcza zaczęła się obracać. Mój pies nie leżał już dokładnie naprzeciwko mnie, lecz nieco na prawo. Obróciłem się w miejscu i zacząłem z całej siły pchać. Przypomniałem sobie, jak Claudia kazała mi „spiąć poślady”. Teraz bez wątpienia je spinałem, i to tak zawzięcie, jakbym chciał biedactwa zgnieść na miazgę.

Kiedy ruszyłem tarczę z miejsca, zaczęła się obracać nieco lżej. Nie sięgałem już pierwszego palika, więc złapałem następny, znów się obróciłem i pociągnąłem z całych sił. Kiedy i ten znalazł się poza moim zasięgiem, chwyciłem następny. Przywiodło mi to na myśl karuzelę na placu zabaw w parku Cavanaugh, którą razem z Bertiem rozpędzaliśmy do takiej prędkości, że siedzące w środku dzieciaki krzyczały z radości i strachu, a ich matki wrzeszczały na nas, żebyśmy natychmiast przestali, nim któraś z ich pociech wypadnie.

Radar przesunęła się o jedną trzecią pełnego obrotu… potem o połowę… i zaczęła do mnie wracać. Tarcza zegara obracała się teraz bez

najmniejszego problemu. Być może udało mi się wcześniej odblokować jakiś zaklejony brudem mechanizm i tarcza przesuwałaby się sama, ale i tak pociągałem za kolejne paliki, przekładając tylko ręce, jakbym wspinał się po linie. Wydawało mi się, że dostrzegam zmiany w wyglądzie Radar, obawiałem się jednak, że może to być tylko złudzenie, dopóki zegar nie wykonał pełnego obrotu i nie przywiózł jej do mnie z powrotem. Oba jej ślepia były otwarte. Kaszlała, ustało jednak przeraźliwe rzężenie, podnosiła też bez problemu łeb.

Tarcza obracała się coraz szybciej i w końcu przestałem pociągać za paliki. Obserwowałem Radar podczas drugiego obrotu i widziałem, jak próbuje podnieść się na przednich łapach. Jej uszy stały prosto, a nie opadały smętnie po bokach łba. Przykucnąłem, dysząc ciężko, cały mokry od potu, i próbowałem obliczyć w myślach, ile obrotów powinno jej wystarczyć. Uświadomiłem sobie, że wciąż nie wiem, ile właściwie ma lat. Czternaście? Może nawet piętnaście? Jeśli każdy obrót równał się jednemu rokowi, cztery przyniosłyby już ogromną poprawę. Po sześciu znów byłaby w kwiecie wieku.

Kiedy mnie minęła, zobaczyłem, że nie tylko opiera się na przednich łapach, ale też siada prosto. Gdy mijała mnie po raz trzeci, dostrzegłem coś, w co trudno było mi uwierzyć: Radar nabierała masy, przybierała na wadze. Nie była jeszcze psem, który napędził stracha Andy’emu Chenowi, ale zmierzała w tym kierunku.

Martwiło mnie tylko jedno – choć nie pociągałem już za paliki, tarcza zegara wciąż przyspieszała. Przy czwartym obrocie Radar wyglądała już na zaniepokojoną. Gdy mijała mnie po raz piąty, była wyraźnie wystraszona, a podmuch wzniecany przez obracającą się tarczę podniósł moje wilgotne od potu włosy. Musiałem ją stamtąd zabrać. Gdybym tego nie zrobił, miałbym okazję oglądać, jak mój pies zamienia się w szczeniaka,

a potem… nic. Klik-klik-klik-klik dobiegające ze szczytu masztu zamieniło się w klikklikklikklik. Gdybym spojrzał w górę, zobaczyłbym zapewne, jak oczy słońca poruszają się na boki coraz szybciej i szybciej, aż zamieniają się w dwie rozmyte plamy.

To zadziwiające, jakie rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy w chwilach ekstremalnego napięcia. Mnie przypomniał się pewien western z TCM, który oglądałem z tatą w czasach, gdy jeszcze pił. Miał tytuł *Pony Express*. Przypomniałem sobie scenę, w której Charlton Heston galopuje na złamanie karku w stronę opuszczonej placówki, gdzie na haczyku wisi torba z pocztą. Łapie ją i zabiera ze sobą, ani na moment nie zwalniając. Teraz ja musiałem dokonać podobnej sztuki i złapać Radar. Nie chciałem krzyczeć, więc przykucnąłem i wyciągnąłem przed siebie ręce w nadziei, że zrozumie ten gest.

Gdy tarcza kończyła kolejny obrót, Radar zobaczyła mnie i wstała. Podmuch wirującego dysku mierzwił jej sierść niczym niewidzialne dłonie. Gdybym jej nie złapał (Charlton Heston złapał torbę bez problemu, ale to był film), musiałbym sam wskoczyć na tarczę, chwycić ją i zeskoczyć. Być może straciłbym wtedy trochę ze swoich siedemnastu lat, ale czasami tylko takie desperackie działania mogą przynieść skutek.

Jak się okazało, wcale nie musiałem jej łapać. Gdy położyłem ją na tarczy zegara, nie była nawet w stanie chodzić o własnych siłach. Po pięciu – teraz już prawie sześciu – obrotach była całkiem innym psem. Przysiadła na tylnych łapach, napięła odzyskane przed chwilą potężne mięśnie i skoczyła prosto w moje wyciągnięte ramiona. Poczułem się tak, jakby uderzył we mnie worek cementu. Przewróciłem się na plecy, a Radar stanęła nade mną okrakiem; z przednimi łapami na moich ramionach, merdała bez opamiętania ogonem i lizała mnie po twarzy.

– Koniec z tym! – wyszeptałem, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, bo nie mogłem przestać się śmiać. Radar dalej mnie lizała.

W końcu usiadłem prosto i przyjrzałem się jej uważnie. Wcześniej ważyła nie więcej niż dwadzieścia pięć kilogramów, teraz co najmniej czterdzieści. Rzężenie i kaszel ustały. Zaschnięta ropa spod oka zniknęła bez śladu, jakby nigdy jej tam nie było. Zniknęła również siwizna, zarówno z pyska, jak i z grzbietu. Ogon, który wcześniej wyglądał jak postrzępiony proporczyk, był gruby i puszysty. Najlepiej jednak – było to chyba najważniejsze świadectwo zmian, które w niej zaszły – wyglądały jej oczy. Nie były zamglone i nieprzytomne, jakby nie wiedziała do końca, co dzieje się w niej i otaczającym ją świecie.

– Spójrz tylko na siebie – wyszeptałem. Musiałem otrzeć oczy. – Tylko na siebie spójrz.

## 4

Uściskałem ją i wstałem. Nawet nie przyszło mi do głowy, by szukać złotych monet. Wystarczająco wiele razy kusiłem dziś los.

Przypuszczałem, że ta nowa, poprawiona wersja Radar nie zmieści się do kosza z tyłu trójkołowca. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by się w tym upewnić. Nie miałem też smyczy. Została w domu Claudii, na wózku Dory. Pewnie jakaś cząstka mnie była przekonana, że już nigdy nie będę jej potrzebował.

Pochyliłem się, ująłem łeb Radar w dłonie i spojrzałem w jej ciemnobrązowe oczy.

– Trzymaj się mnie. I bądź cicho. Cisza, Radar.

Wracaliśmy tą samą drogą, którą tu przyszliśmy, ja na rowerze, ona truchtając obok mnie. Cały czas pamiętałem o tym, by nie patrzeć na sadzawkę. Gdy zbliżaliśmy się do kamiennego przejścia, znów zaczęło padać. W połowie zatrzymałem trójkołowiec i zsiadłem. Kazałem Radar usiąść i czekać. Przesuwając się powoli, odwrócony plecami do omszałej ściany korytarza, dotarłem do drugiego końca. Radar obserwowała moje poczynania, ale nie ruszała się z miejsca – dobry pies. Zatrzymałem się, gdy dojrzałem złotą poręcz absurdalnie bogato zdobionego tronu. Zrobiłem jeszcze krok, wygiąłem szyję i przekonałem się, że tron jest pusty. Krople deszczu bębniły o prążkowany daszek.

Gdzie była Hana? Po której stronie dwuczęściowego domu? I co robiła?

Istotne pytania, na które nie znałem odpowiedzi. Być może jadła jeszcze posiłek, który pachniał jak wieprzowina, ale prawdopodobnie wcale nią nie był, a może przeszła do części mieszkalnej na popołudniową drzemkę. Wydawało mi się, że odkąd szliśmy tędy w drugą stronę, nie minęło jeszcze tyle czasu, by mogła skończyć jeść, ale były to tylko domysły. Ostatnie przeżycia – najpierw syrena, potem zegar słoneczny – były na tyle intensywne, że mogłem stracić rachubę czasu.

Ze skraju korytarza widziałem nieczynną fontannę. Zapewniłaby nam dobrą osłonę, lecz najpierw musielibyśmy dostać się tam niezauważeni. Dzieliło nas od niej zaledwie pięćdziesiąt metrów, ale gdy wyobraziłem sobie, co się stanie, jeśli Hana nas tam złapie, ta odległość wydała mi się znacznie większa. Nasłuchiwałem ryczącego głosu olbrzymki, donośniejszego nawet od głosu Claudii, jednak bezskutecznie. Kilka wersów piosenki o bolcu i pale pomogłoby mi ustalić jej położenie, ale podczas pobytu w nawiedzonym mieście Lilimar nauczyłem się jednego: olbrzymy nigdy nie śpiewają wtedy, gdy tego chcemy.

Niemniej musiałem dokonać wyboru i postanowiłem, że spróbujemy dostać się do fontanny. Wróciłem do Radar i miałem właśnie wsiąść na trójkołowiec, gdy na lewym krańcu korytarza rozległ się głośny trzask. Radar drgnęła i odwróciła się w tę stronę; w jej piersiach wezbrał niski, głuchy warkot. Pochwyciłem ją, nim ten gniewny pomruk mógł się przerodzić w szczekanie, i pochyliłem się do niej.

– Cicho, Radar, spokojnie.

Słyszałem, jak Hana coś mamrocze – coś, czego nie mogłem zrozumieć – i znów wydaje z siebie ogłuszające pierdnięcie. Tym razem wcale nie chciało mi się śmiać, bo szła obok wejścia do tunelu. Gdyby spojrzała w prawo, Radar i ja moglibyśmy stanąć pod ścianą i może nie zauważyłaby nas w półmroku, ale nawet gdyby była krótkowidzem, nie przeoczyłaby trójkołowca Claudii.

Wyjąłem z kabury rewolwer pana Bowditcha. Jeśli Hana odwróciłaby się w naszą stronę, strzeliłbym do niej, wiedziałem nawet, w co konkretnie bym mierzył: w ten zaczerwieniony rowek przecinający na pół jej czoło. Nigdy nie ćwiczyłem strzelania do celu z broni pana Bowditcha (ani z żadnej innej), lecz miałem dobry wzrok. Gdybym nawet chybił za pierwszym razem, miałbym jeszcze cztery szanse. A jeśli chodzi o hałas? Przypomniałem sobie kości rozrzucone wokół tronu i pomyślałem: Pieprzyć hałas!

Nie spojrzała w naszą stronę ani w stronę fontanny; wpatrywała się w swoje stopy i szła dalej, mrucząc coś pod nosem, całkiem jak mój tata dzień przed tym, jak miał wygłosić przemówienie na uroczystej dorocznej kolacji Overland National Insurance, gdy został Regionalnym Pracownikiem Roku. Trzymała coś w lewej ręce, nie widziałem jednak, co to jest, dopóki nie podniosła tego do ust. Zniknęła mi z oczu, zanim zdążyła

to ugryźć, co tylko mnie ucieszyło. Jestem pewien, że była to stopa i że widniał już na niej półkolisty ślad ugryzienia.

Bałem się, że Hana zasiądzie z powrotem na tronie, żeby tam dojeść poobiednią przekąskę, ale deszcz najwyraźniej odwiódł ją od tego pomysłu. A może po prostu chciała się zdrzemnąć. Tak czy inaczej, najpierw rozległ się trzask zamykanych drzwi, tym razem po naszej prawej stronie, a potem zapadła cisza. Wsunąłem rewolwer do kabury i usiadłem obok mojego psa. Nawet w półmroku widziałem, jak dobrze wygląda Radar: zdrowo i młodo. Cieszyłem się. Może wyda wam się, że to zbyt banalne słowo w tym kontekście, ale ja tak nie uważam. Moim zdaniem radość to coś bardzo, bardzo ważnego. Nie mogłem oderwać rąk od jej sierści i nadziwić się, jaka jest gęsta.

## 5

Nie chciałem czekać, chciałem jak najszybciej wydostać się z Lilimar z moim odmłodzonym psem, zabrać go do baraku z trolejbusami i patrzeć, jak je, ile tylko może. Byłem pewien, że będzie tego niemało. Mogłem jej dać cały słój karmy Orijen, gdyby tylko chciała, i kilka kawałków suszonej wołowiny Perky Jerky na deser. Potem obejrzelibyśmy powrót monarchów do ich siedliska.

Tego właśnie chciałem, ale zdobyłem się jeszcze na odrobinę cierpliwości i dałem Hanie czas, by się umościła. Odliczyłem do pięciuset co dziesięć, potem co pięć, a na koniec co dwa. Nie wiedziałem, czy to wystarczająco dużo czasu, by ta wielka suka zasnęła na dobre, ale nie

mogłem dłużej czekać. Wydostanie się z jej okolicy było ważne, ale musiałem też wyjść z miasta przed zmierzchem, i to nie tylko ze względu na nocnych żołnierzy. Niektóre znaki pana Bowditcha były już mocno wyblakłe lub zamazane, a gdybym zboczył z wyznaczonej przez niego trasy, miałbym naprawdę spore kłopoty.

– Chodź – zwróciłem się do Radar. – Ale cicho, malutka, cicho.

Ciągnąłem trójkołowiec za sobą, by odgrodzić się nim od Hany, gdyby nas nagle zaatakowała. Gdy odtrącałaby go na bok, ja miałbym może czas, by wyjąć pistolet i strzelić. Mogłem też liczyć na Radar, która znów stała się silnym i groźnym zwierzakiem. Przypuszczałem, że gdyby Hana z nią zadarła, utraciłaby kawałek swojego wielgachnego cielska. Pomyślałem, że byłby to naprawdę przyjemny widok. Tylko że widok olbrzymki łamiącej kark mojemu psu jednym uderzeniem nie byłby wcale miły.

Przystanąłem przy wyjściu z korytarza, a potem ruszyłem w stronę fontanny, z Radar u boku. Niektóre mecze futbolowe (zwłaszcza z naszym odwiecznym rywalem, liceum St. John’s) ciągnęły się w nieskończoność, ale przejście przez otwartą przestrzeń między domem Hany a nieczynną fontanną na placu było najdłuższym marszem w moim życiu. Wciąż czekałem w napięciu, czy za plecami nie rozlegnie się nagle empisańska wersja piosenki z baśni o magicznej fasoli, a potem głuchy odgłos wielkich stóp olbrzymki uderzających w biegu o ziemię.

W górze wrzasnął jakiś ptak – może wrona, może myszołów – lecz poza tym dokoła panowała cisza. W końcu dotarliśmy do fontanny i oparłem się o nią, by otrzeć twarz z potu i deszczu. Radar patrzyła na mnie z dołu. Nie trzęsła się ani nie kaszlała, lecz rozchylała pysk w psim uśmiechu. Świetnie się bawiła.

Spojrzałem jeszcze raz w stronę domu Hany, po czym wsiadłem na trójkołowiec i ruszyłem w stronę eleganckiego bulwaru, gdzie niegdyś bez

wątpienia spotykała się miejscowa elita, by przy podawanych na podwieczorek małych kanapkach dzielić się najnowszymi wieściami z dworu. Może wieczorami urządzano tu grille lub bale kotylionowe przy blasku lamp, a śmiech i zabawa wypełniały wielkie dziedzińce porośnięte teraz chwastami, ostami i niebezpiecznymi kwiatami.

Pedałowałem całkiem ostro, ale Radar bez problemu dotrzymywała mi kroku, sadząc wielkie susy, z językiem zwisającym beztrosko z boku pyska. Deszcz przybierał na sile, lecz nie zwracałem na to uwagi. Chciałem jedynie wrócić do bramy tą samą trasą, którą się tu dostałem, i opuścić miasto. Później będę się zastanawiał, jak wysuszyć przemoczone ubrania, a jeśli się przeziębię, Claudia z pewnością nakarmi mnie pysznym rosołem i wykuruje, nim przejdę do Woody'ego… potem do Dory… i w końcu do domu. Tata na pewno da mi nieźle popalić, ale kiedy zobaczy Radar…

No właśnie, co będzie, jak zobaczy Radar?

Pomyślałem, że na razie nie będę się tym przejmował. Najpierw musiałem wydostać się z tego nieprzyjemnego miasta, które wcale nie było opuszczone. I które nie chciało trwać w bezruchu.

# 6

Wydawało się, że to łatwizna – podążać za znakami pana Bowditcha, zmierzając w kierunku przeciwnym do tego, na który wskazywały strzałki, aż dojedziemy do bramy. Gdy jednak dotarliśmy do punktu, w którym wcześniej wjechaliśmy na szeroki bulwar, nie znalazłem tam jego inicjałów. Byłem pewien, że widziałem je na kamieniu przed rozległym budynkiem

z brudną szklaną kopułą na szczycie, lecz teraz niczego tam nie było. Czy to możliwe, by inicjały zmyła woda? Nie wydawało mi się to prawdopodobne, biorąc pod uwagę, ile już razy padał na nie deszcz przez te wszystkie lata, w dodatku te inicjały były jeszcze stosunkowo wyraźne. Może się jednak myliłem.

Pojechałem dalej bulwarem, szukając znaków. Kiedy minąłem kolejne trzy boczne uliczki i wciąż żadnego nie znalazłem, postanowiłem zawrócić do budynku ze szklaną kopułą, przypominającego bank.

– Wiem, że to tu było – powiedziałem, wskazując w głąb łukowatej ulicy, gdzie na bruku leżała przewrócona donica z uschniętym drzewkiem. – Pamiętam to. Wygląda jednak na to, że deszcz pozmywał litery. Chodź, Radar.

Jechałem powoli, wypatrując uważnie znaku, coraz bardziej zaniepokojony. Bo przecież te wskazówki tworzyły łańcuch, prawda? Łańcuch podobny do tego, który prowadził mnie od tragicznego wypadku mojej mamy na moście do szopy pana Bowditcha. Wystarczyło, żeby wykruszyło się tylko jedno ogniwo, bym zgubił drogę. „Po zmroku ciągle byś błądził po tym piekle!”, powiedziała Claudia.

Nieco dalej, w głębi wąskiej ulicy, natrafiliśmy na szereg opuszczonych starych sklepów. Wydawało mi się, że tędy jechaliśmy, ale i tu nie znalazłem inicjałów pana Bowditcha. Kojarzyłem chyba coś, co wyglądało na aptekę po mojej stronie ulicy, lecz przekrzywiony budynek z oknami bez szyb, stojący po drugiej stronie, nie wyglądał wcale znajomo. Rozejrzałem się, wypatrując pałacu, który pomógłby mi określić nasze położenie, ale wszystko, co było dalej, niknęło za zasłoną deszczu.

– Radar – powiedziałem, wskazując na najbliższy róg. – Czujesz tam coś?

Poszła w tamtym kierunku, obwąchała spękany chodnik i spojrzała na mnie, oczekując dalszych instrukcji. Nie przychodził mi jednak do głowy żaden pomysł i z pewnością nie miałem do niej pretensji. Przyjechaliśmy tu przecież na trójkołowcu, a zresztą nawet gdybyśmy szli na piechotę, deszcz dawno już zmyłby nasz zapach.

– Chodź – przywołałem ją.

Pojechaliśmy w głąb ulicy, bo wydawało mi się, że pamiętam tę aptekę, ale i dlatego, że gdzieś musieliśmy jechać. Uznałem, że najrozsądniej będzie stale mieć na oku pałac i wykorzystywać go jako punkt orientacyjny, a jednocześnie starać się dotrzeć do Drogi Gallienów. Być może jazda główną arterią nie była bezpieczna – pan Bowditch zapewne nie bez powodu wyznaczył trasę, która ją omijała – ale przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie się kierować. Jak już mówiłem, Droga Gallienów prowadziła prosto do bramy.

Problem w tym, że ulice jakby się uparły, by odciągać nas od pałacu, zamiast do niego zbliżać. Nawet gdy deszcz zelżał i widziałem wyraźnie trzy zielone wieże, miałem wrażenie, że stale się od nich oddalam. Pałac był po naszej lewej i znajdowałem mnóstwo ulic, które prowadziły w tamtym kierunku, ale wszystkie albo okazywały się ślepe, albo ponownie skręcały w prawo. Szepty były coraz głośniejsze. Próbowałem je ignorować i wmawiać sobie, że to tylko wiatr, lecz nie potrafiłem. Bo nie docierał tu najmniejszy powiew. Piętrowy budynek widziany tylko kątem oka rósł o kolejne piętro, gdy się jednak do niego odwracałem, przybierał pierwotną postać. Sześcienny gmach jakby wybrzuszał się w moją stronę. Gargulec – coś podobnego do gryfona – odwracał głowę, by nas obserwować.

Jeśli Radar widziała lub wyczuwała te zjawiska, wcale się nimi nie przejmowała, a może po prostu wciąż nie mogła się nacieszyć cudownie odzyskanym zdrowiem. Ja jednak odczuwałem coraz większy niepokój.

Coraz trudniej też przychodziło mi uwolnić się od myśli, że Lilimar to żywa istota, na wpół świadoma i zdecydowana zatrzymać nas w obrębie swoich murów.

Ulica przed nami kończyła się rowem o stromych brzegach, wypełnionym śmieciami i cuchnącą wodą – kolejny ślepy zaułek. Kierowany impulsem, wjechałem w uliczkę tak wąską, że koła roweru ocierały się o ściany budynków po obu stronach. Radar szła przede mną. Nagle przystanęła i zaczęła szczekać. Miała donośny głos, zasilany zdrowymi płucami.

– O co chodzi?

Szczeknęła jeszcze raz i usiadła; nadstawiała uszu, spoglądając w głąb alejki. Nagle zza rogu ulicy, z którą łączyła się alejka, dobiegł wysoki, dobrze mi znany głos.

– Witaj, zbawco inseków! Nadal jesteś nerwowym chłopcem czy tylko przerażonym chłopcem? Takim, który chce uciec do domu, do mamusi, ale nie może znaleźć drogi?

Przerwał na moment, zanosząc się głośnym śmiechem.

– Starłem twoje znaki ługiem, wiesz? Zobaczymy, czy uda ci się wydostać z Lily, zanim nocni żołnierze ruszą na łów! Dla mnie to żaden problem, ten mały koleżka zna to miasto jak własną kieszeń!

Mówił do mnie Peterkin, ale oczami wyobraźni widziałem Polleya. Polley przynajmniej miałby powód do zemsty: połamałem mu ręce. A co takiego zrobiłem Peterkinowi? Zmusiłem go jedynie, by przestał torturować wyrośniętego ponad miarę świerszcza.

Zawstydziłem go, w tym problem. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Ale wiedziałem coś, o czym on niemal na pewno nie miał pojęcia: że umierający pies, z którym widział mnie na Drodze Królestwa, nie był

tym psem, z którym teraz podróżowałem. Radar spoglądała na mnie wyczekująco. Wskazałem na boczną uliczkę.

– BIERZ GO!

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Pomknęła w stronę, z której dochodził ten nieprzyjemny głos; pędziła, rozchlapując brudne kałuże, a potem zniknęła za rogiem. Najpierw usłyszałem zdumiony wrzask Peterkina i wściekłe ujadanie – takie, które dawno, dawno temu śmiertelnie wystraszyło Andy'ego Chena – a potem pełne bólu wycie.

– Pożałujesz tego! – ryknął karzeł. – Ty i twój przeklęty pies!

Naciskając mocno na pedały, jechałem w głąb wąskiej alejki. Nie mogłem gnać tak szybko, jak bym chciał, bo koła wciąż ocierały się o ściany domów.

– Trzymaj go! – krzyknąłem. – Trzymaj go, Radar!

Gdyby jej się to udało, Peterkin wyprowadziłby nas z miasta. Przekonałbym go do tego, tak jak przekonałem Polleya.

Kiedy jednak zbliżałem się do końca alejki, zza rogu wyszła Radar. Psy potrafią przybrać skruszoną minę – wie o tym każdy, kto miał kiedyś psa – i taką właśnie miała wtedy. Peterkin zdołał uciec, ale nie wyszedł z tego starcia bez szwanku. Psica trzymała w pysku spory kawałek jasnozielonej tkaniny, która mogła pochodzić jedynie z portek karła. Skłamałbym, mówiąc, że nie ucieszył mnie widok dwóch czerwonych plam krwi na jasnozielonym tle.

Dotarłem do końca alejki, spojrzałem w prawo i zobaczyłem, jak trzyma się gzymsu na pierwszym piętrze kamiennego budynku w głębi ulicy, jakieś dwadzieścia, może trzydzieści metrów dalej. Wyglądał jak mucha w ludzkiej postaci. Dostrzegłem też metalową rynnę, na którą musiał się wspiąć, by uciec przed Radar (ale nie dość szybko, ha-ha). Teraz podciągnął się wyżej, wdrapał na kamienną półkę i przykucnął na niej.

Wydawała się dość krucha i miałem nadzieję, że się pod nim załamie, ale los nie był aż tak łaskawy. Być może nie utrzymałaby go, gdyby był rozmiarów przeciętnego człowieka.

– Zapłacisz mi za to! – wrzasnął, potrząsając pięścią w moją stronę. – Na początek nocni żołnierze zabiją twojego psa! Ale mam nadzieję, że nie zabiją ciebie! Chcę zobaczyć, jak Ruda Molly wypruwa ci flaki podczas Selekcji!

Wyjąłem z kabury czterdziestkępiątkę, ale zanim mogłem strzelić (z takiej odległości niemal na pewno bym chybił), Peterkin wydał z siebie kolejny paskudny krzyk, objął małymi rękami swoje równie małe kolana, przetoczył się do tyłu i zniknął za krawędzią okna.

– Cóż – zwróciłem się do Radar. – To było ekscytujące, nie uważasz? Co ty na to, żebyśmy się stąd jak najszybciej wynieśli?

Odpowiedziała mi pojedynczym szczeknięciem.

– I wypluj te jego portki, zanim się zatrujesz.

Posłusznie wypuściła z pyska kawałek zakrwawionej tkaniny i ruszyliśmy dalej. Gdy mijaliśmy okno, za którym zniknął Peterkin, wypatrywałem go przez dłuższy czas w nadziei, że pojawi się tam niczym tarcza na strzelnicy, ale czekało mnie rozczarowanie. Przypuszczam, że tacy tchórzliwi skurwiele jak on nie dają ci drugiej szansy… czasami jednak (jeśli los zechce się do ciebie uśmiechnąć) dostajesz trzecią.

Na to właśnie liczyłem.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

## Problem z psami. Piedestał. Cmentarz. Brama.

### 1

Problem z psami (zakładając oczywiście, że ich nie bijecie ani nie kopiecie) polega na tym, że nam ufają. To właściciel psa daje mu jedzenie i dach nad głową. Którąś ze swoich pięciopalczastych łap może wygrzebać piszczącą małpkę spod kanapy. I obdarza psa miłością. Tego rodzaju bezwarunkowe zaufanie niesie ze sobą wielką odpowiedzialność. Zwykle nie jest to kłopotem. Lecz w naszym przypadku było inaczej.

Radar najwyraźniej świetnie się bawiła, właściwie skakała z radości. Bo dlaczego nie? Nie była już starym, na wpół ślepym owczarkiem niemieckim, którego musiałem za sobą holować, najpierw w wózku Dory, a potem w koszu na wielkim trójkołowcu Claudii. Znów była młoda, znów była silna, miała nawet okazję rozerwać portki i ugryźć w tyłek starego paskudnego krasnala. Czuła się świetnie w swoim odmłodzonym ciele i obecnej sytuacji. Była przecież z kimś, kto ją karmi, kto daje jej schronienie i obdarza miłością. W jej świecie wszystko wyglądało fantastycznie.

Tymczasem ja walczyłem z paniką. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło wam się zgubić w wielkim mieście, zrozumiecie, o czym mówię. Tyle że tutaj nie mogłem spytać jakiegoś uprzejmego cudzoziemca o drogę. A miasto zwróciło się przeciwko mnie. Jedna ulica prowadziła do następnej i każda kolejna okazywała się ślepym zaułkiem, gdzie gargulce łypały na mnie okiem z wielkich domów, których – mógłbym przysiąc – wcale tu nie było, kiedy się odwracałem, żeby sprawdzić, czy Peterkin nie podąża naszym śladem. Deszcz zamienił się w mżawkę, ale pałac często znikał za budynkami, które rosły, gdy tylko odwróciłem od nich wzrok, przesłaniając widok na resztę miasta.

Do tego dochodziło coś jeszcze gorszego. Kiedy już widziałem pałac, za każdym razem pojawiał się w innym miejscu, niż tego oczekiwałem. Jakby i on się przemieszczał. Być może było to tylko złudzenie powodowane strachem – powtarzałem sobie nieustannie – nie do końca jednak w to wierzyłem. Mijało popołudnie, a każdy ślepy zaułek przypominał mi, że zbliża się zmrok. Nie miałem już wątpliwości: przez Peterkina całkiem się pogubiłem. Wcale bym się nie zdziwił, gdybym w kolejnej ślepej uliczce zobaczył dom z piernika i czarownicę, która zaprosiłaby mnie i psa – Jasia i Małgosię – do środka.

Tymczasem Radar bez trudu dotrzymywała kroku trójkołowcowi i co jakiś czas spoglądała na mnie z psim uśmiechem, który niemal krzyczał: „Ale super zabawa, co?!”.

Jechaliśmy dalej. I dalej.

Co jakiś czas, gdy odsłaniał się przede mną szerszy widok na okolicę, wchodziłem na siedzenie trójkołowca i próbowałem wypatrzyć mury miasta, które oprócz trzech wież pałacu były najwyższą konstrukcją w mieście. Lecz ich nie widziałem. A wieże znajdowały się teraz po mojej prawej ręce, co wydawało się niemożliwe. Przecież gdybym przejechał

przed frontem pałacu, przeciąłbym Drogę Gallienów, a z pewnością na nią nie trafiłem. Miałem ochotę krzyczeć z bezsilnej złości. Miałem ochotę zwinąć się w kłębek i zakryć głowę rękami. Chciałbym znaleźć policjanta, bo mama mówiła mi, że to właśnie powinny robić dzieci, kiedy się zgubią.

Radar wciąż patrzyła na mnie z radosnym uśmiechem: „Fajnie jest, co? Po prostu superowo, nie?”.

– Mamy kłopoty, mała.

Wciąż pedałowałem. Na niebie nie było ani skrawka błękitu, nie wspominając o słońcu, które mogłoby mnie poprowadzić. Tylko tłoczące się dokoła budynki, niektóre zniszczone, inne tylko puste, ale wszystkie w jakimś sensie głodne. Jedynym dźwiękiem, który mącił martwą ciszę, były przytłumione szepty. Gdyby nie ustawały, być może zdołałbym do nich przywyknąć, ale rozbrzmiewały tylko co jakiś czas, znienacka, jakbym mijał zgromadzenia niewidocznych nieumarłych.

Tamto straszne popołudnie (nigdy nie zdołam opisać tego, jak straszne) ciągnęło się w nieskończoność, ale w końcu zauważyłem pierwsze oznaki nadchodzącego wieczoru. Chyba trochę płakałem, ale nie jestem tego pewien. Jeśli tak było, to płakałem zarówno nad sobą, jak i nad Radar. Dotarłem z nią aż do tego miejsca, osiągnąłem zamierzony cel, lecz wszystko to miało się okazać daremne. Przez tego przeklętego karła. Żałowałem, że Radar nie rozszarpała mu gardła zamiast spodni.

Najgorsze ze wszystkiego było zaufanie, które widziałem w jej oczach za każdym razem, gdy na mnie spoglądała.

Zaufałaś głupcowi, pomyślałem. Masz pecha, kochanie.

# 2

Dotarliśmy do zarośniętego parku. Po jego trzech stronach stały szare budynki z pustymi balkonami. Wyglądały, moim zdaniem, jak skrzyżowanie luksusowych apartamentowców z chicagowskiej dzielnicy Gold Coast i cel więziennych. Pośrodku parku wznosił się wielki pomnik na wysokim piedestale. Wyglądało na to, że pierwotnie przedstawiał mężczyznę i kobietę z olbrzymim motylem między nimi, ale jak wszystkie inne dzieła sztuki, na które natknąłem się w Lilimar (nie wspominając o biednej zamordowanej syrenie), był w większości zniszczony. Głowa i jedno skrzydło motyla zostały rozbite na drobne kawałki. Drugie skrzydło ocalało; sądząc po kształcie (bo wszelkie kolory zniknęły z powierzchni kamienia, jeśli kiedykolwiek tam były), był to monarcha. Posągi mężczyzny i kobiety być może przedstawiały niegdyś króla i królową, czego jednak nie dało się w żaden sposób stwierdzić, bo ocalały z nich tylko nogi.

Kiedy siedziałem i patrzyłem na tę sponiewieraną rzeźbę, nad miastem przetoczył się dźwięk trzech dzwonów, każdy oddzielony od poprzedniego dłuższą przerwą, każdy poważny i uroczysty. „Nie musisz przejść przez bramę, zanim usłyszysz dźwięki trzech dzwonów, ale musisz opuścić Lilimar zaraz potem!”, poinstruowała mnie Claudia.

Wkrótce miała nadejść ciemność.

Ruszyłem dalej, wiedząc, że to niczego nie zmieni, bo wpadłem w pajęczą sieć, którą Peterkin nazywał Lily. Zastanawiałem się, jakiż to nowy koszmar sprowadzą ze sobą nocni żołnierze, gdy przyjdą nas pojmać. Zatrzymałem się tknięty myślą, która wydawała się szalona i całkiem rozsądna zarazem.

Zawróciłem i wjechałem z powrotem do parku. Zacząłem schodzić z trójkołowca, ale oszacowałem w myślach wysokość piedestału, na którym stał zniszczony posąg, i zmieniłem zdanie. Wjechałem w wysoką trawę, licząc na to, że nie natrafię tu na te paskudne parzące kwiaty o żółtych płatkach. Miałem też nadzieję, że trójkołowiec nie ugrzęźnie w rozmiękłej po deszczu ziemi. Wytężyłem siły i nie przestawałem pedałować. Radar dotrzymywała mi kroku; nie szła i nawet nie biegła, lecz radośnie skakała. Nawet w tej sytuacji ten widok sprawiał mi przyjemność.

Cokół pomnika był otoczony wodą. Zatrzymałem w niej trójkołowiec, zawiesiłem plecak na kierownicy, stanąłem na siedzeniu i wyciągnąłem ręce w górę. Stojąc na palcach, sięgałem dłońmi szorstkiej krawędzi piedestału. Dziękując Bogu, że wciąż jestem w całkiem niezłej formie, podniosłem się na rękach, położyłem jedno przedramię na zaścielonej skalnymi odłamkami powierzchni, potem drugie i w końcu wgramoliłem się na górę. W pewnym momencie przestraszyłem się, że polecę do tyłu i wyląduję na trójkołowcu – prawdopodobnie coś bym sobie przy tym złamał – ale w ostatniej chwili sięgnąłem ręką do przodu i pochwyciłem się stopy kobiety. Podrapałem sobie trochę brzuch o skalne odłamki, kiedy wciągałem resztę ciała, lecz poza tym nic mi się nie stało.

Radar patrzyła na mnie z dołu i szczekała. Kazałem jej się uciszyć i zrobiła to. Wciąż jednak merdała ogonem: „Czy on nie jest cudowny? Patrzcie, jak wysoko wszedł!”.

Wyprostowałem się i przytrzymałem ocalałego skrzydła motyla. Może pozostało w nim trochę magii – tej dobrej – bo czułem, że choć trochę ustępuje dręczący mnie strach. Przytrzymując się skrzydła najpierw jedną ręką, a potem drugą, obróciłem się powoli wokół własnej osi. Zobaczyłem trzy wieże na tle ciemniejącego nieba. Teraz były mniej więcej tam, gdzie jak mi się zdawało, powinny się znajdować. Nie widziałem murów

i właściwie nie spodziewałem się ich zobaczyć. Piedestał był wysoki, lecz od granicy miasta dzieliło nas zbyt wiele budynków. Celowo, jak przypuszczałem.

– Poczekaj, Radar – powiedziałem. – To nie potrwa długo.

Miałem nadzieję, że nie mylę się w tej kwestii. Pochyliłem się, podniosłem kawałek kamienia z ostrym czubkiem i zamknąłem go w dłoni.

Mijały kolejne minuty. Policzyłem do pięciuset co dziesięć, następnie co pięć, a potem… straciłem rachubę. Byłem zbyt przejęty nadchodzącym wieczorem. Czułem niemal fizycznie, jak dzień powoli umiera, jak światło uchodzi z niego niczym krew z otwartej rany. W końcu, gdy zaczynałem już przypuszczać, że wspiąłem się tutaj nadaremnie, zobaczyłem, jak od strony, którą wcześniej uznałem za południe, nadciąga ciemność. Sunęła w moją stronę. Motyle wracały na noc. Wyciągnąłem przed siebie wyprostowaną rękę, mierząc z niej niczym ze strzelby do nadlatujących motyli. Straciłem je z oczu, kiedy ukląkłem, nadal jednak trzymałem rękę w górze. Korzystając z ostrego kawałka kamienia, wydrapałem znaczek z boku piedestału, a potem powiodłem wzrokiem wzdłuż wyprostowanej ręki i namierzyłem lukę między dwoma budynkami po drugiej stronie parku. Był to już jakiś punkt zaczepienia. Zakładając oczywiście, że luka nie zniknie.

Obróciłem się na kolanach i zsunąłem nogi z krawędzi piedestału. Zamierzałem się powoli opuszczać i zawisnąć na rękach, ale moje dłonie ześlizgnęły się z kamiennej krawędzi i spadłem. Wystraszona Radar szczeknęła. Wiedziałem, że powinienem ugiąć nogi w kolanach i przetoczyć się przy lądowaniu. Na szczęście ziemia była mokra od deszczu i miękka. Ochlapałem się wodą i błotem od stóp do głów. Wstałem (omal nie przewracając się przy tym na moim wiernym psie), otarłem twarz i znalazłem znaczek, który wyryłem przed chwilą na cokole. Wyciągnąłem

rękę w wyznaczonym kierunku i odetchnąłem z ulgą, widząc, że luka między dwoma budynkami wciąż jest w tym samym miejscu. Linia prowadząca do tych budowli – drewnianych, nie kamiennych – przecinała park na ukos. Zobaczyłem, że w kilku miejscach na trasie rozciągają się wielkie kałuże, i uzmysłowiłem sobie, że trójkołowiec z pewnością w nich utknie, jeśli spróbuję tamtędy przejechać. Pomyślałem, że będę musiał przeprosić Claudię, bo obiecałem jej przecież, że zwrócę jej pojazd, postanowiłem jednak martwić się tym później, kiedy się z nią zobaczę.

Jeśli się z nią zobaczę.

– Chodź, mała. – Zarzuciłem paski plecaka na ramiona i poderwałem się do biegu.

## 3

Szliśmy z chlupotem przez wielkie kałuże. Niektóre były płytkie, ale miejscami woda sięgała mi niemal do kolan; czułem, jak błoto próbuje wessać moje buty. Radar bez trudu dotrzymywała mi kroku, z wywieszonym językiem rozglądając się z zaciekawieniem. Przemoczona sierść kleiła się do jej muskularnego ciała, lecz wyglądało na to, że wcale jej to nie przeszkadza. Świetnie się bawiliśmy!

Budynki wznoszące się za parkiem wyglądały na magazyny. Kiedy do nich dotarliśmy, przystanąłem na chwilę, by poprawić i zawiązać od nowa jeden z przemokniętych butów. Spojrzałem na piedestał. Nie widziałem już znaczka, który tam pozostawiłem – od zniszczonego pomnika dzieliło nas co najmniej sto metrów – wiedziałem jednak, gdzie jest. Rozłożyłem

ramiona, wskazując jedną ręką na pomnik, a drugą na lukę między budynkami, po czym pobiegliśmy w tamtą stronę. Rzeczywiście były to magazyny. Czułem zwietrzały zapach ryb, które przechowywano tu dawno temu. Plecak podskakiwał i obijał mi się o plecy. Wyszliśmy na wąską alejkę, wzdłuż której ciągnęły się kolejne magazyny. Wszystkie wyglądały tak, jakby dawno temu się do nich włamano i prawdopodobnie splądrowano. Dwa budynki położone dokładnie naprzeciwko nas stały zbyt blisko siebie, byśmy mogli między nimi przejść, skręciłem więc w prawo, znalazłem alejkę i pobiegłem nią. Po drugiej stronie znajdował się zarośnięty ogród. Skręciłem w lewo, by wrócić do wyznaczonej wcześniej prostej linii, i pędziłem dalej. Próbowałem sobie wmawiać, że jeszcze nie zmierzcha – jeszcze nie, jeszcze nie – ale zmrok zapadał. Oczywiście, że tak.

Raz po raz musiałem okrążać budynki, które stały nam na drodze, i raz po raz próbowałem wrócić na prosty kurs prowadzący do miejsca, gdzie widziałem motyle. Nie byłem już wcale pewien, czy rzeczywiście trzymałem się tego kierunku, ale musiałem próbować. Nie pozostało mi nic innego.

Przeszliśmy między dwoma wielkimi kamiennymi budynkami, przez lukę tak wąską, że musiałem przesuwać się bokiem (Radar nie miała takiego problemu). Kiedy znalazłem się po drugiej stronie, na ulicy między czymś, co kiedyś mogło być wielkim muzeum, a oranżerią o szklanych ścianach, zobaczyłem mury miasta. Wznosiły się nad budynkami na końcu ulicy. Wierzchołki murów niknęły w nisko zawieszonych chmurach.

– Radar! Chodź!

Chmury przesłoniły niebo tak szczelnie, że nie potrafiłem określić, czy rzeczywiście zapadły już ciemności, bałem się jednak panicznie, że tak. Pobiegliśmy w stronę murów, choć wiedziałem, że ta ulica nie doprowadzi

nas do bramy. Nie była to jeszcze właściwa trasa, ale zbliżaliśmy się do Drogi Gallienów, byłem tego pewien. Z przodu budynki ustąpiły miejsca cmentarzowi na końcu ulicy. Dostrzegłem przechylone nagrobki, tablice pamiątkowe i kilka niewielkich budowli, które pewnie były kryptami. Cmentarz był ostatnim miejscem, w którym chciałbym się znaleźć po zmroku, ale jeśli miałem rację – Boże, spraw, żebym miał rację, modliłem się w duchu – to właśnie tędy musieliśmy przejść.

Przemknąłem przez szeroko otwartą żeliwną bramę, a Radar po raz pierwszy się zawahała; przednie łapy postawiła na popękanej betonowej płycie, a tylne pozostawiła na ulicy. Ja też przystanąłem, by przy okazji złapać oddech.

– Mnie też się to nie podoba, mała, ale musimy, chodź!

Ruszyła do przodu. Przemykaliśmy slalomem między płytami nagrobnymi. Z wybujałych traw i ostów zaczęła się podnosić wieczorna mgła. Jakieś czterdzieści metrów przed sobą zobaczyłem żeliwny płot. Wydawał się zbyt wysoki, bym mógł się na niego wspiąć, nawet gdybym nie miał ze sobą psa, ale była też brama.

Potknąłem się o płytę nagrobną i runąłem jak długi na ziemię. Zacząłem się podnosić, lecz zamarłem, nie wierząc początkowo własnym oczom. Z ziemi wysunęła się dłoń, wysuszona, o pomarszczonej, cienkiej jak pergamin skórze, spod której miejscami wystawały pożółkłe kości. Otwierała się i zamykała, łapiąc i wypuszczając drobiny wilgotnej ziemi. Kiedy widziałem takie rzeczy w horrorach, śmiałem się głośno z przyjaciółmi i sięgałem po kolejną garść popcornu. Teraz się nie śmiałem. Wrzeszczałem… a dłoń mnie usłyszała. Obróciła się w moją stronę jak jakiś pieprzony radar i chwyciła kościstymi palcami ciemniejące powietrze.

Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem. Radar pędziła za mną, szczekając, warcząc i oglądając się do tyłu. Dotarłem do cmentarnej bramy.

Była zamknięta na klucz. Cofnąłem się, przechyliłem na bok, obniżając jedno ramię, i uderzyłem w nią bokiem tak, jak niegdyś atakowałem zawodników z przeciwnej drużyny. Brama zatrzęsła się z głośnym grzechotem, lecz nie ustąpiła. Radar szczekała coraz głośniej i coraz wyżej; nie było to już zwykłe HAU-HAU-HAU, tylko JARK-JARK-JARK, jakby i ona próbowała krzyczeć.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem kolejne dłonie wysuwające się z ziemi, niczym upiorne kwiaty z palcami zamiast płatków. Najpierw tylko kilka, a potem kilkadziesiąt. Może kilkaset. I coś jeszcze, coś gorszego: skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Krypty wypuszczały swoich zmarłych. Przypominam sobie, co wtedy pomyślałem: że oczywiście można ukarać intruza – to zrozumiałe – ale to było absurdalne.

Uderzyłem w bramę raz jeszcze, z całych sił. Otworzyła się gwałtownie i poleciałem do przodu, wymachując ramionami i próbując zachować równowagę. Niemal mi się udało, potknąłem się jednak na czymś, może krawężniku, i upadłem na kolana.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że jestem na Drodze Gallienów.

Zerwałem się na równe nogi, nie zważając na rozdarte spodnie i otarte kolana. Obejrzałem się przez ramię na cmentarz. Nic nas nie goniło, ale te machające ręce były wystarczająco straszne. Pomyślałem o tym, ile siły wymaga przebicie wieka trumny i przedarcie się przez warstwę ziemi. Choć być może Empisanie nie używali trumien, może tylko owijali zmarłych całunem i to im wystarczało. Mgła okrywająca ziemię rozjarzyła się niebieskim światłem, jakby ktoś podłączył ją do prądu.

– BIEGNIJ! – krzyknąłem do Radar. – BIEGNIJ!

Pędziliśmy do bramy. Pędziliśmy, by ratować swoje życie.

# 4

Wyszliśmy na główną drogę znacznie dalej od bramy niż wtedy, kiedy skręciliśmy w boczną ulicę, kierując się znakami pana Bowditcha, ale dostrzegłem bramę w gęstniejącym mroku. Dzieliło nas od niej jakieś osiemset metrów, może nawet mniej. Dyszałem ciężko, nogi coraz bardziej mi ciążyły – po części dlatego, że spodnie namokły wodą i błotem, gdy spadłem z piedestału, ale przede wszystkim po prostu ze zmęczenia. Uprawiałem sport, od kiedy poszedłem do szkoły, ale zrezygnowałem z koszykówki – nie tylko dlatego, że nie przepadałem za trenerem Harknessem, lecz głównie dlatego, że ze względu na wzrost i wagę raczej nie nadawałem się na biegacza. Nie bez powodu podczas sezonu baseballowego grałem jako pierwszobazowy: była to pozycja defensywna, niewymagająca szczególnej szybkości. Teraz musiałem zwolnić do truchtu. Choć miałem wrażenie, że wcale nie przybliżam się do bramy, nie mogłem poruszać się szybciej, jeśli nie chciałem, by złapały mnie skurcze, bo wtedy musiałbym się całkiem zatrzymać.

Radar obejrzała się i przerażona, znów zaczęła piskliwie poszczekiwać. Obróciłem się i zobaczyłem kilka jaskrawych jasnoniebieskich świateł, zbliżających się do nas od strony pałacu. To musieli być nocni żołnierze. Nie traciłem czasu na przekonywanie siebie, że jest inaczej, tylko po prostu przyspieszyłem tempa.

Traciłem i łapałem oddech, każdy haust powietrza był gorętszy od poprzedniego. Serce waliło mi jak młotem. Przed moimi oczami pojawiły się pulsujące jasne plamy. Odwróciłem głowę ponownie i zobaczyłem, że niebieskie światła nadal się zbliżają. I że mają nogi. Byli to ludzie, każdy

otoczony jaskrawym niebieskim blaskiem. Nie widziałem jeszcze twarzy i wcale nie chciałem ich zobaczyć.

Potknąłem się o własne głupie nogi, złapałem równowagę i biegłem dalej. Zrobiło się już całkiem ciemno, ale brama była nieco jaśniejszą szarą plamą na tle muru; zdałem sobie sprawę, że jest bliżej. Pomyślałem, że jeśli nie ustaniemy w biegu, być może nam się uda.

Zaczęło mnie kłuć w boku; na początku ból był do zniesienia, lecz stawał się coraz gorszy. Sięgał w górę klatki piersiowej i wbijał się w pachę. Włosy, wilgotne i ubłocone, podskakiwały mi na czole. Plecak obijał się o plecy jak niepotrzebny balast. Zsunąłem go z ramion i rzuciłem w krzewy jeżyn obok budynku z wieżyczkami, po którego obu stronach stały pomalowane w biało-czerwone pasy słupy, zwieńczone kamiennymi motylami, wciąż całymi – prawdopodobnie dlatego, że stały za wysoko, by można ich było dosięgnąć bez drabiny.

Potknąłem się ponownie, tym razem o zwój zrzuconych na ziemię kabli trolejbusowych, zdołałem odzyskać równowagę i biegłem dalej. Zbliżali się. Pomyślałem o czterdziestcepiątce pana Bowditcha, ale nawet gdyby mogła zrobić krzywdę tym zjawom, było ich zbyt wiele.

Potem wydarzyło się coś cudownego: nagle moje płuca jakby nabrały objętości, a kolka zniknęła. Nigdy nie biegałem na tyle długo, by doświadczyć działania tego słynnego drugiego oddechu, ale parę razy zdarzyło mi się to podczas długiej jazdy rowerem. Wiedziałem, że ten cudowny stan nie potrwa długo, ale nie musiał. Od bramy dzieliło mnie już tylko sto metrów. Obejrzałem się jeszcze raz przez ramię i zobaczyłem, że udaje mi się utrzymać stałą odległość od lśniącego oddziału nocnych żołnierzy. Jeszcze bardziej przyspieszyłem; odrzucając głowę do tyłu i zaciskając dłonie, poruszałem miarowo rękami i oddychałem głębiej niż kiedykolwiek. Przez jakieś trzydzieści metrów wyprzedzałem nawet Radar.

Potem zrównała się ze mną i spojrzała na mnie. Tym razem na jej pysku nie było już radosnego uśmiechu; kładła uszy po sobie, a wokół jej czarnych oczu pojawiły się białe obwódki. Była przerażona.

Brama, wreszcie.

Wziąłem ostatni głęboki oddech i krzyknąłem:

– OTWIERAĆ W IMIĘ LEI Z GALLIENU!

Wiekowa maszyneria pod bramą zaskrzeczała i po chwili pisk zamienił się w głęboki turkot. Skrzydło bramy drgnęło i zaczęło się przesuwać na ukrytej prowadnicy. Ale powoli. Zbyt powoli, jak mi się wydawało. Czy nocni żołnierze mogliby wyjść na zewnątrz, gdybyśmy zdążyli opuścić mury miasta, zanim dotarliby do bramy? Przypuszczałem, że nie i że gdyby to zrobili, otaczający ich niebieski blask natychmiast by zgasł, a oni rozpadliby się na drobne kawałeczki… albo stopili, jak Zła Czarownica z Zachodu.

Trzy centymetry.

Sześć.

Widziałem już wąski skrawek świata na zewnątrz, gdzie grasowały wilki, ale nie było lśniących błękitem żołnierzy ani gnijących rąk wysuwających się z ziemi na cmentarzu.

Spojrzałem za siebie i po raz pierwszy zobaczyłem ich z bliska: co najmniej dwudziestu mężczyzn o bladych jak pergamin twarzach i ustach koloru zakrzepłej krwi. Byli w luźnych spodniach i koszulach, które przywodziły na myśl wojskowe mundury polowe. Niebieskie światło buchało z ich oczu i spływało w dół, obmywając ich sylwetki. Twarze, na pozór całkiem zwyczajne i ludzkie, były jednak półprzezroczyste, jakby utkane z mgły. Widziałem prześwitujące czaszki.

Biegli w naszą stronę, zostawiając za sobą małe rozbryzgi niebieskiego światła, które natychmiast przygasało i rozpływało się w powietrzu,

wydawało mi się jednak, że nie zdążą nas pochwycić. Mogło im zabraknąć bardzo niewiele, lecz miałem coraz większą pewność, że uda nam się uciec.

Dziesięć centymetrów.

Dwanaście.

O Boże, dlaczego to działo się tak powoli?

Potem rozległ się dźwięk staroświeckiego dzwonu strażackiego – KLANG-A-LANG-A-LANG – i oddział upiornych niebieskich żołnierzy rozstąpił się na boki: dziesięciu, może dwunastu przeszło na prawo, pozostali na lewo. Drogą Gallienów pędził elektryczny pojazd przypominający olbrzymi wózek golfowy lub pękaty autobus bez dachu. Z przodu stał mężczyzna (świadomie używam tego słowa) z siwymi włosami, które opadały po obu stronach jego półprzezroczystej ohydnej twarzy. Był chudy i wysoki. Poruszał do przodu i do tyłu czymś w rodzaju drążka sterowniczego. Za nim tłoczyli się inni; ich niebieskie poświaty łączyły się ze sobą i skapywały na wilgotny chodnik niczym jakaś dziwna krew. Ten siwy jechał prosto na mnie; chciał mnie wgnieść w bramę. Więc jednak nie zdołam uciec… ale mógł to zrobić mój pies.

– Radar! Biegnij do Claudii!

Spojrzała na mnie z przerażeniem i nie ruszyła się.

– Uciekaj, Radar! Na miłość boską, BIEGNIJ!

Wcześniej zrzuciłem plecak, bo jego wilgotny ciężar tylko mnie spowalniał. Nie pozbyłem się jednak broni pana Bowditcha. Nie mogłem zastrzelić z niej wszystkich nocnych żołnierzy, nie zamierzałem jednak pozwolić, by dostała się w ich ręce. Rozpiąłem ozdobny pas z kaburą i wyrzuciłem go w ciemność za murami. Jeśli chcieliby zdobyć czterdziestkępiątkę, musieliby wybrać się po nią za miasto. Potem klepnąłem Radar w zad, i to mocno. Obmywało mnie błękitne światło.

Wiem, że można się świadomie poddać śmierci, bo to właśnie wtedy zrobiłem.

– BIEGNIJ DO CLAUDII, DO DORY, UCIEKAJ!

Rzuciła mi jeszcze jedno spojrzenie pełne wyrzutu – nigdy go nie zapomnę – i prześlizgnęła się przez wąską szparę.

Coś uderzyło mnie na tyle mocno, że poleciałem na wciąż przesuwającą się bramę, ale nie na tyle, by mnie rozgnieść. Zobaczyłem, jak siwowłosy nocny żołnierz przeskakuje nad drążkiem sterowniczym. Widziałem jego wyciągnięte ręce, kości dłoni widoczne przez półprzezroczystą, lśniącą błękitem skórę. Widziałem trupi uśmiech jego zębów i szczęki. Widziałem tryskające z jego oczu błękitne strumienie jakiejś straszliwej ożywiającej mocy.

Brama otworzyła się już na tyle, że mogłem wyjść na zewnątrz. Uchyliłem się przed wyciągniętymi rękami upiora i przetoczyłem ku wyjściu. Przez moment widziałem Radar stojącą w ciemności na skraju Drogi Królestwa, patrzącą z nadzieją na bramę. Rzuciłem się przed siebie, wyciągając jedną rękę do przodu, i wtedy te straszne palce zacisnęły się na mojej szyi.

– Nie, dzieciaku – wyszeptał nieumarły nocny żołnierz. – Nie, kompletny. Przyszedłeś do Lily nieproszony i zostaniesz tu.

Pochylił nade mną wyszczerzoną czaszkę obciągniętą przezroczystą, bladą skórą. Chodzący szkielet. Pozostali otoczyli nas ciasnym kręgiem. Jeden z nich wykrzyknął jakieś słowo – wydawało mi się, że brzmiało to jak Elimar, połączenie Empis i Lilimar, ale teraz wiem, co to naprawdę było. Brama zaczęła się zamykać. Martwa dłoń zacisnęła się mocniej na mojej szyi, odcinając dopływ powietrza.

Idź, Radar, wracaj bezpiecznie, zdążyłem jeszcze pomyśleć, zanim ogarnęła mnie ciemność.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

## Kazamaty. Hamey. Czas karmienia. Lord Wysoki. Przesłuchanie.

### 1

*Radar walczy z impulsem, który każe jej wrócić do nowego pana, wrócić do bramy i skoczyć na nią, drapać ją przednimi łapami. Nie robi tego. Dostała wyraźne polecenie, więc biegnie. Czuje się tak, jakby mogła biec przez całą noc, ale nie będzie musiała, bo zna bezpieczne miejsce. Żeby tylko do niego dotrzeć.*

Plask, plask.

*Pędzi przed siebie, sadzi wielkie susy, niemal przytulona do ziemi. Nie widać blasku księżyców, jeszcze nie, wilki nie wyją, ale wyczuwa je w pobliżu. Kiedy pojawi się księżycowy blask, zaatakują, a ona wyczuwa, że wkrótce chmury się rozstąpią. Jeżeli tak się stanie i wilki ją zaatakują, będzie walczyć. Mogą ją pokonać, ale będzie walczyć do końca.*

Plask, plask.

– Ocknij się, dzieciaku!

*Księżyce wysuwają się zza chmury, ten mniejszy w odwiecznej pogoni za większym; odzywa się pierwszy wilk. Ale z przodu jest czerwony wóz*

*i schronienie, w którym spędziła z Charliem noc, gdy była jeszcze chora, i kiedy tam dobiegnie, może wślizgnąć się do środka, jeśli drzwi są otwarte. Wydaje jej się, że nie zamknął ich całkiem, gdy stamtąd odchodzili, ale nie jest pewna. To było tak dawno temu! Jeśli będą otwarte, wejdzie do środka, stanie na tylnych łapach i zamknie drzwi przednimi. Jeśli nie, będzie walczyć dopóty, dopóki starczy jej sił.*

Plask, plask.

– Chcesz przegapić następny posiłek? Nie, nie!

*Drzwi są otwarte. Radar wchodzi do środka i…*

PLASK!

# 2

W końcu wyrwał mnie ze snu o Radar i zmusił do otwarcia oczu. Zobaczyłem migotliwe nikłe światło i kogoś, kto klęczał obok mnie. Miał sięgające ramion włosy i był tak blady, że przez chwilę myślałem, że to nocny żołnierz, który prowadził mały elektryczny autobus. Usiadłem prosto. Moją głowę przeszył ból, potem ogarnęły mnie mdłości. Podniosłem pięści. Mężczyzna otworzył szerzej oczy i odsunął się. Był człowiekiem, a nie jakimś bladym stworzeniem otoczonym niebieskim światłem, które wypływało z jego oczu. Owszem, oczy miał zapadnięte i podbite, ale należały do człowieka, a jego włosy były ciemnobrązowe, niemal czarne, a nie siwe.

– Daj mu zdechnąć, Hamey! – krzyknął ktoś. – To cholerny trzydziesty pierwszy! Nie będą czekać na sześćdziesięcioro czworo, te czasy już

minęły! Jeszcze jeden i będzie po nas!

Hamey – jeśli rzeczywiście tak miał na imię – spojrzał w stronę, z której dochodził głos. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe zęby w brudnej twarzy. Wyglądał jak samotna łasica.

– Próbuję tylko ratować moją duszę, Jo! No wiesz, czynić dobro dla innych! Za blisko już końca, żeby nie myśleć o zaświatach!

– Pieprzę ciebie i pieprzę twoje zaświaty – odparł ten o imieniu Jo. – Jest ten świat, potem fajerwerki i na tym koniec.

Leżałem na zimnym, wilgotnym kamieniu. Ponad chudym ramieniem Hameya widziałem mur z kamiennych bloków, z którego sączyła się woda, a wyżej zakratowane okno. Przestrzeń między kratami wypełniona była czernią. Byłem w celi. Kazamaty, pomyślałem. Nie wiedziałem, skąd pochodzi to określenie, nie byłem nawet pewien, czy wiem, co znaczy. Wiedziałem tylko, że okropnie boli mnie głowa i że oddech mężczyzny, który ocucił mnie policzkowaniem, jest tak strasznie cuchnący, jakby w ustach zdechło mu jakieś małe zwierzę. Aha, i chyba zsikałem się w spodnie.

Hamey pochylił się do mnie. Chciałem się odsunąć, ale za mną były kraty.

– Wyglądasz na silnego, dzieciaku. – Zarost Hameya łaskotał mnie w ucho. To było okropne i dość żałosne. – Poratujesz mnie tak, jak ja poratowałem ciebie?

Próbowałem spytać, gdzie jestem, lecz z moich ust wydobywały się tylko pojedyncze skrzekliwe dźwięki. Oblizałem wargi. Były suche i spuchnięte.

– Pić…

– Temu mogę zaradzić.

Popędził do wiadra stojącego w rogu celi, bo nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że tym właśnie jest to pomieszczenie. A Hamey był moim współwięźniem. Nosił obszarpane spodnie, które sięgały mu do połowy łydek, jak rozbitek z komiksów dla dzieci. Na górze miał tylko koszulkę bez rękawów. Jego nagie ramiona lśniły w nikłym świetle. Były żałośnie chude, lecz nie wyglądały na szare, chociaż w tak kiepskim świetle trudno było stwierdzić to z całą pewnością.

– Ty cholerny idioto! – To mówił ktoś inny, nie ten, którego Hamey nazywał Jo. – Czego to jeszcze pogarszasz? Niańka upuściła cię na łeb, jak byłeś mały? Mogłeś na nim usiąść i wykończyć go! I znów byłoby trzydzieścioro, równo i spokojnie!

Hamey nie zwracał na niego uwagi. Zdjął cynowy kubek z półki nad czymś, co jak przypuszczałem, było jego pryczą, i zanurzył w wodzie. Przyniósł mi go, przyciskając do dna jeden palec – równie brudny jak cała reszta jego ciała.

– Dziura – wyjaśnił krótko.

Nie obchodziło mnie to, bo i tak niewiele mogło z niego wycieknąć. Wyrwałem mu kubek z dłoni i opróżniłem niemal jednym haustem. W wodzie był piasek, ale to też mnie nie obchodziło. To była czysta rozkosz.

– Zrób mu laskę, jak już jesteś taki miły, co? – rozległ się kolejny głos. – Dobrze mu obciągnij, Hamey, to od razu oprzytomnieje!

– Gdzie ja jestem?

Hamey pochylił się nade mną, chcąc zachować dyskrecję. Jego oddech budził we mnie głęboką odrazę i przyprawiał o jeszcze silniejszy ból głowy, ale znosiłem go, bo musiałem wiedzieć. Teraz, kiedy powoli do siebie dochodziłem, a życzeniowy sen o Radar zaczął zacierać się w mojej pamięci, byłem zaskoczony, że w ogóle żyję.

– Maleen – wyszeptał. – Głębia Maleen. Dziesięć… – tu padło jakieś słowo, którego nie znałem – pod pałacem.

– Dwadzieścia! – wrzasnął Jo. – I nigdy więcej nie zobaczysz słońca, nowy! Żaden z nas go nie zobaczy, więc się przyzwyczaj!

Wziąłem od Hameya kubek i powlekłem się do wiadra. Czułem się jak Radar w czasie, gdy była najstarsza i najsłabsza. Napełniłem go, zatkałem palcem dziurę w dnie i ponownie się napiłem. Chłopiec, który kiedyś oglądał filmy na kanale TCM i kupował online na Amazonie, teraz siedział w lochu. Nie dało się pomylić tego miejsca z niczym innym. Po obu stronach wilgotnego korytarza ciągnęły się cele. Między niektórymi ze ścian wystawały lampy gazowe, rozsiewające dokoła niebieskawożółte światło. Z wykutego w skale sufitu kapała woda i zbierała się w kałużach na kamiennej podłodze. W celi naprzeciwko wielki facet ubrany w coś, co wyglądało jak resztki kalesonów, zobaczył, że na niego patrzę, wskoczył na kraty i potrząsał nimi, wydając z siebie małpie dźwięki. Jego naga pierś była owłosiona i szeroka. Miał również szeroką twarz i niskie czoło; był brzydki jak noc… ale z pewnością nie uległ tej pełzającej deformacji, której ofiary widziałem w drodze do tego czarującego lokum. I miał normalny, całkiem donośny głos.

– Witaj, nowy chłopcze! – Rozpoznałem głos Jo. Jak się później dowiedziałem, było to zdrobnienie od Joty. – Witaj w piekle! Kiedy doczekamy się Selekcji… jeśli się doczekamy… wyrwę ci wątrobę i zrobię sobie z niej czapkę. Najpierw ty, a potem kogo tam do mnie przyślą! A na razie miłego pobytu życzę!

W głębi korytarza, niedaleko drewnianych drzwi wzmocnionych żelaznymi pasami, ktoś inny – więźniarka, sądząc po głosie – krzyknął:

– Powinieneś był zostać w Cytadeli, dzieciaku! – Potem, nieco ciszej: – Ja też powinnam. Lepiej było mi głodować.

Hamey podszedł do rogu celi, przeciwległego do tego, w którym stało wiadro, opuścił spodnie i przykucnął nad dziurą w podłodze.

– Znowu nie mogę się wysrać. Może to przez te grzyby.

– A kiedyś ty ostatnio jadł grzyby, rok temu? – prychnął Jo. – Nie możesz się wysrać, to się zgadza, ale grzyby nie mają z tym nic wspólnego.

Zamknąłem oczy.

## 3

Minął jakiś czas. Nie wiem, ile konkretnie, ale zaczynałem się już czuć w miarę normalnie. Czułem zapach brudu, wilgoci i gazu z lamp, które wypełniały to miejsce bladym światłem. Słyszałem kapanie wody i głosy innych więźniów, czasami rozmawiających ze sobą, a czasami mówiących do siebie. Mój współwięzień siedział przy wiadrze z wodą i wpatrywał się markotnie w swoje dłonie.

– Hamey? – rzuciłem.

Podniósł wzrok.

– Kim są kompletni?

Parsknął śmiechem, a potem skrzywił się z bólu i złapał za brzuch.

– My jesteśmy kompletni. Zgłupiałeś? Spadłeś z nieba?

– Załóżmy, że tak właśnie jest.

– Usiądź tu przy mnie – poprosił. Widząc, że się waham, dodał: – Spokojnie, bez obaw, nie będę cię łaskotał po jajach, jak się o to boisz.

Może przeskoczą na ciebie ze dwie pchły, to wszystko. Od pół roku albo i dłużej nawet mi nie staje. To przez te chore bebechy.

Gdy usiadłem obok niego, klepnął mnie w kolano.

– Tak lepiej. Nie lubię gadać do tych wszystkich uszu. Nie żeby to było ważne, czy coś usłyszą, czy nie, wszyscyśmy tu jak te ryby w jednym wiadrze, ale wolę się trzymać od nich z dala, tak mnie uczono. – Westchnął ciężko. – Frasunek też tym moim bebechom dobrze nie robi, mówię ci. Ale jak widzę, że nas coraz więcej i więcej… Paskudnie! Dwadzieścia pięć… dwadzieścia sześć… teraz trzydzieści jeden osób. I nigdy nie dojdą do sześćdziesięciu czterech, Jo ma rację. Kiedyś kompletni byli jak pełna torba cukru, ale teraz torba jest prawie pusta, zostało tylko jeszcze parę kryształków.

Powiedział „kryształków”? Czy użył jakiegoś innego słowa? Głowa znów jakby miała mnie za chwilę rozboleć; bolały mnie nogi po maszerowaniu, pedałowaniu i bieganiu, byłem też okropnie zmęczony. Czułem się trochę jak na kacu.

Kolejne westchnienie Hameya przeszło w atak kaszlu. Trzymał się za brzuch, dopóki nie minął.

– Kat Skrzydlatych i jego… – i znów padło jakieś dziwne słowo, którego mój mózg nie mógł przetłumaczyć, coś jak „raggamunki” – ciągle potrząsają tą torbą. Nie spocznie, dopóki nie wytrzepie nas wszystkich, co do jednego. Ale… sześćdziesięcioro czworo? Nie, nie. To będzie ostatnia Selekcja, a mnie wyślą jako jednego z pierwszych. Może pierwszego. Nie jestem silny, wiesz? Nie mogę się wysrać, bolą mnie bebechy i nie trzyma się mnie jedzenie.

Chyba nagle przypomniał sobie o mnie, nowym współwięźniu.

– Ale ty… Jo widział, żeś duży. I możesz być też szybki, jak wyzdrowiejesz.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy mu powiedzieć, że nie jestem szczególnie szybki, ale uznałem, że nie warto. Niech sobie myśli, co chce.

– On się ciebie nie boi, Jota nie boi się nikogo, może oprócz Rudej Molly i tej suki, jej matki… ale nie chce pracować więcej, niż musi, to jasne. Jak masz na imię?

– Charlie.

Ściszając jeszcze bardziej głos, spytał:

– I naprawdę nie wiesz, gdzie jesteś? Tak poważnie?

Kazamaty, pomyślałem.

– Nooo… to jest więzienie… loch… i pewnie jest pod pałacem… ale to wszystko, co wiem.

Nie miałem zamiaru mówić mu, dlaczego tu przyszedłem ani kogo spotkałem po drodze. Dochodziłem do siebie mimo zmęczenia i bólu i zaczynałem myśleć trzeźwo. Hamey mógł mnie prowokować. Wydobywać ze mnie informacje, które potem wymieniłby na przywileje. Choć Głębia Maleen nie wyglądała na miejsce, w którym można liczyć na jakiekolwiek przywileje – gorzej już być nie może, innymi słowy – nie chciałem ryzykować. Może nie obchodziłby ich jeden zbiegły owczarek niemiecki z Sentry w stanie Illinois… ale kto wie, może by jednak obchodził?

– Nie jesteś z Cytadeli, co?

Pokręciłem głową.

– Nawet nie wiesz, gdzie to jest, co?

– Nie.

– Zielone Wyspy? Deesk? Z którejś z Tayvo?

– Z żadnego z tych miejsc.

– Więc skąd jesteś, Charlie?

Milczałem.

– Nie mów – wyszeptał Hamey z naciskiem. – To dobrze. Nie mów nikomu i ja też nie powiem. Jeśli mnie będziesz ratował. To byłoby rozsądne z twojej strony. Może cię spotkać los gorszy niż Głębia Maleen. Pewnie mi nie uwierzysz, ale wiem, że tak jest. Lord Wysoki to bydlak, ale z tego, co słyszałem, Kat Skrzydlatych jest jeszcze gorszy.

– Kim jest Kat Skrzydlatych? I ten Lord Wysoki? Co to za jedni?

– Lord Wysoki, czyli Kellin, to dowódca nocnych żołnierzy. Sam cię tu przywlekł. Schowałem się wtedy w kącie. Te jego oczy…

Zza drewnianych drzwi na końcu korytarza dobiegł przytłumiony dźwięk dzwonka.

– Pursey! – wrzasnął Jota, po czym znów wskoczył na kraty i zaczął nimi trząść. – Najwyższy, kurwa, czas! Chodź no tu, Pursey, stary kamracie, zobaczymy, co zostało z twojej gęby!

Usłyszałem trzask odsuwanych rygli – naliczyłem cztery – i otworzyły się drewniane drzwi. Najpierw wysunął się zza nich wózek, niemal taki sam, jakich używa się w supermarketach, tyle że z drewna. Za wózkiem szedł szary mężczyzna o twarzy, która przypominała roztopioną porcję lodów. Zostało mu tylko jedno oko. Spomiędzy fałdów skóry wystawał sam czubek nosa. Usta niemal całkiem się zamknęły, po lewej stronie został jedynie otwór w kształcie kropli. Palce jego dłoni złączyły się ze sobą do tego stopnia, że przypominały płetwy. Nosił workowate spodnie i coś, co wyglądało jak workowata damska bluza. Na szyi miał zawieszony na rzemieniu dzwonek.

Zatrzymał się w drzwiach, sięgnął po niego i potrząsnął. Rozglądał się na boki swoim jedynym okiem.

– Ył! Ył! Ył, y noje! – W porównaniu z tym facetem Dora brzmiała jak Laurence Olivier recytujący Szekspira.

Hamey złapał mnie za ramię i odciągnął do tyłu. Jota cofnął się pod tylną ścianę swojej celi. To samo robili wszyscy pozostali więźniowie. Pursey potrząsał dzwonkiem, dopóki się nie upewnił, że wszyscy stoimy na tyle daleko od krat, by go nie złapać, choć nie widziałem powodu, dla którego ktoś miałby to zrobić: był kimś w rodzaju uprzywilejowanego więźnia – jak w filmach o więzieniach – a tacy nie noszą kluczy.

Moją i Hameya celę mijał jako pierwszą. Sięgnął do wózka, wyjął z niego dwa spore kawałki mięsa i wrzucił je między kraty. Ja złapałem swoją porcję w powietrzu. Hamey próbował, ale chybił i jego mięso wylądowało na podłodze.

Niemal wszyscy więźniowie zaczęli wrzeszczeć na Purseya. Jeden z nich – Fremmy, jak się później dowiedziałem – spytał, czy dupa zarosła mu już skórą, a jeśli tak, to czy musi srać ustami. Zachowywali się jak lwy w zoo w porze karmienia. Choć nie do końca – przypominali raczej hieny. Nie, to nie były lwy, być może z wyjątkiem Joty.

Pursey powoli pchał wózek korytarzem między celami, rozchlapując sandałami kałuże (palce u jego stóp również były zrośnięte) i rozrzucając mięso na lewo i prawo. Choć zostało mu tylko jedno oko, trafiał bezbłędnie; żaden z kawałków mięsa nie uderzył w kraty i nie spadł na podłogę korytarza.

Podniosłem swoją porcję do nosa i powąchałem. Chyba wciąż czułem się jak postać z baśni, bo oczekiwałem czegoś zgniłego i paskudnego, może nawet pełnego robactwa, a tymczasem był to befsztyk, który niczym się nie różnił od tych, jakie w Sentry sprzedają w supermarkecie Hy-Vee (tyle że oczywiście nie był owinięty folią). Ogień chyba ledwie go tknął (pomyślałem o tacie, który zamawiając stek w restauracji, mówił kelnerowi, żeby tylko przeniósł go przez ciepły pokój), ale sam zapach wystarczył, by

ślina napłynęła mi do ust, a żołądek głośno zaburczał. Uświadomiłem sobie, że ostatni porządny posiłek jadłem w drewnianym domu Claudii.

W celi naprzeciwko Jo siedział ze skrzyżowanymi nogami na pryczy i wgryzał się w stek. Czerwony sok ściekał mu po brodzie i niknął w gęstym zaroście. Kiedy zobaczył, że na niego patrzę, uśmiechnął się szeroko.

– Śmiało, jedz, dzieciaku, póki masz zęby. Niedługo ci je powybijam.

Jadłem. Stek był twardy. Stek był pyszny. Każdy kęs sprawiał, że chciałem jeszcze więcej.

Pursey dotarł do ostatnich dwóch cel. Wrzucił do nich mięso i zaczął się cofać do pomieszczenia z drewnianymi drzwiami; jedną płetwą potrząsając dzwonkiem, drugą ciągnąc wózek, wrzeszczał:

– Ył! Ył!

Co, jak sądziłem, oznaczało „Do tyłu, do tyłu”. Teraz jednak nikt nie miał ochoty go wyzywać, nie wspominając o tym, by ktokolwiek chciał się na niego rzucać. Ze wszystkich cel dochodziło głośne mlaskanie i ciamkanie.

Zjadłem wszystko prócz tłuszczu i chrząstek, ale potem zjadłem i to. Tymczasem Hamey odgryzł tylko kilka kęsów steka, po czym opadł na pryczę i ułożył mięso na chudym kolanie. Wpatrywał się w nie ze zdziwioną miną, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego go nie chce. Zobaczył, że na niego patrzę, i wyciągnął stek w moją w stronę.

– Chcesz? Żarcie mi nie służy, a ja go nie lubię. Dawniej, kiedy jeszcze pracowałem w tartaku, jadłem wszystko jak leci. To chyba przez te grzyby. Zjesz nie takie co trzeba i wypalają ci bebechy. Tak właśnie było ze mną.

Jasne, że chciałem; mój żołądek wciąż głośno domagał się jedzenia, ale zachowałem na tyle przyzwoitości, by spytać, czy jest pewien. Gdy

odpowiedział, że tak, już bez wahania zabrałem stek, i to szybko, na wypadek gdyby jednak zmienił zdanie.

Pursey zatrzymał się przy naszej celi. Wskazał na mnie jedną ze swoich stopionych dłoni.

– Heli ce cie eć.

– Nie rozumiem – odpowiedziałem z ustami pełnymi prawie surowego mięsa, ale Pursey już cofał się dalej. Kiedy znalazł się za drewnianymi drzwiami, potrząsnął jeszcze raz dzwonkiem, zatrzasnął je i zasunął rygle: raz, dwa, trzy, cztery.

– Powiedział, że Kellin chce cię widzieć – wyjaśnił Hamey. – Nie dziwię się. Jesteś kompletny, ale jakiś inny niż my. Nawet twój akcent nie… – Przerwał i tknięty jakąś myślą, otworzył szerzej oczy. – Powiedz mu, że jesteś z Ullum! Uwierzy! Daleko na północ od Cytadeli!

– Co to jest Ullum?

– Religijne świry! Mówią inaczej niż wszyscy! Powiedz mu, że uciekłeś przed trucizną!

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

– Hamey, nie gadaj o rzeczach, o których nie powinieneś gadać! – krzyknął ktoś. – Jesteś ariat!

– Zamknij się, Stooks! – wrzasnął Hamey. – Ten dzieciak mnie uratuje!

W celi naprzeciwko Jo wstał z pryczy i zacisnął na kratach lśniące od tłuszczu palce. Uśmiechał się.

– Może nie jesteś wariatem, Hamey, ale nikt cię nie uratuje ani nie ochroni. Dla nikogo z nas nie ma już ratunku.

# 4

Ja nie miałem pryczy. Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy nie zająć pryczy Hameya – nie mógłby mnie powstrzymać – ale pomyślałem: Co ja, kurwa, wyprawiam… albo w co się zamieniam? Zabrałem mu już posiłek, to mi jednak przynajmniej sam zaproponował. Poza tym byłem w takim stanie, że bez problemu zasnąłbym również na zimnej i wilgotnej podłodze. Ocknąłem się całkiem niedawno – i Bóg jeden wiedział, jak długo byłem nieprzytomny – a mimo to znowu ogarnęło mnie ogromne znużenie. Napiłem się z wiadra i ułożyłem po swojej stronie celi.

Sąsiednią zajmowali dwaj mężczyźni: Fremmy i Stooks. Wyglądali na młodych i silnych. Nie byli wysocy jak Jota, ale silni.

Fremmy:

– Dzidziuś idzie spuniać?

Stooks:

– Dzidziuś zmęcony?

Abbott i Costello Głębi Maleen, pomyślałem. I to w sąsiedniej celi. Ja to mam, kurwa, szczęście…

– Nie przejmuj się nimi, Charlie – powiedział Hamey. – Śpij. Każdy tak ma, jak go dopadną nocni strażnicy. Oni wysysają to z człowieka. Wysysają z ciebie… jak to nazwać…

– Siły życiowe? – podsunąłem. Powieki ciążyły mi jak ołów.

– O to, to! Tak właśnie robią! A ciebie przywlekł tu sam Kellin. Musisz być silny, bo inaczej ten sukinsyn ugotowałby cię jak jajko. Widziałem już takie rzeczy, o tak, widziałem!

Próbowałem go spytać, jak długo już tu jest, lecz byłem w stanie tylko mamrotać. Zasypiałem. Pomyślałem o spiralnych schodach, które mnie tu

doprowadziły, i zdawało mi się, że znów z nich zbiegam, ścigając Radar. Uważaj na karaluchy, pomyślałem. I na nietoperze.

– Ullum, na północ od Cytadeli! – Hamey klęczał nade mną, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przebudziłem się w tej cholernej norze. – Nie zapomnij! I obiecałeś mnie uratować, o tym też nie zapomnij!

Nie przypominałem sobie, bym obiecał mu coś podobnego, ale nim mogłem zaprotestować, już osunąłem się w sen.

## 5

Obudził mnie Hamey, tym razem potrząsając moim ramieniem, co z pewnością było lepsze od policzkowania. Kac minął. Nie mogłem zrozumieć, jak ojciec, gdy jeszcze pił, znosił coś podobnego codziennie rano. Bolało mnie lewe ramię – pewnie nadwyrężyłem je, gdy spadłem z piedestału – lecz ból w pozostałych częściach ciała prawie całkiem przeszedł.

– Co…? Jak długo…?

– Wstawaj! To oni! Uważaj na elektrorózgi!

Wstałem. Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i wypełniły niebieskim światłem. Wyszło zza nich trzech nocnych żołnierzy, wysokich i bladych, otulonych błękitną poświatą. Szkielety we wnętrzu ich ciał pojawiały się i znikały niczym cienie w dniu, gdy po niebie pędzi chmura za chmurą. Trzymali długie rózgi, które wyglądały jak staroświeckie anteny samochodowe.

– Wstawać! – krzyknął jeden z nich. – Wstawać, czas na Zabawę!

Dwaj szli z przodu, rozkładając ręce niczym kapłani witający wiernych zebranych na modlitwie, trzeci kroczył za nimi. W miarę jak przesuwali się w głąb korytarza, drzwi cel otwierały się z głośnym skrzypieniem, tak że na podłogę spadały płatki rdzy. Trzeci przystanął i wskazał na mnie.

– Ty nie.

Trzydzieścioro więźniów wyszło na korytarz. Hamey uśmiechnął się do mnie ponuro, odsuwając się od błękitnego blasku nocnego żołnierza. Jo wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, podniósł obie ręce, zatoczył małe kółka kciukami i palcami wskazującymi, a potem wskazał na mnie środkowymi palcami. Nie było to dokładnie to samo, co dobrze wszystkim znany amerykański gest, ale z pewnością miało identyczne znaczenie. Kiedy więźniowie ruszyli za dwoma strażnikami w głąb korytarza, zobaczyłem, że są wśród nich dwie kobiety i dwóch czarnoskórych mężczyzn. Jeden był większy nawet od Joty; miał szerokie ramiona i muskularny tyłek zawodowego futbolisty, ale szedł powoli, ze zwieszoną głową, i nim zniknął za drzwiami na końcu korytarza, zachwiał się i omal nie upadł. To był Dommy. Kobiety miały na imię Jaya i Eris.

Trzeci z nocnych żołnierzy wskazał na mnie bladym palcem i zgiął go. Spod jego surowej twarzy raz po raz wyzierała czaszka z trupim uśmiechem. Pokazał swoją elektrorózgą, bym szedł przed nim do drzwi. Nim jednak zdążyłem przez nie przejść, rzucił:

– Stój – nakazał, a potem rzucił: – Kurwa.

Zatrzymałem się. Jedna z gazowych lamp po naszej prawej ręce oderwała się od ściany. Zwisała krzywo na metalowej rurce, pod otworem, który wyglądał jak rozdziawiona paszcza; lampa wciąż się paliła i pokrywała warstwą sadzy jeden z kamiennych bloków. Kiedy mocował ją w ścianie, musnął mnie swoim niebieskim światłem. Poczułem, jak nagle słabną mi wszystkie mięśnie, i zrozumiałem, dlaczego Hamey starał się

unikać kontaktu z tą upiorną poświatą. Uczucie to przypominało porażenie prądem. Cofnąłem się o krok.

– Stój, do cholery, stój, mówiłem!

Nocny żołnierz pochwycił mocniej obudowę lampy wykonaną z mosiądzu. Musiała być gorąca jak samo piekło, ale nie okazując bólu, wcisnął lampę z powrotem w otwór. Mosiężny kinkiet tkwił przez moment w miejscu, a potem znów wypadł.

– Kurwa!

Ogarnęło mnie nagle poczucie całkowitego odrealnienia. Zamknięto mnie w lochu, prowadzono właśnie Bóg wie gdzie, a pilnował mnie nieumarły stwór, przypominający trochę Szkieletora, figurkę, którą bawiłem się w dzieciństwie… I ten właśnie stwór zajmował się teraz naprawą uszkodzonej lampy.

Ponownie sięgnął do kinkietu i zakrył płomień dłonią, by go zdławić. Potem wypuścił niepalącą się już lampę i opadła na ścianę z cichym brzękiem.

– Idź! Ruszaj, do cholery!

Uderzył mnie w obolałe ramię rózgą. Paliło jak ogień. Potulne przyjmowanie razów było zarówno upokarzające, jak i denerwujące, wolałem jednak to niż tę paraliżującą słabość, którą poczułem w zetknięciu z jego światłem.

Ruszyłem przed siebie.

# 6

Szedł za mną w głąb długiego kamiennego korytarza, ale nie na tyle blisko, by dotykała mnie jego poświata. Minęliśmy drzwi dzielone w poziomie na pół; górna część była otwarta i wypływały zza niej przyjemne zapachy gotującego się jedzenia. Dojrzałem przechodzących za drzwiami kobietę i mężczyznę; on niósł dwa wiadra, ona parującą drewnianą tacę. Mieli białe ubrania, ale ich skóra była szara, a twarze się zapadały.

– Idź! – Nocny żołnierz znów uderzył mnie elektrorózgą, tym razem w drugie ramię.

– Nie musi mnie pan bić. Nie jestem koniem.

– Owszem, jesteś. – Miał dziwny głos, jakby w jego strunach głosowych zagnieździł się rój owadów. – Jesteś moim koniem. Ciesz się, że nie każę ci galopować!

Minęliśmy komnatę wypełnioną urządzeniami, których nazw wolałbym nie znać, ale niestety, znałem: koło do łamania kości, żelazna dziewica, pająk, łoże sprawiedliwości. Na drewnianej podłodze widniały ciemne plamy. Obok łoża stał na tylnych kończynach szczur wielkości szczeniaka i gapił się na mnie szyderczo.

Chryste, pomyślałem. Chryste i Boże Wszechmogący w niebie.

– Cieszysz się, że jesteś kompletny, co? – spytał strażnik. – Zobaczymy, jak się będziesz cieszył, kiedy zacznie się Selekcja.

– Co to jest?

Odpowiedzią było kolejne uderzenie rózgą, teraz w kark. Kiedy przyłożyłem tam dłoń, pokryła się krwią.

– Na lewo, dzieciaku, na lewo! Nie wahaj się, drzwi są otwarte.

Otworzyłem drzwi po lewej i ruszyłem w górę stromych i wąskich schodów, które zdawały się ciągnąć bez końca. Naliczyłem czterysta stopni, nim straciłem rachubę. Znów zaczęły mnie boleć nogi, piekło mnie też płytkie rozcięcie na karku, ślad po uderzeniu elektrorózgą.

– Zwalniasz, dzieciaku. Lepiej się przyłóż, jeśli nie chcesz poczuć zimnego ognia.

Jeśli mówił o otaczającej go poświacie, to zdecydowanie nie chciałem go poczuć. Wspinałem się więc z determinacją na kolejne stopnie, a kiedy czułem już, że lada moment złapią mnie skurcze i nie zrobię ani kroku więcej, dotarliśmy do drzwi na szczycie. Gdy przystanąłem na moment, z trudem łapałem oddech. Stwór za mną nie wyglądał wcale na zmęczonego, co mnie nie dziwiło. Był przecież martwy.

Weszliśmy w szerszy korytarz, obwieszony aksamitnymi gobelinami w różnych odcieniach czerwieni, fioletu i błękitu. Gazowe płomienie zamknięto w eleganckich szklanych osłonach. To część mieszkalna, uznałem. Mijaliśmy małe wnęki, w większości puste, podejrzewałem więc, że niegdyś stały w nich rzeźby motyli. W kilku pozostawiono posągi nagich mężczyzn i kobiet, a w jednej jakieś niewiarygodne ohydztwo z mnóstwem macek przesłaniających głowę. Znów przypomniałem sobie Jenny Schuster, która przedstawiła mi ulubionego potwora H.P. Lovecrafta: Cthulhu, zwanego Kapłanem Przedwiecznych.

Przeszliśmy chyba z kilometr tym bogato zdobionym korytarzem. Pod koniec minęliśmy lustra w złotych ramach, ustawione naprzeciwko siebie, dzięki czemu moje odbicie nie miało końca. Zobaczyłem, że mam po swoich przygodach w Lilimar okropnie brudne włosy i twarz, widziałem też krew na szyi. I byłem sam – strażnik nie miał odbicia w lustrze. Zamiast jego postaci widać było jedynie delikatną niebieską mgiełkę… i elektrorózgę, która jakby sama unosiła się w powietrzu. Zerknąłem do

tyłu, by upewnić się, że nocny żołnierz nadal tam jest, i wtedy rózga natychmiast opadła na mój kark, dokładnie w to samo miejsce co poprzednio. Ból był okropny i natychmiastowy.

– Idź! Idź, do cholery!

Ruszyłem dalej. Korytarz kończył się solidnymi drzwiami, które wyglądały jak lity mahoń wzmocniony taśmami ze złota. Nocny żołnierz klepnął mnie w dłoń tą przeklętą elektrorózgą i postukał nią w drzwi. Zrozumiałem aluzję i zapukałem. Rózga smagnęła mnie ponownie, tym razem przecinając koszulę na ramieniu.

– Mocniej!

Załomotałem w drzwi pięścią. Krew spływała mi strużkami po ramieniu i plecach; sączyła się do otwartych ran, potęgując jeszcze piekący ból. Nie wiem, czy możesz umrzeć, ty żałosny niebieski skurwielu, ale jeśli możesz i jeśli tylko będę miał taką okazję, z rozkoszą cię rozwalę, pomyślałem.

W końcu drzwi się otworzyły. Stał za nimi nie kto inny, jak Kellin, czyli Lord Wysoki.

Ubrany – w co nie mogłem uwierzyć – w marynarkę smokingową z czerwonego aksamitu.

# 7

Znów ogarnęło mnie poczucie odrealnienia. Stwór, który pochwycił mnie przed bramą miasta, wyglądał teraz jak bohater oldskulowego komiksu o potworach – po części wampir, po części szkielet, po części zombie z *Żywych trupów*. Siwe włosy, które przedtem opadały strąkami na jego

blade policzki, były teraz starannie zaczesane do tyłu i odsłaniały twarz niemłodego już mężczyzny, który jednak – przynajmniej na pozór – tryskał zdrowiem. Miał lekko zaróżowione policzki i pełne usta. Jego oczy, otoczone drobnymi zmarszczkami, jak u ludzi, którzy często się uśmiechają, spoglądały dobrodusznie spod ciemnych krzaczastych brwi. Przypominał mi kogoś, lecz nie mogłem sobie uświadomić kogo.

– Ach – powiedział z uśmiechem. – Nasz nowy gość. Wejdź, proszę. Aaron, możesz odejść.

Nocny żołnierz, który mnie przyprowadził – Aaron – zawahał się na chwilę. Dopiero gdy Kellin machnął na niego dobrotliwie ręką, skłonił się lekko, wyszedł i zamknął drzwi.

Rozejrzałem się. Byliśmy w wykładanym boazerią holu prowadzącym do salonu, który przywodził na myśl klub dżentelmenów z opowiadań o Sherlocku Holmesie: ściany wykładane drewnem, fotele o wysokich oparciach, długa kanapa obita granatowym aksamitem. Kilka lamp rzucało na meble i podłogę kręgi łagodnego światła. Bez wątpienia nie były zasilane gazem. Wyglądało na to, że w tej części pałacu jest prąd. Przypomniałem sobie autobus, który przejechał między nocnymi żołnierzami, prowadzony właśnie przez tego stwora.

– Wejdź, gościu.

Odwrócił się, najwyraźniej nie obawiając się, że mogę go zaatakować, i zaprowadził mnie do salonu, tak bardzo różniącego się od wilgotnej celi, w której się ocknąłem, że po raz kolejny ogarnęło mnie przemożne poczucie odrealnienia. Może nie obawiał się ataku z mojej strony, bo miał oczy z tyłu głowy, wyglądające spod starannie zaczesanych, sięgających kołnierza włosów. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby rzeczywiście tak było. Na tym etapie nic już by mnie nie zdziwiło.

Dwa fotele z wysokimi oparciami stały po dwóch stronach stolika z blatem wyłożonym płytkami, z obrazem skaczącego jednorożca. Na jego zadzie leżała mała taca z dzbankiem do herbaty, fiolka z cukrem (miałem nadzieję, że to cukier, a nie biały arszenik), maleńkimi łyżeczkami i dwiema filiżankami ze wzorem w róże na brzegach.

– Siadaj, siadaj. Herbaty?

– Tak, poproszę.

– Cukru? Niestety, nie mam śmietanki. Przyprawia mnie o niestrawność. Właściwie, drogi gościu, każde jedzenie przyprawia mnie o niestrawność.

Nalał najpierw mnie, potem sobie. Wsypałem połowę fiolki do filiżanki, z trudem powstrzymując się od zużycia całej jej zawartości, bo nagle okropnie zachciało mi się słodyczy. Podniosłem filiżankę do ust, lecz zawahałem się w ostatniej chwili.

– Myślisz o truciźnie? – Kellin wciąż się uśmiechał. – Gdyby mi na tym zależało, kazałbym ci podać coś na dole, w Maleen. Mógłbym też pozbyć się ciebie na mnóstwo innych sposobów.

Myślałem o truciźnie, owszem, ale nie dlatego się zawahałem. Kwiaty, które zdobiły krawędź filiżanki, nie okazały się jednak różami. Były to maki, które przywiodły mi na myśl Dorę. Z całego serca liczyłem na to, że Radar znalazła drogę powrotną do tej dobrej kobiety. Zdawałem sobie sprawę, że szanse są nikłe, ale poeci mówią o nadziei, że to pierzaste stworzenie. Potrafi fruwać nawet w duszach uwięzionych. Może zwłaszcza w nich.

Podniosłem filiżankę w stronę Kellina.

– Długich dni i przyjemnych nocy. – Upiłem łyk. Herbata była słodka i dobra.

– Co za interesujący toast. Nigdy wcześniej go nie słyszałem.

– Nauczyłem się go od ojca.

Co było prawdą. Pomyślałem, że niewiele więcej spośród rzeczy, które powiem w tym bogato zdobionym pokoju, będzie zgodnych z prawdą, ale ta akurat była. Przeczytał to w jakiejś książce, ale nie zamierzałem mówić o tym Kellinowi. Może powinienem tu uchodzić za człowieka, który nie umie czytać.

– Nie mogę ciągle nazywać cię gościem. Jak się nazywasz?

– Charlie.

Myślałem, że zapyta mnie o nazwisko, ale nie zrobił tego.

– Charlie? Charlie… – Wydawało się, że smakuje to słowo. – Nigdy nie słyszałem takiego imienia.

Czekał przez chwilę, aż wytłumaczę mu, skąd pochodzi to egzotyczne imię – w moim świecie było wyjątkowo pospolite – ale tego nie zrobiłem, spytał więc wprost, skąd jestem.

– Bo mówisz z dziwnym akcentem.

– Z Ullum – odparłem.

– Ach! Więc z aż tak daleka? Bo to przecież bardzo daleko stąd.

– Skoro pan tak mówi.

Zmarszczył brwi, a ja uświadomiłem sobie następujące rzeczy: po pierwsze, był równie blady jak poprzednio, a żywe barwy na jego policzkach i ustach to tylko makijaż. Po drugie, przypominał mi Donalda Sutherlanda, który starzał się magicznie w niezliczonych klasykach z TCM, od *M*A*S*H* po *Igrzyska śmierci*. I jeszcze jedno: wciąż otaczała go niebieska poświata, choć bardzo nikła. Dostrzegłem ledwie widoczny półprzezroczysty strzępek głęboko w każdym z nozdrzy i równie nikły refleks na dolnej powiece.

– Czy w Ullum gapienie się na kogoś uchodzi za grzeczne, Charlie? Może to nawet oznaka szacunku, co? Powiedz mi.

– Przepraszam – rzuciłem i wypiłem resztę herbaty. Na dnie została cienka warstwa cukru. Miałem ochotę włożyć tam brudny paluch i zebrać te resztki, ale się powstrzymałem. – To wszystko jest dla mnie dziwne. Pan jest dziwny.

– Oczywiście, oczywiście. Jeszcze herbaty? Częstuj się i nie żałuj sobie cukru. Cukru też nie używam, a widzę, że chciałbyś więcej. Widzę naprawdę dużo. Niektórzy przekonują się o tym w bardzo bolesny sposób.

Nie wiedziałem, jak długo dzbanek czekał na stole na moje przybycie, lecz herbata wciąż była gorąca i lekko parowała. Może to też kwestia magii. Nie obchodziło mnie to. Byłem już zmęczony magią. Chciałem tylko zabrać swojego psa i wrócić do domu. Tyle że… była jeszcze syrena. To złe. Złe i nienawistne. Mordowanie piękna jest zbrodnią.

– Dlaczego opuściłeś Ullum, Charlie?

W tym pytaniu krył się haczyk. Miałem nadzieję, że dzięki Hameyowi nie dam się na niego złapać.

– Nie chciałem umrzeć.

– Tak?

– Uciekałem przed trucizną.

– Bardzo rozsądnie z twojej strony, trzeba przyznać. Natomiast nierozsądnie było przychodzić tutaj, nie uważasz?

– Prawie udało mi się uciec – odparłem i pomyślałem o innym powiedzeniu taty: „»Prawie« robi wielką różnicę”. Każde pytanie Kellina było niczym mina lądowa, którą musiałem ominąć, by nie wylecieć w powietrze.

– Ilu innych „uciekło przed trucizną”, jak to ująłeś? I czy wszyscy byli kompletni?

Wzruszyłem ramionami. Kellin zmarszczył czoło i odstawił filiżankę (prawie nie tknął herbaty), głośno uderzając nią o tacę.

– Nie bądź bezczelny, Charlie. To byłoby nierozsądne.

– Nie wiem ilu.

Była to najbezpieczniejsza odpowiedź, jakiej mogłem udzielić, biorąc pod uwagę, że o kompletnych wiedziałem tylko tyle, że nie szarzeją, nie tracą głosu i prawdopodobnie nie umierają, gdy ich stopione wnętrzności i przewody oddechowe przestaną działać. Ba, nawet tego nie byłem pewien.

– Mój pan, Kat Skrzydlatych, nie może się doczekać trzydzieściorga dwojga. Jest bardzo mądry, ale w tej akurat kwestii trochę dziecinny. – Kellin podniósł palec. Miał długi i zapewne ostry jak brzytwa paznokieć. – Chodzi o to, Charlie, że on jeszcze o tobie nie wie, a to z kolei znaczy, że mogę się ciebie pozbyć, gdy tylko zechcę. Bądź więc ostrożny i odpowiadaj na moje pytania zgodnie z prawdą.

Skinąłem głową. Miałem nadzieję, że wyglądam tak, jakbym wziął sobie do serca jego reprymendę. Bo rzeczywiście sobie wziąłem i zamierzałem być bardzo ostrożny. Ale w kwestii odpowiadania zgodnie z prawdą na pytania tego monstrum… Nie.

– Pod koniec zrobiło się tam ogromne zamieszanie – powiedziałem. Pomyślałem o masowym zatruciu w Jonestown. Miałem nadzieję, że w Ullum wyglądało to podobnie. Wiem, że brzmi to okropnie, byłem jednak przekonany, że walczę w tym ciepło oświetlonym przyjemnym salonie o życie. Właściwie wiedziałem to z całą pewnością.

– Tak przypuszczam. Próbowali przegnać modlitwami szarość, a gdy to nie podziałało… Dlaczego się uśmiechasz? Bawiło cię to?

Nie mogłem go poinformować, że w moim świecie, z pewnością znacznie bardziej oddalonym od Lily niż Ullum, nie brakuje chrześcijańskich fundamentalistów, którzy wierzą, że mogą modlitwami przegnać gejów.

– To było głupie. Głupota mnie bawi.

Uśmiechnął się, słysząc te słowa, i wtedy zobaczyłem błękitny ogień ukryty za jego zębami. Kellin, jakież ty masz wielkie zęby, pomyślałem.

– Twardo grasz. Twarda z ciebie sztuka, co? Przekonamy się.

Milczałem.

– Więc uciekłeś, zanim mogli ci wlać do gardła ten koktajl z wilczej jagody, tak?

Nie użył słowa „koktajl”… lecz mój umysł natychmiast rozpoznał sens tego, co powiedział Kellin, i podstawił odpowiednie określenie.

– Tak.

– Ty i twój pies.

– Ją też by zabili – odparłem. I czekałem, aż powie: „Nie jesteś z Ullum, tam nie ma psów, zmyślasz wszystko na poczekaniu”.

Skinął jednak głową.

– Tak, zrobiliby to – przyznał. – Podobno zabijali konie, krowy i owce. – Spojrzał w zamyśleniu na swoją filiżankę, a potem uniósł nagle głowę. Jego oczy stały się niebieskie i lśniące. Wypływały z nich elektryczne niebieskie łzy, które niemal natychmiast znikały w powietrzu, ale przez chwilę widziałem kość lśniącą pod jego pomarszczoną skórą. – Dlaczego tutaj? Dlaczego przybyłeś właśnie do Lily? Mów prawdę albo odwrócę ci tę pierdoloną głowę do tyłu! Umrzesz, gapiąc się na drzwi, przez które przed chwilą na własne nieszczęście przeszedłeś!

Miałem nadzieję, że prawda pozwoli mi przynajmniej jeszcze przez chwilę utrzymać głowę we właściwej pozycji.

– Była stara, a słyszałem historie o kamiennym kręgu, który… – Zatoczyłem palcem kółko w powietrzu. – Który mógł ją odmłodzić.

– I udało się?

Wiedział, że się udało. Jeśli sam nie zobaczył ze swojego elektrycznego pojazdu, jak Radar ucieka za bramę, to widzieli to inni nocni żołnierze.

– Tak.

– Miałeś szczęście. Ten zegar jest niebezpieczny. Myślałem, że śmierć Elsy z sadzawki pozbawi go tej mocy, ale stare czary nie ustępują tak łatwo.

Elsa. Więc tak nazywała się w tym świecie Ariel.

– Mógłbym wysłać paru szarych z młotami, żeby go rozbili, musiałby się jednak na to zgodzić Kat Skrzydlatych, a na razie tego nie zrobił. Pewnie Petra coś mu tam podszeptuje. Lubi ten stary zegar. Wiesz, jak działa magia?

Pomyślałem, że działa na różne sposoby – na przykład pozwala takim pechowym wędrowcom jak ja odwiedzać inne światy – lecz pokręciłem głową.

– Daje ludziom nadzieję, a nadzieja jest niebezpieczna. Nie uważasz?

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć, że nadzieja to pierzaste stworzenie, ale postanowiłem zachować to dla siebie.

– Nie wiem, proszę pana.

Uśmiechnął się i przez mgnienie oka widziałem wyraźnie nagą szczękę lśniącą pod jego ustami.

– Ale ja wiem. O tak, dobrze wiem. Cóż innego, jeśli nie nadzieja na szczęśliwe życie po śmierci kazała ludziom z twojej nieszczęsnej prowincji otruć siebie i wszystkie zwierzęta, gdy modlitwy nie wystarczyły do przegnania szarości? Ty jednak miałeś ziemskie nadzieje i uciekłeś. Teraz jesteś tutaj, a to miejsce, w którym dla takich jak ty umiera wszelka nadzieja. Nawet jeśli na razie w to nie wierzysz, to uwierzysz. Jak przeszedłeś obok Hany?

– Czekałem, a potem wykorzystałem okazję.

– Nie tylko twardy, lecz także dzielny! No proszę! – Pochylił się do mnie i poczułem jego zapach: woń starej zgnilizny. – Przyszedłeś do Lilimar nie tylko ze względu na psa, co? – Podniósł rękę, pokazując długi paznokieć. – Powiedz prawdę, bo inaczej poderżnę ci gardło.

– Złoto – wypaliłem.

Machnął lekceważąco ręką.

– W Lily złoto jest wszędzie. Tron, na którym Hana siedzi, pierdzi i drzemie, jest zrobiony ze złota.

– Ale raczej nie wyniósłbym tego tronu na plecach, prawda?

Roześmiał się, ubawiony. To był okropny dźwięk, jak grzechot suchych kości. Kellin przestał się śmiać równie raptownie, jak zaczął.

– Słyszałem… – zacząłem – nie wiem, czy to prawda… że są tu takie małe bryłki złota…

– Skarbiec, oczywiście. Ale nie widziałeś go na własne oczy?

– Nie.

– Nigdy nie przychodziłeś na igrzyska i nie gapiłeś się na nie przez szkło?

– Nie.

Stąpałem po niepewnym gruncie, bo miałem tylko mgliste pojęcie o tym, czego mogły dotyczyć jego słowa. Jeśli nie była to pułapka.

– A co z Mroczną Studnią? Opowiadają o tym nawet w Ullum?

– Cóż… tak. – Zacząłem się coraz mocniej pocić. Wiedziałem, że jeśli to przesłuchanie długo potrwa, w końcu wejdę na jedną z min.

– Ale zawróciłeś po tym, jak dotarłeś do zegara słonecznego. Dlaczego?

– Chciałem wydostać się z miasta przed zmrokiem. – Wyprostowałem się i próbowałem mówić lekko wyzywającym tonem. – I prawie mi się udało.

Uśmiechnął się ponownie. Pod iluzją jego skóry czaszka szczerzyła zęby w niezmiennym trupim uśmiechu. Czy on – i pozostali – byli kiedyś ludźmi? Przypuszczałem, że tak.

– Ten świat jest pełen bólu, nie uważasz? Ileż bólu kryje się w każdym „prawie”. – Postukał w umalowane usta tym odrażająco długim paznokciem, przyglądając mi się uważnie. – Nie obchodzisz mnie, Charlie, i nie wierzę ci. Ani trochę. Kusi mnie, żeby wysłać cię na Pasy, tylko Kat Skrzydlatych by tego nie pochwalił. Chce trzydzieściorga dwojga, a licząc ciebie, brakuje nam już tylko jednego kompletnego. Więc wrócisz do Maleen.

Podniósł głos w krzyku, który był tak nienaturalnie głośny, że chciałem odruchowo zakryć uszy dłońmi. Przez chwilę widziałem tylko czaszkę otuloną błękitnym ogniem, zawieszoną nad kabotyńską marynarką smokingową z czerwonego aksamitu.

– AARON!

Otworzyły się drzwi i do holu wszedł strażnik.

– Tak, panie.

– Odprowadź go, ale po drodze pokaż mu Pasy. Chcę, by Charlie zrozumiał, że jego los w Maleen niej jest najgorszym, co mogło go spotkać w pałacu, w którym niegdyś rządził król Jan, oby jego imię odeszło szybko w zapomnienie. Charlie?

– Tak?

– Mam nadzieję, że będziesz dobrze wspominał tę wizytę i herbatę z cukrem. – Tym razem iluzja jego twarzy wyszczerzyła się w takim samym uśmiechu jak realna czaszka. – Bo nigdy więcej nie spotka cię taka przyjemność. Myślisz, że jesteś sprytny, ale cię przejrzałem. Myślisz, że jesteś twardy, ale zmiękniesz. Zabieraj go.

Aaron podniósł elektrorózgę, odsunął się jednak na bok, żebym nie musiał dotykać jego osłabiającej poświaty. Kiedy gotów za moment odetchnąć z ulgą, doszedłem do drzwi, Kellin powiedział:

– A niech to! Byłbym zapomniał. Wróć tutaj, Charlie.

Wystarczająco często oglądałem z ojcem w sobotnie popołudnia powtórki *Columbo*, by wiedzieć, na czym polega sztuczka „Jeszcze tylko jedno pytanie”, ale i tak poczułem przerażenie na myśl o tym, co może nastąpić.

Wróciłem i stanąłem przy krześle, na którym wcześniej siedziałem. Kellin wysunął małą szufladę w stoliku i coś z niej wyjął. To był portfel… ale nie mój portfel. Mój, skórzany firmy Lord Buxton, był brązowy; dostałem go od taty na czternaste urodziny. Ten był czarny, stary i porysowany.

– Co to jest? – spytał Kellin. – Bardzo mnie to ciekawi.

– Nie wiem.

Kiedy jednak otrząsnąłem się już z pierwszego szoku, zrozumiałem, że wiem. Przypomniałem sobie, jak Dora dała mi skórzane kupony na buty, a potem pokazała, żebym zdjął plecak i położył go na wózku, zamiast nieść go niepotrzebnie do Lei. Wtedy otworzyłem plecak i kierowany starym odruchem, schowałem portfel do tylnej kieszeni spodni. Nawet nie myślałem o tym, co robię. I nawet na to nie patrzyłem. Patrzyłem wtedy na Radar, zastanawiając się, czy mogę ją zostawić z Dorą. Skończyło się więc na tym, że przez cały czas nosiłem portfel Christophera Polleya zamiast swojego.

– Znalazłem to i zabrałem. Pomyślałem, że to może coś cennego. Schowałem do kieszeni, a potem zapomniałem.

Otworzył przegródkę na banknoty i wyjął stamtąd jedyne pieniądze, jakie nosił ze sobą Polley – banknot dziesięciodolarowy.

– To wygląda na pieniądze, ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego – powiedział.

Alexander Hamilton wyglądał jak jeden z kompletnych ludzi z Empis, może nawet jak członek rodziny królewskiej, lecz na banknocie nie było żadnych słów, tylko jakaś zagmatwana bazgranina, od której niemal bolały mnie oczy. A zamiast liczby 10 w rogach widniały symbole: .

– Wiesz, co to jest?

Pokręciłem głową. Wyglądało na to, że słowa i cyfry widoczne na banknocie nie miały swoich odpowiedników ani w angielskim, ani w empisańskim, lecz trafiły na językową ziemię niczyją.

Potem Kellin wyjął nieważne prawo jazdy Polleya. Nazwisko było czytelne, lecz cała reszta zamieniła się w gęstwinę runów przetykaną tu i ówdzie normalnymi literami.

– Kim jest ten Polley i co to za obrazek? Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Nie wiem.

Wiedziałem za to jedno: miałem ogromne szczęście, że podczas ucieczki odrzuciłem plecak, by biec szybciej. Był w nim mój portfel i telefon – to na pewno zainteresowałoby Kellina – oraz wskazówki, które zapisałem na wyraźne polecenie Claudii. Nie sądziłem, by słowa wypisane na tej kartce zamieniły się w runiczną bazgraninę jak wszystko, co znajdowało się na banknocie i prawie jazdy Polleya. Nie, te słowa byłyby napisane po empisańsku.

– Nie wierzę ci, Charlie.

– Ale to prawda – wychrypiałem. – Znalazłem to w rowie przy drodze.

– A to? – Wskazał na moje brudne buty. – W rowie? Przy drodze?

– Tak. Razem z tym. – Wskazałem na portfel, a potem czekałem w napięciu, aż wyjmie rewolwer pana Bowditcha. „A co z tym, Charlie?

Znaleźliśmy to w trawie przy głównej bramie”. Byłem niemal pewien, że tak się stanie.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast niczym magik wyjmujący królika z kapelusza wyjąć rewolwer, Kellin rzucił portfelem przez pokój.

– Zabieraj go stąd! – wrzasnął do Aarona. – Jest brudny jak świnia! Pobrudził mi dywan, krzesło, nawet filiżankę! Zabieraj to kłamliwe ścierwo z mojej kwatery!

Bardzo chętnie się stamtąd wyniosłem.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

## Pasy. Aś. Ani śladu szarości. Życie w lochach.

### 1

Zamiast wracać tą samą drogą, którą przyszliśmy, Aaron skierował mnie na inne schody. Szedł za mną i co jakiś czas uderzał mnie lekko rózgą. Czułem się jak krowa pędzona do zagrody, co było wstrętne i upokarzające, ale przynajmniej wiedziałem, że nie prowadzą mnie do rzeźni. W końcu byłem numerem trzydziestym pierwszym, co stanowiło o mojej wartości. Nie wiedziałem dlaczego, lecz coś już zaczęło mi świtać. Trzydzieści jeden to liczba pierwsza, podzielna tylko przez jeden i siebie samą. Za to trzydzieści dwa można dzielić na wiele różnych sposobów.

Po drodze mijaliśmy wiele drzwi, większość była zamknięta, tylko parę otwartych lub uchylonych. Z ukrytych za nimi pomieszczeń nie dochodziły żadne dźwięki. W czasie całej tej wędrówki pałac sprawiał wrażenie opuszczonego i zaniedbanego. Owszem, byli tu nocni żołnierze, lecz poza tym wydawał się niezamieszkany. Nie miałem pojęcia, dokąd idziemy, w końcu jednak usłyszałem klekot jakiejś maszynerii i miarowe głuche bębnienie, przypominające bicie serca. Z pewnością zeszliśmy niżej niż Głębia Maleen. Odstępy między lampami gazowymi na ścianach stawały

się coraz większe i nie wszystkie się paliły. Gdy znaleźliśmy się na dole trzeciego ciągu schodów – głos bębna był już bardzo donośny, a stukot maszynerii jeszcze głośniejszy – najjaśniejszym źródłem światła był zimny ogień Aarona. Zobaczyłem przed sobą zamknięte drzwi. Podniosłem rękę, by uderzyć w nie pięścią, i to mocno, bo nie chciałem znowu dostać w kark tą przeklętą elektrorózgą.

– Nie, nie – powstrzymał mnie Aaron tym swoim dziwnie owadzim głosem. – Po prostu otwórz.

Podniosłem żelazny haczyk, pchnąłem drzwi i trafiłem na ścianę dźwięku i żaru. Strażnik dźgnął mnie rózgą w plecy i wpadłem do środka. Niemal natychmiast na mojej twarzy i rękach pojawiły się krople potu. Znalazłem się na balkonie otoczonym sięgającą pasa żelazną balustradą. Okrągłe pomieszczenie w dole wyglądało jak klub fitness z piekła rodem. Ponad dwadzieścioro, może trzydzieścioro szarych mężczyzn i kobiet maszerowało szybko po urządzeniach przypominających elektryczne bieżnie; każdy miał na szyi pętlę. Trzej nocni żołnierze, trzymający elektrorózgi, opierali się o kamienne ściany i obserwowali maszerujących. Czwarty stał na podwyższeniu i walił w wysoki drewniany cylinder jak w kongę. Na bębnie wymalowano krwawiące motyle, co wydało mi się chybionym pomysłem, bo motyle raczej nie krwawią. Dokładnie naprzeciwko mnie, za bieżniami, znajdowała się klekocząca maszyna, złożona głównie z tłoków i pasków klinowych. Trzęsła się cała na swojej podstawie. Nad maszyną paliła się pojedyncza elektryczna lampa, podobna do tych, jakich używają mechanicy, gdy zaglądają pod maski naprawianych samochodów.

To, co właśnie zobaczyłem, przypominało okręt wojenny z jednego z moich ulubionych filmów z TCM, *Ben Hura*. Szarzy ludzie na tych bieżniach byli niewolnikami, tak jak wioślarze na galerach. Widziałem, jak

jedna z kobiet się potknęła, złapała za linę, która wrzynała się w jej szyję, i zdołała ponownie stanąć na nogach. Dwaj nocni żołnierze, którzy ją obserwowali, spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Nie chciałbyś tutaj trafić, co? – spytał Aaron zza moich pleców.

– Nie. – Nie wiedziałem, co było okropniejsze: więźniowie maszerujący na bieżniach w tempie bliskim biegowi czy zachowanie tych dwóch nocnych żołnierzy, gdy kobieta straciła równowagę i zaczęła się dusić. – Nie chciałbym.

Zastanawiałem się, ile energii może wytworzyć ten napędzany bieżniami rozklekotany generator. Przypuszczałem, że niewiele; owszem, w apartamentach Lorda Wysokiego był prąd, lecz nigdzie indziej nie widziałem urządzeń elektrycznych. Tylko lampy gazowe, które też nie były w najlepszym stanie.

– Jak długo oni muszą…

– Zmiana trwa dwanaście godzin.

Nie użył słowa „godziny”, mój umysł ponownie sam to przełożył. Rozumiałem empisański i mówiłem tym językiem; coraz lepiej radziłem sobie zarówno z jednym, jak i drugim. Pewnie nie umiałbym jeszcze wypowiedzieć slangowego określenia w rodzaju „obłędny”, ale przypuszczałem, że w końcu dojdę i do tego.

– Chyba że się uduszą – dodał Aaron. – Mamy kilkoro w zapasie na taką ewentualność. Chodź, dzieciaku. Zobaczyłeś, co miałeś zobaczyć. Czas wracać.

Cieszyłem się, że opuszczamy to miejsce, wierzcie mi. Nim się jednak odwróciłem, kobieta, która przed chwilą o mało nie zginęła, podniosła na mnie wzrok. Jej mokre od potu włosy opadały grubymi strąkami. Narośle i fałdy szarej skóry częściowo zniekształciły jej twarz, nie mogły jednak ukryć rozpaczy, która wyzierała z oczu.

Czy widok tej zrozpaczonej kobiety wzbudził we mnie taki sam gniew jak widok zamordowanej syreny? Nie jestem pewien, bo wszystko to strasznie mnie oburzało i rozsierdzało. Piękna kraina została splugawiona i tak wyglądały tego skutki: kompletni ludzie zamknięci w lochu, chorzy ludzie z pętlami na szyjach biegający na bieżniach, by zapewnić prąd Lordowi Wysokiemu i być może kilku innym wybrańcom, wśród których z pewnością znajdował się człowiek lub stwór władający tym wszystkim: Kat Skrzydlatych.

– Ciesz się, że jesteś kompletny – powiedział Aaron. – Przynajmniej na razie. Potem możesz tego pożałować.

Dla podkreślenia tych słów smagnął mnie rózgą po karku, otwierając ranę, na której zdążyła zakrzepnąć krew.

## 2

Ktoś, zapewne Pursey, nasz strażnik-dozorca, wrzucił brudny koc do celi, którą dzieliłem z Hameyem. Wytrzepałem go, pozbywając się mnóstwa wszy (chyba normalnych rozmiarów), i usiadłem na nim. Hamey leżał na plecach, wpatrzony w sufit. Miał podrapane czoło, krew pod nosem i rozcięcia na obu kolanach. Z jednego musiały wcześniej wypływać strużki krwi – zakrzepły na jego goleni.

– Co ci się stało? – spytałem.

– Zabawa – odparł głucho.

– Nie ma już tej ikry co kiedyś – rzucił z sąsiedniej celi Fremmy, który miał podbite oko.

– Nigdy jej nie miał – dodał Stooks. Miał siniaka na skroni, ale poza tym nic mu się chyba nie stało.

– Zamknijcie się obaj! – zawołał z naprzeciwka Jo. – Możecie go stłuc, jak go wylosujecie, ale teraz dajcie mu spokój.

Fremmy i Stooks przycichli. Jo usiadł, opierając się plecami o ścianę celi, i wpatrywał się ponuro w podłogę między kolanami. Miał głęboką ranę nad okiem. Z pozostałych cel dochodziły jęki i bolesne postękiwania. Jedna z kobiet płakała cicho.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza i wyszedł zza nich Pursey z wiadrem zawieszonym w zgięciu łokcia. Przystanął, by przyjrzeć się lampie, która wypadła ze ściany. Odstawił wiadro i włożył lampę do otworu. Tym razem została na miejscu. Wyjął z kieszeni fartucha drewnianą zapałkę, potarł nią o kamień, a kiedy się zapaliła, przysunął ją do małego mosiężnego palnika. Płomień wystrzelił w górę z cichym fuknięciem. Czekałem, aż Fremmy wygłosi jakiś komentarz, ale wyglądało na to, że ten dowcipny dżentelmen chwilowo nie był w nastroju do żartów.

– Aś – powiedział Pursey przez maciupeńki otworek w miejscu, w którym kiedyś miał usta. – Aś, o ce aś?

– Ja wezmę trochę – odezwał się Jo. Pursey podał mu z wiaderka mały krążek wyglądający jak drewniana pięciocentówka. – I daj też trochę nowemu chłopakowi. Jeśli on tego nie potrzebuje, to na pewno przyda się Bezużytecznemu.

– Maść? – upewniłem się.

– A co, kurwa, innego? – Jota zaczął nacierać maścią swój szeroki kark.

– Nij ke – zwrócił się do mnie Pursey. – Nij ke, wy ku.

Domyśliłem się, że miało to oznaczać: „Wyciągnij rękę, nowy chłopaku”, więc wysunąłem dłoń za kraty. Położył na niej jedną z drewnianych pięciocentówek.

– Dziękuję – powiedziałem.

Spojrzał na mnie. Mógłbym się założyć, że jego twarz wyrażała zdumienie. Może nigdy dotąd nikt mu nie dziękował, przynajmniej nie w Głębi Maleen.

Na drewnianym krążku znajdowała się odrobina cuchnącej gęstej substancji. Przykucnąłem obok Hameya i spytałem, gdzie go boli.

– Wszędzie – odparł i spróbował się uśmiechnąć.

– Gdzie najbardziej?

Tymczasem Pursey niósł wiadro w głąb korytarza, powtarzając:

– Aś, aś, o ce aś?

– Kolana. Ramiona. Najgorzej bebechy, wiadomo, ale na to nie pomoże żadna maść.

Zachłysnął się z bólu, kiedy wtarłem maź w rany na jego kolanach, ale westchnął z ulgą, gdy potem zająłem się jego plecami i ramionami. Podczas sezonu futbolowego robiłem masaże – mnie też masowano – więc wiedziałem, jak się do tego zabrać.

– To było dobre – powiedział Hamey. – Dzięki.

Nie był brudny – w każdym razie niezbyt brudny, nie tak, jak ja. Wciąż słyszałem krzyk Kellina: „Zabieraj go stąd! Jest brudny jak świnia!”. I miał rację. Mój pobyt w Empis okazał się niezwykle aktywny; wpadłem w cmentarne błoto i właśnie złożyłem wizytę w Pasach, gdzie było gorąco jak w saunie.

– Zakładam, że nie ma tu pryszniców, co? – spytałem.

– Nie. Kiedyś była bieżąca woda w pokojach drużyn… jeszcze za czasów, gdy rozgrywali tu normalne mecze… ale teraz są tylko wiadra. I jedynie zimna woda, ale… Au!

– Przepraszam. Strasznie tu jesteś spięty, na karku.

– Po następnej Zabawie będziesz mógł sobie zrobić kurwią kąpiel… tak to tu nazywamy. Na razie jednak musisz z tym żyć.

– Sądząc po tym, jak wyglądasz i jak inni jęczą, musi to być jakaś ostra zabawa. Nawet Jo nieźle oberwał.

– Przekonasz się – rzucił Stooks.

– I nie spodoba ci się – dodał Fremmy.

W głębi korytarza ktoś zaczął kaszleć.

– Przestań! – krzyknęła jakaś kobieta. – Nikt nie chce tego, co ty masz, Dommy!

Kaszel nie ustawał.

## 3

Jakiś czas później Pursey wrócił z wózkiem wypełnionym kawałkami na wpół upieczonego kurczaka i zaczął wrzucać je do cel. Zjadłem swój i połowę Hameya. W celi naprzeciwko Jo wyrzucił kości do dziury w podłodze i wrzasnął:

– Zamknijcie się wszyscy, do cholery! Chcę spać!

Mimo tego zarządzenia jeszcze przez jakiś czas trwały rozmowy, które potem zamieniły się w przytłumione pomruki, aż w końcu całkiem ucichły. Domyśliłem się, że kurczak był kolacją i że nadeszła pora snu. Pory dnia nie dało się określić w żaden inny sposób; za zakratowanymi oknami stale panowały nieprzeniknione ciemności. Czasami dostawaliśmy stek, czasami kurczaka, a czasami pełne ości filety rybne. Zwykle, choć nie zawsze, były też marchewki. Żadnych deserów. Innymi słowy, nic, czego Pursey nie

mógłby wrzucić między kraty. Mięso było dobre, nie miało nic wspólnego z robaczywymi resztkami, jakich spodziewałbym się w lochu, a marchewki były chrupiące. Chcieli, żebyśmy byli zdrowi, i rzeczywiście byliśmy, prócz Dommy’ego – dokuczała mu jakaś choroba płuc – i Hameya, który nigdy nie jadł zbyt wiele, a i tak narzekał ciągle na ból brzucha.

Bez względu na porę dnia i nocy nieustannie paliły się lampy gazowe, ale było ich tak mało, że Głębię Maleen stale spowijał półmrok, dezorientujący i przygnębiający. Gdybym miał poczucie czasu, kiedy tu trafiłem (a nie miałem), straciłbym je po pierwszych dwudziestu czterech, może trzydziestu sześciu godzinach.

Miejsca, w które Aaron uderzał mnie elektrorózgą, piekły i bolały. Posmarowałem je resztką maści i ból trochę zelżał. Gdy pocierałem rękami twarz i szyję, brud odpadał z nich całymi grudkami. W pewnym momencie zasnąłem i śniłem o Radar. Skakała radośnie, młoda i silna, otoczona chmurą pomarańczowo-czarnych motyli. Nie wiem, jak długo spałem, ale kiedy się ocknąłem, w długich szeregach cel wciąż panowała cisza, przerywana jedynie chrapaniem, popierdywaniem i kaszlem Dommy’ego. Wstałem i napiłem się wody, pamiętając, by zatykać palcem dziurę w dnie kubka. Zamierzałem się z powrotem położyć i w tym momencie zobaczyłem, że Hamey się we mnie wpatruje. Podpuchnięte półkola pod jego oczami wyglądały jak siniaki.

– Nie musisz mnie ratować. Cofam to. Będzie, co musi być. Rzucają mną jak workiem ziarna, a to tylko Zabawa. Jak to będzie wyglądać, kiedy w końcu urządzą Selekcję?

– Nie wiem. – Zastanawiałem się, czy nie zapytać go, czym jest Selekcja, podejrzewałem jednak, że to coś w rodzaju krwawego turnieju, jak walki w klatce. Jak uświadomiłem sobie wcześniej, trzydzieści dwa

można dzielić na wiele sposobów. A Zabawa? To trening. Przygotowanie do głównej rozgrywki. Bardziej intrygowało mnie coś innego.

– W drodze do Lilimar spotkałem chłopca i mężczyznę – powiedziałem. – Byli, no wiesz, szarzy.

– Jak większość z nich. – Hamey westchnął. – Odkąd Kat Skrzydlatych wrócił z Mrocznej Studni. – Uśmiechnął się gorzko.

To jedno zdanie skrywało jakąś cholernie ważną historię i chciałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej, lecz na razie pozostałem przy szarym mężczyźnie, który poruszał się o kuli.

– Szli z Nadmorza…

– Co ty powiesz! – wyszeptał Hamey bez większego zainteresowania.

– I ten mężczyzna coś mi wtedy powiedział. Najpierw nazwał mnie kompletnym człowiekiem…

– A nie jesteś? Ani śladu szarości na tobie. Kupa brudu, ale nie szarości.

– A potem spytał: „Przed którym z nich twoja matka zadzierała spódnicę, że teraz masz taką gładką buźkę?”. Nie wiesz może, co to znaczy?

Hamey usiadł prosto i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

– W imię wszystkich pomarańczowo-czarnych motyli świata, skądś ty się wziął?

W celi naprzeciwko Jo sapnął i poprawił się na pryczy.

– Wiesz, co to znaczy, czy nie? – spytałem.

Hamey westchnął.

– Gallienowie rządzili Empis od niepamiętnych czasów, wiesz o tym, co?

Machnąłem ręką, pokazując, by mówił dalej.

– Tysiące, tysiące lat.

I znów jakbym miał dwa języki w głowie, zazębiające się tak dokładnie, że niemal tworzyły jedną całość.

– W pewnym sensie dalej rządzą – ciągnął Hamey. – Wiadomo przecież, kim jest Kat Skrzydlatych… Jeśli on to ciągle on, a nie jakiś potwór ze studni… Ale na czym to ja, kurwa, skończyłem?

– Gallienowie.

– Już ich nie ma, zrąbali całe drzewo rodzinne… choć niektórzy mówią, że paru jeszcze żyje…

Wiedziałem, że paru jeszcze żyje, bo spotkałem troje z nich. Nie miałem jednak zamiaru mówić o tym Hameyowi.

– Ale były czasy, jeszcze za życia mojego ojca, kiedy Gallienów było wielu. Ładniutcy byli wszyscy, mężczyźni i kobiety. Ładni jak motyle, które wybił Kat Skrzydlatych.

Nie wybił ich wszystkich, ale o tym też nie zamierzałem mu mówić.

– Byli też jurni. – Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby, zaskakująco białe i zdrowe w porównaniu z jego wychudłą twarzą. – Wiesz, co to znaczy, nie?

– Wiem.

– Mężczyźni rozsiewali swoje ziarno wszędzie, gdzie mogli, nie tylko tutaj, w Lilimar czy w Cytadeli, ale w Nadmorzu… w Deesk… w Ullum… podobno nawet na Zielonych Wyspach za Ullum. – Uśmiechnął się filuternie. – A kobiety podobno nie miały nic przeciwko małej przygodzie za zamkniętymi drzwiami. Jurni faceci, jurne kobity, żadnych gwałtów, bo wielu zwykłych ludzi chętnie się pokłada z członkami rodziny królewskiej. A wiesz, co wychodzi z takiej zabawy?

– Dzieci.

– Ano właśnie, dzieci. To ich krew, Charlie, ratuje nas przed szarością. Kto wie, jaki książę czy dworak, a może nawet sam król, pokładał się

z moją babką, prababką czy nawet matką? No i tak wyszło, że nie ma na mnie ani śladu szarości. Jest Jo, ten wielki małpiszon, bez plamki szarości, Dommy i Czarny Tom tak samo… Stooks i Fremmy… Jaya i Eris… Dublet… Bult… Doktor Freed… cała reszta… i ty. Ty, który nie masz o niczym gównianego pojęcia. Aż się zaczynam zastanawiać…

– Nad czym? – wyszeptałem. – Nad czym zaczynasz się zastanawiać?

– Nieważne – mruknął. Położył się i przykrył ręką podkrążone oczy. – Powinieneś się jednak zastanowić, czy zmyć z siebie ten brud.

Z głębi korytarza dobiegł ryk więźnia o imieniu Gully.

– Są tu tacy, co chcą spać!

Hamey zamknął oczy.

## 4

Leżałem i rozmyślałem. Koncepcja głosząca, że tak zwani kompletni ludzie są odporni na szarość, początkowo wydawała mi się rasistowska, mniej więcej równie prawdopodobna jak teorie tych fanatycznych tępaków, którzy twierdzą, że biali ludzie z natury są bystrzejsi od czarnych. Jak już wspominałem, byłem przekonany, że członkowie rodziny królewskiej są takimi samymi śmiertelnikami jak te nieszczęsne stworzenia, które męczyły się na Pasach, by zapewnić światło elektryczne Lordowi Wysokiemu.

Tyle że tutaj w grę wchodziły geny, prawda? Mieszkańcy Empis mogli o tym nie wiedzieć, ale ja wiedziałem. Rozprzestrzenianie złych genów mogło mieć fatalne konsekwencje, a rodziny królewskie często właśnie takie geny przekazywały dalej. Jedną z konsekwencji była hemofilia, inną

deformacja twarzy zwana wargą habsburską. Uczyłem się o takich rzeczach w szóstej klasie na zajęciach z – kto by pomyślał? – edukacji seksualnej. Być może tutaj istniał jakiś kod genetyczny, który zapewniał odporność na chorobę zwaną szarością?

W normalnym świecie człowiek rządzący państwem chciałby utrzymać takich ludzi przy życiu. W tym zaś władca, Kat Skrzydlatych – przydomek, który nie kojarzył się raczej z bezpieczeństwem – chciał ich zabić. A szarzy ludzie prawdopodobnie też nie żyli długo. Bez względu na to, czy była to klątwa, czy choroba, nieuchronnie postępowała. Kto ostatecznie ocaleje? Pewnie nocni żołnierze, ale kto prócz nich? Czy Kata Skrzydlatych otaczała grupa odpornych na chorobę stronników? Jeśli tak, to kim będą rządzić, jeżeli wybiją kompletnych, a szarzy wymrą? Jaki był cel i koniec tej gry? Czy w ogóle miała jakiś cel?

I coś jeszcze: Hamey powiedział, że Gallienowie rządzili Empis od niepamiętnych czasów, ale „zrąbali całe drzewo rodzinne”. I dodał: „W pewnym sensie dalej rządzą”, jakby zaprzeczając samemu sobie. Czy to oznaczało, że Kat Skrzydlatych był… No właśnie, kim? Członkiem rodziny królewskiej, Domu Gallienów, jak nazwano by to w powieści z cyklu *Gra o tron* George’a R.R. Martina? Takie wyjaśnienie wydawało się mało prawdopodobne, bo Lea powiedziała mi (przez swojego konia), że jej cztery siostry i dwaj bracia nie żyją. Podobnie jak matka i ojciec, czyli zapewne król i królowa. Więc kto jeszcze mógł wchodzić w grę? Jakiś bękart, jak Jon Snow w *Grze o tron*? Szalony pustelnik ukryty gdzieś w lasach Empis?

Wstałem i podszedłem do krat. W jednej z cel Jaya również stała przy kratach. Miała głowę owiniętą bandażem, który układał się krzywo na czole. Nad lewym okiem widniała plama krwi, która przesączyła się przez opatrunek.

– Wszystko w porządku? – wyszeptałem.

– Tak. Nie powinniśmy rozmawiać, Charlie. To czas snu.

– Wiem, ale… Kiedy nadeszła szarość? Od kiedy rządzi ten Kat Skrzydlatych?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, zanim odpowiedziała:

– Nie wiem. Byłam dziewczynką i mieszkałam w Cytadeli, kiedy to wszystko się wydarzyło.

Niezbyt przydatna informacja. „Byłam dziewczynką” mogło oznaczać, że miała sześć, dwanaście, a może nawet osiemnaście lat. Przypuszczałem, że Kat Skrzydlatych doszedł do władzy – i wtedy też pojawiła się szarość – jakieś dwanaście do czternastu lat temu; do takiego wniosku skłaniało mnie coś, co powiedział pan Bowditch: „Tchórz przynosi prezenty”. Prawdopodobnie widział, co się działo, rozdał więc swoim ulubieńcom trochę prezentów, poczęstował się wiadrem złotych śrucin i uciekł. Taką tezę potwierdzało też coś, co mówiła Dora: Radar była jeszcze szczeniakiem, gdy pan Bowditch odwiedził ją po raz ostatni. Klątwa już wtedy działała. Może. Prawdopodobnie. Jakby mało było tych wątpliwości i niewiadomych, nie wiedziałem nawet, czy empisańskie lata trwają tyle samo co ziemskie.

– Śpij, Charlie. Tylko tak możemy choć na chwilę stąd uciec. – Zaczęła się odwracać.

– Jaya, poczekaj! – W celi naprzeciwko Jota chrząknął, parsknął i obrócił się na drugi bok. – Kim on był? Kim był, zanim zamienił się w Kata Skrzydlatych? Wiesz, kto to jest?

– Elden – odparła. – Elden z Gallienu.

Wróciłem na swoje posłanie i położyłem się. Elden. Znałem to imię. Falada, przemawiając w imieniu swojej pani, powiedziała mi, że Lea miała cztery siostry i dwóch braci. Lea widziała zmasakrowane ciało Roberta.

Drugi brat również nie żył, choć nie mówiła, jak zginął ani czy widziała jego ciało. Ten drugi brat zawsze był dla niej dobry, twierdziła Falada… która w rzeczywistości była Leą.

Tym drugim bratem był Elden.

# 5

Minęły trzy dni. Zakładam, że to były trzy dni, bo Pursey dziewięć razy przychodził do nas z wózkiem pełnym niedopieczonego mięsa, choć tak naprawdę mogło to trwać dłużej; w rozświetlanym lampami gazowymi półmroku Maleen dzień nie różnił się niczym od nocy. W tym czasie próbowałem ułożyć w jedną całość historię tego, co na własny użytek nazywałem Upadkiem Empis albo Erą Kata Skrzydlatych, albo Nadejściem Klątwy. Były to raczej jałowe rozmyślania, bo dysponowałem zaledwie strzępami informacji, ale pozwalały zabijać czas. Przynajmniej trochę czasu. No i choć były to tylko strzępy, miałem jakiś punkt zaczepienia.

Jeden strzęp: pan Bowditch mówił o dwóch „wschodzących” księżycach, ale ja nigdy nie widziałem, jak wschodziły. Prawie w ogóle ich nie widziałem. Mówił też o konstelacjach, jakich nigdy nie widzieli ziemscy astronomowie, lecz mnie udało się zobaczyć tylko nieliczne gwiazdy. Pomijając ten skrawek błękitu, który pojawił się na moment, gdy docierałem do zegara słonecznego, widziałem właściwie tylko chmury. Krótko mówiąc, błękitne niebo było w Empis towarem deficytowym. Przynajmniej teraz.

Kolejny strzęp: Pan Bowditch nigdy nie wspominał o Hanie, a z pewnością by to zrobił, gdyby wiedział o jej istnieniu. Po raz pierwszy usłyszałem jej imię podczas wizyty u „garki”.

Najbardziej jednak interesował mnie trzeci strzęp, który być może krył w sobie najwięcej odpowiedzi. Pan Bowditch mówił o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby ludzie z naszego świata odkryli drogę do Empis, świata pełnego nietkniętych jeszcze bogactw naturalnych. Tuż przed tym, jak uświadomił sobie, że ma atak serca, powiedział: „czy baliby się (potencjalni grabieżcy z naszego świata) wybudzić straszliwego boga tego miejsca z jego długiej drzemki?”.

Sądząc po tym, co przekazał mi pan Bowditch, w Empis działo się źle już wtedy, gdy zszedł tu po raz ostatni, choć być może Hana jeszcze nie pokazywała swojej szpetnej gęby. Z pewnością Lilimar było już wtedy miastem opustoszałym i „niebezpiecznym, zwłaszcza nocą”. Czy przekonał się o tym osobiście, na przykład podczas ostatniej wyprawy po złoto, czy też dowiedział się o tym od kogoś godnego zaufania, na przykład od Woody’ego? Przypuszczałem, że doświadczył tych niebezpieczeństw, gdy wybrał się po złoto, i że wtedy w mieście nie było jeszcze Hany.

Na tym chwiejnym i kruchym fundamencie szczątkowych informacji zbudowałem potężny wieżowiec hipotez. Kiedy pan Bowditch po raz ostatni odwiedził Empis, król Gallienu (który prawdopodobnie miał na imię Jan) oraz królowa (o nieznanym mi imieniu) zostali już zdetronizowani. Przynajmniej pięcioro z ich siedmiorga dzieci zginęło. Lea uciekła razem ze swoją ciotką Claudią i stryjem lub wujem (nie pamiętałem już dokładnie, kim dla niej był) Woodym. Lea twierdziła, że zginął również jej brat Elden, i to chyba jego kochała najbardziej. Czy to możliwe, że wolała wierzyć w jego śmierć, niż dopuścić do siebie myśl, że stał się Katem Skrzydlatych?

Czy jakakolwiek siostra chciałaby uwierzyć, że jej ukochany braciszek zamienił się w potwora?

Czy możliwe było też, że Elden uniknął czystki – jeśli rzeczywiście była to czystka – i „wybudził straszliwego boga tego miejsca z jego długiej drzemki”? Uznałem to za najbardziej prawdopodobną hipotezę, z powodu czegoś, co powiedział Hamey: „Odkąd Kat Skrzydlatych wrócił z Mrocznej Studni”.

Być może była to jedynie bzdurna legenda, ale jeśli jednak nie? Jeśli brat Lei zszedł do Mrocznej Studni (tak jak ja wszedłem do innej studni, by się tutaj dostać), żeby uciec przed czystką albo w jakimś innym celu? Jeśli zszedł tam jako Elden, a wrócił jako Kat Skrzydlatych? Być może teraz kierował nim bóg Mrocznej Studni. Albo Elden został opętany przez tego boga? Może był bogiem. Przerażająca myśl, ale dość sensowna, biorąc pod uwagę to, że wszyscy ludzie – szarzy i kompletni – byli eliminowani lub sami umierali, w większości powoli i boleśnie.

Niektóre rzeczy nie pasowały do tej hipotezy, inne – i to wiele – całkiem dobrze się w nią wpisywały. I jak już wspomniałem, budowanie takich scenariuszy pomagało mi zabijać czas.

Pozostawało tylko jedno pytanie, na które nie znalazłem na razie odpowiedzi: Jak można temu zaradzić?

# 6

Poznałem trochę lepiej innych więźniów, ale że przebywaliśmy stale w swoich celach, nie miałem szansy stworzyć czegoś, co można by nazwać

głębszymi relacjami. Fremmy i Stooks byli parą komediantów, choć ich dowcipy (jeśli można to tak nazwać) bardziej bawiły ich samych niż kogokolwiek innego, łącznie ze mną. Dommy był wielki, ale dręczył go cmentarny kaszel, przybierający na sile, gdy się kładł. Drugi czarnoskóry facet, Tom, był znacznie mniejszy. Miał fantastyczny głos, ale tylko Eris potrafiła namówić go do śpiewania. Jedna z jego ballad opisywała historię, którą dobrze znałem. Opowiadała o dziewczynce, która wybrała się w odwiedziny do babci i zastała tam wilka ubranego w koszulę nocną babuni. Ta wersja Czerwonego Kapturka, którą pamiętałem z dzieciństwa, miała szczęśliwe zakończenie, natomiast wersja Toma kończyła się ponurym dwuwierszem: *Chciała uciec, nie zdążyła, los babuni podzieliła.*

Wyglądało na to, że w Głębi Maleen szczęśliwe zakończenia również były towarem deficytowym.

Trzeciego dnia zaczynałem już rozumieć, dlaczego tak łatwo popaść w obłęd, gdy przez dłuższy czas przebywa się w zamknięciu. Moi współwięźniowie byli co prawda kompletni, ale raczej nie nadawali się na kandydatów do Mensy. Owszem, Jaya wydawała się dość bystra, był też facet o imieniu Jackah, który znał chyba wszystkie zagadki świata, lecz poza tym trudno tu było znaleźć partnera do sensownej rozmowy.

Robiłem pompki, żeby się trochę rozruszać, potem dołożyłem do tego krokodylki i bieganie w miejscu.

– Patrzcie tylko na małego księcia, jak to się popisuje… – powiedział Jo.

Był gnojkiem, ale jakoś go polubiłem. Przypominał mi trochę mojego kumpla z dzieciństwa, Bertiego Birda. Podobnie jak Bertie był całkowicie naturalny w tej swojej gnojkowatości, a poza tym zawsze podziwiałem wyszczekanych gości, którzy potrafią sypać bluzgami jak z rękawa. Jota nie

był może mistrzem w tej dyscyplinie – znałem paru lepszych – ale całkiem nieźle sobie radził, a ja lubiłem go podpuszczać.

– Patrz na to, Jo – powiedziałem i podniosłem ręce na wysokość piersi, otwartymi dłońmi do dołu. Podskoczyłem, uderzając w nie kolanami. – Zrobisz tak?

– Żeby sobie coś naciągnąć? Zerwać mięsień? Dostać przepukliny? Chciałbyś, co? Wtedy mógłbyś przede mną uciec, kiedy zorganizują Selekcję.

– Nie zorganizują – odparłem. – Nie będzie nas więcej niż trzydzieścioro jeden. Kat Skrzydlatych wyłapał już wszystkich kompletnych. A zrób to!

Podniosłem ręce niemal na wysokość brody i nadal uderzałem w nie kolanami. Poziom endorfin w moim organizmie, choć niechętnie, podniósł się na tyle, by sprostać temu wyzwaniu.

– Będziesz tak dalej robił, to rozedrzesz sobie dupę na pół – ostrzegł mnie Bernd. Był najstarszy z nas, prawie łysy. Resztka włosów, która trzymała się jeszcze jego głowy, była całkiem siwa.

Rozśmieszyło mnie to, więc musiałem przestać. Hamey leżał na pryczy i chichotał.

– Będzie nas trzydzieścioro dwoje – odpowiedział mi Jo. – Jeśli nie znajdą niedługo jeszcze jednego, dorzucą Rudą Molly. Ona będzie trzydziesta druga. Sucz wróci niedługo z Cratchy, a Kat Skrzydlatych nie będzie chciał dłużej czekać, żeby się zabawić naszym kosztem.

– Tylko nie ona! – wtrącił Fremmy.

– Nawet nie mów takich rzeczy! – zawtórował mu Stooks. Obaj mieli równie wystraszone miny.

– Będę mówił. – Jo wskoczył na kraty swojej celi i zaczął nimi potrząsać. – Jest kompletna, nie? Nawet jeśli jej wielka parchata mamuśka

jest tak szkaradna, że chce ci się rzygać na sam widok.

– Chwileczkę – wtrąciłem, tknięty przerażającą myślą. – Nie chcecie chyba powiedzieć, że jej matką jest…

– Hana – dokończył Hamey. – Ta, która pilnuje zegara słonecznego i skarbca. Choć jeśli doszedłeś do zegara, to kiepsko jej to idzie. Katowi Skrzydlatych na pewno się to nie spodoba.

Nie zwracałem większej uwagi na to, co mówił Hamey. Nie mogłem uwierzyć, że Hana ma córkę, choćby dlatego, że nie mogłem sobie wyobrazić, kto chciałby spłodzić z nią dziecko.

– Czy Ruda Molly jest… no wiecie, olbrzymką?

– Nie taka wielka jak matka – odpowiedział Ammit z głębi korytarza. – Ale duża. Poszła do Cratchy, do rodziny. To kraina olbrzymów, wiesz? Wróci i złamie cię jak patyk, jak cię dopadnie. Mnie nie. Ja szybki. Ona wolna. O, mam zagadkę, Jackah nie zna: „Jestem wysoki, jak młody. Niski, jak stary. Co jestem?”.

– Świeca – mruknął Jackah. – Wszyscy to znają, kretynie.

– *Oto jest i świeca, co wskaże ci drogę, oto jest i topór, co zetnie ci głowę* – powiedziałem bez zastanowienia, przypomniawszy sobie starą rymowankę.

Cisza.

– Bogowie drodzy, gdzieś to słyszał? – odezwał się w końcu Jo.

– Nie wiem. Chyba mówiła mi to mama, kiedy byłem mały.

– Więc twoja mama była dziwną kobietą. Nie powtarzaj tego nigdy więcej, to chory wierszyk.

W głębi wilgotnego zimnego korytarza Maleen Dommy znów zaczął kaszleć. I kaszlał. I kaszlał.

# 7

Dwa, może trzy dni później – to tylko domysły, bo w lochu nie było czasu – Pursey wszedł do korytarza, by dać nam śniadanie, i tym razem było to prawdziwe śniadanie: łańcuchy kiełbasek, po dziewięć, dziesięć kawałków na głowę. Złapałem swoje w locie, a Hamey pozwolił, by jego kiełbaski spadły na podłogę. Potem podniósł je i wytarł kilkoma apatycznymi ruchami. Patrzył na nie przez chwilę i je opuścił. Dostrzegłem w tym przerażające podobieństwo do zachowania Radar, gdy była stara i umierająca. Położył się na pryczy, podciągnął kolana do piersi i odwrócił się twarzą do ściany. W celi naprzeciwko Jo kucał przy kratach i jadł kiełbaski od środka, przesuwając je na lewo i na prawo, jakby wgryzał się w kolbę kukurydzy. Jego usta i broda lśniły od tłuszczu.

– Daj spokój, Hamey – powiedziałem. – Spróbuj zjeść choć jedną.

– Jak nie będzie chciał, rzuć je tutaj – odezwał się Stooks.

– Zajmiemy się nimi raz-dwa – dorzucił Fremmy.

Hamey przetoczył się na drugi bok, usiadł prosto, wciągnął na kolana kiełbaski i spojrzał na mnie.

– Muszę?

– Powinieneś, Bezużyteczny – odpowiedział Jo. Zostały mu już tylko dwie, na końcach sznurka. – Wiesz, co się dzieje, kiedy dostajemy takie żarcie.

Kiełbaski dawno już utraciły resztki ciepła – jeśli w ogóle były ciepłe, kiedy je dostaliśmy – a w środku były surowe. Przypomniałem sobie historię, którą czytałem w internecie, o gościu, który przyszedł do szpitala i skarżył się na ból brzucha. Badanie rentgenowskie wykazało, że miał wielkiego tasiemca w jelitach. W artykule napisali, że nabawił się tego

paskudztwa, bo jadł surowe mięso. Spróbowałem o tym zapomnieć (raczej niemożliwe) i zacząłem jeść. Domyślałem się, co oznaczają kiełbaski na śniadanie: Zabawę, i to wkrótce.

Pursey wracał już korytarzem. Podziękowałem mu. Zatrzymał się i przywołał mnie swoją stopioną dłonią. Podszedłem do krat. Z maleńkiego otworu, pozostałości po jego ustach, wydobył się chrapliwy szept.

– E yj ów.

Pokręciłem głową.

– Nie rozumiem.

– E yj ów!

Cofał się, ciągnąc za sobą pusty wózek. Trzasnęły zamykane drzwi, potem cztery rygle. Odwróciłem się do Hameya. Udało mu się zjeść jedną kiełbaskę, wgryzł się w drugą, zaczął się krztusić i wypluł mięso na rękę. Wstał i wyrzucił je do dziury w rogu celi.

– Nie wiem, co on próbował mi powiedzieć – przyznałem.

Hamey wziął do ręki cynowy kubek, potarł nim o resztki swojej koszuli jak ktoś, kto wyciera jabłko, które chce zjeść, i usiadł na pryczy.

– Chodź tutaj. – Poklepał koc obok siebie. Usiadłem. – A teraz się nie ruszaj.

Rozejrzał się. Fremmy i Stooks zaszyli się w przeciwległym rogu swojej celi. Jota skupiał się na ostatniej kiełbasce, którą jadł już znacznie wolniej, jakby chciał się delektować tą chwilą. Z innych cel dochodziły odgłosy przeżuwania, bekania i mlaskania. Hamey uznał najwyraźniej, że nikt nas nie obserwuje, bo rozczapierzył palce – mógł to zrobić jako kompletny, który ma normalne dłonie, a nie płetwy – i przesunął nimi przez moje włosy. Odsunąłem się odruchowo.

– Nie, nie, Charlie. Nie ruszaj się.

Zacisnął dłoń na moich włosach i potrząsnął nimi. Na podłogę opadła chmura brudu i pyłu. Przyznam, że nie czułem się szczególnie zawstydzony (kiedy człowiek spędzi w celi parę dni, szczając i srając do dziury w podłodze, przestaje się przejmować takimi drobiazgami), ale nie mogłem uwierzyć, że jestem aż tak brudny. Czułem się jak przyjaciel Charliego Browna z komiksu *Fistaszki*, Pig-Pen.

Hamey podniósł cynowy kubek, żebym mógł zobaczyć rozmyte odbicie swojej twarzy. Zachowywał się niczym fryzjer, który pokazuje klientowi nową fryzurę, tyle że powierzchnia kubka była nie tylko zaokrąglona, ale też pełna mniejszych i większych wgnieceń, więc przypominało to trochę zwierciadło z gabinetu luster. Jedna część mojej twarzy była nienaturalnie wielka, inna malutka.

– Widzisz?

– Co mam widzieć?

Przechylił kubek i wtedy uświadomiłem sobie, że włosy nad moim czołem, z których Hamey strzepał brud, nie są już brązowe. Stały się jasne. Tutaj, w lochu, gdzie nie sięgało słońce, które mogłoby je rozjaśnić, przybrały barwę blond. Pochwyciłem kubek i przysunąłem go bliżej twarzy. Nie miałem pewności, ale wydawało mi się, że zmienił się również kolor moich oczu. Nie były już ciemnobrązowe, jak kiedyś, lecz orzechowe.

Hamey położył dłoń na moim karku i przyciągnął mnie do siebie, by wyszeptać mi do ucha:

– Pursey powiedział: „Nie myj włosów”.

Odsunąłem się. Hamey wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami – ciemnobrązowymi, jak niegdyś moje. Potem znów przyciągnął mnie do siebie.

– Jesteś prawdziwym księciem? Tym, który przybył nas uratować?

# 8

Nim zdążyłem odpowiedzieć, trzasnęły odsuwane rygle. Tym razem nie był to Pursey, lecz czterech nocnych żołnierzy uzbrojonych w elektrorózgi. Dwaj szli przodem, rozkładając ręce, i drzwi cel po obu stronach korytarza otwierały się z piskiem.

– Czas na Zabawę! – wrzasnął jeden brzęczącym owadzim głosem. – Wszystkie dzieci idą się bawić!

Wyszliśmy z cel. Aaron, którego dziś nie było w tej grupie straszydeł, wtedy poprowadził mnie na prawo. Tym razem skręciliśmy w lewo, wszyscy więźniowie, ustawieni w parach, całkiem jak dzieci wychodzące na wycieczkę. Ja szedłem jako ostatni i jedyny bez pary. Dwaj pozostali żołnierze postępowali tuż za mną. Początkowo sądziłem, że dochodzące z ich strony przytłumione trzaski, przypominające odgłosy, jakie wydają napowietrzne kable elektryczne, są jedynie wytworem mojej wyobraźni, pobudzonej bezpośrednim kontaktem z siłą, która utrzymywała te monstra przy życiu. Ale myliłem się. Nocni żołnierze byli elektrycznymi zombie, co – jak pomyślałem w następnej chwili – byłoby świetną nazwą dla zespołu heavymetalowego.

Hamey szedł z Jotą, który raz po raz trącał ramieniem mojego chudego towarzysza z celi, omal go przy tym nie przewracając. Chciałem powiedzieć „Zostaw go”, ale z moich ust wydobyło się całkiem inne słowo.

– Poniechaj go.

Jota obejrzał się na mnie z uśmiechem.

– Kto umarł i uczynił cię bogiem?

– Poniechaj – powtórzyłem. – Czemuż dręczysz kogoś, kto jest twym towarzyszem w tym plugawym miejscu?

To wcale nie pasowało do Charliego Reade’a; ten powiedziałby raczej „Przestań się, kurwa, wygłupiać” i na pewno nie użyłby słów, które właśnie wyszły z moich ust. A jednak to byłem ja. Uśmiech na twarzy Joty ustąpił miejsca wyrazowi zaskoczenia. Zasalutował w brytyjskim stylu – przykładając wierzch wielkiej dłoni do niskiego czoła – i powiedział:

– Tak jest! Zobaczymy, jak będziesz mi rozkazywał, kiedy zatkam ci gębę piachem.

I odwrócił się ode mnie.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

## Plac Zabaw. Ammit. Mycie. Ciasto. Lampy gazowe.

### 1

Wchodziliśmy po schodach. To oczywiste. Schody były jednym z najważniejszych elementów życia więźniów z Głębi Maleen. Po dziesięciu minutach wspinaczki Hamey dyszał ciężko. Jo wziął go pod ramię i ciągnął za sobą.

– W górę, w górę, w górę, Bezużyteczny! Nie poddawaj się, bo tatuś cię zbeszta!

Dotarliśmy do szerokiego podestu i podwójnych drzwi. Jeden z dwóch nocnych żołnierzy prowadzących ten popieprzony pochód uniósł ręce i drzwi się otworzyły. Po drugiej stronie znajdował się inny – czystszy – świat: podłoga pokryta białymi płytkami i lampy gazowe wypolerowane na wysoki połysk. Korytarz był właściwie pochylnią prowadzącą w górę, a gdy maszerowaliśmy w niezwykle jasnym świetle (musiałem mrużyć oczy, nie ja jeden zresztą), poczułem woń czegoś, co znałem z dziesiątek szatni sportowych – chloru, jak ten w pastylkach wrzucany do pisuarów czy używany do dezynfekcji brodzików.

Czy wiedziałem już wtedy, co oznacza Zabawa? Tak, oczywiście. Czy rozumiałem, czym była Selekcja? Naturalnie. Zamknięci w celach, mogliśmy się zajmować jedynie jedzeniem, spaniem i rozmawianiem. Starałem się nie zadawać zbyt wielu pytań, bo chciałem utrzymywać wszystkich w przekonaniu, że pochodzę z religijnej społeczności Ullum, i zdecydowanie częściej słuchałem, niż mówiłem. Mimo to byłem zdumiony tym korytarzem, który wyglądał – niemal – jak część nowoczesnego i dobrze utrzymanego kompleksu sportowego w kampusie uniwersytetu, w którym sport był wyjątkowo ważny. Lilimar popadło w ruinę – ba, całe Empis spotkał podobny los – ale ten korytarz wyglądał wspaniale, przypuszczałem więc, że to, do czego prowadzi, jest równie wspaniałe. Albo wspanialsze. Nie myliłem się.

Mijaliśmy kolejne drzwi; nad każdymi płonęła lampa gazowa z osłoną. Na pierwszych trzech widniał napis DRUŻYNY. Na następnych SPRZĘT, a na piątych OBSŁUGA. Dopiero gdy mijałem te ostatnie, zerknąłem na nie kątem oka i zobaczyłem, jak napis OBSŁUGA zamienia się w plątaninę runicznych symboli, takich jak te, które widziałem na prawie jazdy Polleya, gdy pokazał mi je Kellin. Odwróciłem głowę i spoglądałem na te znaki tak długo, że w końcu znów przybrały postać zwykłych liter. Wtedy na moje ramię opadła elektrorózga. Nie było to mocne uderzenie, wystarczyło jednak, by przywołać mnie do porządku.

– Idź, dzieciaku.

Z przodu i w górze korytarz kończył się plamą jasnego światła. Wszedłem za innymi na boisko… Ale jakie to było boisko! Rozglądałem się niczym prostaczek z Ullum, którego miałem udawać. Odkąd wyszedłem z tunelu łączącego Empis z moim światem, już wiele razy przeżywałem szok, mimo to do tej pory w mojej głowie nie pojawiła się myśl: Ja chyba śnię.

Olbrzymie lampy gazowe w tych przypominających tace uchwytach, które widziałem z zewnątrz, okalały całą „misę” stadionu, którego nie powstydziłyby się najlepsze drużyny baseballowe Ameryki. Strzelały w górę strumieniami niebieskobiałego ognia, który odbijał się od ciemnej powierzchni chmur.

Niebo. Jesteśmy na zewnątrz.

Co więcej, była noc, choć dla nas dopiero zaczynał się dzień. Miało to sens, skoro nasi upiorni oprawcy nie mogli funkcjonować w blasku dnia, ale poczułem się trochę dziwnie, gdy uświadomiłem sobie, że mój normalny rytm życia został odwrócony do góry nogami.

Przecięliśmy bieżnię z ubitej ziemi i weszliśmy na zieloną trawę wyrastającą ze sprężystej darni. Byłem na wielu boiskach – baseballowych i futbolowych – podobnych do tego, ale nigdy nie na takim, które byłoby idealnie okrągłe. W jaką grę tu grano? Nie miałem pojęcia, musiała być jednak niezwykle popularna, bo kolorowe chodniki prowadzące do tego miejsca i rzędy siedzeń otaczających boisko i wznoszących się po samą koronę stadionu oznaczały, że rozgrywki przyciągały tu tysiące empisańskich kibiców.

Dokładnie na wprost znajdowały się trzy zielone iglice sięgające ku niebu. Po mojej prawej i lewej wznosiły się kamienne wieżyczki. Na łączących je galeriach stali nocni żołnierze w płonących niebieskich całunach; przyglądali nam się z góry. Podczas wyprawy do zegara słonecznego mogłem zobaczyć górną krawędź stadionu dlatego, że był wpuszczony w ziemię na tyłach kompleksu pałacowego.

Gdzieś – prawdopodobnie u podstawy trzech wież z zielonego szkła – znajdowały się apartamenty królewskie i sala tronowa. Podobnie jak sklepy przy szerokiej Drodze Gallienów miejsca te były przeznaczone dla tutejszych dygnitarzy. Przypuszczałem, że ten stadion był ważny dla

zwykłych ludzi; niemal widziałem oczami wyobraźni, jak w dzień meczowy po tych kolorowych chodnikach idą szerokim strumieniem kibice z Nadmorza i Deesk, może nawet z Ullum i Zielonych Wysp; niosą koszyki z jedzeniem i wznoszą przyśpiewki o swojej drużynie albo skandują jej nazwę…

Elektrorózga znów uderzyła mnie w ramię, tym razem mocniej. Odwróciłem się i zobaczyłem wyszczerzoną czaszkę otuloną półprzezroczystą mgiełką twarzy.

– Przestań się gapić jak skończony idiota! Czas na bieganie, dzieciaku! Czas poruszać kulasami!

Jota wprowadził naszą grupę na okrągłą bieżnię otaczającą soczyście zielone boisko. Inni biegli za nim dwójkami i trójkami. Hamey był ostatni, co nikogo nie dziwiło. Nad częścią boiska wisiało coś w rodzaju loży VIP-owskiej. Wyglądała jednak jak wielki salon bez jednej ściany; do kompletu brakowało jedynie eleganckiego żyrandola. Wyścielane krzesła, jak te na samym dole widowni Guaranteed Rate Field w Chicago, otaczały coś, co z pewnością było miejscem honorowym. Ustawione tam siedzenie nie było tak wielkie jak tron Hany, z którego strzegła tylnego wejścia do pałacu (kiedy nie jadła albo nie spała), ale miało bardzo szerokie oparcie i odchylone na boki poręcze, jakby zasiadał tam ktoś nafaszerowany sterydami. To miejsce pozostało puste, lecz na wyścielanych krzesłach po obu jego stronach siedziało kilka osób, które przyglądały nam się z góry, gdy przechodziliśmy. Byli to kompletni ludzie w porządnych ubraniach – to znaczy nie w łachmanach, jakie nosiła większość z nas. Zobaczyłem wśród nich kobietę o bladej twarzy, pokrytej prawdopodobnie jakimś tutejszym makijażem. Jej palce i spinki do włosów skrzyły się klejnotami. Wszyscy zasiadający w loży pili z wysokich szklanek coś, co mogło być piwem lub cydrem. Jeden z mężczyzn zobaczył, że na niego patrzę, i podniósł szklankę

w moją stronę, jakby wznosił toast. Ich miny wyrażały znudzenie przemieszane z co najwyżej umiarkowanym zainteresowaniem. Znienawidziłem ich od razu tak, jak tylko więzień smagany elektrorózgą może nienawidzić bandę elegancko ubranych próżniaków, którzy siedzą na tyłkach i szukają rozrywek.

To miejsce nie zostało zbudowane dla dupków takich jak oni, pomyślałem. Nie wiem, skąd to wiedziałem, ale wiedziałem.

Elektrorózga uderzyła ponownie, tym razem w siedzenie moich coraz brudniejszych spodni. Paliło jak żywy ogień.

– Nie wiesz, że to niegrzecznie gapić się na lepszych od siebie?

Znienawidziłem też te brzęczące owadzie głosy. Miałem wrażenie, że słucham nie jednego Dartha Vadera, ale całego ich plutonu. Przyspieszyłem kroku i wyprzedziłem Stooksa. Pokazał mi empisańskiego faka, kiedy go mijałem. Odpowiedziałem mu tym samym.

Przesuwałem się między współwięźniami z Głębi Maleen; po drodze zaliczyłem przyjazne szturchnięcie od Toma i mocniejsze – mniej przyjemne – ze strony Ammita, osiłka na pałąkowatych nogach.

– Patrz, gdzie leziesz, Ully – rzucił. – Tu nie ma żadnego boga, co by cię obronił. Zostawiłeś to wszystko za sobą.

Zostawiłem za sobą Ammita, i to z radością. Życie było wystarczająco parszywe bez złośliwych współwięźniów, którzy chcieli ci dokopać.

Na środku boiska znajdował się sprzęt, który znałem dobrze z treningów, poczynając od dziecięcej ligi futbolowej i hokejowej. Były tu ułożone równolegle belki przypominające podkłady kolejowe i wielkie płócienne worki wypchane okrągłymi przedmiotami, którymi mogły być tylko piłki. Obok ciągnął się szereg słupków owiniętych jutową tkaniną. Na wierzchołku każdego z nich wymalowano, dość nieudolnie, wykrzywioną gniewnie twarz. Bez wątpienia były to empisańskie odpowiedniki

manekinów treningowych. Były tu również sznury zakończone pierścieniami, zawieszone na wysokim poprzecznym drążku, i szerokie deski na wysokich kozłach, obok których ułożono warstwy słomy. Do tego wiklinowy kosz wypełniony czymś, co wyglądało jak trzonki siekier. Nie podobało mi się to. Trener Harkness zmuszał nas do ćwiczeń, które niejednemu mogłyby się wydawać sadystyczne, ale okładanie się kijami? Nie.

Gdy docieraliśmy do odcinka bieżni położonego po drugiej stronie stadionu, dokładnie naprzeciwko loży VIP-ów, wysforowałem się na czoło grupy. Zrównałem się z Jotą, który biegł z głową odchyloną do tyłu, wypychał pierś do przodu i mocno pracował rękami. Wystarczyłoby mu dodać obciążniki na nadgarstki, a wyglądałby jak typowy facet w średnim wieku z mojej dzielnicy, który próbuje wrócić do formy. Aha, przydałby się jeszcze dres.

– Chcesz się pościgać? – spytałem.

– Co? Żeby ta suka Petra i cała reszta mogli się zakładać, kto wygra? – Wskazał kciukiem na eleganckich kompletnych, którzy popijali drinki w loży. Dołączyło do nich kilkoro kolejnych. Wyglądało to jak cocktail party. Całej grupy strzegło dwóch nocnych żołnierzy, ustawionych po obu jej stronach. – Mało mamy problemów i bez tego?

– Pewnie masz rację.

– Skąd ty, kurwa, tak naprawdę jesteś, Charlie? Bo na pewno nie z Ullum.

Na szczęście nie musiałem wymyślać na poczekaniu odpowiedzi, bo w tym momencie Hamey zszedł z bieżni. Wlekł się w stronę przyrządów treningowych, pochylając nisko głowę i dysząc ciężko. Między wiklinowym koszem z kijami do walki (nie miałem pojęcia, do czego innego mogłyby służyć) a manekinami treningowymi stało kilka ławek

i stół zastawiony ceramicznymi filiżankami – małymi jak do espresso. Hamey podniósł jedną z nich, wypił jej zawartość jednym haustem, odstawił na blat, a potem usiadł, opierając przedramiona o uda i pochylając nisko głowę. Stołu pilnował – a może „miał nad nim pieczę” – nocny żołnierz, który patrzył na Hameya, ale najwyraźniej nie zamierzał mu zrobić krzywdy.

– Nie próbuj tego – wysapał Jo. – Bo obiją cię tak, że zapomnisz, jak się nazywasz.

– A dlaczego on może to robić?

– Bo wiedzą, że dłużej nie da rady ciągnąć tego gówna, dlatego. Jest Bezużytecznym, nie? Ale jest kompletny, a bez niego wrócilibyśmy do trzydziestki.

– Nie rozumiem, jak… Kiedy zacznie się Selekcja, jeśli w ogóle się zacznie… to jak mogą od niego oczekiwać… no wiesz… że będzie walczył?

– Nie oczekują – odpowiedział Jo, a ja dosłyszałem w jego głosie dziwną nutę. Może to było współczucie. A może odrobina zrozumienia. Nie żeby lubił Hameya; po prostu nie podobała mu się sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy. – Czy ty się nigdy nie męczysz, dzieciaku? Jeszcze jedno kółko, a usiądę na tej ławce przy Bezużytecznym i nie ruszę się stamtąd, choćby mnie tłukli tymi rózgami do usranej śmierci.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy mu nie powiedzieć, że uprawiałem różne dyscypliny sportu, ale wtedy mógłby spytać jakie, a ja nie wiedziałem nawet, w co grano na tym wielkim spodku.

– Dbałem o formę. Przynajmniej dopóki tu nie trafiłem. I mów do mnie „Charlie”, a nie „dzieciaku”, dobra? Oni nazywają nas dzieciakami.

– Niech będzie, Charlie. – Jo wskazał kciukiem na Hameya, obraz nędzy i rozpaczy. – Biedny frajer. Tak naprawdę to już żywy trup. Mięso

armatnie.

Tyle że Jo nie powiedział „frajer” ani „mięso armatnie”. To tylko mój umysł tak właśnie przełożył określenia z jego języka.

– Lubią patrzeć, jak ktoś zbiera cięgi.

Jak w pojedynku pierwszej i szesnastej drużyny ligi uniwersyteckiej, pomyślałem.

Zbliżaliśmy się ponownie do loży VIP-ów i tym razem to ja wskazałem kciukiem na wystrojonych ludzi, którzy nas obserwowali – jeśli akurat nie byli zajęci rozmową, bo najwyraźniej pogaduszki były dla nich ważniejsze niż zasapani obszarpańcy biegający wokół stadionu. Korzystali tylko z pretekstu, by spotkać się w większym gronie, jak niektórzy faceci przychodzący na treningi naszej szkolnej drużyny. Grupa więźniów rozciągnęła się za nami na dłuższym odcinku, a dwóch – Dublet i facet o imieniu Yanno – dołączyło do Hameya na ławce.

– Ilu ich tam jest?

– Co? – Jota dyszał coraz ciężej. Mnie na razie nie brakowało tchu. – Poddanych Eldena? – Wymówił słowo „poddanych” z naciskiem, jakby brał je w cudzysłów. – Nie wiem. Dwadzieścioro. Może trzydzieścioro. Ta suka nimi rządzi, bo jest ulubienicą Kata Skrzydlatych.

– Petra?

– Taaa, ona.

– I to wszystko?

Nim Jo mógł odpowiedzieć, mój stary znienawidzony kumpel Aaron wyszedł z przejścia pod lożą VIP-owską, wymachując elektrorózgą niczym dyrygent, który zamierzał właśnie odegrać wraz z orkiestrą pierwszy utwór.

– Na środek! – zawołał. – Wszyscy na środek!

Jota potruchtał w stronę sprzętu rozstawionego na środku boiska, a ja do niego dołączyłem. Większość więźniów sapała i dyszała. Jaya i Eris stały

zgięte wpół, z rękami opartymi na kolanach, i próbowały złapać oddech. Potem dołączyły do pozostałych, którzy przeszli do stolika z małymi filiżankami. Wypiłem zawartość jednej z nich. Była to woda, ale z dodatkiem czegoś kwaśnego, co od razu dodało mi sił. Nadal nie brakowało mi tchu, czułem wręcz, że łatwiej mi się oddycha.

Łącznie z Aaronem na boisku było teraz pięciu nocnych żołnierzy, ustawionych w półkolu przed nami. Dwóch kolejnych strzegło VIP-ów. Tych, którzy przyglądali się nam z galerii, można było łatwo policzyć dzięki ich niebieskim poświatom – dwunastu. To oznaczało w sumie dziewiętnastu, mniej więcej tylu, ilu ścigało mnie i Radar, gdy biegliśmy do bramy. Dwudziestu, jeśli dodać Kellina, którego albo tutaj nie było, albo obserwował nas z galerii. Czy to już wszyscy? Jeśli tak, to więźniowie mieli nad nimi przewagę liczebną. Nie chciałem pytać o to Jo, bo wydawało mi się, że Aaron mnie obserwuje.

– Dobry bieg! – powiedział Stooks.

– Lepszy od seksu! – zawtórował Fremmy.

– Chyba że z tobą – zauważył Stooks.

– Tak – zgodził się z nim Fremmy. – W tym jestem dobry.

Sięgnąłem po kolejną filiżankę, lecz jeden ze strażników wskazał na mnie rózgą.

– Nie, nie, po jednej na łebka, dzieciaku.

Oczywiście nie powiedział „na łebka”.

# 2

Potem przyszedł czas na Zabawę, która ogólnie rzecz biorąc, była mniej brutalna niż trening futbolowy. Nie licząc ostatniej jej części.

Najpierw ćwiczyliśmy z piłkami. W trzech workach mieściło się ich w sumie szesnaście. Wyglądały jak piłki plażowe, ale były powleczone jakąś srebrzystą substancją, która je dociążała. Całkiem możliwe, że było to po prostu srebro. Widziałem swoje zniekształcone odbicie w powierzchni piłki, którą trzymałem: brudna twarz, brudne włosy. Postanowiłem nie myć włosów, choćby kleiły się od brudu. Nie sądziłem, że jestem „prawdziwym księciem, tym, który przybył ich uratować", bo nie potrafiłem uratować nawet samego siebie, ale nie chciałem się niczym zanadto wyróżniać. Widziałem pałacową salę tortur i nie miałem najmniejszej ochoty tam trafić.

Ustawiliśmy się w dwóch szeregach po piętnaście osób. Hamey został bez pary; jeden ze strażników użył elektrorózgi, by mu pokazać, że ma podrzucać piłkę i łapać. Mój współlokator posłusznie zaczął to robić, choć w wyjątkowo apatyczny sposób. Wciąż nie mógł złapać oddechu po marszu w górę korytarza i biegu wokół stadionu. Zobaczył, że na niego patrzę, i uśmiechnął się do mnie, lecz był to uśmiech rezygnacji. Równie dobrze mógłby mieć wytatuowany na czole napis: MNIE ZAŁATWIĄ PIERWSZEGO.

Pozostali więźniowie rzucali do siebie obciążonymi piłkami; ważyły po jakieś dwa i pół kilograma. Nie było to może szczególnie trudne ani wymyślne ćwiczenie, zwykła rozgrzewka ramion i górnej części tułowia, lecz wielu więźniów najwyraźniej wcześniej nie uprawiało żadnego sportu, bo co chwila któryś upuszczał piłkę. Zastanawiałem się, czy większość z nich nie była kimś w rodzaju urzędników w miejscu, które nazywali

Cytadelą, nim obalono Motylą Monarchię (drobna i niezamierzona aliteracja). Niektórzy utrzymali dobrą formę, kilkoro nieźle się też ruszało – Jota, Eris, a także Tom i Ammit – ale reszta była wyjątkowo niezdarna. Trener Harkness nazwałby ich gamajdami (nie „ciamajdami”). Fremmy i Stooks byli gamajdami, podobnie jak Jaya i Dublet. Dommy był atletycznie zbudowany, męczył go jednak kaszel. No i Hamey, który był – jak mówił Jota – Bezużyteczny.

Ja znalazłem się w parze z Jotą. Rzucił mi kilka lekkich lobów, wypychając piłkę nasadą dłoni, więc zrobiłem to samo. Po każdej parze rzutów kazano nam się cofać o krok. Mniej więcej po dziesięciu minutach takich ćwiczeń wydano wszystkim polecenie, by wrócić na bieżnię i przebiec następne okrążenie. Hamey robił, co mógł, ale już po chwili zwolnił do marszu. Ja tym razem truchtałem spokojnie, w leniwym tempie. Ammit bez trudu mnie dogonił, choć z powodu pałąkowatych nóg kołysał się na boki niczym holownik na wzburzonym lekko morzu. Kiedy ponownie mijaliśmy lożę VIP-ów, skręcił gwałtownie i zderzył się ze mną, tyle że tak naprawdę nie było to przypadkowe zderzenie, ale agresywne i mocne pchnięcie. Nie spodziewałem się tego, więc straciłem równowagę i runąłem jak długi na ziemię. Jaya potknęła się o mnie i opadła na kolana z głośnym stęknięciem. Pozostali zdążyli nas ominąć.

W końcu wzbudziliśmy zainteresowanie ważniaków z loży. Patrzyli na Jayę i na mnie, wskazywali nas palcami i śmiali się tak, jak Andy, Bertie i ja moglibyśmy się śmiać z jakiegoś ogranego gagu w komedii slapstickowej.

Pomogłem Jayi wstać. Z jednego łokcia leciała jej krew. Spytałem, czy nic jej się poza tym nie stało. Odpowiedziała, że nie, po czym poderwała się do biegu, bo podszedł do nas nocny żołnierz z uniesioną rózgą.

– Bez dotykania, dzieciaku! Nie, nie, nie!

Podniosłem rękę, częściowo by pokazać, że rozumiem, ale głównie po to, by osłonić się przed uderzeniem, gdyby chciał smagnąć mnie po twarzy.

Cofnął się o krok, a ja dogoniłem Ammita.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Udzielił mi odpowiedzi, którą mógłbym usłyszeć od każdego z tych tępych niedoszłych samców alfa, z którymi miałem okazję grać na przestrzeni lat – a było ich naprawdę sporo. Jeśli trenowaliście jakieś sporty drużynowe, zwłaszcza w szkole średniej, to wiecie, o czym mówię. To faceci, którzy po dwudziestce czy trzydziestce przychodzą na boisko głównie po to, by stać przy ogrodzeniu, hodować piwne brzuchy i wspominać dni minionej chwały.

– Bo taką miałem ochotę.

Co oznaczało, że Ammit potrzebuje nauczki. Jeśli ktoś mu jej nie da, to szturchanie, przepychanie i podstawianie nóg nigdy się nie skończy.

Kiedy już wszyscy zrobili pełne okrążenie wokół stadionu, odesłano nas do kółek gimnastycznych i kazano podciągać się na rękach. Połowa moich towarzyszy niedoli była w stanie podciągnąć się pięć razy; sześcioro lub siedmioro raz czy dwa; ja zrobiłem dwanaście podciągnięć, a potem, nie wiedzieć czemu, postanowiłem się popisać.

– Patrzcie na to! – zwróciłem się do Jo i Hameya.

Podciągnąłem się ponownie i wykonałem perfekcyjny obrót do tyłu, przerzucając wyprostowane nogi nad głową. Gdy tylko wylądowałem na ziemi, dostałem rózgą po krzyżu, i to mocno. Najpierw poczułem ból, a potem coraz silniejsze pieczenie.

– Żadnych wygłupów! – wrzasnął na mnie Aaron. Gniew rozpalił mocniej otaczający go blask, a jego ludzka twarz, i tak widoczna tylko w zarysach, niemal całkiem zniknęła.

Przy okazji mały faktoid: może wam się wydawać, że człowiek przyzwyczaja się w końcu do tego, że pilnują go żywe trupy, ale to nieprawda. Nie przyzwyczaja się.

– Żadnych wygłupów! Złamiesz sobie rękę albo nogę, to obedrę cię ze skóry!

Patrzyłem na niego z półprzysiadu, opierając się palcami lewej dłoni na ziemi i odsłaniając zęby. Aaron cofnął się o krok, lecz nie ze strachu. Zrobił to, by mieć więcej miejsca i mocniej zamachnąć się tą pieprzoną rózgą.

– Chcesz mnie zaatakować? – rzucił. – Zrób to! Jeśli trzeba ci dać nauczkę, chętnie to zrobię!

Pokręciłem głową, aż moje brudne włosy podskoczyły na czole, a potem powoli się wyprostowałem. Byłem od niego wyższy i cięższy o jakieś pięćdziesiąt kilogramów – on był właściwie tylko workiem kości – ale chroniło go niebieskie światło. Czy miałem ochotę zostać porażony? Nie. Nie chciałem też wyróżniać się bardziej, niż już się wyróżniałem.

– Przepraszam – powiedziałem i przez moment wydawało mi się, że Aaron jest kompletnie zaskoczony, jak Pursey, gdy mu podziękowałem. Dał znak, bym dołączył do innych.

– Biegać! – ryknął na nas. – Biegać, wstrętne małpy!

Nie „małpy”, tylko jakiś inny odpowiednik tego słowa z tutejszego świata. Po raz kolejny okrążyliśmy stadion (tym razem Hamey nawet nie próbował), wypiliśmy kolejną porcję wzmacniającego napoju i odesłano nas do manekinów, które wyglądały jak strachy na wróble.

Aaron cofnął się o krok. Zastąpił go inny nocny żołnierz.

– Pierwszy, który zabije wroga, dostanie ciastko! Ciastko dla pierwszego zabójcy!

Strachów na wróble było tylko dwanaście, a nas ponad trzydzieścioro. Jo złapał mnie za nadgarstek i warknął:

– Zobacz najpierw, jak to się robi.

Byłem zaskoczony tą przydatną podpowiedzią, chętnie jednak z niej skorzystałem. Dwanaścioro spośród moich współwięźniów, zachęconych nagrodą w postaci ciastka, szybko wystąpiło do przodu i dotknęło owiniętych jutą słupków. Byli wśród nich Eris, Fremmy i Stooks, Dublet i Ammit.

– Cofnąć się!

Cofnęli się aż do stołów.

– Zabij wroga!

Poderwali się do biegu. Ponad połowa z nich wyhamowała odrobinę przed uderzeniem – nie było to ewidentne, ale nie umknęło mojej uwadze. Troje wpadło na manekiny z całego rozpędu. Eris uderzyła mocno, ale była chuda, a gęba stracha na wróble umocowana na szczycie tylko zadrżała. Niczego więcej nie udało się osiągnąć drugiemu ze zdeterminowanych zawodników, facetowi o imieniu Murf. Atak Ammita nie pozostawił najmniejszych wątpliwości. Uderzona przez niego gęba zleciała ze słupka i wylądowała trzy metry dalej.

– Ciastko dla niego! – oznajmił Aaron. – Ten dostaje ciastko!

Widzowie z loży dla VIP-ów, na czele z kobietą o białej twarzy, wznieśli radosny okrzyk. Ammit podniósł dłonie zaciśnięte w pięści i nisko się ukłonił. Chyba nie dosłyszał wyraźnej drwiny, która kryła się w tym okrzyku. Raczej nie grzeszył inteligencją, jak to mówią.

Pierwszą dwunastkę zastąpiła kolejna, ale Jo znów złapał mnie za rękę i przytrzymał. Tym razem nikt nie strącił tablicy. Jo, Hamey, Jaya i ja znaleźliśmy się w ostatniej grupie.

– Cofnąć się!

Zrobiliśmy to.

– Zabij wroga!

Popędziłem do przodu, pochylając prawe ramię – moje silniejsze ramię – nawet nie myśląc o tym, co robię. Byłem pewien, że mogę uderzyć w manekin wystarczająco mocno, by strącić gębę, ale w ostatniej chwili wyhamowałem nieco, jak wielu poprzednich więźniów. Gęba mojego stracha na wróble ledwie się zatrzęsła, ale ta ze słupka Joty poleciała niemal równie daleko jak Ammita. Tym razem żaden z VIP-ów nawet nie zareagował; byli zbyt zajęci pogaduszkami.

Aaron wrócił do przejścia pod lożą i dołączył do niego Kellin. Tego dnia nie miał na sobie marynarki smokingowej; Lord Wysoki był w obcisłych spodniach za kolana i białej koszuli, lekko rozchylonej pod szyją. Gdy ruszyli w naszą stronę, ogarnęło mnie takie samo poczucie déjà vu jak w chwili, kiedy zobaczyłem sprzęt treningowy i stół z napojami. Kellin i Aaron mogliby odgrywać role głównego trenera i jego asystenta. Tu nie chodziło jedynie o zorganizowanie aktywności fizycznej dla więźniów; sprawa była znacznie poważniejsza. Być może wkrótce miała się odbyć Selekcja, a Kellin i Aaron prawdopodobnie odpowiadali za to, by było to naprawdę dobre widowisko.

– Kije! – krzyknął Aaron. – Teraz kije!

Na to hasło ludzie siedzący w loży okazali większe zainteresowanie. Wydawało się, że nawet stojący po ich bokach nocni żołnierze przyglądają nam się uważniej.

Podeszliśmy do wiklinowych koszy z kijami. Przypominały bokkeny, drewniane miecze do ćwiczeń, tyle że nie miały rękojeści; mniej więcej metrowej długości, zwężały się po obu końcach. Drewno było jasne, gładkie i twarde. Jesion, pomyślałem. Jak kije w baseballowej Major League.

Kellin wskazał na Eris. Wystąpiła krok do przodu i wzięła jeden z kijów. Potem, ku mojemu przerażeniu, wskazał na Hameya. Mój biedny

współlokator wziął kij i złapał go obiema rękami, z obu końców. Eris trzymała swój tylko z jednej strony. Obrona i atak, przemknęło mi przez głowę. Żadne z nich nie miało wesołej miny, ale tylko Hamey wyglądał na przerażonego. Pomyślałem, że ma ku temu powody.

– Zabij wroga! – wrzasnął Aaron głosem bardziej brzęczącym niż kiedykolwiek dotąd.

Eris zamachnęła się kijem. Hamey sparował. Zaatakowała go z boku, a on ponownie odbił uderzenie, ale słabo. Gdyby uderzyła z całej siły (czego nie zrobiła), prawdopodobnie zbiłaby go z nóg.

– Przywal mu! – wrzasnął Kellin. – Przywal mu, ty bezużyteczna cipo, albo ja przywalę tobie!

Eris zamachnęła się ponownie, tym razem wyprowadzając niskie uderzenie. Hamey nawet nie próbował parować, podcięła mu więc nogi. Wylądował ciężko na trawie, z głośnym stęknięciem. Kompletni ludzie z loży wznieśli triumfalny okrzyk, głośniej niż poprzednio. Eris ukłoniła się przed nimi. Miałem nadzieję, że są dość daleko, by nie dojrzeć grymasu odrazy na jej twarzy.

Aaron uderzył Hameya rózgą po nogach i tyłku.

– Wstawaj! Wstawaj, ty kupo gnoju! Wstawaj!

Hamey podniósł się ciężko. Łzy spływały mu po policzkach, z nosa ciekły smarki. Aaron zamierzył się do kolejnego uderzenia, lecz Kellin powstrzymał go, kręcąc głową. Mój współwięzień z celi musiał pozostać w jednym kawałku, przynajmniej do rozpoczęcia finałowego turnieju.

Eris pozostała na placu boju i zmierzyła się z kolejnym przeciwnikiem. Walka była zacięta, ale nikt nie uderzał zbyt mocno. Potem oboje się wycofali, a ich miejsce zajęła kolejna para. Po jakimś czasie ta ustąpiła następnej i tak dalej. Było sporo uderzeń, pchnięć i odbić, nikt jednak już nie krzyczał „Przywal mu!” ani „Zabij wroga!”. Stooks i Fremmy dostali

rózgą od jednego z nocnych żołnierzy za lenistwo. Sądząc po tym, jak przyjęli tę karę, nie spotkało ich to po raz pierwszy.

Jo walczył z Tomem, Bernd z Bultem i na koniec zostaliśmy tylko ja i Ammit. Przypuszczałem, że Aaron widział, jak wcześniej Ammit przewrócił mnie na torze, i dlatego chciał, żebyśmy spotkali się ponownie. A może widział to Kellin z jakiegoś innego miejsca, nim pojawił się na boisku.

– Kije! – krzyknął Aaron. Boże, jak ja nienawidziłem tego brzęczącego głosu. – Teraz wy dwaj! Pokażcie, na co was stać!

Ammit trzymał kij za jeden koniec: atak. Uśmiechał się. Ja trzymałem swój za oba końce, w poprzek tułowia: obrona. Przynajmniej na początek. Ammit już to robił i nie spodziewał się problemów ze strony żółtodzioba. Może miał rację. A może nie. Zaraz mieliśmy się o tym przekonać.

– Zabij wroga! – Tym razem te słowa wykrzyczał Kellin.

Mój przeciwnik ruszył bez wahania, kołysząc się na pałąkowatych nogach. Chciał mnie przyblokować między stołem z napojami a wiklinowym koszem, do którego walczące wcześniej pary wrzuciły kije. Podniósł kij, wziął szeroki zamach i uderzył prosto z góry. To nie był pozorowany cios. Ammit zaatakował z całą siłą; chciał pozbawić mnie przytomności, a może i życia. Takie działanie nie było bezsensowne. Nawet jeśli zostałby ukarany, to liczba mieszkańców lochu wróciłaby do trzydzieściorga, co oznaczałoby, że Selekcja znów się odwlecze do czasu, aż nocni żołnierze schwytają jeszcze dwóch kompletnych. Być może uważał, że robi to dla dobra zespołu, choć nie chciało mi się w to wierzyć. Z jakiegoś powodu ten facet uznał po prostu, że mnie nie lubi.

Zszedłem do półprzysiadu, podnosząc jednocześnie kij. Uderzył w niego zamiast w moją głowę. Wyprostowałem się błyskawicznie, odpychając jego kij, a potem również jego. Słyszałem jak przez mgłę

oklaski dobiegające z loży VIP-ów. Wyszedłem spomiędzy stołu i kosza i wciąż napierając na Ammita, zmuszałem go do przejścia na otwartą przestrzeń, gdzie mógłbym wykorzystać swoją szybkość. Jasne, nie była to może zadziwiająca szybkość, ale i Ammit nie miał się czym w tej kwestii pochwalić.

Uderzył najpierw z mojej lewej strony, potem z prawej. Teraz, gdy nic już nie ograniczało mi swobody ruchów, bez trudu sparowałem oba ciosy. I byłem zły. Bardzo zły. Tak jak wtedy, kiedy wściekłem się na Christophera Polleya, złamałem mu jedną rękę, pobiłem go, a potem złamałem drugą. I tak jak wtedy, gdy złościłem się na ojca, kiedy po śmierci mamy topił smutki w alkoholu. Nic mu nie mówiłem, nie skarżyłem się na jego picie (a przynajmniej niezbyt często), ale wyrażałem tę złość na inne sposoby. O niektórych wam już opowiadałem, innych za bardzo się wstydzę, by o tym mówić.

Zataczaliśmy kolejne koła na trawie, przesuwając się na bok, robiąc uniki i zwody, parując i uderzając. Więźniowie oglądali nasz pojedynek w milczeniu; Eris i Jaya trzymały się za ręce. Kellin, Aaron i pozostali nocni żołnierze również na nas patrzyli. W loży VIP-ów ustały wszelkie rozmowy. Ammit oddychał coraz ciężej; nie był już taki szybki jak na początku walki. Przestał się też uśmiechać, co sprawiło mi niemałą satysfakcję.

– Ruszaj się – powiedziałem. – Atakuj, ty bezużyteczny fiucie. Pokaż, na co się stać.

Kiedy podnosząc kij nad głowę, rzucił się do przodu, przesunąłem jedną dłoń w dół mojego kija i wbiłem drugi koniec w jego brzuch, tuż nad kroczem. Wyprowadzony przez niego cios trafił mnie w ramię, tak że od razu zdrętwiało. Nie cofnąłem się jednak. Wypuściłem kij, lewą ręką sięgnąłem w dół i wyrwałem mu z dłoni jego broń. Uderzyłem go jego

własnym kijem w udo, cofnąłem się o krok i ponownie zadałem cios, wyprowadzając go z półobrotu, jakbym chciał uderzyć w piłkę baseballową i wysłać ją aż na widownię. Trafiłem Ammita w biodro.

Zawył z bólu.

– Poddaję się! Poddaję!

Gówno mnie obchodziło, co on tam krzyczał. Zamachnąłem się po raz kolejny i uderzyłem go w ramię. Odwrócił się i zaczął uciekać, ale brakowało mu tchu. No i do tego te pałąkowate nogi… Spojrzałem na Kellina, a ten wzruszył ramionami i machnął ręką na mojego przeciwnika, jakby chciał powiedzieć: „Rób, co chcesz”. Przynajmniej tak to zrozumiałem. Ruszyłem za Ammitem. Mógłbym wam powiedzieć, że myślałem o tym, co zrobił na bieżni, i o tym, jak kompletni z loży śmiali się ze mnie, gdy runąłem na ziemię. Mógłbym wam powiedzieć, że myślałem o tym, jak Jaya potknęła się o mnie i upadła na kolana. Mógłbym wam nawet powiedzieć, że chciałem dać wszystkim do zrozumienia, że nie warto zadzierać z tym nowym chłopakiem. Ale to wszystko byłoby nieprawdą. Żaden ze współwięźniów nie okazywał mi dotąd wrogości, może z wyjątkiem Jo na początku.

Po prostu chciałem zgnoić Ammita.

Uderzyłem go dwa razy w dupę, mocno, porządnie. Po drugim ciosie padł na ziemię.

– Poddaję się! Poddaję!

Podniosłem kij nad głowę, ale nim zdążyłem go opuścić, Lord Wysoki złapał mnie za łokieć. Znów poczułem się tak, jakbym dotknął kabla pod napięciem i jakby nagle opuściły mnie wszystkie siły. Gdyby przytrzymał mnie dłużej, zemdlałbym tak jak wtedy pod bramą. Na szczęście cofnął rękę.

– Dość.

Otworzyłem dłonie i wypuściłem kij. Potem opadłem na jedno kolano. Ważniacy z loży krzyczeli i bili brawo. Kręciło mi się w głowie, widziałem jednak, jak wysoki facet z blizną na policzku szepcze coś do kobiety o białej twarzy, jednocześnie bezceremonialnie obejmując dłonią jej pierś.

– Wstawaj, Charlie.

Udało mi się podnieść.

Kellin skinął głową na Aarona.

– Koniec Zabawy – oznajmił Aaron. – Wszyscy piją jeszcze jedną porcję.

Nie wiem, jak inni, ale ja bardzo jej potrzebowałem.

## 3

Strażnicy zaprowadzili nas do jednej z sal przeznaczonych dla drużyn. W porównaniu ze standardami, do których ostatnio przywykłem, była duża i luksusowa. Pod sufitem wisiały lampy elektryczne, ale najwyraźniej nie podłączono ich do rozklekotanego generatora, bo umieszczono tu również lampy gazowe. Podłogi i ściany, pokryte białymi płytkami, były nieskazitelnie czyste, przynajmniej dopóki nie wnieśliśmy tu swojego brudu… i dopóki nie upstrzyliśmy podłogi plamami krwi, pamiątkami po walce na kije. Przypuszczałem, że salę utrzymują w czystości szarzy ludzie, choć nie widziałem tu żadnego. W podłodze znajdowała się głęboka rynna wypełniona przepływającą powoli wodą, do której można się było wysikać, co też kilku mężczyzn zrobiło. Po obu stronach pomieszczenia stały porcelanowe siedziska z otworami pośrodku. Przypuszczałem, że to toalety

przeznaczone dla kobiet, choć ani Jaya, ani Eris z nich nie skorzystały. Zdjęły za to górne części ubrań, podobnie jak mężczyźni, i nie wydawały się tym wcale skrępowane. Jaya przyjęła kilka ciosów kijem i na jej żebrach rozkwitły wielkie siniaki.

Pod jedną ścianą stały drewniane szafki, w których niegdyś zawodnicy zapewne przechowywali sprzęt (my oczywiście nie mieliśmy tam czego chować), a wzdłuż przeciwległej ciągnęła się długa półka, na której stały wiadra z wodą do mycia. W każdym unosiła się czysta szmata. Nie zauważyłem nigdzie mydła.

Zdjąłem koszulę, krzywiąc się z bólu, głównie w miejscach, gdzie zostawiła rany elektrorózga. Najgorsze było rozcięcie na krzyżu. Nie widziałem go, ale wyczuwałem pod palcami krew, teraz już gęstą i krzepnącą.

Kilka osób stało już przy wiadrach, myjąc się od pasa w górę. Kilka ściągnęło też spodnie czy kalesony, by obmyć całe ciało. Pomyślałem, że może pominę tę część ablucji, odnotowałem jednak z zainteresowaniem, że w Empis, podobnie jak we Francji (przynajmniej według pewnej piosenki), nie nosi się bielizny.

Ammit kuśtykał w moją stronę. Strażnicy nie weszli z nami do sali, co oznaczało, że nikt nie będzie interweniował, jeśli zechce rewanżu. Nie miałem nic przeciwko. Pochyliłem się, półnagi, wciąż oblepiony brudem z wielu dni (a może tygodni), i zacisnąłem dłonie w pięści. Wtedy wydarzyło się coś zdumiewającego. Jo, Fremmy, Stooks i Hamey stanęli przede mną w szeregu, oddzielając mnie od Ammita.

Mężczyzna na pałąkowatych nogach pokręcił głową i przyłożył nasadę dłoni do czoła, jakby dokuczała mu migrena.

– Nie, nie. Nie wierzyłem w to, ale teraz wierzę… może wierzę. Czy ty naprawdę jesteś…?

Jota postąpił krok do przodu i zakrył dłonią usta Ammita, nim ten mógł dokończyć. Drugą ręką wskazał na kratkę, przez którą być może w czasach, gdy stadion – i miasto, któremu służył – jeszcze normalnie funkcjonował, wtłaczano tu ciepłe powietrze. Ammit spojrzał na kratkę i skinął głową. Posykując z bólu, opadł przede mną na jedno kolano i znów przyłożył dłoń do czoła.

– Przepraszam, Charlie.

Otworzyłem usta, by powiedzieć „Nie ma sprawy”, ale znów wypłynęły z nich całkiem inne słowa:

– Z chęcią wybaczam. Powstań, Ammicie.

Teraz już wszyscy na mnie patrzyli, a niektórzy (nie Jota, nie wtedy) również przyłożyli dłonie do czoła. Nie przypuszczałem, by wszystkich ich nagle rozbolała głowa, więc musiało to być jakieś pozdrowienie. Wierzyli w coś, co wydawało mi się kompletnym absurdem. Chociaż…

– Umyj się, Charlie – powiedział Gully i wskazał na jedno z wiader. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu Eris szła w kucki pod półką i przesuwała po niej dłonią od spodu. – Umyj się. Proszę.

– Włosy też – odezwał się Jo. Kiedy się zawahałem, dodał: – Śmiało. Muszą zobaczyć. Ja też. – Potem jeszcze dorzucił: – Przepraszam za to, co mówiłem o zatykaniu ci ust piachem.

Odpowiedziałem, że nie chowam urazy, i nawet nie dodałem, że słyszałem w życiu mnóstwo takich odzywek. Takie zaczepki nie były czymś typowym jedynie dla sportowców, tylko dla wszystkich facetów.

Podszedłem do jednego z wiader i wykręciłem pływającą w nim ścierkę. Obmyłem twarz, szyję, pachy i brzuch. Byłem świadom, że zebrani dokoła więźniowie obserwują każdy mój ruch, co było dość deprymujące. Gdy oczyściłem już wszystkie miejsca, których mogłem dosięgnąć, Jaya kazała mi się odwrócić. Kiedy to zrobiłem, umyła mi plecy. Była bardzo

uważna i delikatna, gdy zajmowała się rozcięciem po uderzeniu rózgą, którym uraczył mnie Aaron po tym, jak zrobiłem obrót na kółkach gimnastycznych. Mimo to skrzywiłem się z bólu i odsunąłem odruchowo.

– Nie, nie – powiedziała bardzo łagodnym tonem. – Nie ruszaj się, Charlie. Muszę to wyczyścić, żeby nie zaropiało.

Gdy skończyła, wskazała na jedno z wiader, którego jeszcze nikt nie używał. Zaczęła otrzepywać moje włosy, ale po chwili cofnęła rękę, jakby dotknęła czegoś gorącego.

Spojrzałem na Jotę, by się upewnić, a ten skinął głową. Bez zbędnych ceregieli pochwyciłem wiadro i wylałem całą jego zawartość na głowę. Woda była tak zimna, że omal nie krzyknąłem, ale w sumie było to przyjemne doznanie. Przeciągnąłem dłonią przez włosy, ściągając z nich warstwę starego brudu. Kałuża, która zebrała się u moich stóp, była czarna. Palcami zaczesałem włosy do tyłu. Robią się długie, pomyślałem. Pewnie wyglądam jak hippis.

Wpatrywali się we mnie, cała trzydziestka, niektórzy z rozdziawionymi ustami. Wszyscy mieli szeroko otwarte oczy. Jo przyłożył nasadę dłoni do czoła i opadł na kolano. Pozostali zrobili to samo. Mówiąc, że osłupiałem ze zdumienia, nie oddałbym w pełni tego, co wtedy czułem.

– Wstańcie – powiedziałem. – Nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie.

Tyle że wcale nie byłem pewny, czy to prawda.

Podnieśli się z klęczek. Jo podszedł do mnie i złapał za kosmyk włosów, który opadł mi za ucho. Wyrwał go – au! – i pokazał mi dłoń. Włosy, nawet wilgotne, lśniły jasno w blasku lamp gazowych. Niemal równie jasno jak złoto pana Bowditcha.

– A co z oczami? – spytałem. – Jaki kolor mają moje oczy?

Jota przysunął się bliżej, tak że niemal stykaliśmy się nosami.

– Orzechowe. Ale mogą się nadal zmieniać. Musisz opuszczać przy nich głowę, gdy tylko się da.

– Te gnojki i tak to lubią – wtrącił Stooks.

– Uwielbiają – dodał Fremmy.

– Lada moment mogą tu przyjść – ostrzegła Eris. – Pozwól, że… Wybacz, książę Charlie, ale muszę…

– Nie nazywaj go tak! – przerwał jej Tom. – Nigdy! Chcesz, żeby go zabili? Charlie, zawsze tylko Charlie, do cholery!

– Przepraszam – wyszeptała. – I przepraszam za to, co zrobię, ale muszę.

Zebrała spod półki sporo czarnej mazi – mieszanki starego tłuszczu i brudu.

– Nachyl się do mnie. Jesteś bardzo wysoki.

Jasne, że jestem, pomyślałem. Jestem wysokim mężczyzną rasy białej, teraz jasnowłosym, być może wkrótce niebieskookim. Olśniewającym księciem prosto z kreskówki Disneya. Choć nie czułem się olśniewający pod jakimkolwiek względem, w dodatku wszystko to było absurdalne. Jaki disnejowski książę wysmarował gównem szybę samochodu albo zniszczył petardą skrzynkę pocztową?

Pochyliłem się. Eris bardzo delikatnie przesuwała dłonią przez moje włosy, pokrywając je warstwą brudu, by przywrócić im ciemną barwę. Skłamałbym, mówiąc, że jej dotyk nie przyprawiał mnie o przyjemny dreszczyk. Sądząc po rumieńcach, które wystąpiły na jej policzki, nie ja jeden tak się wtedy czułem.

Ktoś walnął pięścią w drzwi.

– Koniec zabawy! – wrzasnął któryś z nocnych żołnierzy. – Wychodzić! Ruszać się, ruszać! Lepiej, żebym nie musiał się powtarzać, dzieciaki!

Eris cofnęła się o krok. Spojrzała na mnie, a potem na Jo, Jayę i Hameya.

– Chyba wystarczy – powiedziała cicho Jaya.

Miałem taką nadzieję. Nie uśmiechała mi się kolejna wizyta w apartamentach Lorda Wysokiego.

Albo w sali tortur. Gdyby mnie tam zabrali, chcieliby wyciągnąć ode mnie całą prawdę… i w końcu by wyciągnęli. Po pierwsze: skąd pochodzę. Potem: kto pomógł mi po drodze i gdzie mieszkają ci ludzie. A na koniec: za kogo uważają mnie współwięźniowie.

Za ich pieprzonego wybawcę.

# 4

Wróciliśmy do Głębi Maleen. Drzwi cel zamknęły się z trzaskiem i zgrzytem, gdy nocni żołnierze przeszli korytarzem z podniesionymi rękami. Pomyślałem, że to niezła sztuczka. Ciekaw byłem, co jeszcze mają w zanadrzu. Oprócz rażenia prądem na zawołanie.

Hamey wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami ze swojej strony celi; odsuwał się ode mnie najdalej, jak mógł. Powiedziałem mu, żeby przestał się tak gapić, bo mnie to denerwuje.

– Przepraszam, ksią… Charlie – odpowiedział.

– Musisz się bardziej postarać. – Westchnąłem. – Obiecaj mi, że spróbujesz.

– Obiecuję.

– I powinieneś też bardziej się starać zachować swoje opinie dla siebie.

– Nie mówiłem nikomu, co podejrzewam.

Obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem Fremmy’ego i Stooksa, stojących obok siebie i gapiących się na nas ze swojej celi, i zrozumiałem, jak rozniosły się te wieści. Niektóre rzeczy (jak pewnie sami wiecie) są zbyt ciekawe, by nie mówić o nich nikomu.

Wciąż inwentaryzowałem moje rozliczne rany i bóle, gdy trzasnęły odsuwane rygle. Na korytarz wyszedł Pursey z wielkim kawałkiem ciasta na metalowej tacy. Chyba czekoladowego. Mój żołądek jęknął żałośnie. Pursey zaniósł ciasto w głąb korytarza, do celi, którą Ammit dzielił z Gullym.

Ammit sięgnął przez kraty i odłamał spory kawałek. Wsunął ciasto do ust, a potem powiedział (z ewidentnym żalem):

– Daj resztę Charliemu. Obił mnie kijem. Starł mnie na miazgę.

To nie były jego słowa, ale tak je usłyszałem. Moja mama mawiała tak po partyjce remika ze swoją przyjaciółką Heddą. Czasami Hedda ścierała ją na miazgę, czasami rozkładała na łopatki, czasami powalała na kolana. Takie określenia zwykle zapadają w pamięć.

Pursey zawrócił i szedł w naszą stronę, wciąż niosąc na tacy ciasto, choć mniejsze o ten spory kawałek. Odprowadzały go pożądliwe spojrzenia. Było tak duże, że musiał mocno przechylić tacę, by zmieścić ją między prętami. Przytrzymałem ciasto, by nie spadło na podłogę, a potem zlizałem lukier. Mój Boże, jakie to było dobre – wciąż pamiętam ten smak.

Zacząłem się w nie wgryzać (obiecując sobie, że dam trochę Hameyowi, a może nawet żartownisiom z sąsiedniej celi), potem jednak się zawahałem. Pursey wciąż stał przed celą. Kiedy zobaczył, że na niego patrzę, przyłożył nasadę biednej stopionej dłoni do czoła.

I zgiął kolano.

# 5

Spałem i śniłem o Radar.

Truchtała Drogą Królestwa w stronę baraku, w którym spędziliśmy noc przed wejściem do miasta. Co jakiś czas przystawała i szukała mnie, skomląc. Raz omal nie zawróciła, potem jednak pobiegła dalej. Dobry pies, pomyślałem. Uciekaj w bezpieczne miejsce, jeśli możesz.

Zza chmur wychynęły dwa księżyce i wilki natychmiast zaczęły wyć. Radar poderwała się do biegu. Wycie było coraz głośniejsze, coraz bliższe. We śnie widziałem ciemne sylwetki przemykające po obu stronach Drogi Królestwa. Sylwetki miały czerwone oczy. Tu właśnie sen zamienia się w koszmar, przemknęło mi przez głowę i zmusiłem się, żeby się obudzić.

Sen stracił trochę na wyrazistości. Słyszałem jęki Hameya. Fremmy i Stooks coś mamrotali. Nim wróciłem całkiem do rzeczywistości, w moim śnie wydarzyło się coś cudownego. W stronę Radar sunęła chmura ciemniejsza niż noc. Kiedy zakryła księżyce, przybrała postać czarnej koronki. To były motyle – monarchy. Nie miały żadnego powodu, by fruwać nocą, powinny spać, ale w snach wszystko jest możliwe. Koronkowa chmura dosięgła mojego psa i zawisła jakieś dwa metry nad nim. Niektóre motyle przysiadły nawet na jej łbie, grzbiecie i cudownie odmłodzonym zadzie; powoli rozkładały i składały skrzydła. Wilki przestały wyć, Radar biegła do bezpiecznego schronienia, a ja się obudziłem.

Hamey kucał nad dziurą w rogu celi; poszarpane resztki spodni leżały na jego stopach. Trzymał się obiema rękami za brzuch.

– Cicho tam! – zawołał Jo ze swojej strony korytarza. – Niektórzy chcą spać.

– Sam bądź cicho – mruknąłem i podszedłem do Hameya. – Jak się czujesz?

– Nie jest źle – odparł, choć strużki potu spływające po jego twarzy świadczyły o czymś innym. Nagle rozległo się donośne pierdnięcie, a potem plusk. – O bogowie, tak lepiej. Dużo lepiej.

Smród był potworny, lecz nie cofnąłem się; chwyciłem Hameya za ramię, żeby się nie przewrócił, kiedy wciągał resztki spodni.

– Ojej, kto umarł? – spytał Fremmy.

– Coś mi się wydaje, że Hameyowi w końcu odpadła dupa – powiedział Stooks.

– Poniechajcie – rzuciłem. – Obaj. Choroba to nic zabawnego.

Obaj natychmiast się zamknęli. Stooks zaczął przykładać dłoń do głowy.

– Nie, nie – zareagowałem natychmiast. – Nie róbcie tego. Nigdy.

Pomogłem Hameyowi przejść do pryczy. Jego twarz była wychudzona i blada. Sama myśl o tym, że miałby walczyć z kimkolwiek podczas tak zwanej Selekcji, nawet z osłabionym przez chorobę Dommym, była absurdalna.

Nie, niewłaściwie słowo. Straszna. Jakby ktoś chciał wystawić ratlerka do pojedynku z rottweilerem.

– Jedzenie mi nie służy. Mówiłem ci. Kiedyś byłem silny, pracowałem po dwanaście godzin dziennie w tartaku w Brookey, czasami po czternaście, nigdy nie prosiłem o dłuższy odpoczynek. Potem… Nie wiem, co się stało. Grzyby? Nie, chyba nie. Pewnie połknąłem jakiegoś robala. Teraz żarcie mi nie służy. Na początku nie było tak źle. Ale teraz jest. Wiesz, na co mam nadzieję?

Pokręciłem głową.

– Mam nadzieję, że w końcu będzie ta Selekcja i że jej dożyję. Wtedy mógłbym umrzeć na zewnątrz, i to nie dlatego, że w końcu pękną mi bebechy, kiedy będę się próbował wysrać w tej pieprzonej norze!

– Zachorowałeś tutaj?

Przypuszczałem, że tak właśnie było – trujące grzyby zabiłyby go od razu albo zdążyłby już wydobrzeć. A Głębia Maleen raczej nie była sterylnym środowiskiem.

Hamey pokręcił głową.

– To się chyba stało na drodze z Cytadeli. Kiedy nadeszła szarość. Nieraz myślę, że nawet szarość byłaby już lepsza.

– Kiedy to było?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Lata temu. Czasami wydaje mi się, że czuję, jak ten robal się tu kręci. – Potarł się po obwisłym brzuchu. – Wierci się tam i zjada mnie po kawałku. Powoli. Bardzo powoli.

Otarł twarz z potu.

– Było ich tu tylko pięciu, kiedy przywieźli mnie i Jackah. – Wskazał w głąb korytarza, w stronę celi, którą Jackah dzielił z Berndem. – Czyli z nami było siedmiu. Potem coraz więcej… czasem ktoś umarł i znowu było nas mniej… ale dochodzili nowi. Teraz jest trzydzieści jeden osób. Bult był przede mną, może siedzi najdłużej… z tych, co jeszcze żyją… i mówił, że Kat Skrzydlatych najpierw chciał sześćdziesięcioro czworo. Więcej walk! Więcej krwi i mózgów na trawie! Kellin… bo kto inny?… przekonał go, że nigdy nie znajdzie tylu kompletnych, więc stanęło na trzydzieściorgu dwojgu. Jo mówi, że jeśli nie znajdą niedługo trzydziestej drugiej osoby, Kat Skrzydlatych sprowadzi Rudą Molly, zamiast zachować ją na koniec.

Słyszałem już o tym. I choć nigdy nie widziałem Rudej Molly, bałem się jej, bo widziałem jej matkę. Ale było coś, czego nie wiedziałem. Pochyliłem się do Hameya.

– To Elden jest Katem Skrzydlatych?

– Tak go nazywają.

– Czy on ma inne imię? Czy to Gogmagog?

Wtedy właśnie odkryłem, jak wielka odległość – przepaść, otchłań – dzieli baśniową magię w rodzaju zegara słonecznego, który przywraca młodość, od tego, co nadprzyrodzone. Bo mnie usłyszało.

Lampy gazowe, które jak zwykle ledwie się tliły i rzucały tylko nikłe światło, nagle wystrzeliły w górę wielkimi błękitnymi płomieniami, które wypełniły Głębię Maleen oślepiającym blaskiem. Z niektórych cel dobiegły krzyki zdumienia i przerażenia. Widziałem, jak Jota zasłania oczy dłonią. Trwało to zaledwie sekundę, może dwie, lecz czułem, jak kamienna podłoga pod moimi stopami podnosi się i opada na miejsce. Z sufitu posypała się chmura pyłu i kamiennych drobin. Ściany jęknęły. Wyglądało to tak, jakby więzienie krzyknęło na dźwięk tego imienia.

Nie.

Nie „jakby”.

Ono naprawdę krzyknęło.

A potem wszystko ucichło.

Hamey objął mnie kościstym ramieniem i zacisnął je tak mocno, że niemal zacząłem się dusić. Potem wyszeptał mi do ucha:

– Nigdy nie wymawiaj tego imienia! Chcesz obudzić to, co śpi w Mrocznej Studni?

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

## Tempus est umbra in mente. Niejasna historia. Cla. List. Rozstawienie.

### 1

W pierwszej klasie szkoły średniej zapisałem się na kurs łaciny. Zrobiłem to, bo nauka martwego języka wydawała mi się świetnym pomysłem, a także dlatego, że – jak mówił tata – mama uczyła się łaciny w tej samej szkole, Hillview, i u tej samej nauczycielki, panny Young. Mówił, że zdaniem mamy to była naprawdę fajna babka. Kiedy rozpocząłem naukę w liceum, panna Young – która oprócz łaciny uczyła francuskiego – nie była młoda, ale nadal była fajna. W pierwszej klasie na łacinę chodziło nas tylko ośmioro, a gdy byłem w drugiej, panna Young przeszła na emeryturę i w Hillview nie było już lekcji łaciny.

Na pierwszych zajęciach panna Young spytała, czy znamy jakieś łacińskie wyrażenia. Carla Johansson podniosła rękę i powiedziała *carpe diem*, co oznaczało „chwytaj dzień”. Nie zgłaszał się nikt inny, więc w końcu podniosłem rękę i powtórzyłem powiedzenie, którego często używał wuj Bob, zwykle gdy musiał gdzieś iść: *tempus fugit*, czyli „czas ucieka”. Panna Young skinęła głową, a że nie zgłosił się już nikt inny,

dorzuciła jeszcze kilka wyrażeń, takich jak *ad hoc*, *de facto* czy *bona fide*. Po lekcji przywołała mnie, powiedziała, że dobrze pamięta moją mamę i że jest jej przykro, że straciłem ją w tak młodym wieku. Podziękowałem jej. Nie płakałem, nie po sześciu latach, ale coś ścisnęło mnie za gardło.

– *Tempus fugit* to ciekawa fraza – dodała. – Ale czas nie zawsze ucieka, o czym wie każdy, kto musiał na coś długo czekać. Myślę, że *tempus est umbra in mente* to jeszcze lepsze powiedzenie. Oznacza mniej więcej tyle, co „czas jest cieniem w umyśle”.

Często o tym myślałem w Głębi Maleen. Ponieważ tkwiliśmy pod ziemią, odróżnialiśmy noc od dnia – dnia gdzieś tam, nie w naszych kazamatach – tylko dlatego, że wtedy rzadziej przychodzili do nas nocni żołnierze, otaczające ich światło było bledsze, a ich ludzkie twarze – lepiej widoczne. W większości były to nieszczęśliwe twarze. Zmęczone. Wynędzniałe. Zastanawiałem się, czy te stworzenia, gdy były jeszcze ludźmi, zawarły jakiś diabelski pakt, z którego teraz chętnie by się wycofały, lecz nie mogły tego zrobić. Może nie dotyczyło to Aarona i kilku innych, z pewnością również nie Lorda Wysokiego, ale pozostali… Może. Chyba że widziałem tylko to, co chciałem widzieć.

Podczas pierwszego tygodnia spędzonego w lochu odliczałem uważnie kolejne dni, potem jednak straciłem rachubę czasu. Wydaje mi się, że zabierano nas na stadion, na Zabawę, co pięć albo sześć dni. W większości były to zwykłe treningi, i to bezkrwawe. Jedyny wyjątek miał miejsce wtedy, gdy Yanno (przepraszam, że zarzucam was ciągle tymi imionami, musicie jednak pamiętać, że oprócz mnie było tam jeszcze trzydzieścioro więźniów) za mocno zamachnął się kijem na Eris. Uchyliła się. Chybił i zwichnął sobie ramię. Nie zaskoczyło mnie to. Yanno, podobnie jak większość więźniów, nigdy nie był facetem w typie Dwayne’a Johnsona,

a pobyt w lochu raczej nie sprzyjał budowaniu masy mięśniowej. Ja ćwiczyłem w celi, ale tylko nieliczni szli za moim przykładem.

Gdy wróciliśmy do sali drużyny, inny więzień, Freed, nastawił ramię Yanno: przykazał mu, by się nie ruszał, złapał go za łokieć i pociągnął. Słyszałem przytłumiony trzask, gdy ramię Yanno wróciło na miejsce.

– To było dobre – powiedziałem, gdy wracaliśmy do Głębi Maleen.

Freed wzruszył ramionami.

– Byłem lekarzem. W Cytadeli. Wiele lat temu.

Tyle że nie użył słowa „lata”. Wiem, że już to mówiłem, wy wiecie, że to mówiłem, ale muszę wyjaśnić – a przynajmniej spróbować – dlaczego nigdy nie mogłem do końca poukładać sobie w głowie wydarzeń składających się na historię Empis. Zawsze słyszałem „lata”, kiedy jednak zadawałem pytania o Empis i używałem tego słowa, odnosiłem wrażenie, że dla różnych ludzi oznacza różne rzeczy. W miarę jak upływały kolejne tygodnie, udało mi się odtworzyć na własny użytek ogólny obraz historii Empis, lecz nigdy nie ustaliłem spójnej chronologii.

Na spotkaniach AA taty początkującym doradzano, by wyjęli watę z uszu i zatkali sobie nią usta: „Naucz się słuchać, żebyś mógł się uczyć ze słuchania”, mówili. W Głębi Maleen czasami zadawałem pytania, ale zwykle miałem oczy i uszy otwarte, a usta zamknięte. Moi współwięźniowie rozmawiali (bo nie mieli innych zajęć), kłócili się o to, kiedy wydarzyło się to czy tamto (albo czy się w ogóle wydarzyło), powtarzali historie, które słyszeli od rodziców i dziadków. Tak zaczął się tworzyć obraz dziejów Empis, niewyraźny, ale lepszy taki niż żaden.

Dawno, dawno temu tutejsza monarchia była prawdziwą monarchią, z prawdziwą armią, może nawet marynarką wojenną. Czymś takim, jak była Anglia za czasów Jakubów, Karolów i Henryka z jego licznymi żonami. Dawnych królów Empis – nie wiem, czy kiedykolwiek tym krajem

rządziła królowa, to jedna z wielu rzeczy, których nie udało mi się ustalić – rzekomo wybierali bogowie. Ich władza była niepodważalna. Sami byli uważani niemal za bogów, i kto wie, może rzeczywiście nimi byli. Czy tak trudno uwierzyć, że królowie (i być może członkowie ich rodzin) mogli lewitować, zabijać nieprzyjaciół gniewnym spojrzeniem albo uwalniać od chorób samym dotykiem w krainie, gdzie żyły syreny i olbrzymy?

W pewnym momencie władza królewska przeszła w ręce Gallienów. Zdaniem moich współwięźniów stało się to… Zgadliście, „wiele lat temu”. Jednak w miarę upływu czasu – przypuszczam, że po rządach pięciu lub sześciu pokoleń – Gallienowie zaczęli tracić kontrolę nad swoim królestwem. W okresie poprzedzającym szarość Empis było monarchią tylko z nazwy; rodzina królewska nadal wiele znaczyła, lecz nie decydowała już o wszystkim. Weźmy na przykład Cytadelę. Doktor Freed powiedział mi, że rządziła nią Rada Siedmiu, której członków wybierano. Mówił o Cytadeli jak o wielkim i ważnym mieście, wyglądało jednak na to, że w rzeczywistości było to małe, ale bogate miasteczko, które zarabiało na handlu między Nadmorzem i Lilimar. Może inne miasta i księstwa, jak Deesk czy Ullum (przynajmniej zanim Ullum popadło w religijny obłęd), wyglądały podobnie, może każde miało jakąś swoją specjalność, a ich mieszkańcy zajmowali się własnymi sprawami.

Więźniowie, z których większość stała się moimi przyjaciółmi – nasze relacje komplikowała nieco ich wiara, że jestem lub mogę być magicznym księciem – niewiele wiedzieli o Lilimar i pałacu, nie dlatego, że te miejsca były owiane tajemnicą, tylko dlatego, że zajmowali się własnym życiem i swoimi miastami. Oddawali daninę królowi Janowi, bo jego żądania nie były wygórowane, a armia – znacznie uszczuplona i przemianowana na Gwardię Królewską – strzegła dróg i mostów. Z danin opłacano ludzi, których Tom nazywał wędrownymi szeryfami, a Ammit strażnikami (takie

słowa słyszałem). Mieszkańcy Empis płacili daninę także dlatego, że Jan był – tadam! – królem, a ludzie zwykle robią to, co nakazuje im tradycja. Pewnie trochę psioczyli, jak zawsze, gdy trzeba płacić podatki, a potem zapominali o wszystkim aż do empisańskiego odpowiednika amerykańskiego piętnastego kwietnia, kiedy to upływa termin składania rocznych deklaracji podatkowych.

A co z magią? – spytacie. Z zegarem słonecznym? Nocnymi żołnierzami? Budynkami, które zmieniały kształty? Dla nich to było coś oczywistego. Jeśli wydaje wam się to dziwne, wyobraźcie sobie podróżnika w czasie, który z roku 1910 trafił do 2010 i zobaczył świat, w którym ludzie latają po niebie wielkimi żelaznymi ptakami i jeżdżą samochodami rozwijającymi prędkość stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Świat, w którym każdy nosi w kieszeni potężny komputer. Albo wyobraźcie sobie faceta, który widział wcześniej tylko kilka niemych czarno-białych filmów, a potem usiadł w pierwszym rzędzie IMAX-a i obejrzał *Avatara* w 3D.

Człowiek po prostu przyzwyczaja się do tego, co zdumiewające. Syreny i IMAX, olbrzymy i telefony komórkowe. Jeśli dzieje się to w twoim świecie, traktujesz to jak coś naturalnego. To cudowne, prawda? Tyle że jeśli przyjrzeć się temu z innej strony, wydaje się okropne. Myślicie, że Gogmagog jest przerażający? Nasz świat siedzi na beczce prochu w postaci broni nuklearnej, która może całkowicie zniszczyć planetę, i jeśli to nie jest czarna magia, to nie wiem, jak inaczej to nazwać.

# 2

Królowie Empis przychodzili i odchodzili. Z tego, co wiedziałem, zakonserwowane ciała Gallienów przechowywano w jednym z wielkich szarych gmachów, które mijaliśmy z Radar, zmierzając do zegara słonecznego śladem znaków pozostawionych przez pana Bowditcha. Króla Jana namaszczono w zgodzie z przyjętą tradycją. Bult twierdził, że elementem tego rytuału był święty kielich ze złota.

Jackah powtarzał z uporem, że żoną Jana była królowa Clara, a może Kara, inni natomiast mówili, że miała na imię Cora i była kuzynką trzeciego stopnia Jana albo coś w tym rodzaju. Żaden z moich współtowarzyszy nie wiedział, ile mieli dzieci; niektórzy mówili o czworgu, niektórzy o ośmiorgu, a Ammit przysięgał, że było ich dziesięcioro.

– Ci dwoje musieli się pieprzyć jak królewskie króliki – podsumował.

W świetle tego, czego dowiedziałem się od konia pewnej księżniczki, wszyscy się mylili – dzieci było siedmioro. Pięć dziewczynek i dwóch chłopców. I w tym właśnie miejscu ta historia stawała się dla mnie naprawdę interesująca, można nawet powiedzieć, że bezpośrednio ze mną powiązana, choć nadal była irytująco niejasna.

Król Jan zachorował. Jego syn Robert, który zawsze był przez niego faworyzowany jako starszy z dwóch synów, czekał już za kulisami, gotów napić się ze świętego pucharu (wyobraziłem sobie motyle wygrawerowane na krawędzi kielicha). O Eldenie, jego młodszym bracie, niemal zapomniano… Wyjątkiem była Lea, która go uwielbiała.

– Słyszałem, że był brzydkim kulawym skurwielem – powiedział Dommy pewnej nocy. – Miał wykrzywione obie stopy.

– I brodawki na całej gębie – dodał Ocka.

– Podobno był garbaty – dorzucił Fremmy.

– I parchaty – dołączył się natychmiast Spooks.

Wydało mi się bardzo ciekawe, a nawet pouczające, że mówili o Eldenie – niemal zapomnianym brzydkim kulawym księciu – i o Kacie Skrzydlatych jak o dwóch różnych osobach. Albo jak o gąsienicy, która zamienia się w motyla. Przypuszczałem, że przynajmniej część Gwardii Królewskiej uległa podobnej przemianie. W nocnych żołnierzy.

Elden był zazdrosny o brata i zazdrość przerodziła się w nienawiść. Wszyscy więźniowie zgadzali się ze sobą w tej kwestii. Bo czemu nie? Była to klasyczna historia rywalizacji między braćmi, która stanowiła podstawę wielu baśni. Wiedziałem, że dobre historie nie zawsze są prawdziwe – albo nie całkiem prawdziwe – ta jednak wydawała się całkiem prawdopodobna, ponieważ taka już jest ludzka natura. Elden postanowił przejąć władzę, siłą lub podstępem, i zemścić się na rodzinie. A że miało na tym ucierpieć całe Empis? Trudno.

Czy szarość nadeszła przed czy po tym, jak stał się Katem Skrzydlatych? Niektórzy z moich współwięźniów twierdzili, że przed, lecz ja myślę, że jednak po. Przypuszczam, że sprowadził ją w jakiś sposób. I nie miałem wątpliwości, skąd wzięło się jego nowe imię.

– Motyle były w Empis wszędzie – usłyszałem od Doktora Freeda. – Zakrywały niebo.

Powiedział to po tym, jak po Zabawie nastawił zwichnięte ramię Yanno. Wracaliśmy do lochu, idąc obok siebie. Doktor mówił cicho, niemal szeptem. Łatwiej było rozmawiać, schodząc ze schodów, niż się na nie wspinając, tym bardziej że wszyscy byli zmęczeni i poruszali się wolniej niż zwykle. Jego słowa przywiodły mi na myśl gołębie wędrowne, które

niegdyś przesłaniały niebo Środkowego Zachodu… dopóki ich nie wytępiono. Ale kto polowałby na motyle?

– Nadawały się do jedzenia? – spytałem. W końcu właśnie dlatego wyginęły gołębie wędrowne: były tanim i dostępnym pożywieniem.

– Monarchy są trujące, Charlie – odparł Freed. – Zjesz jednego, będziesz miał kłopoty z żołądkiem. Zjesz kilka i możesz nawet umrzeć. Były wszędzie, jak mówię, ale najwięcej w Lilimar i na przedmieściach.

Powiedział „na przedmieściach” czy „w okolicy”? W sumie sprowadzało się to do tego samego.

– Ludzie hodowali w ogrodach trojeść na pożywienie dla larw i kwiaty, z których mogły pić nektar motyle powstałe z tych larw. Uważano, że przynoszą królestwu szczęście.

Pomyślałem o zniszczonych posągach, które widziałem – o kamiennych rozpostartych skrzydłach zamienionych w sterty gruzu.

– Podobno kiedy cała rodzina Eldena zginęła i został tylko on, chodził po ulicach w czerwonej szacie ze śnieżnobiałym kołnierzem z futra gronostaja i złotą koroną Gallienów na głowie. Niebo było ciemne od monarchów, jak to kiedyś w Lilimar. Ale za każdym razem, gdy Elden podnosił ręce, z nieba spadały tysiące martwych motyli. Kiedy ludzie uciekali z miasta… Niektórzy zostali, przysięgli wierność i płacili daninę, ale inni przedzierali się przez kopce martwych monarchów. Podobno część miała ponad trzy metry wysokości. Miliony martwych kolorowych motyli, które blakły i szarzały.

– To okropne – powiedziałem. Byliśmy już prawie na miejscu. – Wierzysz w to?

– Wiem, że umierały też w Cytadeli. Widziałem na własne oczy, jak spadały z nieba. Inni powiedzą ci to samo. – Otarł oczy i spojrzał na

mnie. – Wiele bym dał za to, żeby zobaczyć motyla, kiedy wychodzimy na to boisko. Ale przypuszczam, że wszystkie wyginęły.

Pokręciłem głową.

– Nie. Widziałem je. Całe mnóstwo.

Ujął mój łokieć, z zaskakującą siłą jak na tak drobnego mężczyznę… choć przypuszczałem, że gdy dojdzie do Selekcji, nie przetrwa o wiele dłużej niż Hamey.

– Czy to prawda? Przysięgasz?

– Tak.

– Przysięgnij na imię twojej matki!

Jeden z czterech strażników obejrzał się, marszcząc brwi, i pogroził nam elektrorózgą.

– Na imię mojej matki – odpowiedziałem cicho.

Monarchy nie wyginęły, podobnie jak Gallienowie – a przynajmniej nie wszyscy członkowie tego rodu. Zostali przeklęci przez siłę, która zadomowiła się w Eldenie – według mnie tę samą siłę, która obróciła przedmieścia w perzynę – ale żyli. Nie powiedziałem o tym jednak Freedowi. To mogłoby być niebezpieczne dla nas obu.

Przypomniałem sobie opowieść Woody’ego o Hanie, która ścigała resztki jego rodziny do bram miasta, o tym, jak urwała głowę jego bratankowi, Aloysiusowi.

– Kiedy pojawiła się tu Hana? I dlaczego, skoro olbrzymy żyją na północy?

Pokręcił głową.

– Nie wiem.

Pomyślałem, że być może Hana wybrała się akurat z wizytą do krewnych w Cratchy, gdy pan Bowditch przyszedł tu po złoto, ale nie

miałem pojęcia, czy się nie mylę. Pan Bowditch nie żył, a historia Empis była, jak już mówiłem, bardzo mętna.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Nie myślałem o Empis ani o motylach, ani o Kacie Skrzydlatych. Myślałem o ojcu. Tęskniłem za nim i martwiłem się o niego. Bo najprawdopodobniej był przekonany, że nie żyję.

## 3

Czas mijał, choć trudno było ocenić, ile go minęło. Wciąż zbierałem okruchy informacji, choć sam nie wiedziałem, w jakim celu. Gdy pewnego dnia wróciliśmy z treningu nieco cięższego niż wiele ostatnich, zastaliśmy w celi Joty brodatego mężczyznę, znacznie wyższego ode mnie, Dommy’ego czy Joty. Był w ubłoconych krótkich spodniach i równie ubłoconej prążkowanej koszuli. Odcięte rękawy odsłaniały jego potężne mięśnie. Kucał w rogu celi, chowając głowę między kolanami, jak najdalej od niebieskiej postaci, która również znalazła się w tej celi – Lorda Wysokiego.

Kellin podniósł rękę w niedbałym, niemal apatycznym geście, lecz dwóch nocnych żołnierzy prowadzących naszą grupę natychmiast się zatrzymało. Wszyscy się zatrzymaliśmy. Jaya, która tego dnia szła obok mnie, wsunęła drobną dłoń w moją. Była bardzo zimna.

Kellin wyszedł z celi Jo i powiódł po nas spojrzeniem.

– Moi drodzy przyjaciele, chciałbym, żebyście poznali swojego nowego towarzysza. Nazywa się Cla. Znaleziono go na brzegu jeziora Remla, gdy

jego mała łódka zaczęła przeciekać. Omal nie utonął, prawda, Cla?

Cla tylko podniósł na niego wzrok.

– Odpowiedz mi!

– Tak. Omal nie utonąłem.

– Spróbuj jeszcze raz. Nazywaj mnie Lordem Wysokim.

– Tak, Lordzie Wysoki. Omal nie utonąłem.

Kellin odwrócił się ponownie do nas.

– Ale został uratowany, moi drodzy przyjaciele, i jak zapewne sami widzicie, nie ma na nim ani plamki szarości. Tylko brud. – Zachichotał. To był okropny dźwięk. Jaya ścisnęła moją dłoń. – W Głębi Maleen, jak bez wątpienia sami wiecie, rzadko pozwalamy sobie na takie oficjalne prezentacje, ale uważam, że mój drogi nowy przyjaciel Cla zasługuje na nią, bo jest naszym trzydziestym drugim gościem. Czyż to nie cudowne?

Nikt się nie odzywał.

Kellin wskazał na jednego z nocnych żołnierzy prowadzących naszą nieszczęsną procesję, a potem na Bernda, który stał w pierwszej parze obok Ammita. Żołnierz uderzył go rózgą w kark. Bernd krzyknął, upadł na kolana i zakrył dłonią krwawą pręgę. Kellin pochylił się do niego.

– Jak się nazywasz? Nie będę przepraszał, że zapomniałem. Tylu was tu jest…

– Bernd – wykrztusił więzień. – Bernd z Cyta…

– Nie ma takiego miejsca jak Cytadela – przerwał mu Kellin. – Ani teraz, ani nigdy więcej go nie będzie. Bernd wystarczy. Powiedz mi więc, Berndzie Zupełnie Znikąd, czy to nie cudowne, że król Elden, Kat Skrzydlatych, ma was teraz trzydzieścioro dwoje? Odpowiedz głośno i dumnie!

– Tak – odparł Bernd. Spomiędzy jego zaciśniętych palców sączyła się krew.

– Tak… co? – A potem, jakby Kellin uczył małe dziecko czytać: – Cu… cu… cu…? Głośno i dumnie, ale już!

– Cudowne – powiedział Bernd, wbijając wzrok w wilgotne kamienie podłogi.

– Kobieto! – ryknął Kellin. – Ty, Erin! Nazywasz się Erin, tak?

– Tak, Lordzie Wysoki – odparła Eris. Nie zamierzała go poprawiać.

– Czyż to nie cudowne, że Cla do nas dołączył?

– Tak, Lordzie Wysoki.

– Jak cudowne?

– Bardzo cudowne, Lordzie Wysoki.

– Czy to twoja cipa tak cuchnie, czy raczej dupa, Erin?

Zachowała beznamiętny wyraz twarzy, ale jej oczy ciskały błyskawice. Opuściła wzrok, co w tej sytuacji było bardzo rozsądne.

– Zapewne jedno i drugie, Lordzie Wysoki.

– Tak, też tak myślę. Teraz ty… Jota. Podejdź bliżej.

Jota przesunął się do przodu i przystanął, niemal dotykając niebieskiej poświaty Kellina.

– Cieszysz się, że masz współlokatora?

– Tak, Lordzie Wysoki.

– Czy to nie cu… cu…? – Kellin machnął białą dłonią, a ja zrozumiałem, że jest zadowolony. Nie, nie zadowolony. Uszczęśliwiony. No bo miał powód. Polecono mu zebrać odpowiednią liczbę kompletnych i oto wykonał swoje zadanie.

Uświadomiłem sobie, jak bardzo go nienawidzę. Nienawidziłem również Kata Skrzydlatych, choć jeszcze nie widziałem go na oczy.

– Cudowne – powiedział Jota.

Kellin powoli wyciągnął rękę w jego stronę. Jota próbował zachować spokój, ale wzdrygnął się, gdy upiorna dłoń niemal dotknęła jego twarzy. Słyszałem, jak trzeszczy naelektryzowane powietrze, i widziałem, jak włosy Jo poruszają się w reakcji na siłę, która utrzymywała Kellina przy życiu.

– To cudowne… co, Jota?

– Cudowne, Lordzie Wysoki.

Kellin, który świetnie się bawił, przeszedł między nami szybkim krokiem. Próbowaliśmy się odsuwać, ale niektórzy nie zdążyli i zetknęli się z jego poświatą. Osuwali się na kolana, jedni w milczeniu, drudzy – kwiląc z bólu. Odepchnąłem Jayę, by nie stanęła mu na drodze, ale moja ręka wsunęła się na moment w jego niebieskie światło. Palący ból objął ramię i wszystkie mięśnie natychmiast mi zdrętwiały. Minęły dwie długie minuty, nim zacząłem odzyskiwać nad nimi władzę.

Powinni wypuścić szarych niewolników i napędzać ten stary generator tą mocą, pomyślałem.

Kiedy Kellin dotarł do drzwi, odwrócił się do nas, strzelając obcasami niczym pruski instruktor musztry.

– Posłuchajcie mnie, drodzy przyjaciele. Z wyjątkiem kilku wygnańców, którzy nie mają żadnego znaczenia, i paru uchodźców, którym udało się uciec w początkach panowania Kata Skrzydlatych, jesteście ostatnimi, w których żyłach płynie królewska krew, choć rozwodniona i splugawiona przez dziwkarzy, łajdaków i gwałcicieli. Dostarczycie rozrywki Katowi Skrzydlatych, i to wkrótce. Koniec Zabawy. Kiedy następnym razem wyjdziecie na Stadion Eldena, dawniej Stadion Monarchów, weźmiecie udział w pierwszej rundzie Selekcji.

– A co z nim, Lordzie Wysoki? – spytałem, wskazując sprawną ręką na Cla. – Czy on nie będzie miał okazji potrenować?

Kellin spojrzał na mnie z drwiącym uśmieszkiem. Zza jego oczu wyzierały puste czarne oczodoły.

– Ty będziesz jego treningiem, dzieciaku. Poradził sobie z jeziorem Remla, poradzi sobie i z tobą. Popatrz tylko, jaki jest wielki! Nie, nie doczekasz drugiej rundy, mój bezczelny przyjacielu. I to akurat bardzo mnie cieszy.

Wygłosiwszy te pokrzepiające słowa, odwrócił się i wyszedł.

# 4

Tego wieczoru dostaliśmy na kolację steki. Prawie zawsze podawano je po Zabawie. Pursey pchał wózek korytarzem, wrzucając niedopieczone mięso do cel – szesnastu cel zajmowanych teraz przez trzydzieścioro dwoje więźniów. Rzucając moją porcję, znów podniósł zdeformowaną dłoń do czoła w szybkim i ukradkowym, ale jednoznacznym geście. Cla złapał stek w locie, usiadł w kącie i pożerał mięso, odrywając wielkie krwawe kęsy. Jakie ty masz wielkie zęby, Cla, pomyślałem.

Hamey odgryzł symboliczny kawałek steku i próbował oddać mi resztę. Nie wziąłem jej.

– Możesz zjeść więcej – powiedziałem.

– Po co? – Wzruszył ramionami. – Po co jeść, męczyć się z bólem brzucha, a potem i tak umrzeć?

Uciekłem się do jednej z mądrości mojego taty przyniesionych z AA.

– Żyj dniem dzisiejszym.

Jakby w Maleen były jakieś dni… Ale zjadł jeszcze parę kęsów, by zrobić mi przyjemność. Byłem przecież obiecanym księciem, mitycznym wybawcą. Choć jedynym rodzajem magii, z jakim miałem cokolwiek wspólnego, były tajemnicze zmiany w kolorze moich włosów i oczu, nad czym nie miałem żadnej kontroli i co do niczego nie mogło mi się przydać.

Jo spytał Cla, jak to się stało, że omal nie utonął. Ten nie odpowiedział. Fremmy i Stooks chcieli wiedzieć, skąd przybywał i dokąd zmierzał – czy gdzieś istniało bezpieczne schronienie? Cla nie odpowiedział. Gully był ciekaw, jak długo był w podróży. Cla na to również nie odpowiedział. Zjadł mięso i wytarł tłuste palce w swoją prążkowaną koszulę.

– Nie jesteś zbyt rozmowny, kiedy nie masz przed sobą Lorda Wysokiego, co? – zauważył Dublet. Stał przy kratach celi, którą dzielił z Berndem, nieco dalej od naszej w głąb korytarza. Trzymał w ręce ostatni kawałek steku, który, jak wiedziałem, zamierzał zachować na później, gdy obudzi się w środku nocy. Więzienne zwyczaje są smutne, ale proste.

Cla, nie wstając ani nie podnosząc wzroku, odpowiedział ze swojego kąta:

– Dlaczego miałbym rozmawiać z tymi, którzy wkrótce będą martwi? Rozumiem, że ma się tu odbyć jakiś turniej. Doskonale. Wygram go. Jeśli jest jakaś nagroda, zabiorę ją i pójdę sobie.

W lochu zapadła pełna zdumienia głucha cisza.

W końcu przerwał ją Fremmy.

– On nie rozumie.

– Przekazali mu złe informacje – stwierdził Stooks. – Albo miał jeszcze wodę w uszach i nie usłyszał dobrze.

Jota napił się wody z wiadra, a potem wskoczył na kraty celi, w której do dzisiaj przebywał sam, i potrząsnął nimi, jak to miał w zwyczaju.

W końcu zeskoczył na podłogę i odwrócił się do wielkiego matołka, który kucał w kącie.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Cla – zaczął. – Wyklaruję, jak to mówią. Selekcja to turniej. Podobne zawody organizowano często na Stadionie Monarchów za czasów Gallienów. Schodziły się tam wtedy tysiące ludzi, żeby je oglądać. Przybywali zewsząd, podobno nawet z Cratchy, krainy olbrzymów. Zawodnikami byli zwykle członkowie Gwardii Królewskiej, choć zwykli ludzie też mogli stanąć do zawodów, jeśli chcieli sprawdzić, czy mają twarde czaszki. Nie brakowało krwi, uczestników często znoszono nieprzytomnych z boiska. Tylko że to ma być stara wersja Selekcji, z czasów, gdy nikt jeszcze nie słyszał o Gallienach, a Lilimar było miasteczkiem niewiele większym od Deesk.

Znałem część tych informacji, niektóre jednak wciąż były dla mnie nowością. Słuchałem uważnie, podobnie jak pozostali, bo w kazamatach rzadko rozmawiano o Selekcji. To był temat tabu, pewnie podobnie jak w ziemskich więzieniach krzesło elektryczne czy śmiertelny zastrzyk.

– Szesnaścioro z nas będzie walczyć przeciwko drugiej szesnastce. Na śmierć i życie. Bez litości, do samego końca. Jeśli ktoś odmówi udziału w walce, trafi na koło do łamania albo do Dziewicy, albo zawiśnie na haku strappado. Rozumiesz?

Cla siedział w kącie i milczał, jakby rozważał słowa Joty. W końcu się odezwał:

– Umiem walczyć.

Jo skinął głową.

– Tak, wygląda na to, że umiesz, jeśli nie masz przed sobą Lorda Wysokiego albo nie plujesz wodą. Szesnaścioro pozostałych przy życiu dzieli się na dwie ósemki, które znów ze sobą walczą. Po następnej rundzie zostaje czwórka. A potem tylko dwójka.

Cla skinął głową.

– Ja będę w tej dwójce. A kiedy ten drugi będzie leżał martwy u moich stóp, upomnę się o swoją nagrodę.

– I dostaniesz ją – powiedział Hamey, który stanął obok mnie. – W dawnych czasach zwycięzca dostawał worek złota i jak powiadają, do końca życia nie musiał płacić królowi daniny. Tylko że tak było w dawnych czasach. Twoją nagrodą będzie walka z Rudą Molly. To olbrzymka, nie mieści się w tym specjalnym pokoju, w którym siedzą przydupasy Kata Skrzydlatych, ale widziałem wiele razy, jak stała pod nim. Ty jesteś duży, masz dobrze ponad dwa metry, lecz ta ruda suka jest większa.

– Nie złapie mnie – odezwał się nagle Strzała. – Ona wolna. Ja szybki. Jak strzała, rozumiecie.

Nikt nie wypowiedział na głos tego, co dla wszystkich było oczywiste: szybki czy nie, chuderlawy Strzała umrze na długo przed tym, jak będzie miał okazję stanąć do walki z Rudą Molly.

Cla usiadł na podłodze i zastanawiał się przez chwilę. W końcu wstał i przeszedł do wiadra z wodą.

– Z nią też wygram – oznajmił. – Będę ją tłukł, dopóki mózg nie wyjdzie jej gębą.

– Powiedzmy, że to zrobisz – wtrąciłem i na mnie spojrzał. – Na tym się nie skończy. Zabijesz córkę… raczej ci się to nie uda, ale załóżmy, że tak. Nie będziesz miał jednak żadnych szans w walce z jej matką. Widziałem ją. To pieprzona Godzilla.

Oczywiście z moich ust wyszło jakieś inne słowo. Cokolwiek powiedziałem, z innych cel dobiegły mnie pomruki aprobaty.

– Wszystkich was tłukli tak długo, że teraz boicie się własnych cieni – stwierdził Cla, zapominając być może, że kiedy Kellin kazał mu się nazywać Lordem Wysokim, natychmiast spełnił to polecenie.

Kellina i pozostałych nocnych żołnierzy otaczało to światło. Przypomniałem sobie, jak zdrętwiały moje mięśnie, gdy tylko mnie dotknął.

Cla podniósł wiadro z wodą, lecz Jota złapał go za wielkie jak konar ramię.

– Nie! Użyj kubka, idioto! Pursey przywiezie wodę dopiero…

Nigdy nie widziałem, by facet tak duży jak Cla poruszał się tak szybko, nawet na powtórkach meczów koszykarskich z czasów, gdy Shaquille O'Neal grał w lidze uniwersyteckiej w drużynie Uniwersytetu Stanu Luizjana – a Shaq poruszał się naprawdę fantastycznie, mimo że miał dwieście szesnaście centymetrów wzrostu i ważył sto czterdzieści siedem kilogramów.

W jednej sekundzie przechylone wiadro dotykało ust Cla. W następnej – a przynajmniej tak się wydawało – opadło ze stukotem na kamienną podłogę, rozlewając wodę na boki. Cla odwrócił się, by na nie spojrzeć. Jo leżał na ziemi, wspierając się na jednej ręce, drugą trzymał się za gardło. Oczy wychodziły mu z orbit. Dławił się. Cla pochylił się po wiadro i podniósł je.

– Jeśli go zabiłeś, słono za to zapłacisz – powiedział Yanno, po czym dodał z nieskrywaną ulgą: – I nie będzie Selekcji.

– Będzie – mruknął ponuro Hamey. – Kat Skrzydlatych nie będzie czekał. Ruda Molly zajmie miejsce Jo.

Ale Jo nie umarł. W końcu podniósł się z podłogi, przeszedł chwiejnym krokiem do pryczy i położył się. Przez następne dwa dni mówił tylko szeptem. Nim w lochu pojawił się Cla, Jo był największy z nas i najsilniejszy; wydawało się, że to właśnie on zostanie na placu boju, gdy zawody zwane Selekcją dobiegną końca, ale nawet nie widziałem tego uderzenia w gardło, które zwaliło go z nóg.

Kto miał już w pierwszej rundzie zmierzyć się z człowiekiem, który potrafił tak walczyć?

Zdaniem Kellina ten zaszczyt miał przypaść mnie.

# 5

Często śniłem o Radar, ale w nocy po tym, jak Cla znokautował Jotę, śniłem o księżniczce Lei. Była w czerwonej sukni z podwyższoną talią i obcisłym gorsetem. Spod brzegu sukni wyglądały buty w tym samym odcieniu czerwieni; miały sprzączki wysadzane diamentami. Włosy księżniczki związane były z tyłu sznurem pereł, ułożonym w skomplikowany węzeł. Na jej piersiach spoczywał złoty medalion w kształcie motyla. Siedziałem obok – nie w złachmanionych szmatach, które miałem na sobie, przybywając do Empis z umierającym psem, lecz w ciemnym garniturze i białej koszuli. Garnitur był z aksamitu. Koszula z jedwabiu. Na stopach miałem zamszowe buty z odwijanymi cholewami – podobne do tych, jakie nosili muszkieterowie Dumasa na ilustracjach Howarda Pyle'a. Z kolekcji Dory, bez wątpienia. Nieopodal pasła się Falada, a szara służąca Lei szczotkowała grzbiet konia.

Księżniczka i ja trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy na nasze odbicie w nieruchomej tafli wody. Miałem długie złociste włosy i gładką cerę bez trądziku. Byłem przystojny, a Lea, która odzyskała usta – piękna. Uśmiechała się lekko. W kącikach jej ust pojawiły się małe dołeczki, ale nie było tam rany. Wiedziałem, że jeśli sen potrwa jeszcze chwilę, pocałuję te czerwone usta. I nawet we śnie zdawałem sobie sprawę, co to jest: finałowa

scena disnejowskiej animacji. Lada moment do stawu wpadnie liść, który zmarszczy powierzchnię wody i sprawi, że nasze odbicia będą falować, gdy usta księcia i księżniczki się spotkają, a muzyka rozbrzmi ze zdwojoną siłą. Żaden mrok nie będzie mógł skazić tego idealnego baśniowego zakończenia.

Tylko jedno nie pasowało do tego obrazka. Na kolanach księżniczki Lei leżała fioletowa suszarka do włosów. Dobrze ją pamiętałem, choć miałem zaledwie siedem lat, gdy zmarła moja mama. Wszystkie jej rzeczy, które mogły się jeszcze komuś przydać, trafiły do sklepu charytatywnego, bo tata mówił, że za każdym razem, gdy widzi to, co nazywał „kobiecymi rzeczami", serce pęka mu na nowo. Nie miałem nic przeciwko temu, spytałem tylko, czy mogę zatrzymać poduszkę na igły i ręczne lusterko mamy. Ojciec też nie miał nic przeciwko temu i oba te przedmioty wciąż leżały na mojej komodzie w domu.

Mama nazywała swoją suszarkę Fioletowym Blasterem Śmierci.

Otworzyłem usta, by spytać Leę, dlaczego ma suszarkę mojej mamy, lecz nim mogłem to zrobić, jej służąca powiedziała:

– Pomóż jej.

– Nie wiem jak – odparłem.

Idealne nowe usta Lei rozciągnęły się w uśmiechu. Pogłaskała mnie po policzku.

– Jesteś szybszy, niż ci się wydaje, książę Charlie.

Chciałem jej wyjaśnić, że wcale nie jestem szybki i właśnie dlatego w drużynie futbolowej grałem w obronie, a w baseballowej na pierwszej bazie. Owszem, udało mi się zaliczyć przyłożenie w pucharowym meczu przeciwko Stanford, ale to był wyjątek, skutek nagłego skoku adrenaliny. Zanim jednak zdążyłem się odezwać, coś uderzyło mnie w twarz i wyrwało ze snu.

To był kolejny kawałek steku – mały, na dwa, trzy kęsy. Pursey człapał korytarzem, wrzucając mięso do cel i mówiąc:

– Eki, eki.

Co, jak przypuszczałem, miało oznaczać „resztki”.

Hamey chrapał, wyczerpany Zabawą i codziennymi zmaganiami z jelitami. Wziąłem do ręki swoją porcję, usiadłem prosto, opierając się plecami o ścianę, i wgryzłem się w mięso. Coś mi zachrzęściło pod przednimi zębami. Spojrzałem w dół i zobaczyłem kawałek papieru, niewiele większy od wróżby z chińskiego ciasteczka, wciśnięty w nadkrojone mięso. Wyjąłem go. Na papierze, wypisane eleganckim pochyłym pismem, ręką wykształconego człowieka, widniały następujące słowa:

*Pomogę Ci, jeśli będę mógł, mój książę. W sali obsługi jest tajne wyjście. Może być niebezpiecznie. Zniszcz to, jeśli cenisz moje życie.*
*Zawsze do usług,*
*PERCIVAL*

Percival, pomyślałem. Nie Pursey, tylko Percival. Nie szary niewolnik, tylko prawdziwy człowiek z prawdziwym imieniem.

Zjadłem papierek.

# 6

Następnego dnia dostaliśmy na śniadanie kiełbaski. Wszyscy wiedzieliśmy, co to oznacza. Hamey spojrzał na mnie ze smutnym uśmiechem.

– Przynajmniej przestanie mnie boleć brzuch. I koniec z zaparciami. Chcesz to?

Nie chciałem, ale wziąłem jego cztery kiełbaski w nadziei, że dodadzą mi energii. Ciążyły mi w brzuchu jak ołów. Z celi po drugiej stronie korytarza patrzył na mnie Cla. Nie, nie patrzył – pieprzył mnie spojrzeniem. Jota wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „No i co zrobisz?”. Odpowiedziałem mu tym samym. No właśnie: co?

Czekaliśmy. Nie mogliśmy w żaden sposób odmierzać czasu, ale i tak zwolnił. Fremmy i Stooks siedzieli obok siebie w swojej celi.

– Żeby tylko nie wystawili nas przeciwko sobie, stary druhu.

Pomyślałem, że prawdopodobnie tamci tak właśnie zrobią. Bo to było okrutne. W tej kwestii przynajmniej się myliłem.

Kiedy już zacząłem nabierać nadziei, że może to jednak nie dzisiaj, pojawiło się czterech nocnych żołnierzy dowodzonych przez Aarona. Zawsze był na boisku podczas Zabawy – wymachiwał rózgą niczym pałeczką dyrygencką – ale do Głębi zszedł tego dnia po raz pierwszy, odkąd wyprowadził mnie stąd, bym spotkał się z Lordem Wysokim. I oczywiście żebym zobaczył salę tortur.

Drzwi cel otworzyły się z głośnym skrzypieniem.

– Wychodzimy! Wychodzimy, dzieciaki! To będzie dobry dzień dla połowy z was i kiepski dla pozostałych!

Wyszliśmy z cel. Wszyscy prócz drobnego łysiejącego mężczyzny o imieniu Hatcha.

– Nie chcę – powiedział. – Źle się czuję.

Jeden z nocnych żołnierzy zbliżył się do niego, lecz Aaron oddalił go machnięciem ręki. Stanął w drzwiach celi, którą Hatcha dzielił ze znacznie większym facetem o imieniu Quilly, który pochodził z Deesk. Ten odsunął się szybko, ale światło Aarona i tak go dotknęło. Quilly krzyknął z bólu i złapał się za ramię.

– Jesteś Hatcha z miejsca, które nazywało się kiedyś Cytadelą, tak?

Hatcha skinął żałośnie głową.

– I źle się czujesz. Pewnie zaszkodziły ci kiełbaski, co?

– Może – odparł Hatcha, nie podnosząc wzroku znad drżących zaciśniętych dłoni. – Prawdopodobnie.

– Ale widzę, że zjadłeś wszystko prócz sznurków.

Więzień milczał.

– Posłuchaj mnie, dzieciaku. Masz do wyboru Selekcję albo Dziewicę. Osobiście zajmę się tobą podczas wizyty u tej damy, i będzie to długa wizyta. Będę to robił powoli, a ty będziesz czuł, jak kolce dotykają twoich powiek… najpierw bardzo delikatnie… zanim je przebiją. A twój brzuch… Nie tak miękki jak oczy, ale wystarczająco. To, co zostanie z tych kiełbasek, wyleje się z ciebie, kiedy ty będziesz wył z bólu. Jak ci się to podoba?

Hatcha jęknął i chwiejnym krokiem wyszedł z celi.

– Doskonale! Jesteśmy w komplecie! – zawołał Aaron. – I idziemy na igrzyska! Zasuwać, dzieciaki, żwawo! Czeka nas świetna zabawa!

Zasuwaliśmy.

Kiedy wspinaliśmy się na schody, które pokonywaliśmy już tyle razy – choć nigdy dotąd nie mieliśmy świadomości, że tylko połowa z nas wróci – myślałem o swoimi śnie. O słowach Lei: „Jesteś szybszy, niż ci się wydaje, książę Charlie”.

Nie czułem się szybki.

# 7

Nie zaprowadzono nas od razu na boisko, tylko do sali, z której korzystaliśmy po treningach. Tym razem był tu jednak także Lord Wysoki, olśniewający w pełnym umundurowaniu, które pod jego poświatą było ciemnogranatowe. Odniosłem wrażenie, że Kellin lśni wyjątkowo intensywnie. Zastanawiałem się, skąd pochodzi energia, która wytwarza to niebieskie światło, choć akurat tego dnia takie problemy były mało istotne.

Na półce, na której zawsze stało trzydzieści jeden wiader do mycia po Zabawie, teraz było tylko szesnaście, bo tylko szesnaścioro z nas miało tu powrócić. Przed półką stała kartonowa tablica z napisem PIERWSZA RUNDA SELEKCJI na górze. Poniżej widniał zestaw par. Pamiętam je doskonale; myślę, że w tak straszliwej sytuacji człowiek albo zapamiętuje wszystko… albo nie zapamiętuje niczego. Przepraszam, że dorzucę jeszcze więcej imion, ale muszę to zrobić, choćby dlatego, że moi współwięźniowie zasługują na to, by o nich pamiętano chociaż przez krótką chwilę.

– Tutaj macie grafik walk – powiedział Kellin. – Mam nadzieję, że wszyscy postaracie się stworzyć dobre widowisko dla Jego Wysokości Eldena. Zrozumiano?

Nikt nie odpowiedział.

– Możecie się znaleźć w parze z kimś, kogo uważacie za przyjaciela, ale przyjaźń nie ma teraz znaczenia. Każdy pojedynek musi się skończyć śmiercią jednego z zawodników – powiedział. – Śmiercią – powtórzył. –

Jeśli pokonacie przeciwnika, ale go nie zabijecie, tylko ściągniecie na siebie i na niego znacznie boleśniejszą śmierć. Czy to jasne?

Odpowiedział mu Cla.

– Tak. – Spojrzał na mnie i przeciągnął kciukiem w poprzek swojej masywnej szyi. I uśmiechnął się.

– Pierwsza grupa wkrótce wyjdzie na boisko. Przygotujcie się.

Wyszedł i pozostali nocni żołnierze ruszyli za nim. W milczeniu patrzyliśmy na tablicę.

PIERWSZA RUNDA SELEKCJI

Pierwsza seria
Fremmy i Murf
Jaya i Hamey
Ammit i Wale

Druga seria
Yanno i Freed
Jackah i Jota
Mesel i Sam

Trzecia seria
Tom i Bult
Dommy i Cammit
Bendo i Strzała

PRZERWA

Czwarta seria

Dublet i Evah
Stooks i Hatcha
Pag i Quilly

Piąta seria
Bernd i Gully
Hilt i Ocka
Eris i Viz

Szósta seria
Cla i Charlie

Widziałem podobne rozstawienie nie tylko w telewizji – podczas losowania zestawów drużyn uczestniczących w międzyuczelnianych rozgrywkach NCAA – ale też na żywo, gdy ogłaszano, jakie drużyny zmierzą się w turnieju imienia Babe'a Rutha, a plakat z taką informacją umieszczano na boisku każdego z zespołów biorących udział w tych zawodach. Samo to wydawało mi się dziwne, jednak najbardziej surrealistycznym elementem było jedno słowo umieszczone pośrodku tablicy: PRZERWA. Kat Skrzydlatych i jego świta obejrzą najpierw śmierć dziewięciorga więźniów… a potem zjedzą z apetytem lunch.

– A co by się stało, gdybyśmy wszyscy odmówili? – spytał Ammit. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego namysłu, o jaki nie podejrzewałbym faceta, który wyglądał tak, jakby zarabiał na życie podkuwaniem koni. I łamaniem karków tym, którzy mu się sprzeciwiali. – Tak tylko pytam.

Ocka, wielki facet, który zawsze mrużył oczy, bo był krótkowidzem, parsknął śmiechem.

– Masz na myśli strajk? Jak młynarze w czasach mojego ojca? Żeby pozbawić Kata Skrzydlatych zabawy? Wolę raczej przeżyć do jutra, niż umrzeć dziś w męczarniach.

Pomyślałem, że prawdopodobnie Ocka rzeczywiście dożyje jutra, bo czekała go walka z chudym, małym Hiltem, który miał chore biodro. Być może padnie w drugiej rundzie, ale jeśli dzisiaj wygra, będzie tu mógł wrócić, umyć się i zjeść kolację. Rozejrzałem się i zrozumiałem, że wielu innych kalkuluje w podobny sposób. Choć na pewno nie Hamey. Rzucił tylko okiem na tablicę, a potem przeszedł do ławki i usiadł na niej z opuszczoną głową. Nie mogłem znieść tego widoku, a bezsilna złość i smutek tylko potęgowały we mnie nienawiść do tych, którzy postawili nas w tej sytuacji.

Ponownie spojrzałem na tablicę. Wcześniej przypuszczałem, że Fremmy znajdzie się w parze ze Stooksem, a Jaya z Eris. Walka dziewczyn… czy mogło być coś zabawniejszego? Ale nie. Wyglądało na to, że przeciwników dobierano całkiem przypadkowo. Może ciągnięto losy z kapelusza. Z wyjątkiem ostatniej pary. Tylko nas dwóch na boisku, finał dnia.

Cla i Charlie.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

## Pierwsza runda. Ostatnia seria. Mój książę. „A jak myślisz?”

### 1

Jaya usiadła na ławce obok Hameya i wzięła go za rękę. Jego dłoń leżała bezwładnie na jej dłoni.

– Nie chcę tego – rzuciła.

– Wiem – odparł Hamey, nie podnosząc wzroku. – W porządku.

– Może mnie pokonasz. Nie jestem silna… no wiesz, jak Eris.

– Może.

Otworzyły się drzwi sali i do środka weszło dwóch nocnych żołnierzy. Wydawali się na tyle podekscytowani, na ile mogą być podekscytowane żywe trupy. Ich światła pulsowały miarowo, jakby wciąż biły w nich martwe serca.

– Pierwsza seria! Żwawo, żwawo! Nie każcie czekać Jego Wysokości, dzieciaki! Zasiadł już na swoim miejscu!

Przez chwilę nikt się nie ruszał, a ja byłem już gotów uwierzyć, że jednak dojdzie do strajku Ammita… dopóki nie pomyślałem, jakie byłyby jego konsekwencje dla strajkujących. Pierwsza szóstka spojrzała jeszcze raz

na listę – jakby chcieli się upewnić, czy jakimś cudem nie doszło do zmian w rozstawieniu – wstała i ruszyła do drzwi. Fremmy i Murf, Ammit i niski, pulchny facet o imieniu Wale, Jaya i Hamey. Jaya trzymała Hameya za rękę, gdy wychodzili, kuląc się, by nie dotknąć poświaty nocnego żołnierza.

Za czasów Gallienów ci, którzy zostali w szatni, usłyszeliby wiwaty na cześć zawodników wychodzących właśnie na boisko. Wytężyłem słuch i zdawało mi się, że wyłapuję nikłe oklaski, ale być może był to tylko wytwór mojej wyobraźni. I pewnie tak było. Bo widownia Stadionu Eldena (dawniej Stadionu Monarchów) była niemal całkiem pusta. Chłopiec, którego spotkałem po drodze, miał rację: Lilimar było nawiedzonym miastem, miejscem, gdzie pozostali tylko zmarli, żywe trupy i kilku wazeliniarzy.

I ani jednego motyla.

Pomyślałem, że gdyby nie nocni żołnierze, można by stąd uciec. Potem przypomniałem sobie, że powinienem wziąć jeszcze pod uwagę dwie olbrzymki… i Kata Skrzydlatych. Nie wiedziałem, czym był teraz, jakiej uległ przemianie, ale jedno wydawało się pewne: nie był już małym kulawym braciszkiem Lei, garbatym i parchatym.

Czas upływał. Nie byłem w stanie określić, jak szybko mijał. Kilkoro z nas wysikało się do rynny z wodą, ja również. Nic tak nie wzmaga ciśnienia na pęcherz jak strach przed śmiercią. W końcu otworzyły się drzwi i wszedł Ammit. Miał małe rozcięcie na wierzchu owłosionej lewej dłoni. Poza tym nic mu się nie stało.

Mesel podbiegł do niego, gdy tylko wycofała się trupia eskorta Ammita.

– Jak to wyglądało? Czy Wale naprawdę…?

Ammit pchnął go tak mocno, że Mesel poleciał do tyłu i runął na wyłożoną płytkami podłogę.

– Ja wróciłem, a on nie. To wszystko, co mam ci do powiedzenia, i wszystko, co powinieneś usłyszeć. Zostaw mnie w spokoju.

Przeszedł na sam koniec ławki, usiadł i ujął w dłonie pochyloną głowę. Widziałem taką pozycję wiele razy, gdy miotacz dał ciała i został ściągnięty z boiska. Tak zachowują się przegrani, a nie zwycięzcy. Ale oczywiście wszyscy mieliśmy zostać przegranymi – chyba że coś by się wydarzyło.

„Pomóż jej”. Przypomniałem sobie słowa szarej służącej Lei. A teraz miałem uratować ich wszystkich tylko dlatego, że moje włosy, choć pokryte kilkoma warstwami brudu, były jasne? Absurd! Cla wciąż pieprzył mnie wzrokiem. Zamierzał to pewnie robić do samego końca, do naszego pojedynku.

Pomyślałem, że kiedy nadejdzie ta chwila, nie zdołam uratować siebie.

Następny wrócił do sali Murf. Miał opuchnięte oko, a prawy rękaw jego koszuli był mokry od krwi. Kiedy Stooks go zobaczył, zrozumiał, że nie będzie miał już z kim wymieniać głupich żartów, wydał zdławiony okrzyk i zakrył oczy.

Czekaliśmy, wpatrzeni w drzwi. W końcu się otworzyły i do sali weszła Jaya. Była blada jak ściana, ale cała. Po jej policzkach spływały strumieniem łzy.

– Musiałam – powiedziała. Nie tylko do mnie, do nas wszystkich. – Musiałam, bo zabiliby nas oboje.

# 2

Wezwano na boisko uczestników z drugiej serii – Yanno miał walczyć z Doktorem Freedem, Jota z Jackah, Mesel z Samem. Kiedy zniknęli za drzwiami, usiadłem obok Jayi. Nie patrzyła na mnie, słowa wypłynęły z niej same, jakby nie mogła ich dłużej zatrzymać.

– On nie umiał walczyć… wiesz, jaki on jest… jaki był… ale zrobił z tego przedstawienie. Chyba dla mnie. Domagali się krwi, sam to usłyszysz, kiedy przyjdzie twoja kolej, krzyczeli do niego, żeby zabił sukę, krzyczeli do mnie, żebym zaszła go od tyłu i dźgnęła w kark…

– Są tam noże? – spytałem.

– Nie, włócznie z krótkimi drzewcami. I rękawice z kolcami na knykciach. Leżą na stole, na którym było picie, gdy trenowaliśmy. Chcą, żebyś był blisko nich, chcą widzieć jak najwięcej ciosów i dźgnięć, zanim ktoś padnie, ale ja wzięłam jeden z tych patyków… no wiesz… – Poruszyła ręką, jakby brała zamach.

– Kij do walki.

– Tak. Długo walczyliśmy. Fremmy nie żył, miał poderżnięte gardło, a Hamey omal nie poślizgnął się na jego krwi. Wale leżał na bieżni.

– Tak – wtrącił Ammit, nie podnosząc wzroku. – Głupek próbował uciekać.

– My byliśmy ostatni – ciągnęła Jaya. – W końcu Aaron powiedział, że jeszcze pięć minut i zginiemy oboje. Widział, że tak naprawdę nie próbujemy się nawzajem zabić. Hamey rzucił się na mnie z krzykiem, wymachując tą małą włócznią nad głową jak idiota, a ja uderzyłam go w brzuch końcem kija. Krzyknął i wypuścił włócznię z ręki.

Żołądek Hameya, pomyślałem. Jego wiecznie chory żołądek…

– Nie mogłam znieść tego dźwięku. Oni bili brawo, śmiali się i krzyczeli: „Dobre uderzenie”, „Lalunia go znokautowała”, a Hamey ciągle krzyczał. Podniosłam włócznię. Nigdy nikogo nie zabiłam, nie mogłam jednak znieść tego krzyku, więc… więc…

– Nie kończ – poprosiłem.

Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez.

– Musisz coś zrobić, Charlie. Jeśli jesteś tym księciem, którego nam obiecano, musisz coś zrobić.

Mógłbym jej powiedzieć, że pierwszym zadaniem księcia Charliego byłoby uniknięcie śmierci z rąk Cla, ale uznałem, że i bez tego jest jej bardzo źle, więc tylko ją uściskałem.

– On tam jest? Kat Skrzydlatych?

Wzdrygnęła się i skinęła głową.

– Jak wygląda? – Myślałem o tym miejscu honorowym, z poręczami rozchylonymi na boki, jakby miał tam zasiadać ktoś wyjątkowo gruby albo masywny.

– Okropnie… Okropnie… Ma zieloną twarz, jakby na coś chorował. Długie białe włosy, które opadają mu na ramiona spod korony. Oczy wielkie jak gotowane jaja. Jego twarz jest tak szeroka, że prawie nieludzka. Wargi grube i czerwone, jakby jadł truskawki. Więcej nie widziałam. Od szyi w dół jest cały zakryty wielkim fioletowym płaszczem, ale ten płaszcz się… porusza. Jakby trzymał pod nim jakieś zwierzę. Jest straszny. Potworny. I śmieje się… Inni klaskali, kiedy ja… kiedy Hamey umarł, a on tylko się śmiał. Ślina ciekła mu z ust po obu stronach, widziałam to w świetle lamp gazowych. Obok niego była kobieta, wysoka i piękna, z małym pieprzykiem obok ust…

Skinąłem głową.

– Petra – powiedziałem. – Jakiś mężczyzna złapał ją za cycek i pocałował w kark, kiedy powaliłem Ammita.

– Ona… ona… – Jaya ponownie się wzdrygnęła. – Pocałowała go tam, gdzie spływała ślina. Zlizała ją z jego zielonej twarzy.

Wszedł Jota, eskortowany przez nocnego żołnierza. Zobaczył mnie i skinął głową. A więc Jackah nie żył.

# 3

Gdy drzwi się zamknęły, podszedłem do Joty. Wydawał się nietknięty.

– Ta suka tam jest – powiedział. – Ruda Molly. Ogląda wszystko z bieżni, spod loży, w której siedzą ważniaki. Tak naprawdę ma pomarańczowe, a nie rude włosy. Pomarańczowe jak marchewka. Stoją jej na głowie jak pióra. Ma jakieś pięć metrów, od stóp do czubka głowy. Nosi skórzaną spódnicę. Cyce jak głazy. Każdy waży pewnie tyle co pięcioletni dzieciak. Trzyma nóż w pochwie na biodrze, prawie tak długi jak włócznie, które dają nam do walki. Ogląda nas, bo chce chyba wiedzieć, jak walczą zwycięzcy… no wiecie, na później.

Ta uwaga przywiodła mi na myśl trenera Harknessa i treningi w czwartki, przed piątkowymi meczami. Kończyliśmy wtedy dwadzieścia minut wcześniej i siadaliśmy w szatni, nie tak eleganckiej jak ta sala, ale podobnej. Trener włączał telewizję i oglądaliśmy przeciwników – ich zagrania i sztuczki. Szczególnie uważnie obserwowaliśmy rozgrywającego. Trener pokazywał nam go dwadzieścia albo trzydzieści razy na zbliżeniach – każdy zwód, każdą kiwkę, każdy rzut. Kiedyś powiedziałem

o tym wujowi Bobowi, a on roześmiał się i skinął głową. „Wasz trener ma rację, Charlie – powiedział. – Odetnij głowę przeciwnika, a ciało umrze”.

– Wkurza mnie, jak ona się tak ciągle gapi – mówił dalej Jo. – Myślałem, że to oleje, bo będzie pewna wygranej, a wtedy ja mógłbym ją jakoś zaskoczyć i zadźgać albo rozwalić jej łeb. A tak będzie mogła cztery razy zobaczyć, jak to robię, za to ja nie zobaczę jej w akcji ani razu.

Najwyraźniej zakładał, że do tego czasu ja, obiecany książę czy nie, będę już gryzł ziemię, ale nie skomentowałem tego.

– Cla uważa, że to on będzie walczył z Rudą Molly – przypomniałem mu.

Jo roześmiał się głośno, jakby zapomniał, że przed chwilą zabił jednego ze swoich wieloletnich kumpli z Maleen.

– Tak, na koniec zostaniemy tylko ja i Cla, to jasne… Polubiłem cię, Charlie, ale coś mi się nie wydaje, żebyś mógł mu zrobić krzywdę… chociaż znam jego słabość.

– Czyli?

– Zaskoczył mnie wtedy, walnął mnie w gardło tak mocno, że chyba tylko cudem jeszcze mogę mówić, ale czegoś się nauczyłem. – To wcale nie było odpowiedzią na moje pytanie.

Jako następny wrócił Mesel, więc Sam już nie żył. Kilka minut później drzwi otworzyły się ponownie i ku mojemu zdumieniu do sali wszedł Doktor Freed, choć nie do końca o własnych siłach. Był z nim Pursey, trzymał go pod pachę i pomagał mu iść. Prawe udo Doktora owinięto prowizorycznym bandażem, który zdążył już przesiąknąć krwią, a twarz była wręcz groteskowo poobijana, ale on żył, a Yanno nie.

Siedziałem z Dubletem i Eris.

– Nie będzie w stanie walczyć – oceniłem. – Chyba że druga runda odbędzie się za sześć miesięcy, ale i to może mu nie wystarczyć.

– Nie będzie miał sześciu miesięcy – odpowiedziała Eris. – Ani nawet sześciu dni. I będzie walczył albo umrze.

Z pewnością nie były to szkolne rozgrywki futbolowe.

# 4

Bult i Bendo wyszli zwycięsko z trzeciej serii. Podobnie jak Cammit. Kiedy wrócił do szatni, miał co najmniej kilka głębokich ran ciętych, mówił, że na samym początku walki był pewien, że już po nim. Ale wtedy jego biednego przeciwnika dopadł ten paskudny atak kaszlu, na tyle gwałtowny, że Dommy musiał zgiął się wpół. Cammit wykorzystał okazję i wbił krótką włócznię w jego kark.

Doktor leżał na podłodze i albo spał – mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę jego obrażenia – albo stracił przytomność. Podczas gdy pozostali czekali, aż trzecia seria dobiegnie końca, Cla wciąż wpatrywał się we mnie, szczerząc zęby w uśmiechu. Udało mi się uwolnić od niego tylko na chwilę, gdy podszedłem do wiadra, by opłukać twarz. Lecz kiedy wróciłem, znów mnie dopadł i pieprzył wzrokiem.

„Znam jego słabość… – powiedział Jota – zaskoczył mnie, ale czegoś się nauczyłem”.

Czego się nauczył?

Odtworzyłem w myślach (jeśli tak to można nazwać) walkę, która miała miejsce w celi Jo; niesamowita szybkość, z jaką Cla uderzył go w szyję, opadające wiadro, Cla odwracający się w jego stronę, Yanno – teraz już martwy – mówiący „Jeśli go zabiłeś, słono za to zapłacisz”. Jo zbierający

się z podłogi i przechodzący do pryczy, Cla pochylający się w tym czasie po wiadro. Być może myślał wtedy, że rozwali Jo łeb, jeśli ten tylko go tknie.

Jeżeli kryła się w tym jakaś cenna wskazówka, to ja jej nie widziałem.

Po zakończeniu trzeciej serii przyszedł do nas Pursey z wózkiem. Towarzyszył mu Aaron. Po sali rozszedł się zapach pieczonego kurczaka, który w innych okolicznościach uznałbym za kuszący, lecz nie w sytuacji, gdy miał to być mój ostatni posiłek.

– Jedzcie, jedzcie, dzieciaki! – zawołał Aaron. – Nie możecie powiedzieć, że źle was karmimy!

Większość zwycięzców skwapliwie sięgnęła po mięso. Tym, którzy jeszcze nie walczyli, apetyt nie dopisywał… z jednym wyjątkiem. Cla zabrał pół kurczaka z wózka Purseya i wbił w niego zęby, ani na moment nie odrywając ode mnie wzroku.

*Cios.*

*Jota na podłodze celi.*

*Wiadro opadające na podłogę.*

*Jota wlecze się do pryczy, trzymając się za szyję.*

*Cla szuka wiadra, podnosi je.*

Czy było w tym coś, co widział Jota, a ja wciąż nie mogłem zobaczyć?

Wózek dotarł do mnie. Aaron obserwował Purseya, więc ten tym razem nie obdarzył mnie szczególną uwagą. W tym momencie Doktor Freed jęknął, przetoczył się na bok i zwymiotował na podłogę. Aaron się odwrócił i wskazał na Cammita i Benda siedzących obok siebie na pobliskiej ławce.

– Ty i ty! Posprzątać to!

Wykorzystałem to małe zamieszanie, by podnieść rękę. Przykładając kciuk do palca wskazującego, wykonałem ruch, który miał oznaczać

pisanie. Pursey ledwie zauważalnie wzruszył ramionami, może dlatego, że rozumiał, a może dawał mi do zrozumienia, bym przestał, nim zobaczy to Aaron. Kiedy nocny żołnierz ponownie się odwrócił, wybierałem kurczaka z wózka, myśląc o tym, że zrozumienie ze strony Purseya czy też jego brak nie będą miały znaczenia, jeśli Cla zabije mnie w finałowym pojedynku dnia.

– Ostatni posiłek, dzieciaku – powiedział do mnie ten osiłek. – Smacznego.

Próbuje mnie zdołować, przemknęło mi przez głowę.

Oczywiście wiedziałem to już wcześniej, ale nazwanie rzeczy po imieniu pozwoliło mi to skonkretyzować, skupić się na tym. Słowa mają taką moc. Te słowa coś we mnie otworzyły. Jakąś wyrwę. Może nawet studnię. Była to ta sama rzecz, która otwierała się we mnie podczas paskudnych wygłupów z Bertiem Birdem i podczas spotkań z Christopherem Polleyem i Peterkinem. Jeśli byłem księciem, to z pewnością nie tym z filmów, w których na koniec mydłkowaty piękny książę obejmuje równie mydłkowatą piękną księżniczkę. W moich zlepionych brudem blond włosach nie było nic pięknego. I nic pięknego nie mogło się również zdarzyć podczas mojej walki z Cla. Być może będzie krótka, ale na pewno nie piękna.

Nie chcę być disnejowskim księciem, pomyślałem. Do diabła z tym. Jeśli już muszę być księciem, to raczej mrocznym.

– Przestań się na mnie gapić, kutafonie – powiedziałem.

Uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca wyrazowi zdumienia i konsternacji. Zrozumiałem, skąd wzięła się ta reakcja, nim jeszcze rzuciłem w niego swoim kawałkiem kurczaka. Stało się tak dlatego, że słowo „kutafon” wypłynęło z tej studni, wypłynęło w angielskim brzmieniu, a on go nie zrozumiał. Chybiłem o kilometr – pałka z kurczaka

odbiła się z brzękiem od jednego z wiader i spadła na podłogę – ale zaskoczony Cla drgnął i obejrzał się. Gdy Eris parsknęła śmiechem, odwrócił się do niej, chwycił ją i podniósł gwałtownie. Jego uśmiech zamienił się teraz w grymas wściekłości.

– Nie, nie, nie! – krzyknął Aaron. – Zachowaj to na później, dzieciaku, albo tak cię porażę, że nie będziesz w stanie wyjść na zewnątrz i Charlie wygra walkowerem. Katowi Skrzydlatych na pewno się to nie spodoba, ale dopilnuję, żeby tobie nie spodobało się jeszcze bardziej!

Sfrustrowany i wściekły Cla usiadł na ławce, gromiąc mnie spojrzeniem. Tym razem to ja wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. To uczucie było mroczne i przyjemne. Wskazałem na niego palcem.

– Wydymam cię, kochanie.

Śmiałe słowa. Wiedziałem, że mogę ich pożałować, wypowiedziałem je jednak z niekłamaną przyjemnością.

# 5

Jakiś czas po „przerwie” wywołano czwartą serię. Znów czekaliśmy w napięciu, aż zaczną wracać jeden po drugim: najpierw Dublet, potem Stooks, na końcu Quilly. Stooks krwawił z policzka rozciętego tak głęboko, że widziałem jego zęby, ale szedł o własnych siłach. Jaya podała mu ręcznik, by choć trochę zatamował krwawienie. Gdy siedział na ławce obok wiader, biały ręcznik przy jego twarzy szybko nasycał się czerwienią. Freed zajął miejsce w kącie, oparty o ścianę. Stooks spytał, czy Doktor może coś zrobić z jego rozciętą twarzą. Ten nawet nie podniósł wzroku, pokręcił

tylko głową. Sama myśl, że ci pokiereszowani ludzie mają wkrótce ponownie stanąć do walki, wydawała się obłąkana – i więcej niż sadystyczna – ale nie miałem wątpliwości, że tak właśnie będzie. Murf zabił już połowę duetu komików; jeśli w następnej rundzie wylosuje Stooksa, wykończy go bez trudu, nawet z niesprawnym ramieniem.

Cla wciąż patrzył w moją stronę, ale uśmiech zniknął z jego twarzy. Przypuszczałem, że nie myślał już o mnie jako o łatwej zdobyczy, co oznaczało, że nie mogę liczyć na jego niefrasobliwość.

Będzie się poruszał bardzo szybko, uznałem. Tak jak wtedy, gdy zaatakował Jo. W moim śnie Lea powiedziała: „Jesteś szybszy, niż ci się wydaje, książę Charlie…”. Tyle że wcale nie byłem. Chyba że udałoby mi się przejść w jakiś specjalny superszybki tryb, napędzany czystą nienawiścią.

Na stadion wyszła piąta grupa: Bernd i Gully, mały Hilt i duży Ocka, Eris i niski, ale muskularny facet o imieniu Viz. Nim Eris opuściła salę, Jaya uściskała ją mocno.

– Nie, nie, bez takich! – powiedział jeden ze strażników tym nieprzyjemnym brzęczącym głosem. – Żwawo, żwawo!

Eris wyszła jako ostatnia, ale wróciła jako pierwsza, krwawiąc z jednego ucha, poza tym jednak była nietknięta. Jaya podbiegła do niej i teraz nikt nie zabraniał jej przytulać przyjaciółki. Zostaliśmy sami. Wkrótce pojawił się Ocka. Potem przez długi czas nikt nie wracał. W końcu jakiś szary człowiek – nie Pursey – przyniósł Gully’ego i ułożył go na podłodze. Gully był nieprzytomny, ledwie oddychał. Wydawało się, że część jego czaszki, nad skronią, jest wklęśnięta.

– Chciałbym go wylosować w następnej rundzie – powiedział Bult.

– A ja mam nadzieję, że wylosujesz mnie – warknął Ammit. – Zamknij się.

Znów czekaliśmy. Gully poruszył się, ale nie oprzytomniał. Poszedłem się wysikać. Chciało mi się, ale nie mogłem. Usiadłem z powrotem na ławce, trzymając złożone dłonie między kolanami, jak zawsze podczas meczów baseballowych czy futbolowych, nim odegrano hymn. Nie patrzyłem na Cla, ale czułem, że on patrzy na mnie, jakby jego spojrzenie miało ciężar.

Otworzyły się drzwi. Po obu stronach wejścia stanęli nocni żołnierze. Aaron i Lord Wysoki przeszli między nimi.

– Ostatni pojedynek dnia – rzucił Aaron. – Cla i Charlie. Chodźcie, dzieciaki, żwawo.

Cla natychmiast podniósł się z ławki; przechodząc obok mnie, odwrócił głowę i obdarzył mnie ostatnim bezczelnym uśmiechem. Ruszyłem za nim. Jota, patrząc na mnie, podniósł rękę i oddał dziwny salut – nie przykładał dłoni do czoła, lecz do boku głowy.

Znam jego słabość.

Kiedy mijałem Kellina, ten spojrzał na mnie i powiedział:

– Cieszę się, że w końcu się ciebie pozbędę, Charlie. Gdybym nie potrzebował trzydzieściorga dwojga, już dawno bym to zrobił.

Na czele szli dwaj nocni żołnierze, a za nimi Cla, lekko pochylając głowę, wymachując rękami i zaciskając dłonie w pięści. Potem szedłem ja, a za mną Lord Wysoki i jego zastępca Aaron. Serce biło mi powoli i mocno.

„…zaskoczył mnie, ale czegoś się nauczyłem”.

Szliśmy w górę korytarza, w stronę szeregów rozpalonych lamp gazowych okalających stadion. Minęliśmy pozostałe szatnie. Minęliśmy salę ze sprzętem.

*Cios, Jota pada na podłogę, wiadro uderza w podłogę, Jota wlecze się do pryczy, Cla odwraca się i szuka wiadra.*

Minęliśmy salę z napisem OBSŁUGA, w której kryło się tajne przejście, przynajmniej według Purseya.

*Rzucam kawałkiem kurczaka. Pałka uderza w wiadro. Cla odwraca się w tamtą stronę*.

Wtedy zacząłem rozumieć i przyspieszyłem nieco, gdy wyszliśmy z korytarza na bieżnię otaczającą boisko. Nie zrównałem się z Cla, ale byłem już bardzo blisko. Nie spojrzał na mnie. Patrzył na środek boiska, gdzie ułożono w szeregu różne rodzaje broni. Kółka gimnastyczne i inne przyrządy zniknęły. Na stole, na którym wcześniej ustawiano filiżanki z napojem, teraz leżały dwie skórzane rękawice z kolcami na knykciach. W jednym koszu leżały kije do walki, a w drugim dwie krótkie włócznie.

Jota nie odpowiedział na moje pytanie o słabość Cla, gdy je zadałem, ale może zrobił to, kiedy wychodziłem. Może ten dziwny salut nie był wcale salutem. Może to była wiadomość.

Gdy zbliżaliśmy się do loży VIP-ów, rozległy się oklaski, ale ledwie je słyszałem. Początkowo nie zwracałem też uwagi na widzów, nawet na Eldena, Kata Skrzydlatych. Skupiałem się na Cla, który kilka dni temu odwrócił się, by znaleźć wzrokiem wiadro padające na podłogę w celi, a dziś musiał się odwrócić, by zobaczyć, w co uderzył rzucony przeze mnie kawałek kurczaka. Na Cla, który teraz nie zauważył, że prawie się z nim zrównałem. Dlaczego?

Znam jego słabość, powiedział Jota i przypuszczałem, że teraz również ja ją znam. Jo wcale nie salutował – jego gest miał mi się skojarzyć z klapkami na oczy, jakie noszą czasami konie.

Cla miał bardzo ograniczone widzenie peryferyjne albo nie miał go wcale.

# 6

Zaprowadzono nas – nie, „zagoniono” – na bieżnię przed lożą królewską. Stanąłem obok Cla, który nie obrócił oczu, lecz całą głowę, by na mnie spojrzeć. Kellin natychmiast uderzył go elektrorózgą w kark, zostawiając tam krwawą pręgę.

– Nie gap się teraz na tego fałszywego księcia, ty wielgachny idioto. Skup się na prawdziwym królu.

Wiedział więc, w co wierzą pozostali więźniowie. Czy byłem tym zaskoczony? Niespecjalnie. Brud tylko do czasu mógł skrywać kolor włosów, a moje oczy nie były już orzechowe; były szare i przechodziły w błękit. Gdyby Elden nie domagał się jak najszybszego skompletowania grupy zawodników, zabito by mnie już kilka tygodni temu.

– Na kolana! – krzyknął Aaron paskudnym brzęczącym głosem. – Na kolana, ludzie starej krwi! Klękajcie przed nową krwią! Klękajcie przed swoim królem!

Petra – wysoka, ciemnowłosa, z pieprzykiem przy ustach, ubrana w zieloną suknię, z cerą białą jak twaróg – krzyknęła:

– Na kolana, stara krwi! Na kolana, stara krwi!

Pozostali – nie mogło ich być więcej niż sześćdziesięcioro, góra siedemdziesięcioro – podjęli ten okrzyk.

– Na kolana, stara krwi! Na kolana, stara krwi! Na kolana, stara krwi!

Czy to samo spotkało poprzednich zawodników? Przypuszczałem, że nie. Tylko nam zgotowano takie powitanie, ponieważ byliśmy ostatnią parą dnia, gwoździem programu. Uklękliśmy, bo żaden z nas nie chciał zostać wychłostany elektrorózgą albo, co gorsza, porażony niebieskim światłem.

Kat Skrzydlatych wyglądał jak człowiek, który stoi jedną nogą w grobie – „Jedną nogą w grobie, a drugą na skórce od banana”, powiedziałby mój wujek Bob. To była pierwsza myśl, która przemknęła mi przez głowę, gdy zobaczyłem Eldena. Druga, która deptała jej po piętach, była taka, że to wcale nie człowiek. Może kiedyś nim był, ale już nie. Miał skórę koloru niedojrzałej gruszki D’Anjou. Jego oczy – błękitne, wielkie, wilgotne, wielkości mojej dłoni – patrzyły na świat z płytkich oczodołów otoczonych pomarszczoną, obwisłą skórą. Czerwone, jakby kobiece usta były tak wydatne i niesprężyste, że zwisały niczym dwa plastry mięsa. Na rzadkich białych włosach spoczywała korona, nieco przekrzywiona, jakby w wyrazie upiornej wesołości. Fioletowy płaszcz z misternymi wzorami wyszytymi złotą nicią wyglądał jak olbrzymi kaftan, który zakrywał go od rozdętej szyi po samą ziemię. I tak, poruszał się. „Jakby trzymał pod nim jakieś zwierzę”, powiedziała Jaya. Tyle że tkanina płaszcza podnosiła się i opadała w kilku miejscach jednocześnie.

Po lewej na bieżni stała Ruda Molly w krótkiej skórzanej spódniczce przypominającej kilt. Miała olbrzymie, muskularne uda. Na prawym biodrze wisiał nóż schowany w pochwie. Rude włosy sterczały na wszystkie strony, zlepione w krótkie kolce, co przypominało trochę punkową fryzurę. Spódnicę podtrzymywały szerokie szelki, które częściowo zakrywały nagie piersi. Zobaczyła, że na nią patrzę, i ułożyła usta jak do pocałunku.

Kat Skrzydlatych przemówił zdławionym głosem, który w niczym nie przypominał owadziego brzęczenia nocnych żołnierzy. Brzmiało to tak, jakby mówił przez gardło wypełnione lepką cieczą. Nie, żaden z naszych poprzedników nie przechodził przez coś podobnego: powiedzieliby nam o tym. Groza, jaką budził ten nieludzki głos, była czymś, o czym nie da się zapomnieć.

– Kto jest królem Szarego Świata, dawnego Empis?

Ludzie zgromadzeni w loży oraz pozostali widzowie odpowiedzieli zgodnym chórem, krzycząc:

– Elden!

Kat Skrzydlatych patrzył na nas wielkimi wyłupiastymi oczami. Elektrorózgi opadły ze świstem na nasze karki, mój i Cla.

– Powiedzcie to – zabrzęczał Kellin.

– Elden! – odpowiedzieliśmy obaj.

– Kto zgładził monarchów ziemi i monarchy powietrza?

– Elden! – krzyknęła Petra, najgłośniej ze wszystkich. Jej dłoń pieściła jeden z obwisłych zielonych policzków Eldena. Fioletowa szata podnosiła się i opadała, opadała i podnosiła się, w kilku różnych miejscach.

– Elden! – powtórzyliśmy ja i Cla, bo żaden z nas nie chciał znów oberwać rózgą.

– Pojedynek czas zacząć!

Wyglądało na to, że to wezwanie nie wymaga żadnej odpowiedzi prócz oklasków i wiwatów.

Kellin stał między nami, niemal dotykając nas swoją niebieską poświatą.

– Wstańcie i odwróćcie się twarzami do boiska – polecił.

Zrobiliśmy to. Kątem oka widziałem Cla, po mojej prawej ręce. Odwrócił na moment głowę, by na mnie zerknąć, a potem ponownie spojrzał do przodu. Jakieś siedemdziesiąt metrów dalej, dokładnie na wprost, leżała broń, którą mogliśmy wykorzystać podczas walki. Ułożono ją w równych, starannie odmierzonych odstępach, co sprawiało surrealistyczne wręcz wrażenie, jakby były to nagrody w jakimś morderczym teleturnieju.

Od razu zrozumiałem, że ktoś (może sam Kat Skrzydlatych, ale stawiałbym raczej na Lorda Wysokiego) ustawił grę pod Cla, może nawet otwarcie zmienił reguły na jego korzyść. Wiklinowy kosz z włóczniami, które były tu najskuteczniejszą bronią, stał po prawej, czyli po stronie Cla. Dwadzieścia metrów na lewo od włóczni znajdował się stół, na którym leżały skórzane rękawice nabijane kolcami. Kolejnych dwadzieścia metrów dalej, mniej więcej naprzeciwko mnie, stał kosz z kijami, którymi można było kogoś skutecznie obić, ale trudniej zabić. Nikt nam nie powiedział, co mamy robić – i nie musiał. Wydawało się oczywiste, że musimy dobiec do broni, a jeśli chciałem zdobyć włócznię zamiast rękawicy czy kija, musiałem wyprzedzić Cla i przebiec przed nim.

„Jesteś szybszy, niż ci się wydaje”, powiedziała Lea, tyle że działo się to we śnie, a mnie czekała walka w realnym życiu.

Zastanawiacie się może, czy się bałem. Owszem, ale czerpałem też z tej mrocznej studni, którą odkryłem w sobie jako dziecko, gdy wydawało się, że ojciec chce uczcić pamięć swojej żony, mojej matki, niszcząc nasze życie i pozbawiając nas domu. Nienawidziłem go przez jakiś czas i nienawidziłem siebie za tę nienawiść. Stąd brało się złe zachowanie. Teraz nienawidziłem kogoś innego i nie miałem powodów, by się tego wstydzić. Więc tak, bałem się. Byłem przerażony. Ale jakaś cząstka mnie z ochotą przystępowała do walki.

Cząstka mnie tego chciała.

Kat Skrzydlatych zawołał swoim nieludzkim bulgoczącym głosem, którego również nienawidziłem:

– START!

# 7

Biegliśmy. Cla poruszał się z niesamowitą prędkością, gdy zaatakował Jo, ale to był jedynie krótki zryw w zamkniętej przestrzeni. Od broni dzieliło nas siedemdziesiąt metrów. Mój przeciwnik musiał przenieść przez tę odległość górę mięśni, ważył z pewnością co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów, przypuszczałem więc, że gdybym naprawdę się przyłożył, dogoniłbym go w połowie drogi. Lea ze snu miała rację – byłem szybszy, niż mi się wydawało. Ale po tym, jak przegoniłbym Cla, biegłbym przed nim i znalazłbym się w jego ograniczonym polu widzenia. Co bardziej niebezpieczne, byłbym wtedy odwrócony do niego plecami.

Skręciłem więc w lewo, zostawiając mu wolną drogę do włóczni. Nawet nie spojrzałem na rękawice z kolcami, bo choć mogły być śmiertelnie niebezpieczne, to żeby je wykorzystać, musiałbym zbliżyć się do Cla na odległość pchnięcia włócznią, a widziałem, jaki jest szybki, gdy przeciwnik znajduje się w zasięgu jego uderzenia. Pobiegłem do kijów. Podczas Zabaw nauczyłem się nimi całkiem sprawnie posługiwać.

Pochwyciłem najbliższy, odwróciłem się i zobaczyłem, że Cla już na mnie szarżuje, trzymając włócznię na wysokości biodra. Uniósł nieco grot, chcąc rozpłatać mnie od jąder po brzuch i szybko zakończyć walkę. Cofnąłem się i uderzyłem go kijem w ręce, licząc, że wypuści włócznię. Krzyknął z bólu i złości, ale utrzymał broń. Publiczność nagrodziła mnie brawami, a jakaś kobieta, niemal na pewno Petra, krzyknęła:

– Utnij mu kuśkę i przynieś do mnie!

Cla ponownie zaatakował, tym razem podnosząc włócznię wysoko nad ramieniem. Nie było w tym za grosz finezji; przypominał mi Mike’a Tysona z walk sprzed wielu lat, które oglądałem z tatą i Andym Chenem na

archiwalnych nagraniach – ot, typowy zabijaka, któremu udawało się powalić przeciwników brutalnym frontalnym atakiem. Dotąd ta strategia zawsze była skuteczna, Cla zakładał więc, że sprawdzi się również w pojedynku z dużo młodszym i mniejszym przeciwnikiem. Miał nade mną przewagę wagi i zasięgu rąk.

Według Lei ze snu byłem szybszy, niż mi się wydawało. Z pewnością byłem szybszy, niż wydawało się mojemu przeciwnikowi. Odsunąłem się na bok, niczym torreador przed szarżującym bykiem, i uderzyłem Cla kijem w przedramię, tuż pod łokciem. Włócznia wypadła mu z ręki i wylądowała na trawie. Publiczność wydała z siebie głośne „Aaachhh…". Petra wrzasnęła z irytacją.

Cla pochylił się, by podnieść broń. Trzymając kij obiema rękami, uderzyłem go od góry w potylicę i włożyłem w ten ruch wszystkie siły. Kij pękł na pół. Z głowy Cla trysnęła krew i zaczęła spływać mu strumieniami na policzki i szyję. Taki cios powaliłby każdego innego mężczyznę – łącznie z Jo i Ammitem – ale Cla tylko potrząsnął głową, podniósł włócznię i odwrócił się do mnie. Już się nie uśmiechał. Jego twarz i przekrwione oczy wypełniała wściekłość.

– Podejdź bliżej, sukinsynu!

– Pieprz się. Pokaż, co potrafisz. Jesteś równie powolny jak brzydki.

Podniosłem to, co zostało z mojego kija. Koniec skierowany ku przeciwnikowi jeżył się teraz długimi ostrymi drzazgami. To było twarde drewno, więc gdybym dźgnął tym Cla w brzuch, nie złamałoby się. Drzazgi rozszarpałyby mu jelita i dobrze o tym wiedział. Zamarkowałem pchnięcie, a kiedy się cofnął, przesunąłem się na jego prawą stronę. Musiał odwrócić głowę, by utrzymać mnie w polu widzenia. Rzucił się na mnie i właśnie wtedy wbiłem zakończony drzazgami koniec kija w jego przedramię, tak że oderwał się z niego kawałek ciała i wypłynął kolejny strumień krwi.

– Wykończ go! – wrzasnęła Petra. Rozpoznawałem już jej głos i nienawidziłem go. Nienawidziłem jej, nienawidziłem ich wszystkich. – Wykończ go, ty wielki, brzydki osiłku!

Cla znów rzucił się do ataku. Tym razem przesunąłem się w lewo i do tyłu, za stół, na którym leżały rękawice. Mój przeciwnik nie zwalniał ani na moment. Oddychał szybko i chrapliwie. Gdy rzuciłem się na bok, grot jego włóczni niemal musnął mnie w szyję. Cla uderzył w stół, przewrócił go i wylądował na nim, odłamując jedną z drewnianych nóg. Wciąż trzymał włócznię, lecz to mi nie przeszkadzało. Przesunąłem się na bok, wskoczyłem mu na plecy i zacisnąłem uda na jego brzuchu, gdy się podnosił. Chwyciłem resztkę kija na obu końcach, przełożyłem go nad głową przeciwnika i trzymając przed jego szyją, zacząłem przyciągnąć kij do siebie, gdy Cla wstawał. Próbował sięgnąć do tyłu i zrzucić mnie z siebie, okładał mnie po ramionach wielkimi pięściami.

To, co nastąpiło potem, wyglądało jak jakaś szalona jazda na barana. Obejmowałem go mocno nogami w pasie, złamany kij wrzynał się w jego gardło. Czułem, jak Cla próbuje przełykać ślinę. Wydawał z siebie bulgoczące, chrapliwe dźwięki. W końcu, gdy zrozumiał, że za chwilę straci przytomność i czeka go niechybna śmierć, rzucił się na ziemię plecami, których byłem uczepiony.

Spodziewałem się tego – nie miał innego wyjścia – mimo to na moment straciłem dech w piersiach. Sto pięćdziesiąt kilogramów może wywołać taki efekt. Obracał się z boku na bok, próbując rozluźnić mój uchwyt i wyrwać się z niego. Nie odpuszczałem, nawet gdy przed oczami zaczęły mi latać czarne plamy, a krzyki i oklaski publiczności jakby coraz bardziej się oddalały. Jedynym dźwiękiem, który wciąż do mnie docierał i wbijał się w mój mózg niczym igła, był głos faworyty Kata Skrzydlatych:

– Wstawaj! Zrzuć go z siebie, ty wielki bydlaku! WSTAWAJ!

Mogłem umrzeć pod tym wielkim bydlakiem, zgnieciony na miazgę, ale na pewno nie dałbym się strącić. Robiłem mnóstwo pompek w celi i podciągałem się na kółkach. Teraz wykorzystywałem swoje mięśnie najlepiej, jak potrafiłem, nawet gdy powoli zaczęła mnie opuszczać świadomość. Ciągnąłem… ciągnąłem… aż w końcu Cla zaczął się ruszać coraz wolniej i słabiej. Ostatkiem sił zepchnąłem go z siebie. Ruszyłem na czworakach przez trawę i łapczywie chwytałem wielkie hausty powietrza. Miałem wrażenie, że nie mogę go wciągnąć wystarczająco dużo albo że nie dociera do dna moich zmaltretowanych płuc. Spróbowałem wstać, lecz mi się nie udało, szedłem więc dalej na czworakach, dysząc i kaszląc, pewien, że ten pieprzony Cla, pierdolony Cla, już podnosi się z ziemi i lada moment poczuję, jak ostrze włóczni wbija się między moje łopatki.

Przy drugiej próbie udało mi się stanąć na nogach; zatoczyłem chwiejnym krokiem półkole i spojrzałem na przeciwnika. On również szedł na czworakach… a właściwie tylko próbował. Większość jego twarzy zakrywała krew z rany na głowie. Niewielka niezakrwawiona część była sina z braku powietrza.

– Wykończ go! – wrzasnęła Petra. Przez jej biały makijaż przebijały czerwone plamy. Najwyraźniej zaczęła mi kibicować, choć wcale nie potrzebowałem wsparcia. – Wykończ! Wykończ!

Pozostali podjęli jej krzyk.

– WYKOŃCZ! WYKOŃCZ! WYKOŃCZ!

Cla obrócił się na plecy i spojrzał na mnie. Jeśli oczekiwał litości, to nie mogłem mu jej okazać.

– WYKOŃCZ! WYKOŃCZ! WYKOŃCZ!

Podniosłem jego włócznię…

Przesunął w górę rękę i nasadą dłoni dotknął czoła.

– Mój książę.

…i opuściłem ją.

Chciałbym wam powiedzieć, że na koniec do głosu doszła lepsza część mojej natury. Że czułem żal. Ale to nie byłaby prawda. Myślę, że w każdym kryje się mroczna studnia, która nigdy nie wysycha. Pijemy z niej jednak na własne ryzyko. Bo woda z tej studni to trucizna.

# 8

Kazano mi uklęknąć przed Eldenem, jego suką i innymi ważnymi członkami świty Kata Skrzydlatych.

– Dobra walka, dobra walka – powtarzał Elden, ale jakby z roztargnieniem. Z obu kącików jego obwisłych ust spływała ślina. Jakiś gęsty płyn… nie łzy… ciekł z kącików wielkich oczu. – Tragarze! Chcę moich tragarzy! Jestem zmęczony i muszę odpocząć przed kolacją!

Czterech szarych mężczyzn – zdeformowanych, ale krzepkich – zbiegło pospiesznie w dół jednej z wąskich alejek; nieśli lektykę ze złotymi zdobieniami i zasłonami z fioletowego aksamitu.

Nie widziałem, jak Elden w niej zasiada, bo ktoś złapał mnie za włosy i poderwał na równe nogi. Jestem wysoki, lecz przy Rudej Molly wyglądałem jak małe dziecko. Patrząc na nią, czułem się tak samo jak wtedy, gdy stałem u stóp postumentu, na który musiałem się wspiąć, by odnaleźć drogę. Jej twarz była blada, okrągła i płaska, niczym wielki talerz przyprószony mąką. Oczy miała czarne jak noc.

– Dziś walczyłeś z wrogiem – powiedziała. Jej głos dudnił basowo i z pewnością nie brzmiał pokrzepiająco, ale i tak był lepszy od brzęczenia

nocnych żołnierzy i bulgotania Eldena. – Następnym razem będziesz walczył z przyjacielem. Jeśli przegrasz, odetnę ci kuśkę – ostrzegła i nieco ciszej dodała: – I oddam ją Petrze. Do jej kolekcji.

Jestem pewien, że bohater filmu akcji popisałby się w tym momencie jakąś ciętą ripostą, ale gdy patrzyłem na tę szeroką twarz i czarne oczy, miałem w głowie pieprzoną pustkę.

## 9

Do szatni odprowadził mnie sam Lord Wysoki. Nim wszedłem do korytarza, obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, jak lektyka z zaciągniętymi zasłonami wędruje w górę stromej alejki. Zakładałem, że Petra, ta z pieprzykiem, siedzi w niej z Katem Skrzydlatych.

– Zaskoczyłeś mnie, Charlie – powiedział Kellin. Teraz, gdy nie musiał się już stresować obowiązkami mistrza ceremonii, wydawał się zrelaksowany, może nawet rozbawiony. – Myślałem, że Cla załatwi cię raz-dwa. Teraz będziesz walczył z którymś z twoich przyjaciół. Raczej nie z Jotą, zachowamy go na później. Może z małą Jayą. Myślisz, że będziesz się dobrze bawił, przebijając jej serce tak, jak przebiłeś serce Cla?

Nie odpowiedziałem; szedłem przed nim w dół pochyłego korytarza, trzymając się jak najdalej od jego niebieskiej poświaty. Kiedy dotarliśmy do szatni, Kellin nie wszedł do środka, zamknął tylko za mną drzwi. Na boisko wyszło tego dnia trzydzieścioro dwoje więźniów. Teraz tylko piętnaścioro mogło przeżyć moment zdumienia, widząc, że to nie Cla wrócił do szatni,

lecz Charlie, poobijany, ale cały. Nie, chwileczkę, czternaścioro. Gully był nieprzytomny.

Przez chwilę tylko na mnie patrzyli. Potem trzynaścioro z nich opadło na kolana i przyłożyło dłonie do czoła. Doktor Freed nie mógł uklęknąć, lecz pozdrowił mnie ze swojego legowiska pod ścianą.

– Mój książę – powiedziała Jaya.

– Mój książę – powtórzyli za nią pozostali.

Nigdy w życiu tak się nie cieszyłem, że Empis to kraina, w której nie ma monitoringu wizyjnego.

## 10

Zmyliśmy z siebie brud i krew. Groza minionego dnia pozostała. Eris zsunęła Freedowi spodnie i wyczyściła głęboką ranę w jego udzie najlepiej, jak potrafiła. Co jakiś czas odrywała się od tego zadania, by spojrzeć na mnie. Wszyscy na mnie patrzyli. W końcu, bo zaczęło mnie to irytować, poprosiłem, żeby przestali. Potem robili wszystko, żeby na mnie nie patrzeć, co było chyba jeszcze gorsze.

Po dziesięciu, może piętnastu minutach do szatni weszło czterech nocnych żołnierzy. Przywódca pokazał rózgą, by kilkoro z nas podeszło do niego. Nie przyprowadzili ze sobą szarych, więc to my musieliśmy nieść Gully’ego. Chciałem wziąć go pod ramiona, ale Ammit łagodnie odepchnął mnie na bok.

– Nie, nie. Ja się tym zajmę. Ja i ten drągal. – Prawdopodobnie miał na myśli Jotę, bo drugi dryblas był już tylko stertą stygnącego mięsa. – Pomóż

Doktorowi, jeśli możesz.

Ale i tego nie pozwolono mi zrobić. Byłem przecież obiecanym księciem. A przynajmniej oni tak myśleli. Pomijając kwestię koloru włosów i oczu, myślałem, że może po prostu jestem siedemnastoletnim dzieciakiem, który dba o formę, miał szczęście w losowaniu i trafił na przeciwnika o ograniczonym polu widzenia, a przy tym potrafił powściągać swoje najgorsze odruchy na tyle długo, by przetrwać. Poza tym czy w ogóle chciałem być księciem w tej mrocznej baśni? Nie. Chciałem jedynie odzyskać psa i wrócić do domu. Który nigdy jeszcze nie wydawał się tak odległy.

Szliśmy powoli do naszych cel w Głębi Maleen: Murf z obandażowanym ramieniem, Jaya i Eris, Ammit, Jota, Doktor Freed, Bult, Bendo, Mesel, Cammit, Dublet, Stooks z paskudnie przeciętą twarzą, Quilly, Ocka, nieprzytomny Gully… i ja. Szesnaścioro. Tyle że ani Doktor Freed, ani Gully nie byli w stanie walczyć w następnej rundzie. Wiedziałem, że i tak nikt nie będzie od nich tego oczekiwał. Zostaną wyniesieni na boisko i umieszczeni naprzeciwko rywali, a ci rozprawią się z nimi raz-dwa, ku uciesze Petry, Eldena i garstki jego poddanych. Ci, którzy w następnej rundzie trafią na Freeda i Gully’ego, właściwie wygrają walkowerem. Nie sądziłem też, by Murf i Stooks mieli szanse znaleźć się w grupie, która w turnieju o mistrzostwo koszykarskiej ligi uczelnianej zostałaby nazwana Elitarną Ósemką.

Drzwi bloku więziennego były otwarte. Jo i Ammit przenieśli przez nie Gully’ego. Za nimi szli Quilly i Doktor Freed, choć Quilly właściwie też niósł Doktora, by ten nie próbował stanąć na zranionej nodze; zresztą i tak był w niewiele lepszym stanie niż Gully – raz po raz tracił przytomność i głowa opadała mu na piersi. Gdy znaleźliśmy się w Maleen, powiedział coś tak strasznego, tak smutnego, że nigdy tego nie zapomnę:

– Chcę do mamy.

Lampa gazowa między drzwiami cel znów wypadła ze ściany i wisiała tylko na metalowym wężu. Zgasła. Jeden z naszych strażników wcisnął ją z powrotem do otworu i przez chwilę patrzył na nią groźnie, jakby sprawdzał, czy ośmieli się znów wypaść. Nie ośmieliła się.

– Dzisiaj dostaniecie specjalną kolację, dzieciaki! – oznajmił inny nocny żołnierz. – Górę jedzenia i deser!

Weszliśmy do cel. Jo, Stooks i ja, nie mając współlokatorów, mogliśmy się teraz cieszyć – jeśli to odpowiednie słowo – większą przestrzenią. Quilly zaniósł Freeda do jego celi, ułożył go łagodnie na pryczy, a potem przeszedł do pomieszczenia, które dzielił z Cammitem. Czekaliśmy, aż któryś ze strażników przejdzie korytarzem z uniesionymi rękami, by zamknąć drzwi cel, ale wszyscy po prostu wyszli, zamykając za sobą drzwi do zewnętrznego świata: jeden rygiel, drugi, trzeci, czwarty. Najwyraźniej postanowiono nas nagrodzić nie tylko „górą jedzenia”, ale i większą swobodą, przynajmniej przez jakiś czas.

Eris była w celi Gully’ego; oglądała jego głowę i ranę, która była (nie warto wchodzić w szczegóły) straszna. Oddychał nierówno i chrapliwie. Eris spojrzała na mnie ze znużeniem.

– Nie przetrwa nocy, Charlie. – Roześmiała się gorzko. – Ale nikt z nas jej nie przetrwa, bo tu zawsze jest noc!

Poklepałem ją po ramieniu i wróciłem do celi Joty, który nie zamierzał nigdzie wychodzić. Siedział przy ścianie, z nadgarstkami opartymi na kolanach i zwieszonymi dłońmi. Usiadłem obok niego.

– Czego chcesz, do diabła? – spytał. – Wolę być sam. Oczywiście jeśli wasza pierdolona książęca mość nie ma nic przeciwko.

Ściszając nieco głos, powiedziałem:

– Gdyby istniało jakieś wyjście z tego miejsca, droga ucieczki, spróbowałbyś ze mną uciec?

Powoli podniósł głowę. Spojrzał na mnie. I zaczął się uśmiechać.

– Tylko mi pokaż tę drogę, kochanie. Tylko mi ją pokaż.

– A co z resztą? Z tymi, którzy będą w stanie?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Czy ta królewska krew odbiera ci rozum, książę? A jak myślisz?

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

## Bankiet. Nieoczekiwana wizyta. Natchnienie nie puka grzecznie do drzwi. „Kto chce żyć wiecznie?”

### 1

Tego wieczoru pozostali przy życiu więźniowie nie dostali na kolację tylko kawałków na wpół surowego mięsa: urządzono dla nich prawdziwy bankiet. Pursey i dwoje innych szarych ludzi, mężczyzna i kobieta w poplamionych białych bluzach, wtoczyli na korytarz nie jeden, lecz trzy wózki. Na pierwszym stał wielki garnek, który skojarzył mi się z kuchnią złej czarownicy z *Jasia i Małgosi*. Przy garnku ustawiono stertę misek. Na drugim wózku znajdował się wysoki ceramiczny pojemnik i małe filiżanki, a na trzecim sześć placków ze złocistobrązową skórką. Więzienie wypełniło się cudownym aromatem jedzenia. Byliśmy teraz zabójcami, którzy zamordowali swoich współtowarzyszy, ale byliśmy też głodni, i gdyby nie para strzegących nas Szkieletorów, chyba rzucilibyśmy się na wózki. Ze względu na nich cofnęliśmy się do drzwi cel i obserwowaliśmy. Dublet raz po raz ocierał usta rękawem.

Każdy dostał miskę i drewnianą łyżkę, po czym Pursey napełnił miski po brzegi gulaszem, gęstym i zabielanym prawdziwą (jak mi się wydawało)

śmietaną; pływały w nim duże kawałki kurczaka, groch, marchewki i kukurydza. Wcześniej zastanawiałem się, skąd pochodzi jedzenie, które do nas trafia, ale teraz chciałem tylko jeść.

– Eście o o cel – powiedział Pursey chrapliwym szczątkowym głosem. – Es ęcej.

W ceramicznym pojemniku była sałatka owocowa – z brzoskwiniami, jagodami i truskawkami. Pursey nałożył ją do filiżanek. Nie mogąc się dłużej powstrzymać – zapach świeżych prawdziwych owoców niemal odbierał mi rozum – przystawiłem filiżankę do ust, przechyliłem, zjadłem wszystko od razu, a potem starłem z brody sok i oblizałem palce. Czułem, jak całe moje ciało po wielotygodniowej diecie złożonej z mięsa i marchewki, mięsa i marchewki i jeszcze większych ilości mięsa i marchewki przyjmuje z radością ten przysmak. Ciasta podzielono na piętnaście kawałków – nie przewidziano porcji dla Gully'ego, który i tak już by jej raczej nie zjadł. Nie mieliśmy talerzyków, więc jedliśmy rękami. Kawałek Joty zniknął, nim jeszcze skończono rozdawać pozostałe porcje.

– Jabłkowe! – stwierdził, plując okruszkami. – I cholernie dobre!

– Najedzcie się porządnie, dzieciaki! – powiedział jeden z nocnych żołnierzy, po czym parsknął śmiechem.

Bo jutro umrzecie, dodałem w myślach. Miałem nadzieję, że nie stanie się to jednak jutro. Ani pojutrze. Ani jeszcze następnego dnia. Wciąż nie wiedziałem, jak się stąd wydostaniemy, nawet jeśli Pursey rzeczywiście znał drogę ucieczki z sali obsługi. Wiedziałem tylko, że chcę to zrobić przed drugą rundą Selekcji, w której mógłbym się znaleźć – co było wielce prawdopodobne – w parze z Jayą.

Strażnicy i szarzy ludzie wyszli, lecz drzwi cel nadal pozostały otwarte. Zająłem się gulaszem. Był pyszny. O mój Boże, jaki pyszny. „Miód malina", powiedziałby Bertie Bird w dawnych czasach, gdy siedzieliśmy na

rowerach przed Zip Martem, zajadając się ciastkami Twinkies albo kabanosami Slim Jim. Zajrzałem do sąsiedniej celi, gdzie Stooks pożerał swoją porcję, przyciskając dłoń do twarzy, by jedzenie nie wylało się przez rozcięty policzek. Są takie obrazy z okresu mojego pobytu w Głębi Maleen, które zostaną ze mną na zawsze. To jeden z nich.

Gdy moja miska była już pusta (przyznaję bez wstydu, że wylizałem ją do czysta, jak Jack Sprat i jego żona ze starej rymowanki), sięgnąłem po ciasto i ugryzłem kawałek. Mnie trafiło się z budyniem, a nie z jabłkami. Nagle zacisnąłem zęby na jakimś twardym przedmiocie. Spojrzałem w dół i zobaczyłem ogryzek ołówka wystający z budyniu, owinięty małym kawałkiem papieru.

Nikt na mnie nie patrzył: wszyscy skupiali się na posiłku, tak różniącym się od tego, co dostawaliśmy na co dzień. Wsunąłem papier i ołówek pod pryczę Hameya. Nie miałby nic przeciwko.

Dzięki temu, że wszystkie cele wciąż były otwarte, po bankiecie mogliśmy się zebrać na pogaduszki. Przyszedł do mnie Jota, a po chwili Ammit. Siedziałem między nimi, ale niczego się nie obawiałem. Czułem, że książęcy status chroni mnie przed wszelkimi zakusami z ich strony.

– Jak poradzisz sobie z żołnierzami, Charlie? Wykombinowałeś coś? – spytał Jota. Nie użył słowa „wykombinowałeś”, ale je usłyszałem.

– Nie wiem – przyznałem.

Ammit prychnął.

– Przynajmniej na razie – dodałem. – Ilu ich jest, jak myślicie? Łącznie z Kellinem?

Jota, który tkwił w Głębi Maleen już od bardzo długiego czasu, zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Dwudziestu, najwyżej dwudziestu pięciu. Niewielu członków Gwardii Królewskiej zostało przy Eldenie, gdy wrócił jako Kat Skrzydlatych.

Wszyscy, którzy się na to nie zdecydowali, nie żyją.

– Oni też nie żyją – zauważył Ammit, mówiąc o nocnych żołnierzach. Miał rację.

– Tak, ale w ciągu dnia… to znaczy kiedy na górze jest dzień… są słabsi – wyjaśnił Jota. – Światło wokół nich jest słabsze. Widziałeś to pewnie, Charlie.

Widziałem, lecz dotknięcie któregokolwiek z nich, nawet próba dotknięcia, skończyłoby się obezwładniającym porażeniem. Jota zdawał sobie z tego sprawę. Inni też. A nasze szanse stale malały. Przed pierwszą rundą mieliśmy nad nimi przewagę liczebną. Teraz już nie. Po drugiej rundzie byłoby nas ośmioro. Jeszcze mniej, gdyby ktoś został równie ciężko ranny jak Doktor Freed i Gully.

– Czyli nie masz, kurwa, pojęcia, jak to zrobić – stwierdził Ammit i czekał, chyba z nadzieją, aż mu zaprzeczę.

Nie mogłem tego zrobić, wiedziałem jednak coś, czego nie wiedzieli oni.

– Posłuchajcie mnie obaj i rozpowiedzcie, że jest stąd droga na zewnątrz. – Przynajmniej jeśli Pursey mówił prawdę. – Jeżeli poradzimy sobie z nocnymi żołnierzami, możemy tamtędy uciec.

– Jaka droga? – spytał Jota.

– To na razie nieważne.

– Powiedzmy, że jest taka droga. Ale jak poradzimy sobie z niebieskimi?

– Pracuję nad tym – odparłem.

Ammit machnął ręką niebezpiecznie blisko mojego nosa.

– Nic na nich nie masz.

Nie chciałem sięgać po swoją kartę atutową, lecz nie widziałem innego rozwiązania. Wsunąłem palce we włosy i uniosłem je, pokazując jasne odrosty.

– Jestem obiecanym księciem czy nie?

Na to nie mieli odpowiedzi. Jota nawet przyłożył dłoń do czoła. Wprawdzie był najedzony i dopisywał mu humor, mógł więc to zrobić z czystej uprzejmości.

## 2

Pursey i jego dwuosobowa załoga wrócili wkrótce w towarzystwie dwóch nocnych żołnierzy. Ich niebieska poświata była znacznie słabsza – niemal pastelowa, a nie ciemnobłękitna – co oznaczało, że gdzieś nad nami słońce wyszło już na niebo, choć zapewne jak zwykle zakryte grubą warstwą chmur. Gdyby dano mi do wyboru kolejną miskę gulaszu i światło dnia, wybrałbym światło.

Łatwo powiedzieć, kiedy masz pełny brzuch, pomyślałem.

Włożyliśmy miski i filiżanki do wózka. Wszystkie lśniły, co przypomniało mi, jak w lepszych czasach Radar wylizywała do czysta swoją miskę. Drzwi cel zamknęły się z trzaskiem. Na górze dzień, ale u nas noc.

Maleen zasypiało przy akompaniamencie liczniejszych niż zwykle pierdnięć i beknięć, ale w końcu i one ustąpiły miejsca chrapaniu. Zabijanie to męczące i przygnębiające zajęcie. Oczekiwanie na wiadomość o tym, czy ktoś przeżył, czy zginął, jest jeszcze bardziej męczące i przygnębiające.

Zastanawiałem się, czy dołożyć koc Hameya do tego, na którym spałem na podłodze, nie mogłem się jednak na to zdobyć. Leżałem, patrząc w górę, na nieodmiennie czarne zakratowane okno. Byłem wyczerpany, ale za każdym razem, gdy opuszczałem powieki, widziałem albo oczy Cla w tej ostatniej chwili, kiedy były jeszcze oczami żywego człowieka, albo Stooksa, który trzymał dłoń przy policzku, by przez dziurę nie wylał się gulasz.

W końcu zasnąłem. I śniłem o księżniczce Lei nad stawem, trzymającej odjechaną suszarkę do włosów mojej mamy – Fioletowy Blaster Śmierci. Ten sen krył w sobie jakieś przesłanie, być może był owocem empisańskiej magii, a może to podświadomość próbowała mi coś powiedzieć. Nim mogłem rozszyfrować ten ukryty przekaz, coś mnie obudziło. Jakieś zgrzyty i skrobanie.

Usiadłem prosto i rozejrzałem się. Niedziałająca lampa gazowa obracała się w otworze. Najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Co… – zaczął Jota, który przyglądał się temu z celi naprzeciwko.

Przyłożyłem palec do ust.

– Tsss…!

Zrobiłem to całkiem bezwiednie. Wszyscy pozostali spali, niektórzy pojękiwali, dręczeni bez wątpienia złymi snami, a w Empis z pewnością nie było urządzeń podsłuchowych.

Obaj obserwowaliśmy w milczeniu, jak lampa obraca się, kołysze i powoli wysuwa z otworu. W końcu wypadła i zawisła na metalowym wężu. W otworze coś było. Najpierw pomyślałem, że to wielki szczur, ale ciemny kształt wydawał się zbyt kanciasty jak na szczura. W końcu to coś przecisnęło się na zewnątrz i przemknęło po ścianie na mokrą podłogę.

– Co to, kurwa, jest?! – wyszeptał Jota.

Patrzyłem w osłupieniu, jak czerwony świerszcz wielkości kota skacze w moją stronę na silnych tylnych odnóżach. Wciąż kulał, ale tylko

odrobinę. Przystanął przed moją celą i spojrzał na mnie wielkimi czarnymi ślepiami. Długie czułki wyrastające z jego głowy przypominały antenę „królicze uszy” stojącą na starym telewizorze pana Bowditcha. Między oczami a ustami świerszcza znajdowała się płytka, której kształt przywodził na myśl szatański uśmieszek. Pod brzuchem było coś, co wyglądało jak kawałek papieru.

Przyklęknąłem na jednym kolanie i powiedziałem:

– Pamiętam cię. Jak noga? Wygląda lepiej.

Wskoczył do celi. Dla świerszcza z mojego świata byłoby to całkiem łatwe, ale ten był tak duży, że musiał się przeciskać między kratami. Spojrzał na mnie. Pamiętał mnie! Wyciągnąłem rękę, bardzo powoli, i pogłaskałem go po chitynowej głowie. Zupełnie jakby czekał na ten gest, opadł na bok. Rzeczywiście, pod jego opancerzonym brzuchem był kawałek papieru, przyklejony jakąś substancją. Oderwałem go delikatnie, uważając, żeby się nie rozerwał. Świerszcz stanął ponownie na wszystkich odnóżach – wyglądało na to, że cztery służą mu do chodzenia, a dwa wielkie z tyłu do skakania – wskoczył na pryczę Hameya i nadal przyglądał mi się stamtąd.

Jeszcze więcej magii. Przyzwyczajałem się do tego.

Rozłożyłem kartkę. List napisano literkami tak małymi, że musiałem przysunąć go do twarzy, by je odczytać, ale było tam coś jeszcze, co w tamtym momencie wydawało mi się o wiele ważniejsze; mała kępka włosów przyklejona do papieru tą samą lepką substancją. Podniosłem ją do nosa i powąchałem. Zapach był słaby, ale nie dało się go pomylić z żadnym innym.

Radar.

Treść listu brzmiała następująco:

*Żyjesz? Możemy ci pomóc? PROSZĘ, ODPOWIEDZ, JEŚLI MOŻESZ. Pies jest bezpieczny. C.*

– Co to jest? – wyszeptał Jo. – Co ci przyniósł?

Miałem papier – mały kawałek od Purseya – i kawałek ołówka. Mogłem odpisać, ale co?

– Charlie! Co on ci…

– Zamknij się! – odszepnąłem. – Muszę pomyśleć!

*Możemy ci pomóc*?

Nie uszło mojej uwagi, że w tym pytaniu użyto liczby mnogiej, co z kolei rodziło wiele innych pytań. List napisała Claudia, to oczywiste. Jakimś sposobem, może dzięki niezwykłemu węchowi i wrodzonemu poczuciu kierunku, mój pies trafił do jej domu z desek. To dobrze, cudownie. Ale Claudia mieszkała sama. Powinna więc pytać *mogę*, a nie *możemy*. Czy dołączył do niej Woody? A może nawet Lea na grzbiecie wiernej Falady? To wciąż za mało, nawet jeśli w ich żyłach płynęła królewska krew. Ale jeśli zmobilizowali innych, może szarych ludzi… Czy liczyłem na zbyt wiele? Prawdopodobnie tak. Tyle że jeśli naprawdę wierzyli, że jestem obiecanym księciem, to może…

Myśl, Charlie, myśl.

Myślałem o stadionie, niegdyś Stadionie Monarchów, teraz Stadionie Eldena. Nie było tam elektryczności – nie z rozklekotanego, napędzanego przez niewolników generatora, który pokazał mi Aaron – ale podczas Selekcji stadion oświetlały wielkie lampy gazowe umocowane na okrągłej koronie budowli.

Miałem tysiące pytań, lecz tylko jeden mały kawałek papieru. Niezbyt komfortowa sytuacja, zwłaszcza że i tak nie otrzymałbym pewnie odpowiedzi na żadne z tych pytań. Miałem jednak pewien pomysł, co już stanowiło jakiś punkt zaczepienia. Problem polegał na tym, że pomysł

mógłby wypalić tylko wtedy, gdyby udało mi się znaleźć jakiś sposób na unieszkodliwienie nocnych żołnierzy.

Gdybym mógł… i gdyby ten czerwony świerszcz, któremu kiedyś wyświadczyłem przysługę, zaniósł wiadomość do Claudii…

Złożyłem na pół jedyny cenny kawałek papieru i starannie przedarłem go wzdłuż zagięcia. Potem bardzo małymi literami napisałem:

*Żyję. Czekajcie, aż na Stadionie Monarchów zapalą światła. Przyjdźcie, jeśli was wielu. Nie, jeśli niewielu.* Zastanawiałem się, czy podpisać list tak samo jak ona, C., ale zrozumiałem, że to nie najlepszy pomysł. Na samym dole skrawka papieru dopisałem, jeszcze mniejszymi literami (i nie bez zażenowania), *Książę Sharlie*.

– Chodź tutaj – wyszeptałem do świerszcza.

Siedział nieruchomo na pryczy Hameya, zgięcia jego wielkich tylnych odnóży sterczały w górę jak łokcie. Gdy pstryknąłem palcami, skoczył do przodu i wylądował przede mną. Był o niebo sprawniejszy niż wtedy, gdy widziałem go ostatnio. Delikatnie pchnąłem go otwartą dłonią i posłusznie przewrócił się na bok. Lepka substancja na jego brzuchu jeszcze nie wyschła. Przykleiłem tam list i powiedziałem:

– Idź. Zanieś to z powrotem.

Świerszcz wstał, lecz nie ruszał się z miejsca. Jota wciąż się na niego gapił, wytrzeszczając oczy tak mocno, jakby chciał wypchnąć je z oczodołów.

– Idź – wyszeptałem, wskazując na otwór nad wysuniętą ze ściany lampą gazową. – Zanieś to Claudii.

Uświadomiłem sobie, że wydaję polecenia świerszczowi. Potem pomyślałem, że całkiem mi odbiło.

Jeszcze przez chwilę patrzył na mnie poważnymi czarnymi oczami, po czym odwrócił się i przecisnął przez kraty. Doskoczył do ściany, dotknął jej

przednimi odnóżami, jakby sprawdzał, czy nadal tam stoi, a potem wdrapał się na nią bez najmniejszego problemu.

– Co to, kurwa, jest? – spytał Stooks zza krat swojej celi.

Nie zaszczyciłem go odpowiedzią. Owszem, to coś było czerwone i wielkie, ale jeśli nie widział, że to świerszcz, to był ślepy.

Otwór w ścianie był jeszcze mniejszy niż przestrzeń między kratami, mimo to świerszcz zdołał się do niego wcisnąć, nie gubiąc mojej wiadomości – na szczęście, biorąc pod uwagę, kto mógłby ją przeczytać, gdyby upadła na podłogę. Oczywiście nie miałem pojęcia, czy pozostanie na brzuchu owada, gdy ten będzie pokonywał wszystkie zakręty tunelu, którym tu przyszedł. Nie wiedziałem też, czy nie odpadnie podczas kolejnego etapu drogi, nim świerszcz dotrze do Claudii. Albo czy ten osobliwy posłaniec w ogóle do niej trafi. Ale czy miałem… mieliśmy inne wyjście?

– Stooks. Jo. Posłuchajcie mnie i przekażcie to dalej. Musimy poczekać do drugiej rundy, ale zanim do niej dojdzie, spierdalamy stąd.

Oczy Stooksa zalśniły nadzieją.

– Jak?

– Jeszcze nad tym pracuję. A teraz zostawcie mnie samego.

Chciałem pomyśleć. Chciałem też pogłaskać tę kępkę sierści, którą przysłała mi Claudia, i pomarzyć, że głaszczę jeszcze psa, do którego należała. Jednak już sama wiadomość, że Radar jest bezpieczna, zdjęła z moich ramion ciężar, którego istnienia nawet nie byłem dotąd świadomy.

– Nie rozumiem, dlaczego ten czerwony robal przyszedł do ciebie – odezwał się Jo. – Dlatego że jesteś księciem?

Pokręciłem głową.

– Znasz historię o myszy, która wyjęła kolec z łapy lwa?

– Nie.

– Opowiem ci kiedyś. Kiedy już stąd wyjdziemy.

## 3

Następnego dnia nie było bankietu. Podano jednak śniadanie, a ponieważ Pursey znów był sam, mogłem mu przekazać wiadomość, którą zapisałem na drugim kawałku papieru. Składała się tylko z pięciu słów: *Jak wyjdziemy z sali obsługi?* Nie przeczytał jej przy mnie; wsunął ją pod workowatą koszulę i poszedł dalej w głąb korytarza.

Po lochu rozeszła się już wieść: książę Charlie ma plan ucieczki.

Miałem nadzieję, że jeśli jacyś nocni żołnierze zechcą sprawdzić, co się u nas dzieje – mało prawdopodobne w ciągu dnia, ale już się zdarzało – nie wyczują nowej energii i napięcia, które pojawiły się wśród ich gladiatorów. W sumie to też było mało prawdopodobne, bo większość z nich wydawała się dość tępa. Ale Aaron nie był tępy. Ani Lord Wysoki.

Tak czy inaczej, kości zostały rzucone, a wynik tej rozgrywki zależał w dużej mierze od tego, czy Hipolit Świerszcz zaniósł Claudii moją wiadomość. W czasie gdy my będziemy się szykować do drugiej rundy, ostatni dziedzice Gallienu być może staną pod bramą z tłumem szarych ludzi. Jeśli uda nam się stąd wydostać i do nich dołączyć, odzyskamy wolność. Kto wie, może uda nam się nawet pokonać stworzenie, które przejęło władzę i rzuciło klątwę na całe Empis.

Pomyślałem, że wystarczy mi wolność. Nie chciałem umierać w tej wilgotnej celi ani na polu walki, by zapewnić rozrywkę Eldenowi i jego klakierom, nie chciałem również, by umarł jeszcze którykolwiek spośród

moich współtowarzyszy. Zostało nas tylko piętnaścioro. Gully umarł tej nocy, gdy urządzono nam bankiet – prawdopodobnie jeszcze kiedy raczyliśmy się jedzeniem. Dwaj szarzy ludzie wynieśli go następnego dnia po śniadaniu, nadzorowani przez nocnego żołnierza, który miał na imię Lemmil albo Lammel, a może nawet Lemuel. Nie miało to dla mnie znaczenia. Chciałem go zabić.

Chciałem zabić ich wszystkich.

– Jeśli mamy załatwić nocnych żołnierzy, to lepiej szybko wymyśl jakiś sposób, książę – powiedział Ammit, gdy zabrano Gully'ego. – Nie wiem, jak Kat Skrzydlatych, ale ta jego suka, Petra, nie będzie chciała długo czekać, żeby znów zobaczyć parę rozwalonych głów i wyprutych flaków. Strasznie ją to jara.

Nie użył słowa „jara", tylko tutejszego odpowiednika, ale miał rację.

Na kolację następnego dnia po bankiecie podano kawałki na wpół surowej wieprzowiny. Na sam jej widok zrobiło mi się niedobrze i omal nie wyrzuciłem swojej porcji do dziury w kącie celi. Całe szczęście, że tego nie zrobiłem, bo w środku była następna wiadomość od Purseya, napisana tym samym eleganckim pochyłym pismem. *Przesuń wysoką szafkę. Drzwi zamykane ryglami. Zniszcz to. Zawsze do usług, Percival.*

Przydałoby mi się trochę więcej informacji, musiałem jednak zadowolić się tym, co miałem. Poza tym, żeby skorzystać z tych wskazówek, musieliśmy się dostać do sali obsługi. Mogliśmy poradzić sobie jakoś z elektrorózgami, ale tylko wtedy, gdyby udało nam się zlikwidować elektryczną poświatę, która otaczała naszych oprawców. Załóżmy, że i to dałoby się jakoś zrobić.

Tylko czy mogliśmy ich zabić, skoro i tak już nie żyli?

# 4

Obawiałem się śniadania następnego dnia, bo wiedziałem, że jeśli Pursey przyniesie kiełbaski, druga runda rozpocznie się, zanim wymyślę, co zrobić z niebieskimi chłopcami. Na szczęście były to duże placki z jagodowym syropem. Złapałem swój, zjadłem go, po czym nabrałem wody do kubka z dziurą w dnie, by obmyć dłonie z syropu. Jota patrzył na mnie zza krat swojej celi i oblizywał palce, czekając, aż Pursey sobie pójdzie.

Kiedy zostaliśmy sami, powiedział:

– Mamy jeszcze jeden dzień, żeby ranni trochę do siebie doszli, ale jeśli nie zabiorą nas na górę jutro, to zrobią to pojutrze. Najpóźniej za trzy dni.

Miał rację i wszyscy liczyli na mnie. Wydawało się to trochę absurdalne, bo byłem tylko dzieciakiem z liceum, potrzebowali jednak wybawcy i trafiło właśnie na mnie.

Słyszałem w głowie głos trenera Harknessa: „Na ziemię i dwadzieścia pompek, ty niedojdo!”.

Nie miałem lepszego pomysłu i czułem się jak niedojda, więc zabrałem się do robienia pompek. Szeroko rozstawione dłonie. Powoli w dół, broda dotyka podłogi, powoli w górę.

– Dlaczego to robisz? – spytał Stooks, który stanął przy kracie i mi się przyglądał.

– To mnie uspokaja.

Kiedy już pokona się początkową sztywność (i protesty ciała), taki wysiłek zawsze uspokaja. Podnosząc się i opadając, myślałem o swoim śnie: o Lei trzymającej fioletową suszarkę do włosów mojej mamy. Przeświadczenie, że rozwiązanie mojego – naszego – problemu kryje się we

śnie, bez wątpienia było myśleniem magicznym, ale przecież trafiłem do magicznego miejsca, więc czemu, kurwa, nie?

Tutaj pozwolę sobie na małą dygresję, która tak naprawdę jest nie tylko dygresją – o czym przekonacie się za chwilę. Na wakacjach przed siódmą klasą czytałem *Drakulę*. Robiłem to po części za namową Jenny Schuster, na krótko przed jej przeprowadzką do Iowa. Zamierzałem też przeczytać *Frankensteina* – wypożyczyłem go nawet z biblioteki – ale Jenny powiedziała, że to nudna, długa i kiepska pisanina, nafaszerowana bzdurną filozofią. Jej zdaniem *Drakula* był sto razy lepszy; uważała, że to najlepsza historia o wampirach, jaką kiedykolwiek napisano.

Nie wiem, czy tu akurat miała rację – trudno traktować poważnie opinie literackie dwunastolatki, nawet jeśli jest specem od horrorów – ale *Drakula* rzeczywiście był dobry. Długo po tym, jak wszystkie krwawe uczty, kołki wbijane w serca i martwe usta wypełnione czosnkiem opuściły mój umysł, ustępując miejsca innym tematom, przypomniałem sobie coś, co Van Helsing mówił o śmiechu, który nazywał Królem Śmiechem. Otóż Van Helsing powiedział, że Król Śmiech nie puka grzecznie do drzwi, ale od razu pakuje się bezceremonialnie do środka. Wiecie, że to prawda, jeśli kiedykolwiek widzieliście coś zabawnego i nie mogliście powstrzymać się od śmiechu, nie tylko w tym momencie, ale też za każdym razem, gdy to sobie przypomnieliście. Myślę, że podobnie jest z prawdziwym natchnieniem. Nie da się prześledzić kolejnych etapów jego działania, powiedzieć, pokazując palcem, „O, tutaj myślałem o tym, a to doprowadziło mnie do tego”. Natchnienie nie puka grzecznie do drzwi.

Zrobiłem dwadzieścia pompek, potem kolejne dziesięć i już miałem przestać, gdy mnie olśniło. W jednej chwili brakowało mi jakiegokolwiek pomysłu, a w następnej już miałem go w głowie, gotowy do realizacji. Wstałem i podszedłem do krat.

– Wiem, co zrobimy. Nie jestem pewny, czy to zadziała, ale nie mamy nic innego.

– Powiedz – poprosił Jota.

Opowiedziałem mu o suszarce mojej mamy, czego kompletnie nie rozumiał; w jego świecie kobieta z długimi włosami suszyła je na słońcu. Reszta jednak wydawała się całkiem jasna. Także dla Stooksa, który przysłuchiwał się nam z sąsiedniej celi.

– Przekażcie to wszystkim – powiedziałem. – Obaj.

Stooks przyłożył dłoń do czoła i ukłonił się. Wciąż nie mogłem przywyknąć do tych ukłonów, ale jeśli rzeczywiście jakoś im to pomagało, gotów byłem je znosić do czasu, aż znów będę zwykłym dzieciakiem. Obawiałem się jednak, że nigdy nim już nie będę, nawet jeśli wyjdę z tego wszystkiego cało. Niektórych zmian nie da się cofnąć.

# 5

Następnego dnia dostaliśmy na śniadanie kiełbaski.

Pursey zwykle milczał, gdy rozdawał jedzenie, ale tym razem miał coś do przekazania. Jego przesłanie było krótkie.

– Ecie, ecie…

Co miało zapewne oznaczać: „Jedzcie, jedzcie”.

Wszyscy z wyjątkiem mnie otrzymali trzy kiełbaski. Ja dostałem cztery, i to nie tylko dlatego, że byłem Księciem Głębi Maleen. W każdej z kiełbasek tkwiła duża zapałka z niekształtną główką z siarki. Schowałem

je w brudnych skarpetkach, po dwie w jednej. Domyślałem się, do czego mają nam posłużyć, i miałem nadzieję, że się nie mylę.

# 6

Kolejne ciągnące się w nieskończoność dręczące oczekiwanie. W końcu otworzyły się drzwi lochu i przeszedł przez nie Aaron z Lemmilem – czy jak się tam nazywał – i dwoma innymi żołnierzami.

– Wychodzić, dzieciaki! – zawołał Aaron, rozkładając ręce i otwierając cele. – Dobry dzień dla ośmiorga, kiepski dla reszty! Żwawo, żwawo!

Wyszliśmy na korytarz. Nie było już wśród nas Hatchy, który nie chciał walczyć, bo rozbolał go brzuch. Zajął się nim Stooks, choć jego twarz nigdy już nie miała wyglądać tak samo. Jota spojrzał na mnie z lekkim uśmieszkiem i poruszył powieką, jakby puszczał do mnie oko. Dodało mi to trochę otuchy. Cieszyła mnie myśl, że bez względu na to, czy uda nam się uciec, czy nie, Kat Skrzydlatych, Petra i cała kompania przydupasów nie obejrzą następnej części Selekcji.

Kiedy ruszyłem do wyjścia, zatrzymał mnie Aaron, przystawiając czubek elektrorózgi do poszarpanych resztek mojej koszuli. Półprzezroczysta ludzka twarz na jego czaszce uśmiechała się drwiąco.

– Myślisz, że jesteś wyjątkowy, co? Nie jesteś, ale inni myślą, że tak. No to się rozczarują.

– Zdrajca – rzuciłem. – Zdradziłeś wszystko, czemu przysięgałeś wierność. – Coś przemówiło moimi ustami, wypowiedziało słowa prawdy.

Uśmiech zniknął z tego, co zostało jeszcze z jego człowieczeństwa; widziałem tylko trupi grymas nagiej czaszki. Podniósł rózgę, by uderzyć mnie w twarz, rozciąć ją od nasady włosów do brody. Stałem w bezruchu, czekając na cios; nawet odwróciłem lekko głowę, wystawiając ją na uderzenie.

Opuścił jednak rękę.

– Nie, nie naznaczę cię. Zostawię to temu, kto cię zgładzi. No już, żwawo. Zanim cię uściskam tak, że narobisz w portki.

Nie zrobiłby tego. Wiedziałem o tym i on też wiedział. Rozstawiono już zawodników w drugiej rundzie i nie mógł zaburzyć całego porządku rozgrywek, rażąc mnie prądem i pozbawiając przytomności, a może nawet zabijając.

Gdy ruszyłem za innymi, uderzył mnie w udo, przecinając moje spodnie. Jak zwykle najpierw poczułem palące pieczenie, a potem ból i wilgoć krwi wypływającej z rany. Ale nawet nie jęknąłem. Nie chciałem dać sukinsynowi satysfakcji.

# 7

Zabrano nas do tej samej szatni, oddalonej o dwa pomieszczenia od sali obsługi, w której kryło się – być może – tajne wyjście. Na środku, podobnie jak ostatnio, stała sztaluga z kartonową tablicą i listą par, tym razem o połowę krótszą.

DRUGA RUNDA SELEKCJI

Pierwsza seria
Ocka i Gully (zm.)
Charlie i Jaya
Murf i Freed

Druga seria
Bendo i Bult
Cammit i Stooks
Eris i Quilly
Dublet i Mesel

Trzecia seria
Ammit i Jota

W finałowym pojedynku mieli się więc zmierzyć najwięksi mężczyźni. Pomyślałem, że byłaby to rzeczywiście ciekawa walka, ale bez względu na to, co wydarzy się w ciągu kilku następnych minut, z pewnością do niej nie dojdzie.

Podobnie jak przed pierwszą rundą czekał na nas Lord Wysoki w wymyślnym uniformie. Pomyślałem, że właśnie coś takiego włożyłby dyktator jakiegoś biednego kraju z Ameryki Środkowej w dzień święta państwowego.

– I znów się spotykamy – zabrzęczał. – Niektórzy trochę poobijani, ale bez wątpienia gotowi do walki i spragnieni krwi. Zgadza się?

– Tak, Lordzie Wysoki – odpowiedziałem.

– Tak, Lordzie Wysoki – powtórzyli pozostali.

Spojrzał na moje krwawiące udo.

– Tobie już się trochę dostało, książę Charlie.

Milczałem.

Powiódł wzrokiem po pozostałych.

– Czy nie tak go nazywacie? Księciem Charliem?

– Nie, Lordzie Wysoki – odpowiedział Ammit. – To tylko mały skurwysyn, który lubi zadzierać nosa.

Kellinowi wyraźnie się to spodobało. Jego ludzkie usta ułożyły się w lekkim uśmiechu, spod którego wyzierał ten sam co zawsze trupi grymas. Zwrócił się ponownie do mnie:

– Podobno prawdziwy książę potrafi unosić się w powietrzu i zmieniać kształt. Potrafisz unosić się w powietrzu?

– Nie, Lordzie Wysoki – odparłem.

– A zmieniać kształt?

– Nie.

Podniósł elektrorózgę, grubszą i dłuższą od tych, które mieli jego podwładni.

– Nie… i co dalej?

– Nie, Lordzie Wysoki.

– Tak lepiej. Dam wam, dzieciaki, trochę czasu na przygotowania – powiedział. – Umyjcie się, żeby odpowiednio wyglądać przed lepszymi od siebie. Zmoczcie włosy i odciągnijcie je do tyłu… oni chcą widzieć wasze twarze. Mam nadzieję, że zapewnicie Jego Wysokości dobrą rozrywkę, jak ostatnio. Zrozumiano?

– Tak, Lordzie Wysoki – odpowiedzieliśmy zgodnym chórem, niczym grzeczni pierwszoklasiści.

Kellin jeszcze raz wolno powiódł po nas spojrzeniem, jakby coś podejrzewał. Może podejrzewał. W końcu wyszedł, wyprowadzając za sobą pozostałych nocnych żołnierzy.

– Patrzcie tylko – rzucił triumfująco Ocka. – Ja kontra trup! Powinienem chyba wygrać, co?

– Dziś wygramy wszyscy albo nikt – odpowiedziałem. Spojrzałem na półkę, na której stało szesnaście wiader z wodą… tak, przygotowali jedno nawet dla Gully’ego.

– Zgadza się, kurwa – mruknął Jo.

– Jaya i Eris, stajecie po obu stronach drzwi. Te dwa wiadra muszą być napełnione po same brzegi, jeśli jeszcze nie są. Reszta też zabiera wiadra, ale kuca albo stoi na czworakach.

– Dlaczego? – spytał Bendo.

W tym momencie przypomniał mi się stary dowcip z gimnazjum: Adam i Ewa mają po raz pierwszy uprawiać seks. „Cofnij się, kochanie”, mówi Adam. „Ile? Nie wiem, jak on urośnie”, odpowiada Ewa.

– Dlatego że nie wiem, co się stanie.

I dlatego, że nigdy nie wolno używać suszarki do włosów podczas kąpieli, pomyślałem. Mama mi to mówiła.

– Będziemy myć, owszem, ale nie siebie. To zadziała.

Brzmiało nieźle, lecz wcale nie byłem pewien, że zadziała. Wiedziałem tylko, że jeśli coś się wydarzy, to dojdzie do tego bardzo szybko.

## 8

– Słyszę kroki – wyszeptała Eris. – Idą.

– Poczekajcie, aż wejdą do środka – powiedziałem. – Nie zobaczą was, będą patrzyli prosto przed siebie.

Taką miałem nadzieję.

Kobiety podniosły wiadra na wysokość piersi. Pozostali przykucnęli, każdy z wiadrem pełnym wody pod ręką. Ammit i Jota osłaniali mnie z obu stron własnymi ciałami. Drzwi się otworzyły. Byli to ci sami dwaj żołnierze, którzy kilka dni temu wyprowadzili na boisko pierwszą grupę zawodników. Liczyłem na Kellina i Aarona, nie byłem jednak zaskoczony. Prawdopodobnie obaj wyszli na boisko, by kierować rozgrywkami.

Nocni żołnierze przystanęli, patrząc ze zdumieniem na przykucnięte postacie.

– Co wy ro… – zaczął jeden z nich.

– TERAZ! – krzyknąłem.

Jaya i Eris wylały na nich zawartość wiader.

Jak już mówiłem, nie wiedziałem, co się wydarzy, ale nawet nie brałem pod uwagę tego, co się stało: eksplodowali! Dwa potężne rozbłyski na moment mnie oślepiły. Słyszałem, jak jakiś przedmiot – nie, co najmniej kilka przedmiotów – przelatuje ze świstem nad moją głową, a potem poczułem bolesne ukłucie w lewej ręce, jakby użądlenie pszczoły. Następnie rozległ się piskliwy wrzask, okrzyk wojenny Jayi albo Eris. Opuściłem głowę, więc nie widziałem której. Do wrzasku dołączyło kilka okrzyków bólu, które dochodziły z prawej i lewej.

– Wstajemy! – krzyknąłem.

W tym momencie nie wiedziałem jeszcze do końca, co się stało, musieliśmy jednak jak najszybciej stąd wyjść. Eksplozje nocnych żołnierzy nie wydawały się głośne – głuche odgłosy, jakby ktoś opuszczał ciężki mebel na dywan – ale wrzask jednej z kobiet był bardzo głośny. Do tego dochodził jeszcze grzechot odłamków. Kiedy się wyprostowałem,

zobaczyłem, że z czoła Joty, tuż znad jego oka, coś wystaje. Krew ściekała mu z boku nosa. To był kawałek kości. Inny tkwił w moim ramieniu. Wyjąłem go i wyrzuciłem.

Kilka innych osób odniosło obrażenia, nikt jednak nie wyglądał na poważnie rannego, prócz Doktora Freeda, lecz ten już wcześniej był w kiepskim stanie. Murf, który miał z nim walczyć w pierwszej serii, podtrzymywał go.

Jota wyjął z czoła odłamek kości i rozejrzał się z niedowierzaniem. Kawałki nocnych żołnierzy były wszędzie. Wyglądały jak pozostałości rozbitego szkła lub porcelany. Prócz tego z żołnierzy zostały jedynie ubrania, mocno poszarpane, jakby ktoś ostrzelał ich z bliska ze śrutówki.

Ammit złapał mnie za kark, przyciągnął do siebie i zamknął w mocnym uścisku.

– Gdybyś nie kazał nam przykucnąć, to gówno pociełoby nas na kawałki. Skąd wiedziałeś? – Jakby tego było mało, pocałował mnie w policzek. – Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. – Właściwie myślałem wtedy o tym, że powinniśmy przykucnąć i przygotować się do ataku, niczym pierwsza linia drużyny piłkarskiej. – Wszyscy wychodzimy. Weźcie wiadra. Jo i Ammit, prowadzicie. Idziemy do sali obsługi, dwa pomieszczenia dalej. Jeśli pojawią się jeszcze jacyś nocni żołnierze, wy dwaj ich oblewacie i padacie na podłogę… wszyscy padamy na podłogę… ale postarajcie się nie przewrócić wiader. Teraz już wiemy, jak to wygląda.

Kiedy wyszliśmy z wiadrami na korytarz (Eris kopnęła jeden z poszarpanych mundurów i splunęła na niego), obejrzałem się. Sala, w której mieliśmy się przygotowywać do walki, wyglądała jak cmentarz.

Dobrze.

# 9

Ammit i Jota szli z przodu. Eris zabrała wiadro przeznaczone dla Gully’ego. Jaya, która nie miała już wody, zamykała pochód. Gdy dotarliśmy do sali obsługi, od strony jasno oświetlonego boiska nadeszło dwóch nocnych żołnierzy.

– Oi! – krzyknął jeden z nich (jestem pewien, że było to właśnie „oi”). – Co wy tu robicie? Mieli wyjść tylko ci z pierwszej serii.

Ammit i Jota przystanęli. Wszyscy się zatrzymaliśmy. Ammit, cudownie udając konsternację, spytał:

– A nie mieliśmy tym razem iść wszyscy? Żeby pozdrowić Jego Królewską Mość?

Żołnierze podeszli bliżej.

– Tylko pierwsza grupa, kretyni! – powiedział drugi nocny żołnierz. – Reszta wraca do…

Ammit i Jota spojrzeli po sobie. Jota skinął głową. Jednocześnie zrobili krok do przodu – jakby ćwiczyli to wcześniej – chlusnęli na żołnierzy wodą z wiader i przypadli do ziemi. Pozostali zrobili to ułamek sekundy wcześniej i tym razem nie tylko kucnęli – położyli się na podłodze. Za pierwszym razem mieliśmy ogromne szczęście, ale los nie zawsze jest tak łaskawy.

Ci dwaj również eksplodowali. Rozbłyskom i głuchemu hukowi towarzyszyło tym razem coś w rodzaju elektrycznego skwierczenia, jakie mógłby wydać transformator chwilę przed tym, jak spala się z powodu zbyt dużego obciążenia. Poczułem woń ozonu, a zaraz po tym chmury kościstych odłamków przeleciały nad nami, odbiły się od ścian i opadły z grzechotem na podłogę.

Ammit wstał i odwrócił się do mnie, odsłaniając zęby w uśmiechu, którego nie nazwałbym nawet szelmowskim – to był szatański uśmiech.

– Wybiegnijmy tam wszyscy, Charlie! Mamy jeszcze dziesięć wiader! Rozwalmy tylu tych skurwieli, ilu się da!

– Nie ma mowy. Dopadlibyśmy paru, a reszta by nas zmasakrowała. Uciekamy, nie walczymy.

Ammit był jednak nabuzowany, kipiał żądzą zemsty. Byłem pewien, że mnie nie posłucha i pobiegnie dalej, Jo złapał go jednak za szyję i potrząsnął nim mocno.

– Kto tu jest księciem, dupku? Ty czy on?

– On.

– Zgadza się, więc zrobimy, co nam każe.

– Chodźmy – rzuciłem. – Bendo? Bult? Macie pełne wiadra?

– Pół – odparł Bult. – Przykro mi, ale trochę rozlałem, mój…

– Przejdźcie dalej, w stronę wyjścia z tunelu. Dublet i Cammit, wy też. Jeśli pojawią się następni…

– …urządzimy im kąpiel, a jak! – Cammit skinął głową.

Poprowadziłem ich dalej, wciąż niosąc wiadro. Mnie też wylało się trochę wody – miałem mokre nogawki – wciąż jednak zostało mi jakieś trzy czwarte. Drzwi sali obsługi były zamknięte na klucz.

– Ammit, Jo, zajmijcie się tym.

Uderzyli w nie razem. W środku było ciemno, w dodatku przed moimi oczami wciąż pojawiały się powidoki pozostałe po eksplozjach.

– Kto coś widzi?! – zawołałem. – Musi tu być wysoka szafka. Kto…?

Wtedy krzyknął jeden z tych, których wysłałem w stronę wyjścia z tunelu. Sekundę później korytarz znów wypełnił się oślepiającym blaskiem. Rozświetlił również salę obsługi, dzięki czemu zobaczyłem

szafkę stojącą pod przeciwległą ścianą i sześć krzeseł, które ustawiono po obu jej stronach. Usłyszałem pełne bólu wycie, po którym nastąpiła kolejna eksplozja.

Do sali weszli Bendo, Dublet i Cammit. Ten ostatni krwawił mocno z twarzy i ramienia, naszpikowanych odłamkami kości, które wyglądały jak żółtawobiałe strzałki.

– Załatwiliśmy jeszcze dwóch – wydyszał Bendo. – Ale drugi, zanim oblałem go wodą, rzucił się na Bulta. Przyciągnął go do siebie… Bult zaczął dygotać…

Straciliśmy jednego, ale jak wynikało z relacji Benda, nocni żołnierze stracili sześciu. Całkiem niezły wynik, tylko że ich było nadal o wiele więcej.

– Jo, pomóż mi przesunąć tę szafkę.

Nim zdążyłem do niego dołączyć, Jo sam podszedł do szafki, która przypominała trochę komodę mojej babci. Naparł na nią ramieniem i pchnął z całych sił. Szafka przesunęła się o ponad metr, zachwiała, a potem runęła z hukiem na podłogę. Na ścianie, w miejscu skrywanym dotąd przez mebel, widniały drzwi, dokładnie tak, jak pisał Pursey.

Gdzieś z oddali dobiegły nas krzyki – brzęczące krzyki. Wciąż odległe, ale zaniepokojone. Nie wiedziałem, czy Lord Wysoki domyślił się wcześniej, że więźniowie spróbują uciec, najwyraźniej jednak on i jego podwładni wiedzieli, że coś się szykuje.

Stooks podniósł haczyk zamykający drzwi i przyciągnął je do siebie. Były otwarte, co z jednej strony mnie zaskoczyło, a z drugiej dało nadzieję. *Drzwi zamykane ryglami*, napisał Pursey. Nie *zamknięte*, tylko *zamykane*. Miałem nadzieję, że teraz dobrze zrozumiałem sens tych słów.

– Idźcie – powiedziałem. – Wszyscy.

Przechodzili po kolei przez drzwi, Murf wciąż wspierając Doktora Freeda. Powoli odzyskiwałem wzrok; dojrzałem lampkę w kształcie torpedy stojącą na jednym z krzeseł. Pobłogosławiłem w myślach Purseya – Percivala – i to wielokrotnie. Gdyby ucieczka się nie udała, a oni odkryliby, kto nam pomagał, nie skończyłoby się to dla niego dobrze. Może nawet gdyby się udała.

Wrócił do mnie Jota.

– Tam jest ciemno jak cholera, Charlie. Nie… – Zobaczył lampkę. – O! Gdybyśmy tylko mieli ją czym zapalić.

Odstawiłem wiadro, sięgnąłem do skarpety i wyjąłem zapałkę. Jo spojrzał na nią ze zdumieniem, a potem podniósł wzrok na mnie.

– Ty naprawdę jesteś księciem.

Podałem mu zapałkę.

– Może, ale nie wiem, jak to rozpalić. Ty się tym zajmij.

Kiedy zapalał lampę – szklany zbiornik był wypełniony naftą lub czymś podobnym – usłyszałem, jak ktoś nadbiega od strony boiska.

– Oi! Oi! Co tu się dzieje? – Znałem ten brzęczący owadzi głos. – Dlaczego te drzwi są otwarte?

Jota spojrzał na mnie i podniósł ręce: w jednej trzymał zapaloną lampę, druga była pusta. Bez wiadra.

– Idź tam – poleciłem. – Zamknij drzwi. Powinny zamykać się od środka na rygle.

– Nie chcę cię zostawiać sa…

– IDŹ!

Wykonał moje polecenie.

W drzwiach pojawił się Aaron; pulsował niebieskim blaskiem tak mocno, że musiałem mrużyć oczy. Stałem kilka kroków dalej, z wiadrem

w ręce. Zatrzymał się raptownie, zbyt zaskoczony tym, co zobaczył, by wykonać jakikolwiek ruch.

Trzeba było iść dalej, pomyślałem. Zrobiłem krok w jego stronę i chlusnąłem na niego wodą z wiadra.

Widziałem ją w powietrzu jak w zwolnionym tempie: wielki amorficzny kryształ. Czaszka pod skórą Aarona wciąż szczerzyła się w trupim uśmiechu, lecz na tym, co zostało z jego ludzkiej twarzy, malował się wyraz krańcowego zdumienia. Zdążyłem jeszcze pomyśleć o Złej Czarownicy z Zachodu wrzeszczącej: „Topię się! Topię się!”. Aaron wypuścił swoją przeklętą rózgę i podniósł jedną rękę, jakby próbował zablokować to, co zmierzało ku niemu nieuchronnie. Przypadłem do podłogi tuż przed tym, jak oślepiająca eksplozja wysłała go dokądś, gdzie – taką miałem nadzieję – czekała go zasłużona kara.

Odłamki kości przelatywały nad moją głową… i nie wszystkie mnie ominęły. Tym razem nie było to jedno użądlenie pszczoły, lecz cała seria bolesnych ukłuć obejmujących ciemię i lewe ramię. Podniosłem się, zachwiałem i odwróciłem do drzwi. Słyszałem, jak nadchodzą kolejni żołnierze. Żałowałem, że nie mam więcej wody – co prawda po drugiej stronie sali był zlew, ale nie miałem już czasu.

Podniosłem haczyk i przyciągnąłem do siebie drzwi, niemal pewien, że będą już zamknięte. Nie były. Wszedłem do środka, zamknąłem i pochyliłem się. W bladym świetle lampy dojrzałem dwa rygle. Wyglądały solidnie – i miałem nadzieję, że takie są. W chwili gdy zasunąłem drugi rygiel, drzwi zadrżały, uderzone z drugiej strony. Cofnąłem się o krok. Drzwi były z drewna, a nie z metalu, wolałem jednak nie ryzykować porażenia prądem.

– Otwierać! Otwierać w imię Eldena, Kata Skrzydlatych!

– Pocałujcie mnie w dupę w imię Eldena, Kata Skrzydlatych! – powiedział ktoś za moimi plecami.

Odwróciłem się. Byli tam wszyscy, trzynaścioro ocalałych więźniów Głębi Maleen. Staliśmy w kwadratowym korytarzu wyłożonym białymi płytkami. Przypominał mi tunel metra. Na ścianach, na wysokości głowy, znajdowały się wygaszone lampy gazowe, biegnące długim szeregiem w mrok. Moi współwięźniowie – byli współwięźniowie, przynajmniej na razie – patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. Prócz Ammita i Joty wszyscy wyglądali na przerażonych. Czekali – Bóg mi świadkiem – aż książę Charlie ich poprowadzi.

Łomotanie do drzwi. Niebieskie światło przenikające pod nimi i przez szpary między deskami.

W tym momencie wydawało się, że rola przewodnika nie będzie trudna, bo mogliśmy iść jedynie w głąb korytarza. Ruszyłem w tamtą stronę z lampą, którą wziąłem od Joty. Nie mogłem się uwolnić od absurdalnej myśli, że wyglądam jak Statua Wolności. Nagle przyszły mi do głowy słowa, które usłyszałem kiedyś w jakimś starym filmie wojennym wyświetlanym na TCM. Wypłynęły z moich ust, nim pomyślałem, że chcę je wypowiedzieć. Przypuszczam, że albo byłem bliski histerii, albo znów mnie olśniło.

– Dalej, sukinsyny! Chcecie żyć wiecznie?

Ammit roześmiał się głośno i klepnął mnie w plecy tak mocno, że omal nie wypuściłem lampy, co pogrążyłoby nas w czymś, co autorzy staroświeckich powieści grozy nazywali *żywą ciemnością*.

Szedłem w głąb korytarza. Pozostali podążali za mną. Łomotanie do drzwi oddalało się z każdą chwilą, aż całkiem ucichło. Pomyślałem, że żołnierze Kellina będą się musieli mocno natrudzić, by je wyważyć, bo po

pierwsze, otwierały się na zewnątrz, a po drugie, pod niebieskim światłem nie kryło się nic prócz kości… o czym przekonaliśmy się na własnej skórze.

Niech Bóg błogosławi Percivala, który w liście przekazał nam nie tyle ostrzeżenie – jak początkowo myślałem – ile cenną wskazówkę: *drzwi zamykane ryglami*. W domyśle: „Zamknijcie je za sobą”.

– Kto chce żyć wiecznie? – ryknął Jota i jego głos powrócił do nas echem, odbity od wykładanych płytkami ścian.

– Ja… – odezwała się nieśmiało Jaya i… możecie mi wierzyć lub nie… parsknęliśmy śmiechem.

Wszyscy.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

## Tunel i stacja. Skrobanie. Dworzec trolejbusowy. Ruda Molly. Komitet powitalny. Rozpacz matki.

### 1

Przypuszczam, że tunel łączący salę obsługi z miejscem, w którym w końcu wydostaliśmy się na powierzchnię, miał jakieś dwa i pół kilometra długości, ale kiedy szliśmy w ciemnościach rozpraszanych jedynie blaskiem jednej lampy, wydawało się, że nie ma końca. Tunel stale się wznosił, a co jakiś czas natrafialiśmy na krótkie odcinki schodów; w jednym miejscu miały sześć stopni, w drugim osiem, w kolejnym trzy. Potem skręcił pod kątem prostym w prawo i prowadził do kolejnego – tym razem znacznie dłuższego – odcinka schodów. Murf nie był już wtedy w stanie podtrzymywać Doktora Freeda, więc rannego niósł Ammit. Kiedy dotarłem na górę, przystanąłem, by złapać oddech, i w tym momencie mnie dogonił. Wcale nie wyglądał na zmęczonego, niech go diabli…

– Freed mówi, że wie, dokąd to prowadzi – oznajmił. – Freed, powiedz mu.

Doktor podniósł na mnie wzrok. W bladym świetle lampy jego twarz, pełna siniaków, guzów i rozcięć, wyglądała upiornie. Te obrażenia tak naprawdę nie były groźne, ale w ranę na nodze wdało się zakażenie. Czułem jej odór.

– W dawnych czasach obsługiwałem niekiedy imprezy na stadionie – zaczął Freed. – Dyżurowałem w sali obsługi, razem z sędziami i ochroną, żeby opatrywać rany, złamania i rozbite głowy. To nie wyglądało tak jak Selekcja, nie chodziło o zabijanie dla samego zabijania, ale – tu padło słowo, którego mój umysł nie potrafił przetłumaczyć – i tak było bardzo brutalne.

Reszta naszej wesołej gromadki zebrała się na schodach poniżej. Nie mogliśmy sobie pozwolić na postój, musieliśmy jednak wiedzieć (ja musiałem wiedzieć), co nas czeka. Pochyliłem się nad Doktorem i poprosiłem, by mówił dalej, ale krótko i zwięźle.

– Nie korzystaliśmy z tego tunelu, żeby wejść na Stadion Monarchów, mimo to często tędy wychodziliśmy. Zawsze, gdy Empis przegrywało, a ludzie uważali, że to wina sędziów.

– Jebać sędziego i całą rodzinę jego… – mruknąłem.

– Co?

– Nieważne. Dokąd prowadzi?

– Do dworca trolejbusowego. – Freed zdobył się na nikły uśmiech. – Bo, jak sam rozumiesz, kiedy Empis przegrało mecz, przeciwnicy musieli jak najszybciej opuścić miasto.

– Daleko jest od tego dworca do bramy?

W odpowiedzi usłyszałem to, co chciałem usłyszeć, a nie czego się obawiałem.

– Nie, całkiem blisko.

– Chodźmy. – Omal nie dodałem: „żwawo, żwawo”, lecz nie zrobiłem tego. To był język naszych oprawców, a ja nie chciałem mieć nic wspólnego z ich poniżającymi uwagami. Odwdzięczyliśmy się siedmiu z nich. Bez względu na to, co czekało nas na końcu tunelu, tego nikt nie mógł nam odebrać.

– Kto ma jeszcze wiadra z wodą?! – zawołałem do tyłu.

Sześć osób, ale żadne wiadro nie było pełne. Poprosiłem, by szli tuż za mną. Jedyne, co nam pozostało, to wykorzystać najpierw to, co jeszcze mieliśmy, a potem to, co tylko się da.

## 2

Doszliśmy do kolejnych schodów, a gdy je pokonaliśmy, Ammit, w końcu zdyszany, przekazał Freeda Jocie.

– Zostawcie mnie – powiedział Doktor. – Tylko was opóźniam.

– Nie gadaj tyle, bo ci owsianka wystygnie – warknął Jo.

Może to była „owsianka” – jak w bajce o Złotowłosej i trzech misiach – a może „zupa”.

Korytarz wznosił się teraz stromiej, jak ten prowadzący na boisko. Miałem nadzieję, że wkrótce dotrzemy do celu, bo w lampie kończyło się już paliwo, a światło było coraz słabsze. W pewnym momencie zza ściany po mojej prawej ręce zaczęły dobiegać dziwne odgłosy, jakby drapania i skrobania. Przypomniałem sobie tamten wieczór, gdy biegłem do bramy i przewróciłem się na cmentarzu. Włosy stanęły mi dęba.

– Co to jest? – spytał Quilly. – Brzmi jak…

Nie dokończył, wszyscy jednak wiedzieliśmy, jak to brzmi: jak palce drapiące w ścianę, przedzierające się przez ziemię w naszą stronę.

– Nie wiem, co to jest – odparłem. Co chyba należałoby uznać za kłamstwo.

– Kiedy jego umysł jest wzburzony… umysł Eldena… zmarli robią się niespokojni – powiedziała Eris. – A przynajmniej tak słyszałam. Może to tylko historyjka dla niegrzecznych dzieci. Ale nawet jeśli to prawda, to nie… nie wydaje mi się, żeby mogli się tu dostać.

Nie byłem tego taki pewien. Widziałem przecież dłonie wyrastające z ziemi, zmarłych sięgających do świata żywych, słyszałem skrzypienie zardzewiałych zawiasów, jakby coś wychodziło z krypt i grobowców. Może niejedno „coś”.

– To tylko szczury – stwierdził Mesel. Starał się, by jego głos brzmiał pewnie. – Może nornice. Albo fretki. A cała reszta to historyjki dla niegrzecznych dzieci, jak mówi Eris.

Nie sądziłem, by te stwory – cokolwiek to było – mogły przebić się przez ścianę tunelu, ale odetchnąłem z ulgą, gdy zostawiliśmy te dźwięki za sobą. Jeśli rzeczywiście minęliśmy właśnie cmentarz, to przynajmniej mniej więcej wiedziałem, gdzie jesteśmy: zbliżaliśmy się do bramy.

Kiedy dotarliśmy do kolejnego ciągu schodów – stromego i długiego – lampa zaczęła przygasać.

– Zostawcie mnie, zostawcie mnie – jęknął Freed. – Ze mną już koniec.

– Zamknij się albo sam cię wykończę – wydyszał Jo i ruszył w górę schodów, z Doktorem na rękach. Poszedłem za nim, a za mną pozostali. Na szczycie znajdowało się małe pomieszczenie z ławkami po obu stronach i drzwiami. Drzwi były zamknięte na klucz lub zasuwkę i tym razem nie od środka. To byłoby zbyt łatwe. Funkcję klamki pełniła zardzewiała dźwignia. Ammit złapał za nią, przesunął w dół i pociągnął z całej siły. Oderwała się.

– Kurwa! – Wypuścił dźwignię i spojrzał na swoją krwawiącą dłoń. – Jo, chodź tutaj! Spróbujemy to razem wywalić!

Jo przekazał Doktora Freeda Cammitowi i Quilly’emu, po czym stanął obok Ammita, ramię przy ramieniu. Płomyk w lampce wystrzelił jeszcze raz w górę, niczym ostatni oddech umierającego. Przez moment widziałem nasze cienie na białych płytkach, a potem ogarnęła nas nieprzenikniona ciemność. Jaya jęknęła.

– Razem! – warknął Ammit. – Na trzy, wal w to tak mocno, jak nigdy jeszcze nie waliłeś w całym swoim pieprzonym życiu! Raz… dwa… TRZY!

Do pomieszczenia wpadła odrobina światła, gdy drzwi zatrzęsły się w futrynie, po chwili jednak znów zapadły ciemności.

– Och, możesz walnąć jeszcze mocniej, ty pieprzona… („Cipo”? „Pizdo”? W jednej chwili usłyszałem oba te słowa). – Na trzy! Raz… Dwa… TRZY!

Zamki lub rygle drzwi musiały być mocne, bo wytrzymały. Podobnie jak na cmentarzu, to zawiasy okazały się słabsze. Drzwi poleciały do tyłu i wylądowały z hukiem na podłodze. Jota i Ammit omal nie poszli w ich ślady. Jo upadł na kolana, a Ammit pomógł mu wstać. Pozostali przeszli spokojnie na drugą stronę.

– Dzięki najwyższym bogom! – zawołał Ocka. Jego głos wypełnił jakąś wielką przestrzeń i wrócił do nas echem: „ogom-ogom”. Chwilę później ogarnęła nas chmura błoniastych skrzydeł.

# 3

Eris i Jaya krzyknęły jednym głosem. Nie one jedne, chyba większość z nas wrzasnęła z przerażenia i zaskoczenia. Wiem, że ja wrzasnąłem. Żeby zakryć głowę, wypuściłem z dłoni lampę i usłyszałem, jak rozbija się na podłodze.

– Nietoperze – wyrzęził Freed. – To tylko nietoperze. Śpią tu… – Zaczął kasłać i nie mógł dokończyć, ale wskazał w górę, w kierunku głębokich cieni.

Ammit usłyszał jego słowa i ryknął:

– Nietoperze! Nic wam nie zrobią! Stójcie spokojnie i przegońcie je!

Zaczęliśmy wymachiwać rękami. Miałem nadzieję, że nie są to wampiry, bo były ogromne, jak nietoperze w tunelu między Illinois a Empis. Widziałem, jak nurkują i zawracają, bo przez szereg znajdujących się wysoko małych okien wpadała odrobina światła – zapewne był to blask przysłoniętych chmurami księżyców. Widziałem większość współtowarzyszy, wszyscy wymachiwali wściekle rękami. Cammit i Quilly nieśli Freeda, więc nie mogli się odganiać, ale Doktor poruszał słabo rękami i głośno kasłał.

W końcu nietoperze poleciały w górę; wróciły pod sufit ogromnego pomieszczenia, w którym się znaleźliśmy. Wyglądało na to, że ta część dworca trolejbusowego jest jednocześnie zajezdnią. Naliczyłem co najmniej dwadzieścia trolejbusów ustawionych w równych szeregach. Na płaskich maskach wymalowano nazwy przystanków docelowych: NADMORZE, DEESK, ULLUM, TAVYO PÓŁNOC, TAVYO POŁUDNIE, ZIELONE WYSPY. Tyczki na ich dachach, służące do odbierania prądu z napowietrznej trakcji (większość kabli leżała teraz na ulicach), zwieszały

się smętnie, jakby straciły wszelką nadzieję. Z boku tych trolejbusów, które widziałem, wypisano złotymi literami słowa, które we współczesnym Empis raczej nie cieszyły się popularnością: PRZYJAŹŃ, ZGODA, DOBROĆ i MIŁOŚĆ.

– Jak stąd wyjdziemy? – spytał Stooks.

– Nie umiesz czytać? – rzuciła ze zdziwieniem Eris.

– Trochę umiem, jak każdy parobek – burknął skwaszony Stooks. Wcale mu się nie dziwiłem. Też nie byłbym zadowolony, gdybym musiał trzymać się za policzek, żeby nie wypływało przez niego jedzenie.

– Więc przeczytaj to – powiedziała Eris, wskazując na wysoki środkowy łuk po przeciwnej stronie zajezdni.

Nad łukiem widniał napis WYJŚCIE.

Przeszliśmy pod nim, trzynaścioro uciekinierów prowadzonych przez ich nieporadnego księcia. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu niemal równie dużym jak zajezdnia. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się kasy biletowe, a wzdłuż drugiej szereg mniejszych łuków z nazwami przystanków docelowych. Szyby w kasach były powybijane; ogromną rzeźbę motyla na środku hali rozbito na drobne kawałki, a mural przedstawiający monarchy pochlapano farbą; wandalom nie udało się jednak usunąć wszystkich symboli związanych z motylami: wysoko w górze, wzdłuż wszystkich ścian hali, ciągnął się pas jasnożółtych płytek z wizerunkiem monarcha na każdej. Świadomość, że kumple Eldena nie byli w stanie ich zniszczyć, podniosła mnie na duchu, podobnie jak myśl, że być może w pobliżu jest coś, co się nam przyda.

– Chodźcie – powiedziałem, wskazując na szereg drzwi, i poderwałem się do biegu.

# 4

Wybiegliśmy na zewnątrz, niektórzy wciąż z wiadrami w rękach. Przystanęliśmy na szczycie schodów prowadzących w dół, do Drogi Gallienów. Cammit i Quilly, niosący między sobą Freeda, dyszeli ciężko. Usłyszałem brzęk dzwonka umieszczonego na autobusie Lorda Wysokiego i zobaczyłem kilkunastu nocnych żołnierzy biegnących przed dowódcą; byli tak rozstawieni, że zajmowali całą szerokość drogi. Do tej pory myślałem, że pojazd Kellina to jedyny zmotoryzowany środek transportu w Lilimar, ale myliłem się. Przed nocnymi żołnierzami, na czele grupy pościgowej, ujrzałem jeszcze jeden pojazd, w odróżnieniu od autobusu niezasilany prądem. Prychał i strzelał, zmierzając w naszą stronę. Z drewnianego wozu o wysokich burtach wystawała olbrzymia kierownica. Cztery obwiedzione metalem koła krzesały iskry o bruk.

Z przodu siedziała na wysokim siodełku Ruda Molly, która do mocy urządzenia zasilającego to dziwadło dorzucała jeszcze moc swoich mięśni, pedałując co sił w nogach. Jej wielkie kolana podnosiły się i opadały w zawrotnym tempie. Pochylała się nisko nad kierownicą niczym jakiś szalony motocyklista. Być może udałoby się nam dotrzeć do bramy przed nocnymi żołnierzami, nie ucieklibyśmy jednak Rudej Molly.

Widziałem słupy w białe i czerwone paski, widziałem porzucone na ziemi kable trakcji trolejbusowej, na których omal się nie przewróciłem, widziałem krzaki jeżyn, w które wrzuciłem plecak, by biec szybciej. Nie udało mi się wtedy i wiele wskazywało na to, że nie uda się i tym razem – nie uda się żadnemu z nas, jeśli nie odnajdę plecaka.

– Ta suka… Zajmę się nią! – warknął Jota, zaciskając dłonie w pięści.

– Pójdę z tobą – rzucił Ammit. – Pójdę albo niech mnie szlag trafi.

– Nie – powstrzymałem ich. Myślałem o bratanku Woody’ego, Aloysiusie, któremu matka Rudej Molly jednym uderzeniem urwała głowę. – Jo, poczekaj.

– Ale mogę…

Złapałem go za ramię.

– Jeszcze nas nie zobaczyła. Patrzy prosto przed siebie. Mam coś. Zaufaj mi. – Spojrzałem na pozostałych. – Zostańcie tu wszyscy.

Pochylając się nisko, zbiegłem ze schodów. Prychający, warkoczący wóz był już na tyle blisko, że widziałem rysy twarzy Rudej Molly… lecz ona wciąż patrzyła przed siebie, mrużąc oczy – może była krótkowidzem – przekonana, że zobaczy nas biegnących do bramy.

Być może udałoby mi się ją zaskoczyć, ale wtedy na ulicę wybiegła mała postać w zielonych spodniach za kolana – z materiałem rozerwanym na tyłku – i zaczęła wymachiwać rękami.

– On jest tutaj! – wrzasnął Peterkin, wskazując na mnie.

Jak nas znalazł? Czekał tu? Nigdy się tego nie dowiedziałem i specjalnie mnie to nie interesowało. Ten podły skurwiel zawsze zjawiał się w najgorszym momencie.

– Jest tutaj, jest tutaj! – Pokazywał ręką i podskakiwał z podniecenia. – Nie widzisz go, ty wielka ślepa suko? JEST TU…

Ruda Molly nawet nie zwolniła, pochyliła się tylko i walnęła go tak, że wzbił się w powietrze. Widziałem przez moment jego twarz, naznaczoną przedśmiertnym wyrazem krańcowego zdumienia, a potem rozpadł się na dwie części. Uderzenie Rudej Molly było na tyle silne, że dosłownie rozerwało go na pół. Wyleciał w górę na jakieś siedem metrów, ciągnąc za sobą wstęgę jelit. Znów pomyślałem o Rumpelsztyku… po prostu nie byłem w stanie uciec od tej myśli.

Ruda Molly uśmiechała się szeroko, odsłaniając spiłowane na kształt kłów stożkowate zęby.

Nocni żołnierze nie znaleźli mojego plecaka, Bogu dzięki. Wciąż leżał w jeżynach. Kolce żłobiły głębokie nacięcia na moich ramionach, gdy go wyciągałem, ale nawet tego nie czułem. Jeden z rzemyków zamykających plecak wysunął się bez trudu, drugi się poplątał. Rozerwałem go i wyjąłem ze środka puszkę sardynek, słoik masła orzechowego, słoik po sosie do spaghetti wypełniony psią karmą, koszulę, szczoteczkę do zębów, bokserki…

Jota złapał mnie za ramię. Wbrew mojemu poleceniu mały oddział wodnych wojowników zszedł za nim ze schodów, co ostatecznie wyszło nam na dobre.

– Jo, zabieraj ich i biegnij! Ty nieś Freeda, a ci, którzy mają jeszcze wodę, niech biegną na końcu! Przy bramie krzyknij: „Otwierać w imię Lei z Gallienu”! Zapamiętasz?

– Tak.

– ZARAZ ZDECHNIESZ! – ryknęła Ruda Molly głębokim barytonem, zasilanym przez potężne płuca.

– Biegnijcie!

Jo machnął mięsistą łapą na pozostałych.

– Ruszajcie się wszyscy! – polecił. – Żwawo, jeśli wam życie miłe!

Większość go posłuchała. Ale nie Ammit. Najwyraźniej mianował siebie moim strażnikiem.

Nie miałem czasu, by się z nim spierać. Znalazłem dwudziestkędwójkę Polleya i wyszarpnąłem ją z plecaka, razem z kilkoma puszkami sardynek i paczką pełnoziarnistych krakersów miodowych Nabisco (nie pamiętałem nawet, że je spakowałem). Ruda Molly zatrzymała się dziesięć metrów przed schodami dworca i zsunęła się z wysokiego siodełka. Ręka, którą

uderzyła Peterkina, była umazana po łokieć jego krwią. Ammit stanął przede mną, co nie było najlepszym pomysłem, bo żeby trafić teraz w Molly, musiałbym przestrzelić mu głowę. Odepchnąłem go więc na bok.

– Spieprzaj stąd, Ammit!

Nie zwracał na mnie uwagi. Rzucił się na Rudą Molly z okrzykiem wściekłości. Był naprawdę potężnym mężczyzną, ale w porównaniu z olbrzymką wydawał się niewiele większy od Peterkina, który leżał teraz martwy, w dwóch częściach, na bruku ulicy. Przez moment była zbyt zaskoczona tym nieoczekiwanym atakiem, żeby zareagować. Ammit natychmiast to wykorzystał. Złapał się jednej z jej szerokich szelek, podciągnął na jednej ręce i zatopił zęby w jej ramieniu, tuż nad łokciem.

Wrzasnęła z bólu, złapała go za tłuste długie włosy i odciągnęła jego głowę od swojej ręki. Zacisnęła dłoń w pięść i dosłownie wbiła ją w jego twarz. Oczy Ammita wysunęły się z oczodołów w dwóch różnych kierunkach, jakby nie chciały zobaczyć czerwonej dziury, w której zniknęły jego usta i nos. Podniosła go, wciąż tylko jedną ręką, i potrząsnęła tym wielkim facetem jak lalką. Potem odrzuciła go w stronę cmentarza, rozbryzgując dokoła krople krwi z ugryzionego ramienia. Ammit był silny i nieustraszony, lecz pozbyła się go jak natrętnego dziecka.

A potem odwróciła się do mnie.

Siedziałem na brukowanym chodniku Drogi Gallienów, rozkładając szeroko nogi i trzymając oburącz pistolet Polleya. Przypomniałem sobie, co czułem w chwili, gdy lufa tej broni wciskała się w tył mojej głowy. Znów pomyślałem o Rumpelsztyku i o tym, jak bardzo Polley przypominał tego baśniowego karła: „Co mi dasz, jeśli uprzędę z tej słomy złoto?”. Polley zabiłby mnie z zimną krwią, gdyby tylko dostał złoto pana Bowditcha, a potem wrzuciłby moje ciało do magicznej studni ukrytej w szopie.

Przede wszystkim jednak myślałem o tym, czy ta mała broń powstrzyma olbrzymkę, tak jak kamień z procy Dawida powstrzymał Goliata. Być może… pod warunkiem że w pistolecie zostało kilka naboi. Strzelałem z niego już dwukrotnie, w mniej magicznym świecie.

Ruda Molly ruszyła w moją stronę, uśmiechając się szeroko. Z głębokiej rany na jej ręce wypływał strumień krwi, lecz nie zwracała na to uwagi. Pomyślałem, że może w ugryzienie wda się infekcja, która ostatecznie ją zabije, jeśli ja nie zrobię tego wcześniej.

– Żaden z ciebie książę – zadudniła głębokim barytonem. – Jesteś robakiem. Zwykłym robakiem. Po prostu cię rozdepczę i…

Strzeliłem. Z pistoletu wydobył się nie tyle huk, ile delikatny trzask, niewiele głośniejszy od tego, jaki wydawała wiatrówka Daisy, którą miałem w dzieciństwie. Nad prawym okiem Rudej Molly pojawił się mały czarny otwór. Gdy odchyliła się do tyłu, strzeliłem ponownie. Tym razem otwór pojawił się w jej szyi i kiedy olbrzymka wydała z siebie ryk bólu, wystrzelił z niego strumień krwi. Wypływał pod tak dużym ciśnieniem, że wyglądał jak sztywny, twardy przedmiot, jak drzewce czerwonej strzały. Strzeliłem po raz kolejny i czarna dziura, niewiele większa od kropki na końcu zdania, pojawiła się na czubku nosa Rudej Molly. Żadna z tych ran nie powstrzymała olbrzymki.

– TYYY…! – wrzasnęła, wyciągając ręce w moją stronę.

Nie cofnąłem się, nawet nie próbowałem się uchylić: nie mógłbym wtedy dobrze wymierzyć, a na ucieczkę i tak już było za późno. Ruda Molly dopadłaby mnie dwoma olbrzymimi susami. Gdy niemal sięgała już mojej głowy, by złapać mnie za włosy jak Ammita, wystrzeliłem pięciokrotnie, raz za razem. Wszystkie pociski trafiły w jej wrzeszczące otwarte usta. Pierwsze dwa – może trzy – pozbawiły ją większości zębów. W *Wojnie światów* najbardziej wyszukana ziemska broń nie mogła

skutecznie powstrzymać szalejących Marsjan; zabiły ich zarazki. Nie wydaje mi się więc, by którykolwiek pocisk z małego pistoletu Polleya zatrzymał Molly, nawet jeśli było ich osiem, bo tyle naboi wystrzeliłem w jej stronę.

Myślę, że połknęła wybite zęby… i udławiła się nimi.

# 5

Gdyby upadła na mnie, być może nie zdołałbym się wydostać spod jej wielkiego cielska przed przybyciem Kellina i jego nocnych żołnierzy, a być może zginąłbym od razu. Ważyła z pewnością co najmniej dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Najpierw jednak opadła na kolana; dławiła się i krztusiła, trzymając rękę na krwawiącej szyi. Oczy wyszły jej z orbit. Odsunąłem się do tyłu na tyłku, przewróciłem na bok i odtoczyłem. Nocni żołnierze byli już blisko, nie zdążyłbym dobiec przed nimi do bramy, a zużyłem wszystkie naboje – magazynek był pusty.

Olbrzymka ostatkiem sił próbowała mnie jeszcze dosięgnąć; machnęła ugryzioną ręką i obryzgała krwią moje policzki i czoło. Potem upadła na twarz. Wstałem. Mogłem biec, ale jaki miałoby to sens? Lepiej stanąć z nimi twarzą w twarz i godnie umrzeć.

Myślałem wtedy o ojcu, który zapewne wciąż łudził się nadzieją, że wrócę do domu. Razem z Lindym Franklinem i wujem Bobem okleili pewnie wszystkie miasteczka między Sentry i Chicago plakatami z moim zdjęciem… i zdjęciem Radar. CZY KTOŚ WIDZIAŁ TEGO CHŁOPCA LUB TEGO PSA? Przejście do Empis pozostałoby niestrzeżone i być może

to właśnie było ważniejsze od jednego zrozpaczonego ojca, lecz gdy zbliżali się do mnie nocni żołnierze, myślałem tylko o tacie. Wytrzeźwiał, ale po co? Żona nie żyła, syn zniknął bez śladu.

Lecz jeśli Jota zdołał przeprowadzić pozostałych przez bramę, za którą nocni żołnierze nie mogli już dotrzeć, wszyscy odzyskali wolność. To już było coś.

– No dalej, sukinsyny! – zawołałem.

Odrzuciłem bezużyteczną broń i rozłożyłem szeroko ramiona. Tymczasem Kellin, widoczny zza szeregu niebieskich postaci, zatrzymał swój mały autobus. Początkowo myślałem, że chce się tylko przyglądać, jak umieram, ale nie patrzył na mnie. Patrzył na niebo. Nocni żołnierze również się zatrzymali; wciąż dzieliło mnie od nich sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów. Patrzyli w górę, z jednakowym wyrazem zdumienia na półprzezroczystych ludzkich twarzach okrywających ich czaszki.

Choć warstwa chmur przyćmiewała blask dwóch ścigających się po niebie księżyców, było wystarczająco jasno, bym zrozumiał, co się dzieje. Zza murów miasta nadpływała chmura pod chmurami. Sunęła w stronę Drogi Gallienów, eleganckich sklepów i łuków, w stronę pałacu, gdzie trzy wieże z zielonego szkła lśniły w blasku lamp okalających stadion.

To była chmura monarchów, ogromna; entomolodzy nazywają takie kalejdoskopami. Przeleciały nade mną, zmierzając ku nocnym żołnierzom. Nad nimi zwolniły, zatoczyły krąg i przeszły do lotu nurkowego. Rzuciły się na nich zwartą masą. Żołnierze podnieśli ręce ku niebu, jak podobno robił to Kat Skrzydlatych po udanym zamachu stanu, ale nie mieli jego mocy, a motyle nie umierały. Poza tymi, które jako pierwsze uderzyły w elektryczną osłonę nocnych żołnierzy. Ginęły w ciszy; każdy motyl zamieniał się na moment w oślepiający błysk w zetknięciu z niebieską poświatą. Wyglądało to z daleka jak grupa niewidzialnych dzieci, które

wymachują zimnymi ogniami w wieczór Czwartego Lipca. Setki płonęły, ale za nimi z nieba spływały tysiące, które albo tłumiły śmiercionośne niebieskie światło, albo doprowadzały do zwarcia. Wydawało się, że chmura z każdą chwilą rośnie i gęstnieje, całkowicie pochłaniając nocnych żołnierzy.

Ale nie Lorda Wysokiego. Jego mały elektryczny autobus zawrócił gwałtownie i ruszył z powrotem w stronę pałacu. Część motyli odrywała się od chmury i próbowała go gonić, ale był dla nich za szybki, a poza tym sukinsyna chronił dach. Nocni żołnierze, którzy chcieli udaremnić naszą ucieczkę, zniknęli. Wszyscy. W miejscu, gdzie stali jeszcze przed chwilą, widać było jedynie trzepot delikatnych skrzydeł. Widziałem przez moment kościstą rękę uniesioną w rozpaczliwym geście, lecz zaraz zniknęła w pomarańczowo-czarnej masie.

Pobiegłem w stronę bramy. Była otwarta. Moi współtowarzysze wyszli już na zewnątrz, ale do miasta wpadło coś innego: sunęło w szalonym tempie tuż nad ziemią i szczekało bez opamiętania. Jeszcze przed sekundą myślałem, że chcę jedynie wydostać się z tego przeklętego miasta, teraz jednak uświadomiłem sobie, że jest coś, czego pragnę bardziej. Pomyślałem o Dorze, która na widok mojego psa zaczęła przywoływać go do siebie zniekształconym przez chorobę głosem. Mnie również głos się łamał, tylko że nie za sprawą straszliwej klątwy, lecz tłumionego szlochu. Upadłem na kolana i wyciągnąłem przed siebie ręce.

– Radar! Radar! RADAR!

Uderzyła we mnie i przewróciła na plecy; skomląc, lizała mnie po całej twarzy. Tuliłem ją z całych sił. I płakałem. Nie mogłem przestać płakać. Wiem, że księciu to raczej nie przystoi, ale jak już się pewnie domyśliliście, to nie jest tego rodzaju baśń.

# 6

Nasze radosne powitanie przerwał dobrze mi znany potężny głos:

– SHARLIE! KSIĄŻĘ SHARLIE! SPIERDALAJ STAMTĄD BO MUSIMY ZAMKNĄĆ BRAMĘ! CHODŹ DO NAS SHARLIE!

Słusznie, pomyślałem, podnosząc się na równe nogi. I spinaj poślady, książę Sharlie.

Radar tańczyła wokół mnie, szczekając w euforii. Ruszyłem biegiem do bramy. Claudia stała tuż za nią i nie była sama. Towarzyszył jej Woody, a między nimi Lea siedziała na grzbiecie Falady. Za nimi ustawili się więźniowie z Głębi Maleen, a dalej tłum ludzi, których nie widziałem dobrze w półmroku.

Claudia nie weszła do Lilimar, lecz pochwyciła mnie, gdy tylko wypadłem za bramę, i zamknęła w uścisku tak mocnym, że słyszałem, jak trzeszczy mi kręgosłup.

– Gdzie on jest? – pytał Woody. – Słyszę psa, ale gdzie…

– Tutaj – powiedziałem. – Jestem tu.

Tym razem to ja zamknąłem przyjaciela w niedźwiedzim uścisku.

Kiedy wypuściłem go z objęć, Woody przyłożył dłoń do czoła i opadł na jedno kolano.

– Mój książę. Więc od początku to byłeś właśnie ty. Zjawiłeś się właśnie tak, jak zapowiadały to stare opowieści.

– Wstań – rzuciłem. Z policzkami mokrymi od łez, które wciąż płynęły strumieniem z oczu (i smarkami wypływającymi z nosa, które otarłem wierzchem dłoni), cały okrwawiony, nigdy chyba nie czułem się mniej podobny do księcia. – Proszę, Woody, wstań.

Zrobił to. Spojrzałem na moich współtowarzyszy z lochu; przyglądali się naszemu powitaniu z respektem i niedowierzaniem. Eris i Jaya tuliły się do siebie. Jo trzymał Doktora Freeda na rękach. Wydawało się oczywiste, że niektórzy z moich przyjaciół, może wszyscy, dobrze wiedzą, kim jest ta trójka: że to nie tylko kompletni, ale także kompletni czystej krwi. Byli członkami rodziny królewskiej i – być może z wyjątkiem obłąkanej Yolande i pustelnika Burtona – ostatnimi dziedzicami rodu Gallienów.

Za uciekinierami z Maleen stało sześćdziesięcioro, może siedemdziesięcioro szarych ludzi; niektórzy trzymali w rękach pochodnie, inni wrzecionowate lampy podobne do tej, którą zostawił mi Pursey. Zobaczyłem wśród nich kobietę, którą dobrze znałem. Radar już do niej biegła. Szedłem w jej stronę, nawet nie zauważając, że zdeformowani ludzie, którzy zostali przeklęci przez Eldena – lub przez istotę wykorzystującą go jako swoją marionetkę – padali przede mną na kolana, przystawiając dłonie do czoła. Dora też próbowała uklęknąć, lecz jej na to nie pozwoliłem. Uściskałem ją, pocałowałem w oba szare policzki i w kącik półkolistych ust.

Przyprowadziłem ją do Woody’ego, Claudii i Lei.

– ZAMYKAĆ W IMIĘ LEI Z GALLIENU! – ryknęła Claudia.

Brama zaczęła się powoli przesuwać; ukryta w murach i ziemi maszyneria pojękiwała niczym udręczone stworzenie. W tym właśnie momencie zobaczyłem ogromną postać biegnącą wielkimi susami główną arterią miasta. Chmury monarchów wirowały nad nią i wokół niej; niektóre motyle przysiadały nawet na jej ramionach i kanciastej głowie, była jednak zbyt wielka, by mogły jej wyrządzić krzywdę. Gdy brama zamknęła się już w połowie, olbrzymia postać zawyła tak głośno, tak rozpaczliwie i przeraźliwie, że wszyscy prócz Claudii zakryli dłońmi uszy.

– MOLLY! – ryknęła Hana. – OCH, MOJA MOLLY! MOJA NAJDROŻSZA, DLACZEGO SIĘ NIE RUSZASZ?

Pochyliła się nad martwą córką, a potem wyprostowała. Za zamykającą się bramą stał cały tłum, lecz Hana patrzyła tylko na mnie.

– WRACAJ! – Podniosła wielkie jak głazy pięści i pogroziła mi nimi. – WRACAJ, TY TCHÓRZU, ŻEBYM MOGŁA CIĘ ZABIĆ ZA TO, CO ZROBIŁEŚ MOJEJ NAJDROŻSZEJ!

W końcu brama zamknęła się z trzaskiem i zrozpaczona matka Molly zniknęła nam z oczu.

# 7

Podniosłem wzrok na Leę. Tym razem nie miała na sobie niebieskiej sukni. Ani białego fartuszka. Była w ciemnych spodniach, z nogawkami wsuniętymi w wysokie cholewki skórzanych butów, i pikowanej kamizelce z wizerunkiem monarcha, królewskiego herbu Gallienów, po lewej stronie nad piersią. Jej talię opinał szeroki pas. Przy jednym biodrze wisiał sztylet, na drugim opierała się pochwa skrywająca krótki miecz ze złoconą rękojeścią.

– Witaj, Leo – powiedziałem, nagle dziwnie onieśmielony. – Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Odwróciła głowę, nie pokazując w żaden sposób, że mnie usłyszała – jakby była równie głucha jak Claudia. Jej pozbawiona ust twarz była nieruchoma niczym skała.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

**Narada. Skoczek. Książę niedisnejowski. Książę i księżniczka. Pakt.**

## 1

Z naszej narady zapamiętałem przede wszystkim dwie rzeczy. Nikt nie wymienił imienia Gogmagoga, a Lea nawet na mnie nie spojrzała. Ani razu.

## 2

Nieco później tej nocy w tym samym baraku, w którym schroniłem się z Radar przed wejściem do Lilimar, było sześć osób, mój pies i klacz Lei. Woody, Claudia i ja siedzieliśmy na podłodze. Radar leżała obok mnie, z łbem ułożonym na moim udzie, jakby chciała mieć pewność, że tym razem nigdzie jej nie ucieknę. Lea siedziała oddzielnie, na schodkach z przodu trolejbusu oznaczonego napisem NADMORZE. W kącie baraku

przycupnęła Franna, szara kobieta, która wyszeptała do mnie „Pomóż jej”, gdy opuszczałem gospodarstwo „garki”. Głaskała po łbie Faladę, zajętą jedzeniem ziarna z worka, który podsuwał jej Jota. Na zewnątrz znajdowali się pozostali uciekinierzy oraz rosnący tłum szarych ludzi. Ani razu nie słyszałem wycia – wilki najwyraźniej nie przepadały za tłumami.

Na moim biodrze znów spoczywała czterdziestkapiątka pana Bowditcha. Claudia była może i głucha, lecz wzrok wciąż miała doskonały. Dostrzegła błysk niebieskich kamieni zdobiących pas z kaburą, który leżał w chaszczach tuż poza murem miasta. Musiałem wyczyścić i naoliwić broń, by mieć pewność, że działa należycie, ale tym mogłem zająć się później. Pomyślałem, że być może uda mi się znaleźć potrzebne narzędzia i materiały na stołach z tyłu baraku. Kiedyś, w lepszych czasach, bez wątpienia mieścił się tutaj warsztat naprawczy.

– Wąż został raniony, ale wciąż żyje – powiedział Woody. – Musimy odciąć mu łeb, nim odnowi zasoby trucizny. I ty musisz nas do tego poprowadzić, Charlie.

Wyjął z kieszeni płaszcza bloczek papieru i eleganckie pióro wieczne; mówiąc, zapisywał coś równie sprawnie i szybko jak widząca osoba. Podniósł papier do oczu Claudii. Ta przeczytała i pokiwała energicznie głową.

– MUSISZ PROWADZIĆ SHARLIE! JESTEŚ OBIECANYM KSIĘCIEM! DZIEDZICEM ADRIANA Z MAGICZNEGO ŚWIATA!

Lea zerknęła na nią, a potem znów opuściła wzrok, kryjąc twarz za kosmykami włosów. Jej palce przesuwały się po gruzłowatej rękojeści miecza.

Ja z pewnością niczego nikomu nie obiecywałem. Byłem zmęczony i wystraszony, ale w grę wchodziło coś ważniejszego.

– Powiedzmy, że masz rację, Woody. Powiedzmy, że pozwalając Katowi Skrzydlatych ponownie nabrać mocy, narazimy na niebezpieczeństwo siebie i całe Empis.

– Tak właśnie będzie – potwierdził cicho Woody.

– Mimo to nie poprowadzę do miasta tłumu nieuzbrojonych ludzi, jeśli to właśnie masz na myśli. Być może połowa nocnych żołnierzy już nie żyje, bo i tak nie było ich zbyt wielu…

– Owszem – zgodził się ze mną Woody. – Większość wolała umrzeć naprawdę, niż egzystować w tej postaci i służyć potworowi.

Patrzyłem na Leę – prawdę mówiąc, nie mogłem oderwać od niej wzroku – i zauważyłem, jak się wzdrygnęła, jakby słowa Woody’ego ją zraniły.

– Zabiliśmy siedmiu, motyle jeszcze więcej. Zostaje reszta.

– Góra dwunastu – odezwał się Jota z rogu baraku. – Może nawet mniej. Monarchy zabiły dziesięciu, o ile dobrze policzyłem, a w całym oddziale Kellina nie było więcej niż trzydziestu.

– Jesteś pewien?

Wzruszył ramionami.

– Siedziałem w tym lochu przez całą wieczność, więc żeby zająć czymś myśli, liczyłem wszystko, co tylko się dało. Kiedy nie liczyłem nocnych żołnierzy, odliczałem krople kapiące z sufitu albo kamienie w podłodze.

W mojej celi podłoga składała się z czterdziestu trzech kamiennych bloków.

– Nawet dwunastu to za dużo, kiedy mogą cię pozbawić przytomności samym dotykiem albo zabić uściskiem – odpowiedziałem. – No i jest jeszcze Kellin, który potrafi nimi skutecznie dowodzić.

Woody napisał KELLIN na bloczku i pokazał to Claudii. Nie widział, więc obrócił kartkę w niewłaściwą stronę. Przesunąłem jego rękę tak, by

Claudia mogła zobaczyć napis.

– KELLIN! TAK! – wrzasnęła. – I NIE ZAPOMINAJCIE O HANIE!

Nie, byłoby bardzo niedobrze, gdybyśmy zapomnieli o Hanie, która dyszała teraz żądzą zemsty.

Woody westchnął i potarł dłonią twarz.

– Kellin był dowódcą Gwardii Królewskiej za rządów mojego brata. Dzielnym i bystrym. Wtedy dodałbym jeszcze „lojalnym”. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że zwróci się przeciwko Janowi. Ale też nigdy bym nie uwierzył, że Elden zrobi to, co zrobił.

Nie mógł zobaczyć, jak Lea odwraca się od niego, tak samo jak odwróciła się ode mnie, gdy się do niej odezwałem, ale ja to dostrzegłem.

– Widzę to tak – zabrałem głos. – Musimy powstrzymać Kata Skrzydlatych, zanim zrobi coś jeszcze. Coś gorszego. Bo chyba wszyscy wiemy, co zrobił do tej pory. Sprawił, że całe królestwo pokryło się szarością. Splugawił szarością nawet ludzi, z wyjątkiem kilku… – omal nie powiedziałem „bękartów”, ale w porę ugryzłem się w język – kompletnych. Których zresztą konsekwentnie wybija. Problem w tym, że po prostu nie wiem, jak sobie z nim poradzić. Ani kiedy.

– „Kiedy” to będzie najłatwiejsze – wtrącił się Jota. Skończył karmić Faladę i właśnie chował worek z uszczuplonym zapasem paszy do jednego z juków na jej grzbiecie. – Za dnia. Niebieskie chłopaki są wtedy słabsze i w ogóle nie mogą wychodzić na słońce. Albo „pstryk” i zostają z nich tylko same kości. – Spojrzał na Woody’ego. – Przynajmniej tak słyszałem.

Woody skinął głową.

– Ja też tak słyszałem. Ale nie brałbym tego za pewnik. – Znów napisał coś na kartce i pokazał ją Claudii.

Tym razem nie widziałem, co chciał jej przekazać, ale pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– NIE NIE NIE! ON NIE MOŻE ZROBIĆ WIĘCEJ NIŻ JUŻ ZROBIŁ JEŚLI NIE PÓJDZIE DO TEGO! A MOŻE PÓJŚĆ DOPIERO GDY KSIĘŻYCE SIĘ POCAŁUJĄ! TAK MÓWI LEGENDA A JA UWAŻAM ŻE TO PRAWDA!

Lea podniosła wzrok, po raz pierwszy wyraźnie zainteresowana tematem rozmowy. Odwróciła się do Falady. Kiedy klacz zaczęła mówić, Jota zareagował w sposób… zabawny, oględnie mówiąc.

– Moja pani widziała je dziś wieczorem, kiedy chmury rozeszły się na chwilę, i Bella prawie dogoniła Arabellę!

Woody wyciągnął rękę do Claudii i postukał ją w ramię. Potem wskazał na Leę i na niebo, a następnie przesunął dwa palce przed twarzą kuzynki, jeden tuż za drugim. Claudia otworzyła szeroko oczy i uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała na Leę.

– WIDZIAŁAŚ TO?

Lea skinęła głową.

Kiedy Claudia odwróciła się do mnie, jej twarz wyrażała emocję, jakiej nie widziałem u tej kobiety nigdy dotąd. Strach.

– WIĘC TRZEBA TO ZROBIĆ JUTRO! MUSISZ GO POWSTRZYMAĆ SHARLIE! TY JEDEN MOŻESZ TO ZROBIĆ! MUSI ZGINĄĆ ZANIM ARABELLA POCAŁUJE SWOJĄ SIOSTRĘ! NIE MOŻNA POZWOLIĆ BY ZNÓW OTWORZYŁ MROCZNĄ STUDNIĘ!

Lea zerwała się na równe nogi, pochwyciła Faladę za uzdę i poprowadziła klacz w stronę drzwi. Radar podniosła łeb i zaskomlała. Franna ruszyła za swoją panią i dotknęła jej ramienia. Księżniczka odtrąciła ją wzruszeniem ramion. Wstałem.

– ZOSTAW JĄ! ZOSTAW! MA ZŁAMANE SERCE I POTRZEBUJE CZASU ŻEBY SIĘ Z TYM POGODZIĆ! – zawołała Claudia. Bez

wątpienia miała dobre intencje, ale jej ryczący głos odarł te słowa z wszelkiego współczucia.

Lea znów się wzdrygnęła.

Mimo to podszedłem do niej.

– Leo, proszę. Wra…

Odepchnęła mnie tak mocno, że omal się nie przewróciłem.

I wyszła, prowadząc ze sobą konia, który był jej głosem.

## 3

Nie musiała otwierać drzwi, ponieważ nie były zamknięte. Nie trzeba było tego robić, skoro w pobliżu nie czaiły się wilki. Tłum szarych ludzi wciąż rósł, a gdy Lea wyszła z koniem z baraku, ci stojący najbliżej upadli na kolana. Wszyscy przyłożyli dłonie do czoła. Byłem pewien, że jeśli ona lub któreś z pozostałych dwojga żyjących członków rodziny królewskiej kazaliby im zająć miasto, albo przynajmniej spróbować to zrobić, nie wahaliby się.

Wiedziałem, że to ja i moja obecność w Empis doprowadziły do tej sytuacji. Gdybym nawet próbował zaprzeczać, wszystkie moje argumenty straciłyby znaczenie wobec jednego prostego faktu: oni naprawdę wierzyli, że jestem obiecanym księciem. Nie wiem, jak Lea, ale Woody i Claudia również tak uważali. A to oznaczało, że jestem odpowiedzialny za tłum potencjalnych buntowników, w tym za Dorę.

Ruszyłem za Leą, lecz Claudia chwyciła mnie za rękę.

– NIE! ZOSTAŃ! FRANNA SIĘ NIĄ ZAJMIE.

– Odpręż się, Charlie – powiedział Woody. – Odpocznij, jeśli możesz. Na pewno jesteś bardzo zmęczony.

Wyjaśniłem, że my, uciekinierzy z Maleen, robimy się senni, gdy wstaje słońce, ale na razie wcale nie chce nam się spać. Poza tym stan uniesienia wywołany dodatkową porcją adrenaliny i radością, że znalazłem się poza lochem i zasięgiem śmiertelnych wrogów – w co wciąż trudno było uwierzyć – był całkiem przyjemny.

Woody wysłuchał mnie, skinął głową i napisał coś dla Claudii. Byłem zafascynowany tym, jak eleganckie i równe jest jego pismo, mimo że nie widział. Notka miała następującą treść: *Charlie i jego towarzysze przywykli spać za dnia i działać nocą*. Claudia skinęła głową ze zrozumieniem.

– Jest zła, bo go kochała, o to chodzi, tak? – spytałem. – Kiedy ją poznałem, powiedziała przez Faladę, że Elden zawsze był dla niej dobry.

Woody znów sięgnął po pióro i po chwili podniósł zapisaną kartkę: *Chce znać prawdę o L i E*. Poniżej postawił znak zapytania.

– POWIEDZ MU CO UWAŻASZ! – huknęła Claudia. – CZEKA NAS DŁUGA NOC A NOC TO DOBRA PORA NA OPOWIEŚCI! ZASŁUGUJE NA TO BY POZNAĆ PRAWDĘ!

Skinął głową.

– W porządku – rzucił. – Musisz wiedzieć, Charlie, że Lea woli wierzyć, że Elden nie żyje, bo nie chce… nie może… uwierzyć, że stał się Katem Skrzydlatych. Jako dzieci byli ze sobą tak. – Złożył dłonie i splótł palce. – Po części wynikało to z okoliczności ich narodzin. Oboje byli najmłodsi i kiedy ich nie ignorowano, to im dokuczano. Starsze siostry, Dru, Ellie, Joy i Fala, nienawidziły Lei, ponieważ była najmłodszą córeczką, ulubienicą mamy i taty, ale także dlatego, że były raczej przeciętne, a ona ładna.

– CO ON CI MÓWI?! – ryknęła Claudia. Doszedłem do wniosku, że jednak umie trochę czytać z ruchu ust. – BAWI SIĘ W DYPLOMACJĘ JAK ZA CZASÓW GDY JAN ZASIADAŁ NA TRONIE?! NIE NIE NIE! POWIEDZ MU PRAWDĘ STEPHENIE WOODLEIGH! LEA BYŁA PIĘKNA JAK LETNI PORANEK NATOMIAST POZOSTAŁE CZTERY BRZYDKIE JAK MAŁPY! ODZIEDZICZYŁY URODĘ PO OJCU A LEA WDAŁA SIĘ W MATKĘ!

I znów – Claudia nie powiedziała „brzydkie jak małpy”, ale to właśnie usłyszałem. Chyba nie muszę wam mówić, że to, co słyszałem, było kolejną baśnią. Brakowało jedynie szklanego pantofelka.

– Dziewczyny ostrzyły sobie języki… i tak już cięte… właśnie na Eldenie – kontynuował Woody. – Nazywały go Klocem, Kuternogą, Zezowatym albo Szarą Gębą…

– Szarą Gębą? Naprawdę?

Woody uśmiechnął się smutno.

– Zaczynasz rozumieć, na czym polega jego zemsta, prawda? Odkąd Elden jako Kat Skrzydlatych doszedł do władzy, Empis zamieszkują niemal wyłącznie ludzie o szarych twarzach. Wybija tych nielicznych, którzy są odporni na klątwę, wybiłby też wszystkie motyle, gdyby tylko mógł. Nie chce w swoim ogrodzie żadnych kwiatów, tylko chwasty.

Pochylił się do przodu i objął rękami kolana, wciąż trzymając w dłoni bloczek papieru.

– Siostry Lei używały tylko słów – ciągnął. – Natomiast brat Eldena, choć wcale nie miał ku temu powodów, nie szczędził mu razów i kopniaków, gdy w pobliżu nie było nikogo prócz grupki oddanych mu lizusów. Robert był równie ładny, jak Elden brzydki, rozpieszczany i hołubiony przez rodziców, którzy niemal całkowicie ignorowali młodszego syna. Nie musiał też obawiać się o swoją pozycję; to on był

starszy i on miał odziedziczyć tron po śmierci lub abdykacji Jana. Po prostu nienawidził młodszego brata i czuł do niego wstręt. Myślę… – Woody milczał przez chwilę, marszcząc brwi. – Sądzę, że zawsze istnieje jakiś powód do miłości, a nienawiść czasami po prostu jest. Coś w rodzaju dryfującego zła.

Nie odpowiedziałem, ale pomyślałem o moich dwóch Rumpelsztykach: Christopherze Polleyu i Peterkinie. Dlaczego karzeł zadał sobie tyle trudu, by wymazać wszystkie inicjały, które wyprowadziłyby mnie z miasta na długo przed zmierzchem? Dlaczego ryzykował życie – i stracił je – by pokazać Rudej Molly, gdzie stoję? Bo nie pozwoliłem mu się znęcać nad czerwonym świerszczem? Bo ja byłem wysoki, a on niski? Nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Robił to, bo mógł. Bo chciał, by innym działo się źle.

Franna wróciła i wyszeptała coś Woody’emu do ucha. Ten skinął głową.

– Mówi, że w pobliżu jest kościół, który nie został zniszczony. Lea poszła tam z Dorą… kobietą, która naprawia buty… i kilkoma innymi, żeby się przespać.

Przypomniałem sobie kościół, który widziałem tu ostatnim razem.

– Może to dobrze – rzuciłem. – Na pewno jest zmęczona.

Pochwyciłem spojrzenie Claudii, wskazałem na Frannę, a potem złożyłem razem dłonie i położyłem na nich głowę.

– ZMĘCZONA?! LEA I MY WSZYSCY! MAMY ZA SOBĄ DŁUGĄ PODRÓŻ! NIEKTÓRZY SZLI TU WIELE DNI!

– Mów dalej, proszę – zwróciłem się do Woody’ego. – Wspomniałeś, że siostry nienawidziły Lei, a Robert Eldena…

– Wszyscy nienawidzili Eldena – poprawił mnie. – Wszyscy prócz Lei. Na dworze uważano powszechnie, że chłopiec nie dożyje dwudziestki.

Pomyślałem o sflaczałym, śliniącym się stworzeniu z loży dla VIP-ów, o jego skórze, która przeszła z szarości w jeszcze bardziej niezdrową zieleń,

i zastanawiałem się, jak Elden czuje się teraz. Zastanawiałem się również, co poruszało się pod tym jego fioletowym płaszczem… Tylko że nie byłem pewien, czy chcę to wiedzieć.

– Tych dwoje najmłodszych dzieci zbliżyła nienawiść i niechęć ze strony pozostałych. Lgnęli do siebie, bo naprawdę się kochali i… jak sądzę… byli bystrzejsi od rodzeństwa. Spenetrowali wszystkie zakamarki pałacu, od wierzchołków iglic, gdzie zabraniano im chodzić, ale i tak się na nie wspinali, po najniższe poziomy.

– Głębię Maleen?

– Prawdopodobnie. I jeszcze głębiej. Pod miastem kryje się wiele starych przejść i korytarzy, do których od lat nikt nie zaglądał. Nie wiem, czy Lea była z Eldenem, gdy trafił na drogę prowadzącą do Mrocznej Studni. Ona nie chce mówić o tych latach, gdy oboje wyrastali już z dzieciństwa. W każdym razie niemal wszędzie chodzili we dwoje, może z wyjątkiem pałacowej biblioteki. Lea, choć bardzo inteligentna, nigdy nie przepadała za książkami. To Elden był w tej dwójce zapalonym czytelnikiem.

– Założę się, że jego brat też się z tego wyśmiewał – wtrącił Jota.

Woody odwrócił się w jego stronę i uśmiechnął się.

– Zgadza się, przyjacielu Charliego. Robert i siostry też.

– O CZYM TY MU TERAZ OPOWIADASZ?! – spytała Claudia. Woody napisał na kartce krótkie podsumowanie. Przeczytała je i huknęła: – POWIEDZ MU O ELSIE!

Wyprostowałem się.

– O syrenie?

– Tak – potwierdził Woody. – O pałacowej syrenie. Widziałeś ją może?

Skinąłem głową. Nie zamierzałem dodawać, że widziałem to, co z niej zostało.

– Mieszkała w ukrytym małym pomieszczeniu – kontynuował Woody. – Właściwie w grocie. Chciałbym bardzo wierzyć, że nadal tam jest, lecz szczerze w to wątpię. Pewnie umarła z samotności lub głodu. I ze smutku.

Umarła, owszem, nie zabiły jej jednak samotność, głód czy smutek.

– Elden i Lea ją karmili, a ona im śpiewała. Dziwne pieśni, ale piękne. Lea sama je kiedyś śpiewała. – Po krótkiej przerwie dodał: – Gdy miała jeszcze usta.

Pogłaskałem Radar po łbie. Spojrzała na mnie sennie. Ich podróż była równie trudna jak moja, ale dla niej wszystko dobrze się skończyło. Dostała nowe życie i była z ludźmi, którzy ją kochali. Te rozmyślania przypomniały mi o tym, jak dowiedziałem się, że Radar żyje.

– Opowiedz mi o świerszczu – zwróciłem się do Claudii. – O czerwonym świerszczu. Takim wielkim. – Rozłożyłem ręce. – Nie rozumiem, jak się z tobą skontaktował. Przybył z Radar? I dlaczego…

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– ZAPOMNIAŁEŚ ŻE CIĘ NIE SŁYSZĘ SHARLIE?!

Miała rację. Mógłbym wam powiedzieć, że zapomniałem o tym, bo tej nocy miała rozpuszczone włosy, które zakrywały miejsca, gdzie powinny znajdować się uszy, lecz nie byłaby to prawda. Po prostu zapomniałem. Opowiedziałem więc Woody’emu, jak uratowałem czerwonego świerszcza z rąk Peterkina i jak później przyszedł do mojej celi z listem przyklejonym do brzucha. Z listem, który zawierał kępkę sierści Radar. Opowiedziałem też, jak przykleiłem swoją wiadomość do owada i odesłałem go z powrotem, kierując się maksymą taty: „Niczego nie oczekuj, ale nigdy nie trać nadziei”.

– Dobra rada – zauważył Woody i podniósł pióro do bloczka papieru. Pisał szybko, zadziwiająco równo. Na zewnątrz szarzy ludzie układali się

do snu, dzielili się kocami. Widziałem Faladę uwiązaną po drugiej stronie drogi do słupka i skubiącą trawę.

Woody podał bloczek Claudii. Gdy odczytywała jego słowa, zaczęła się uśmiechać. Uśmiech jakby przywrócił jej urodę ukrytą pod szorstką maską; wyglądała naprawdę pięknie. Kiedy się odezwała, jej głos był znacznie cichszy i łagodniejszy niż zwykle, jakby mówiła do siebie.

– Mimo wszystkich starań Eldena, podejmowanych w imieniu istoty, której służy… być może sam nie zdaje sobie sprawy, że jest jej narzędziem, ale z pewnością nim jest… magia przetrwała. Bo magię bardzo trudno zniszczyć, jak sam już chyba zauważyłeś, prawda?

Skinąłem głową i pogłaskałem Radar, która jeszcze niedawno żegnała się z życiem, a teraz, po sześciu obrotach na zegarze słonecznym, znów była silna i zdrowa.

– Tak, magia przetrwała – powtórzyła Claudia. – Elden nazywa siebie Katem Skrzydlatych, ale sam widziałeś, że tysiące… nie, MILIONY monarchów wciąż żyją. I choć Elsa pewnie zginęła, Skoczek nadal żyje. Dzięki tobie, Sharlie.

– Skoczek? – powtórzył Jota, siadając prosto. Po chwili plasnął się w czoło wielką dłonią. – Najwyżsi bogowie, jak mogłem się nie domyślić?

– Kiedy do mnie przyszedł… och, Sharlie… kiedy przyszedł…

Ku mojemu zdumieniu i zaniepokojeniu Claudia zaczęła płakać.

– Och, znów SŁYSZEĆ, Sharlie! Kiedy znów USŁYSZAŁAM, choć nawet nie ludzki głos, to było CUDOWNE…

Radar wstała i potruchtała do niej. Claudia na chwilę przysunęła głowę do jej łba, głaszcząc ją po bokach, od szyi do ogona. Szukając pocieszenia. Woody objął ją ramieniem. Pomyślałem, że powinienem zrobić to samo, ale nie zrobiłem. Książę czy nie, byłem zbyt nieśmiały.

Po chwili podniosła głowę i otarła mokre od łez policzki nasadą dłoni. Gdy się odezwała, powróciła do swojego zwykłego poziomu głośności.

– SYRENA ELSA ŚPIEWAŁA DZIECIOM! STEPHEN MÓWIŁ CI O TYM?!

– Tak – odparłem, a potem przypomniałem sobie, że jest głucha, i skinąłem głową.

– ŚPIEWAŁA KAŻDEMU KTO PRZYCHODZIŁ JEJ POSŁUCHAĆ! ALE TYLKO JEŚLI OCZYŚCIŁ UMYSŁ Z INNYCH MYŚLI ŻEBY MÓGŁ JĄ USŁYSZEĆ. ROBERT I SIOSTRY LEI NIE MIELI CZASU NA TAKIE BZDURY ALE ELDEN I LEA BYLI INNI! TO BYŁY PIĘKNE PIEŚNI PRAWDA WOODY?!

– Prawda – przyznał, choć sądząc po jego minie, chyba i on nie miał zbyt dużo czasu na słuchanie pieśni Elsy.

Postukałem się palcem w czoło, pochyliłem się do przodu i postukałem w czoło Claudii.

– TAK SHARLIE! NIE TAKIE PIEŚNI KTÓRE MOŻNA USŁYSZEĆ USZAMI BO SYRENY NIE POTRAFIĄ MÓWIĆ!

– Ale świerszcz? – Poruszyłem dłonią, naśladując skaczącego owada. – Ten… Jak go nazwałaś? Skoczek?

Oszczędzę wam na jakiś czas huczącego głosu Claudii, dobrze? Okazało się, że czerwony świerszcz to nie jakiś tam skoczek, ale Skoczek, król małego świata, jak nazwała go Claudia. Wtedy uznałem, że ma na myśli owady („To tylko przeklęty insek”, powiedział Peterkin), później jednak doszedłem do wniosku, że Skoczek może być władcą wielu małych stworzeń, które widziałem podczas swojej podróży. I podobnie jak syrena Elsa, mógł przemawiać do ludzi – tak jak przemówił do Claudii, gdy wraz z Radar dotarł do jej domu. Według Claudii przez większość tej podróży siedział na grzbiecie mojego psa. Trudno było mi to sobie wyobrazić, ale

rozumiałem powody: świerszcz wciąż dochodził do siebie po tym, co zrobił mu Peterkin.

Skoczek powiedział Claudii, że pan psa został albo zabity, albo uwięziony w Lilimar. Spytał ją, czy może coś z tym zrobić, oprócz doprowadzenia Radar do jej domu. Bo, jak twierdził, ten młody człowiek uratował mu życie, a tego rodzaju długi trzeba spłacać. I dodał, że jeśli ten młody człowiek nadal żyje, to jest pewnie w Głębi Maleen, a on znał drogę do tego miejsca.

– Skoczek – powtórzył Jota z niedowierzaniem. – Widziałem Skoczka i nawet się nie zorientowałem. Niech mnie gęś kopnie…

– Do mnie nic nie mówił – powiedziałem.

– A słuchałeś? – spytał Woody z uśmiechem.

Oczywiście, że nie słuchałem: mój umysł był wtedy wypełniony różnymi myślami… tak jak umysły wielu z tych, którzy mijali Elsę i nie słyszeli jej pieśni, bo byli zbyt zajęci, by słuchać. To samo można powiedzieć o wielu pieśniach (i wielu opowieściach) w moim świecie. Przemawiają do twojego umysłu, ale tylko wtedy, gdy słuchasz.

Zrozumiałem, że uratował mnie nie tylko sen o suszarce do włosów mojej mamy, lecz także królewski świerszcz, któremu wyświadczyłem kiedyś przysługę. Pamiętacie, jak na samym początku mówiłem, że nikt nie uwierzy w moją opowieść?

# 4

Woody i Claudia byli zmęczeni, widziałem to, nawet Radar zasnęła, musiałem jednak wiedzieć więcej.

– Co miała na myśli Lea, kiedy mówiła o całujących się księżycach? – spytałem.

– Myślę, że twój przyjaciel może ci to wyjaśnić – odparł Woody.

Jota bardzo chętnie podjął się tego zadania. Słyszał opowieść o niebiańskich siostrach jako dziecko, a jak zapewne sami wiecie, drodzy czytelnicy, to właśnie opowieści z dzieciństwa robią na nas największe wrażenie i zapadają najgłębiej w pamięć.

– Ścigają się po niebie, jak wszyscy widzą. Albo jak widzieli, zanim chmury wszystko zakryły. – Zerknął na blizny Woody'ego. – Przynajmniej ci z oczami. Czasami prowadzi Bella, czasami Arabella. Zwykle są od siebie bardzo daleko, ale potem ta odległość się zmniejsza.

Widziałem to na własne oczy, gdy chmury na chwilę się rozstępowały.

– W końcu jedna mija drugą i w taką noc łączą się ze sobą, jakby się całowały – dodał Jota.

– Dawnymi czasy ludzie mówili, że pewnego dnia naprawdę się zderzą – wtrącił Woody. – I rozpadną na kawałki. Być może nawet nie muszą się zderzyć, by ulec zniszczeniu: wzajemne przyciąganie może je rozerwać na strzępy. Jak zdarza się to czasem między ludźmi.

Joty nie interesowały takie filozoficzne rozważania.

– Powiadają – kontynuował – że tej nocy, gdy księżycowe siostry się całują, wszystkie złe siły i stworzenia mogą wyjść z ukrycia i bez przeszkód robić swoje. – Przerwał i po chwili mówił dalej: – Kiedy byłem mały, zabraniano nam wychodzić w takie noce z domu. Wilki wyły wtedy jak

opętane, wiatr też… ale nie tylko. – Spojrzał na mnie z powagą. – Charlie, cały świat wył. Jakby cierpiał.

– I Elden może otworzyć Mroczną Studnię, kiedy to się zdarzy? – spytałem. – Tak mówi legenda?

Ani on, ani Woody nie odpowiedzieli, ale wyraz ich twarzy mówił jednoznacznie, że – ich zdaniem – nie jest to wcale legenda.

– A to stworzenie, które żyje w Mrocznej Studni? – dopytywałem się dalej. – To, które zamieniło Eldena w Kata Skrzydlatych?

Woody skinął głową.

– Znasz jego imię – rzucił. – A skoro je znasz, to wiesz, że niebezpiecznie jest je wypowiadać.

O tak, wiedziałem.

– POSŁUCHAJ MNIE SHARLIE! – Słysząc monotonny ryk Claudii, Radar otworzyła oczy i podniosła łeb, a po chwili go opuściła. – JUTRO WCHODZIMY DO MIASTA I ODBIJAMY JE GDY NOCNI ŻOŁNIERZE SĄ NAJSŁABSI! LEA NAS POPROWADZI! TO JEJ PRAWO! ALE TY MUSISZ ZNALEŹĆ ELDENA I ZABIĆ GO ZANIM OTWORZY STUDNIĘ! POWINNA TO ZROBIĆ LEA BO JEST PRAWOWITĄ NASTĘPCZYNIĄ TRONU WIĘC TO POWINNO BYĆ JEJ ZADANIE… JEJ BRZEMIĘ… ALE…

Nie chciała kończyć tego zdania, tak jak nie chciała wypowiadać imienia Gogmagoga, istoty kryjącej się w Mrocznej Studni. I nie musiała. Lea wierzyła święcie, że jej ukochany brat, z którym słuchała pieśni syreny, nie może być Katem Skrzydlatych. Mimo wszystkiego, co słyszała i co sama wycierpiała, łatwiej było jej trwać w przekonaniu, że Elden nie żyje, że monstrum rządzące ruinami Lilimar i jego nielicznymi mieszkańcami to oszust, który przejął jego imię. Gdyby odkryła, że to rzeczywiście Elden,

i znalazła go gdzieś głęboko w labiryncie tuneli i katakumb, mogłaby się zawahać.

I zginąć, jak wielu spośród jej krewnych.

– TY JESTEŚ OBIECANYM KSIĘCIEM! – kontynuowała Claudia. – MASZ WSZYSTKIE ZMYSŁY Z KTÓRYCH NAS OGRABIONO! JESTEŚ DZIEDZICEM ADRIANA TEGO KTÓRY PRZYSZEDŁ Z MAGICZNEGO ŚWIATA! JESTEŚ TYM KTÓRY MUSI ZABIĆ ELDENA NIM TEN ZDOŁA OTWORZYĆ TĘ PIEKIELNĄ OTCHŁAŃ!

Jota słuchał jej z szeroko otwartymi oczami… i ustami. Ciszę, która zapadła po słowach Claudii, przerwał Woody. Mówił cicho, lecz każde jego słowo było niczym uderzenie młotem.

– Oto co może się zdarzyć najgorszego: to, co kiedyś wróciło do Mrocznej Studni, tym razem może nie wrócić. Otwierając ją, Elden ryzykuje nie tylko sprowadzenie szarości na cały nasz świat, ale także jego kompletne zniszczenie. A wtedy kto wie, dokąd może się udać ta istota?

Pochylił się do przodu i jego pozbawiona oczu twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od mojej.

– Empis… Bella… Arabella… Istnieją inne światy niż ten, Charlie.

Owszem, istniały. Czy nie przyszedłem z jednego z nich?

Chyba właśnie wtedy zaczął mnie ogarniać ten szczególny chłód, który pamiętałem ze swoich najgorszych wygłupów z Bertiem Birdem. I ze spotkania z Polleyem, gdy połamałem mu ręce. I z pojedynku z Cla. Rzuciłem w niego kawałkiem kurczaka i powiedziałem: „Wydymam cię, kochanie”. A potem to zrobiłem, i to bez żalu. Nie byłem disnejowskim księciem, i pewnie dobrze. Bo to nie disnejowskiego księcia potrzebował lud Empis.

# 5

Claudia i Woody spali, podobnie jak szarzy ludzie, którzy z nimi przyszli. Mieli za sobą wyczerpującą podróż, a nazajutrz – i może nie tylko – czekała ich ciężka praca. Ja natomiast chyba nigdy nie czułem się bardziej pobudzony, i to nie tylko dlatego, że podczas pobytu w więzieniu mój rytm dnia i nocy całkiem się odwrócił. Miałem tysiące pytań, na które wciąż nie znałem odpowiedzi. Najstraszniejsze dotyczyło tego, co może zrobić Gogmagog, jeśli wydostanie się ze studni. Dręczyła mnie myśl, że może przejść do naszego świata, jak zrobił to ogromny karaluch.

Karaluch, od którego wszystko się zaczęło, pomyślałem i omal nie parsknąłem śmiechem.

Wyszedłem na zewnątrz. Odgłosy wydawane przez śpiących – stękanie, pojękiwania, od czasu do czasu pierdnięcia – przypomniały mi noce spędzone w Głębi Maleen. Usiadłem pod ścianą baraku i spojrzałem na niebo, w nadziei, że chmury na chwilę się rozstąpią i zobaczę choćby kilka gwiazd, a może nawet Bellę i Arabellę, lecz widziałem jedynie jednolitą czerń. Która w ciągu dnia zamieniłaby się w szarość. Po drugiej stronie Drogi Królestwa Falada nadal skubała trawę. Kilka dogasających ognisk oświetlało śpiących tam ludzi. W sumie zgromadziło się tu już około stu osób. Jeszcze nie armia, ale jak tak dalej pójdzie…

Ktoś się do mnie zbliżał. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Jotę i Radar. Jota przykucnął obok mnie. Radar usiadła obok niego. Poruszała delikatnie nozdrzami, łowiąc zapachy nocy.

– Nie możesz spać? – spytałem.

– Nie. Zegar w głowie całkiem mi się poprzestawiał.

Witaj w klubie, pomyślałem.

– Jak często księżyce przesuwają się po niebie?

– Co najmniej trzy razy w ciągu nocy, czasami dziesięć – odparł po chwili zastanowienia. – Nigdy nie przestają.

Dla mnie nie miało to sensu, bo żyłem w świecie, gdzie kosmiczny zegar działa z przewidywalną i niezmienną precyzją. Godzinę wschodu i zachodu Księżyca można było dokładnie określić z dziesięcioletnim, pięćdziesięcioletnim czy stuletnim wyprzedzeniem. To nie był ten świat. W tym świecie syreny i czerwony świerszcz nazywany Skoczkiem mogli przesyłać pieśni i myśli do umysłów tych, którzy słuchali.

– Szkoda, że ich nie widać. Chciałbym zobaczyć, czy rzeczywiście są teraz tak blisko siebie.

– Niby ich nie widać, możesz jednak zobaczyć ich blask, kiedy przesuwają się nad chmurami. Im jaśniejszy, tym są bliżej. Ale po co ci to? Chyba nie sądzisz, że księżniczka kłamała?

Pokręciłem głową. Wyraz zaniepokojenia na twarzy Lei z pewnością był autentyczny.

– To prawda, że pochodzisz z innego świata? – spytał nagle Jota. – Magicznego? Chyba tak, bo nigdy nie widziałem takiej broni jak ta, którą nosisz na biodrze. – Po chwili milczenia dodał: – I nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ty. Dzięki bogom najwyższym, że nie musiałem z tobą walczyć w pierwszej rundzie Selekcji. Nie byłoby mnie tutaj.

– Pokonałbyś mnie, Jo.

– Nie. Jesteś księciem, to prawda. Na początku nawet by mi to nie przyszło do głowy, ale jesteś. Jest w tobie coś twardego jak stara farba.

I mrocznego, przemknęło mi przez głowę. Moja własna mroczna studnia, której powinienem się strzec.

– Mógłbyś go znaleźć? – spytał, głaszcząc Radar pociętą bliznami wielką dłonią. – My możemy się zająć całą resztą, na pewno damy radę.

Nocni żołnierze w dzień będą słabi, a kiedy nie będzie miał ich kto bronić, przydupasy Eldena rozbiegną się jak króliki… i wyrżniemy ich jak króliki… Ale Kat Skrzydlatych! Jeśli zszedł głęboko pod ziemię, może go znaleźć tylko ktoś, kto… Masz może jakiś… no nie wiem…

Pajęczy zmysł? – pomyślałem, mówiąc jednocześnie:

– Jakiś książęcy zmysł?

Roześmiał się, ale skinął głową. Właśnie coś takiego miał na myśli.

– Nie – odparłem.

– A co z Purseyem? Tym, który nam pomógł? Czy on może znać drogę do Mrocznej Studni?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, w końcu jednak pokręciłem głową. Miałem nadzieję, że Pursey żyje, lecz wiedziałem, że szanse na to są niewielkie. Kellin domyślił się na pewno, że ktoś nam pomagał. Owszem, mógł założyć, że to ja wpadłem na tę śmiercionośną sztuczkę z wiadrami pełnymi wody, ale skąd mogłem wiedzieć o drzwiach ukrytych za szafką? Taką informację mogliśmy otrzymać tylko od kogoś z pałacu. Zresztą nawet jeśli Pursey uniknął śmierci i męczarni w sali tortur, wydawało się mało prawdopodobne, by znał drogę do Mrocznej Studni.

Siedzieliśmy w głębokim cieniu, gdzie nie docierał nawet blask ostatnich dogasających ognisk, więc wyjąłem ze skarpetki drugą zapałkę i potarłem nią o ścianę baraku. Odgarnąłem włosy do tyłu i podniosłem zapałkę na wysokość oczu.

– Co widzisz? Nadal orzechowe?

Jota pochylił się bliżej.

– Nie. Niebieskie. Jasnoniebieskie, mój książę.

Nie byłem zaskoczony.

– Mów do mnie „Charlie” – rzuciłem i zgasiłem zapałkę. – A jeśli chodzi o świat, z którego pochodzę… Myślę, że wszystkie światy są

magiczne. Po prostu przyzwyczajamy się do tego.

– Co teraz? – spytał Jota.

– Co zrobię? Będę czekał. Możesz czekać ze mną albo wrócić do środka i spróbować zasnąć.

– Zostanę.

– My też – dodał ktoś. Odwróciłem się i zobaczyłem dwie kobiety, Eris i Jayę. To Eris mówiła w ich imieniu. – Na co czekamy, mój książę?

– Mówcie do niego „Charlie” – powiedział Jo. – Woli tak. Skromny, wiecie. Jak książę z baśni.

– Zobaczymy to, na co czekam, albo nie – odparłem. – A teraz bądźcie cicho.

Byli cicho. Świerszcze – prawdopodobnie nie czerwone – cykały w chaszczach i ruinach zniszczonych przedmieść otaczających mury. Oddychaliśmy wolnym powietrzem. To było miłe. Czas mijał. Falada skubała trawę, a potem stała nieruchomo, z opuszczonym łbem; pewnie drzemała. Radar spała. Po jakimś czasie Jaya wskazała na niebo. Za warstwą chmur pojawiły się dwa jasne światła, przesuwające się po niebie z dużą prędkością. Nie dotykały się – nie całowały – ale mimo zasłony chmur widzieliśmy, że są bardzo, bardzo blisko siebie. Przemknęły za trzema wieżami pałacu i zniknęły. Krąg lamp gazowych na koronie stadionu zgasł. W mieście było ciemno, wiedziałem jednak, że za murami po ulicach krążą nocni żołnierze, którzy ocaleli z niedawnego pogromu.

Minęła godzina, może dwie. Mój zegar wewnętrzny był tak samo rozregulowany jak zegar Joty, ale zbliżał się już chyba świt, gdy nastąpiło to, na co czekałem – na co liczyła mroczna część mojej natury. Z kościoła wyszła księżniczka Lea. Strój – spodnie, buty z cholewami, miecz – nie pozostawiał wątpliwości, że to ona. Jota usiadł prosto i otworzył usta. Położyłem dłoń na jego piersiach i podniosłem palec do ust.

Obserwowaliśmy w ciszy, jak odwiązuje Faladę i prowadzi ją do bramy miasta; unikała brukowanej drogi, by stukot kopyt nikogo nie obudził. Księżniczka była już tylko niewyraźną sylwetką w ciemności, gdy dosiadła wierzchowca.

Wstałem.

– Nikt nie musi ze mną iść – powiedziałem. – Ale po tym wszystkim, co przeszliśmy, nie będę was zatrzymywał, jeśli postanowicie pójść ze mną.

– Nie odstąpię cię na krok – oznajmił Jota.

– Idę – rzuciła Eris.

Jaya tylko skinęła głową.

– Ty, Radar, nie – rzuciłem. – Zostań z Claudią.

Opuściła uszy i przestała machać ogonem. Jej oczy były pełne niemego błagania i nadziei.

– Nie – powtórzyłem. – Jedna wyprawa do Lilimar ci wystarczy.

– Kobieta sporo nas wyprzedza, Charlie – zauważył Jota. – A brama jest zamknięta. Jeśli mamy ją dogonić…

– Chodźmy, ale powoli – powiedziałem. – Mamy mnóstwo czasu. Nie spróbuje wejść, dopóki nie wstanie dzień. Chce się przekonać na własne oczy, że Kat Skrzydlatych nie jest jej bratem, i pewnie uratować Eldena, jeśli ten nadal żyje, ale nie jest głupia. Dogonimy ją, zanim wejdzie do miasta, i spróbuję ją przekonać, żeby do nas dołączyła.

– Jak to zrobisz? – spytała Eris.

– Wszelkimi dostępnymi środkami. – Nikt nie zareagował na te słowa. – Elden być może jest już w Mrocznej Studni i czeka, aż księżyce się pocałują. Musimy się tam dostać i powstrzymać go, zanim do tego dojdzie.

– Wszelkimi dostępnymi środkami – dodała cicho Eris.

– A jeśli Lea nie zna drogi? – spytał Jota.

– Wtedy mamy przechlapane – odparłem.

– Mój książę – odezwała się Jaya. – To znaczy Charlie. – Odwróciła się i wskazała ręką.

Radar truchtała za nami. Zobaczyła, że na nią patrzę, i podbiegła do mnie. Ukląkłem i ująłem jej łeb w dłonie.

– Niegrzeczny pies! Wrócisz tam?

Tylko na mnie patrzyła.

Westchnąłem ciężko i wstałem.

– No dobrze. Chodź.

Szła tuż przy mojej nodze, gdy nasza czwórka – piątka, licząc Radar – zmierzała do nawiedzonego miasta.

## 6

Brama była blisko – widziałem już jej zarys – gdy coś wyskoczyło na nas ze zniszczonego budynku po lewej stronie drogi. Wyjąłem czterdziestkępiątkę pana Bowditcha, nim jednak zdążyłem ją podnieść, nie wspominając już o wycelowaniu, tajemniczy kształt wykonał długi (choć trochę krzywy) skok i wylądował na grzbiecie Radar. To był Skoczek. Patrzyliśmy na niego w zdumieniu, kompletnie zaskoczeni. Tylko Radar nie wyglądała na zdziwioną. Niosła już kiedyś tego pasażera i wydawało się, że znów chętnie to zrobi. Skoczek umościł się na jej grzbiecie niczym obserwator na wieży.

Przed bramą nie zastaliśmy Lei ani Falady. Nie podobało mi się to. Przystanąłem, żeby zastanowić się, co dalej. Świerszcz zeskoczył ze

swojego wierzchowca, podszedł niemal do samej bramy, a potem skręcił w prawo. Radar też tam przeszła, trąciła nosem Skoczka (któremu najwyraźniej to nie przeszkadzało), a potem obejrzała się na nas, by sprawdzić, czy też idziemy.

Wybrukowana ścieżka, dawniej wykorzystywana pewnie przez służby odpowiedzialne za porządek, biegła wzdłuż muru, przez sterty gruzu porośnięte gęsto bluszczem. Prowadził Skoczek, przeskakując przez chaszcze i zwinnie omijając rozrzucone cegły. Mniej więcej po stu krokach w ciemnościach z przodu zobaczyłem biały kształt, który wydał z siebie ciche rżenie. Obok Falady siedziała na skrzyżowanych nogach księżniczka Lea, oczekując świtu. Najpierw zobaczyła świerszcza, a potem pozostałych. Podniosła się i stanęła naprzeciwko nas na szeroko rozstawionych stopach; dłoń trzymała na rękojeści miecza, jakby szykowała się do walki.

Falada przemówiła, tym razem nie uciekając się do trzeciej osoby.

– Więc to tak. Doprowadził was do mnie pan Skoczek. Brawo! Ale teraz musicie zawrócić.

– Kto dba o twoje gęsi, pani, kiedy wyjeżdżasz?

Nie to zamierzałem powiedzieć i z pewnością nie to – ani nie w taki sposób – powiedziałby Charles Reade z Sentry w stanie Illinois. Teraz może się to wydawać absurdalne, zwłaszcza gdy o tym piszę. Kiedy jednak wypowiadałem te słowa, nie mówiłem nawet do końca własnym głosem. Mogę tylko zapewnić, że w tamtym miejscu i czasie zabrzmiało to właściwie.

Jej oczy otworzyły się szerzej, a potem powieki zmarszczyły się w kącikach. Nie miałem co do tego pewności, lecz księżniczka wydawała się rozbawiona i zaskoczona.

– Ludzie mojej pani, Whit i Dickon, świetnie sobie z nimi radzą – powiedziała Falada.

Jak Dick Whittington z tej angielskiej baśni, pomyślałem. Mój Boże, kolejna baśń.

– Czy ten koń… – zaczęła Jaya.

Skuliła się i spuściła wzrok, gdy Lea uciszyła ją machnięciem ręki.

– Skoro już otrzymałeś odpowiedź na swoje głupie pytanie, zostaw mnie. Mam ważną sprawę do załatwienia.

Spojrzałem na jej dumną i piękną twarz, na bliznę pozostałą w miejscu ust i czerwoną skazę, którą musiała co dnia przebijać.

– Jadłaś coś? – spytałem. – Bo musisz mieć siły na to, co cię tam czeka, pani.

– Wzięłam co trzeba – odpowiedziała mi Falada. Widziałem, jak porusza się gardło Lei, gdy przekazywała swój głos klaczy. – A teraz idźcie. Rozkazuję wam.

Ująłem jej dłonie. Były drobne i zimne. Zachowywała pozory – wyniosła księżniczka, która ma wszystko pod kontrolą – ale była zapewne śmiertelnie przerażona. Próbowała cofnąć ręce, lecz jej nie pozwoliłem.

– Nie, Leo. To ja rozkazuję tobie. Jestem obiecanym księciem. Chyba o tym wiesz.

– Nie księciem tego świata – odpowiedziała Falada. Teraz słyszałem już wyraźnie klikanie i pomruki wydobywające się z gardła Lei. Jej uprzejmość była niezamierzona; wynikała raczej z konieczności. Gdyby nie musiała… co i tak przychodziło jej z wielkim trudem… mówić za pośrednictwem klaczy, dałaby mi nieźle popalić. W jej oczach nie widziałem już rozbawienia, tylko wściekłość. Ta kobieta, która karmiła gęsi z fartucha, przywykła do tego, że ludzie bez słowa sprzeciwu wykonywali jej polecenia.

– Nie, nie jestem księciem tego świata – przyznałem. – Ani tego, ani mojego, ale spędziłem wiele dni w lochu, byłem zmuszany do zabijania

i widziałem, jak umierają moi towarzysze. Rozumiesz mnie, księżniczko? Rozumiesz, dlaczego mam prawo ci rozkazywać?

Falada milczała. Z oka Lei popłynęła łza i sunęła powoli po gładkim policzku.

– Przejdź się ze mną kawałeczek – poprosiłem.

Pokręciła głową tak energicznie, że jej włosy zafalowały. Znów próbowała wysunąć ręce z mojego uścisku i znów jej na to nie pozwoliłem.

– Mamy czas, przynajmniej godzinę do brzasku, a los całego twojego świata może zależeć od tego, co sobie powiemy. Nawet mój świat może być zagrożony. Więc proszę.

Wypuściłem jej dłonie i wyjąłem ze skarpetki przedostatnią zapałkę. Odgarnąłem na bok bluszcz, zapaliłem zapałkę o szorstki kamień i przysunąłem płomień do oczu, jak wcześniej przy Jocie. Lea stanęła na palcach, by w nie spojrzeć. Była tak blisko, że mógłbym pocałować ją w czoło.

– Niebieskie – powiedziała Falada.

– On naprawdę gada – mruknęła Eris.

– Nie, to księżniczka – poprawił ją Jota, zniżając głos do szeptu.

Byli oszołomieni tym, co widzieli i słyszeli. Ja też, bo jak mogłem nie być? Tu działała magia, a ja stałem się jej częścią. Przerażało mnie to, bo nie do końca byłem sobą, ale też napawało dumą.

– Chodźmy, moja pani. Musimy porozmawiać. Proszę.

Posłuchała mnie.

# 7

Przeszliśmy nieco dalej ścieżką, oddalając się od pozostałych. Po lewej ciągnął się porośnięty bluszczem mur, po prawej ruiny przedmieść, w górze ciemne niebo.

– Musimy go powstrzymać – powiedziałem. – Nim ściągnie na nas jakiś straszliwy kataklizm.

Radar szła między nami ze Skoczkiem na grzbiecie i to właśnie on mi odpowiedział. Jego głos był znacznie wyraźniejszy niż ten, którego używała Lea, przemawiając przez Faladę.

– To nie jest mój brat. Elden nie jest Katem Skrzydlatych. On nigdy nie zrobiłby tak straszliwych rzeczy. Był łagodny i kochający.

Ludzie się zmieniają, pomyślałem. Mój ojciec się zmienił i ja się zmieniałem, gdy byłem z Bertiem. Pamiętam, jak się zastanawiałem, dlaczego dobry człowiek, taki jak ja, robi takie paskudne rzeczy.

– Jeśli żyje, jest więźniem – kontynuował Skoczek. – Ale nie wierzę w to. Przypuszczam, że nie żyje, jak wielu członków mojej rodziny.

– Ja też tak uważam – odparłem. I nie było to kłamstwo, bo z pewnością Elden, którego znała, ten, który trzymał ją za rękę, gdy odkrywali zapomniane i sekretne zakątki pałacu, który słuchał pieśni syreny… tamten Elden już nie żył. Pozostała jedynie marionetka Gogmagoga.

Zatrzymaliśmy się. Lea poruszała gardłem, a Skoczek mówił. Tak długa rozmowa musiała sprawiać jej ból – choć Skoczek idealnie sprawdzał się w roli pośrednika – musiała jednak powiedzieć to, co tak długo ciążyło jej na sercu.

– Jeśli jest więźniem, uwolnię go. Jeśli nie żyje, pomszczę go, by zdjąć klątwę, która tak długo dręczy tę smutną krainę. To moje zadanie, a nie

twoje, synu Adriana Bowditcha.

Nie byłem jego synem, tylko dziedzicem, ale uznałem, że to nie najlepszy moment, by o tym mówić.

– Kat Skrzydlatych niemal na pewno zszedł do Mrocznej Studni, księżniczko. Tam będzie czekał, aż księżyce się pocałują, a studnia otworzy. Możesz ją znaleźć?

Skinęła głową, lecz wydawała się niepewna.

– Zaprowadzisz nas tam? Bo sami na pewno jej nie znajdziemy. Zrobiłabyś to, gdybym ci obiecał, że pozostawię los Kata Skrzydlatych w twoich rękach, jeśli go spotkamy?

Długo nie odpowiadała. Nie była pewna, czy dotrzymam tej obietnicy – i słusznie. Czy gdyby rozpoznała Eldena i nie mogła się zdobyć na to, by go zabić – nawet w takiej postaci, w jakiej był teraz – to uszanowałbym jej wolę i pozwolił mu żyć? Pomyślałem o dobrym sercu Dory i jej zdeformowanej twarzy. Pomyślałem o odwadze Purseya, za którą prawdopodobnie zapłacił już wysoką cenę. Pomyślałem o szarych uchodźcach, których widziałem po drodze do Lilimar, zmierzających ku zapewne nieistniejącemu bezpiecznemu schronieniu. Gdyby położyć na jednej szali wszystkich tych cierpiących i przeklętych ludzi, a na drugiej wrażliwe serce księżniczki, wynik byłby oczywisty.

*– Naprawdę jesteś gotowy złożyć Lei z Gallienu taką obietnicę?*

Przypuszczałem, że nie był to wcale powrót do trzeciej osoby; tym razem Skoczek mówił chyba we własnym imieniu. Ale Lea bez wątpienia również chciała poznać odpowiedź na to pytanie.

– Jestem gotowy – odparłem.

– Obiecujesz na duszę swojej matki? Wiedząc, że jeśli złamiesz słowo, będzie płonąć w ogniu piekielnym?

– Obiecuję – odparłem bez wahania i była to obietnica, której zamierzałem dotrzymać. Miałem nadzieję, że kiedy Lea zobaczy, czym stał się jej brat, sama go zabije. Gdyby tego nie zrobiła, oddałbym rewolwer pana Bowditcha Jocie. Nigdy wcześniej z niego nie strzelał, ale o to się nie martwiłem; pistolety są jak tanie aparaty fotograficzne: wystarczy wycelować i strzelić.

– *Ty i twoi przyjaciele pójdziecie za Leą i będziecie jej posłuszni?*

– Tak.

Prawdopodobnie wiedziała, że pójdę za nią tak czy inaczej i że nie może mnie powstrzymać. Pozostali być może wykonaliby polecenie następczyni tronu Empis, ale ja nie. Jak już wcześniej powiedziała przez Faladę, nie byłem księciem tego świata i nie musiałem wykonywać jej poleceń.

Niebo pojaśniało. Lea i ja spojrzeliśmy w górę. Radar też. Nawet Skoczek. Chmury były podświetlone jasnymi kręgami. Księżyce były już tak blisko siebie, że wyglądały jak ósemka ułożona na boku. Albo symbol nieskończoności. W ciągu zaledwie kilku sekund przemknęły za pałacowymi wieżami i niebo znów okryła ciemność.

– Dobrze – odezwał się Skoczek. – Zgadzam się na twoje warunki. Ale nie rozmawiajmy już więcej. To boli.

– Wiem – odparłem. – Przepraszam.

Radar zaskomlała i polizała Leę po dłoni. Ta pochyliła się i pogłaskała ją po łbie. Pakt został zawarty.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

**Do miasta. Żałobny lament. Hana. Ta, która kiedyś śpiewała. Złoto. Kuchnia. Komnata audiencyjna. Musimy dostać się na górę, żeby trafić na dół.**

## 1

Lea zaprowadziła nas z powrotem do miejsca, w którym czekali pozostali. Usiadła na ziemi i nie przekazała już ani słowa przez Faladę czy Skoczka. Jota spojrzał na mnie. Skinąłem głową – umowa stoi. Usiedliśmy obok księżniczki i czekaliśmy razem na świt. Zaczął padać deszcz, nie mocno, ale jednostajnie i prawdopodobnie na dłużej. Lea wyjęła ponczo z jedynej torby, którą niosła teraz Falada, i zarzuciła je na ramiona. Przywołała gestem Radar. Pies spojrzał jednak najpierw na mnie, czekając na przyzwolenie. Skinąłem głową i dopiero wtedy przeszedł do księżniczki. Ta nakryła go ponczem. Skoczek też się tam schował. Im było sucho. Nasza czwórka, tylko w łachmanach, w których uciekliśmy z lochu, wkrótce przemokła. Gdy Jaya zaczęła się trząść, Eris zamknęła ją w uścisku. Powiedziałem im, że mogą wracać, lecz obie pokręciły głowami. Jota siedział w milczeniu, z pochyloną głową i złożonymi dłońmi.

Czas mijał. W pewnym momencie podniosłem wzrok i uświadomiłem sobie, że widzę Leę. Uniosłem rękę w niemym pytaniu. Pokręciła tylko głową. W końcu, gdy nad ziemią wstawał już blady świt, poderwała się i przywiązała Faladę do kawałka żelaza wystającego z resztek ściany na pobliskim gruzowisku. Potem ruszyła ścieżką i nie patrzyła, czy za nią idziemy. Skoczek znów siedział na grzbiecie Radar. Lea szła powoli; co jakiś czas przystawała, by odgarnąć gęsty bluszcz i spojrzeć na ścianę, po czym kontynuowała marsz. Po jakichś pięciu minutach zatrzymała się na dłużej i zaczęła zrywać pnącza. Podszedłem bliżej, by jej pomóc, ale pokręciła głową. Zawarliśmy umowę – pakt – lecz najwyraźniej nie była z tego powodu szczęśliwa.

Kiedy odgarnęła jeszcze więcej pnączy, zobaczyłem ukryte za nimi drzwi. Nie miały klamki, gałki ani zasuwki. Lea przywołała mnie gestem i wskazała na nie. Nie wiedziałem, czego ode mnie oczekuje. Dopiero po chwili się domyśliłem.

– Otwierać w imię Lei z Gallienu – powiedziałem i drzwi się otworzyły.

## 2

Weszliśmy do przypominającego stodołę długiego budynku wypełnionego starymi narzędziami ogrodniczymi. Motyki, łopaty i taczki pokrywała gruba warstwa kurzu. Podłoga również była zakurzona; nie widziałem na niej żadnych śladów prócz tych, które sami zostawialiśmy. Dojrzałem pojazd bliźniaczo podobny do tego, którym poruszał się Kellin, skrzyżowanie busu z wózkiem golfowym. Zajrzałem do środka

i zobaczyłem akumulator skorodowany do tego stopnia, że zamienił się w zieloną bryłę. Zastanawiałem się, skąd pochodziły te dziwne pojazdy – co najmniej dwa, w tym jeden działający. Czy pan Bowditch znosił je tutaj w częściach, a potem montował na miejscu? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem jedynie, że obecnemu władcy nie zależy ani trochę na tym, by Lilimar było czyste i schludne. Teraz liczyły się tu jedynie proste i krwawe rozrywki.

Lea wyprowadziła nas za drzwi po drugiej stronie budynku. Znaleźliśmy się na czymś w rodzaju złomowiska, pełnego zepsutych trolejbusów, stert słupów energetycznych i wielkich zwojów kabli z trakcji. Omijając te hałdy bezużytecznego sprzętu, przeszliśmy na drugą stronę dziedzińca, wspięliśmy się na drewniane schody i znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które całkiem niedawno miałem okazję odwiedzić wraz z pozostałymi uciekinierami: w zajezdni trolejbusowej.

Przecinaliśmy właśnie wielką halę, gdy wybił pierwszy poranny dzwon: BIM. Lea poczekała, aż głos dzwonu ucichnie, po czym ruszyła dalej. Wciąż ani razu się nie obejrzała, by sprawdzić, czy za nią idziemy. Nasze kroki odbijały się echem od ścian. Nietoperze wiszące pod sufitem poruszały skrzydłami, ale żaden nie poderwał się do lotu.

– Ostatnio wychodziliśmy – odezwała się cicho Eris. – Teraz wchodzimy. Mam swoje prywatne rachunki do wyrównania z tą suką.

Nie odpowiedziałem. Nie interesowało mnie to. Skupiałem się na czymś innym.

Wyszliśmy w deszcz. Radar popędziła nagle w dół schodów przed dworcem i przemknęła obok jednego z biało-czerwonych słupów z motylem na wierzchołku. Węszyła przez chwilę w jeżynach. Dojrzałem jeden pasek mojego porzuconego plecaka, a potem usłyszałem ostatni dźwięk, jakiego bym się tu spodziewał, choć jednocześnie doskonale mi

znany. Radar wróciła truchtem, niosąc w pysku piszczącą małpkę. Upuściła ją u moich stóp i spojrzała na mnie, machając ogonem.

– Dobra sunia – powiedziałem, oddając małpkę Jo. On miał kieszenie, ja nie. Szeroka arteria prowadząca do pałacu była opustoszała, ale nie pusta. Zniknęło co prawda ciało Rudej Molly, lecz na odcinku czterdziestu metrów rozciągały się kości nocnych żołnierzy, którzy ruszyli za nami w pościg, w większości przykrytych martwymi monarchami.

Lea zatrzymała się u podnóża schodów, przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Dołączyliśmy do niej. Ja też to słyszałem; wysokie zawodzenie, niczym odgłosy wiatru wpadającego pod okap w zimową noc. Wznosiło się i opadało, wznosiło i opadało, zamieniało się w przeraźliwy krzyk, a potem głęboki jęk.

– Bogowie najwyżsi, co to jest? – wyszeptała Jaya.

– Żałobny lament – odparłem.

– Gdzie jest Skoczek? – spytał Jota.

Pokręciłem głową.

– Może nie chciał wychodzić na deszcz.

Lea ruszyła Drogą Gallienów w stronę pałacu. Położyłem dłoń na jej ramieniu, żeby ją zatrzymać.

– Powinniśmy podejść od tyłu i wyjść w pobliżu stadionu. Ja nie znam drogi, bo pewien mały gnojek, niejaki Peterkin, wymazał znaki pana Bowditcha, ale ty na pewno wiesz, jak tam dojść.

Lea oparła dłonie na swoich szczupłych biodrach i spojrzała na mnie z irytacją. Wyciągnęła rękę w kierunku, z którego dochodził lament Hany opłakującej córkę. Potem, na wypadek gdybym był zbyt tępy, by to zrozumieć, podniosła ręce wysoko nad głowę.

– Księżniczka ma rację, Charlie – wtrącił się Jota. – Po co iść tamtędy, skoro możemy ominąć tę wielką sukę i wejść od frontu?

Przyjąłem jego argument, ale miałem też własne, które wydawały mi się ważniejsze.

– Bo ona je ludzkie mięso. Jestem pewien, że właśnie dlatego wygnano ją z krainy olbrzymów… Cratchy czy jak wy ją tutaj nazywacie. Rozumiecie? Ona je ludzkie mięso. I służy jemu.

Lea spojrzała mi głęboko w oczy. Bardzo powoli pokiwała głową i wskazała na broń, którą nosiłem w kaburze.

– Tak – potwierdziłem. – Jest jeszcze jeden powód, pani. Coś, co powinnaś zobaczyć.

## 3

Przeszliśmy jeszcze kawałek Drogą Gallienów, po czym Lea skręciła w lewo, w uliczkę tak wąską, że wyglądała właściwie jak parkowa alejka. Księżniczka prowadziła nas przez labirynt ulic szybko i pewnie; nie zawahała się ani na sekundę. Miałem nadzieję, że wie, co robi; minęło już wiele lat, odkąd była tu ostatnio. Ale przecież i tak prowadziło nas przybierające na sile wycie Hany.

Jaya i Eris zrównały się ze mną. Eris miała zaciętą, zasępioną minę. Jej przyjaciółka wyglądała na przerażoną.

– Te budynki się ruszają – powiedziała. – Wiem, że mówię jak wariatka, ale one naprawdę się ruszają. Gdy tylko odwrócę wzrok, widzę kątem oka, jak zmieniają kształty.

– A ja ciągle słyszę jakieś głosy – dodał Jota. – Całkiem jakby to miasto było… nie wiem… nawiedzone.

Skinąłem głową.

– Bo jest – rzuciłem. – Egzorcyzmujemy je albo zginiemy, próbując to zrobić.

– Co zrobić? – spytała zdezorientowana Eris. Zawodzenia Hany były już całkiem blisko.

– Nieważne. – Machnąłem ręką. – Nie wszystko naraz.

Lea poprowadziła nas alejką, przy której budynki stały tak blisko siebie, że tworzyły niemal coś w rodzaju skalnej szczeliny. Widziałem, jak cegły jednego z nich i kamienie drugiego wysuwają się i wsuwają powoli, jakby oddychały.

Wyszliśmy na ulicę, którą od razu rozpoznałem. Był to bulwar przedzielony na środku zachwaszczonym pasem zieleni. Po obu stronach ciągnęły się sklepy, niegdyś zaopatrujące zapewne członków dworu i rodziny królewskiej. Jota wyciągnął rękę, by dotknąć jednego z wielkich żółtych kwiatów (a może go zerwać). W porę złapałem go za nadgarstek.

– Nie radzę ci tego robić, Jo. One gryzą.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Widziałem już dachy olbrzymiego domu Hany, stojącego okrakiem nad ulicą. Lea przeszła na prawo i przemykając wzdłuż rozbitych witryn sklepów, spoglądała przez deszcz na opustoszały plac z nieczynną fontanną. Rozpaczliwe krzyki Hany stawały się trudne do zniesienia, zwłaszcza gdy szloch zamieniał się w przeszywający pisk. Lea w końcu obejrzała się i przywołała mnie gestem, opuszczając jednocześnie ułożoną poziomo dłoń, co miało zapewne oznaczać „Cicho, cicho”.

Pochyliłem się do Radar, przykazałem jej szeptem, by nie hałasowała, po czym dołączyłem do księżniczki.

Hana siedziała na swoim wysadzanym klejnotami wielkim tronie. Na kolanach trzymała ciało córki. Głowa Rudej Molly zwieszała się z jednej strony tronu, jej nogi z drugiej. Tego ranka Hana nie śpiewała o swoim kochanym Joem. Przez chwilę głaskała sterczące rude włosy Molly, a potem odchyliła głowę i zawyła przeraźliwie. Wsunęła mięsiste ramię pod szyję martwej córki, podniosła jej głowę i obsypała pocałunkami czoło i pozostałości zakrwawionych ust.

Lea wskazała na nią, a potem podniosła ręce w moją stronę, wnętrzem dłoni do góry: „Co teraz?”.

To, pomyślałem i ruszyłem przez plac w stronę tronu Hany. Jedną dłoń trzymałem na rękojeści rewolweru pana Bowditcha. Nie wiedziałem, że Radar jest ze mną, dopóki nie zaczęła szczekać. Wydobywała głos gdzieś z głębi klatki piersiowej, niski, groźny, podszyty wściekłym warczeniem. Hana podniosła wzrok i zobaczyła nas.

– Spokojnie, mała – zwróciłem się do Radar. – Trzymaj się mnie.

Hana odrzuciła na bok zwłoki córki i wstała. Jedna z rąk Rudej Molly wylądowała w stercie małych kości.

– TY! – wrzasnęła i jej piersi uniosły się niczym potężna fala na wzburzonym morzu. – TYYY!

– Zgadza się – powiedziałem. – Ja. Jestem obiecanym księciem, więc padnij przede mną na kolana i pogódź się ze swoim losem.

Nie spodziewałem się, że mnie posłucha, i miałem rację. Sadząc wielkie susy, zmierzała w moją stronę. Wystarczyłoby pięć, by mnie dopadła. Pozwoliłem jej na trzy, bo nie chciałem chybić. Nie bałem się. Znów ogarnął mnie ten mrok. Był zimny, ale przejrzysty. Wiem, że to brzmi paradoksalnie, lecz nie cofnę tych słów. Widziałem czerwoną pręgę przecinającą na pół czoło Hany, gdy ta zakryła niebo nade mną, krzycząc coś wściekle… nie wiem co. Wpakowałem w tę czerwoną szramę dwa

pociski. Rewolwer pana Bowditcha miał się do dwudziestkidwójki Polleya jak śrutówka do dziecięcego korkowca. Upstrzone krostami czoło Hany zapadło się niczym zamarznięta powierzchnia śniegu, gdy ktoś nastąpi na nią ciężkim butem. Z tyłu głowy olbrzymki wytrysnęła fontanna krwi i pociągnęła za sobą kosmyki włosów. Usta Hany otworzyły się bezwładnie, odsłaniając spiłowane zęby, które nigdy już nie miały rozrywać i przeżuwać ciał dzieci.

Wyrzuciła ramiona w górę, ku szaremu niebu. Deszcz spływał po jej palcach. Czułem zapach dymu i prochu, mocny i żrący. Hana zatoczyła półkole, jakby chciała jeszcze raz spojrzeć na ukochaną córkę, po czym runęła jak kłoda. Gdy opadła na ziemię, poczułem, jak pod moimi stopami drżą kamienie.

Tak właśnie zginęła olbrzymka Hana, która strzegła zegara słonecznego, sadzawki i wejścia na Stadion Monarchów za pałacem w Lilimar.

# 4

Jota stał przed prawym skrzydłem domu Hany – tym kuchennym. Towarzyszył mu szary mężczyzna niemal całkowicie pozbawiony twarzy; wydawało się, że skóra oderwała się od jego czaszki i zsunęła niżej, zakrywając całkiem jedno oko i nos. Był w pokrwawionej białej bluzie i białych spodniach. Przypuszczałem, że był to – do teraz – kucharz Hany, ten, którego nazywała gnojem bez jaj. Nie miałem nic do niego. Celem mojej wyprawy był pałac, a właściwie jego podziemia.

Wyglądało jednak na to, że Lea miała tu coś jeszcze do załatwienia. Podeszła do martwej olbrzymki, wyciągając miecz. Wielka kałuża krwi zbierała się wokół Hany i spływała między kamieniami.

Eris postąpiła krok do przodu i ujęła ramię księżniczki. Ta odwróciła się i wyraz jej twarzy mówił sam za siebie: „Jak śmiesz mnie dotykać?”.

– Nie, pani Gallienu, nie chcę cię urazić, ale powstrzymaj się jeszcze chwilę. Proszę. Dla mnie.

Lea zawahała się i w końcu cofnęła.

Eris podeszła do olbrzymki i wspięła się na jedną z jej wielkich nóg. Podniosła swoją brudną spódnicę i wysikała się na zwiotczałe tłuste udo Hany. Kiedy zeszła na ziemię, po jej policzkach toczyły się łzy. Odwróciła się do nas.

– Przyszłam na południe z wioski Wayva, miejsca, o którym nikt nie słyszał i nikt już nie usłyszy, bo ta przeklęta suka zrównała je z ziemią, zabijając dziesiątki ludzi, w tym moją babcię. I mamę. Proszę, zrób z nią teraz, co zechcesz, pani.

Eris dygnęła przed Leą niczym mała dziewczynka.

Podszedłem do Joty i kucharza, który dygotał na całym ciele. Na mój widok Jota przyłożył dłoń do czoła i kucharz zrobił to samo.

– Zgładziłeś nie jedną olbrzymkę, ale dwie – powiedział Jota. – Jeśli pożyję jeszcze trochę… wiem, że szanse są małe… nigdy tego nie zapomnę. Ani tego, jak Eris ją obsikała. Dziwię się, że twój pies nie skorzystał z okazji.

Lea stanęła obok olbrzymki, podniosła miecz wysoko nad głowę i opuściła go z całych sił. Była księżniczką i dziedziczką tronu, lecz na wygnaniu pracowała jak zwykła rolniczka i naprawdę miała dużo siły. Mimo to dopiero po trzecim uderzeniu udało jej się odciąć głowę Hany.

Uklękła, wytarła miecz w fioletową suknię olbrzymki i schowała go do pochwy. Podeszła do Joty i ten zgiął się w ukłonie. Kiedy się wyprostował, wskazała na mierzące jakieś siedem metrów zwłoki i nieczynną fontannę.

– Jak pani rozkaże, i to bardzo chętnie.

Podszedł do ciała. Choć był wielki i niezwykle silny, musiał użyć obu rąk, by podnieść głowę Hany. Kołysała się do przodu i do tyłu, gdy niósł ją do fontanny. Eris tego nie widziała: szlochała w objęciach Jayi.

Jota stęknął głośno – YYYH! – a jego koszula rozdarła się po bokach, gdy rzucił głowę. Wylądowała w pustej fontannie, wpatrzona otwartymi oczami w deszczowe niebo. Jak gargulec, którego minąłem w drodze do zegara.

# 5

Szliśmy jedną z ulic tworzących kolorowy wiatraczek. Tym razem ja prowadziłem. Obok wznosiła się potężna bryła pałacu, który znów jawił mi się jako żywa istota. Być może drzemiąca, ale z jednym okiem otwartym. Mógłbym przysiąc, że niektóre wieżyczki przeniosły się w inne miejsca. To samo dotyczyło krzyżujących się ze sobą schodów i balkonów, które w jednej chwili wyglądały jak z kamienia, a w następnej jak z ciemnozielonego szkła wypełnionego wijącymi się czarnymi kształtami. Pomyślałem o wierszu Edgara Allana Poe o nawiedzonym pałacu, gdzie ohydny tłum wiruje w nieustającym tańcu i śmieje się, ale nigdy nie uśmiecha.

Tutaj zachowały się inicjały pana Bowditcha. Patrząc na nie, czułem się tak, jakbym spotkał przyjaciela w nieprzyjaznym miejscu. Dotarliśmy do szeregu czerwonych drzwi i sterty zniszczonych wozów, a potem do ciemnozielonych łęków oporowych. Poprowadziłem swoją małą grupę wokół tych niepokojących konstrukcji i choć nadłożyliśmy przez to drogi, nikt nie protestował.

– Znowu te głosy – powiedział Jota. – Słyszysz je?

– Tak – potwierdziłem.

– Co to? Demony? Zmarli?

– Raczej nie mogą nam zrobić krzywdy. Ale kryje się tu jakaś moc, bez wątpienia, i nie jest to dobra moc.

Spojrzałem na Leę. Zatoczyła prawą dłonią kółko: „Pospieszmy się”. Rozumiałem to. Nie mogliśmy tracić cennego dnia, ale musiałem jej coś pokazać. Musiała zobaczyć, by zacząć rozumieć. Albo zaakceptować prawdę, którą przez wiele lat odrzucała.

## 6

Biegnąca łukiem ulica doprowadziła nas do sadzawki otoczonej palmami. Ich długie liście zwisały smętnie w deszczu. Widziałem wysoki maszt pośrodku zegara, ale teraz nie wieńczyło go słońce. Po przejażdżce Radar maszt obrócił się tak, że słońce było teraz zwrócone w drugą stronę, a my widzieliśmy dwa księżyce Empis. One również miały twarze i ruchome oczy… zwrócone ku sobie, jakby szacowały dzielącą je odległość.

Widziałem ostatni znak pana Bowditcha, AB, ze strzałką wychodzącą z wierzchołka A i wskazującą na zegar.

I na sadzawkę.

– Księżniczko Leo, proszę za mną – powiedziałem, po czym spojrzałem na pozostałych. – Wy poczekajcie tutaj, aż was zawołam. – Pochyliłem się do Radar. – Ty też, mała. Zostań.

Nikt nie protestował ani nie zadawał pytań.

Lea szła obok mnie. Zaprowadziłem ją do sadzawki i dałem znak, by zajrzała do środka. Zobaczyła szczątki syreny leżące w cuchnącej zgnilizną wodzie. Zobaczyła drzewce wystające z brzucha Elsy i wypływające z rany wnętrzności.

Wydała z siebie stłumiony jęk, który byłby krzykiem, gdyby mógł wydobyć się z jej ust. Zakryła dłońmi oczy i opadła na jedną z ławek, na których przysiadali niegdyś Empisanie przybyli do stolicy ze swoich wsi i miasteczek, by podziwiać piękną istotę pływającą w sadzawce i być może posłuchać jej pieśni. Lea zgięła się wpół i wciąż wydawała z siebie zdławione, jękliwe dźwięki, które brzmiały jeszcze bardziej przejmująco, bardziej rozpaczliwie niż prawdziwy szloch. Przerażony nagle myślą, że ta boleść, której nie mogła dać wyrazu, odbierze jej oddech, zadławi niczym kawałek jedzenia blokujący gardło, położyłem dłoń na plecach księżniczki.

W końcu usiadła prosto, jeszcze raz spojrzała na szare szczątki Elsy i odchyliła głowę do tyłu. Łzy i krople deszczu spływały po jej gładkich policzkach, przez bliznę ust, po czerwonej plamce, którą musiała przebijać, by jeść, choć zawsze sprawiało jej to okropny ból. Podniosła pięści ku szaremu niebu i potrząsnęła nimi.

Delikatnie zamknąłem dłonie na jej piąstkach. Były twarde jak kamień. W końcu je rozluźniła i wzięła mnie za ręce. Poczekałem, aż na mnie spojrzy, i powiedziałem:

– Zamordował ją Kat Skrzydlatych. Jeśli nie zrobił tego osobiście, to wydał taki rozkaz. Bo była piękna, a siła, która nim rządzi, nienawidzi piękna w każdej postaci: monarchów, dobrych ludzi, takich jak Dora, którzy kiedyś byli kompletni, tej krainy, którą masz rządzić. On kocha przemoc, ból i mordowanie. Kocha szarość. Czy kiedy go znajdziemy… jeśli go znajdziemy… zabijesz go, jeżeli mnie się to nie uda?

Spojrzała ma mnie z powątpiewaniem oczami pełnymi łez. W końcu skinęła głową.

– Nawet jeśli to Elden? – spytałem.

Pokręciła głową gwałtownie i wyjęła ręce z moich dłoni. Z sadzawki, w której leżała martwa syrena, doszedł magicznie przeniesiony głos księżniczki, drżący i smutny:

– On nigdy nie zabiłby Elsy. Kochał ją.

Cóż, nie jest to jednoznaczne „nie”, pomyślałem.

Czas uciekał. Dzień miał jeszcze trwać wiele godzin, nie wiedziałem jednak, czy księżyce muszą się pocałować nad Empis, by otworzyć Mroczną Studnię; być może wystarczyło, że dogonią się gdziekolwiek, choćby po drugiej stronie świata, i skutek tego spotkania będzie równie straszliwy. Oczy Belli i Arabelli na maszcie pośrodku zegara słonecznego przesuwały się miarowo z boku na bok, jakby chciały dać mi do zrozumienia, że liczy się każda sekunda.

Odwróciłem się i przywołałem pozostałych.

# 7

Przeszliśmy dokoła zegara słonecznego, choć nie wszyscy: Radar przetruchtała przez środek tarczy, przystając tylko na moment, by wysikać się przy maszcie, co skojarzyło mi się z Eris i zabitą olbrzymką.

Kolorowe alejki łączyły się ponownie w jedną szeroką drogę, która kończyła się przy siedmiorgu drzwi. Próbowałem otworzyć te pośrodku, lecz nie ustępowały. Wymówiłem empisański odpowiednik „Sezamie, otwórz się”, czyli „Otwierać w imię Lei z Gallienu”, i drzwi stanęły otworem. Spodziewałem się tego, ale w tym samym momencie wydarzyło się również coś, czego nie oczekiwałem. Wydawało się, że cały budynek wzdrygnął się na dźwięk imienia Lei. Nie tyle to widziałem, ile poczułem, podobnie jak poczułem drżenie ziemi, na którą runęło co najmniej trzysta kilogramów martwego cielska Hany.

Chór upiornych szeptów, które wypełniały nie tyle uszy, co umysł, nagle ucichł. Nie byłem na tyle naiwny, by uwierzyć, że oczyściłem cały pałac – egzorcyzmowałem, jak ująłem to w rozmowie z Jotą – ale wydawało się oczywiste, że nie tylko Kat Skrzydlatych dysponuje magiczną mocą. Działałoby skuteczniej, gdyby sama mogła mówić, pomyślałem, ale księżniczka oczywiście nie mogła.

Za drzwiami znajdował się olbrzymi hol. Niegdyś jedną z jego ścian zdobił wielki okrągły mural, podobny do tego z hali dworca trolejbusowego, został jednak zamalowany czarną farbą; nie zakryła jedynie kilku monarchów pod samym sufitem. Pomyślałem o fanatykach z ISIS niszczących kulturowy dorobek cywilizacji, które poprzedzały ich państwo.

Pośrodku holu stały pomalowane na czerwono kioski, niewiele różniące się od tych, które mijaliśmy wielokrotnie z tatą na stadionie Guaranteed

Rate Field, gdy byliśmy tam na meczach White Soxów.

– Wiem, gdzie jesteśmy – mruknął Jota. – Poczekaj, Charlie. Jedną minutkę.

Wbiegł na jedną z pochylni, rozejrzał się i wrócił.

– Miejsca na widowni są puste. Boisko też. Wszyscy zniknęli. I zabrali ciała.

Lea spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem, jakby chciała spytać, czego innego się spodziewał, a potem poprowadziła nas na lewo. Przeszliśmy przez opustoszały hol, obok szeregu budek, w których bez wątpienia sprzedawano kiedyś przekąski i napoje. Radar truchtała obok mnie. Zakładałem, że jeśli coś będzie nam grozić, właśnie ona zareaguje jako pierwsza, na razie jednak zachowywała spokój. Tuż za ostatnią budką zatrzymałem się jak wryty i otworzyłem szeroko oczy. Pozostali zareagowali w taki sam sposób. Tylko Lea nie okazała żadnego zainteresowania tym, co mnie tak zdumiało. Przeszła jeszcze kawałek, nim uświadomiła sobie, że za nią nie idziemy. Znów wykonała ten kolisty gest – „Pospieszcie się” – my jednak wciąż staliśmy w bezruchu.

Kamienna ściana ustępowała tutaj miejsca tafli wygiętego szkła o długości co najmniej dziesięciu metrów. Była zakurzona – wszystko w tym pałacu było zakurzone – ale i tak widzieliśmy, co się za nią kryło, tym bardziej że nieco wyżej ciągnął się szereg lamp gazowych ustawionych tak, że rzucały mocno skupione światło, niczym reflektory punktowe. Patrzyłem jak urzeczony na pomieszczenie wypełnione hałdami złotych śrucin, takich samych jak te, które znalazłem w sejfie pana Bowditcha. Musiały być warte miliardy dolarów. Pośród drobin złota skrzyły się rozrzucone niedbale klejnoty: perły, szmaragdy, diamenty, rubiny, szafiry. Pan Heinrich, kulawy stary jubiler, dostałby tu ataku serca.

– Mój Boże – wyszeptałem.

Eris, Jaya i Jota wydawali się zainteresowani, ale nie oszołomieni.

– Słyszałem o tym – powiedział Jota. – To skarbiec, prawda, pani? Skarbiec Empis.

Lea skinęła ze zniecierpliwieniem głową i pokazała, byśmy szli dalej. Miała rację – powinniśmy się spieszyć – lecz zostałem tam jeszcze chwilę i syciłem się widokiem tego olbrzymiego bogactwa. Przypomniały mi się moje częste wyprawy na stadion White Soxów i ta szczególna niedziela, gdy oglądałem drużynę Bearsów na Soldier Field. Na obu stadionach znajdowały się szklane gabloty wypełnione różnego rodzaju pamiątkami i trofeami. Pomyślałem, że to może być coś podobnego; w drodze na zawody, które tu urządzano, zwykli ludzie mogli przystanąć na chwilę, by pogapić się na bogactwa królestwa Empis, dawniej strzeżone z pewnością przez Gwardię Królewską, a ostatnio przez Hanę. Nie wiem, jak pan Bowditch się do tego dostał, ale to, co zabrał, z czyimś przyzwoleniem czy też bez niego, było jedynie kroplą w wiadrze, że tak to ujmę.

Lea znowu dała nam znak, żeby ruszać; tym razem użyła do tego obu rąk. Kiedy szliśmy dalej, raz jeszcze obejrzałem się i pomyślałem, że gdybym wskoczył w którąś z tych hałd, znalazłbym się po szyję w złocie. Potem pomyślałem o królu Midasie, który zmarł z głodu, bo – według mitu – wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto.

## 8

Nieco dalej poczułem w głębi korytarza nikłą woń, która niosła ze sobą nieprzyjemne wspomnienia z Głębi Maleen: kiełbaski. Dotarliśmy do

otwartych drzwi po lewej. Znajdowała się za nimi wielka kuchnia z szeregiem piekarników wmurowanych w ścianę, trzema piecami, rożnami do mięsa i zlewami tak wielkimi, że można by się w nich kąpać. Właśnie tu przygotowywano jedzenie dla tłumów, które przychodziły na stadion w dniu igrzysk. Drzwiczki piekarników były otwarte, a palniki wygasłe, nic też nie obracało się na rożnach, lecz zapach kiełbasek pozostał. Już nigdy w życiu nie tknę kiełbasek, przemknęło mi przez głowę. Steków być może też.

Pod przeciwległą ścianą kuliło się czterech szarych mężczyzn. Mieli na sobie workowate spodnie i bluzy podobne do tych, które nosił Pursey, ale nie było go wśród nich. Na nasz widok jeden z nieszczęśników podniósł fartuch i zakrył nim to, co zostało z jego twarzy. Pozostali tylko się gapili, a ich rozmazane rysy wyrażały zdumienie i strach. Wszedłem do środka, ignorując Leę, która próbowała pociągnąć mnie dalej w głąb korytarza. Mężczyźni jeden po drugim padali na kolana i przystawiali dłoń do czoła.

– Nie, nie, wstańcie – powiedziałem. Byłem nieco zaskoczony gorliwością, z jaką wykonali to polecenie. – Nie chcę wam zrobić krzywdy, ale powiedzcie mi, gdzie jest Pursey? Percival? Wiem, że był jednym z was.

Spojrzeli po sobie, potem na mnie, na mojego psa, na Jotę, który stanął obok mnie… i oczywiście zerkali ukradkiem na księżniczkę, która powróciła do zamku będącego jej domem. W końcu ten, który zakrył twarz, opuścił fartuch i trzęsąc się, postąpił krok do przodu. Mówił dość niewyraźnie, ale zrozumiale, więc oszczędzę wam dokładnego opisu tego bełkotu i przekażę od razu jego sens.

– Przyszli po niego nocni żołnierze. Zaczął drżeć, a potem zemdlał. Zabrali go ze sobą. Myślę, że on już nie żyje, wielki panie, bo ich dotyk zabija.

Wiedziałem o tym, ale wiedziałem też, że niekoniecznie zabija od razu, bo inaczej od kilku tygodni bym nie żył.

– Dokąd go zabrali?

Pokręcili głowami, ale ja już się domyśliłem, dokąd mógł trafić. I jeśli Lord Wysoki chciał go przesłuchać, to Pursey – Percival – być może jeszcze żył.

Tymczasem Lea dojrzała coś, co wzbudziło jej zainteresowanie. Wpadła do kuchni i przeszła do wielkiej wyspy na środku. Leżał na niej plik kartek związanych sznurkiem i duże pióro do pisania, z ciemnymi od tłuszczu chorągiewkami i dutką poplamioną atramentem. Pochwyciła oba te przedmioty i znowu dała nam znak, że musimy iść. Oczywiście miała rację, musiała jednak wykazać się jeszcze odrobiną cierpliwości i zboczyć nieco z trasy, do apartamentu, który miałem już kiedyś okazję odwiedzić. Byłem to winny Percivalowi. Wszyscy byliśmy mu to winni. Byłem też coś winien Lordowi Wysokiemu.

Chciałem wyrównać ten stary dług i odpłacić mu pięknym za nadobne.

## 9

Kawałek za wejściem do kuchni korytarz kończył się wysokimi drzwiami, wzmocnionymi szerokimi żelaznymi pasami. Na drzwiach był napis WSTĘP WZBRONIONY. Gdy patrzyłem prosto na niego, litery miały dobrze znany mi kształt, jednak gdy tylko odwracałem głowę i zerkałem na drzwi kątem oka, wyrazy zamieniały się w plątaninę runicznych symboli… które dla moich towarzyszy były z pewnością całkiem zrozumiałe.

Lea wskazała na mnie palcem. Podszedłem bliżej i wymówiłem magiczne słowa. Po drugiej stronie szczęknęły odsuwane rygle i drzwi stanęły otworem.

– Powinieneś był spróbować tego w Maleen – odezwała się Eris. – Oszczędziłbyś nam wielu cierpień.

Mogłem odpowiedzieć, że nie pomyślałem o tym, co byłoby prawdą, ale chodziło o coś jeszcze.

– Wtedy nie byłem księciem. Dopiero…

– Dopiero co? – spytała niecierpliwie Jaya.

Dopiero się przepoczwarzałem, dokończyłem w myślach. Głębia Maleen była moim kokonem.

Na szczęście nie musiałem mówić tego na głos. Lea wykonała jedną ręką ponaglający gest, a drugą pociągnęła mnie za to, co jeszcze zostało z mojej koszuli. Oczywiście miała rację. Musieliśmy zapobiec apokalipsie.

Korytarz za drzwiami był znacznie szerszy, obwieszony gobelinami przedstawiającymi przeróżne sceny, od pełnych przepychu królewskich zaślubin po polowania i górskie pejzaże. W pamięci utkwił mi obraz ukazujący żaglowiec uwięziony w szczypcach jakiegoś olbrzymiego podwodnego skorupiaka. Przeszliśmy chyba z kilometr, nim drogę zagrodziły nam podwójne drzwi, wysokie na ponad trzy metry. Na jednym skrzydle znajdował się proporzec z wizerunkiem starszego mężczyzny w czerwonym płaszczu. Jego głowę zdobiła korona, którą całkiem niedawno widziałem na głowie Kata Skrzydlatych – nie miałem co do tego wątpliwości. Na drugim skrzydle widniała podobizna znacznie młodszej jasnowłosej kobiety, która również nosiła koronę.

– Król Jan i królowa Cova – powiedziała Jaya cicho, niemal z nabożną czcią. – Moja mama miała poduszkę z ich podobiznami. Nie wolno nam było jej dotykać, nie mówiąc już o tym, żeby ktoś miał na niej spać.

Nie musiałem wymawiać tu imienia Lei; drzwi otworzyły się pod jej dotykiem. Wyszliśmy na szeroki balkon. Miałem wrażenie, że poniżej kryje się ogromna komnata, ale mogłem się tego tylko domyślać, bo wszystko okrywał gęsty mrok. Lea przesuwała się w lewo, coraz dalej i dalej, aż niemal całkiem zniknęła w ciemnościach. Usłyszałem przytłumione skrzypienie, a po chwili poczułem woń gazu. Z ciemności wokół nas i ponad nami dochodziło głośne syczenie. Potem, najpierw pojedynczo, a później po dwie albo po trzy, rozpalały się lampy gazowe. Było ich co najmniej sto, rozmieszczonych wokół całego ogromnego pomieszczenia. Kolejne zapłonęły w rozłożystym wielkim żyrandolu. Wiem, że co chwila czytacie o czymś „wielkim”, „ogromnym” i „olbrzymim”. Lepiej się do tego przyzwyczajcie, bo wszystko takie było… przynajmniej dopóki nie dotarliśmy do klaustrofobicznego koszmaru, o którym opowiem wam wkrótce.

Lea kręciła małym kółkiem otwierającym ukryty w ścianie zawór i lampy gazowe rozpalały się coraz mocniej. Balkon był w istocie galerią, na której ustawiono krzesła o wysokich oparciach. W dole znajdowała się okrągła komnata z podłogą wyłożoną jasnoczerwonymi kamiennymi płytami. Na środku, na czymś w rodzaju podwyższenia, stały dwa trony, jeden nieco większy od drugiego. Podwyższenie otaczały rozstawione bezładnie krzesła (wyglądające na znacznie wygodniejsze niż te na balkonie) oraz małe dwuosobowe kanapy.

Nad wszystkim unosił się okropny smród, tak gęsty i obrzydliwy, że niemal widzialny. Widziałem pozostawione tu i ówdzie stosy gnijącego jedzenia, pełne robactwa, ale nie tylko one tak paskudnie cuchnęły. Na podłodze leżały sterty odchodów, dwie szczególnie wielkie na obu tronach. Ściany były zbryzgane strumieniami zakrzepłej krwi. Pod żyrandolem leżały dwa pozbawione głów ciała, a na nim wisiały dwa kolejne,

umieszczone po jego przeciwległych stronach, jakby dla równowagi. Twarze wisielców, wykrzywione w śmiertelnych grymasach, były pomarszczone, niemal zmumifikowane ze starości. Ich rozciągnięte szyje wydawały się groteskowo długie, nie oderwały się jednak jeszcze od głów, które miały podtrzymywać. Wszystko to wyglądało jak pozostałości po jakimś obłąkanym morderczym przyjęciu.

– Co tu się stało? – spytał Jota zachrypłym szeptem. – Bogowie najwyżsi, co???

Księżniczka postukała mnie w ramię. Jej twarz bez ust wydawała się zmęczona i smutna. Trzymała jedną z kartek, które zabrała z kuchni. Po jednej stronie ktoś zapisał drobnym maczkiem jakiś skomplikowany przepis. Po drugiej Lea napisała pięknym pochyłym pismem: *To była komnata audiencyjna moich rodziców.* Wskazała na jednego z wisielców i dopisała: *To chyba Luddum. Kanclerz mojego ojca*.

Objąłem ją jedną ręką. Na moment – zbyt krótki – położyła mi głowę na ramieniu, a potem się odsunęła.

– Nie wystarczyło im ich zabić, prawda? – powiedziałem głośno. – Musieli jeszcze sprofanować to miejsce.

Skinęła ze znużeniem głową i wskazała na schody za moimi plecami. Kiedy po nich zeszliśmy, poprowadziła nas do kolejnych podwójnych drzwi, które miały co najmniej dziesięć metrów wysokości. Hana mogłaby przez nie przejść, nie schylając głowy.

Lea wskazała na Jotę. Ten oparł dłonie na obu skrzydłach drzwi, pochylił się i naparł z całych sił. Zanim otworzyły się z głośnym skrzypieniem, Lea spojrzała raz jeszcze na osrane trony, na których zasiadali niegdyś jej rodzice, by wysłuchać próśb poddanych. Opadła na jedno kolano i przyłożyła dłoń do czoła. Jej łzy kapały na brudne czerwone kamienie.

Cicho, bardzo cicho.

## 10

Pomieszczenie znajdujące się za komnatą audiencyjną zawstydziłoby samą katedrę Notre Dame. Echo zwielokrotniało kroki naszej trójki, zamieniało je w marsz batalionu. Powróciły też głosy: pełne złości szepty.

Nad nami wznosiły się trzy wieże, niczym wielkie pionowe tunele pełne cienistych zielonych błysków, które chwilami przybierały barwę kości słoniowej. Podłoga, po której stąpaliśmy, została ułożona z setek tysięcy małych płytek. Kiedyś tworzyły wzór w kształcie ogromnego motyla i mimo wysiłków wandali, którzy próbowali je zbijać, sylwetka monarcha wciąż była widoczna. Pod centralną wieżą znajdowało się złote podwyższenie w kształcie prostopadłościanu. Z jego środka wyrastał srebrny kabel, który biegł pionowo w górę i niknął w ciemnościach. Obok stał kolejny, znacznie mniejszy prostopadłościan; z tego wystawało duże koło. Lea wskazała na Jotę, a potem na koło, pokazując, żeby je obracał.

Podszedł do mniejszego prostopadłościanu, splunął w dłonie i zaczął kręcić kołem. Był silnym mężczyzną i pracował dzielnie przez długi czas, nie okazując zmęczenia. Gdy się cofnął, zająłem jego miejsce. Koło obracało się bez przeszkód, ale dość ciężko. Po dziesięciu minutach miałem wrażenie, że kręcę nim w jakimś cholernie gęstym kleju. Eris postukała w moje ramię i zastąpiła mnie. Udało jej się wykonać jeden pełny obrót, zanim zastąpiła ją Jaya. Jej wysiłki należało uznać raczej za symboliczne, ale chciała być częścią zespołu. Nie widziałem w tym nic złego.

– Co my robimy? – spytałem Lei. Złote podwyższenie było bez wątpienia windą, która wjeżdżała w górę centralnej wieży, ale dotąd nawet nie drgnęła. – I dlaczego to robimy, skoro Kat Skrzydlatych zszedł pod ziemię?

Tuż obok rozległ się cichy skrzek: „Musimy”, jak mi się wydawało. Lea przyłożyła dłoń do szyi i pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że mówienie sprawia jej teraz zbyt dużą trudność. Potem napisała coś na kolejnej kartce z przepisem, wykorzystując plecy Jayi jako podparcie. Gdy skończyła, ślad atramentu pozostały na papierze był ledwie widoczny, zdołałem jednak odczytać wiadomość.

*Musimy dostać się na górę, żeby trafić na dół. Zaufaj mi.*

Jaki miałem wybór?

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

**Winda. Spiralne schody. Jeff. Lord Wysoki. „Królowa Empis wypełni swój obowiązek”.**

## 1

Jota ponownie stanął przed kołem, które teraz stawiało tak duży opór, że mój mocarny towarzysz stękał ciężko przy każdej ćwierci obrotu. Wykonał jeszcze sześć takich ruchów, za ostatnim razem obracając koło zalewie o kilkanaście centymetrów. Potem gdzieś z góry dobiegł nas przytłumiony dźwięk gongu. Odbił się echem od ścian wieży i ucichł. Lea pokazała Jocie, by się cofnął, a kiedy to zrobił, wskazała na podwyższenie. W końcu odwróciła się do nas i pokazała gestem, że mamy się do siebie przytulić.

– Wszyscy? – spytałem. – To masz na myśli? Mamy stanąć blisko siebie?

Skinęła głową i raz jeszcze spróbowała przemówić, trzymając się przy tym za szyję. Po jej policzkach ciekły łzy bólu. Nie chciałem wyobrażać sobie, że w jej gardle ciągną się teraz kawałki drutu kolczastego, lecz nie mogłem się powstrzymać.

– Pies. Środek. Już.

Wszyscy weszli na podwyższenie. Radar została z tyłu, wystraszona. Gdy tylko stanęliśmy na złotym prostopadłościanie, ten zaczął się unosić.

– Radar! – krzyknąłem. – Skacz, skacz!

Przez chwilę sądziłem, że zostanie sama, lecz odbiła się od podłogi i wystrzeliła w górę. Nie miała już smyczy, ale nadal nosiła obrożę. Jota złapał za nią i wciągnął Radar na pokład. Przesunęliśmy się nieco, robiąc jej miejsce w środku. Usiadła, spojrzała na mnie i zaskomlała. Wiedziałem, co czuje. Ledwie starczało miejsca dla nas wszystkich, choć staliśmy zbici w ciasną grupkę.

Podłoga odsuwała się od nas z każdą chwilą. Na wysokości dwóch metrów mogliśmy jeszcze zeskoczyć i nie zrobić sobie krzywdy. Przy czterech mogliśmy skoczyć i nie zabić się. Skok z wysokości sześciu metrów mógł się skończyć tragicznie.

Jota stał po jednej stronie, z palcami stóp wysuniętymi za krawędź. Ja byłem po drugiej i przynajmniej jedna czwarta moich stóp wystawała poza platformę. Eris, Jaya i Lea otaczały Radar, a Lea w dodatku stała nad nią okrakiem. Teraz od podłogi dzieliło nas już co najmniej dwadzieścia pięć metrów. W powietrzu unosił się pył i kurz; pomyślałem, że jeśli zacznę kichać, spadnę, co dla obiecanego księcia byłoby raczej mało chwalebną śmiercią.

Głosy szeptały i przeplatały się ze sobą. Jeden usłyszałem całkiem wyraźnie: *Mózg twojego ojca zjada sam siebie.*

Jaya zaczęła się chwiać i zamknęła oczy.

– Nie lubię wysokości – powiedziała. – Nigdy nie lubiłam, bałam się nawet wejść na drzewo. Nie dam rady, puśćcie mnie.

Zaczęła się szarpać i podniosła ręce, by odepchnąć Eris, a ta wpadła na Jotę i omal go nie strąciła. Radar szczeknęła ostrzegawczo. Gdyby ona spanikowała i zaczęła się wiercić, strąciłaby Leę. I mnie.

– Trzymaj ją, Eris – warknął Jota. – Zrób z nią coś, zanim zabije nas wszystkich.

Eris sięgnęła do Jayi ponad Radar – i ponad Leą, która mocno ugięła nogi w kolanach – i objęła przyjaciółkę.

– Zamknij oczy, kochana. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że to tylko sen.

Jaya posłusznie zamknęła oczy i zarzuciła jej ręce na szyję.

Robiło się coraz zimniej, a ja byłem mokry od potu. Zacząłem drżeć. Usłyszałem kolejny szept, który przepłynął obok mnie niczym niewidzialna chusta: *Jesteś chory i poślizgniesz się, poślizgniesz się i spadniesz.*

Kamienna podłoga w dole była już tylko małym kwadracikiem niknącym w mroku. Wiatr szarpał naszymi ubraniami, a ściany wieży – chwilami kamienne, chwilami szklane – trzeszczały.

*Jesteś chory*, szeptały głosy. *Jesteś chory i poślizgniesz się, poślizgniesz się i spadniesz. Na pewno spadniesz.*

Wciąż jechaliśmy w górę, co wydawało mi się szalone, skoro Kat Skrzydlatych skrył się gdzieś pod ziemią, ale teraz było już za późno na zmianę kursu. Miałem tylko nadzieję, że Lea wie, co robi.

Pod nami zostały szerokie podpory z kamienia, pokryte grubą warstwą kurzu, i otoczyło nas zielone szkło. Wiły się w nim wężowate czarne kształty. Ściany wieży zbliżały się do siebie.

I wtedy winda nagle się zatrzymała.

Wyżej wieża coraz bardziej się zwężała i jej wierzchołek niknął w ciemnościach. Widziałem tam coś, może podest, ale wydawało mi się, że jeszcze kilkanaście metrów dzieli go od platformy, na której staliśmy stłoczeni wokół mojego coraz bardziej wystraszonego psa. Pod nami ziała przepaść.

– Co się dzieje? – spytała piskliwie Eris, bliska paniki. – Dlaczego stoimy?

Jaya szarpnęła się gwałtownie w jej ramionach i znów uderzyła w Jotę. Ten zaczął wymachiwać rękami, by utrzymać równowagę.

Lea patrzyła z niepokojem w górę, przesuwając spojrzeniem po srebrnym kablu.

– To chyba kiepskie zakończenie historii – odezwał się Jota i roześmiał się nieoczekiwanie. – Sto kilkadziesiąt metrów nad ziemią, stłoczeni jak bydło.

Pomyślałem, że może trzeba zawołać „W górę w imię Lei z Gallienu!”. Wiedziałem, że to absurdalny pomysł, ale zamierzałem go zrealizować, gdy nagle platforma drgnęła i ponownie ruszyła w górę. Tym razem to ja musiałem wymachiwać rękami, by utrzymać równowagę. Myślę, że i tak bym spadł, gdyby Lea nie złapała mnie za szyję. Ścisnęła mnie tak mocno, że przez chwilę nie mogłem złapać oddechu, lecz w takich okolicznościach raczej nie wypadało się skarżyć.

Radar zerwała się nagle i stanęła na czterech łapach, a wtedy wszyscy się zachwialiśmy. Miałem wrażenie, że platforma pod naszymi nogami się kurczy. Zakrzywione ściany wieży były już niemal na wyciągnięcie ręki. Spojrzałem na zbliżający się podest i modliłem się w duchu, by znalazł się w naszym zasięgu, nim winda znów się zatrzyma lub zacznie opadać.

Platforma zatrzymała się przy podeście z lekkim szarpnięciem, rozbrzmiał dźwięk gongu – tym razem znacznie głośniejszy – i Radar natychmiast z niej zeskoczyła, uderzając zadem Leę, tak że ta poleciała na Eris i Jayę. Wszystkie zawisły nad krawędzią przepaści. Jedną ręką pchnąłem Leę, a drugą Jayę. Jota pchnął Eris i wszyscy wylądowaliśmy na podeście, upadając na siebie niczym klowni na cyrkowej scenie. Jota zaczął

się śmiać. Ja również. Eris i Jaya także się śmiały, choć Jaya jednocześnie szlochała. Wymienialiśmy przez chwilę uściski.

Lea wtuliła twarz w grzbiet Radar i wyciągnęła jedną rękę. Uścisnąłem ją. Odpowiedziała tym samym.

– Chciałbym coś wiedzieć – odezwał się Jota. – Chciałbym wiedzieć, gdzie my teraz, kurwa, jesteśmy i po jaką cholerę tu wjechaliśmy.

Wskazałem na Leę i wzruszyłem ramionami.

„Ją pytaj, nie mnie”.

## 2

Podest był mały i nie miał balustrady, ale mogliśmy stanąć tu w rzędzie, co było bezpieczniejsze niż zbijanie się w ciasną grupkę na maleńkiej platformie ze szczerego złota, która właśnie zaczęła powoli sunąć w dół, pozostawiając nas pod szczytem wieży.

Lea wskazała na prawo. Jota był pierwszy w szeregu i zaczął się przesuwać w tę stronę, zerkając na wypełnioną mrokiem przepaść i oddalającą się windę. Ruszyliśmy jego śladem, Jaya przezornie wpatrzona w przeciwległą ścianę wieży. Trzymaliśmy się za ręce niczym papierowe figurki. Nie było to pewnie zbyt rozsądne, bo gdyby jedno z nas straciło równowagę, moglibyśmy spaść wszyscy, wtedy jednak nie myśleliśmy o tym w ten sposób.

Na końcu podestu znajdował się niski łuk. Jota wypuścił dłoń Eris, pochylił się i przeszedł pod nim. Radar była następna, potem Jaya i Lea. Ja

przeszedłem jako ostatni, zerkając jeszcze w dół, na zjeżdżającą platformę, która już znikała w mroku.

Znaleźliśmy się na półkolistej kładce po drugiej stronie łuku, na skraju kolejnej przepaści. Wyjechaliśmy niemal na sam szczyt centralnej wieży; teraz byliśmy na górze tej po prawej. Lea przeszła na początek naszego małego pochodu – każdy z nas trzymał ją w pasie, gdy przesuwała się skrajem kładki. Słyszałem, jak oddycha szybko przez nos. Zastanawiałem się, ile sił kosztowała ją nasza długa rozmowa i wygłaszane potem uwagi i kiedy ostatnio coś jadła. Pewnie dawno już zużyła zapasy energii z ostatniego posiłku… tyle że to dotyczyło właściwie nas wszystkich.

– Nie cieszysz się, że z nami poszłaś? – wyszeptałem do Jayi, gdy znów ruszyliśmy dalej, tym razem obchodząc od wewnątrz drugą wieżę.

– Zamknij się, mój książę – odszepnęła.

Pomost prowadził do kolejnego łuku, po drugiej stronie wieży, zamkniętego drzwiami o wysokości mniej więcej półtora metra. Nie musieliśmy używać magicznej formułki. Lea odsunęła rygiel i podniosła obiema rękami ciężką zapadkę. Bez wątpienia już tu kiedyś była. Wyobrażałem sobie ją i Eldena, gdy jako dzieci, najmłodsze w rodzinie i obdarzone najmniejszą uwagą, buszowali po całym pałacu o powierzchni co najmniej trzydziestu, a może nawet czterdziestu hektarów, odkrywali sekretne zakamarki i zapomniane przejścia, rzucając wyzwanie śmierci na tej platformie (jak udało im się przekręcić koło, które ją napędzało?) i w Bóg wie jeszcze ilu niebezpiecznych miejscach. Aż dziw, że nie zginęli podczas którejś z tych szalonych wypraw. Za tą myślą przyszło spostrzeżenie, że dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby Elden jednak zginął.

Gdy drzwi stanęły otworem, usłyszeliśmy wycie wiatru na zewnątrz. Nieustające niskie zawodzenie przypominało mi dźwięki, które wydawała

z siebie Hana, trzymając ciało martwej córki. Podest za drzwiami był tak mały, że mogła się na nim zmieścić tylko jedna osoba (albo, jak przemknęło mi przez głowę, dwoje przytulonych do siebie ciekawskich dzieci).

Lea ruszyła jako pierwsza. Ja poszedłem za nią i zobaczyłem, że stoimy na samym szczycie wąskiego walca, który opadał chyba ku samej ziemi. Po lewej była ściana z kamiennych bloków. Po prawej – wygięte zielone szkło z wężowatymi kształtami, które sunęły leniwie w górę. Szkło było grube i ciemne, przenikało jednak przez nie dość światła, bym mógł zobaczyć, co jest niżej: wąskie spiralne schody. Bez poręczy, oczywiście. Podniosłem rękę i dotknąłem szkła czubkami palców. Efekt był zadziwiający. Czarne wstęgi zbiły się w chmurę i popłynęły ku mojej dłoni. Cofnąłem ją szybko i wtedy z powrotem się rozdzieliły i podjęły leniwą wędrówkę w górę.

Albo nas widzą, albo wyczuwają, pomyślałem. I są głodne.

– Nie dotykajcie szklanej ściany – zwróciłem się do pozostałych. – Chyba nie mogą się przez nią przedostać, ale po co je wkurzać.

– Co to znaczy „wkurzać”? – spytała Jaya.

– Nieważne, po prostu nie dotykajcie szklanej ściany.

Lea była już kilka stopni niżej i znów wykonała ten ponaglający gest, niczym sędzia sygnalizujący rozpoczęcie gry.

## 3

Schody były trochę lepsze od złotej windy – mniej przerażające – lecz też niebezpieczne. Wysokie i strome, wiły się, przyprawiając nas wszystkich (może z wyjątkiem Radar) o zawroty głowy. Spoglądanie w dół na otwartą

przestrzeń pośrodku wieży było kiepskim pomysłem: zawroty tylko przybierały na sile. Za Leą i mną szli Radar, Jota i Jaya. Eris zamykała pochód.

Pokonaliśmy jakieś sto stopni i dotarliśmy do kolejnych niskich drzwi. Lea minęła je, ale ja byłem ciekaw, co się za nimi kryje. Zajrzałem do długiego pomieszczenia, w którym unosił się zapach pleśni i kurzu, wypełnionego jakimiś niewyraźnymi kształtami. Niektóre były przykryte prześcieradłami. Rozbawiła mnie myśl, że zaglądam właśnie na olbrzymi strych, potem jednak uświadomiłem sobie, że w każdym pałacu muszą być takie pomieszczenia. Autorom baśni po prostu nie chce się o nich pisać.

Kiedy zeszliśmy jeszcze niżej – szklane ściany były tu grubsze, a światło słabsze – znów natknęliśmy się na podobne drzwi. Otworzyłem je i zobaczyłem korytarz oświetlony kilkoma lampami gazowymi o nikłych płomieniach. Większość w ogóle się nie paliła. Na podłodze leżał porzucony pomięty gobelin.

– Leo, poczekaj – rzuciłem.

Odwróciła się i podniosła ręce, zwrócone wnętrzami dłoni w moją stronę.

– Czy niżej będzie więcej takich drzwi? Prowadzą do różnych części pałacu? Może do części mieszkalnych?

Skinęła głową, a potem znów zakreśliła ręką kółko, co miało oznaczać, że powinniśmy się spieszyć.

– Jeszcze nie. Wiesz może, gdzie są apartamenty z elektrycznym oświetleniem, a nie z lampami gazowymi?

Tak naprawdę powiedziałem chyba „gdzie są komnaty”, nie dlatego jednak Lea zrobiła zdziwioną minę. Nie wiedziała, co znaczy „elektryczny”, tak samo jak Jaya nie wiedziała, co znaczy „wkurzony”.

– Magiczne światła – podrzuciłem.

To zrozumiała. Podniosła trzy palce, a po krótkim zastanowieniu dołożyła jeszcze jeden.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – spytała Jaya. – Ja chcę zejść na dół.

– Spokojnie – powiedział jej Jota. – Chyba wiem, o co mu chodzi. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Pomyślałem, że może warto spytać Leę, czy to pan Bowditch zainstalował lampy i zasilający je generator, ale chyba znałem już odpowiedź. „Tchórz przynosi prezenty”. Sądząc jednak po tym, jak wyglądał teraz staroświecki generator, musiał zrobić to bardzo dawno, jeszcze jako Adrian, a nie Howard.

Jeden z apartamentów wyposażonych w elektryczność niemal z pewnością należał do nieżyjącej już pary królewskiej, ale to nie on mnie interesował.

Lea wskazała w dół spiralnych schodów, a właściwie nie wskazała, tylko kilkakrotnie dźgnęła palcem powietrze. Teraz jej umysł zajmowały wyłącznie dwie sprawy: musiała znaleźć Kata Skrzydlatych, nim ten otworzy Mroczną Studnię, i upewnić się, że uzurpatorem nie jest jej brat. Mnie również na tym zależało, myślałem jednak o czymś jeszcze. W końcu spędziłem długie tygodnie w piekle zwanym Głębią Maleen, podobnie jak Jota i dwie kobiety, które postanowiły pójść z nami.

– Jeszcze nie, Leo. Wysłuchaj mnie teraz uważnie. Czy pamiętasz apartament wyposażony w magiczne światła, w którym w jednym z pokoi stała długa kanapa obita niebieskim aksamitem? – Nie odpowiedziała w żaden sposób, ale przypomniałem sobie jeszcze jeden szczegół. – A może pamiętasz stół z blatem wykładanym płytkami tworzącymi obraz jednorożca, który wygląda tak, jakby tańczył? Pamiętasz to?

Otworzyła szerzej oczy i skinęła głową.

– Czy na tych schodach są drzwi prowadzące do tej części pałacu?

Oparła dłonie na biodrach – z jednej strony obok noża, z drugiej obok miecza – i spojrzała na mnie z irytacją. Ponownie dźgnęła palcem powietrze, wskazując w dół.

– Nie, nie, pani. Powiedz, czy możemy wejść stąd do tamtej części. Powiedz!

Z ociąganiem skinęła głową.

– Więc zaprowadź nas tam. Dzień dopiero się zaczął… – być może powiedziałem: „Dzień jeszcze młody” – a mamy do załatwienia jeszcze inną sprawę.

– Jaką sprawę? – spytała Jaya zza moich pleców.

– Wydaje mi się, że tam właśnie znajdziemy Lorda Wysokiego.

– Więc musimy tam pójść – oznajmiła Eris. – A on musi odpowiedzieć za wszystkie swoje łajdactwa.

Święte, kurwa, słowa, pomyślałem.

## 4

Kontynuując wędrówkę w dół, minęliśmy troje kolejnych drzwi i zacząłem już podejrzewać, że Lea postanowiła ominąć przytulne gniazdko Kellina. Jego zelektryfikowane przytulne gniazdko. Przystanęła przed następnymi drzwiami, otworzyła je i zaskoczona, cofnęła się odruchowo. Przytrzymałem ją jedną ręką, a drugą sięgnąłem po rewolwer pana Bowditcha. Nim zdążyłem zajrzeć za drzwi, Radar przebiegła obok mnie, machając ogonem. Lea przyłożyła dłoń do czoła, nie było to jednak

pozdrowienie, lecz gest kobiety, która ma wrażenie, że jej kłopoty nigdy się nie skończą.

Na środku korytarza, tuż za zasięgiem otwierających się drzwi, siedział Skoczek. Radar szturchnęła go nosem między czułkami, wciąż machając ogonem. Potem położyła się na brzuchu i świerszcz wskoczył jej na grzbiet.

Jota wyglądał zza mojego ramienia zafascynowany.

– Wszędzie cię pełno, co, panie Skoczku? Jak nas znalazłeś?

Miałem pewną teorię na ten temat. Claudia słyszała głos Skoczka w głowie i być może ta umiejętność działała też w drugą stronę. Jeśli tak, to niewykluczone, że świerszcz śledził nas za pomocą czegoś w rodzaju telepatycznego GPS-u. Wydawało się to szalone, ale czy bardziej niż syrena z podobnymi zdolnościami? Albo zegar słoneczny przywracający młodość?

A jeśli chodziło o odpowiedź na pytanie, jak Skoczek trafił pod te właśnie drzwi, to przypuszczałem, że nie on jeden zna tajne pałacowe przejścia, a świerszcz, nawet duży, mógł dostać się w miejsca niedostępne dla ludzi. Co miałem okazję zaobserwować osobiście w Głębi Maleen.

– Dlaczego on tu jest? – spytała Eris. – Żeby nas prowadzić?

Jeśli tak, to trudził się na darmo, bo ja wiedziałem, gdzie jesteśmy, choć Aaron przyprowadził mnie tu inną drogą. Ten sam szeroki korytarz i lampy gazowe z ozdobnymi kloszami. Te same gobeliny, te same marmurowe posągi, choć ten, który przypominał mi Cthulhu, spadł na podłogę i pękł na pół… Niewielka strata, moim skromnym zdaniem.

Oparłem dłonie na kolanach i pochyliłem się nisko, niemal dotykając nosem Skoczka. Patrzył na mnie śmiało z grzbietu Radar.

– Dlaczego tu jesteś? Czekałeś na nas? Co zamierzasz?

Claudia wspominała, że trzeba oczyścić umysł. Próbowałem to zrobić i wydaje mi się, że poradziłem sobie całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności i presję czasu, ale jeśli Skoczek rzeczywiście przesyłał jakieś

telepatyczne wiadomości, to na falach o innej długości niż te, które odbierał mój mózg.

Jego przekaz trafił jednak do kogoś innego.

– Książę Charlie, Skoczek życzy ci szczęścia i ma nadzieję, że nasza wyprawa zakończy się sukcesem – powiedziała Jaya.

Uznałem, że nie tyle powtarza słowa Skoczka, co daje wyraz swoim domysłom, lecz potem dodała coś, po czym zmieniłem zdanie.

Jota słuchał i uśmiechał się coraz szerzej, odsłaniając spore ubytki w uzębieniu.

– Naprawdę? – W końcu się roześmiał. – A niech mnie wytarzają w gównie! (Nie powiedział tego – ja to usłyszałem). Pozwól, że ja się tym zajmę, Charlie, dobrze? Potraktuj to jako przysługę wobec tego, który spędził w Maleen znacznie więcej czasu niż ty, dobrze?

Zgodziłem się. Wycofałbym się z tego i użył czterdziestkipiątki, ale nie wiedziałem. Skoczek też na pewno nie wiedział, bo inaczej z pewnością powiedziałby Jayi. Takie rozmyślania trochę pomagają, lecz nie do końca. W całej historii świata – wszystkich światów – nie zdarzyło się jeszcze, by gdybanie naprawiło błędy z przeszłości.

# 5

W boazerii za piedestałem, na którym do niedawna stało paskudztwo z mackami, widniała całkiem spora dziura, która przywiodła mi na myśl felerną lampę gazową w Głębi Maleen. W pustych przestrzeniach za ścianą jęczał wiatr, z otworu wypływało cuchnące powietrze.

– Tędy przyszedł nasz mały przyjaciel, to jasne jak słońce – powiedział Jota. Teraz on prowadził nasz pochód, Lea szła tuż za nim. Próbowałem się z nią zrównać, ale wtedy przyspieszyła, nawet na mnie nie spojrzawszy. Radar, która wciąż niosła na grzbiecie Skoczka, zajęła jej miejsce. Jaya i Eris szły na końcu. Minęliśmy oprawione w złoto lustra, które pamiętałem z poprzedniej wizyty w tym miejscu, i w końcu stanęliśmy przed mahoniowymi drzwiami prowadzącymi do apartamentu Lorda Wysokiego. Ponieważ było to jedno z niewielu wnętrz wyposażonych w elektryczne oświetlenie, zakładałem, że niegdyś należało do Ludduma, kanclerza króla Jana, choć nigdy tego nie potwierdziłem.

Lea wyjęła sztylet, a ja czterdziestkępiątkę, oboje jednak staliśmy za Jotą. Spojrzał na Jayę i wypowiedział bezgłośnie: „Za drzwiami?”.

Jaya zapukała. Jota załomotał wielkimi brudnymi pięściami.

– Jest tu ktoś? Możemy wejść?

Nie czekając na odpowiedź, przekręcił gałkę (złotą, oczywiście) i naparł ramieniem na drzwi. Otworzyły się gwałtownie i o coś uderzyły. Towarzyszył temu głuchy jęk. Jota przyciągnął drzwi do siebie, a potem ponownie je pchnął. Kolejny jęk. Trzeci raz… czwarty… jęczenie ucichło… i piąty. Radar szczekała. Gdy Jota ponownie przyciągnął drzwi, ukryty za nimi mężczyzna runął na gruby czerwony dywan okrywający podłogę holu. Krwawił z czoła, nosa i ust. Rozpoznałem w nim jednego z ludzi zasiadających w loży – tego z blizną na policzku, który szeptał coś do ucha Petry. Podniósł nóż, zamachnął się nim i lekko drasnął owłosioną goleń Joty.

– Nie, nie, bez takich, dzieciaku. – Mój współtowarzysz z lochu pokręcił głową i stanął na nadgarstku człowieka z blizną. Naciskał coraz mocniej, aż dłoń tamtego otworzyła się i nóż wypadł na dywan. Podniosłem go i zatknąłem za pas pana Bowditcha, po drugiej stronie kabury.

Lea opadła na kolana obok zakrwawionego mężczyzny. Rozpoznał ją i uśmiechnął się. Z jego rozbitych warg sączyła się krew.

– Księżniczka Lea! Jestem Jeff. Kiedyś obandażowałem ci rękę, gdy się skaleczyłaś, pamiętasz?

Skinęła głową.

– A innym razem pomogłem wypchnąć z błota twój powóz. Było nas trzech, ale moja miłość do ciebie była najsilniejsza i pchałem najmocniej. To też pamiętasz?

Ponownie skinęła głową.

– Nigdy nie chciałem brać w tym udziału, przysięgam, księżniczko. Puścisz mnie wolno przez wzgląd na dawne czasy, gdy ty byłaś dzieckiem, a Lilimar było piękne?

Skinęła głową, potwierdzając, że go puści, a potem wbiła sztylet po samą rękojeść w jedno z jego zdumionych oczu.

## 6

W apartamencie nie działały tego dnia magiczne światła, ale człowiek z blizną – Jeff, a może jego imię pisało się Geoff – zapalił lampy gazowe, by lepiej widzieć swoją ofiarę. Zapewne nie spodziewał się, że będzie nas aż pięcioro ani że odgadniemy, gdzie się ukrył. Nie wspominając już o tym, że nie spodziewał się zobaczyć czerwonego świerszcza dosiadającego mojego psa.

Eris odszukała małą mosiężną dźwigienkę sterującą przepływem gazu i zwiększyła płomień w lampach. Kellina znaleźliśmy w następnym pokoju;

leżał na olbrzymim łożu z baldachimem. W komnacie było ciemno. Lord Wysoki leżał na plecach, z dłońmi złożonymi na piersiach. Jego siwe włosy były zaczesane do tyłu, miał na sobie tę samą marynarkę smokingową z czerwonego aksamitu, w której przyjął mnie podczas pamiętnego przesłuchania. Otaczała go blada niebieska poświata. Układała się na jego zamkniętych oczach niczym cienie do powiek. Nie poruszył się, gdy weszliśmy i otoczyliśmy jego kradzione łóżko. Wyglądał jak trup, którym zresztą był, choć zamierzaliśmy unicestwić i tę jego postać. Nie wiedziałem, czy w toalecie, którą widziałem po lewej stronie pokoju, była bieżąca woda, ale z pewnością gdzieś w tym apartamencie znajdowała się pompa. Pomyślałem, że mojemu staremu przyjacielowi Kellinowi przyda się porządna kąpiel.

Jaya i Eris przemówiły jednocześnie.

– Gdzie jest Skoczek? – spytała Jaya.

– Co to za dźwięk? – rzuciła Eris.

Teraz i ja słyszałem narastający szelest, przetykany piskami i posykiwaniem. Tajemnicze dźwięki były coraz bliżej; Radar zaczęła szczekać. Czy zauważyłem chorobliwą bladość na twarzy Joty, gdy odwróciłem się w stronę salonu, by zobaczyć, co się do nas zbliża? Chyba tak, lecz nie jestem pewien. Patrzyłem przede wszystkim na drzwi sypialni. Świerszcz wpadł do jej wnętrza w dwóch długich skokach, a potem odskoczył na bok. Tuż za nim do pokoju wtargnęli niewidoczni na co dzień mieszkańcy pałacowych murów i ciemnych zakątków: cała rzeka olbrzymich szarych szczurów. Jaya i Eris krzyknęły. Lea nie mogła, ale cofnęła się pod ścianę, szeroko otwierając oczy i przykładając dłonie do blizny, która zastępowała jej usta.

Nie miałem wątpliwości, że to Skoczek wezwał tu szczury. Był w końcu władcą małych stworzeń… choć większość szczurów była od niego

większa.

Odsunąłem się od łóżka. Jota zachwiał się nagle, w porę go jednak podtrzymałem. Oddychał szybko i płytko; powinienem był się domyślić, że dzieje się z nim coś złego, patrzyłem jednak na szczury. Wspięły się na pościel zwisającą z łóżka, a potem na ciało Lorda Wysokiego. Uniósł gwałtownie powieki. Jego oczy były tak jasne, że nie sposób było na nie patrzeć. Otaczający go blask pociemniał i zgęstniał. Pierwsza fala szczurów zginęła w zetknięciu z ciemnoniebieskim blaskiem, dosłownie się w nim usmażyła. Smród palącego się mięsa i sierści był obrzydliwy, lecz szczury nie zwracały na to uwagi. Kolejna ich fala wspinała się na ciała swych martwych towarzyszy, piszcząc i gryząc. Kellin próbował je z siebie zrzucić. Z kłębowiska drobnych ciał podniosła się ręka i zaczęła je uderzać. Jeden szczur uczepił się jego kciuka; odchylał się na prawo i lewo niczym wahadło, a jego długi ogon owinął się wokół chudego nadgarstka dowódcy nocnych żołnierzy. Kellin nie krwawił, bo nie miał krwi. Widziałem, jak spod całunu szczurzych ciał przeświituje co jakiś czas niebieskie światło. Gdy Lord Wysoki zaczął krzyczeć, szczur wielkości sporego kota oderwał mu górną wargę, odsłaniając żółte zęby. Tymczasem do sypialni wciąż nadbiegały kolejne gryzonie, wspinały się na łóżko i dołączały do swoich towarzyszy, aż Kellin całkowicie zniknął pod żywym grubym kocem sierści, ogonów i zębów.

Nagle doszedł mnie głuchy odgłos, gdy Jota runął na podłogę w kącie pokoju, naprzeciwko miejsca, gdzie trzy kobiety kuliły się pod ścianą, a Radar, którą Lea obiema rękami trzymała za obrożę, szczekała. Z kącików ust Joty wypływała biała piana i skapywała mu na brodę. Spojrzał na mnie i próbował się uśmiechnąć.

– Tru…

Przez chwilę myślałem, że mówi o trupie Kellina. Potem zrozumiałem, jakiego słowa nie mógł wypowiedzieć do końca.

W tym momencie pokój wypełnił się przytłumionym hukiem eksplozji i oślepiającym blaskiem. Szczury – niektóre ogarnięte płomieniami, inne tylko osmolone – poleciały we wszystkich kierunkach. Jeden uderzył mnie w pierś i zsunął się po resztkach mojej koszuli, zostawiając za sobą smugę krwi i wnętrzności. Kobiety – te, które mogły to zrobić – znów przeraźliwie krzyknęły. Usłyszałem, jak skrzydła Skoczka wydają charakterystyczny dla świerszczy dźwięk. Szczury natychmiast wykonały jego polecenie: zmieniły kierunek i pobiegły tam, skąd tu przyszły, zostawiając za sobą setki drobnych ciał. Łóżko Kellina było usłane wnętrznościami gryzoni i mokre od ich krwi. On zamienił się w rozczłonkowany szkielet i wyszczerzoną czaszkę, która spoczywała krzywo na jedwabnej poduszce.

Próbowałem podnieść Jotę, był jednak dla mnie za ciężki.

– Eris! – krzyknąłem. – Jota traci przytomność! Pomóż mi! Źle to wygląda!

Przeszła przez rzednący strumień szczurów, podskakując i krzycząc, gdy przebiegały po jej stopach, lecz żaden jej nie ugryzł, ani jej, ani żadnego z nas. Lea ruszyła jej śladem. Jaya odczekała chwilę i też do nas podeszła.

Wsunąłem ręce pod pachy Joty, Eris podniosła jego jedną nogę, Lea drugą. Nieśliśmy go, starając się nie potknąć o kilka ostatnich szczurów, łącznie z tym, który nie miał tylnych kończyn, ale dzielnie podciągał się na przednich, podążając za towarzyszami.

– Przepraszam – powiedział Jota. Mówił chrapliwym głosem, dochodzącym z gardła, które zamykało się w zatrważającym tempie. Na jego wargach bieliła się piana. – Przepraszam, chciałem zobaczyć, jak…

– Zamknij się i oszczędzaj siły.

Ułożyliśmy go na długiej niebieskiej kanapie. Kaszlał, opluwając białą pianą Leę, która uklękła obok, by odgarnąć mu włosy ze spoconego czoła. Jaya wzięła ze stołu z jednorożcem serwetkę albo coś w tym rodzaju i starła tę pianę z twarzy Lei. Księżniczka, wpatrzona w oczy Joty, chyba nawet tego nie zauważyła. W jej oczach widziałem dobroć, współczucie i litość.

Próbował się do niej uśmiechnąć, a potem spojrzał na mnie.

– To było na ostrzu jego noża. Stara… sztuczka.

Skinąłem głową, myśląc o tym, jak niefrasobliwie wsunąłem nóż za pas pana Bowditcha. Gdybym się choćby zadrasnął, nie tylko Jota toczyłby teraz pianę z ust.

Spojrzał ponownie na Leę. Podniósł rękę bardzo powoli, jakby ważyła sto kilogramów, i przyłożył nasadę dłoni do czoła.

– Moja… królowo… Kiedy nadejdzie pora… wypełnij swój obowiązek…

Potem jego ręka opadła bezwładnie, a z ust wypłynął ostatni oddech.

Tak odszedł Jota, którego widziałem po raz pierwszy, gdy jak małpa czepiał się krat swojej celi. Po tym wszystkim, co przeszedł, mimo jego tężyzny i wytrzymałości wystarczyła jedna drobna rana cięta na goleni, by pożegnał się z tym światem.

Wciąż miał otwarte oczy. Lea je zamknęła, pochyliła się i przyłożyła bliznę po swoich ustach do jego szorstkiego policzka, obdarzając go w ten sposób pożegnalnym pocałunkiem. Potem wstała i wskazała na drzwi. Ruszyliśmy za nią; musieliśmy ominąć kilka martwych szczurów, które padły w drodze do wyjścia. Nim wyszła na korytarz, przystanęła, obejrzała się i przyłożyła dłoń do szyi.

Jota odezwał się po raz ostatni, podobnie jak mówili Falada i Skoczek.

– Królowa Empis wypełni swój obowiązek. Przysięgam.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

## Jeszcze jeden przystanek. Loch. Zdeterminowana. Gwiazdy. Mroczna Studnia. Gogmagog. Ugryzienie.

## 1

Przeszliśmy śladem martwych i rannych szczurów do otworu w boazerii. Eris nawet pomogła gryzoniowi, który stracił jedną kończynę, wejść do dziury, a potem skrzywiła się z obrzydzeniem i wytarła dłonie w bluzkę (chyba jeszcze brudniejszą i bardziej okrwawioną niż jej ręce). Dotarliśmy do drzwi wychodzących na spiralne schody. Przypuszczałem, że to coś w rodzaju wyjścia ewakuacyjnego dla mieszkańców pałacu, na wypadek pożaru. Postukałem Leę w ramię.

– Jeszcze jeden przystanek, zanim zejdziemy do Kata Skrzydlatych – powiedziałem. – Na poziomie Głębi Maleen i sali tortur. Zrobisz to?

Nie protestowała, skinęła ze znużeniem głową. Na jej policzku wciąż bieliła się odrobina piany. Wyciągnąłem rękę, by ją zetrzeć, i tym razem księżniczka się nie odsunęła.

– Dziękuję. Może tam być ktoś, kto pomógł nam…

Odwróciła się, nim dokończyłem. Na zewnątrz Woody, Claudia i towarzyszący im tłum – który do tego czasu mógł się rozrosnąć do rozmiarów prawdziwej armii – prawdopodobnie weszli już do miasta. Jeśli były tam gdzieś koszary, w których spali nocni żołnierze, szarzy ludzie być może właśnie się z nimi rozprawiali – i bardzo dobrze – ale tutaj czas nieubłaganie uciekał, a nie mieliśmy żadnego magicznego zegara, który mógłby go cofnąć.

Szliśmy w dół schodów – coraz niżej i niżej, zataczając kolejne koła. Nikt się nie odzywał. Śmierć Joty wszystkich nas przygnębiła, ciążyła nam niczym namacalne fizyczne brzemię. Nawet Radar to czuła. Nie mogła iść obok mnie – schody były na to za wąskie – lecz postępowała tuż za mną, z nosem przy mojej łydce, z opuszczonymi uszami i podwiniętym ogonem. Zrobiło się chłodniej. Woda sączyła się z mchów porastających kamienne bloki, które umieszczono tu setki lat temu. Nie, pomyślałem. Dawniej. Raczej tysiące lat temu.

Potem poczułem tę woń, najpierw bardzo nikłą.

– Bogowie najwyżsi – rzuciła Erin i roześmiała się. Nie był to radosny śmiech. – Historia zatoczyła koło i proszę: znów jesteśmy tu, skąd przyszliśmy.

Po drodze w dół minęliśmy jeszcze kilkoro drzwi, mniejsze i większe. Lea zatrzymała się przy małych, wskazała na nie ręką i zeszła kilka stopni niżej, by zrobić mi miejsce. Gdy pchnąłem je lekko, otworzyły się. Musiałem niemal zgiąć się wpół, by przez nie przejść. Znalazłem się w kolejnej kuchni, która w porównaniu z tą przy stadionie wydawała się niewiele większa od spiżarni. Był tu tylko jeden piecyk i długi niski grill, zasilany zapewne gazem, ale nie teraz. Na metalowej kratce leżały spalone na węgiel kiełbaski.

Jaya zachłysnęła się nagle, jakby zbierało jej się na wymioty. Myślała zapewne o posiłkach, które jedliśmy w celach, zwłaszcza o tych, które podawano nam przed Zabawą i pierwszą rundą Selekcji. Czytałem o zespole stresu pourazowego, ale czytać o czymś, a naprawdę to zrozumieć – to dwie zupełnie różne rzeczy.

Na półce obok grilla stał cynowy kubek, taki sam, jakie mieliśmy w celach, tyle że ten nie miał w dnie dziury, którą trzeba było zatykać palcem. Wypełniały go wielkie zapałki z niekształtnymi główkami, takie jak te, które dał mi Pursey. Chwyciłem kubek, a ponieważ nie miałem kieszeni, przełożyłem rewolwer za pas, a kubek wcisnąłem do kabury.

Lea poprowadziła nas do drzwi, wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, po czym pokazała, byśmy za nią szli; znów zataczała przy tym rękami koła – szybko, szybko. Zastanawiałem się, ile już czasu minęło, odkąd weszliśmy do miasta. Z pewnością nadal trwał dzień, ale czy miałoby to jakieś znaczenie, gdyby Bella i Arabella pocałowały się po drugiej stronie świata? Przypuszczałem, że Kat Skrzydlatych jest już w Mrocznej Studni. Czekał, aż się otworzy, by znów mógł dobić targu z istotą z innego świata. Jeśli naprawdę gotów był to zrobić, to albo nie zdawał sobie sprawy, jak straszliwe konsekwencje może mieć taki układ, albo było mu to obojętne. Ta druga ewentualność wydawała mi się bardziej prawdopodobna. Elden z Gallienu, Kat Skrzydlatych, chciwy goblin o obwisłej zielonej twarzy, czekający, by wezwać coś z tamtego świata do tego… a potem być może i do mojego. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie powiedzieć Lei, żeby nie prowadziła nas jednak do sali tortur. Być może Purseya – Percivala – wcale tam nie było, a może już nie żył. Powstrzymanie Kata Skrzydlatych było z pewnością ważniejsze.

Eris dotknęła mojego ramienia.

– Książę Charlie… Jesteś tego pewien? Czy to rozsądne?

Nie. Nie byłem pewien. Tyle że bez Percivala – człowieka zniekształconego przez szarą chorobę do tego stopnia, że prawie nie mógł mówić – nie byłoby tutaj żadnego z nas.

– Idziemy – rzuciłem.

Dotknęła dłonią czoła i nie odezwała się już więcej.

## 2

Rozpoznałem korytarz, w którym czekała na nas Lea, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, zaciskając dłoń na rękojeści miecza i rozluźniając ją. Na prawo od kuchni prowadziła droga do lochu. Na lewo, całkiem niedaleko, była sala tortur.

Poderwałem się do biegu, zostawiając pozostałych z tyłu. Z wyjątkiem Radar, która biegła obok mnie z wywieszonym na bok językiem. Sala tortur była jednak dalej, niż mi się wydawało. Gdy dotarłem do otwartych drzwi komnaty, przystanąłem na moment, by wypowiedzieć w myślach coś, co nie było nawet modlitwą – tylko „Proszę, proszę”. Potem wszedłem do środka.

Najpierw pomyślałem, że sala jest pusta… chyba że Percivala zamknięto w żelaznej dziewicy. Ale gdyby tak się stało, wypływałaby z niej krew, a tymczasem podłoga była sucha. Nagle poruszyła się sterta szmat w rogu pomieszczenia. Uniosła się głowa, zobaczyła mnie i próbowała się uśmiechnąć tym, co pozostało z ust.

– Pursey! – krzyknąłem i podbiegłem do niego. – Percival!

Próbował oddać mi pokłon.

– Nie, nie, to ja powinienem ci się kłaniać. Możesz wstać?

Z moją pomocą zdołał się podnieść. Pomyślałem, że zabandażował sobie dłoń brudnym kawałkiem bluzy, ale kiedy przyjrzałem się uważniej, zobaczyłem, że zakrwawiony materiał został owinięty wokół jego nadgarstka i mocno zaciśnięty, by zatrzymać krwawienie. Dojrzałem też ciemną plamę na kamieniach w miejscu, w którym leżał. Nie miał dłoni. Jakiś skurwiel mu ją uciął.

Dołączyły do nas kobiety. Jaya i Eris stanęły w drzwiach, ale Lea weszła do środka. Na jej widok Percival podniósł ocalałą dłoń do czoła i zaczął płakać.

– Iczko.

Nie był w stanie wypowiedzieć w inny sposób słowa „księżniczko”.

Próbował przed nią uklęknąć i upadłby, gdybym go nie podtrzymał. Był brudny, okrwawiony i zdeformowany, lecz Lea objęła go i uściskała. Pokochałbym ją za to, nawet gdybym już wcześniej nie miał ku temu wielu innych powodów.

– Możesz iść? – zwróciłem się do Purseya. – Jeśli będziesz szedł powoli i odpoczywał co jakiś czas, dasz radę? Bo my się spieszymy. Okropnie się spieszymy.

Skinął głową.

– I wiesz, jak stąd wyjść?

Ponownie skinął głową.

– Jaya! – zawołałem. – Tu nasze drogi się rozchodzą. Percival poprowadzi cię do wyjścia. Idź z nim i pozwól mu odpoczywać, gdy tylko będzie tego potrzebował.

– Ale ja chcę…

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz. Potrzebuję od ciebie właśnie tego. Zabierz go z tego… koszmaru. Na górze będą już inni. – Mam nadzieję, że

tam są, pomyślałem. – Zaprowadź go do Claudii albo Woody’ego, trzeba mu udzielić pomocy medycznej. – Nie użyłem słów „udzielić pomocy medycznej”, lecz Jaya skinęła głową.

Uściskałem Percivala tak samo, jak zrobiła to przed chwilą Lea.

– Dziękuję ci, przyjacielu. Jeśli to wszystko się uda, powinni ci postawić pomnik.

Może z motylami na twoich rozpostartych ramionach, przemknęło mi przez głowę, gdy ruszyłem do drzwi. Lea już tam była, czekała na mnie.

Jaya objęła Percivala ramieniem.

– Będę ci pomagać na każdym kroku, Pursey. Pokaż mi tylko drogę.

– Ążę! – zawołał. Odwróciłem się do niego. Starał się mówić najwyraźniej, jak tylko potrafił. – At atych! – Wskazał na drzwi. – Esze oro! Nica! – Wyciągnął rękę w stronę Lei. – Na na ogę! – Potem wskazał w górę. – Ella, ella! Uż-uż!

Spojrzałem na księżniczkę.

– Zrozumiałaś go?

Skinęła głową. Była blada jak ściana. Plamka w kąciku zabliźnionych ust skrzyła się czerwienią.

Odwróciłem się do Eris.

– A ty?

– Kat Skrzydlatych – powiedziała. – Jeszcze czworo. I cholernica. A może czarownica. Tak czy inaczej, ma na myśli Petrę, tę sukę z pieprzykiem, która była przy Eldenie w loży. Mówi, że księżniczka zna drogę. I dodał coś o Belli i Arabelli.

– Wkrótce się pocałują, są tuż-tuż – wyjaśniła Jaya, a Percival skinął głową.

– Zajmij się nim, Jaya. Wyprowadź go stąd.

– Zrobię to, jeśli rzeczywiście zna drogę. I postarajcie się za wszelką cenę do nas wrócić. W komplecie. – Pochyliła się i pogłaskała Radar na pożegnanie.

## 3

Po jakimś czasie Lea w końcu wprowadziła nas do korytarza odchodzącego od spiralnych schodów. Zatrzymała się przy najbliższych drzwiach, otworzyła je, pokręciła głową i poszła dalej.

– Czy ona naprawdę wie, co robi? – wyszeptała Eris.

– Tak myślę – odparłem.

– Taką masz nadzieję.

– Minęło wiele lat, odkąd była tu ostatnio.

Przeszliśmy do następnych drzwi. Nie. I do kolejnych. Lea zajrzała za nie i przywołała nas ruchem ręki. Ukryte za drzwiami pomieszczenie tonęło w ciemnościach. Księżniczka wskazała na zapałki, które zabrałem z kuchni. Wyciągnąłem jedną i spróbowałem zapalić ją o siedzenie spodni – widziałem kiedyś taką sztuczkę w westernie na TCM. Nie udało się, więc potarłem siarczaną główką o szorstki kamień przy drzwiach, po czym podniosłem zapałkę na wysokość oczu. Zobaczyłem pomieszczenie o ścianach obitych boazerią, wypełnione ubraniami: mundurami, kitlami kucharskimi, kombinezonami i wełnianymi koszulami. Pod szeregiem wystających ze ściany drewnianych kołków leżała sterta brązowych sukien nadjedzonych przez mole. W rogu stała skrzynia z białymi rękawiczkami, które zdążyły już pożółknąć ze starości.

Lea szła już przez pokój; Radar truchtała tuż za nią, lecz oglądała się na mnie. Zapaliłem następną zapałkę i ruszyłem ich śladem. Księżniczka stanęła na palcach, chwyciła dwa kołki i pociągnęła. Nic się nie stało. Cofnęła się o krok i wskazała na mnie.

Podałem kubek z zapałkami Eris, złapałem mocno za dwa kołki i szarpnąłem. Tym razem również nic się nie stało, ale wyczułem lekki ruch ściany. Pociągnąłem jeszcze mocniej i wtedy cała ściana otworzyła się do środka niczym wielkie drzwi. Zapiszczały ukryte zawiasy i do pomieszczenia wpłynęło zatęchłe powietrze. Gdy Eris zapaliła kolejną zapałkę, zobaczyliśmy strzępy wielkich, grubych pajęczyn. Zarówno to, jak i suknie zrzucone z kołków mogły oznaczać tylko jedno: ktoś niedawno tędy przechodził. Zapaliłem kolejną zapałkę i pochyliłem się nad podłogą. W kurzu widniały zachodzące na siebie ślady różnych stóp. Gdybym był genialnym detektywem, takim jak Sherlock Holmes, być może potrafiłbym określić, ile osób przeszło przez te ukryte drzwi, a nawet jaką mają nad nami przewagę, ale nie byłem Sherlockiem. Przypuszczałem jednak, że mogli nieść coś ciężkiego, bo niektóre ślady były nieco rozmazane, jakby przesuwali stopy, a nie podnosili je przy każdym kroku. Pomyślałem o złotej lektyce Kata Skrzydlatych.

Zobaczyłem schody prowadzące w dół i skręcające w lewo; na zakurzonych stopniach były odciśnięte ślady. Daleko w dole widać było przyćmione światło, lecz nie był to blask lamp gazowych. Miało zielonkawą barwę. I wcale mi się nie podobało. Podobnie jak głos, który szeptał do mnie z ciemności: *Twój ojciec umiera we własnych brudach*.

Eris wciągnęła głośno powietrze.

– Głosy wróciły.

– Nie słuchaj ich – powiedziałem.

– Może każesz mi jeszcze nie oddychać, książę Charlie?

Kiedy Lea dała znak, że mamy za nią iść, ruszyliśmy w dół schodów. Radar skomlała cicho. Domyśliłem się, że i ona słyszy upiorne głosy.

# 4

Schodziliśmy. Zielone światło przybierało na sile. Wypływało ze ścian. Sączyło się z nich. Głosy stawały się coraz bardziej natarczywe. Słyszałem nieprzyjemne rzeczy. Wiele z nich dotyczyło tych bezeceństw, których dopuszczaliśmy się z Bertiem Birdem. Eris płakała cicho.

– Przestań, dobrze? – powiedziała nagle. – Nigdy tego nie chciałam. Przestań już.

Niemal żałowałem, że nie czeka mnie ponowna przeprawa z Haną lub Rudą Molly. Były straszne, ale były istotami z krwi i kości, które można skutecznie zaatakować i uciszyć.

Jeśli Lea również słyszała głosy, to w żaden sposób nie dawała tego po sobie poznać. Schodziła w równym tempie, dumnie wyprostowana; jej ściągnięte do tyłu włosy kołysały się miarowo między łopatkami. Irytował mnie bezrozumny upór, z jakim odmawiała przyjęcia do wiadomości, że Katem Skrzydlatych jest jej brat – czy nie słyszeliśmy, jak jego towarzysze wykrzykują podczas Selekcji imię Eldena? – mimo to zachwycała mnie jej odwaga.

Lea mnie zachwycała.

Gdy w końcu dotarliśmy do pokrytego mchem i pajęczynami łuku, byliśmy ze sto pięćdziesiąt metrów poniżej Głębi Maleen. Może nawet niżej. Głosy ucichły. Zastąpił je mroczny pomruk, który wydobywał się

albo z wilgotnych ścian, albo z zielonego światła, które teraz było znacznie jaśniejsze. To światło żyło, a niski pomruk był jego głosem. Zbliżaliśmy się do źródła jakiejś wielkiej mocy i jeśli kiedykolwiek wątpiłem w istnienie zła jako rzeczywistej siły, czegoś oddzielnego od zła ukrytego w sercach i umysłach śmiertelnych ludzi, teraz pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Byliśmy dopiero na skraju czegoś, co generowało tę siłę, ale zbliżaliśmy się do niej z każdym krokiem.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ramienia Lei. Drgnęła wystraszona, uspokoiła się jednak, kiedy zdała sobie sprawę, że to ja. Widziałem jej szeroko otwarte oczy, a nie dumnie wyprostowane plecy, i uświadomiłem sobie, że jest równie przerażona jak my. Może bardziej, bo więcej wiedziała.

– Przychodziliście tutaj? – wyszeptałem. – Ty i Elden przychodziliście tutaj jako dzieci?

Skinęła głową. Wyciągnęła rękę, lecz natrafiła na pustkę.

– Trzymaliście się za ręce?

Ponownie skinęła głową. „Tak”.

Widziałem ich oczami wyobraźni, trzymających się za ręce, biegających wszędzie razem… nie, nieprawda, jednak nie biegali. Lea mogłaby to robić, ale Elden miał zniekształcone stopy. Chodziła z nim powoli, nawet jeśli miała ochotę popędzić sprintem do następnej rzeczy, następnej niespodzianki, następnego sekretnego miejsca. Powstrzymywała się, bo go kochała.

– Miał laskę?

Podniosła rękę i pokazała mi dwa palce. Czyli dwie laski.

Wszędzie razem prócz jednego miejsca. „Lea, choć bardzo inteligentna, nigdy nie przepadała za książkami – powiedział Woody. – To Elden był w tej dwójce zapalonym czytelnikiem”.

– To on wiedział o tych sekretnych drzwiach w magazynie z ubraniami, prawda? Przeczytał o nich w bibliotece. Pewnie wiedział też o innych tajnych miejscach.

„Tak”.

Stare książki. Być może zakazane, takie jak *Necronomicon*, fikcyjne dzieło, o którym pisał Lovecraft. Widziałem oczami wyobraźni, jak Elden ślęczy nad taką księgą, brzydki chłopiec ze zniekształconymi stopami, garbem na plecach i żółtymi strupami na skórze, ten, o którym na co dzień zapominano, chyba że miał się stać obiektem jakiegoś okrutnego żartu (dobrze wiedziałem, jak to wygląda, bo w swoim mrocznym okresie razem z Bertiem wyżywałem się w ten sposób na wielu Bogu ducha winnych ludziach), chłopiec, którego ignorowali wszyscy prócz najmłodszej siostrzyczki. Bo i dlaczego mieli go nie ignorować, skoro następcą tronu był jego przystojny starszy brat? Zresztą chorowity Elden, mól książkowy Elden, i tak pewnie nie miał dożyć dnia, w którym brat przejąłby władzę. Tacy jak on nie żyli długo. Łapali jakiegoś wirusa, kaszleli, dostawali gorączki i umierali.

Elden czytający stare zakurzone księgi, albo z najwyższych półek, albo z zamkniętej na klucz szafki, którą ukradkiem otworzył. Może szukający najpierw jakiegoś sposobu obrony przed tyranizującym go bratem i złośliwymi siostrami. Myśli o zemście przyszły później.

– To nie ty wpadłaś na pomysł, żeby tu przyjść, prawda? Może do innych części pałacu tak, ale nie tutaj.

„Tak”.

– Nie podobało ci się tu, prawda? Sekretne pokoje i winda były w porządku, dobrze się tam bawiłaś, lecz to było złe i o tym wiedziałaś, tak?

Nie odpowiedziała żadnym gestem, nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła… jej oczy wypełniły się jednak łzami.

– Natomiast Elden był tym zafascynowany, prawda?

Lea odwróciła się i ruszyła w głąb korytarza, wykonując ten kolisty ponaglający ruch dłonią. Dumnie wyprostowana.

Zdeterminowana.

# 5

Radar wyprzedziła nas wcześniej o kilka kroków, a teraz przystanęła i obwąchiwała coś na podłodze korytarza – skrawek zielonego jedwabiu. Podniosłem go, obejrzałem i nie poświęcając mu więcej uwagi, włożyłem do kabury, obok kubka z zapałkami.

To przejście było szerokie i wysokie; zasługiwało raczej na miano tunelu, a nie korytarza. Dotarliśmy do miejsca, gdzie rozdzielało się na trzy kolejne, wszystkie wypełnione pulsującym zielonym światłem. Nad każdym z trzech wejść znajdował się rzeźbiony zwornik w kształcie tej samej ohydy, którą widziałem niedawno rozbitą na dwoje na podłodze w mieszkalnej części pałacu – istoty podobnej do kałamarnicy, z gąszczem macek, które przesłaniały grozę jej twarzy. Monarchy były błogosławieństwem, to coś – bluźnierstwem.

Oto kolejna baśń, pomyślałem. Tyle że przeznaczona dla dorosłych, a nie dla dzieci. Bez wielkiego złego wilka, bez olbrzyma, bez Rumpelsztyka. Stworzenie wyrzeźbione nad łukami było jakąś wersją Cthulhu. Czy właśnie tym jest Gogmagog? Wysokim kapłanem Starszych

Bogów, śniącym swoje złowrogie sny w ruinach R’lyeh? Czy to tego stwora Elden chce prosić o kolejną przysługę?

Lea przystanęła, po czym ruszyła w stronę korytarza po prawej; znów zatrzymała się i po chwili skierowała do środkowego przejścia. Zawahała się, patrząc przed siebie. Ja wpatrywałem się w podłogę, gdzie widziałem odciśnięte w pyle ślady stóp ludzi zmierzających w prawo. Właśnie tam udał się Kat Skrzydlatych ze swoją świtą, chciałem jednak przekonać się, czy Lea pamięta właściwą drogę. Pamiętała. Odwróciła się do prawego korytarza i ruszyła. Szliśmy za nią. Zapach – smród, jadowity odór – był teraz silniejszy, niski pomruk nie tyle głośniejszy, co bardziej przenikający. Ze szczelin w ścianie wyrastały obwisłe zdeformowane grzyby, białe jak palce trupa. Odwracały się za nami, gdy przechodziliśmy dalej. Najpierw pomyślałem, że to tylko przywidzenie. Myliłem się.

– To jest straszne – odezwała się Eris zgaszonym, zgnębionym głosem. – Myślałam, że Maleen jest okropne… i boisko, na którym musieliśmy walczyć… Ale przy tym były niczym.

Nie skomentowałem tego w żaden sposób, bo miała rację.

Szliśmy dalej, wciąż w dół. Zapach był coraz gorszy, pomruk przybierał na sile. Nie krył się już tylko w ścianach. Czułem go w mózgu, gdzie nie był dźwiękiem, lecz czarnym światłem. Nie miałem pojęcia, pod jaką częścią miasta się znajdujemy, ale z pewnością wyszliśmy poza pałac. Daleko poza pałac. Ślady stawały się coraz mniej wyraźne, a w końcu całkiem zniknęły. Nie było tu kurzu ani pajęczyn. Nawet pająki nie zapuszczały się w to zapomniane przez Boga miejsce.

Ściany wyglądały inaczej: miejscami kamień zastępowały wielkie bloki ciemnozielonego szkła. Głęboko w ich wnętrzu kłębiły się grube czarne wstęgi. Jedna z nich podpłynęła do nas i jej bezgłowy koniec otworzył się

szeroko, zamieniając się w usta. Eris krzyknęła słabo. Radar szła tak blisko mnie, że przy każdym kroku ocierałem się nogą o jej bok.

W końcu weszliśmy do wielkiego kopulastego pomieszczenia o ścianach z ciemnozielonego szkła. W ich wnętrzu wiło się mnóstwo czarnych wici, przepływających przez dziwne rzeźbione formy, które pod moim spojrzeniem zmieniały kształty. Wyginały się i wykręcały, tworzyły niepokojące kompozycje… twarze…

– Nie patrz na to – zwróciłem się do Eris. Przypuszczałem, że Lea zna to otoczenie; skoro pamiętała właściwą drogę, z pewnością zapamiętała również te zmieniające się przedziwne kształty. – Próbują cię chyba zahipnotyzować.

Księżniczka stała pośrodku tej przerażającej komnaty i rozglądała się, skonsternowana. W zielonych ścianach otwierało się kilkanaście kolejnych korytarzy i każdy pulsował zielonym światłem.

– Chyba nie potrafię – powiedziała Eris drżącym szeptem. – Charlie, wybacz, ale ja nie mogę.

– Nie musisz. – Mój głos wydawał się dziwnie płaski i obcy, zapewne za sprawą tego buczącego dźwięku. Przypominał głos tego Charliego Reade’a, który chętnie przyłączał się do wszystkich wrednych wygłupów, które wymyślał Bertie Bird, i dokładał do tego własne, równie idiotyczne pomysły. – Wracaj, jeśli pamiętasz drogę. Jeżeli nie, zostań tutaj i poczekaj na nas.

Lea zataczała koło, powoli stawiając kroki i zaglądając do każdego przejścia po kolei. Potem spojrzała na mnie, podniosła ręce i pokręciła głową.

„Nie wiem”.

– Doszłaś tylko dotąd, prawda? Dalej Elden szedł już sam.

„Tak”.

– Ale w końcu wrócił.

„Tak”.

Wyobraziłem sobie, jak czeka w tej dziwnej zielonej komnacie z upiornymi rzeźbami i czarnymi kształtami tańczącymi w ścianach. Mała dziewczynka, gotowa dzielnie – z determinacją – trwać na posterunku mimo tego złowieszczego pomruku. Całkiem sama.

– Przychodziłaś z nim tu jeszcze?

„Tak”. Wskazała w górę, czego nie zrozumiałem.

– A czy potem on przychodził tu już bez ciebie?

Długa przerwa i w końcu: „Tak”.

– Aż za którymś razem nie wrócił.

„Tak”.

– Nie poszłaś za nim, prawda? Dotarłaś do tego miejsca, ale dalej już nie. Nie odważyłaś się.

Zakryła twarz dłońmi. To była jednoznaczna odpowiedź.

– Idę – rzuciła Eris. – Wybacz, Charlie, ale… nie mogę.

Uciekła. Radar poszła za nią do wejścia, z którego przed chwilą przyszliśmy, i gdyby chciała uciec wraz z Eris, nie przywołałbym jej. Basowy pomruk wnikał w moje kości. Byłem niemal pewny, że ani ja, ani księżniczka Lea nigdy już nie zobaczymy świata na zewnątrz.

Kiedy wróciła do mnie Radar, ukląkłem i objąłem ją ramieniem; szukałem u niej otuchy.

– Założyłaś, że twój brat nie żyje.

„Tak”. Przyłożyła dłoń do szyi i w powietrzu rozbrzmiał chrapliwy głos:

– Bo tak jest. On nie żyje.

Człowiek, jakim się stałem – jakim wciąż się stawałem – był starszy i mądrzejszy od dzieciaka z liceum, który wyszedł kiedyś na pole maków. Ten Charlie – książę Charlie – rozumiał, że Lea musi w to wierzyć. Inaczej wciąż wyrzucałaby sobie, że nie poszła go ratować, a poczucie winy stałoby się w końcu brzemieniem nie do uniesienia.

Tak, myślę, że tak naprawdę wtedy już wiedziała.

# 6

Podłoga komnaty również była z gładkiego zielonego szkła, które sięgało w niezmierzone otchłanie. Pod naszymi stopami kłębiły się czarne wężowate kształty, wygłodniałe i nienasycone, teraz już nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Tutaj nie było już kurzu ani odciśniętych w nim śladów. Jeśli poddani Kata Skrzydlatych jakieś zostawili, to któryś starannie je zatarł, na wypadek gdyby ktoś – na przykład my – próbował za nimi iść. Lea wciąż nie mogła sobie przypomnieć, którym korytarzem wychodził z tej komnaty jej brat, wyglądało więc na to, że w żaden sposób nie zdołamy wybrać tego właściwego.

A może jednak istniał pewien sposób.

Przypomniałem sobie kobietę z pieprzykiem przy ustach, krzyczącą: „Na kolana, stara krwi! Na kolana!”. Miała na imię Petra i nosiła suknię z zielonego jedwabiu.

Wyjąłem z kabury znaleziony wcześniej skrawek materiału i podsunąłem go pod nos Radar. Obwąchała tkaninę bez większego zainteresowania – przeszywający pomruk i czarne kształty w zielonym

szkle działały także na nią. Ale była moją jedyną nadzieją. Naszą jedyną nadzieją.

– Który? – spytałem, wskazując na tunele.

Nie ruszyła się, spojrzała tylko na mnie, a ja uświadomiłem sobie, że straszliwa atmosfera tego miejsca mnie ogłupia. Radar znała wiele poleceń, lecz żadne nie brzmiało: „który”. Ponownie podsunąłem jej pod nos skrawek sukni.

– Szukaj, Radar, szukaj!

Tym razem przyłożyła nos do podłogi. Gdy jeden z czarnych wężowatych kształtów rzucił się w jej stronę, odruchowo się cofnęła, ale po chwili znowu zaczęła węszyć – mój pies, mój dzielny pies. Ruszyła w stronę jednego z tuneli, zatrzymała się, zrobiła krok do tyłu i przeszła do następnego korytarza po prawej. Zatrzymała się przy wejściu, spojrzała na mnie i szczeknęła.

Lea nie wahała się ani chwili. Wbiegła sprintem do wskazanego przez Radar wejścia. Zielona podłoga w tym tunelu opadała stromiej niż w poprzednich. Myślę, że gdyby spadek był jeszcze trochę większy, nie zdołalibyśmy utrzymać równowagi. Księżniczka przyspieszyła tempa. Była zwinna i szybka – ja byłem gamoniem, któremu pozwalano grać tylko na pierwszej bazie.

– Leo, poczekaj!

Ale nie poczekała. Biegłem najszybciej, jak tylko mogłem po pochyłej gładkiej podłodze. Radar, wsparta na czterech łapach, radziła sobie lepiej. Pomruk zaczynał cichnąć, jakby ktoś obracał pokrętłem głośności na gigantycznym wzmacniaczu. Odetchnąłem w duchu z ulgą. Słabł również zielony blask wypływający ze ścian. Zastąpiło go bledsze światło, które nieco się wzmocniło – odrobinę – gdy dotarliśmy do wyjścia z tunelu.

Mimo doświadczeń, które stały się ostatnio moim udziałem, nie mogłem uwierzyć w realność tego, co zobaczyłem na skraju tunelu. Mój umysł buntował się przeciwko temu, co pokazywały mu oczy. Grota z kilkunastoma wyjściami była olbrzymia, ale ta podziemna komnata nieskończenie przewyższała ją ogromem. A właściwie jak mogła to być komnata, skoro w górze rozciągało się niebo usiane pulsującymi żółtawymi gwiazdami? Właśnie stamtąd dochodziło blade światło.

To niemożliwe, pomyślałem, po chwili uświadomiłem sobie jednak, że się mylę. Czyż sam nie przeszedłem już do innego świata, do którego zaprowadziły mnie inne spiralne schody? Trafiłem wtedy do świata Empis. Teraz dotarłem do trzeciego.

Te schody wiły się spiralą we wnętrzu kolosalnego szybu wykutego w litej skale. Lea już po nich zbiegała. Na dole, co najmniej sto pięćdziesiąt metrów niżej, widać było lektykę Kata Skrzydlatych, zakrytą fioletowymi zasłonami ze złotą nicią. Czterej mężczyźni, którzy ją tutaj przynieśli, kulili się pod zakrzywioną ścianą szybu i patrzyli w górę, na obce gwiazdy. Musieli być silni i odważni, by donieść Kata Skrzydlatych aż tutaj, lecz z miejsca, w którym stałem teraz z Radar, wydawali się mali i przerażeni.

Na środku kamiennego dna szybu stał wielki żuraw o wysokości trzydziestu kilku metrów. Przypominał żurawie, które widywałem na placach budowy w moim mieście, lecz ten wyglądał, jakby został wykonany z drewna, i przywodził na myśl olbrzymią szubienicę. Pionowy maszt i pozioma wysięgnica tworzyły kąt prosty. Hak ładunkowy nie był połączony z pokrywą studni, którą spodziewałem się tu ujrzeć, lecz z wielkim włazem umocowanym na zawiasach, pulsującym nieprzyjemnym zielonym światłem.

Obok włazu stał Kat Skrzydlatych, w obszernym fioletowym płaszczu, z koroną przekrzywioną na białych włosach.

– Leo! – krzyknąłem. – Poczekaj!

Nie pokazała w żaden sposób, że mnie słyszy, jakby udzieliła jej się głuchota Claudii. Pędziła w dół ostatnich spiralnych schodów, oblanych nikłym blaskiem upiornych gwiazd z innego wszechświata. Pobiegłem za nią, wyciągając po drodze rewolwer pana Bowditcha.

# 7

Mężczyźni, którzy przynieśli lektykę, ruszyli w górę schodów na spotkanie Lei. Stanęła na szeroko rozstawionych nogach, w pozycji walki, i wyciągnęła miecz. Radar szczekała histerycznie, być może przerażona grozą tego miejsca, którego – byłem tego pewien – nie będzie nam nigdy dane opuścić, a być może dlatego, że obawiała się o Leę. Albo z obu tych powodów. Kat Skrzydlatych spojrzał w górę i korona zsunęła się z jego głowy. Podniósł ją, tylko że to, co wysunęło się spod fioletowej szaty, nie było ręką. Nie widziałem dobrze, co to było (albo nie chciałem widzieć), i w tym momencie wcale mnie to nie obchodziło. Musiałem jak najszybciej dotrzeć do Lei, choć wiedziałem już, że wcześniej znajdą się przy niej tragarze. Nie mogłem strzelać, bo byli zbyt blisko księżniczki, a poza tym nie wiedziałem, jak celny będzie rewolwer z tak dużego dystansu.

Lea oparła rękojeść miecza o brzuch. Słyszałem, jak idący na czele tragarz coś krzyczy. Machał ramionami, wspinając się na schody. Dosłyszałem „Nie, nie!”, ale nic poza tym. Lea nie musiała nawet podnosić broni; spanikowany wbiegł prosto na uniesione ostrze. Miecz wbił się w jego tułów po samą rękojeść, wysunął z pleców i trysnęła z nich fontanna

krwi. Księżniczka próbowała wyciągnąć ostrze, lecz utknęło na dobre. Miała prosty i ponury wybór: wypuścić miecz i żyć albo trzymać go i spaść ze schodów wraz z umierającym mężczyzną. Puściła. Przeszyty ostrzem tragarz runął w dół z wysokości jakichś trzydziestu metrów i upadł z głuchym odgłosem niedaleko lektyki, którą niedawno niósł. Być może obiecano mu złoto albo kobiety, albo posiadłość na wsi – może nawet to wszystko. Dostał tylko śmierć.

Trzej pozostali wspinali się dalej. Biegłem coraz szybciej, świadomy, że jeden nieostrożny krok może się dla mnie skończyć śmiertelnym upadkiem. Mimo to wciąż byłem za daleko, by uratować Leę. Widziałem, że tragarze dotrą do niej przede mną, a do obrony został jej tylko sztylet. Wyciągnęła go i oparła się plecami o ścianę, gotowa walczyć i zginąć.

Tyle że nie doszło do walki. Nawet mężczyzna, którego zabiła, prawdopodobnie nie chciał jej zrobić krzywdy: „Nie, nie!”, krzyczał tuż przed tym, jak nabił się na miecz. Ci ludzie mieli dość. Myśleli tylko o tym, by uciec z tego miejsca. Przebiegli obok księżniczki, nawet na nią nie spojrzawszy.

– Wracać! – krzyknął Elden. – Wracać, tchórze! Król każe wam wracać!

Zignorowali go; przeskakiwali po dwa, trzy stopnie naraz. Pochwyciłem Radar za obrożę i przyciągnąłem ją mocno do siebie. Dwaj pierwsi tragarze minęli nas i pognali dalej, ale trzeci potknął się o mojego psa, który miał już dość. Radar odwróciła łeb i wgryzła się głęboko w jego udo. Mężczyzna przez chwilę machał rękami, próbując odzyskać równowagę, a potem runął w przepaść z przedśmiertnym krzykiem, który zakończył się głuchym uderzeniem o kamienne dno.

Ruszyłem ponownie w dół schodów. Lea stała nieruchomo jak posąg. Wpatrywała się w groteskową postać okrytą fioletowym płaszczem i próbowała dojrzeć jej rysy w bladym świetle gwiazd migoczących w tej

nieprawdopodobnej otchłani nad naszymi głowami. Niemal do niej dotarłem, gdy światło zaczęło się stawać coraz jaśniejsze. Nie był to jednak blask gwiazd. Powrócił ponury pomruk, głębszy i głośniejszy niż poprzednio – teraz nie było to już jednostajne „mmmmmm”, lecz „AAAAAA” – głos obcej istoty, monstrualnej i nieznanej, wyczuwającej smakowity posiłek.

Spojrzałem w górę. Lea zrobiła to samo. I Radar. To, co ukazało się naszym oczom, co wypływało z usianego gwiazdami nieba, było straszne, ale – co najgorsze – zarazem piękne.

Jeśli moje poczucie czasu nie uległo całkowitemu zakłóceniu, to gdzieś wysoko nad nami trwał jeszcze dzień. Bella i Arabella były zapewne po drugiej stronie świata, do którego należało Empis, ale tutaj dwa księżyce wyglądały tak samo, niczym wierna projekcja oryginałów rzucona na ekran bezdennej czeluści. Wnętrze szybu wypełniło się ich upiornym bladym blaskiem.

Większy księżyc zbliżał się do mniejszego, nie mógł jednak przesunąć się za nim ani przed nim. Po tysiącach lat – tylko najwyżsi bogowie wiedzieli, ile ich było – dwa księżyce, te i tamte prawdziwe, gdzieś nad krzywizną planety, znalazły się na kursie kolizyjnym.

Zderzyły się w całkowitej ciszy (więc to naprawdę była projekcja), rozpalając czerń nieba oślepiającym błyskiem. Kawałki zniszczonych księżyców poleciały we wszystkich kierunkach, sunęły po czarnym niebie niczym lśniące odłamki rozbitej porcelany. Jednostajny ryk – AAAAAAAA – stał się jeszcze głośniejszy. Ogłuszający. Wysięgnica żurawia zaczęła się podnosić. Nie towarzyszyły temu odgłosy pracy żadnej maszyny, choć zapewne i tak bym ich nie dosłyszał.

Oślepiające światło rozpadających się księżyców zaćmiło wszystkie gwiazdy i oblało jasnym blaskiem dno szybu. Klapa nad Mroczną Studnią,

ciągnięta przez wysięgnicę, powoli się unosiła. Groteskowa istota w fioletowym płaszczu patrzyła w górę, a gdy Lea opuściła głowę, ich spojrzenia się spotkały. Jego oczy tkwiły głęboko w fałdach obwisłej zielonej skóry; jej były jasne i błękitne.

Pomimo upływu lat i wszystkich zmian, jakim uległo jego ciało, rozpoznała go. Nie była w stanie ukryć grymasu przerażenia i odrazy. Próbowałem ją przytrzymać, ale wyrwała się gwałtownie, omal nie spadając przy tym ze schodów. Byłem w szoku, otumaniony tym, co przed chwilą zobaczyłem: kolizją dwóch księżyców na niebie, które nie miało prawa istnieć. Ich odłamki coraz bardziej oddalały się od siebie i przygasały.

Na obrzeżach włazu Mrocznej Studni pojawiło się półkole czerni i rozrastało się w zastraszającym tempie. Przeciągły chrapliwy ryk zadowolenia był coraz głośniejszy. Kat Skrzydlatych ruszył w stronę włazu. Jego szata wybrzuszyła się w kilku miejscach jednocześnie. Obrzydliwa głowa zniknęła na moment za fioletową tkaniną i po chwili płaszcz opadł na ziemię. Istota, która kryła się pod nim do tej pory, była tylko w połowie mężczyzną, tak jak Elsa była tylko w połowie kobietą. Miejsce jego nóg zajmowały powykręcane macki, które przesuwały go teraz w stronę włazu, kołysząc nim na boki. Kolejne wyrastały z obwisłego brzucha, wyciągały się ku czerni pod włazem niczym obsceniczne nabrzmiałe członki. Zamiast rąk z tułowia potwora wyrastały ohydne wężowe ramiona; kołysały się wokół jego głowy niczym wodorosty w silnym prądzie. Uświadomiłem sobie, że istota ukryta wciąż pod włazem Mrocznej Studni nie może być Cthulhu. To Elden był Cthulhu tego świata, tak jak Dora była staruszką mieszkającą w Domu Butów, a Lea gęsiarką. Zamienił zdeformowane stopy i garb na coś zdecydowanie gorszego. Czy uważał, że to uczciwa wymiana?

Czy zemsta i powolne niszczenie królestwa wystarczyły, by wyrównać bilans?

Lea dotarła na dno szybu. Na niebie wciąż widać było oddalające się fragmenty Belli i Arabelli.

– Leo! – krzyknąłem. – Na miłość boską, stój!

Zatrzymała się tuż za lektyką z fioletowymi zasłonami, nie dlatego jednak, że ją zawołałem. Nie wiem, czy w ogóle mnie słyszała. Skupiała się wyłącznie na obwisłym monstrum, które niegdyś było jej bratem. Elden pochylał się właśnie nad włazem, luźna skóra jego twarzy zwieszała się niczym ciasto. Korona znów spadła mu z głowy. Z jego szyi, pleców i spomiędzy pośladków wyrosły kolejne czarne macki. Na moich oczach zamieniał się w Cthulhu, władcę starych bogów, baśniowy koszmar, który ożył w tym świecie.

Ale prawdziwy potwór był gdzie indziej. Za chwilę miał się wynurzyć ze studni.

Gogmagog.

## 8

Pamiętam wszystko, co wydarzyło się potem, z bolesną wyrazistością. Widziałem to z miejsca, w którym się zatrzymałem, jakieś dwanaście stopni schodów nad porzuconą lektyką – i wciąż widzę w snach.

Radar szczekała jak obłąkana, ale ledwie słyszałem jej głos ponad nieustającym nieznośnym buczeniem wydobywającym się z Mrocznej Studni. Lea podniosła sztylet i bez wahania wbiła go w czerwoną plamkę

obok miejsca, gdzie kiedyś miała usta. Potem, trzymając rękojeść w obu dłoniach, przesunęła ostrze wzdłuż blizny, od prawej do lewej.

– ELDEN! – krzyknęła rozdzierająco. Krew tryskała z jej nowo otwartych ust gęstą czerwoną mgiełką. Jej głos był ochrypły, pewnie po wysiłku, jaki musiała ostatnio podjąć, mówiąc przez innych, ale pierwsze słowa, które wypowiedziała sama, przy użyciu języka i warg, wybrzmiały dostatecznie głośno, by jej nieszczęsny brat je usłyszał, i to mimo narastającego buczenia. – ELDEN, PRZESTAŃ, PÓKI JESZCZE MOŻESZ!

Zawahał się i las macek oraz wężowych ramion – było ich teraz więcej, znacznie więcej – zafalował niepewnie. Czy dojrzałem miłość w tych kaprawych oczach? Żal? Smutek, może zawstydzenie, że przeklął tę jedyną, która go kochała, wraz ze wszystkimi tymi, dla których był jedynie obiektem kpin i chłopcem do bicia? A może widziałem tylko pragnienie zachowania tego, co wymykało mu się z rąk po okresie panowania, który uważał – w odróżnieniu od niemal wszystkich innych – za zdecydowanie zbyt krótki?

Nie miałem pojęcia. Zbiegłem z ostatnich schodów i stanąłem obok lektyki. Nie miałem żadnego planu; chciałem tylko zabrać stamtąd Leę, nim istota ze studni wyjdzie na zewnątrz. Pomyślałem o olbrzymim karaluchu, który przedostał się do szopy, i o tym, jak pan Bowditch go zastrzelił – co przypomniało mi w końcu, że nadal mam jego rewolwer.

Lea weszła prosto w gąszcz macek, jakby nieświadoma, co jej grozi. Jedna z macek głaskała ją po policzku. Elden wciąż patrzył na siostrę i… płakał?

– Wracaj – zaskrzeczał. – Wracaj, póki to możliwe. Ja nie mogę…

Jedna z macek owinęła się nagle wokół zakrwawionej szyi Lei. Od razu stało się dla mnie oczywiste, czego Elden nie może: powstrzymać tej części

siebie, nad którą zapanowała istota z dołu. Przeczytał tyle książek w pałacowej bibliotece – czy w żadnej z nich nie było tej podstawowej prawdy wszystkich kultur, mówiącej, że kiedy paktujesz z diabłem, oddajesz mu swą duszę?

Pochwyciłem tę mackę – prawdopodobnie nim Elden zawarł pierwszy pakt, była to jego ręka – i odciągnąłem od szyi księżniczki. Była twarda, pokryta jakimś śluzem. Gdy nie dusiła już Lei, wypuściłem ją z dłoni. Inna owinęła się wokół mojego nadgarstka, a kolejna wokół uda. Zaczęły ciągnąć mnie w stronę Eldena. I otwierającej się studni.

Podniosłem rewolwer pana Bowditcha, by strzelić. Nim jednak mogłem to zrobić, kolejna macka owinęła się wokół lufy, wyrwała mi broń i odrzuciła ją na bok, w stronę porzuconej lektyki. Najeżona Radar stała między Eldenem i studnią. Szczekała z takim zapamiętaniem, że z pyska leciała jej piana. Rzuciła się na niego. Jeszcze jedna macka – niegdyś część lewej nogi Eldena – wystrzeliła niczym bicz i przewróciła mojego psa. Ja tymczasem wciąż przesuwałem się do przodu. Potwór płakał nad losem siostry, a jednocześnie uśmiechał się diabolicznie na myśl o jakimś okropnym zwycięstwie, prawdziwym lub wyimaginowanym. Kolejne dwie macki, znacznie mniejsze, wysunęły się z otwartych w uśmiechu ust i smakowały powietrze. Żuraw nadal podnosił właz, a coś innego – coś pod spodem – pchało od dołu, poszerzając otwór.

Tam jest kolejny świat, pomyślałem. Czarny świat, którego nigdy nie chcę widzieć.

– Ty też brałaś w tym wszystkim udział! – wrzasnęła na Leę kreatura o obwisłej zielonej twarzy. – Brałaś w tym udział, bo inaczej poszłabyś ze mną! Byłabyś moją królową!

Kilka macek Kata Skrzydlatych pochwyciło ją jednocześnie – za nogi, w pasie i ponownie za szyję – i pociągnęło. Coś wychodziło ze studni,

lśniący czarny kształt najeżony długimi białymi kolcami. Opadło na kamienną podłogę z głośnym wilgotnym plaśnięciem. To było skrzydło.

– Ja jestem królową! – zawołała Lea. – A ty nie jesteś moim bratem! On był dobry! Ty jesteś zabójcą i uzurpatorem! Jesteś oszustem!

Wbiła sztylet, wciąż ociekający jej krwią, w oko Eldena i macki natychmiast ją wypuściły. Zachwiał się i cofnął. Czarne skrzydło podniosło się z ziemi i załopotało, śląc podmuch cuchnącego powietrza prosto na mnie. Owinęło się wokół Eldena i białe kolce przebiły go na wylot. Potem przyciągnęło go do krawędzi studni. Wydał z siebie ostatni przeraźliwy krzyk, nim czarna istota wbiła kolce w jego pierś i wciągnęła go w otchłań.

Lecz choć miała już swoją marionetkę, wcale nie zamierzała się zatrzymać. Ze studni wychynęło olbrzymie obłe cielsko. Wielkie złote oczy patrzyły na nas z czegoś, co wcale nie było twarzą. Usłyszeliśmy głośny zgrzyt i chrzęst, a potem spod włazu wysunęło się drugie pokryte kolcami skrzydło. Załopotało na próbę, znów posyłając w moją stronę falę złowonnego powietrza.

– Wracaj! – krzyknęła Lea. Z jej rozciętych ust wciąż tryskała krew. Czerwone krople spadły na stwora wychodzącego ze studni i zaskwierczały. – Ja, królowa Empis, rozkazuję ci wrócić tam, skąd przybyłeś!

Ale monstrum nadal wysuwało się ze studni, trzepocząc ciernistymi skrzydłami, z których tryskały strumienie cuchnącej i żrącej cieczy. Blask ostatnich drobin rozbitych księżyców niemal całkowicie już przygasł; ledwie widziałem przygarbioną, powykręcaną istotę, która wznosiła się nad studnią, jej ogromny kadłub, rozdymający się i kurczący niczym miechy. Głowa Eldena znikała w tym dziwnym ciele. Jego martwe oblicze, zastygłe w grymasie przerażenia, patrzyło na nas niczym twarz człowieka pochłanianego przez ruchome piaski.

Szczekanie Radar zabrzmiało jak krzyki rozpaczy.

Myślę, że to mógł być pewnego rodzaju smok, ale nie taki, o jakich opowiada się w ziemskich baśniach. Pochodził spoza mojego świata. I spoza świata Lei. Mroczna Studnia otwierała się na jakiś innych wszechświat, który całkowicie wymykał się ludzkiemu zrozumieniu. I rozkazy Lei nie mogły tego powstrzymać.

Wyszło.

Wyszło.

Księżyce pocałowały się, a to wkrótce miało wylecieć na świat.

## 9

Lea nie wydała mu kolejnego rozkazu. Uznała prawdopodobnie, że to niczego nie zmieni. Odchyliła tylko głowę, by obserwować istotę wysuwającą się ze studni. Teraz tylko Radar, szczekająca bez wytchnienia – jakimś cudem – próbowała heroicznie bronić naszego świata.

Uświadomiłem sobie, że umrę i że będzie to akt miłosierdzia ze strony losu. Zakładając oczywiście, że życie nie będzie trwać w jakimś przeraźliwym piekielnym ryku (AAAAAA), kiedy już znajdę się wraz z Leą i Radar w nieziemskim jestestwie tego stworzenia.

Czytałem kiedyś, że w takich chwilach człowiekowi przemyka przed oczami całe życie. Przed moimi przemknęły – niczym ilustracje w książce, w której ktoś przerzuca szybko stronice – wszystkie baśnie, na jakie natknąłem się w Empis, od kobiety z butami i gęsiarki, poprzez domy

Trojga Małych Wygnańców, aż po podłe siostry, które nigdy nie zabrałyby swojej ślicznej siostrzyczki (ani zdeformowanego braciszka) na bal.

Potwór rósł i rósł. Kolczaste skrzydła trzepotały. Twarz Eldena zniknęła w czarnych wnętrznościach.

Wtedy pomyślałem o innej bajce.

Pewnego razu żył sobie mały podły człowiek, niejaki Polley, który przyszedł ukraść złoto pana Bowditcha.

Pewnego razu żył sobie mały podły człowiek, niejaki Peterkin, który torturował Skoczka sztyletem.

Pewnego razu moją mamę potrąciła na moście furgonetka hydraulika, wgniotła ją w jedną z podpór i zabiła. Większość ciała mamy została na moście, ale głowa i ramiona wpadły do rzeki o nazwie Little Rumple.

Zawsze Rumpelsztyk. Od samego początku. Pierwotna baśń, moglibyście powiedzieć. Jak księżniczka pozbyła się tego dokuczliwego skrzata?

– ZNAM TWOJE IMIĘ! – krzyknąłem. To nie był mój głos; podobnie jak wiele myśli i pomysłów z tej opowieści nie należał już do siedemnastoletniego chłopca, który przybył kiedyś do Empis. To był głos księcia. Nie z tego świata i nie z mojego. Początkowo nazywałem Empis Tym Innym, ale to ja byłem inny. Wciąż byłem Charliem Reade’em, jasne, lecz również kimś innym, a myśl, że posłano mnie tutaj… że mój zegar został nakręcony i ustawiony wiele lat temu, gdy mama szła przez most, pogryzając nóżkę kurczaka… wydawała mi się w tamtej chwili niepodważalną prawdą. Później, gdy człowiek, jakim byłem w tym podziemnym świecie, zaczął niknąć, coraz częściej w to powątpiewałem. Ale wtedy? Nie. – ZNAM TWOJE IMIĘ, GOGMAGOGU, I ROZKAZUJĘ CI WRACAĆ DO TWOJEGO LEGOWISKA!

Czarne stworzenie krzyknęło. Kamienna podłoga zadrżała i pojawiły się na niej długie pęknięcia. Wysoko ponad nami groby znów wypuszczały zmarłych, a boisko na Stadionie Monarchów przecięła zygzakowata szeroka szczelina. Olbrzymie skrzydła zatrzepotały, zrzucając deszcz kropel, które były piekące jak kwas. Ale wiecie co? Podobał mi się ten krzyk, bo byłem mrocznym księciem, a to był krzyk bólu.

– GOGMAGOG, GOGMAGOG, TWOJE IMIĘ TO GOGMAGOG!

Monstrum krzyczało za każdym razem, gdy wymawiałem jego imię. Krzyki niosły się w rzeczywistym świecie, lecz były też w mojej głowie, jak wcześniej dręczące buczenie, które rozsadzało mi czaszkę. Skrzydła trzepotały w szaleńczym tańcu. Wielkie ślepia patrzyły na mnie z nienawiścią.

– WRACAJ DO SWOJEGO LEGOWISKA, GOGMAGOGU! MOŻE ZNÓW TU PRZYJDZIESZ, GOGMAGOGU, ZA DZIESIĘĆ LAT ALBO ZA TYSIĄC, ALE NIE DZIŚ, GOGMAGOGU! – Rozłożyłem szeroko ramiona. – JEŚLI MNIE ZABIERZESZ, GOGMAGOGU, PRZED ŚMIERCIĄ ROZERWĘ CI WNĘTRZNOŚCI TWOIM IMIENIEM!

Cofał się, składając skrzydła i zasłaniając nimi ohydne ślepia. Gdy opuszczał się z powrotem do swojego świata, towarzyszył temu odrażający plusk, który przyprawiał mnie o wymioty. Zastanawiałem się przez chwilę, jak opuścimy ten cholerny właz, przymocowany do haka żurawia, lecz tym zajęła się Lea. Mówiła łamiącym się ochrypłym głosem… ale czy nie widziałem warg wyłaniających się z przeciętej nożem twarzy? Nie jestem pewien, skoro jednak i tak musiałem już uwierzyć w tyle fantastycznych historii, chętnie przyjąłem i tę.

– Zamykać w imię Lei z Gallienu.

Powoli – zdecydowanie zbyt powoli jak na mój gust – wysięgnica zaczęła opuszczać klapę włazu. Po chwili lina się rozluźniła, a hak wypiął

z uchwytu. Wypuściłem wstrzymywane długo powietrze.

Lea rzuciła mi się w ramiona i ściskała mnie z całych sił. Krew z jej nowo otwartych ust spływała mi po szyi. Coś uderzyło we mnie od tyłu. To Radar – oparła przednie łapy na moim tyłku i wymachiwała ogonem jak szalona.

– Skąd wiedziałeś? – spytała księżniczka zachrypłym głosem.

– Mama opowiedziała mi kiedyś pewną bajkę – odparłem. Co w pewnym sensie było prawdą. Opowiedziała mi ją teraz, umierając wtedy. – Musimy iść albo potem będziemy szukali drogi po ciemku. I musisz przestać mówić. Widzę, jak bardzo cię to boli.

– Tak, ale to cudowny ból. – Wskazała na lektykę. – Na pewno przynieśli ze sobą co najmniej jedną lampę. Masz jeszcze zapałki?

Co zadziwiające, miałem. Przeszliśmy do porzuconej lektyki, trzymając się za ręce; Radar truchtała między nami. Po drodze Lea pochyliła się po coś, ale nie zwróciłem na to uwagi. Byłem zbyt pochłonięty myślami o tym, że musimy jak najszybciej znaleźć lampę i wyjść z tego miejsca, nim całkiem zgaśnie blask rozbitych księżyców.

Odsunąłem na bok zasłonę lektyki i zobaczyłem skulonego po drugiej stronie ostatniego członka grupy, która towarzyszyła Eldenowi. „Kat Skrzydlatych – powiedział Percival. – Jeszcze czworo. I cholernica”. A może powiedział „czarownica”.

Włosy Petry wysunęły się spod związanego sznura pereł, który je podtrzymywał. Jej biały makijaż popękał niczym maska. Patrzyła na mnie z przerażeniem i nienawiścią.

– Wszystko zepsułeś, ty wstrętny bachorze!

„Bachor” mnie rozbawił.

– Nie, nie, kochanie. Kije i kamienie kości mi połamią, ale twoje słowa nigdy mnie nie zranią.

Na małym mosiężnym haczyku z przodu lektyki wisiało coś, co miałem nadzieję tam zobaczyć – jedna z wrzecionowatych lamp.

– Byłam jego żoną! Jego wybranką! Pozwalałam mu się dotykać tymi ohydnymi wężami, zamiast których miał kiedyś ręce! Zlizywałam jego ślinę! Nie zostało mu już wiele życia, każdy głupiec to widział. A potem ja przejęłabym władzę!

Słowa niegodne odpowiedzi, moim skromnym zdaniem.

– Ja byłabym królową Empis!

Sięgnąłem po lampę. Petra otworzyła usta, odsłaniając zęby spiłowane w szpice, jak u Hany. Być może taka panowała wtedy moda na piekielnym dworze Kata Skrzydlatych. Rzuciła się do przodu i zatopiła te kły w mojej ręce. Ból był natychmiastowy i potworny. Spomiędzy jej zaciśniętych warg sączyła się krew. Oczy wyszły Petrze z orbit. Próbując wyrwać rękę, czułem, jak jej zęby rozrywają moje ciało, ale nadal nie odpuszczała.

– Petro – odezwała się Lea. Jej głos brzmiał jak chrapliwe warknięcie. – Masz, ty śmierdząca starucho.

Huk czterdziestkipiątki pana Bowditcha, po którą schyliła się wcześniej księżniczka, był ogłuszający. Tuż nad prawym okiem Petry pojawił się otwór w warstwie zaskorupiałego makijażu. Jej głowa odleciała do tyłu, a nim opadła na dno lektyki, zobaczyłem coś, czego wolałbym nie widzieć: kawałek mojego ciała, wielkości gałki u drzwi, zwisający ze spiłowanych zębów.

Lea nie wahała się ani przez sekundę. Zerwała jedną z zasłon, oddarła z niej długi pas tkaniny i obwiązała nim ranę. Było już niemal całkiem ciemno. Sięgnąłem do wnętrza lektyki zdrową ręką (myśl, że Petra może ożyć i wgryźć się także w tę, była absurdalna, lecz sugestywna). Omal nie wypuściłem lampy. Książę czy nie, trząsłem się z szoku. Ramię bolało mnie

tak, jakby Petra nie tylko je ugryzła, ale też polała ranę benzyną i podpaliła ją.

– Ty zapal – poprosiłem. – Zapałki są w kaburze.

Czułem, jak Lea wyjmuje po omacku kubek, a potem usłyszałem, jak pociera główką zapałki o bok lektyki. Przechyliłem szklany klosz. Obróciła nieco pokrętło z boku, by wysunąć dalej knot, i zapaliła go. Potem wzięła ode mnie lampę. I dobrze, bo na pewno bym ją upuścił.

Ruszyłem w stronę spiralnych schodów (pomyślałem, że będę szczęśliwy, jeśli nigdy więcej nie będę musiał oglądać podobnych stopni), lecz Lea przytrzymała mnie i przyciągnęła do siebie. Czułem, jak jej rozcięte usta poruszają się przy moim uchu, gdy szeptała:

– Była moją cioteczną babką.

Była zdecydowanie za młoda, żeby być twoją babką, pomyślałem. Po chwili jednak przypomniałem sobie pana Bowditcha, który wybrał się w daleką podróż i wrócił jako własny syn.

– Wynośmy się stąd i nigdy tu nie wracajmy – powiedziałem.

## 10

Wychodziliśmy z szybu bardzo powoli. Musiałem się zatrzymywać i odpoczywać mniej więcej co pięć stopni. Ręka pulsowała bólem przy każdym kroku; czułem, jak prowizoryczny opatrunek założony przez Leę nasiąka krwią. Wciąż miałem przed oczami opadającą głowę Petry z kawałkiem mojej ręki w ustach.

Gdy dotarliśmy na szczyt schodów, musiałem usiąść. Teraz oprócz ręki bolała mnie również głowa. Czytałem kiedyś, że jeśli chodzi o prawdopodobieństwo zakażenia, tylko ugryzienie chorego na wściekliznę zwierzęcia jest gorsze od ugryzienia zdrowego człowieka… A skąd miałem wiedzieć, czy Petra była zdrowa po tylu latach przebywania w towarzystwie Eldena? (Nawet nie chciałem do siebie dopuścić myśli o fizycznym zbliżeniu tych dwojga). Wydawało mi się, że czuję, jak jej trucizna wędruje w górę mojego ramienia, a potem do serca. Upominanie się w myślach i powtarzanie, że mam chorą wyobraźnię, niewiele pomagało.

Lea pozwoliła mi posiedzieć chwilę obok Radar, która z niepokojem trącała mnie nosem w policzek, a potem wskazała na zbiorniczek z naftą w lampie. Był prawie pusty, a blask bijący ze ścian zgasł wraz ze śmiercią Eldena i odwrotem Gogmagoga. Przekaz był jasny: jeśli nie chcemy błąkać się w ciemnościach, musimy ruszyć.

Byliśmy mniej więcej w połowie stromego tunelu prowadzącego do wielkiej komnaty z kilkunastoma wejściami, gdy lampa ostatecznie zgasła. Lea westchnęła, wzięła mnie za zdrową rękę i powoli szliśmy dalej. Ciemność była nieprzyjemna, ale bez dręczącego buczenia i złośliwych szeptów wydawała się całkiem znośna. Nieznośny był natomiast ból ręki. Krew na ranie nie krzepła. Spływała mi na dłoń i między palce; czułem jej ciepło. Radar powąchała ją i zaskomlała. Pomyślałem o Jocie umierającym po draśnięciu zatrutym nożem. Podobnie jak wspomnienie Petry z kawałkiem mojego ciała w ustach ta myśl nie dodawała mi wcale sił i nie chciałem do niej wracać, lecz nie mogłem się powstrzymać.

Lea przystanęła i na coś wskazała. Uświadomiłem sobie, że widzę jej wyciągniętą rękę, bo w korytarzu znów było światło. Nie ta wstrętna zielona poświata sącząca się ze szklanych bloków, tylko ciepły żółty blask,

który na przemian pojawiał się i przygasał. Gdy w końcu rozjaśnił się na dobre, Radar pobiegła w jego stronę, szczekając głośno.

– Nie! – krzyknąłem, od czego jeszcze bardziej rozbolała mnie głowa. – Zostań!

Nie zwróciła na mnie uwagi, zorientowałem się jednak, że nie było to wściekłe ujadanie przerażonego zwierzęcia, jak w mrocznym wszechświecie, który zostawiliśmy za sobą (nie dość daleko, nigdy nie można go zostawić wystarczająco daleko), lecz wyraz radosnego podniecenia. Z narastającego blasku coś wychodziło… wyskakiwało.

Radar, kręcąc zadem i wymachując ogonem, przypadła do podłogi i Skoczek wylądował na jej grzbiecie. Jego śladem leciał rój świetlików.

– Władca małych stworzeń – mruknąłem. – Niech mnie…

Świetliki – było ich co najmniej tysiąc – utworzyły lśniącą chmurę nad moim psem i wielkim czerwonym świerszczem siedzącym na jego grzbiecie. Radar i Skoczek wyglądali pięknie w tym świetle. Poderwała się z podłogi, zapewne na polecenie świerszcza, które nie było przeznaczone dla ludzkich uszu, i ruszyła w górę pochyłego korytarza. Świetliki przesuwały się wraz z nią.

Lea uścisnęła moją dłoń i poprowadziła mnie za nimi.

## 11

Eris czekała w wielkiej komnacie z kilkunastoma korytarzami. Skoczek przyprowadził do nas batalion świetlików, ale ich pluton zostawił przy Eris, by nie siedziała w całkowitych ciemnościach. Kiedy wyszliśmy z tunelu,

podbiegła i mnie uściskała. Gdy zesztywniałem z bólu, cofnęła się i spojrzała na prowizoryczny bandaż, spod którego wciąż ciekła krew.

– Bogowie najwyżsi, co ci się stało? – spytała, po czym spojrzała na Leę i aż zachłysnęła się z wrażenia. – Och, moja pani!

– Za długo by opowiadać – rzuciłem i pomyślałem, że być może nigdy nie zdecyduję się opowiedzieć o wszystkim. – Dlaczego tu jesteś? Dlaczego wróciłaś?

– Skoczek mnie przyprowadził. I sprowadził światło, jak widzicie. Potrzebujesz opieki medycznej, oboje jej potrzebujecie, a Freed jest za słaby, żeby wam pomóc.

Więc będzie się tym musiała zająć Claudia, przemknęło mi przez głowę. Ona będzie wiedziała, co robić. Jeśli można cokolwiek zrobić.

– Musimy się stąd wynosić – zadecydowałem. – Mam już dość siedzenia pod ziemią.

Popatrzyłem na czerwonego świerszcza na grzbiecie Radar. Odpowiedział mi poważnym, głębokim spojrzeniem czarnych oczu.

– Prowadź, Skoczku, jeśliś łaskaw.

I poprowadził.

## 12

Gdy w końcu dotarliśmy do magazynu ubrań z sekretnymi drzwiami, czekało tam na nas kilkanaście osób. Świetliki przepłynęły nad ich głowami niczym proporzec światła. Byli tam Jaya i Percival oraz kilku ocalałych więźniów z Głębi Maleen, lecz nie pamiętam konkretnie kto. Miałem coraz

silniejsze zawroty głowy, a pulsujący we wnętrzu czaszki ból niemal rozsadzał ją na kawałki. Pamiętam jedynie, że Skoczek nie siedział na grzbiecie Radar, a Percival wyglądał już lepiej. Nie wiem, jak udało mi się to zapamiętać, bo miałem wrażenie, że cały mój świat składa się wyłącznie z bólu, ale tak właśnie było. Jestem tego pewien. Na widok księżniczki wszyscy upadli na kolana i podnieśli dłonie do czoła.

– Wstać – wychrypiała. Niemal całkiem straciła głos, przypuszczałem jednak, że to kwestia przemęczenia i że wkrótce go odzyska. Myśl, że jej struny głosowe zostały trwale uszkodzone, była zbyt przerażająca, by w ogóle brać ją pod uwagę.

Wszyscy podnieśli się z kolan, a ja, wspierany z jednej strony przez Eris, a z drugiej przez Leę, wyszedłem z magazynu. Pokonałem większość drogi do pierwszych schodów, lecz potem nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ktoś mnie niósł, może moi współtowarzysze z Głębi Maleen, może szarzy ludzie, a może jedni i drudzy. Nie pamiętam. Przypominam sobie natomiast, jak niesiono mnie przez komnatę audiencyjną, gdzie kilkudziesięcioro szarych mężczyzn i kobiet sprzątało chlew pozostawiony przez tych członków dworu króla Jana, którzy przysięgli wierność Katowi Skrzydlatych. Wydawało mi się, że była wśród nich Dora, w czerwonej chustce na głowie i imponujących butach z żółtego materiału na stopach. Podniosła rękę do ust i przesłała mi całusa dłonią, która znów zaczynała przypominać ludzką kończynę, a nie płetwę.

Nie ma jej tutaj, pomyślałem. Majaczysz, Charlie. A nawet jeśli jest, to jej dłonie nie mogą wracać do dawnej postaci. Takie rzeczy zdarzają się tylko w…

W czym? Cóż… w opowieściach takich jak ta.

Przechyliłem głowę, by spojrzeć w jej stronę, gdy przenoszono mnie do następnego pomieszczenia, czegoś w rodzaju przedsionka. Zobaczyłem

jeszcze raz jasnoczerwoną chustę i żółte buty, ale nie miałem pewności, czy to Dora. Klęczała odwrócona do mnie plecami, zajęta szorowaniem podłogi.

Przechodziliśmy przez kolejne pomieszczenia i długi korytarz, lecz powoli traciłem kontakt z rzeczywistością. Chętnie całkiem bym się z nią rozstał i osunął w stan, w którym moja głowa nie pękałaby z bólu, a ręka nie paliła żywym ogniem. Nie poddawałem się jednak. Jeśli umierałem – a tak się właśnie czułem – to chciałem dokonać żywota na zewnątrz, oddychając świeżym powietrzem.

W oczy uderzył mnie jasny blask. Głowa bolała coraz bardziej, mimo to na chwilę ogarnęła mnie ogromna radość. Bo nie było to wstrętne światło podziemnego świata Lilimar. Nie było to nawet przyjazne światło świetlików. To było światło dnia, ale i coś więcej.

Na moją twarz padał blask słońca.

Niesiono mnie w pozycji półsiedzącej. Chmury rozstępowały się i widziałem błękitne niebo nad placem przed frontową częścią pałacu. I nie był to skrawek błękitu, z którego nie dałoby się nawet uszyć spodni, ale całe hektary odsłoniętego nieba. Nie, kilometry kwadratowe. I, mój Boże, jakież piękne słońce! Spojrzałem w dół i zobaczyłem własny cień. Ten widok sprawił, że poczułem się jak Piotruś Pan, książę Zaginionych Chłopców.

Brama miasta była otwarta i nad placem wypełnionym tłumem szarych mieszkańców Empis podniósł się krzyk radości. Na widok Lei wszyscy padli na kolana. Towarzyszył temu głośny szum, który przyprawił mnie o gęsią skórkę.

Lea patrzyła na mnie. Wydawało mi się, że jej spojrzenie mówi: „Przydałaby mi się pomoc”.

– Puśćcie mnie – poprosiłem.

Moi tragarze ostrożnie postawili mnie na ziemi, a ja przekonałem się, że mogę stać o własnych siłach. Wciąż czułem ból, lecz także coś jeszcze. Coś, co wypełniało mnie w chwili, gdy wykrzykiwałem imię Gogmagoga głosem, który nie należał do mnie. Teraz znów się to pojawiło. Podniosłem ręce, tę zdrową i tę, z której wciąż sączyła się krew i barwiła czerwienią nowy opatrunek nałożony gdzieś po drodze przez Jayę. Ta czerwień przywodziła mi na myśl maki rosnące za małym domkiem Dory.

Ludzie zgromadzeni na placu milczeli, wciąż klęcząc. I mimo mocy, która mnie wtedy przenikała, zdawałem sobie sprawę, że nie klęczą przede mną. To nie był mój świat. Moim światem był ten inny, ale miałem tu jeszcze jedno zadanie do wykonania.

– Posłuchaj mnie, ludu Empis! Kat Skrzydlatych nie żyje!

Odpowiedział mi ogłuszający ryk aprobaty i wdzięczności.

– Mroczna Studnia jest zamknięta, a istota, która w niej żyje, uwięziona!

Kolejny ryk.

Czułem, jak moc zaczyna mnie opuszczać, zabierając ze sobą siłę, której użyczyła, i inność. Wkrótce znów będę zwykłym Charliem Reade’em… oczywiście jeśli nie umrę od ugryzienia Petry.

– Chwała Lei, ludu Empis! Chwała Lei z Gallienu! CHWAŁA WASZEJ KRÓLOWEJ!

Myślę, że to była kapitalna kwestia na zakończenie przemówienia, jak powiedziałby zapewne mój tata, nie wiem jednak, czy odniosła zamierzony skutek, bo wtedy właśnie ugięły się pode mną nogi i straciłem przytomność.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

## Goście. Królowa w bieli. Litość. Woody i Claudia. Pożegnanie.

### 1

Spędziłem wiele dni w pięknym pokoju z powiewającymi białymi zasłonami. Przez otwarte okna wpadały nie tylko podmuchy wiatru, ale też cudownie świeże powietrze. Czy przebywałem w tym pokoju trzy tygodnie? Cztery? Nie wiem, bo w Empis nie ma tygodni. Przynajmniej nie naszych. Słońce wschodziło i zachodziło. Czasami nocą zasłony podświetlał blask rozbitych księżyców. Szczątki Belli i Arabelli utworzyły coś w rodzaju naszyjnika na niebie. Wtedy nigdy go nie widziałem, docierał do mnie tylko zmieniający się blask, przesączający się przez białe zasłony z delikatnej tkaniny. Zdarzało się, że jedna z moich pielęgniarek (Dora była najlepsza, kochana Dora, nasza Pani od Butów) chciała zamknąć okna, by „nocne opary” nie pogorszyły jeszcze mojego niepewnego stanu, nie pozwalałem jednak na to, bo powietrze było cudowne i ożywcze. Słuchały mnie, ponieważ byłem księciem, a moje słowo stawało się prawem. Nie mówiłem nikomu, że wracam do starego, zwykłego Charliego Reade’a. I tak by mi nie uwierzyli.

Wiele osób odwiedzało mnie w tym pokoju z powiewającymi zasłonami. Niektóre nie żyły.

Pewnego dnia przyszedł Jota – doskonale pamiętam tę wizytę. Przyklęknął na jednym kolanie, przyłożył dłoń do głowy, a potem usiadł na niskim krześle, na którym zasiadały zwykle moje pielęgniarki, by zdejmować opatrunki (co bolało), czyścić ranę (co bolało jeszcze bardziej) i zakładać nowe opatrunki. Zielonkawa maź – wynalazek Claudii – straszliwie cuchnęła, przynosiła jednak ulgę. Co nie znaczy, że nie wolałbym paru tabletek ibuprofenu. Oksykodon byłby jeszcze lepszy.

– Wyglądasz, kurwa, jak trup – rzucił.

– Dzięki. To bardzo uprzejme z twojej strony.

– Załatwił mnie jad osy – powiedział. – Na nożu. Pamiętasz ten nóż i faceta za drzwiami?

Pamiętałem. Jeff, stare, dobre amerykańskie imię. Albo Geoff, stare, dobre brytyjskie imię.

– Petra obiecała mu chyba, że za niego wyjdzie, kiedy Elden już umrze, a ona zostanie królową Empis – odparłem.

– Kazał chyba któremuś z szarych ludzi trzymać ten nóż w gnieździe os tak długo, aż ostrze pokryje się jadem. Biedak pewnie kipnął od użądleń.

Pomyślałem, że to bardzo prawdopodobne, jeśli osy w Empis były równie duże jak karaluchy.

– Ale co życie jakiegoś szarego człowieka mogło obchodzić tego gnojka? – ciągnął Jota. – Ten sukinsyn miał to gdzieś. Dawniej osy nie były takie niebezpieczne, ale… – Wzruszył ramionami.

– Dużo się zmieniło, gdy rządził Kat Skrzydlatych. Na gorsze.

– Taaa, na gorsze. – Wyglądał dość zabawnie na tym małym stołku, z kolanami na wysokości uszu. – Potrzebowaliśmy kogoś, kto nas ocali. Dostaliśmy ciebie. Lepsze to niż nic.

Podniosłem zdrową rękę i wyprostowałem palec serdeczny i mały, co w języku gestów mojego starego przyjaciela Bertiego Birda było odpowiednikiem faka.

– Jad Petry nie był może taki zły jak świństwo na nożu tamtego skurwiela, ale też chyba miał swoją moc, co? – dodał Jota.

Jasne, że miał. Zlizywała ślinę tego ohydnego Eldena i jej resztki musiały pozostać w ustach Petry, gdy mnie ugryzła. Wzdrygnąłem się na tę myśl.

– Pokonaj to – powiedział Jo, wstając. – Pokonaj to, książę Charlie.

Nie widziałem, jak wchodził, lecz zobaczyłem, jak wychodzi. Przeszedł przez powiewające zasłony i zniknął.

Do pokoju weszła jedna z szarych pielęgniarek, wyraźnie zaniepokojona. Teraz można już było odczytać emocje z twarzy ludzi dotkniętych szarością: najgorsze zniekształcenia pozostały, ale postęp choroby – klątwy – został zatrzymany. Co więcej, widać było powolną, ale stałą poprawę. Na wielu szarych twarzach pojawiały się jaśniejsze plamy, znikała też błona łącząca palce stóp i dłoni. Nie przypuszczałem jednak, by którekolwiek z nich odzyskało dawną postać. Claudia znów słyszała – trochę – ale Woody prawdopodobnie miał pozostać niewidomy do końca życia.

Pielęgniarka powiedziała, że słyszała, jak coś mówię, i pomyślała, że znów zaczynam majaczyć.

– Mówiłem do siebie – odparłem, i może rzeczywiście tak było. Przecież Radar nawet nie podniosła łba.

Potem wpadł do mnie z wizytą Cla. Nie składał mi uniżonych hołdów, nie chciał też siadać; stanął przy łóżku i spojrzał na mnie z góry.

– Oszukiwałeś – odezwał się. – Gdybyś walczył uczciwie, zgniótłbym cię na miazgę, nieważne, że jesteś księciem.

– A czego się spodziewałeś? – odparłem. – Miałeś nade mną co najmniej pięćdziesiąt kilogramów przewagi i byłeś szybki. Powiedz, że na moim miejscu nie zrobiłbyś tego samego.

Roześmiał się.

– Tu mnie masz, przyznaję. Ale wygląda na to, że już nikomu nie złamiesz kija na głowie. Wyjdziesz z tego?

– Kto to, kurwa, wie.

Znowu się roześmiał i podszedł do powiewających zasłon.

– Twardy z ciebie sęk, kolego, tyle ci powiem.

I zniknął. Jeśli w ogóle tam był. „Twardy z ciebie sęk, kolego” to kwestia ze starego westernu, który oglądałem na TCM z tatą, gdy jeszcze pił. Nie pamiętam tytułu, wiem tylko, że w obsadzie był Paul Newman, który grał Indianina. Uważacie, że niektóre fragmenty mojej historii są niewiarygodne? Spróbujcie wyobrazić sobie Paula Newmana jako Indianina. To dopiero jest wyzwanie!

Tej nocy – a może innej, nie jestem pewny – obudziło mnie warczenie Radar. Zobaczyłem Kellina we własnej osobie, siedzącego przy moim łóżku w swojej fikuśnej czerwonej marynarce smokingowej.

– Coraz gorzej z tobą, Charlie – powiedział. – Mówią ci, że rana wygląda lepiej, i może rzeczywiście tak jest, ale infekcja wniknęła bardzo głęboko. Wkrótce cię wykończy. Twoje serce napuchnie i pęknie, a wtedy ja będę na ciebie czekał. Ja i mój oddział nocnych żołnierzy.

– Prędzej cię krew zaleje – odparłem, co nie było zbyt mądre. Od dawna nie miał w sobie ani kropli krwi, nawet wtedy, gdy zaatakowały go szczury. – Wynoś się stąd, zdrajco.

Zrobił to, lecz Radar nadal warczała. Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyłem ukrytą w cieniu Petrę, która szczerzyła w uśmiechu spiłowane zęby.

Dora często spała w przedsionku i przybiegała do mnie na swoich krzywych nogach, gdy tylko usłyszała, jak krzyczę. Nie zapalała lamp gazowych; przynosiła jedną z tych wrzecionowatych lampek. Pytała, czy dobrze się czuję i czy moje serce bije równomiernie, bo wszystkim pielęgniarkom przykazano, by zwracały na to uwagę. Powiedziałem, że wszystko jest w porządku, ale i tak zmierzyła mi tętno i sprawdziła opatrunek.

– Jakieś duchy, tak?

Wskazałem na róg pokoju.

Dora podreptała tam w swoich olśniewających żółtych butach i podniosła lampkę. Nikogo tam nie było, choć właściwie nie musiała mi już tego pokazywać, bo Radar już zasnęła. Dora pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w policzek tak, jak pozwalały jej na to zniekształcone usta.

– Już dobrze, już dobrze, wszystko dobrze. Śpij, Charlie. Śpij i zdrowiej.

# 2

Odwiedzali mnie też żywi. Cammit i Quilly, potem Stooks, który przechadzał się dumnie po pokoju, niczym pan na włościach. Jego rozcięty policzek spinało kilkanaście czarnych szwów. Przywodziły mi na myśl stary film o Frankensteinie, który oglądałem z tatą na TCM.

– Zostanie paskudna blizna – powiedział, pocierając szwy. – Już nigdy nie będę taki ładny jak kiedyś.

– Stooks, ty nigdy nie byłeś ładny.

Często odwiedzała mnie Claudia, a pewnego dnia – mniej więcej w tym czasie, gdy pomyślałem, że jednak będę żył – towarzyszył jej Doktor Freed. Któraś z pielęgniarek przywiozła go na wózku inwalidzkim, kiedyś prawdopodobnie należącym do jednego z królów, bo szprychy wyglądały tak, jakby wykonano je ze szczerego złota. Mój stary wróg, Christopher Polley, zesrałby się z zazdrości.

Okaleczona i zakażona noga Freeda została amputowana; widać było, że Doktor zmaga się z okropnym bólem, ale on też wyglądał na człowieka, który będzie żył. Ogromnie się ucieszyłem na jego widok. Claudia delikatnie zdjęła opatrunek i przemyła ranę. Potem oboje pochylili się nad moją ręką, niemal dotykając się głowami.

– Goi się – zawyrokował Freed. – Nie uważasz?

– TAK! – wrzasnęła Claudia. Odzyskała słuch… częściowo… Przypuszczałem jednak, że już do końca życia będzie przemawiać tym monotonnym wrzaskliwym tonem. – RÓŻOWA BLIZNA! NIC NIE ŚMIERDZI PRÓCZ PLEŚNI W OPATRUNKU!

– Może rana nadal jest zainfekowana – wtrąciłem. – A może wniknęła głęboko w organizm.

Claudia i Freed wymienili zdumione spojrzenia. Doktor był zbyt obolały, by się śmiać, więc Claudia zrobiła to za niego.

– KTO CI PODSUNĄŁ TAKI GŁUPI POMYSŁ?!

– Więc nie?

– Choroba może się ukrywać, książę Charlie – odpowiedział Freed. – Ale infekcja jest zawsze widoczna. Cuchnie i ropieje. – Odwrócił się do Claudii. – Ile tkanki wokół rany musiałaś wyciąć?

– DO SAMEGO ŁOKCIA I PRAWIE DO NADGARSTKA! PASKUDNIE GO UŻARŁA! ZOSTANIE MU W RĘCE DZIURA I JUŻ

NIGDY NIE BĘDZIE TAM MIAŁ MIĘŚNI! PIŁKĄ TO TY JUŻ SOBIE NIE PORZUCASZ SHARLIE!

– Ale będziesz mógł dłubać w nosie obiema rękami – dodał Freed, co szczerze mnie rozbawiło. Odkąd wróciłem z mrocznych podziemi, koszmary nawiedzały mnie często i regularnie, a śmiech był towarem deficytowym.

– Powinieneś się położyć i pozwolić, żeby ktoś podawał ci ten twój środek przeciwbólowy – zwróciłem się do Doktora. – Te małe listki, które przeżuwasz. Wyglądasz gorzej niż ja.

– Zdrowieję – odparł. – A poza tym… Charlie, zawdzięczamy ci życie.

Było w tym trochę prawdy, ale nie cała. Sporo zawdzięczali też innym, na przykład Skoczkowi. Zaszył się gdzieś, gdzie zaszywają się świerszcze, choć przypuszczałem, że w odpowiedniej chwili znów może się pojawić (miał do tego talent). Obawiałem się, że Percival może przegapić okazję do odwiedzenia mnie, więc poprosiłem, by go sprowadzono. Wszedł do pokoju z powiewającymi zasłonami niepewnym krokiem. Miał na sobie biały kucharski kitel, a w dłoniach miął nerwowo beret, który był zapewne empisańskim odpowiednikiem czapki szefa kuchni.

Pokłonił się głęboko i uniósł do czoła drżącą rękę. Bał się na mnie spojrzeć, dopóki nie poprosiłem go, by usiadł, i nie poczęstowałem szklanką chłodzonej herbaty. Podziękowałem mu za wszystko, co dla nas zrobił, i powiedziałem, jak bardzo się cieszę, że go widzę. To w końcu rozwiązało mu język, najpierw trochę, a potem już całkiem. Przekazał mi wieści o Lilimar, o których nikomu innemu nie chciało się mówić. Być może dlatego, że widział to wszystko z perspektywy zwykłego pracującego człowieka.

Ulice czyszczono i remontowano, zbierano i wywożono gruz i śmieci. Setki ludzi, którzy przybyli do miasta, by pomóc w obaleniu zgniłego

reżimu Eldena, wróciły do swoich miasteczek i gospodarstw, ale ich miejsce zajęły setki innych, którzy chcieli wypełnić obowiązek wobec królowej Lei, nim wyruszą w drogę powrotną do miejsc takich jak Nadmorze czy Deesk. Przypominało mi to akcje organizowane w latach trzydziestych ubiegłego stulecia w ramach Nowego Ładu, o których czytałem w szkole. Myto okna, doprowadzano do porządku ogrody; ktoś, kto znał się na hydraulice, remontował i uruchamiał fontanny, jedną po drugiej. Zmarłych, którzy w końcu znaleźli spokój, ponownie grzebano. Otwierały się niektóre sklepy, a inne czekały na swoją kolej. Percival wciąż bełkotał i zniekształcał niektóre słowa, tak że chwilami trudno go było zrozumieć, oszczędzę wam jednak tego.

– Szkło w wieżach zmienia się z dnia na dzień, książę Charlie! Znika ta paskudna ciemna zieleń, a pojawia się błękit, jak za dawnych czasów! Starzy fachowcy, którzy pamiętają, jak działały kiedyś różne rzeczy, montują z powrotem kable trolejbusowe. Pewnie minie jeszcze sporo czasu, zanim trolejbusy zaczną jeździć, bo i za najlepszych czasów ciągle się psuły, ale miło będzie, kiedy znów pojawią się na ulicach.

– Nie rozumiem, jak one działają – powiedziałem. – Przecież w mieście nie ma elektryczności prócz tego małego generatora w podziemiach, który przyniósł tu chyba mój przyjaciel pan Bowditch.

Percival wydawał się zdezorientowany. Nie zrozumiał słowa „elektryczność”, które prawdopodobnie wybrzmiało raczej po angielsku niż empisańsku.

– Energia – powiedziałem. – Skąd trolejbusy czerpią energię?

– Och! – Jego twarz, wciąż zniekształcona, ale mniej niż za czasów pobytu w Maleen, wyraźnie pojaśniała. – Energia pochodzi oczywiście z zakładów energetycznych. To…

I tu pojawiło się słowo, którego z kolei ja nie rozumiałem. Zauważył to i wykonał dłonią gest naśladujący fale.

– Zakłady nad rzeką, książę Charlie. Nad większymi strumieniami. I nad morzem… o tak, w Nadmorzu jest ogromny zakład.

Przypuszczam, że mówił o jakiejś formie energii wodnej. Jeśli tak, to nigdy się nie dowiedziałem, jak ją magazynują. Wiele rzeczy związanych z Empis pozostało dla mnie tajemnicą. W porównaniu z pytaniem o to, jak w ogóle mogło istnieć – i gdzie – kwestia magazynowania energii wydawała się naprawdę mało istotna.

## 3

Słońce wschodziło i zachodziło. Ludzie przychodzili i odchodzili. Jedni żywi, drudzy martwi. Lecz ta osoba, którą najbardziej chciałem zobaczyć – ta, która zeszła ze mną do studni – nie przychodziła.

Aż pewnego dnia się pojawiła. Gęsiarka, która była teraz królową.

Siedziałem na balkonie, za zasłonami, spoglądając na centralny dziedziniec pałacu i przypominając sobie nieprzyjemne rzeczy, które mnie tam spotkały, gdy zasłony wydęły się na zewnątrz, a nie do wewnątrz pokoju, i zza nich wyszła. Była w białej sukni przewiązanej w szczupłej talii (wciąż zbyt szczupłej) delikatnym złotym łańcuchem. Nie miała na głowie korony, ale na palcu dostrzegłem pierścień z wizerunkiem motyla. Domyśliłem się, że to sygnet z pieczęcią królewską, który na co dzień zastępował jej koronę.

Wstałem i ukłoniłem się, lecz nim zdążyłem unieść dłoń do czoła, ujęła ją i położyła między swoimi piersiami.

– Nie, nie, bez takich – rzuciła, tak udanie naśladując akcent klasy robotniczej, że parsknąłem śmiechem. Jej głos wciąż był nieco gardłowy, ale już nie ochrypły. Piękny głos. Przypuszczałem, że przed klątwą brzmiał inaczej, lecz również teraz mi się podobał. – Obejmij mnie raczej, jeśli możesz to zrobić tą chorą ręką.

Mogłem. Uściskałem ją mocno. Czułem delikatną woń pachnidła, coś jak wiciokrzew. Mógłbym trzymać ją w ramionach bez końca.

– Myślałem, że nie przyjdziesz – odezwałem się w końcu. – Że mnie odrzuciłaś.

– Byłam bardzo zajęta – odparła i odwróciła wzrok. – Usiądź ze mną, kochany. Chcę na ciebie patrzeć. I musimy porozmawiać.

## 4

Kilka pielęgniarek, które do tej pory opiekowały się mną na zmianę, odesłano do innych zadań, bo w pierwszych tygodniach po upadku Kata Skrzydlatych nie brakowało pracy, lecz Dora została. Przyniosła nam wielki dzbanek empisańskiej herbaty.

– Dużo teraz piję – powiedziała Lea. – Nie boli mnie już przy mówieniu… może tylko troszeczkę… ale ciągle mam wysuszone gardło. A moje usta wyglądają tak, jak sam widzisz.

Nie były zrośnięte, ale poznaczone głębokimi bliznami, które już na zawsze miały tam pozostać. Jej wargi wyglądały jak dwie wielkie rany

obwiedzione brązowymi strupami. Paskudna czerwona plamka, która wcześniej służyła do dostarczania pożywienia, prawie zniknęła, Lea miała jednak już nigdy nie odzyskać pełnej władzy nad ustami, tak jak Woody nigdy już nie miał odzyskać wzroku, a Claudia normalnego słuchu. Pomyślałem o Stooksie i o jego skardze: „Już nigdy nie będę taki ładny jak kiedyś”. Królowa Lea z Gallienu mogła powiedzieć to samo o sobie, lecz to nie miało znaczenia. Bo była piękna.

– Nie chciałam, żebyś mnie taką widział – wyznała. – Kiedy jestem z ludźmi… czyli prawie cały czas… muszę się powstrzymywać, żeby ciągle nie zakrywać ust. Gdy patrzę w lustro… – Podniosła dłoń.

Ująłem ją, nim mogła je zakryć, i położyłem na swoich kolanach.

– Chętnie bym je pocałował, jeśliby cię to nie bolało.

Zareagowała uśmiechem. Krzywym, ale czarującym. Może właśnie dlatego, że był krzywy.

– Jesteś chyba trochę za młody na namiętne pocałunki.

I tak cię kocham, pomyślałem.

– Ile masz lat? – Z pewnością królowym nie zadaje się takich pytań, ale chciałem wiedzieć, do jakiego rodzaju miłości będę się musiał ograniczyć.

– Dwa razy więcej niż ty. Co najmniej.

Pomyślałem o panu Bowditchu.

– Nie byłaś na zegarze słonecznym, prawda? Nie masz na przykład stu lat?

Udało jej się zrobić minę, która wyrażała jednocześnie rozbawienie i przerażenie.

– Nigdy. Nikt nie wchodzi na zegar słoneczny, bo to bardzo niebezpieczne. Kiedy na Stadionie Monarchów rozgrywano zawody i igrzyska… wrócimy do tego, choć najpierw trzeba będzie zrobić solidny remont… zegar słoneczny był zablokowany, nie działał, i na wszelki

wypadek stawiano przy nim straż. Żeby nikt z tych tysięcznych tłumów, które zjeżdżały się wtedy do Lilimar, nie uległ pokusie. Ten zegar jest bardzo stary. Elden powiedział mi kiedyś, że był tu, zanim zbudowano Lilimar, a nawet zanim ktokolwiek o tym pomyślał.

Te słowa trochę mnie zaniepokoiły. Pochyliłem się i pogłaskałem mojego psa, który leżał zwinięty w kłębek między moimi stopami.

– Radar na nim była. To był główny powód, dla którego tu przyszedłem. Bo Radar umierała. Na pewno o tym wiesz, prawdopodobnie od Claudii.

– Tak. – Lea również się pochyliła, by pogłaskać Radar. Ta podniosła łeb i spojrzała na nią zaspanym wzrokiem. – Ale ona jest zwierzęciem, nie ma w niej tego ziarna zła, które kryje się w sercu każdego mężczyzny i każdej kobiety. Ziarna, które zniszczyło mojego brata. Przypuszczam, że i w twoim świecie ich nie brakuje.

Nie mogłem zaprzeczyć.

– Żaden z członków rodziny królewskiej nawet nie postawiłby tam stopy, Charlie. Zegar odmienia serce i umysł. I nie są to jedyne skutki jego działania.

– Mój przyjaciel, pan Bowditch, skorzystał z mocy zegara i nie uważam go za złego człowieka. Właściwie był dobrym człowiekiem.

To prawda, ale gdy wróciłem myślami do minionych czasów, uświadomiłem sobie, że nie była to do końca prawda. Pan Bowditch za sprawą swojej gniewnej i samotniczej natury tworzył wokół siebie pancerz, przez który trudno było się przebić. Ba, graniczyło to z niemożliwością. Nie zdołałbym tego dokonać, gdyby nie obietnica, którą złożyłem Bogu („jakkolwiek go pojmujemy”, powiedzieliby ludzie z grupy AA mojego taty). I nigdy nie poznałbym pana Bowditcha naprawdę, gdyby nie spadł z drabiny i nie złamał nogi. Nie miał żony, dzieci ani przyjaciół. Był samotnikiem i zbieraczem, facetem, który trzymał w sejfie wiadro

wypełnione złotem i lubił swoje stare rzeczy: meble, gazety i czasopisma, telewizor, zabytkowego studebakera. Był, jak sam to najlepiej ujął, tchórzem, który przynosił prezenty, zamiast stanąć do walki. Gdybyście chcieli ocenić go z całą surowością – ja tego nie zrobiłem, ale gdyby wam przyszło to do głowy – moglibyście powiedzieć, że był trochę jak Christopher Polley. Czyli jak Rumpelsztyk. Nie chciałem sięgać po takie porównania, jednak trudno mi było się powstrzymać. Jeśli nie pojawiłbym się w jego życiu i jeśli nie kochałby swojego psa, umarłby pewnego dnia w swoim domu na szczycie wzgórza, całkiem zapomniany i obojętny reszcie świata. A pozostawione na pastwę losu przejście między światami z pewnością wkrótce zostałoby odkryte. Czy nigdy o tym nie pomyślał?

Lea patrzyła na mnie, obracając pierścień na palcu i wykrzywiając usta w uśmiechu.

– Był dobry sam z siebie? Czy to ty go do tego nakłoniłeś, książę Charlie?

– Nie nazywaj mnie tak. – Skoro nie mogłem być jej księciem, to nie chciałem być nim wcale. Zresztą i tak nie miałem w tej kwestii wyboru. Moje włosy ciemniały, a oczy wracały do swojej barwy.

Przyłożyła dłoń do ust, lecz przemogła się i opuściła ją na kolana.

– Był dobry sam z siebie, Charlie? Czy ty okazałeś się dla niego aktem łaski zesłanym przez najwyższych bogów?

Nie wiedziałem, jak na to odpowiedzieć. Podczas pobytu w Empis czułem się starszy, czasami też silniejszy, teraz jednak brakowało mi sił i pewności siebie. Wizerunek pana Bowditcha odarty z czułostkowości wspomnień wydawał się szokująco mroczny. Przypomniałem sobie, jaki zapach wypełniał ten stary dom przy Jaworowej 1, nim go przewietrzyłem: zapach kurzu i pleśni. Zapach więzienia.

– Ale ty nie wchodziłeś na zegar, prawda? – spytała Lea, nie kryjąc niepokoju.

– Nie, tylko ściągnąłem z niego Radar. A właściwie to sama zeskoczyła. Mogę ci zadać jedno pytanie?

– Tak, oczywiście.

– Ta złota platforma… Wjechaliśmy na górę, żeby zejść w dół. Po spiralnych schodach.

Znów się uśmiechnęła, na tyle, na ile mogła.

– Tak. To było ryzykowne, ale udało się.

– Czy schody między ścianami prowadziły aż do tej podziemnej komnaty?

– Tak. Elden znał dwie drogi. Tę, o której mówisz, i tę prowadzącą z magazynu ubrań. Być może są jeszcze inne, nigdy mi jednak o nich nie mówił.

– Więc dlaczego wybraliśmy dłuższą drogę? Moglibyśmy wyjść w miejscu, gdzie nikt by nas nie zobaczył. Być może tak byłoby dla nas lepiej.

– Wiedziałam, że mój brat nigdy nie skorzystałby z tamtych schodów, bo mówiono, że Kat Skrzydlatych nie może przejść więcej niż kilka stopni. Nie chciałam natknąć się na jego ludzi, choć ostatecznie i tak nie mieliśmy wyboru.

– Gdybyśmy nie zatrzymali się w apartamencie Lorda Wysokiego… być może Jota nadal by żył! – Czułem, jak łzy napływają mi do oczu.

– Zrobiliśmy to, co należało zrobić, Charlie. Miałeś wtedy rację. To ja się myliłam. Myliłam się w wielu innych kwestiach. Chcę, żebyś to wiedział, i chcę, żebyś wiedział coś jeszcze. Jestem brzydka od nosa w dół…

– Nie jesteś…

Podniosła rękę.

– Milcz! Widzisz mnie jako przyjaciółkę. Kocham cię za to i zawsze będę kochała. Inni mnie tak nie widzą i nie będą widzieć. Jako królowa muszę jednak wyjść za mąż, zanim się zestarzeję. Bez względu na to, jak wyglądam, nie zabraknie takich, którzy zechcą wziąć mnie w objęcia, przynajmniej przy zgaszonym świetle. A nie trzeba się całować, żeby spłodzić dziedzica. Ale mężczyźni, którzy weszli na tarczę zegara słonecznego, choćby na chwilę, są bezpłodni. Podobnie jak kobiety. Zegar daje życie, lecz także je odbiera.

Co zapewne tłumaczyło, dlaczego na Jaworowej 1 nie było małych Bowditchów.

– Ale Petra…

– Petra! – Lea roześmiała się pogardliwie. – Petra chciała być jedynie królową cmentarzyska, które stworzył mój brat. Poza tym i tak była bezpłodna. – Westchnęła, wypiła całą szklankę herbaty i napełniła ją ponownie. – Była szalona i okrutna. Gdyby Lilimar i Empis wpadły w jej ręce, bez końca wracałaby na tarczę zegara. Sam widziałeś, co się z nią stało.

Owszem. Widziałem i czułem, choć teraz w ranie nie było już jadu Petry, a ból ustąpił miejsca nieznośnemu swędzeniu, które – jak zarzekała się Dora – również miało z czasem ustąpić.

– Elden był drugim powodem, dla którego tak długo cię nie odwiedzałam, Charlie… choć nigdy nie przestałam o tobie myśleć i pewnie nigdy nie przestanę.

Omal nie zapytałem, czy aby na pewno jestem dla niej za młody, w porę się jednak powstrzymałem. Po pierwsze, nie mogłem być kandydatem na męża królowej, a tym bardziej na króla. Po drugie, miałem ojca, który z pewnością zadręczał się myślami o tym, co mogło się ze mną stać. Był

jeszcze jeden powód, dla którego musiałem wrócić do swojego świata. Zagrożenie ze strony Gogmagoga minęło (przynajmniej na jakiś czas), nie minęło jednak zagrożenie ze strony mojego świata… gdyby dowiedział się o istnieniu Empis i o wszystkich jego skarbach, do których można się było dostać przez pewną szopę w Illinois.

– Byłeś przy tym, jak zabiłam brata. Kochałam go takiego, jaki był kiedyś, próbowałam go zobaczyć takiego, jaki kiedyś był, ale ty zmusiłeś mnie do tego, bym ujrzała potwora, jakim się stał. Za każdym razem, gdy na ciebie patrzę, przypominam sobie Eldena i to, co zrobiłam. Przypominam sobie, ile mnie to kosztowało. Rozumiesz?

– To nie było nic złego. Postąpiłaś słusznie. Uratowałaś królestwo, i to wcale nie po to, byś mogła zostać królową. Uratowałaś je, bo tego potrzebowało.

– To prawda. Przeszliśmy razem tyle, że nie ma między nami miejsca na fałszywą skromność, ale ty wciąż nie rozumiesz. Tak naprawdę wiedziałam. Wiedziałam, że Kat Skrzydlatych to mój brat. Claudia powiedziała mi to wiele lat temu, ale zarzuciłam jej kłamstwo. Przy tobie zawsze pamiętałabym, że powinnam była zabić go wcześniej. Powstrzymywała mnie egoistyczna potrzeba zachowania nieskalanych, niewinnych wspomnień. Moje królestwo cierpiało, a ja karmiłam gęsi, pielęgnowałam ogródek i użalałam się nad sobą. Ty… Wybacz, Charlie, ale kiedy cię widzę, przypominam sobie również własną hańbę. Przypominam sobie, że wolałam być niemą pastereczką, podczas gdy moje królestwo i moi ludzie powoli umierali. A ja przez cały czas wiedziałam.

Płakała. Wyciągnąłem do niej rękę, lecz pokręciła głową i odwróciła się, jakby nie mogła znieść myśli, że widzę jej łzy.

– Tuż przed twoim przyjściem myślałem o pewnej złej rzeczy, którą kiedyś zrobiłem – wyznałem. – Pewnej haniebnej rzeczy. Mogę ci o tym

opowiedzieć?

– Jeśli chcesz. – Nadal na mnie nie patrzyła.

– Miałem przyjaciela, Bertiego Birda. Dobrego przyjaciela, który tak naprawdę nie był dobrym przyjacielem. Po śmierci matki przechodziłem trudny okres. Mój ojciec też, ale nie myślałem wtedy o jego rozpaczy, bo byłem tylko dzieckiem. Wiedziałem jedynie, że go potrzebuję, lecz nie mogłem na niego liczyć. Myślę, że to rozumiesz.

– Wiesz, że tak – odparła Lea i znów napiła się herbaty. Opróżniła już niemal cały dzbanek, który wcale nie był mały.

– Robiliśmy różne złe rzeczy, Bertie i ja. Ale ta, o której dzisiaj sobie przypomniałem… Był taki park, przez który przechodziliśmy, wracając ze szkoły. Park Cavanaugh. I pewnego dnia zobaczyliśmy tam kalekę, który karmił gołębie. Był w szortach, więc widzieliśmy, że ma nogi w szynach. Uważaliśmy, że wygląda głupio. Bertie nazywał go Robo-Kolesiem.

– Nie wiem, co to zna…

– Nieważne. Po prostu był niepełnosprawnym mężczyzną, który siedział sobie na ławce i wygrzewał się w słońcu. Ja i mój przyjaciel spojrzeliśmy na siebie, a po chwili Bertie powiedział: „Podwędźmy mu kule”. To chyba było właśnie to ziarno, o którym mówiłaś. Zło. Podkradliśmy się i zabraliśmy mu kule. Wrzeszczał na nas, żebyśmy mu je oddali, ale nie zrobiliśmy tego. Zabraliśmy je na drugą stronę parku i wrzuciliśmy do sadzawki. Bertie jedną, a ja drugą. I przez cały czas się śmialiśmy. Wrzuciliśmy kule kaleki do wody… Nie wiem, jak ten człowiek wrócił do domu. Zniknęły z pluskiem pod wodą, a my się śmialiśmy.

Nalałem sobie resztkę herbaty. Wystarczyło tylko na pół szklanki – i dobrze, bo trzęsła mi się ręka, a oczy zachodziły łzami. Nie płakałem od czasu, gdy w Głębi Maleen myślałem o tacie.

– Dlaczego mi o tym mówisz, Charlie?

Nie wiedziałem tego, kiedy zaczynałem tę opowieść – myślałem, że o tym akurat nigdy nikomu nie powiem – teraz jednak wydawało mi się to oczywiste.

– Ukradłem twoje kule. Musiałem je ukraść, to jedyne, co mogę powiedzieć na swoją obronę.

– Ach, Charlie. – Dotknęła mojego policzka. – I tak nie mógłbyś być tutaj szczęśliwy. Nie należysz do tego świata, jesteś inny i jeśli nie wrócisz wkrótce do siebie, przekonasz się, że nie możesz żyć w żadnym z tych światów. – Wstała. – Muszę iść. Jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia.

Odprowadziłem ją do drzwi. W ósmej klasie na zajęciach z angielskiego uczyliśmy się o haiku. Przypomniałem sobie właśnie jedno. Bardzo delikatnie dotknąłem palcem poranionych ust Lei.

– Tam gdzie jest miłość, blizny są piękniejsze od kwiatów. Kocham cię, Leo.

Ona również delikatnie przystawiła palec do moich warg.

– Ja też cię kocham.

Wymknęła się za drzwi i zniknęła.

# 5

Następnego dnia przyszły do mnie z wizytą Eris i Jaya, obie w ogrodniczkach i wielkich słomkowych kapeluszach. Wszyscy, którzy pracowali teraz na zewnątrz, nosili kapelusze, bo słońce świeciło codziennie, jakby chciało nadrobić lata, i wszyscy – nie tylko ci, którzy spędzili dużo czasu w kazamatach – mieli skórę białą jak brzuch ryby.

Wizyta upływała w bardzo przyjemnej atmosferze. Kobiety opowiadały o pracy, a ja mówiłem o moim leczeniu, które dobiegało końca. Żadne z nas nie chciało rozmawiać o Głębi Maleen, o Selekcji, o ucieczce czy o nocnych żołnierzach. A już z pewnością nie o tych, którzy zginęli. Eris i Jaya śmiały się, gdy opowiadałem o wizycie Stooksa. Zachowałem dla siebie opowieść o nocnych odwiedzinach Kellina i Petry, bo nie było w tym nic zabawnego. Dowiedziałem się, że do Lilimar przybyła delegacja olbrzymów z Cratchy, którzy chcieli złożyć hołd nowej królowej.

Jaya zauważyła mój plecak, uklękła przed nim i zaczęła przesuwać dłońmi po kieszeniach z czerwonego nylonu i czarnych nylonowych paskach. Eris klęczała przy Radar i głaskała ją.

– Ooo… – odezwała się Jaya. – Jakie to piękne, Charlie. Zrobiono to tam, skąd pochodzisz?

– Tak. – Najprawdopodobniej w Wietnamie.

– Dużo bym dała, żeby mieć coś takiego. – Podniosła plecak za paski. – Ciężki! Uniesiesz to?

– Dam sobie radę – odparłem, uśmiechając się. Rzeczywiście był ciężki: prócz moich ubrań i małpki Radar krył kołatkę z czystego złota. Claudia i Woody nalegali, bym ją zabrał.

– Kiedy wracasz do siebie? – spytała Eris.

– Dora mówi, że jeśli jutro przejdę o własnych siłach do bramy miasta i z powrotem, pojutrze będę mógł ruszyć w drogę.

– Tak szybko? – zdziwiła się Jaya. – Szkoda! Wieczorami urządzamy zabawy… wiesz, kiedy już wszyscy skończą pracę.

– Wygląda na to, że będziesz się musiała bawić za nas oboje – powiedziałem.

Tego wieczoru Eris znów do mnie przyszła. Była sama, miała rozpuszczone włosy i ładną sukienkę zamiast roboczego ubrania. Nie traciła

czasu. Ani słów.

– Położysz się ze mną, Charlie?

Odpowiedziałem, że bardzo chętnie się z nią położę, jeśli wybaczy mi niezdarność wynikającą z tego, że nigdy dotąd nie zaznałem takiej przyjemności.

– Cudownie – odparła i zaczęła rozpinać sukienkę. – Możesz przekazać dalej to, czego cię nauczę.

Jak było? Hm… jeżeli miał to być wyraz wdzięczności, to wolałem o tym nie wiedzieć. A jeśli Eris zrobiła to z litości, nie pozostaje mi nic innego, jak wychwalać litość pod niebiosa.

# 6

Nim opuściłem Lilimar, odwiedziło mnie jeszcze dwoje gości. Claudia weszła do pokoju, prowadząc za sobą Woody’ego i trzymając go za rękaw czarnego płaszcza z wełny alpaki. Blizny na jego powiekach rozdzieliły się i nieco rozeszły, lecz wyzierały spod nich tylko puste białka.

– PRZYSZLIŚMY CI PODZIĘKOWAĆ I ŻYCZYĆ WSZYSTKIEGO DOBREGO! – huknęła Claudia na powitanie. Woody, który stał blisko niej, skrzywił się lekko i odsunął o krok. – NIGDY NIE BĘDZIEMY CI SIĘ W STANIE ODWDZIĘCZYĆ SHARLIE! POSTAWIMY CI POMNIK PRZY SADZAWCE ELSY! WIDZIAŁAM RYSUNKI! SĄ NAPRAWDĘ…

– Elsa nie żyje, ma włócznię w brzuchu. – Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem na nich zły, dopóki nie usłyszałem własnego głosu. – Wielu ludzi

nie żyje. Tysiące, dziesiątki tysięcy, o ile mi wiadomo. A wy siedzieliście na tyłku. Mogę jeszcze zrozumieć Leę. Była zaślepiona miłością. Nie mogła uwierzyć, że to jej brat narobił tego… tego gówna. Ale wy dwoje wierzyliście w to, wiedzieliście o tym i mimo to siedzieliście na tyłkach.

Milczeli. Claudia nie chciała na mnie spojrzeć, a Woody nie mógł.

– Byliście członkami rodziny królewskiej, jedynymi prócz Lei. A przynajmniej jedynymi, którzy się liczyli. Ludzie poszliby za wami.

– Nie – odezwał się w końcu Woody. – Mylisz się, Charlie. Tylko Lea mogła ich poderwać. Twoje przybycie zmusiło ją do zrobienia tego, co powinna robić królowa: do przewodzenia.

– Nigdy się do niej z tym nie zwróciliście? Nie powiedzieliście, co jest jej obowiązkiem, bez względu na to, jakie to dla niej bolesne? Byliście starsi, przypuszczalnie mądrzejsi, lecz nie służyliście jej radą?

Znów milczenie. Byli kompletni, więc nie dotknęła ich szarość, ale cierpieli z powodu innych dolegliwości. Rozumiałem, że to pozbawiało ich sił i napełniało strachem. Wciąż jednak byłem na nich zły.

– Potrzebowała was! – dodałem.

Claudia wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń. Omal jej nie wyszarpnąłem, ale zdołałem się powstrzymać. Łagodnym, cichym głosem, którego sama nie mogła słyszeć, powiedziała:

– Nie, Sharlie, to ciebie potrzebowała. Ty byłeś obiecanym księciem, a teraz obietnica się wypełniła. To, co mówisz, jest prawdą: byliśmy słabi, zabrakło nam odwagi. Ale proszę, nie opuszczaj nas w gniewie. Proszę.

Czy wcześniej wiedziałem, że człowiek może powstrzymać się od gniewu? Chyba nie. Wiedziałem natomiast, że ja też nie chcę odchodzić w ten sposób.

– Zgoda – rzuciłem na tyle głośno, by mnie usłyszała. – Ale tylko dlatego, że zgubiłem twój trójkołowiec.

Usiadła z uśmiechem. Gdy Radar położyła pysk na bucie Woody’ego, ten pochylił się, by ją pogłaskać.

– Nigdy nie odwdzięczymy ci się za twoją odwagę, Charlie, ale jeśli mamy coś, czego chcesz, należy to do ciebie.

Cóż, miałem kołatkę, która ważyła jakieś dwa kilogramy, i jeśli cena złota nie zmieniła się zbytnio od czasu, gdy opuściłem Sentry, mogłem za nią dostać jakieś osiemdziesiąt cztery tysiące dolarów. A zważywszy, że w sejfie kryło się jeszcze całe wiadro złota, byłem całkiem nieźle ustawiony. Mogłem zadać szyku, jak mówią. Ale była pewna rzecz, która mogła mi się przydać.

– Macie może jakiś duży młotek?

Nie użyłem dokładnie takich słów, zrozumieli jednak, co miałem na myśli.

# 7

Nigdy nie zapomnę tej straszliwej skrzydlatej istoty, która próbowała się wydostać z Mrocznej Studni. To złe wspomnienie. Dobrym, które skutecznie je równoważyło, był wyjazd z Lilimar następnego dnia. Nie, „dobre” to za mało. To piękne wspomnienie, takie, do którego wracasz, gdy nikt nie powie ci dobrego słowa, a życie wydaje się całkiem pozbawione smaku, jak kromka czerstwego chleba. Nie było piękne dlatego, że wyjeżdżałem (choć byłbym bezczelnym kłamcą, gdybym nie przyznał, jak bardzo się cieszyłem perspektywą spotkania z tatą); było piękne, bo zgotowano mi pożegnanie godne… chciałem powiedzieć „godne króla”,

lecz miałem na myśli pożegnanie godne wyjeżdżającego księcia, który wracał do postaci dzieciaka z miasteczka w Illinois.

Siedziałem na koźle wozu ciągniętego przez dwa białe muły. Dora, w czerwonej chustce na głowie i pięknych żółtych butach na stopach, siedziała obok mnie i trzymała lejce. Radar usadowiła się za nami, rozglądała się, strzygąc uszami i machając leniwie ogonem. Po obu stronach Drogi Gallienów stały tłumy szarych ludzi. Klękali i przykładali dłonie do czoła, gdy zbliżaliśmy się do nich, a potem wstawali i wiwatowali, kiedy ich mijaliśmy. Moi współwięźniowie z Głębi Maleen biegli obok nas, Eris pchała zdobiony złotem wózek inwalidzki Doktora Freeda. W pewnym momencie spojrzała na mnie i puściła oko. Odpowiedziałem jej tym samym. Nad wozem frunęła chmura monarchów, tak gęsta, że przyćmiewała słońce. Kilka wylądowało na moich ramionach i poruszało leniwie skrzydłami, a jeden usiadł na łbie Radar. Nie protestowała.

Pośrodku otwartej bramy stała Lea, w sukni o tym samym głębokim odcieniu błękitu, jaki przybrały wieże Lilimar, z koroną Gallienów na głowie. Wyglądała niemal dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zatrzymała się na schodach ponad Mroczną Studnią, z obnażonym mieczem w dłoni. Zdeterminowana.

Dora ściągnęła lejce i zatrzymała wóz. Tłum, który postępował za nami, ucichł. Lea trzymała wianek upleciony z krwistoczerwonych maków, jedynych kwiatów, które nadal rosły i rozkwitały podczas szarych lat. Nie byłem wcale zaskoczony – i wy zapewne też nie będziecie – gdy dowiedziałem się, że mieszkańcy Empis nazywali je Czerwoną Nadzieją.

Lea przemówiła głośno, niemal krzycząc, by usłyszały ją tłumy zgromadzone za naszymi plecami.

– Oto książę Charlie, który wraca dziś do swojego domu! Należą mu się niezliczone wyrazy szacunku i podziękowania oraz moja dozgonna wdzięczność! Pożegnajcie go godnie, mieszkańcy Empis! To moja prośba i rozkaz!

Tłum wzniósł radosny okrzyk. Pochyliłem głowę, by przyjąć wieniec… i ukryć łzy. Bo jak sami wiecie, w baśniach książę nigdy nie płacze. Królowa Lea pocałowała mnie na pożegnanie i choć jej usta wciąż się nie zagoiły, był to najlepszy pocałunek, jakim kiedykolwiek mnie obdarzono, przynajmniej od czasu, gdy umarła moja mama.

Wciąż go czuję.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

**Oto i wasz happy end.**

## 1

Ostatnią noc w Empis spędziłem w tym samym miejscu co pierwszą, czyli w domku Dory obok studni światów. Zjedliśmy gulasz, a potem wyszliśmy na zewnątrz, by obserwować olbrzymi złoty naszyjnik na niebie, szczątki Belli i Arabelli. Był naprawdę piękny, jak to czasami bywa z rozbitymi przedmiotami. Przez chwilę znów się zastanawiałem, gdzie właściwie jest ten świat, i doszedłem do wniosku, że nie ma to znaczenia; wystarczyło, że jest.

Znów spałem przy kominku Dory, z głową na poduszce wyszywaną w motyle. Tym razem nie przeszkadzali mi nocni goście ani koszmary o Eldenie czy Gogmagogu. Był już późny poranek, gdy się obudziłem. Dora pracowała przy maszynie do szycia, którą podarował jej pan Bowditch; na lewo od niej była sterta butów wymagających naprawy, po prawej te, które już naprawiła.

Zjedliśmy ostatni wspólny posiłek: bekon, grube kromki chleba upieczonego przez Dorę i omlet z gęsich jaj. Po śniadaniu po raz ostatni

założyłem pas z kaburą pana Bowditcha, opadłem na jedno kolano i przyłożyłem dłoń do czoła.

– Nie, nie, Charlie, wstań.

Wciąż mówiła zdławionym, skrzeczącym głosem, lecz z dnia na dzień brzmiał coraz lepiej i wyraźniej. Z godziny na godzinę, jak się zdawało.

Gdy wstałem, Dora wyciągnęła do mnie ręce. Nie tylko ją uściskałem, ale też podniosłem i obróciłem się z nią wokół własnej osi. Roześmiała się radośnie, a kiedy postawiłem ją na podłodze, przyklękła i poczęstowała mojego psa dwoma kawałkami bekonu, które wyjęła z fartucha.

– Rajj – powiedziała i uściskała ją czule. – Kocham cię, Rajj.

Przeszła ze mną do połowy zbocza, w stronę zwisających korzeni i pnączy, przesłaniających wejście do tunelu. Teraz pnącza pokrywały się zielenią. Niosłem ciężki plecak, w dłoni trzymałem jeszcze cięższy młot, ale ciepły blask słońca na twarzy rekompensował mi wszelkie trudy.

Dora uściskała mnie po raz ostatni i po raz ostatni pogłaskała Radar. Miała łzy w oczach, lecz uśmiechała się. Bo teraz mogła się uśmiechać. Resztę drogi pokonałem już sam i przy tunelu zobaczyłem, że czeka na nas inny dobry przyjaciel, który czerwienił się dumnie na tle zielonych pnączy. Radar natychmiast przypadła do ziemi, a Skoczek umościł się na jej grzbiecie i poruszył czułkami.

Usiadłem obok nich, zsunąłem z ramion plecak i rozpiąłem klapę.

– Jak się pan miewa, panie Skoczku? Noga już zdrowa?

Radar szczeknęła w odpowiedzi.

– To dobrze, bardzo dobrze. Ale dalej już nie pójdziesz, prawda? Powietrze mojego świata może ci nie służyć.

Na złotej kołatce leżało owinięte koszulką z napisem *Liceum Hillview* coś, co Dora nazywała „am-eczą”, co zapewne miało oznaczać lampeczkę. Wciąż miała problemy ze spółgłoskami, przypuszczałem jednak, że

z czasem i to zmieni się na lepsze. Lampeczka była kawałkiem świecy osadzonym we wnętrzu szklanej kuli. Narzuciłem na ramiona paski plecaka, przechyliłem szklany klosz i zapaliłem świecę zapałką.

– Chodź, Radar, już czas.

Gdy się podniosła, Skoczek opadł na ziemię. Przystanął, raz jeszcze spojrzał na nas poważnymi czarnymi oczami i czmychnął w trawę. Widziałem go jeszcze przez chwilę, bo stanowił jedyny ruchomy punkt pośród nieruchomych traw i maków, a potem zniknął mi z oczu.

Po raz ostatni popatrzyłem w dół zbocza, na domek Dory, który w blasku słońca prezentował się nieporównanie lepiej – przytulniej. Radar również tam spojrzała. Dora pomachała do nas spod sznurów obwieszonych butami. Odmachałem jej, wziąłem do ręki młot i odgarnąłem korzenie i pnącza, za którymi kryła się ciemność.

– Chcesz iść do domu, mała?

Mój pies bez wahania ruszył w głąb tunelu.

## 2

Dotarliśmy do granicy między światami i znów poczułem oszołomienie, które pamiętałem z poprzednich wypraw. Zachwiałem się lekko, a lampeczka zgasła, choć powietrza nie mącił najmniejszy powiew. Kazałem Radar poczekać i wyjąłem następną zapałkę z pustej pętelki po nabojach na pasie pana Bowditcha. Potarłem nią o szorstki kamień i zapaliłem lampeczkę. Wielkie nietoperze zatrzepotały skrzydłami i wydały

z siebie kilka pisków, lecz po chwili znieruchomiały. Ja i Radar ruszyliśmy dalej.

Gdy dotarliśmy do studni i wąskich spiralnych schodów, przysłoniłem świecę i spojrzałem w górę. Miałem nadzieję, że nie zobaczę tam światła, co oznaczałoby, że ktoś przesunął deski i czasopisma, których użyłem jako kamuflażu. A to nie byłoby dobre. Wydawało mi się, że dostrzegam jakiś nikły blask, zbytnio się tym jednak nie przejąłem. Kamuflaż nie był przecież idealny.

Radar wyszła kilka stopni w górę i obejrzała się.

– Nie, nie, piesku, ja pierwszy. Nie chcę, żebyś była przede mną, kiedy dotrzemy na górę.

Posłuchała mnie, choć niechętnie. Psy mają co najmniej czterdziestokrotnie czulszy węch niż ludzie. Może wyczuwała już woń swojego starego świata, który czekał na nią na górze. Jeśli tak, to z pewnością była to dla niej wyjątkowo irytująca wspinaczka, ponieważ musiałem kilkakrotnie zatrzymywać się, by odpocząć. Czułem się lepiej, ale nie całkiem dobrze. Freed kazał mi się oszczędzać i starałem się stosować do jego zaleceń.

Kiedy dotarliśmy na górę, z ulgą stwierdziłem, że ostatni plik czasopism, ten, który trzymałem na głowie niczym miednicę z praniem, leży na swoim miejscu. Stałem pod deskami co najmniej minutę… raczej dwie, a może nawet trzy. Tym razem nie tylko po to, by odpocząć. Chciałem wrócić do domu, marzyłem o tym od dawna, lecz teraz ogarnął mnie nagle strach. I tęsknota za tym, co zostawiłem za sobą. Za światem, w którym wznosił się bajkowy olbrzymi pałac, światem, w którym mieszkała piękna księżniczka i czekały na mnie bohaterskie czyny. Może gdzieś – na przykład przy brzegach Nadmorza – wciąż żyły syreny

śpiewające sobie nawzajem. W świecie na dole byłem księciem. W świecie na górze musiałem pisać podania o przyjęcie na studia i wynosić śmieci.

Radar trąciła mnie nosem w łydkę i szczeknęła dwukrotnie. Kto twierdzi, że psy nie potrafią mówić?

– Dobrze już, dobrze.

Podniosłem głową plik czasopism, przesunąłem się w górę i odrzuciłem go na bok. Potem odsuwałem pliki po obu stronach. Musiałem to robić powoli, bo lewą ręką niewiele mogłem zdziałać (teraz jest już sprawniejsza, nigdy jednak nie będzie taka jak za czasów, gdy trenowałem baseball i futbol – dzięki, Petro, ty suko). Zniecierpliwiona Radar szczeknęła jeszcze kilkakrotnie. Bez problemu przecisnąłem się między deskami, które ułożyłem nad wejściem do studni – podczas pobytu w Empis, zwłaszcza w Głębi Maleen, straciłem sporo na wadze – mimo to musiałem najpierw zdjąć plecak i przesunąć go po podłodze. Nim w końcu wydostałem się na zewnątrz, ledwie ruszałem lewą ręką. Radar wyskoczyła na powierzchnię z irytującą łatwością. Obejrzałem uważnie głęboką wklęsłość pozostałą po ugryzieniu Petry, w obawie, że świeżo zagojona rana się otworzyła. Na szczęście wyglądała na nienaruszoną. Zauważyłem, że nad tunelem jest zaskakująco zimno. Widziałem skraplającą się parę z mojego oddechu.

Szopa wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawiłem. Światło, które dostrzegłem z dołu, wpadało przez szpary między deskami. Próbowałem otworzyć drzwi, lecz były zamknięte na kłódkę od zewnątrz. Andy Chen spełnił moją prośbę. Właściwie nie przypuszczałem, by ktokolwiek szukał mnie (lub mojego ciała) w opuszczonej szopie na tylnym podwórzu, mimo to odetchnąłem z ulgą. Oznaczało to jednak, że będę musiał użyć młota. I właśnie to zrobiłem. Jedną ręką.

Na szczęście deski były stare i suche. Jedna pękła już przy pierwszym uderzeniu, a po drugim wyłamała się, wpuszczając do środka strumień

światła dziennego Illinois… i wirujące płatki śniegu. Zachęcany szczekaniem psa, wyłamałem kolejne dwie deski. Radar wyskoczyła z szopy i natychmiast przykucnęła, by się wysikać. Zamachnąłem się jeszcze raz i wybiłem kolejny długi kawałek deski. Wyrzuciłem na zewnątrz plecak, przecisnąłem się bokiem przez otwór i wyszedłem prosto w oślepiający blask słońca. I w piętnastocentymetrowy śnieg.

## 3

Radar kręciła się po podwórzu, co jakiś czas przystając, by włożyć pysk w śnieg i wyrzucić w górę odrobinę białego puchu. Zachowywała się jak szczeniak, a ja nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Byłem zgrzany po długiej wędrówce w górę schodów i wymachiwaniu młotem, więc nim dotarłem na tylną werandę, trząsłem się z zimna. Przypuszczałem, że temperatura wynosiła nie więcej niż minus cztery stopnie, a wziąwszy pod uwagę silny wiatr, odczuwalna była znacznie niższa.

Wyjąłem zapasowy klucz spod wycieraczki i wszedłem do środka. W powietrzu unosił się zapach pleśni; było dość chłodno, ale ktoś – prawie na pewno mój tata – podkręcił odrobinę ogrzewanie, żeby rury nie popękały od mrozu. Przypomniałem sobie, że w szafce przy frontowym wejściu wisiała gruba kurtka, i wciąż tam była. Znalazłem również parę ocieplanych kaloszy, w których tkwiły czerwone wełniane skarpety. Kalosze były na mnie trochę za małe, nie wybierałem się jednak w długą drogę. Tylko w dół zbocza. Pas i rewolwer trafiły na półkę w szafie. Pomyślałem, że do sejfu

odłożę je później… zakładając oczywiście, że sejf wraz ze swą cenną zawartością nadal tu jest.

Opuściliśmy dom tylnymi drzwiami, okrążyliśmy go i przeszliśmy przez bramkę, na którą musiałem się wspinać, gdy wchodziłem tu po raz pierwszy, zaalarmowany wyciem Radar i wołaniem o pomoc pana Bowditcha. Miałem wrażenie, że od tamtego czasu upłynęły całe wieki. Już chciałem ruszyć w dół ulicy Jaworowej, gdy coś przykuło moją uwagę. Właściwie to ja przykułem swoją uwagę. Bo to moja twarz widniała na słupie telefonicznym przy skrzyżowaniu Jaworowej i Sosnowej. Przede wszystkim rzuciło mi się w oczy to, jak młodo wyglądam na tym zdjęciu. Oto dzieciak, który o niczym nie miał pojęcia, pomyślałem. Może wydawało mu się, że ma, ale nie, nie miał.

Nad zdjęciem widniał duży czerwony napis: CZY KTOŚ WIDZIAŁ TEGO CHŁOPCA?

Poniżej, również na czerwono, napisano: CHARLES MCGEE READE, LAT 17.

A jeszcze niżej: *Charles „Charlie” Reade zaginął w październiku 2013 roku. Ma 193 centymetry wzrostu, waży 110 kilogramów. Ostatnio widziano go…*

I tak dalej. Zwróciłem uwagę na dwie rzeczy: po pierwsze, plakat wydawał się już mocno zniszczony, a po drugie, informacja o mojej wadze była teraz daleka od prawdy. Rozejrzałem się, niemal pewien, że zobaczę panią Richland, przyglądającą mi się spod dłoni ocieniającej oczy, lecz w pobliżu nie było żywej duszy – tylko ja i Radar stojący na posypanym solą chodniku.

W połowie drogi do domu przystanąłem, tknięty nagłym impulsem – szalonym, ale silnym – który nakazywał mi zawrócić. Przejść ponownie przez bramkę przy Jaworowej 1, okrążyć dom, wejść do szopy, zejść po

spiralnych schodach i w końcu trafić do Empis, gdzie znalazłbym pracę i rozpoczął nowe życie. Może terminowałbym u Freeda, który przyuczyłby mnie do trudnego zawodu lekarza.

Potem pomyślałem o tym plakacie i o wszystkich innych rozwieszonych po całym mieście i hrabstwie przez ojca, wuja Boba i Lindy'ego, sponsora taty. Może pomagali mu też inni przyjaciele z AA… jeśli nie wrócił do picia.

Proszę, Boże, nie.

Ruszyłem w dół. Szedłem, pobrzękując sprzączkami przy butach nieżyjącego już człowieka i prowadząc odmłodzonego psa, który kiedyś również do niego należał. Z naprzeciwka nadchodził ciężkim krokiem mały chłopiec w czerwonej pikowanej kurtce i spodniach narciarskich. Ciągnął za sobą sanki uwiązane na sznurku do bielizny. Szedł pewnie na górkę w parku Cavanaugh.

– Hej, mały, poczekaj no chwilkę!

Spojrzał na mnie nieufnie, lecz przystanął.

– Jaki dziś dzień? – spytałem.

Słowa wypływały z moich ust całkiem płynnie, ale wydawały się kanciaste. Pewnie nie brzmi to zbyt sensownie, ale właśnie takie miałem wrażenie – i wiem dlaczego. Znów mówiłem po angielsku.

Obdarzył mnie spojrzeniem, które pytało wprost, czy urodziłem się już taki głupi, czy to przyszło z wiekiem.

– Sobota – odparł.

Czyli tata będzie w domu, chyba że poszedł na spotkanie AA.

– A jaki miesiąc?

Teraz spojrzenie mówiło: „O co mu chodzi?".

– Luty.

– Dwa tysiące czternasty?

– Taaa. Muszę iść.

Idąc w górę zbocza, z nieufnością zerkał przez ramię na mnie i psa. Pewnie żeby się upewnić, czy nie idziemy za nim, kierowani jakimiś złymi zamiarami.

Luty. Nie było mnie przez cztery miesiące. Dziwne uczucie, ale nie tak dziwne jak rzeczy, które widziałem i robiłem.

# 4

Stałem przed domem jakąś minutę, może nieco dłużej, zbierając się na odwagę. Miałem nadzieję, że kiedy wejdę do środka, ojciec nie będzie leżał na kanapie upity do nieprzytomności lub wpatrzony tępo w telewizor, w setną powtórkę *Miasta bezprawia* albo *Pocałunku śmierci* na TCM. Chodnik i podjazd przed domem były odśnieżone, co postanowiłem uznać za dobry znak.

Radar znudziła się już tym staniem i wbiegła na schody. Usiadła przy drzwiach i czekała, aż wpuszczę ją do środka. Dawno, dawno temu miałem klucz do tych drzwi, przepadł jednak gdzieś po drodze. Jak trójkołowiec Claudii, pomyślałem. Nie wspominając o moim dziewictwie. Jak się okazało, nie miało to znaczenia, bo drzwi były otwarte. Gdy wszedłem do środka, zwróciłem od razu uwagę na dźwięki wydobywające się z telewizora – kanał informacyjny, nie TCM. Odprowadziłem wzrokiem Radar, która biegła w głąb korytarza, szczekając radośnie.

Kiedy dotarłem do salonu, stała na tylnych łapach, opierając przednie na gazecie, którą czytał mój tata. Spojrzał na nią, a potem spojrzał na mnie. Przez moment jakby nie kojarzył, kto stoi w drzwiach. Wreszcie to sobie uświadomił i szok rozluźnił mięśnie jego twarzy. Nigdy nie zapomnę, jak przez moment wyglądał jednocześnie jak znacznie starsza wersja samego siebie – co najmniej o dwadzieścia lub trzydzieści lat – i dzieciak w moim wieku. Zupełnie jakby jego wewnętrzny zegar słoneczny obracał się jednocześnie w obu kierunkach.

– Charlie?

Zaczął się podnosić, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i opadł na fotel. Radar usiadła obok niego i wymachiwała ogonem.

– Charlie? To naprawdę ty?

– To ja, tata.

Tym razem udało mu się wstać. Płakał. Ja też zacząłem płakać. Podbiegł do mnie, potknął się o stolik i runąłby na podłogę, gdybym go nie podtrzymał.

– Charlie, Charlie, Bogu dzięki, myślałem, że nie żyjesz, wszyscy myśleliśmy…

Nie mógł dłużej mówić. Miałem mu wiele do opowiedzenia, ale w tamtym momencie również nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Obejmowaliśmy się nad Radar, która wcisnęła się między nasze nogi, machała ogonem i szczekała. Wiem chyba, czego chcecie, i właśnie to dostaliście.

Oto i wasz happy end.

# EPILOG

## Pytania i odpowiedzi. Ostatnia wyprawa do Empis.

## 1

Jeśli wydaje wam się, że w niektórych miejscach ta opowieść nie brzmi wcale tak, jakby napisał ją siedemnastolatek, to macie rację. Wróciłem z Empis dziewięć lat temu. Od tamtego czasu dużo czytałem i pisałem. Ukończyłem anglistykę na Uniwersytecie Nowego Jorku, i to z wyróżnieniem (niewiele zabrakło do najwyższego wyróżnienia). Pracuję w college'u przy Uniwersytecie Illinois w Chicago, gdzie prowadzę dość popularne seminarium zatytułowane „Mity i baśnie". Uchodzę za całkiem bystrego chłopaka, głównie dzięki pracy, którą napisałem jako student ostatniego roku. Opublikowano ją w periodyku „The International Journal of Jungian Studies". Zapłacili mi za to grosze, lecz liczyły się przecież przychylne recenzje – w mojej branży bezcenne. Dodam tylko, że cytowałem w tym artykule książkę z dość oryginalną okładką, na której widniał lejek wypełniający się gwiazdami.

„Dobrze wiedzieć – powiecie. – Ale mamy kilka pytań".

Nie wy jedni. Chciałbym wiedzieć, jak wyglądają rządy Dobrej Królowej Lei. Chciałbym wiedzieć, czy szarzy ludzie nadal są szarzy. Chciałbym wiedzieć, czy Claudia z Gallienu wciąż wrzeszczy. Chciałbym widzieć, czy korytarze prowadzące do tego strasznego podziemnego świata – legowiska Gogmagoga – zostały zablokowane. Chciałbym wiedzieć, kto rozprawił się z resztą nocnych żołnierzy i czy nie byli to przypadkiem moi współwięźniowie z Głębi Maleen (mało prawdopodobne, ale zawsze można pomarzyć). Chciałbym nawet wiedzieć, jak to się działo, że nocni żołnierze otwierali nasze cele tylko przez podniesienie rąk.

Wy chcielibyście pewnie wiedzieć, jak się miewa Radar. Odpowiedź brzmi: bardzo dobrze, dziękuję, choć nie jest już tak energiczna jak dawniej; w końcu ona też ma o dziewięć lat więcej, co oznacza, że jest już naprawdę stara jak na owczarka niemieckiego, zwłaszcza jeśli się zsumuje jej nowe i stare życie.

Na pewno chcielibyście też wiedzieć, co powiedziałem ojcu, gdy spytał, gdzie byłem przez te cztery miesiące. Odpowiedź wydaje się oczywista: wyznałem mu prawdę. Bo i co innego miałbym powiedzieć? Że jakiś cudowny lek od geniusza z Chicago zamienił schorowaną, umierającą Radar w zdrowego i silnego owczarka, który mógł mieć co najwyżej cztery lata?

Nie powiedziałem mu wszystkiego od razu; tego byłoby zdecydowanie za dużo. Zacząłem od podstawowych rzeczy, które opisałem zgodnie ze stanem faktycznym. Mówiłem więc, że istnieje przejście łączące nasz świat z innym. (Nie nazywałem go Empis, lecz Ten Inny, jak niegdyś, zanim poznałem właściwą nazwę). Mówiłem, że dostałem się tam przez szopę pana Bowditcha. Wysłuchał mnie uważnie, a potem – jak się pewnie domyślacie – spytał, gdzie byłem naprawdę.

Pokazałem mu rękę i głębokie wklęśnięcie nad nadgarstkiem, które pozostanie do końca mojego życia. To go nie przekonało. Otworzyłem plecak i wyjąłem złotą kołatkę. Obejrzał ją, zważył w dłoni i zasugerował – niepewnie – że to jakieś ołowiane badziewie z wyprzedaży garażowej, pokryte imitacją złota.

– Rozłup i sam się przekonaj – odparłem. – I tak będziemy musieli to przetopić i sprzedać. W sejfie pana Bowditcha jest wiadro złotych grudek z tego samego miejsca. Pokażę ci, kiedy będziesz na to gotowy. Właśnie z tego żył. Sam sprzedałem część pewnemu jubilerowi ze Stantonville, panu Heinrichowi. Już nie żyje, więc w końcu pewnie będę musiał poszukać innego kupca.

To zrobiło na nim większe wrażenie, ale ostatecznie przekonała go dopiero Radar. Po pierwsze, znała nasz dom jak własną kieszeń, a po drugie – i ważniejsze – miała na pysku charakterystyczne blizny, pamiątkę po spotkaniu z jeżozwierzem, którego nieopatrznie zaczepiła we wczesnej młodości. (Niektóre psy nigdy nie wyciągają nauki z takich spotkań, Radar wystarczyło jedno). Tata zwrócił na nie uwagę, gdy opiekowaliśmy się Radar po wypadku pana Bowditcha, a potem po jego śmierci – kiedy sama zbliżała się już do kresu. Te same blizny pozostały na jej młodszej wersji, prawdopodobnie dlatego, że zeskoczyła z zegara słonecznego, nim cofnęła się do wieku, w którym spotkała ją ta przygoda. Ojciec przyglądał im się przez długi czas, a potem spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

– To niemożliwe.

– Wiem, że tak to wygląda.

– W sejfie pana Bowditcha naprawdę jest wiadro złota?

– Pokażę ci. Kiedy będziesz na to gotowy. Wiem, że trudno się z tym wszystkim oswoić.

Siedział po turecku na podłodze, głaszcząc Radar i rozmyślając.

– Czy ten świat, w którym podobno byłeś, jest magiczny? – spytał po chwili. – Jak Xanth w tych książkach Piersa Anthony’ego, które czytałeś w gimnazjum? Gobliny, bazyliszki, centaury i tak dalej?

– Nie do końca. – Nigdy nie widziałem w Empis centaura, ale skoro były tam syreny… i olbrzymy…

– Mogę tam pójść?

– Chyba będziesz musiał – odpowiedziałem. – Przynajmniej raz.

Bo Empis nie przypominało zbytnio Xanth. W książkach Piersa Anthony’ego nie było Głębi Maleen ani Gogmagoga.

Poszliśmy tydzień później – książę, który nie był już księciem, i George Reade, właściciel Reade Insurance. Spędziłem ten tydzień na jedzeniu starego, dobrego amerykańskiego żarcia, spaniu w starym, dobrym amerykańskim łóżku i odpowiadaniu na pytania starych, dobrych amerykańskich gliniarzy. Nie wspominając o pytaniach wuja Boba, Lindy’ego Franklina, Andy’ego Chena, nauczycieli, a nawet pani Richland, wścibskiej sąsiadki. Do tego czasu tata zdążył już zobaczyć wiadro złota. Pokazałem mu również lampeczkę, którą obejrzał z wielkim zainteresowaniem.

Pewnie chcecie też poznać historyjkę, którą wymyśliłem z pomocą taty. Pamiętajcie, że jest rzeczoznawcą ubezpieczeniowym, facetem, który wie wszystko o pułapkach, w jakie wpadają oszuści, a więc wie również, jak ich uniknąć. W wielkim skrócie wyglądało to tak, że pies pana Bowditcha umarł w Chicago, zanim ja wpakowałem się w kłopoty, których nie pamiętam, bo cierpię na amnezję (pamiętam tylko, że ktoś walnął mnie w głowę). Pies, którego teraz mamy, to Radar II. Założę się, że pan Bowditch, który wrócił do Sentry jako własny syn, doceniłby tę opowieść. Bill Harriman, dziennikarz z „The Weekly Sun”, poprosił mnie o wywiad

(musiał mieć jakiś układ z którymś z miejscowych gliniarzy). Odmówiłem. Rozgłos był ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało.

Jesteście ciekawi tego, co stało się z Christopherem Polleyem, wstrętnym małym Rumpelsztykiem, który chciał mnie zabić i zabrać złoto pana Bowditcha? Ja byłem ciekaw, a Google pomógł mi zaspokoić tę ciekawość.

Jeśli wrócicie myślami do początku mojej opowieści, przypomnicie sobie może, jak bardzo się bałem, że zostaniemy z tatą bez domu, będziemy spać pod mostem i cały nasz majątek zmieści się w wózku na zakupy. Właśnie taki los spotkał Polleya (choć nie wiem nic o wózku). Policja znalazła jego ciało w przejściu podziemnym pod autostradą Tri-State Tollway w Skokie. Został kilkakrotnie ugodzony nożem. Choć nie miał przy sobie dokumentów, jego odciski palców figurowały w kartotece policyjnej, razem z długą historią jego pobytów w więzieniu, sięgającą wczesnej młodości. W artykule prasowym cytowano kapitana Briana Bakera z policji w Skokie, który powiedział, że ofiara nie mogła się bronić, bo miała połamane nadgarstki.

Mógłbym sobie wmawiać, że Polley tak czy inaczej nie obroniłby się przed nożownikiem – był drobny i chuderlawy, a ja zabrałem mu pistolet – ale nie mogę być tego pewien. Nie mogę też być pewien, czy motywem zabójstwa były klejnoty skradzione z zakładu jubilerskiego. Czy próbując je upłynnić, rozmawiał z niewłaściwą osobą i zapłacił za to życiem? Nie wiem i nie mogę wiedzieć, w głębi serca jestem jednak tego pewien. Nieco mniej pewien jestem tego, że umarł w tej samej chwili, w której Ruda Molly odtrąciła Peterkina z taką siłą, że rozerwała go na pół, ale przypuszczam, że to niewykluczone.

Mogę sobie wmawiać, że Polley sam ściągnął na siebie taki los, i będzie to zgodne z prawdą, ale kiedy wyobrażę sobie, jak podnosi bezużyteczne

ręce, by zablokować ciosy zabójcy, klęczącego nad nim w tym zaśmieconym przejściu, nie potrafię się uwolnić od poczucia wstydu i żalu. Możecie powiedzieć, że nie mam się czego wstydzić, że zrobiłem to, co musiałem, by ocalić życie i tajemnicę szopy, lecz wstyd jest jak śmiech. I jak natchnienie. Nie puka grzecznie do drzwi.

## 2

W sobotę po moim powrocie do domu znad Gór Skalistych nadciągnęła potężna śnieżyca. Wybrałem się wtedy z tatą do domu pana Bowditcha – tym razem miałem buty, które nie ściskały moich stóp – i weszliśmy na tylne podwórze. Ojciec z dezaprobatą przyjrzał się wyłamanej ścianie.

– Trzeba to będzie naprawić.

– Wiem, ale tylko tak mogłem się stąd wydostać.

Nie potrzebowaliśmy lampeczki, bo mieliśmy dwie latarki. Radar została w domu. Wiedziałem, że natychmiast po wyjściu z tunelu pobiegłaby do Domu Butów, a nie chciałem spotykać się z Dorą. Nie chciałem spotkać nikogo z tych, których tam poznałem. Chciałem jedynie przekonać tatę, że inny świat istnieje, i wrócić. Chodziło też o coś jeszcze – choć pewnie wyda się wam to dziwne i egoistyczne: nie chciałem usłyszeć, jak ojciec mówi po empisańsku. To było tylko moje.

Szedłem pierwszy po spiralnych schodach. Tata powtarzał ciągle, że nie może w to uwierzyć, po prostu nie może uwierzyć. Miałem nadzieję, że nie doprowadzę go do załamania nerwowego, uznałem jednak, że biorąc pod uwagę stawkę, muszę podjąć to ryzyko.

Nadal tak uważam.

Gdy znaleźliśmy się w tunelu, powiedziałem mu, żeby oświetlał latarką tylko podłogę.

– Bo są tu nietoperze – wyjaśniłem. – Wielkie. Nie chcę, żeby koło nas latały. Powinieneś też wiedzieć, że dojdziemy do miejsca, w którym możesz się bardzo dziwnie poczuć, niemal tak, jakbyś opuścił własne ciało. To punkt graniczny.

– Kto to stworzył? – spytał cicho. – Jezu Chryste, Charlie, kto to stworzył?

– Równie dobrze możesz pytać, kto stworzył świat.

Nasz i inne. Jestem pewien, że są inne, może jest ich tyle, ile gwiazd na niebie. Wyczuwamy je. Spływają do nas we wszystkich starych opowieściach.

Dotarliśmy do granicy. Tata przewróciłby się, ale wcześniej przezornie objąłem go w pasie.

– Może powinniśmy zawrócić – powiedział. – Okropnie się czuję.

– Jeszcze tylko kawałek. Tam widać już światło, zobacz.

Doszliśmy do korzeni i pnączy zwieszających się przy wyjściu z tunelu. Odgarnąłem je na bok i wkroczyliśmy do Empis, pod błękitne bezchmurne niebo, na zbocze prowadzące do domku Dory. Na sznurach nie wisiały żadne buty, ale w pobliżu Drogi Królewskiej pasł się koń. Dzieliła nas od niego zbyt duża odległość, bym mógł być tego pewny, wydawało mi się jednak, że dobrze znam to zwierzę. Królowa nie musiała się już porozumiewać za pośrednictwem Falady, a miasto nie jest dobrym miejscem dla koni.

Tata rozglądał się z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami. W trawie skakały świerszcze – nie czerwone.

– Mój Boże, jakie one są wielkie!

– Powinieneś zobaczyć króliki – powiedziałem. – Usiądź. – Zanim się przewrócisz, dodałem w myślach.

Usiedliśmy. Dałem mu trochę czasu, żeby się z tym oswoił. Spytał, jak pod ziemią może być niebo. Odpowiedziałem, że nie wiem. Spytał też, dlaczego jest tu tak dużo motyli, i to wyłącznie monarchów, a ja powtórzyłem, że nie wiem.

Wskazał na dom Dory.

– Kto tam mieszka?

– To chata Dory. Nie znam jej nazwiska.

– Jest teraz u siebie? Możemy się z nią zobaczyć?

– Nie przyprowadziłem cię tutaj, żeby odwiedzić starych znajomych, tylko żebyś się przekonał, że mówiłem prawdę. Nie przyjdziemy tu nigdy więcej. Nikt z naszego świata nie może się o tym dowiedzieć. To byłaby katastrofa.

– Biorąc pod uwagę, jak potraktowaliśmy wielu rdzennych Amerykanów, nie wspominając już o tym, co zrobiliśmy z klimatem, muszę się z tobą zgodzić. – Zaczynał akceptować tę niewiarygodną rzeczywistość, co bardzo mnie ucieszyło, bo obawiałem się skrajnych reakcji: całkowitego wyparcia albo pomieszania zmysłów. – Co zamierzasz z tym zrobić, Charlie?

– To, co pan Bowditch powinien był zrobić wiele lat temu.

A dlaczego nie zrobił? Myślę, że z powodu zegara słonecznego. „Ziarna zła, które kryje się w sercu każdego mężczyzny i każdej kobiety”, jak powiedziała Lea.

– Chodź, tata, wracajmy.

Wstał, lecz przystanął na moment przy wejściu do tunelu, by jeszcze raz się rozejrzeć.

– Pięknie tu, prawda?

– Owszem – przyznałem. – I tak już zostanie.

Chciałem ochronić Empis przed naszym światem i ochronić nasz świat – a przynajmniej spróbować – przed Empis. Bo pod Empis znajduje się świat mroku, gdzie wciąż żyje i rządzi Gogmagog. Być może nigdy już stamtąd nie ucieknie po tym, jak Bella i Arabella złączyły się w ostatnim – druzgoczącym – pocałunku, lecz w przypadku takich istot lepiej zachować ostrożność. Na tyle, na ile się da.

Wiosną załataliśmy z tatą dziurę, którą wybiłem w ścianie szopy. Latem pracowałem w firmie budowlanej Cramer Construction – głównie w biurze, z powodu ręki, ale sporo godzin spędziłem też na placach budowy, starając się dowiedzieć jak najwięcej o betonie. Sporo informacji można było znaleźć na starym, dobrym YouTubie, kiedy jednak masz do wykonania jakieś ważne zadanie, warto nabrać najpierw doświadczenia.

Dwa tygodnie przed moim wyjazdem na pierwszy semestr studiów na Uniwersytecie Nowego Jorku ułożyliśmy z tatą arkusze grubej blachy stalowej nad wejściem do studni. Tydzień później wylaliśmy warstwę betonu na blachę i całą podłogę w szopie. Kiedy beton był jeszcze wilgotny, namówiłem Radar, by postawiła na nim łapę.

Powiem wam szczerze: bolało mnie serce, gdy zakrywaliśmy studnię stalą i osiemnastocentymetrową warstwą betonu. Gdzieś w dole jest świat pełen magii i ludzi, których kochałem. Zwłaszcza jedną osobę. Gdy beton wylewał się leniwie z betoniarki, którą pożyczyłem z firmy, myślałem o Lei stojącej na schodach, z obnażonym mieczem w dłoni, gotowej do walki. I o tym, jak rozcięła sobie zrośnięte usta, by zawołać brata.

No dobrze, skłamałem. Serce nie tylko mnie bolało – przeraźliwie krzyczało „Nie!”, „Nie!” i „Nie!”. Pytało, jak mogłem zostawić za sobą cud i odwrócić się od magii. Pytało, czy naprawę chcę zatkać lejek, przez który spływały gwiazdy.

Zrobiłem to, bo musiałem. Tata rozumiał.

## 3

Spytacie, czy śnię. Oczywiście. Czasami o tym, co wyszło ze studni; budzę się wtedy z rękami na ustach, dławiąc krzyk. Ale w miarę upływu lat te koszmary nawiedzają mnie coraz rzadziej. Częściej śnię o polu porośniętym makami. Śnię o Czerwonej Nadziei.

Postąpiliśmy właściwie, wiem o tym. Inne rozwiązanie nie wchodziło w grę. Tata wciąż ma na oku dom przy Jaworowej 1. Często przyjeżdżam do Sentry i wtedy tam zaglądam. Wiem, że kiedyś wrócę na dobre. Być może się ożenię, a jeśli będę miał dzieci, dom na wzgórzu przejdzie w ich ręce. A gdy będą małe i wszystko będzie je zdumiewać i zachwycać, będę im czytał stare opowieści, te, które zaczynają się od słów *Dawno, dawno temu*…

25 listopada 2020 – 9 października 2021

# PODZIĘKOWANIA

Nie sądzę, żebym zdołał napisać tę książkę bez pomocy Robin Furth, asystentki, która zbiera dla mnie materiały. Wie o Empis (i o Charliem Readzie) więcej niż ja. Dziękuję więc jej i dziękuję również mojej żonie Tabby, która daje mi dość czasu, bym mógł zajmować się tą szaloną pracą i śnić swoje szalone sny. Dziękuję moim agentom – Chuckowi Verrillowi i Liz Darhansoff – a także Gabrielowi Rodríguezowi i Nicholasowi Delortowi za przystrojenie tej książki pięknymi ilustracjami, dzięki którym wygląda jak klasyczne powieści grozy czy przygodowe z dawnych czasów – od *Wyspy skarbów* po *Drakulę*. Chcę także podziękować Wam, Wierni Czytelnicy, za czas i uwagę, którą poświęciliście mojej opowieści. Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście w Empis.

Jeszcze jedno: mam włączony alert Google przy swoim nazwisku i w ciągu minionego roku widziałem nekrologi wielu zmarłych na COVID osób, które lubiły moje książki. Zbyt wielu. Opłakuję odejście każdej z nich i ślę kondolencje pozostałym przy życiu przyjaciołom i krewnym. Jeśli nie jesteście jeszcze zaszczepieni, proszę, postarajcie się to zrobić przy najbliższej okazji.